

Nowy literacki thriller autora *W słusznej sprawie*

JOHN KATZENBACH

Akademicką karierę poświęcił badaniom
nad strachem. Teraz nieznanemu mu strach mobilizuje go
do ostatniego nadludzkiego wysiłku...

PROFESOR




AMBIK

NAJNOWSZY THRILLER PSYCHOLOGICZNY MISTRZA

W Niemczech wydany jeszcze przed premierą w USA
i sprzedany już w 125 000 egzemplarzy

12 tygodni na liście bestsellerów „Buchreporter”

Numer 1 przez 5 tygodni argentyńskich list bestsellerów

Już 100 000 sprzedanych egzemplarzy
w Hiszpanii, Argentynie, Meksyku, Kolumbii, Chile, Urugwaju

PROFESOR

*Profesor Johna Katzenbacha porywa wysoki
literacki thriller w jeszcze wyższe rejestry.
„Hannoversche Allgemeine Zeitung”*

*W swojej ostatniej powieści John Katzenbach genialnie
gra naszymi pojęciami rzeczywistości i tożsamości.
„Die Literarische Welt”*

*John Katzenbach błyskotliwie wznosi się
ponad monotonię i przewidywalność typowego thrillera
z psychopatycznym seryjnym mordercą.
„Bayerischer Rundfunk”*

*Widać rękę mistrza.
„Neue Presse”*



Cena det. zł 39,80

www.wydawnictwoamber.pl

ISBN 83-241-4042-8



9 788324 140428

JOHN
KATZENBACH
PROFESOR

Przekład
TOMASZ WILUSZ


AMBER

Redakcja stylistyczna

Dorota Kielczyk

Korekta

Renata Kuk Hanna Lachowska

Projekt graficzny okładki

Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce

Wydawnictwo Amber

Zdjęcie autora

Copyright © Juliana Orihuela

Druk ABEDIK S.A.

Tytuł oryginału What Comes Next

Copyright © John Katzenbach 2010

By arrangement with John Hawkins & Associates, Inc., New York.

For the Polish edition

Copyright © 2011 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 978-83-241-4042-8

Warszawa 2011.

Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp, z o.o.

02-952 Warszawa,

ul. Wiertnicza 63

tel. 620 40 13, 620 81 62

www. wydawnictwoamber. pi

ROZDZIAŁ 1

Jak tylko drzwi się otworzyły, wiedział, że już po nim.

Widział to w szybko odwróconym wzroku, lekko zgarbionych ramionach, nerwowych, pospiesznych ruchach lekarza idącego przez gabinet. Pozostały tylko dwa pytania: Jak długo to potrwa? I jak bardzo to będzie straszne?

Nie musiał długo czekać na odpowiedzi.

Adrian Thomas patrzył, jak neurolog wertuje wyniki badań i siada za dużym dębowym biurkiem. Lekarz przechylił się w fotelu do tyłu, do przodu i wreszcie spojrział w górę.

- Wyniki wykluczają większość typowych diagnoz...

Adrian spodziewał się tego. Rezonans magnetyczny. EKG. EEG. Krew. Mocz. USG. Tomografia mózgu. Seria badań funkcji poznawczych. Ponad dziewięć miesięcy temu po raz pierwszy zauważył, że zapomina rzeczy zwykle łatwe do zapamiętania - w sklepie elektrycznym stał przed regałem z żarówkami i nie miał bladego pojęcia, co zamierzał kupić; kiedy indziej na głównej ulicy miasta wpadł na dobrego znajomego z uczelni i zupełnie nie mógł sobie przypomnieć jego imienia, choć przeszło dwadzieścia lat ten człowiek zajmował sąsiedni gabinet. A potem, sześć dni temu, cały wieczór miło rozmawiał ze swoją dawno nieżyjącą żoną w salonie domu, w którym mieszkali od przeprowadzki do zachodniego Massachusetts. Siedziała przy kominku, w swoim ulubionym perskim fotelu w stylu królowej Anny. Kiedy dotarło do niego, co zrobił, zrozumiał, że żadne wydruki komputerowe ani kolorowe fotografie mózgu niczego nie wykażą. Mimo to sumiennie umówił się na pilną wizytę u swojego

internisty, a ten natychmiast odesłał go do specjalisty. Cierpliwie odpowiedział na wszystkie pytania i dał się obmacać, opukać i prześwietlić.

W pierwszym szoku po tym, jak uświadomił sobie, że nieżyjąca żona zniknęła mu z oczu, uznał, że po prostu traci rozum - nienaukowe, nieprecyzyjne określenie psychozy bądź schizofrenii. Ale znowu nie miał wrażenia, że traci rozum. W zasadzie czuł się zupełnie nieźle. To, co się stało, wydawało się niegroźne, prawie jakby godziny przegadane z kimś, kto nie żyje od trzech lat, były przyjemnym zwyczajem - ot, rozmowa jak wiele innych, jakie często prowadzili przez lata małżeństwa. Gawędzili o jego pogłębiającej się samotności i o tym, dlaczego powinien dać parę wykładów *pro bono* na uniwersytecie, mimo że od jej śmierci był na emeryturze. Dyskutowali o nowych filmach, ciekawych książkach i o tym, co powinien wysłać siostrzenicom z Kalifornii na urodziny. Zastanawiali się, czy tego roku spróbować wymknąć się na Cape Cod na parę tygodni odpoczynku w czerwcu, zaraz po tym, jak tasergale i skalniki wyruszą w swoją doroczną wędrowkę, a zanim pojawią się żadne opalenizny tłumy objuczone lodówkami turystycznymi i parasolami plażowymi.

Kiedy siedział naprzeciwko neurologa, stwierdził w duchu, że popełnił straszliwy błąd, choć przez sekundę dopuszczając do siebie myśl, że halucynacja jest objawem choroby. Niepotrzebnie przeraził się tym sygnałem alarmowym i poszedł na badania. Powinien dostrzec plusy tego, co się stało. Został zupełnie sam i miło byłoby na resztę życia zaludnić swój świat osobami, które kiedyś kochał - czy nadal istnieją, czy nie.

- Pańskie objawy wskazują...

Nie chciał słuchać lekarza, który ma zakłopotaną, zbolaną miętę i jest dużo młodszy od niego. To niesprawiedliwe, pomyślał, że dowie się o tym, że umrze, od kogoś tak młodego. Takie rzeczy powinien mówić siwowłosy dostoyny medyk o dźwięcznym głosie znudzonym latami doświadczenia, nie piskliwy chłopaczyna świeżo po podstawówce, taki co to nerwowo buja się na fotelu.

Nie podobał mu się ten sterylny, jasno oświetlony gabinet, z dyplomami w ramach i drewnianymi biblioteczkami pełnymi medycznych tekstów, do których lekarz na pewno nigdy nie zajrzał. Adrian wiedział, że młody neurolog jest z tych, co wolą stuknąć parę razy w klawiaturę komputera albo blackberry, żeby znaleźć informacje. Rozejrzał się: gabinet wręcz nieznośnie czysty i uporządkowany, jakby naturalna brzydota śmiertelnej choroby nie miała tu wstępu. Popatrzył nad ramieniem mężczyzny przez okno i zobaczył wronę - lądowała wśród liści pobliskiej wierzby. Monotonny głos doktora jakby dobiegał z jakiegoś odległego świata, którego Adrian nie był już częścią. No, może był - małą. Nieistotną. Przez chwilę wyobrażał sobie, że to wrony powinien słuchać, potem zszokowany i zmieszany odniósł wrażenie, że rzeczywiście to ona do niego mówi. To, przekonał sam siebie, nieprawdopodobne, więc spuścił wzrok i zmusił się, żeby słuchać lekarza.

- ...Przykro mi, profesorze Thomas - powiedział powoli neurolog. Ostrożnie dobierał słowa. - Sądzę, że to postępujące stadium stosunkowo rzadkiej choroby, znanej jako otępienie z ciałami Lewy'ego. Wie pan coś o niej?

Coś tam wiedział. Raz czy dwa słyszał tę nazwę, choć tak na gorąco nie pamiętał gdzie. Może jeden z innych pracowników katedry psychologii na uniwersytecie użył jej na zebraniu kadry, kiedy uzasadniał potrzebę przeprowadzenia jakichś badań albo uskarżał się na formalności związane z przyznawaniem grantów. Może pamiętał ją z młodości - pracował wtedy w szpitalu dla weteranów. Mimo to pokręcił głową. Lepiej usłyszeć wszystko bez żadnych upiększeń od kogoś bardziej kompetentnego, nawet jeśli ten ktoś jest zbyt młody.

Słowa leciały w przestrzeń między nimi jak gruz po wybuchu i zaśmiecały biurko: Stała. Postępująca. Szybkie pogarszanie się. Halucynacje. Utrata kontroli nad funkcjami fizjologicznymi. Utrata umiejętności logicznego myślenia. Utrata pamięci krótkotrwałej. Utrata pamięci długotrwałej.

I w końcu wyrok śmierci:

- ...Przykro mi, że muszę to panu powiedzieć, ale zwykle to kwestia pięciu, siedmiu lat. Może. A ponieważ, jak sądzą, choroba

rozwija się u pana od jakiegoś czasu, w tym przypadku to maksimum. Przeważnie wszystko dzieje się dużo szybciej... - Chwila przerwy, a po niej lizusowskie: - Jeśli chce pan zasięgnąć opinii drugiego specjalisty...

Dlaczego, zastanawiał się, miałby chcieć drugi raz usłyszeć złe wieści?

A potem jeszcze jeden, w sumie spodziewany cios:

- ...Nie ma na to lekarstwa. Są pewne środki, mogą złagodzić część objawów... leki na alzheimera, nietypowe neuroleptyki zwalczające omamy i złudzenia... ale żaden z nich niczego nie gwarantuje, a większość nie daje istotnej poprawy. Warto jednak spróbować, żeby zobaczyć, czy przedłużą funkcjonowanie...

Adrian zaczekał, aż lekarz zrobi chwilę przerwy.

- Kiedy ja wcale nie czuję się chory - powiedział.

Neurolog skinął głową.

- To też, niestety, typowe. Jak na mężczyznę po sześćdziesiątce jest pan w doskonałej formie fizycznej. Ma pan serce dużo młodszego człowieka...

- Dużo biegam i ćwiczę...

- Cóż, to dobrze.

- Czyli co, jestem dość zdrowy, żeby obserwować, jak się sypię? Patrzeć, jak dogorywam, z miejsca w pierwszym rzędzie?

Doktor nie odpowiedział od razu.

- Tak... - wydusił wreszcie. - Ale niektóre badania wykazują, że regularne ćwiczenie umysłu w połączeniu z aktywnym trybem życia może opóźnić część szkodliwych procesów w płatach czołowych, które ta choroba atakuje.

Adrian skinął głową. Wiedział to. Wiedział też, że płaty czołowe odpowiadają za proces podejmowania decyzji i zdolność rozumienia otaczającego świata. W zasadzie to płaty czołowe czyniły go tym, kim do tej pory był, a teraz miały sprawić, że stanie się kimś innym, pewnie zmienionym nie do poznania. Nagle dotarło do niego, że wkrótce przestanie być Adrianem Thomasem.

Pochłonięty tą myślą nie słuchał neurologa, aż dobiegły go słowa:

- Ma pan kogoś do pomocy? Żonę? Dzieci? Krewnych? Niedługo będzie pan wymagał stałej, całodobowej opieki. Dobrze, gdybym jak najszybciej porozmawiał z pańskimi bliskimi, pomógł im zrozumieć, przez co pan będzie przechodził... - Lekarz sięgnął po bloczek recept i zaczął szybko wypisywać listę leków.

Adrian się uśmiechnął.

- Całą potrzebną mi pomoc mam w domu.

Pan Półautomatyczny Ruger kaliber 9 milimetrów, pomyślał. W górnej szufladzie stolika nocnego. Magazynek na trzynaście nabojów pełny, ale jedna kula wystarczy.

Lekarz mówił coś jeszcze o pielęgniarstwie domowym i opłatach ubezpieczeniowych, przekazaniu pełnomocnictw i testamentie, długich pobytach w szpitalu i ogromnym znaczeniu następnych wizyt, lekach, które jego zdaniem nie spowolnią rozwoju choroby, ale i tak należy je brać, bo może choć trochę pomogą, ale Adrian rozumiał, że tak naprawdę nie musi już go słuchać.

Na przedmieściach małego miasta uniwersyteckiego, w którym mieszkał Adrian, między dawnymi polami uprawnymi, dziś zabudowanymi nowoczesnymi, ekskluzywnymi rezydencjami, przycupnął mały rezerwat przyrody - obejmował skromne wzgórze, a właściwie zaledwie wybrzuszenie terenu, szumnie zwane przez miejscowych „górami”. Na szczyt góry Pollux wiodła ścieżka, wiła się przez las i ostatecznie wychodziła na punkt widokowy na dolinę. Adriana zawsze irytowało to, że obok góry Pollux nie było góry Kastor. Ciekawe, kto nadał wzgórzowi tak pretensjonalną nazwę. Jakiś uczony typ, podejrzewał, zatrudniony na uczelni dwa wieki temu, w czasach, kiedy profesorowie w czarnych wełnianych surdutach i wykrochmalonych białych kołnierzykach wpajali studentom wiedzę klasyczną. Jednak pomimo jego wątpliwości co do nazwy i trafności zaszczytnego miana „górami”, lubił to miejsce. Cichy zakątek uwielbiany przez miejskie psy, spuszczone tam ze smyczy, i ludzi, którzy chcieli zostać sami ze swoimi myślami. I to tam Adrian pojechał po wizycie u lekarza.

Zaparkował stare volvo na przydrożnym parkingu u wylotu ścieżki i ruszył pod górę. Kiedy indziej włożyłby traperki na to wczesnowiosenne błoto; a tak pewnie szybko zniszczy buty.

Powiedział sobie, że to już bez znaczenia.

Wokół niego dogasało popołudnie, zimno pieściło mu plecy. Nie był odpowiednio ubrany na spacer, tym bardziej że w Nowej Anglii każdy pełzający cień niósł jeszcze z sobą tchnienie zimy. Nie zważał na chłód ani na szybko przemakające buty.

Na ścieżce nie było nikogo. Żadnych rozbrykanych golden retrieverów, co to biegają po krzakach w poszukiwaniu jakiegoś zapachu. Tylko Adrian. Szedł równym tempem. Samotność mu odpowiadała. Naszła go dziwna myśl, że gdyby kogoś spotkał, poczułby potrzebę, żeby wyznać: „Mam chorobę, o której nigdy nie słyszałeś. Zabije mnie, ale przedtem wszystko mi odbierze”.

Przynajmniej w przypadku raka, pomyślał, albo choroby serca, człowiek może pozostać sobą tak długo, jak tylko da radę, podczas gdy choroba go morduje. Był zły i chciał się jakoś wyładować, w coś uderzyć, ale zamiast tego tylko maszerował pod górę.

Wsluchał się w swój oddech. Równy. Normalny. Ani śladu wysiłku. To niesprawiedliwe. Wolałby udręczone sapanie, coś, co powiedziałyby mu, że jest nieuleczalnie chory.

Mniej więcej po półgodzinie dotarł na szczyt - jeśli to nie za duże słowo. Resztki światła słonecznego wysączały się znad wierzchołków wzgórz na zachodzie. Przysiadł na dużej skale łupkowej i spojrzał na odległą dolinę. Pierwsze oznaki wiosny w Nowej Anglii pojawiły się już na dobre. Widział wczesne kwiaty. Głównie żółte i fioletowe krokusy wyglądały z wilgotnej ziemi. Drzewa zieleniały pączkami, które zaciemniały gałęzie jak jedno-, dwudniowy zarost policzki. Klucz dzikich gęsi kierował się na północ. Ich hałaśliwe krzyki niosły się po bladoniebieskim niebie. Wszystko to było tak uderzająco normalne, że Adrian czuł się trochę głupio; to, co się z nim działo, nijak się miało do otaczającego go świata.

W oddali dostrzegł iglice kościoła na środku uczelnianego kampusu. Drużyna bejsbolowa już na pewno wyszła trenować odbicia - w hali, bo boisko wciąż było przykryte brezentem.

Swój gabinet miał na tyle blisko, że gdy otwierał okno w wiosenne popołudnie, słyszał odległy stukot uderzeń kijów w piłki. Po długiej zimie cieszyło to tak bardzo jak widok drozda, który krąży nad dziedzińcem w poszukiwaniu dżdżownicy.

Adrian odetchnął głęboko.

- Wracaj do domu - powiedział na głos. - Zastrzel się, dopóki wszystko, co sprawia ci przyjemność, jest rzeczywiste. Bo choroba ci to odbierze.

Zawsze uważał się za człowieka czynu i z zadowoleniem przyjmował natarczywą myśl o samobójstwie. Szukał argumentów przemawiających za tym, żeby się wstrzymać. Nie znalazł żadnego.

Może wystarczy zostać tutaj. Ładne miejsce. Jedno z jego ulubionych. W sam raz na śmierć. Ciekawe, czy w nocy zrobi się dość zimno, by zamarznął. Wątpił w to. Pewnie skończyłoby się na tym, że marznąc i kaszląc, doczekałby świtu - a wtedy najadłby się wstydu, nawet jeśli był jedyną osobą na świecie, dla której wschód słońca oznaczałby porażkę.

Pokręcił głową.

Rozejrzyj się, nakazał sobie. Zapamiętaj, co warte zapamiętania. Resztę zignoruj.

Spojrzał w dół, na buty - pokryte skorupą błota i przemoczone - i zastanawiał się, dlaczego nie czuje wilgoci na palcach u nóg.

Nie ma co zwlekać, stwierdził stanowczo. Wstał i strzepnął pył łupkowy ze spodni. Cienie przedzierały się przez krzaki i drzewa, na ścieżce w dół z każdą sekundą robiło się coraz ciemniej.

Obejrzał się na dolinę. Tam uczyłem. Tam mieszkaliśmy. Żałował, że nie może stąd zobaczyć loftu w Nowym Jorku, gdzie poznał żonę i po raz pierwszy się zakochał. Żałował, że nie może zobaczyć ulubionych miejsc z dzieciństwa i tych związanych z różnymi wspomnieniami z młodości. Żałował, że nie może zobaczyć rue Madeleine w Paryżu i narożnego bistro, do którego podczas urlopów naukowych co rano chodzili z żoną na kawę. I apartamentu Marleny Dietrich w berlińskim hotelu Savoy - zatrzymali się tam, kiedy pojechał wygłosić wykład w Institut für

Psychologie. Tam też poczęli swoje jedyne dziecko. Wyteżył wzrok, patrząc na wschód, w stronę domu na Cape, gdzie spędzali każde lato od czasów jego młodości, plaż, na których uczył się łowić na muchę skalniki, i pełnych pstrągów strumieni. Brnął wtedy pośród prastarych głazów przez wodę, co aż kipiała energią.

Żal tego wszystkiego.

Nic się na to nie poradzi.

Odwrócił się od tego, co mógł i czego nie mógł zobaczyć, i ruszył ścieżką w dół. W zapadającej ciemności szło się powoli.

Był raptem pół przecznicy od domu, jechał między rzędami skromnych, białych drewnianych domów. Ich mieszkańcy, jego sąsiedzi, stanowili eklektyczny zbiór. Osiedlili się tu pracownicy uczelni, agenci ubezpieczeniowi, dentyści, niezależni autorzy poradników biznesowych, instruktorzy jogi i trenerzy rozwoju osobistego. Zauważył dziewczynę. Szła poboczem.

Pewnie nie zwróciłby na nią większej uwagi, ale uderzyła go determinacja, z jaką kroczyła naprzód. Jakby doskonale wiedziała, czego chce. Miała popielato-blond włosy wsunięte pod jaszkraworóżową czapkę Boston Red Sox. Jej ciemna parka była w paru miejscach rozdarta, dzinsy też. Najbardziej zaintrygował go jej plecak - wręcz pękał w szwach od ubrań. W pierwszej chwili pomyślał, że dziewczyna po prostu wraca do domu. Podwiózł ją tu popołudniowy autobus zabierający uczniów, którzy za karę musieli zostać po lekcjach w szkole. Ale zauważył, że do plecaka jest przytroczone duży pluszowy miś, a nie wyobrażał sobie, żeby ktokolwiek pokazał się w liceum z taką dziecinną zabawką. Taka osoba z miejsca stałaby się obiektem drwin.

Przejeżdżając obok, zerknął na jej twarz.

Młoda, jeszcze dziecko, ale piękna jak wszystkie nastolatki u progu przemiany. A przynajmniej tak sobie pomyślał, choć dawno nie miał kontaktów z młodzieżą poza salą wykładową.

Patrzyła prosto przed siebie, mocno skupiona.

Chyba nawet nie zauważyła jego samochodu.

Skręcił przed dom, ale nie wysiadł. Miał wrażenie, że pod determinacją dziewczyny - piętnasto-, szesnastoletniej, nie potrafił

już precyzyjnie określać wieku młodych ludzi - coś się skrywa. Jej mina fascynowała go, pobudzała ciekawość.

Obserwował w lusterku wstecznym, jak pannica idzie szybkim krokiem na róg ulicy.

Wtedy dostrzegł coś, co trochę nie pasowało do jego cichej, bezwzględnie normalnej dzielnicy.

Ulicą powoli jechała biała furgonetka, jak mały wóz dostawczy, ale bez napisów reklamujących usługi elektryka albo malarza. Zerknął do szoferki - prowadziła kobieta, a na miejscu dla pasażera siedział mężczyzna. To go zaskoczyło. Powinno być na odwrót, pomyślał. Zaraz jednak uznał, że to seksistowski stereotyp. Oczywiście, że kobieta może prowadzić furgonetkę. I choć robiło się późno i wieczorny mrok szybko opadał pośród drzew, tak naprawdę nie było powodu sądzić, że ta furgonetka ma w sobie coś niezwykłego.

Aż do chwili, kiedy zwolniła i podążyła za dziewczyną jak cień. Ze swojego miejsca Adrian zobaczył, że samochód zatrzymuje się po drugiej stronie ulicy. Dziewczyna zniknęła mu z oczu, zasłonięta przez wóz.

Furgonetka raptownie ruszyła, skręciła za róg i wtopiła się w szarość zmierzchu tuż przed nocą.

Spojrzał raz jeszcze. Dziewczyny nie było.

Na ulicy została różowa bejsbolówka.

ROZDZIAŁ 2

Jak tylko drzwi się otworzyły, wiedziała, że już po niej. Pozostały tylko dwa pytania: Jak długo to potrwa? I jak bardzo to będzie straszne?

Nieprędko pozna odpowiedzi. Na początku było jedynie dziwne, niepohamowane przerażenie, które przyćmiło wszystkie inne uczucia.

Jennifer Riggins nie od razu obejrzała się na jadącą obok furgonetkę. Skupiała się na tym, by dotrzeć do przystanku

autobusowego przy szosie, kilkaset metrów dalej. Skrupulatnie opracowała plan ucieczki: lokalnym autobusem pojedzie do centrum miasta, potem może przesiąść się w inny, jadący do oddalonego o trzydzieści kilometrów Springfield. Z tamtejszego dworca, jak sądziła, dostanie się wszędzie. W kieszeni džinsów miała ponad trzysta dolarów. Podbierała je powoli, ale konsekwentnie - po pięć, po dziesięć - z torebki matki i portfela jej faceta. Nie spieszyła się, zbierała pieniądze przez miesiąc i chowała do pudełka w szufladzie pod swoją bielizną. Nigdy nie kradła dużo naraz, żeby się nie zorientowali; same drobne kwoty, o których błyskawicznie zapominali. W końcu uzbierała tyle, ile sobie postanowiła. Wiedziała, że to wystarczy na podróż do Nowego Jorku, Nashville, a może nawet do Miami albo Los Angeles, więc tego ranka, przy okazji ostatniej kradzieży, wzięła tylko jeden banknot dwudziestodolarowy i trzy jednodolarowe, za to do swoich łupów dorzuciła kartę Visa matki. Nie była jeszcze pewna, dokąd pojedzie. W jakieś ciepłe miejsce - taką miała nadzieję. Byle tylko daleko stąd, gdzieś, gdzie będzie jej dużo lepiej. O tym właśnie myślała, kiedy furgonetka zatrzymała się obok niej. Mogę pojechać, dokąd zechcę...

- Hej, przepraszam... - powiedział mężczyzna w fotelu pasażera. - Ja tylko sekundę. Chciałbym się spytać o drogę.

Stała i odwróciła się twarzą do faceta w furgonetce. Pierwsze wrażenie: że rano się nie ogolił i że jego głos jest dziwnie wysoki i zbyt podekscytowany jak na tak błahe pytanie. I trochę się zirytowała, bo wolała nie tracić czasu; chciała uciec jak najdalej od domu, tej nadętej dzielnicy, tego nudnego miasteczka uniwersyteckiego, od matki, faceta matki, tego, jak na nią patrzył, i pewnych rzeczy, które robił, kiedy byli sami. Od szkoły i wszystkich znajomych dzieciaków - nienawidziła ich, dzień w dzień się z niej nabijały. Zamierzała zwiać, zanim zrobi się za ciemno, ale dopóki będzie dość ciemno, by nikt nie zauważył jej ucieczki. Pragnęła jeszcze tej nocy znaleźć się w jadącym dokądś autobusie, bo wiedziała, że do dziewiątej-dziesiątej matka obdzwoni wszystkie numery, jakie przyjdą jej do głowy, a potem może nawet zgłosi zaginięcie córki na policji. Tak robiła przy poprzednich okazjach. Wtedy policja obstawi dworzec autobusowy w Springfield, więc

Jennifer musiała się sprężyć, zanim to się stanie. I takie chaotyczne myśli kotłowały jej się w głowie, kiedy zastanawiała się nad odpowiedzią.

- A czego państwo szukacie? - spytała.

Zauważyła, że facet się uśmiechnął.

Coś tu nie gra, pomyślała. Nie powinien się uśmiechać.

W pierwszej chwili sądziła, że gość rzuci jakąś ogólnie sprostą, seksistowską uwagę, coś obraźliwego albo poniżającego, obleśny tekst w stylu „Hej, mała, może się zabawimy...” Była na to gotowa i już się szykowała, żeby go spławić, odwrócić się i ruszyć dalej, ale lekko się zdziwiła, kiedy nad ramieniem mężczyzny zobaczyła, że za kierownicą siedzi kobieta w dzianej czapce na głowie. Choć młoda, w oczach miała coś ostrego, twardego jak granit, coś, czego Jennifer nigdy dotąd nie widziała i co ją natychmiast wystraszyło.

Babka trzymała w ręku małą kamerę wideo HD. Obiektyw był wymierzony w Jennifer.

To nie miało najmniejszego sensu, nic z tego nie rozumiała.

Usłyszała odpowiedź mężczyzny i to jeszcze bardziej zbiło ją z tropu. Spodziewała się, że koleś poda jakiś adres albo spyta, jak dojechać do drogi numer 9, ale on powiedział:

- Ciebie.

Bez sensu. Dlaczego mieliby jej szukać? Nikt nie znał jej planu. Matka tak szybko nie znalazłaby fałszywego listu przyczepionego magnesem do lodówki...

Dlatego Jennifer zawahała się w momencie, kiedy powinna się rzucić do rozpaczliwej ucieczki albo głośno wezwać pomoc.

Drzwi furgonetki gwałtownie się otworzyły. Mężczyzna wyskoczył z fotela, dużo szybciej, niż to się Jennifer wydawało możliwe.

- Hej! - zawołała. A przynajmniej później jej się zdawało, że powiedziała „hej”, ale nie wiedziała tego na pewno. Może po prostu zastygła w bezruchu. Przez głowę przemknęła jej myśl: To nie dzieje się naprawdę, i zaraz wyparł ją lodowaty, mroczny lęk, bo właśnie w tej chwili - kiedy zobaczyła, że coś się do niej zbliża - w pełni zrozumiała, o co chodzi.

Facet zdzielił ją w twarz. Zachwiała się. Ból eksplodował w oczach, przeszył ją falą gorąca. Zakręciło jej się w głowie i cały świat jakby zawirował wokół swojej osi. Poczuli, że traci przytomność, zatoczyła się do tyłu i zwiśla bezwładnie, kiedy mężczyzna przytrzymał ją za ramiona, żeby nie upadła. Kolana ugięły się pod nią, barki i plecy miała jak z gumy. Nawet jeśli do tej pory zachowała gdzieś w sobie resztki sił, w tej chwili ulotniły się bez śladu.

Jak przez mgłę usłyszała odgłos otwieranych drzwi samochodu. Nieznajomy wepchnął ją na pakę. Trzasnęły drzwi. Wóz z impetem skręcił za róg i przyspieszył. Rzuciło ją na stalową podłogę. Czuli na sobie ciężar mężczyzny. Przygniatał ją, nie dawał się ruszyć. Ledwo mogła oddychać, gardło ścisnęło się z przerażenia. Nie potrafiła określić, czy się szamocze, czy walczy, krzyczy czy płacze. Półprzytomna nie wiedziała, co robi. Mocno wciągnęła powietrze, kiedy spowiła ją nieprzenikniona ciemność. Najpierw pomyślała, że już nie żyje, a potem, że zemdląca, w końcu jednak zrozumiała, że mężczyzna naciągnął jej na głowę czarną poszwę od poduszki, izolując ją od małego świata furgonetki. Czuli na wargach smak krwi, kręciło jej się w głowie i cokolwiek się z nią działo, wiedziała, że to dużo gorsze od wszystkiego, czego w życiu zaznała.

Przez poszwę przedarł się smród: mocny, oleisty zapach podłogi furgonetki, słodkawa woń potu przytrzymującego ją mężczyzny.

Gdzieś w głębi wiedziała, że coś ją bardzo boli, ale nie umiała stwierdzić co.

Próbowała ruszać rękami i nogami, młóciła nicość jak pies, który śni, że goni zająca.

- Nie, nic z tego... - stęknął mężczyzna.

A potem kolejna eksplozja w czaszce, za oczami. Ostatnie, co usłyszała, to głos kobiety.

- Nie zabij jej, na litość boską...

Te słowa odbiły się echem w jej głowie. Przestała nad sobą panować i szybko runęła w głęboką, ciemną, udającą śmierć otchłań nieświadomości.

ROZDZIAŁ 3

Trzymał różową czapkę delikatnie jak żywą istotę i ostrożnie obracał ją w dłoniach.

Po wewnętrznej stronie daszka zobaczył nagryzmołone atramentem imię „Jennifer”, a dalej zabawny rysunek uśmiechniętego ptaka podobnego do kaczki i słowa „jest fajna”, jakby odpowiedź na pytanie. Żadnego nazwiska, numeru telefonu ani adresu.

Adrian siedział na brzegu łóżka. Obok niego, na tle ręcznie szytej, wielobarwnej narzuty, którą jego żona kupiła na jarmarku niedługo przed wypadkiem, odcinał się półautomatyczny ruger kaliber 9 milimetrów. W całej sypialni rozłożona była bogata kolekcja zdjęć żony i bliskich Adriana, na które chciał patrzeć podczas przygotowań. Aby nie pozostawić żadnych wątpliwości co do swoich zamiarów, pofatygował się do małego gabinetu, gdzie kiedyś pracował nad wykładami i planami zajęć, włączył komputer i odszukał w Wikipedii hasło „Otępienie z ciałami Lewy'ego”. Wydrukował tę notatkę i szepił z kopią rachunku od neurologa.

Teraz trzeba już tylko, powiedział sobie, napisać stosowny list samobójczy - coś od serca, poetyckiego. Zawsze uwielbiał wiersze, nawet sam je tworzył. Zastawił półki biblioteczeki zbiorami poezji, od współczesnej po starożytną, od Paula Muldoona i Jamesa Tate'a po Owidiusza i Katullusa. Przed kilkoma laty wydał własnym sumptem tomik swoich wierszy - *Pieśni miłosne i szaleństwo*; nie, żeby się łudził, że są dobre. Ale kochał pisać, czy to wierszem wolnym, czy regularnym, i wierzył, że to pomoże mu wyrazić dręczące go poczucie beznadziei i niechęć do stawienia czoła chorobie. Poezja zamiast odwagi, pomyślał. Przez chwilę był rozkojarzony. Zastanawiał się, gdzie położył swoją książkę. Stwierdził, że najlepiej zostawić ją na łóżku, obok zdjęć i pistoletu. Wtedy wszystko będzie jasne dla tego, kto znajdzie jego zwłoki.

Przypomni sobie, e tu przed tym, jak pocignie za spust, musi zadzwoni pod 911 i zgosi, e sysza strzay w swoim domu. Policja przyjedzie po kilku minutach. Pamita, eby zostawi drzwi wejciowe kuszco otwarte. Te rodki ostronoci zapobieg sytuacji, e jego ciao ley nieodnalezione przez wiele tygodni. Nie bdzie rozkadu. Nie bdzie smrodu. Wszystko zaatwione tak schludnie i starannie, jak to moliwe. Tylko rozbryzgom krwi nie da si zapobiec, pomyla. To nic. Policja to profesjonalici, na pewno przywykli do takich widokw. W kocu nie bdzie pierwszym podstarzym profesorem w tej spoecznoci, ktory uzna, e utrata zdolnoci mylenia, rozumowania i rozumienia to wystarczajcy powd, by odebra sobie ycie. Cho tak na gorco nie przypomina sobie adnych kolegw po fachu o skonnociach samobjczych. Dziwne. Na pewno jacy byli.

Przez chwil rozwaa, czy nie napisa wiersza o swoich przygotowaniach: *Ostatnie kroki przed ostatnim krokiem*.

Dobry tytu.

Adrian zakoy si w przd i w ty, jakby liczy, e ten ruch wytrzasnie myli tkwice w mrocznych zakamarkach, do ktorych ju nie dosiga. By moe zostały jeszcze jakie drobiagi do zaatwienia przed samobjstwem - opaci kilka zapomnianych rachunkw, wyaczy ogrzewanie i piecyk gazowy, zamkn gara, wynie mieci. Zapa si na tym, e przebiega w pamici krotk list czynnoci troch jak typowy mieszkaniec przedmiecia przed przystapieniem do sobotnich porannych prac domowych. Tkna go dziwna my, e chyba duo bardziej od wasnej mierci obawia si tego, e narobi baaganu, ktory potem kts bdzie musia sprza.

Sprza baagan po mierci. Wspomnienia usioway si przebi przez mur jego organizacyjnych rozmyla. Sam nieraz musia sprza taki baagan po innych. Odpedzi koaczce si w nim obrazy smutku i skupi si na zadaniu.

Spojrza na zdjecia rozoone na oku i ustawione na pobliskim stoliku. Rodzice, brat, ona i syn: „Niedugo bd z wami”. Rzadko widywana siostra, siostrzenice, przyjaciele i znajomi z pracy: „Do zobaczenia poniej”. Jakby mwi bezporednio do ludzi patrzcych na niego z fotografii. Duo poumiechw i

uśmiechów, zauważył; szczęśliwe chwile na grillach, weselach i wakacjach - wszystkie utrwalone na kliszy.

Rozejrzał się pospiesznie. Inne wspomnienia też wkrótce znikną na zawsze. Tych strasznych momentów, które zdarzały się w jego życiu za często. Pociągnij za spust, a to wszystko przypadnie. Spuścił wzrok i zobaczył, że wciąż mocno ściska w rękę różową czapkę.

Już odkładał ją na bok i sięgał po broń, ale znieruchomiał. To zmyli ludzi, pomyślał. Jakiś glina zacznie dociekać co on, u licha, robi z różową bejsbolówką Red Sox? Jeszcze dopatrzą się w tym tajemniczego morderstwa. Adrian chciał uniknąć wszelkich podejrzeń.

Znów podniósł czapkę do oczu tak, jak ogląda się klejnot pod światło, szukając w nim skaz.

Szorstka bawełna była ciepła w dotyku. Przejechał palcem po charakterystycznym B. Trochę przyblakły róż, brzegi wystrzępione. Dziewczyna musiała często nosić tę czapkę. Czyli z jakiegoś powodu była do niej przywiązana.

A to znaczyło, że nie porzuciłaby jej na poboczu drogi.

Co takiego zobaczył?

Odetchnął głęboko i odtworzył w pamięci wszystkie wrażenia z tego wieczoru. Obracał je w myślach prawie jak trzymaną w dłoniach czapkę: Dziewczyna ze zdeterminowaną miną. Kobieta za kierownicą. Mężczyzna obok. Chwila zawahania, kiedy podjechali do nastolatki. Raptowne przyspieszenie i zniknięcie. Porzucona czapka.

Co tam się wydarzyło?

Ucieczka? A może to tylko interwencja, jaką stosuje się wobec członków sekty albo narkomanów. Świętoszkowate typy zabierają człowieka i prawią mu kazania w tanim pokoju motelowym dotąd, aż biedak zgadza się zmienić swoje nastawienie, wiarę albo porzucić nałóg.

Nie, nie sądził, że właśnie to widział.

Prześledź wszystko jeszcze raz, nakazał sobie. Każdy szczegół, zanim po kolei uleć ci z pamięci.

Tego się obawiał: że wszystko, co pamięta, i wszystko, co wydedukuje, rozproszy się w mgnieniu oka jak poranna mgła, gdy wgrzyzie się w nią słońce. Wstał, podszedł do biurka, odszukał

długopis i mały notes oprawny w skórę. Na tych grubych, eleganckich białych kartkach zwykle robił notatki do swoich wierszy, zapisywał myśli, kombinacje słów albo rymy do późniejszego wykorzystania. Dostał ten notes w prezencie od żony i miał ją przed oczami, kiedy dotykał jego gładkiej powierzchni.

Ponownie odtworzył wszystko w pamięci i tym razem notował detale na czystej kartce:

Dziewczyna... Patrzyła prosto przed siebie i chyba nawet go nie zauważyła, kiedy ją mijał. Była czymś zaabsorbowana. Poznał to po jej spojrzeniu i tempie, w jakim szła. Miała plan - i nic poza nim się nie liczyło.

Kobieta i mężczyzna... Skręcił przed dom, zanim nadjechała biała furgonetka. Na pewno. Czy widzieli go w samochodzie? Nie. Mało prawdopodobne.

Chwila zawahania... Zdawało się, że śledzili dziewczynę, nawet jeśli tylko przez kilka metrów. Na pewno. Zupełnie jakby jej się przyglądali. Co stało się potem? Czy z nią rozmawiali? Zaprosili ją do furgonetki? Może była ich znajomą i zwyczajnie zaproponowali, że ją podwiozą. Nic ponadto.

Nie. O wiele za szybko odjechali.

Co zobaczył, kiedy skręcili za róg? Tablica rejestracyjna z Massachusetts: QE2D...

Próbował sobie przypomnieć pozostałe dwie cyfry, nie dał rady. Zanotował pierwsze cztery znaki. W sumie najlepiej pamiętał ostry odgłos przyspieszającej furgonetki.

A potem została czapka.

Trudno mu było sformułować w wyobraźni słowo „porwanie”, a nawet kiedy to zrobił, stwierdził, że ten wniosek jest po prostu głupi. Takie rzeczy nie zdarzały się w świecie, który znał. Żył w miejscu oddanym nauce, rozumowi, logice, a także - w mniejszym, ale istotnym stopniu - sztuce i pięknu. Należał do świata szkół i wiedzy. Porwanie - to okropne słowo pasowało do jakichś mrocznych zakątków, nieznanych w tej dzielnicy. Próbował sobie przypomnieć wszelkie przestępstwa, do jakich doszło w otaczających go rzędach spokojnych, zadbanych domów na przedmieściach. Z pewnością jakieś się zdarzały: utajona przemoc w rodzinie i wybryki nastolatków, rzeczy w sam raz do

dramatów telewizyjnych. Gdzieś przy tych ulicach musiały się odbywać względnie dyskretne akty niewierności małżeńskiej i szkolne imprezy z narkotykami, gorzałą i seksem. Może niektórzy oszukiwali skarbowkę albo robili lewe interesy - mógł sobie wyobrazić, że do takich wykroczeń dochodzi za fasadą życia klasy średniej. Nie przypominał sobie jednak, by kiedykolwiek usłyszał wystrzał czy choć zobaczył na którejs z okolicznych ulic błyskające światła radiowozu.

Takie rzeczy działy się gdzie indziej. Widziało się je tylko w rozgorączkowanych doniesieniach wieczornych wiadomości z pobliskich miast bądź na czołówkach porannych wydań gazet.

Adrian spojrział w dół na rugera. Spadek po bracie. Nikt nie wiedział, że ma pistolet. Nie zarejestrował go - mgliście uświadamiał sobie, że jego znajomi z uczelni byłiby mocno zszokowani, że trzyma u siebie broń. To była solidna, brzydka spluwa, która nie pozostawiała wątpliwości co do tego, jakim celem służy. Adrian nie był myśliwym ani miłośnikiem broni. Gardził typowo pravicowym poglądem, że trzeba się zbroić przed terrorystami. Jego żona na pewno z biegiem lat zapomniała, że pistolet jest w domu, o ile w ogóle kiedykolwiek wiedziała o jego istnieniu. Nigdy z nią o nim nie rozmawiał, nawet po wypadku, kiedy trzymała się przy życiu, ale spojrzeniem błagała o ulgę.

Gdyby był odważny, oddałby jej tę ostateczną przysługę. Teraz to o własnym losie musiał zdecydować i wiedział, że postąpi jak tchórz, jeśli użyje tej broni w ten sam sposób, w jaki już raz jej użyto. Przez chwilę zastanawiał się, czy kiedy przyłoży lufę do skroni albo weźmie ją do ust i naciśnie cyngiel, będzie to dopiero drugi strzał oddany z tego pistoletu.

Czarna, metaliczna powłoka miała w sobie coś bezdusznego. Adrian zważył broń w rękę. Wydawała się ciężka i zimna jak lód.

Odłożył ją i jeszcze raz spojrział na czapkę. Zdawało się, że w tej chwili przemawia tak głośno jak ruger. Czuł się, jakby znalazł się w samym środku sporu między dwoma przedmiotami, które zażarcie dyskutowały o tym, co powinien zrobić.

Zawahał się, odetchnął głęboko. Odniósł wrażenie, że w pokoju zrobiło się ciszej, jak gdyby myśli o samobójstwie robiły donośny hałas i teraz on nagle ustał.

Mógł się choć pobieżnie zainteresować sprawą, stwierdził. Czapka wręcz „żądała”, żeby zdobył się przynajmniej na tyle.

Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał 911. Co za ironia: oto dzwoni w sprawie kogoś, kogo nie zna, a potem zadzwoni raz jeszcze, we własnej sprawie.

- Centrum Powiadamiania Ratunkowego. Czego dotyczy zgłoszenie? - odezwał się dyspozytor z wyćwiczonym spokojem.

- Właściwie to nic pilnego - powiedział Adrian. Starał się, żeby głos mu nie drżał ani nie brzmiał niepewnie jak u starca, którym nagle się stał po wizycie u neurologa. Chciał sprawiać wrażenie człowieka zdecydowanego i sprawnego umysłowo. - Dzwonię, bo chyba byłem świadkiem zdarzenia, które może zainteresować policję.

- Co to za zdarzenie?

Próbował sobie wyobrazić osobę na drugim końcu linii. Dyspozytor robił pauzy po każdym słowie, by mieć pewność, że został dobrze zrozumiany. Twardy, rzeczowy tembr, jakby te nieliczne słowa, których używał, miały na sobie obcisłe mundury z wysokim kołnierzem.

- Widziałem białą furgonetkę... I nastolatkę, Jennifer, tak jest napisane na daszku czapki, ale nie znam tej dziewczyny, choć na pewno mieszka gdzieś w pobliżu, i w jednej chwili stała tam, a zaraz potem zniknęła...

Adrian chętnie dałby sobie w twarz. Wszelkie jego zamiary, by być rozsądnym i zdecydowanym, błyskawicznie utonęły we wzburzonym morzu nieprzemyślanych i naprędce kleconych wyjaśnień. Ciekawe, czy to choroba tak zaszkoziła jego elokwencji.

- Rozumiem. I pańskim zdaniem co właściwie pan widział?

Coś piknęło w słuchawce. Rozmowa była nagrywana.

- ...Czy ktoś zgłaszał zaginięcie dziecka w dzielnicy Hills? - spytał.

- Dzisiaj nie - odparł dyspozytor.

- Nikt?
- Tak jest. Przez całe popołudnie spokój. Przekażę pańską informację do dochodzeniówki, może zgłoszenie przyjdzie później. Sprawdź to, jeśli zajdzie potrzeba.

- Pewnie coś mi się pomyliło. - Adrian odłożył słuchawkę, zanim dyspozytor zdążył go zapytać o nazwisko i adres.

Nic z tego nie rozumiał.

Wiedział, co zobaczył i że to było coś złego.

Podniósł głowę i wyjrzał przez okno. Zapadł zmrok, wzdłuż całej ulicy zapalały się światła. Pora kolacji, pomyślał. Rodziny zbierają się przy stole. Rozmawiają o tym, co wydarzyło się tego dnia w pracy i w szkole. Wszystko normalnie, żadnych niespodzianek. Nagle wyrzucił z siebie słowa, które rozbrzmiały w małej sypialni jak echo w kanionie.

- Nie wiem, co zrobić.

- Oczywiście, że wiesz, mój drogi - przekonywała jego żona. Była obok niego, w łóżku.

ROZDZIAŁ 4

Zgłoszenie przyszło dopiero tuż po jedenastej wieczorem, kiedy detektyw Terri Collins poważnie się zastanawiała, czy nie pora spać. Dwoje jej dzieci już było w łóżkach - wcześniej sprawdziła, czy odrobiły lekcje, potem czytała im dotąd, aż zasnęły. Przed chwilą zrobiła ostatni meczyny obchód wieczoru - wsadziła głowę przez drzwi, wpuszczając do środka tylko tyle bladego światła z korytarza, by zobaczyć ich twarze i upewnić się, że smacznie śpią. Żadnych koszmarów. Równe oddechy. Żadnego pociągania nosem, które mogłoby zapowiadać przeziębienie. Czasem uczestniczyła w spotkaniach grupy wsparcia i tam poznała kilkoro samotnych rodziców, którzy praktycznie nie mogli się oderwać od swoich uspijonych dzieci. W nocy czuli się bezbronni, jakby wszelkie złe rzeczy, przez które znaleźli się w obecnej sytuacji, po zachodzie słońca miały większą swobodę

działania. Czas na odpoczynek i regenerację zmienił się w porę niepewności, niepokoju i lęków.

Ale tej nocy jest jak należy.

Są bezpieczni.

Wszystko normalnie.

Zostawiła drzwi uchylone na parę centymetrów i poczłapała do łazienki, kiedy w kuchni zadzwonił telefon.

Pobiegła odebrać i zerknęła na zegar na ścianie. O tej porze to oznacza tylko kłopoty, stwierdziła w duchu.

Dzwonił nocny dyspozytor z komendy.

- Pani detektyw, na drugiej linii mam rozpaczającą kobietę. Zdaje się, że kiedyś już się z panią kontaktowała. Wygląda na to, że chodzi o kolejną ucieczkę z domu...

Terri Collins od razu odgadła, z kim dyspozytor chce ją połączyć. Może tym razem Jennifer związała na dobre, pomyślała. Ale to było nieprofesjonalne, a „ucieczka z domu” to tylko bezduszny skrót myślowy, określający zamianę znajomych koszmarów na inne, potencjalnie gorsze.

- Daj mi chwilę - poprosiła. Bez trudu przestawiła się z trybu matki na detektywa policji. Umiejętność dzielenia różnych sfer życia na schludne, uporządkowane sfery była jej mocną stroną. Zbyt wiele lat zbyt wielkiego zamętu wykształciło w niej palącą potrzebę prostoty i zorganizowania.

Zawiesiła połączenie z dyspozytorem i wybrała numer z listy przy telefonie w kuchni. Jedną z zalet tego, przez co przeszła, była nieformalna sieć pomocy. Zawsze mogła na kogoś liczyć. Szczęśliwie kobieta, do której zadzwoniła, to zawołany nocny marek.

- Cześć, Laurie, tu Terri. Przepraszam, że niepokoję o tej porze, ale...

- Wzywają cię i chcesz, żebym popilnowała dzieci?

Terri słyszała autentyczny entuzjizm w głosie przyjaciółki.

- Tak.

- Zaraz przyjadę. Nie na problemu. To dla mnie przyjemność. Długo cię nie będzie?

Terri się uśmiechnęła. Laurie chronicznie cierpiała na bezsenność i skrycie uwielbiała być wzywana w środku nocy, zwłaszcza

do pilnowania dzieci, teraz, kiedy jej własne dorosły i się wy-
prowadziły. Wtedy przynajmniej mogła się czymś zająć, zamiast
ogłądać do rana telewizję albo snuć się po ciemnym domu i roz-
mawiać sama ze sobą o wszystkim, co poszło nie tak w jej życiu.
Terri wiedziała, że to były długie rozmowy.

- Trudno powiedzieć. Co najmniej parę godzin. Ale pewnie
dłużej. Może nawet całą noc.

- Wezmę szczoteczkę do zębów - odparła Laurie.

Terri zawiesiła rozmowę i znów połączyła się z dyspozytorem
policji.

- Przekaż pani Riggins, że zjawię się u niej najpóźniej za pół
godziny, żeby zbadać sprawę. Mundurowi są na miejscu?

- Już ich wysłałem.

- Daj im znać, że niedługo będę. Niech spiszą wstępne ze-
znania, żebyśmy zaczęli ustalać przebieg wydarzeń. I niech spró-
bują uspokoić panią Riggins - dodała, choć nie sądziła, żeby
mogli tego dokonać.

- Zrozumiałem. - Dyspozytor się rozłączył.

Laurie wpadnie za kilka minut. Jak zwykle. Terri odłożyła
słuchawkę. Przyjaciółka lubiła myśleć, że jest nieodłączną czę-
ścią każdego śledztwa, równie ważną jak technik czy specjalista
od daktyloskopii badający miejsce zbrodni. Nieszkodliwe, uży-
teczne wyobrażenia. Terri wróciła do łazienki, ochłapała twarz
wodą i przeczesała włosy szczotką. Mimo późnej pory chciała
wyglądać porządnie, świeżo i wyjątkowo kompetentnie w obli-
czu bezmiaru rozpaczliwej paniki, z którą na pewno wkrótce się
zetknie.

W oknach tylko gdzieniegdzie paliły się światła, kiedy Terri
jechała ciemną ulicą przez dzielnicę Rigginsów. Jedynym do-
mem, przy którym coś się działo, był jej cel; lampa na ganku
świeciła jasno, jakieś postacie chodziły po salonie. Na podjeździe
stał radiowóz, ale przybyli na miejsce policjanci nie włączyli
koguta, więc wyglądał jak jeszcze jeden samochód oczekujący
na poranny exodus z przedmieści do pracy i szkoły.

Terri zatrzymała swój wysłużony, sześćioletni, nieduży wóz.
Zaczekała chwilę i odetchnęła głęboko, zanim zebrała rzeczy

- torbę z dyktafonem i oprawiony notes. Odznakę nosiła przyczepioną do paska torby. Kabura z bronią leżała na siedzeniu obok niej. Przytroczyła ją do paska dzinsów - najpierw upewniła się, że pistolet jest zabezpieczony i że w komorze nie ma naboju. Jeszcze jeden głęboki wdech i wyszła w noc. Ruszyła przez trawnik.

Odwiedzała to miejsce już dwa razy w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy.

Widziała, jak jej oddech zmienia się w parę. Temperatura spadła, ale nie aż tak, by typowy mieszkaniec Nowej Anglii zrobił coś więcej, niż tylko nieco ciaśniej owinął się płaszczem i może postawił kołnierz. Zimno miało w sobie klarowność; nie był to bezwzględny mróz zimy, ale wydawało się, że szyki bojowe w powietrzu wciąż są zwarte, mimo że wiosna przeprowadza już pierwsze nieśmiałe akcje zaczepne.

Terri żałowała, że nie wpadła do biura czteroosobowego wydziału dochodzeniowo-śledczego po akta rodziny Rigginsów, choć nie sądziła, by w raportach znalazł się jakikolwiek szczegół lub zapisek, którego nie zna na pamięć. Miała uporczywe wrażenie, że stało się coś zupełnie innego, niż wszyscy przypuszczali. „Nioletnia zbiegła z domu” - tak to opisze w dokumentacji i pod tym kątem wydział poprowadzi śledztwo. Świetnie wiedziała, jakie działania podejmie, znała wytyczne i procedury odnoszące się do tego rodzaju zaginięć. Domyślała się nawet, jak ta sprawa się zakończy. Tak naprawdę jednak chodziło tu o coś innego. Upór Jennifer musiał mieć jakieś podłoże; jeśli nastolatka tak zawzięcie podejmuje kolejne próby ucieczki, zapewne w tle czai się dużo gorsze przestępstwo. Terri nie sądziła, że je kiedykolwiek wykryje, bez względu na to, ile razy przesłucha panią Riggins i jej faceta i jak ciężko będzie pracowała nad tą sprawą.

Źle się czuła z myślą, że musi uczestniczyć w kłamstwie.

Na werandzie zawahała się, zanim zapukała do drzwi. Oczami wyobraźni zobaczyła dwójkę swoich dzieci - śpią nieświadome, że mamy nie ma w jej małej sypialni w głębi korytarza, gdzie zawsze spała lekkim snem, z otwartymi drzwiami, żeby w razie czego usłyszeć każdy podejrzany odgłos. Są jeszcze małe,

pomyślała. Wszelkie troski i zmartwienia, jakich jej przysporzą - co nieuniknione - to na razie odległa przeszłość.

Jennifer zaszła już dalej na tej drodze.

Na tej i wielu innych. To tłumaczyło sytuację w tym domu.

Terri jeszcze raz zaczerpnęła zimnego nocnego powietrza, jakby brała ostatni łyk wody ze szklanki. Zapukała, pchnęła drzwi i szybko weszła do niedużego przedsiionka. Wiedziała, że przy schodach na piętro wisi oprawione zdjęcie dziewięcioletniej Jennifer: różowa wstążka w starannie uczesanych włosach, między przednimi zębami uroczą szpara. To zdjęcie z tych, które uwielbiają rodzice i nienawidzą nastolatki, ponieważ jednym i drugim przypominają te same czasy oglądane z różnych perspektyw i zniekształcone odmiennymi wspomnieniami.

Po lewej, w salonie, zobaczyła Mary Riggins i Scotta Westa - jej faceta. Siedzieli na krawędzi sofy. Scott luźno obejmował Mary ramieniem i mocno ścisnął jej dłoń. W popielniczce na stoliku tliły się papierosy. Błat zastawiony był napojami w puszkach i opróżnionymi do połowy kubkami kawy. Z boku, wyraźnie skrzepowani, stali dwaj mundurowi. Jeden to sierżant z nocnej zmiany, drugi - dwudziestodwuletni żółtodziób, służył dopiero od miesiąca. Najwyraźniej sierżant nadal wprowadzał młodego w tajniki zawodu. Kiwnęła im głową i zauważyła, że sierżant dyskretnie przewrócił oczami, kiedy Mary Riggins zawyła:

- Znowu to zrobiła, pani detektyw...

Słowa przeszły w kaskadę łez.

Terri odwróciła się do pani Riggins.

Mary od płaczu rozmazał się makijaż, czarne linie przecinały policzki i teraz jej twarz przypominała maskę na Halloween. Oczy miała napuchnięte od łez, przez co wyglądała na dużo starszą, niż była. Łzy to kłopot dla kobiet w średnim wieku - błyskawicznie wydobywają na wierzch skrzętnie ukrywane lata.

Zamiast kontynuować wyjaśnienia, Mary wtuliła twarz w ramię Scotta. Był trochę starszy od niej, siwowłoso. Wyglądał dystygowanie nawet w dżinsach i wypłowiałej czerwonej

koszuli roboczej w kratę. Pracował jako newage'owski terapeuta. Specjalizował się w holistycznym leczeniu niezliczonych schorzeń psychicznych i prowadził praktykę popularną wśród społeczności akademickiej, zawsze otwartej na nowe metody terapii - tak jak niektórzy na coraz to inne diety. Jeździł jaskrawoczerwoną sportową mazdą typu kabriolet i zimą często śmigał po dolinie ze złożonym dachem, zakutany w parkę i futrzaną czapkę uszatkę, co wydawało się czymś więcej niż tylko dziwactwem i miało posmak buntu. Policja w mieście doskonale znała Scotta Westa i jego dokonania; on i jego mazda zatrważająco regularnie zbierali mandaty za przekroczenie prędkości, poza tym nieraz trzeba było dyskretnie uprzętać skutki jego ekscentrycznych metod terapii. Kilka samobójstw. Konfrontacja z uzbrojonym w nóż paranoidalnym schizofrenikiem, który za radą Westa przestał brać lek przepisany przez lekarza i zamienił go na dziurawiec z lokalnego sklepu ze zdrową żywnością.

Tych papierosów, napojów w puszkach i kubków kawy nie powinno tu być, pomyślała Terri. Scott wyznawał zasady szkoły joga-pilates, a według niej dietetyczna cola i kawa ze Starbucksa to symbole odejścia od wielkich, głębokich, łagodnych sił natury. Zdaniem Terri jego poglądy miały więcej wspólnego z astrologią niż z psychologią.

Gdyby mogła, wyśmiałaby go i powiedziała coś o uzależniającym działaniu hipokryzji. Jednak już na początku służby w policji przekonała się, że ludzie chwytają się niezliczonych sprzeczności i wytykanie im tego rzadko coś daje. Chciała wierzyć, że sama jest chłodnooką pragmatyczką, w myśleniu logiczna i uporządkowana, a w sposobie bycia bezpośrednia. Jeśli przez to czasem wydawała się nieprzyjazna, cóż, trudno. Dość już miała w życiu namiętności, ekscentryzmu i szaleństwa. Wolała porządek i metodyczne działanie, bo, jak sądziła, to zapewnia jej bezpieczeństwo.

Scott wychylił się do przodu. Mówił wyćwiczonym głosem terapeuty - głębokim, spokojnym, rozsądnym. To miało sprawić, żeby widziała w nim sprzymierzeńca, choć Terri wiedziała, że jest dokładnie odwrotnie.

- Mary bardzo to przeżywa, pani detektyw. Mimo wszystkich naszych, praktycznie nieustających wysiłków... - tu urwał.

Terri przytaknęła. Odwróciła się do dwóch mundurowych. Sierżant podał jej kartkę w linie - mogła być z segregatora jakiegokolwiek ucznia liceum. Staranne pismo kogoś, kto chce mieć pewność, że każde słowo będzie wyraźne i czytelne. To nie wyglądało na pospieszne bazgrały nastolatki, która chce czym prędzej wyrwać się z domu, żeby robić to, co zapowiada w wiadomości zostawionej rodzicom. Nad tym listem pracowano. Może nawet to była trzecia-czwarta pieczołowicie wyczyszczona wersja. Terri sądziła, że gdyby dokładnie poszukała, znalazłaby brudnopisy w koszu na śmieci albo w pojemnikach za domem. Przeczytała list trzy razy, zanim cokolwiek powiedziała.

Mamo,

idę z koleżankami do kina, umówiliśmy się w Mall. Zjem tam jakąś kolację i może przenocuję u Sarah albo Katie. Po filmie zadzwonię albo po prostu od razu przyjadę do domu. Nie wrócę za późno. Odrobiłam lekcje i do końca tygodnia nie mam nic zadane.

Bardzo rzeczowe. Bardzo zwięzłe. Całkowite kłamstwo.

- Gdzie to zostawiła?

- Przyczepiła magnesem do lodówki - powiedział sierżant. - Nie dałoby się tego nie zauważyć.

Terri przeczytała tekst jeszcze dwa razy. Uczysz się, co, Jennifer? Dokładnie wiedziałaś, co napisać.

Do kina - to sygnał dla matki, że Jennifer będzie miała wyłączoną komórkę; w ten sposób zyskiwała co najmniej dwie godziny, nikt nie mógł się niepokoić, że nie odbiera telefonu.

Z koleżankami - nieprecyzyjne, ale niebudzące podejrzeń. Dwa podane imiona, Sarah i Katie, to albo koleżanki gotowe ją kryć, albo takie, które same były nieosiągalne.

Zadzwonię - żeby matka i Scott siedzieli, czekali na telefon od niej i tracili cenne minuty.

Nic zadane - Jennifer odbierała matce główny pretekst, by do niej zadzwonić.

Dziewczyna sprytnie to rozegrała; zyskała na czasie, wskazała matce kilka fałszywych tropów i ukryła swój prawdziwy zamiar. Terri podniosła wzrok na panią Riggins.

- Dzwoniła pani do jej koleżanek? - spytała.

Odpowiedział Scott.

- Oczywiście, pani detektyw. Po ostatnim seansie obdzwo-
niliśmy wszystkie Sarah i Katie, jakie znamy, choć nie przypo-
minamy sobie, żeby Jennifer kiedykolwiek mówiła o takich ko-
leżankach. Potem skontaktowaliśmy się z każdym, o kim nam
wspominała. Nikt nie był w centrum handlowym, nikt nie umó-
wił się z Jennifer. Ostatnio widzieli ją zaraz po lekcjach.

Terri skinęła głową. Mądra dziewczyna.

- Jennifer nie ma zbyt wielu przyjaciółek - powiedziała Ma-
ry z żalem. - Nigdy łatwo nie zawierała znajomości, ani w gim-
nazjum, ani w liceum.

Terri domyśliła się, że kobieta powtarza słowa Scotta wypo-
wiadane podczas wielu „rodzinnych” rozmów.

- Ale może być z kimś, kogo państwo nie znacie?

Matka i jej facet pokręcili głowami.

- Nie sądzicie, że może mieć chłopaka?

- Nie - stwierdził Scott. - Zauważyłbym coś.

Jasne, skomentowała w duchu Terri, ale się nie odezwała, tyl-
ko zrobiła jakąś notatkę.

Mary zebrała się w sobie, żeby coś powiedzieć i nie zalać się
przy tym łzami. Jednak głos jej drżał - każde słowo wydawało się
kruche, co idealnie oddawało trawiący ją strach.

- Kiedy w końcu poszłam do jej pokoju, bo, wie pani, może
jest tam jeszcze jeden list albo w ogóle cokolwiek, zobaczyłam,
że zniknął jej miś. Taki pluszowy, nazywała go Panem Futrza-
kiem. Śpi z nim co noc... Ojciec dał go jej niedługo przed śmier-
cią i nigdy, przenigdy nie odeszłaby bez niego...

To zbyt sentymentalne, pomyślała Terri. Jennifer, zabierając
tego misia, popełniłaś błąd. Może jeden jedyne, ale zawsze.
Gdyby nie to, miałabyś dwadzieścia cztery godziny, nie tylko te
sześć, które udało ci się zyskać.

- Czy w ostatnich dniach wydarzyło się coś szczególnego,
co mogłoby skłonić Jennifer do ucieczki? Jakaś ostra kłótnia...
coś się stało w szkole...?

Mary tylko zaszlochała.

- Nie, pani detektyw - odparł pospiesznie Scott West. - Jeśli szuka pani jakiegoś bodźca zewnętrznego ze strony mojej lub Mary, który sprowokowałby Jennifer do takiego zachowania, zapewniam panią, że taki nie istnieje. Żadnych kłótni. Żadnych żądań. Żadnych humorów nastolatki. Nie dostała szlabanu. Nie została ukarana. Prawdę mówiąc, przez ostatnich kilka tygodni panował tu błogi spokój. Myślałem... jej matka też... że najgorsze już minęło i teraz pójdzie z górki.

To dlatego, że przygotowywała plany, wywnioskowała Terri.

Sądziła, że w kaskadzie pretensjonalnych samousprawiedliwień Scotta było co najmniej jedno kłamstwo, może nawet więcej. Wcześniej czy później je wykryje. Czy poznanie prawdy pomoże jej odnaleźć Jennifer, to już zupełnie inna sprawa.

- Jest bardzo trudną nastolatką, pani detektyw. Niezwykle wrażliwą i bystrą, ale przy tym mocno niezrównoważoną i zagubioną. Namawiałem ją na terapię, ale jak dotąd... no, sama pani wie, jak uparta potrafi być młodzież.

Terri wiedziała. Nie była tylko pewna, czy to upór jest głównym problemem.

- Nie domyślcie się państwo, dokąd mogła pojechać? Do krewnych? Do koleżanki, która przeprowadziła się do innego miasta? Wspominała kiedyś, że chciałaby zostać modelką w Miami, aktorką w Los Angeles albo pływać na kutrze w Luizjanie? Wszystko, nawet najbardziej błahe i luźne uwagi, może naprowadzić nas na właściwy trop.

Terri wiedziała też, co usłyszy w odpowiedzi. Te same pytania zadawała po obu poprzednich ucieczkach Jennifer. Jednak przy żadnej z tych okazji dziewczyna nie zapewniła sobie takiej przewagi na starcie jak teraz. Dlatego wtedy nie uciekła daleko; za pierwszym razem parę kilometrów, za drugim do najbliższego miasta. Dziś było inaczej.

- Nie, nie... - Mary Riggins załamała ręce, potem sięgnęła po następnego papierosa.

Scott spróbował ją powstrzymać, ale strząsnęła jego rękę, chwyciła paczkę marlboro i wyzywająco zapaliła, choć już jeden papieros tlił się w popielniczce, wypalony tylko do połowy.

- Nie, pani detektyw. Mary i ja zastanawialiśmy się, czy jest ktoś taki albo takie miejsce, ale nie wymyśliliśmy nic, co mogłoby pomóc.

Terri skinęła głową w zamyśleniu.

- Potrzebne mi aktualne zdjęcie - powiedziała.

- Proszę. - Scott podał jej coś, co najwyraźniej przygotował wcześniej.

Fotografia. Terri wzięła ją do ręki. Uśmiechnięta nastolatka. Co za kłamstwo.

- Chciałabym też obejrzeć jej komputer.

- Po co pani...? - zaczął Scott, ale Mary Riggins weszła mu w słowo.

- Jest na jej biurku. To laptop...

- Nie wiem, czy to nie naruszenie prywatności - sprzeciwił się Scott. - To znaczy, Mary, jak wyjaśnimy Jennifer, że pozwoliliśmy policji zabrać jej osobisty... - urwał.

Przynajmniej zdaje sobie sprawę, jakiego durnia z siebie robi. Choć może akurat nie ośmieszenia się najbardziej obawia, rozważała Terri.

Wtedy nagle zadała pytanie, którego pewnie nie powinna zadać.

- Gdzie pochowano jej ojca?

Chwila ciszy. Ustał nawet niemal nieprzerwany szloch Mary.

Kobieta zebrała się w sobie i usiadła prosto, jakby to, co chciała powiedzieć, wymagało zastrzyku siły albo dumy między łopatki, prosto w kręgosłup.

- Na North Shore, pod Gloucester... Ale jakie to ma znaczenie?

- Prawdopodobnie żadnego - odparła Terri. W głębi ducha jednak dodała: „właśnie tam poszłabym, gdybym była zbuntowaną nastolatką w depresji i chciałabym uciec z domu”. Czy nie pragnęłaby ostatni raz odwiedzić jedyne go człowieka, który w jej mniemaniu naprawdę ją kochał, i się z nim pożegnać?

Lekko pokręciła głową, na tyle dyskretnie, żeby nikt w pokoju tego nie zauważył.

Cmentarz albo Nowy Jork, bo tam najłatwiej zniknąć z oczu.

Prawdę mówiąc, zastanawiała się, czy aby oba te miejsca nie są równie dobre, żeby zniknąć.

ROZDZIAŁ 5

W biurze w Amsterdamie...

W sypialni w Bangkoku...

W gabinecie w Tokio...

W kafejce internetowej w Santiago...

Na laptopie w bibliotece uniwersytetu w Nairobi...

...I przesyłane do szerokoekranowego telewizora zamontowanego na ścianie luksusowego apartamentu na poddaszu w Moskwie. Pokój wypełniali uczestnicy przyjęcia, którzy sączyli zmrożoną wódkę z kryształowych kieliszków i jedli - jakżeby inaczej - kawior. Przyciszyli łomot muzyki techno i utkwili wzrok w ekranie. Dźwięk był wyłączony, leciała retransmisja meczu Dynamo Kijów z Lokomotiwem Moskwa. Mężczyzna z imponującym wąsem à la Fu Manchu uniósł dłoń, nakazując zebranym milczenie. To jego impreza, jego apartament z widokiem na Park Gorkiego. Miał na sobie drogi czarny garnitur, rozchełstaną fioletową jedwabną koszulę, złotą biżuterię i obowiązkowego rolexa na nadgarstku. We współczesnym świecie, gdzie gangsterzy często wyglądem nie różnią się od biznesmenów i vice versa, mógł być jednym i drugim. Stojąca obok niego smukła, co najmniej dwadzieścia lat młodsza kobieta z fryzurą i nogami modelki, ubrana w luźną, wysadzaną cekinami suknię wieczorową, która nie skrywała jej chłopięcej sylwetki, powiedziała najpierw po rosyjsku, potem po francusku i na koniec po niemiecku: „Dostaliśmy wiadomość, że dzisiejszego wieczoru rozpoczyna się nowa seria naszego ulubionego serialu internetowego. Powinno to wielu z państwa zainteresować...” I zamilkła. Nie udzieliła żadnych dodatkowych wyjaśnień. Wszyscy stłoczyli się wokół telewizora, opadli na wygodne kanapy i przysiedli na krzesłach. To wskazywało, że wielu wie, co jest im oferowane. Mało tego, podniecenie

w ich oczach kazało przypuszczać, że głównym punktem programu było właśnie wspólne oglądanie obrazów przesyłanych z komputera do apartamentu na poddaszu.

Na ekranie pojawiła się duża strzałka z napisem „Play”. Gospodarz najechał na nią kursorem i kliknął. Rozbrzmiała muzyka: Oda do radości Beethovena, grana na syntezatorze. Po chwili ukazało się duże zdjęcie młodego Malcolma McDowella z nożem w ręku, w roli Alexa, bohatera Mechanicznej pomarańczy w reżyserii Stanleya Kubricka. Fotografia zajmowała prawie cały ekran. McDowell ubrany był w biały jednoczęściowy kombinezon, miał podmalowane oczy, buty nabite ćwiekami i czarny melonik - współpraca aktora z reżyserem spopularyzowała ten styl na początku lat siedemdziesiątych.

Obraz powitały pojedyncze oklaski starszych uczestników przyjęcia - oni pamiętali książkę, kreację McDowella i film.

Zdjęcie młodego Alexa zniknęło i został sam czarny ekran, który, zdawało się, niecierpliwie pulsuje. Po kilku sekundach rozbłyły krzykliwe, czerwone, wypisane kursywą litery. Przecięły kadr jak nóż i wryły w nim słowa: „Co będzie potem?”

Po chwili na ich miejscu ukazał się tytuł *Seria numer 4.*

I na ekranie pojawiło się nijakie piwniczne pomieszczenie. Obraz był dziwnie ziarnisty, prawie jednowymiarowy, mimo że rejestrowała go nowoczesna droga kamera o wysokiej rozdzielczości. Szara, nędzna piwnica. Żadnych okien. Niczego, co by wskazywało, gdzie konkretnie rozgrywa się ta scena. Całkowicie anonimowe miejsce. Widzowie skupieni przed telewizorem na początku widzieli tylko stare metalowe łóżko. Leżała na nim młoda kobieta, rozebrana do bielizny, z czarnym kapturem naciągniętym na twarz. Ręce i nogi miała skute kajdankami i przymocowane do obręczy przytwierdzonych do ścian jak w średnio-wiecznym lochu. Nie ruszała się, tylko ciężko oddychała. Dzięki temu widzowie przynajmniej na razie mogli być pewni, że żyje. Może była nieprzytomna albo odurzona, może spała; po mniej więcej minucie drgnęła, brzęknął krępujący ją łańcuch.

Jeden z uczestników przyjęcia wydał zduszony okrzyk. Ktoś zapytał po francusku: Est-ce que c'est vrai? Nikt jednak nie

odpowiedział, chyba żeby za odpowiedź uznać milczenie i to, jak wszyscy wychylili się do przodu, żeby lepiej widzieć, co się dzieje.

Ktoś inny rzucił po angielsku: „To udawane. Dziewczyna musi być aktorką, zatrudnili ją specjalnie do tego webcastu...”

Kobieta z cekinami spojrzała na niego i pokręciła głową. Odpowiedziała z lekko słowiańskim akcentem, ale nienaganną angielszczyzną: „Wielu tak sądziło na początku poprzedniej serii. Z czasem jednak wszyscy się przekonują, że żaden aktor nie przyjąłby takiej roli”.

Spojrzała na ekran. Zakapturzona postać zadrżała i gwałtownie odwróciła twarz, jakby poza kadrem ktoś wszedł do pokoju. Łańcuchy się naprężyły.

Potem, niemal tak raptownie jak się pojawił, obraz zamarł, niczym zdjęcie ptaka uchwyconego w locie, i zniknął. Znowu pojawiły się krwistoczerwone litery, tym razem ułożyły się w pytanie: „Chcesz zobaczyć więcej?”

Dalej prośba o podanie szczegółów karty kredytowej i lista wariantów prenumeraty. Można było zapłacić za określoną liczbę minut, do godziny, albo za kilkogodzinny blok. Wykupić cały dzień albo i więcej. I jeszcze też wysoka opłata za, jak podawał opis: Seria numer 4: Pełny dostęp z interaktywnym menu. Na samym dole znajdował się duży elektroniczny zegar, także jaskrawoczerwony, ustawiony na 0.00. Obok widniał napis: „Dzień pierwszy”. Na oczach uczestników przyjęcia zegar przeskoczył jedną sekundę naprzód, potem drugą... Trochę przypominał elektroniczne urządzenie do mierzenia czasu trwania meczu tenisowego na Wimbledonie albo US Open.

A później podano komunikat: Przewidywana długość Serii numer 4 - tydzień do miesiąca.

Któryś z gości zawołał po rosyjsku: „Dawaj, Dimitrij! Wykup pełny pakiet... od początku do końca! Stać cię!” Tym słowom towarzyszyły nerwowe śmiechy, owacje i okrzyki zachęty. Wąsaty facet najpierw odwrócił się do zebranych z szeroko rozłożonymi rękami, jakby pytał o radę, po czym uśmiechnął się szeroko, pochylił głowę w lekkim, teatralnym ukłonie i wprowadził numer

karty kredytowej. Na ekranie pojawiło się żądanie hasła. Mężczyzna skinął głową kobiecie z cekinami i wskazał na klawiaturę komputera. Piękna z uśmiechem wcisnęła kilka klawiszy. Można było sobie wyobrazić, że wpisała pieszczotliwy przydomek swojego kochanka. Gospodarz uśmiechnął się i dał znak stojącemu w głębi kelnerowi w białej marynarce, by napełnił kieliszki, a majętni goście czekali zafascynowani na ostateczne elektroniczne zatwierdzenie transakcji.

Podobnie jak inni widzowie, rozrzuconi po całym świecie.

Nie istniał typowy użytkownik strony cobedziepotem.com, choć procentowo pewnie było dużo mniej kobiet niż mężczyzn, a publiczny pokaz na przyjęciu w Moskwie stanowił wyjątek, nie regułę; większość klientów logowała się na osobności, by w ciszy i spokoju śledzić rozwój wypadków w *Serii numer 4*. System logowania opierał się na identyfikacji użytkownika poprzez osobiste hasła, podwójnie i potrójnie zabezpieczone. Wprowadzenie ich uruchamiało błyskawiczny przesył danych do rozmaitych serwerów w Europie Wschodniej i Indiach. To rozwiązanie - wykorzystujące najnowsze zdobycze elektroniki - oparło się niejednej próbie infiltracji przez policję. Ponieważ jednak witryna nie miała charakteru politycznego - czyli nie korzystały z niej organizacje terrorystyczne - i otwarcie nie rozpowszechniała dziecięcej pornografii, te nieśmiałe i rzadkie naloty były niegroźne. Mało tego, zainteresowanie policji nadawało jej pewien prestiż, uwiarygodniało ją w oczach internetowej społeczności.

Cobedziepotem.com wyszukiwała określonego typu klienta. Lista użytkowników składała się z ludzi gotowych zapłacić duże pieniądze za to, żeby śledzić przekaz łączący seks i dramaturgię w sposób niekoniecznie zgodny z prawem. Swoje usługi reklamowała w chat roomach i za pośrednictwem superszybkiej internetowej poczty pantoflowej.

Jej założyciele nie uważali się za przestępców, choć popełnili wiele przestępstw. Nie postrzegali siebie jako zabójców, choć zabijali. Tego, co robią, nigdy nie nazwaliby perwersją, choć wielu tak właśnie by to określiło. We własnym mniemaniu są

nowoczesnymi przedsiębiorcami i po prostu świadczą specjalistyczną, bardzo rzadką usługę, która cieszy się wielkim popytem i budzi ogromne zainteresowanie w mrocznych zakamarkach świata i człowieka.

Michael i Linda poznali się pięć lat wcześniej na tajnej orgii w domu na przedmieściach Chicago. On - dość nieśmiały, cichy doktorant na informatyce; ona - menedżer niższego szczebla w agencji reklamowej. Dorabiała jako call-girl, żeby związać koniec z końcem. Ona miała niekonwencjonalne upodobania; jego fascynowały rzeczy, których nigdy nie ośmielił się spróbować. Ona miała słabość do bmw i środków pobudzających, otarła się nawet o uzależnienie; on jako nastolatek został aresztowany za kradzież małego jazgotliwego psa sąsiada. Zwierzę ugryzło go w kostkę pewnego ranka, kiedy szedł do szkoły. Policja podejrzewała, że Michael sprzedał psa - rasy bichon frise - wieśniakowi z Illinois, który dostarczał przynętę organizatorom walk pitbullów. Za dwadzieścia pięć dolarów gotówką. Zarzuty przeciwko Michaelowi zostały oddalone, bo tajny informator - ten co podał policji nazwisko chłopaka - okazał się zamieszany w przestępstwa poważniejsze od uprowadzenia psa. Kiedy nastoletni Michael wychodził z sądu jako wolny człowiek, z wyczyszczoną kartoteką, niejedyn policjant pomyślał, że koleś wcześniej czy później tam wróci. Jak dotąd, się mylili.

Oboje wywodzili się z podejrzanych środowisk i mieli za sobą brutalną, burzliwą przeszłość, skutecznie skrywaną za fasadą, jaką prezentowali światu. Wzorowy student, przewodniczący grupy i ambitna bizneswoman. Wyrafinowani, świetnie wykształceni intelektualiści. Z pozoru dwoje ludzi, którzy wysoko zaszli mimo niskiego pochodzenia. Tak jednak postrzegali ich inni, oni natomiast niezależnie od siebie czuli, że to kłamstwo, ponieważ ich prawdziwe ja skrywało się w miejscach niedostępnych dla nikogo prócz nich samych. Ale tego dowiedzieli się o sobie dużo później. Noc, kiedy się poznali, poświęcona była innego rodzaju edukacji.

Na imprezie obowiązywały proste reguły: przyjść z osobą płci przeciwnej; używać tylko imion; nie wymieniać się telefonami

ani adresami mejlowymi; w razie przypadkowego spotkania któregoś z uczestników w innych okolicznościach zachowywać się, jakby ten człowiek nie był kimś, z kim publicznie uprawiało się zwierzęcy, pornograficzny seks, tylko zupełnie obcą osobą.

Wszyscy przystali na te warunki. Choć tak naprawdę przestrzegano tylko pierwszego. Ten musiał zostać spełniony, inaczej człowieka nie wpuszczano do środka. To było miejsce schadzek, gdzie zapominano o lojalności i umiarze. Nikt, kto wchodził do schludnego, dwupoziomowego domu na przedmieściach, nie przykładał szczególnej wagi do zasad.

Nie brakowało sprzeczności. Na trawniku przed domem leżały dwa dziecięce rowery. Jedną z półek zajmowały książki doktora Seussa. W kącie kuchni były opakowania cheerios i frosted flakes - wciśnięte tam, żeby zrobić na blacie miejsce na lustro z kreskami kokainy dla gości. Telewizor w pokoju rodzinnym pokazywał mocne porno, choć tylko nieliczni spośród trzydziestu kilku gości zwracali większą uwagę na sfilmowane wersje tego, co sami w tym czasie robili. Szybko pozbywano się ubrań. Alkohol lał się strumieniami. Tabletki ecstasy rozdawało się jak zakąski. Najstarsi uczestnicy imprezy byli po pięćdziesiątce. Większość to trzydziesto- i czterdziestolatkowie, dlatego kiedy weszła Linda i zaczęła wyskakiwać z ciuchów, niejeden spojrzął na nią z zachwytem i natychmiast postanowił lepiej ją poznać.

Tak jak im przykazano, Michael i Linda przyszli z osobami towarzyszącymi. Za to wyszli już razem. Michael przyprowadził koleżankę ze studiów, doktorantkę na socjologii. Rzekomo chciała przeprowadzić badania w terenie, ale związała w popłochu, kiedy trzej nadzy i dostrzegalnie podnieceni faceci zagnali ją w kącie, gdzie - zupełnie niezainteresowani jej naiwnymi pytaniami o to, dlaczego tam są, i głusi na jej słabe protesty - zaczęli się do niej dobierać. Na imprezie obowiązywała też niepisana zasada, że nikogo nie wolno do niczego zmuszać. Sęk w tym, że interpretowano ją na wiele sposobów.

Partnerem Lindy był mężczyzna, który zamówił ją w agencji towarzyskiej. Postawił jej drogą kolację, a potem poinformował,

gdzie zamierza spędzić resztę wieczoru. Obiecał zapłacić więcej niż zwykłą stawkę, wynoszącą półtora tysiąca dolarów. Zgodziła się, pod warunkiem że pieniądze dostanie gotówką z góry. Przemilczała fakt, że i tak poszłaby z nim za darmo. Ciekawość była dla niej jak gra wstępna. Na imprezie „towarzysz” szybko zniknął w bocznym pokoju, ze skórzanym pejczem i tylko w obcisłej czarnej jedwabnej masce na twarzy. Zostawił Lindę samą, ale nie narzekała na brak zainteresowania.

Ich spotkanie - jak wszystkie tego wieczoru - było przypadkowe. Po prostu nawiązane na odległość porozumienie dusz, wyczuwalne w spojrzeniu, leniwym wygięciu ciał w łuk, jedwabnym tonie głosu. Jedno słowo, lekkie skłonienie głowy, wrzucenie ramion - drobny, nasycony uczuciem gest w ciemnym pokoju oddanym rozpasaniu i orgazmowi, pełnym nagich mężczyzn i kobiet spółkujących we wszystkich wyobraźalnych pozycjach i stylach - oto, co zbliżyło ich do siebie. Każde z nich było z kimś innym, kiedy ich oczy się spotkały. Ani jemu, ani jej to, co robili, nie sprawiało szczególnej przyjemności. W pomieszczeniu, gdzie rozgrywały się sceny, o jakich większości ludzi zapewne się nie śniło, oboje trochę się nudzili. Kiedy jednak zobaczyli siebie nawzajem, w ich duszach zagrało coś głębokiego, może nawet przerażającego. Tej nocy nie uprawiali ze sobą seksu. Poprzestali na tym, że obserwowali się nawzajem w akcji. I pośród jęków i okrzyków rozkoszy dostrzegli w sobie jakąś tajemniczą determinację. W tym siedlisku nagiej żądzы połączyła ich więź, która omal nie eksplodowała. Nie odrywali od siebie oczu, nawet kiedy obcy ludzie obmacywali ich ciała. Wreszcie Michael przedarł się do niej przez kłęb spoconych postaci i aż się zdziwił swoją agresywnością. Zwykle trzymał się na uboczu, jękał się, kiedy musiał coś powiedzieć czy się przedstawić, ale przy tym pozwalał, by pragnienia hulały w nim do woli. Lindę właśnie obślinał jakiś facet, którego imienia nie znała. Kątem oka zobaczyła nadchodzącego Michaela. Intuicyjnie wiedziała, że nie przyszedł po to, by spenetrować jakiś jej otwór, i to przemówiło do jej wzburzonych uczuć. Bezceremonialnie uwolniła się od partnera. Jego nieudolne zabiegi i tak ją znudziły. Był

zaskoczony, niespełniony i trochę zły, ale uciszyła jego żarliwe protesty jednym ostrym spojrzeniem. Podniosła się naga i wzięła nagiego Michaela za rękę, jakby znali się od lat. Praktycznie bez słowa opuścili imprezę. Przez jedną chwilę - kiedy trzymając się za ręce, ruszyli na poszukiwania swoich ubrań - wyglądali jak Adam i Ewa z renesansowego płótna przedstawiającego wygnanie z Raju.

Przez wszystkie następne wspólnie spędzone lata nie wracali myślą do tego pierwszego spotkania. Bardzo szybko odkryli w sobie namiętności, które wykraczały daleko poza seks, mroczne, ale za to elektryzujące.

Smród benzyny wdzierał się w jego nozdrza.

Michael ornał się nie zakrztusił. Odwrócił głowę, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, ale w ciasnej, zamkniętej przestrzeni zostało go już niewiele. Od zapachu na chwilę zakręciło mu się w głowie i raz-dwa razy zakaszłał, ale nie przestawał chłustać wokół płynem. Kiedy benzyna na połałdowanej podłodze rozbłysła wszystkimi kolorami tęczy, wysunął się na zewnątrz. Rozpaczliwie łapał powietrze i chłonał ciemność.

Jak tylko przejaśniło mu się w głowie, wrócił do pracy. Wylał jeszcze trochę benzyny na karoserię, przeszedł na przód furgonetki, upewnił się, że przednie siedzenia są całe mokre.

Usatysfakcjonowany rzucił na fotel pasażera czerwony kaniister i rękawiczki chirurgiczne. Wziął wcześniej przygotowaną plastikową butlę z detergentem i benzyną nasączył sterzcący z niej bawełniany lont, tak że powstała mała bomba napalmowa. Sięgnął do kieszeni po zapalniczkę.

Skorzystał z okazji, żeby się rozejrzeć. Był na zupełnym odludziu, za starą, zabita dechami papiernią. Kiedyś dawała utrzymanie licznym mieszkańcom małego miasta nad strumieniem. Dziś stała ponuro jako pamiątka dawno minionych czasów i utraconych miejsc pracy, z popękkanymi i powybijanymi szybami - dzieciaki przez lata rzucały w nie kamieniami. Przezornie zaparkował wóz z dala od budynku; nie chciał, żeby za szybko zauważono pożar. Chodziło mu tylko o to, żeby doszczętnie

zniszczyć ukradzioną furgonetkę. Miał w tym pewną wprawę. To wcale nie było takie trudne.

Jeszcze raz sprawdził, czy o niczym nie zapomniał. W zaledwie kilka sekund odkręcił tablice rejestracyjne. Miały wylądować w pobliskim stawie. Potem rozebrał się do naga. Ubranie zwinął, nasączył je łatwopalną substancją i wrzucił do furgonetki. Zadrzał z zimna. Podpalił domowej roboty bombę i cisnął nią w otwarte drzwi samochodu. Odwrócił się szybko i zerwał do biegu; zwir i ubita ziemia chrzęściły mu pod nogami - miał nadzieję, że nie nadeptnie na kawałek szkła i nie rozetnie sobie stopy. Za plecami usłyszał eksplozję prymitywnego ładunku. Zwolnił i rzucił okiem przez ramię, żeby upewnić się, że skradziona furgonetka płonie. Żółtoczerwone języki ognia strzelały z okien, pierwsze skłębione chmury szaroczarnego dymu wlatywały w niebo. Uspokojony przyspieszył kroku. Chciało mu się śmiać - chętnie posłuchałby, jak jakiś zszokowany przechodzień opowiada sceptycznemu policjantowi, że widział, jak nagi facet ucieka w ciemności od wybuchającej furgonetki.

Wciąż jeszcze czuł niesioną lekkim podmuchem nocnego wiatru woń ognia, z nutą odurzającego fetoru substancji zapalających. Kto to powiedział w tym filmie? - nagle zapytał sam siebie. A tak. Major Kilgore: „Uwielbiam zapach napalmu o poranku”... Cóż, pomyślał, wieczorem jest równie ponętny i oznacza to samo: zwycięstwo.

Jego ubrania czekały na fotelu kierowcy w starym, zdezelowanym pikapie. Kluczyki były pod siedzeniem, tam gdzie je zostawił. Na wierzchu leżało małe opakowanie chusteczek odkażających - wołał takie, których używają starzy ludzie z hemoroidami. Choć nieperfumowane, szybko usuwały zapach benzyny. Otworzył drzwi i w kilka sekund wytarł całe ciało wilgotnymi chusteczkami. Minuta wystarczyła, by włożyć dzinsy, bluzę i bejsbolówkę. Raz jeszcze zerknął wkoło. Nikogo. Zgodnie z oczekiwaniami. Sto metrów dalej, za budynkiem, widział pnącą się ku niebu spiralę dymu w jaśniejszym odcieniu ciemności, a pod nią blask ognia. Wcisnął się za kierownicę i uruchomił silnik. Głęboko wciągnął powietrze nosem - tak jak przypuszczał, chusteczki odkażające zabiły zapach benzyny. Mimo to wyjął

ze schowka odświeżacz powietrza w sprayu i spryskał wewnątrz. Pewnie zbyt czysty środek ostrożności. Gdyby jednak jakiś glina zatrzymał go za przekroczenie prędkości, zignorowanie znaku stopu, wymuszenie pierwszeństwa czy pod jakimkolwiek innym błahym pretekstem, nie chciał cuchnąć jak podpalacz.

Staranne rozważanie sytuacji, przewidywanie wszystkich ewentualności, dostrzeganie każdej kropli w morzu możliwości - to Michael lubił niemal najbardziej na świecie. To sprawiało, że serce biło mu szybciej.

Wrzucił bieg, opuścił czapkę prawie na oczy i chwilę dłużej przy słuchawkach podłączonych do iPoda. Ilekroć wyjeżdżał odwalać czarną robotę związaną z ich przedsięwzięciem, Linda lubiła przygotowywać mu specjalne zestawy piosenek. Na ekranie Menu zobaczył tytuł playlisty: *Benzynowa muzyka*. Zaśmiał się głośno. Odchylił się do tyłu, kiedy w głośnikach huknęła kawałek Chrisa Whitleya, z ostrymi dźwiękami gitary hawajskiej. Muzyk uderzał w struny... „Jak chodzące tłumaczenie na ulicy kłamstw...” Święte słowa, pomyślał, wyjeżdżając z parkingu przy opuszczonym magazynie. Linda zawsze wiedziała, co chciał usłyszeć.

W plastikowej torbie na siedzeniu obok była karta kredytowa kobiety nazwiskiem Riggins, znaleziona w portfelu Numeru 4. Kilka drobniaków do załatwienia po drodze i w Bostonie, i Michael wróci do Lindy. W szoferce zrobiło się ciepło, owiewało go rozgrzane powietrze z otworów wentylacyjnych. A na zewnątrz wciąż paskudnie zimno i wilgotno. Stwierdził, że następny webcast powinni nadawać z Florydy albo Arizony. Ale niepotrzebnie wybiegał myślą w przyszłość. Wiedział, że to błąd. Na razie liczyła się tylko obecna seria. Michael szczycił się tym, że potrafi skoncentrować się na celu; gdy już go obrał, wszystko poza tym przestawało się liczyć, nic nie mogło odwrócić jego uwagi, stanąć mu na przeszkodzie ani go zniechęcić. Sądził, że to samo o swojej pracy powiedziałyby każdy uznany artysta lub biznesmen. Nie można napisać powieści, skomponować piosenki, sfinalizować przejęcia ani poszerzyć oferty bez pełnego zaangażowania.

Linda też to wiedziała.

Dlatego tak bardzo się kochali.

Mam wyjątkowe szczęście, pomyślał.

Teraz czekała go dwugodzinna podróż do miasta. W wiejskim domu, który wynajęli, na pewno wszystko gotowe. Możliwe, że już są prawie bogaci. Tak naprawdę jednak ani dla niego, ani dla niej pieniądze nie były najważniejsze. Cieszył się na myśl o początku *Serii numer 4* i czuł, jak w jego wnętrzu rozchodzi się przyjemne ciepło, zupełnie inne od tego, które zapewniał system ogrzewania samochodu. Wybijało takt muzyki wypełniającej szoferkę pikapa.

ROZDZIAŁ 6

Pod czarnym kapturem okrywającym głowę cały świat Jennifer skurczył się do dźwięków, które mogła usłyszeć, zapachów i smaków, które mogła poczuć, a każdy jej zmysł był ograniczony - łomotaniem serca, uporczywym łupaniem w skroniach, klaustrofobiczną ciemnością. Próbowwała się uspokoić, ale pod jedwabistym materiałem szlochała spazmatycznie, a słone łzy ściekały jej po policzkach. Gardło miała wyschnięte i obolałe.

Rozpaczliwie pragnęła wezwać pomocy, choć wiedziała, że ta nie nadejdzie. Słowo „mama” wymknęło się z jej ust, ale poprzez ciemność widziała tylko swojego nieżyjącego ojca - stał tuż poza jej zasięgiem, jak gdyby na zewnątrz, za szklaną ścianą, przez którą nie przebijało się rozpaczliwe wołanie. Zakreśliło jej się w głowie, prawie jakby stała na skraju przepaści, ledwo utrzymując równowagę zagrożoną przez dmący w plecy silny wiatr.

Jennifer, weź się w garść... nakazała sobie.

Nie była pewna, czy mówi na głos, czy tylko krzyczy w duchu do swoich bezładnych i bolesnych myśli, które tłumiły uczucia, nie dopuszczały rozsądku. Sama nie mogła poznać, czy dręczy ją ból, czy zwątpienie. Jedno wiedziała: musi zrozumieć coś z tego, co dzieje się poza kapturem.

Kazała sobie oddychać głęboko. Jennifer! Spróbuj!

To, że mówiła do siebie w trzeciej osobie, o dziwo, dodawało jej otuchy. W ten sposób umacniała w sobie poczucie, że żyje, że jest tym, kim była zawsze, że wciąż ma przeszłość, teraźniejszość i może przyszłość.

Jennifer, przestań płakać!

Przełknęła zatechłe, gorące powietrze spod kaptura.

Dobrze. Dobrze...

Ale nie było łatwo. Minęły całe minuty, zanim się uspokoiła. Jęki i szloch przerażenia stopniowo cichły, aż w końcu niemal całkowicie ustały, choć nie zdołała powstrzymać drżenia - oparowało prawie każdy mięsień, zwłaszcza w nogach. W gwałtownych spazmach trzęsła się jak galareta. Myśli, spostrzeżenia i reakcje wydawały się zupełnie ze sobą niepowiązane. Żadnej synchronizacji. Żadnej koordynacji. Wszystko rozmyte, niekontrolowane. Nie potrafiła znaleźć w myślach nic, czego mogłaby się uchwycić, żeby zrozumieć, co się stało i co może się jeszcze stać.

Zadygotała, choć nie marzła; przeciwnie, w pomieszczeniu było strasznie gorąco. Czuła, jak oblewa ją ciepło, i dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że jest prawie naga. Znów zadrżała na całym ciele. Nie przypominała sobie, kiedy ją rozebrali i przynieśli tutaj. Jedyne, co pamiętała, to widok pięści nadlatującej jak pocisk i uczucie, kiedy mężczyzna wrzucił ją na tył furgonetki. Miała zamęt w głowie. Czy ten koszmar wydarzył się naprawdę? Przez sekundę wyobrażała sobie, że to tylko sen i że musi jedynie zachować spokój, a lada moment obudzi się we własnym łóżku, potem zejdzie do kuchni, zrobi sobie kawę i znów weźmie się do planowania ucieczki z domu.

Czekała. Zacisnęła powieki pod kapturem i powiedziała sobie: Obudź się! Obudź się! Wiedziała jednak, że to na nic. Nie miała aż tyle szczęścia, żeby liczyć, że to wszystko rozplynie się jak sen.

No dobrze, Jennifer, skup się na jednej rzeczy. Tylko jednej. Niech ta jedna rzecz stanie się dla ciebie rzeczywista. To będzie punkt wyjścia.

Nagle strasznie zachciało jej się pić. Obliznęła językiem wargi - suche, spękane. Znów smak krwi. Nacisnęła językiem na zęby.

Żaden się nie ruszał. Zmarszczyła nos. Nie zabołało. No dobrze, przynajmniej wiesz już coś pożytecznego: nos nie jest złamany. Zęby są całe. Jeden plus.

Miała coś swędzącego na brzuchu i coś dziwnego na ramieniu - nie umiała określić co. To jeszcze bardziej zbiło ją z tropu.

Dobrze, trzeba ustalić dwie sprawy: po pierwsze - w jakim jest stanie, po drugie - gdzie się znajduje. Musi spróbować doszukać się sensu pośród ciemności, choć trochę ją rozjaśnić. Gdzie jest? Co się z nią dzieje?

Jednak te proste cele pozostawały poza jej zasięgiem. A im bardziej starała się panować nad sobą, tym trudniej jej to przychodziło. Zdawało się, że czerń pod kapturem przejmuje nad nią kontrolę, jakby kaptur zasłaniał nie tylko świat zewnętrzny, ale i nie pozwalał jej wejrzeć w głąb siebie. Miała wrażenie, że cały świat splywa do jej żołądka i zamalowuje umysł; oczami duszy widziała jedynie przerażającą nicość. I kiedy już ogarnęła ją rozpacz, dotarła do niej naprawdę paskudna myśl: Jennifer, ty żyjesz. Cokolwiek się z tobą dzieje - tego nie da się porównać z niczym, co kiedykolwiek przeżyłaś ani nawet co sobie wyobrażałaś. To nie skończy się szybko. Nie będzie łatwo. To dopiero początek.

Czuła się, jakby spadała po spirali. W wir. W dziurę w pustce wszechświata. Nogi jej zadrżały i nie dała rady powstrzymać nawrotu łez. Uległa lękowi i całym ciałem wstrząsnęły rozdzierające spazmy, gdy nagle usłyszała stłumiony odgłos otwieranych drzwi.

Przechyliła się w stronę dźwięku. Ktoś był w pokoju.

W tym ułamku sekundy pomyślała, że choć to samotność rozbudziła huczące w niej przerażenie, jednak wolała być sama, niż wiedzieć, że ktoś tu z nią jest. Jej plecy wygięty się w łuk, mięśnie się naprężyły; gdyby teraz się widziała, pomyślałaby, że ciało zareagowało na dźwięk tak samo, jak zareagowałoby na porażenie prądem.

Zestarzałem się, powiedział sobie Adrian. Przeglądał się w lustrze nad komodą żony. Było małe, w drewnianej ramie, i przez

te wszystkie lata korzystała z niego właściwie tylko w sobotnie wieczory, kiedy chciała sprawdzić przed wyjściem, czy dobrze wygląda. Kobiety lubiły ten ostatni rzut oka; zanim wyruszyły w wielki świat, musiały być pewne, że wszystkie szczegóły pasują do siebie, tworzą spójną całość, uzupełniają się nawzajem. On sam nigdy nie przywiązywał tak wielkiej wagi do tego, jak widzą go inni. Nosił się niedbale - wymięta koszula, workowate spodnie, lekko przekrzywiony krawat - jak to naukowiec. Zawsze wyglądałem jak karykatura profesora, bo byłem profesorem. Człowiekiem nauki. Podniósł rękę i dotknął siwych pasm spływających z czubka głowy. Potarł dłonią szpakowaty zarost na podbródku. Przesunął palcem po bruździe wyżłobionej w skórze. Blizny pozostawione przez upływ czasu... i doświadczenia życiowe.

Za plecami znów usłyszał znajomy głos.

- Wiesz, co widziałeś.

Spojrzał w lustro.

- Cześć, Oposiku - odparł Adrian z uśmiechem. - Już to mówiłaś. Kilka minut temu.

A może przed godziną. Dwuema. Jak długo stał w sypialni, otoczony obrazami i wspomnieniami, z bronią w rękę?

Użył przydomka żony znanego tylko najbliższej rodzinie. Dorośliła się go w wieku dziewięciu lat, kiedy banda tych niewiele lepszych od szczurów stworzeń wprowadziła się na strych letniego domku rodziny. Cassie oznajmiła wtedy braciom, siostram i rodzicom, że każda próba wyrzucenia nieproszonych gości spotka się z wszelkimi działaniami odwetowymi, na jakie może się zdobyć zdeterminowane dziecko, od łez po napady złości. Dlatego przynajmniej przez to jedno lato jej rodzina musiała znosić conocne skrobanie pazurów pod okapem, godzić się na zagrożenie bliżej nieokreślonymi chorobami i tłumić ogólne obrzydzenie do zwierząt, które miały niepokojący zwyczaj czajenia się w cieniu i baczego obserwowania ludzi. Co się tyczy samych oposów, szybko odkryły zachwycający urok kuchni i korzystały z niego, zwłaszcza kiedy instynktownie wyczuły, że dziewięcioletnia dobrodziejka nadała im wyjątkowy status. Cała Cassandra, pomyślał Adrian. Zagorzała obrończyni.

- Adrianie, wiesz, co widziałeś - powtórzyła, tym razem dużo bardziej stanowczo. W jej głosie dźwięczał znajomy, natarczywy rytm. Przez wszystkie lata małżeństwa, kiedy naprawdę czegoś od niego chciała, zwykle wyrażała to tonem godnym piosenki folkowej z lat sześćdziesiątych.

Odwrócił się w stronę łóżka. Cassie leżała wyciągnięta w leniwej pozie i patrzyła na niego kusząco jak modelka artysty. Była najpiękniejszą halucynacją, jaką mógł sobie wyobrazić. Miała na sobie luźną chabrową sukienkę i nic ponadto. Wiatr nęcąco opinał materiałem jej ciało, choć okna były pozamykane i przez pokój nie przelatywał nawet najłżejszy podmuch. Adrianowi skoczyło tętno. Cassie, która patrzyła na niego z łóżka, miała nie więcej niż dwadzieścia osiem lat - tyle ile wtedy, kiedy się poznali. Jej skóra błyszczała młodością, każda krągłość, drobne piersi, wąskie biodra i długie nogi wydawały się wręcz namacalnymi wspomnieniami. Odrzuciła do tyłu gęste ciemne włosy i spojrzała na niego ze zmarszczonym czołem. Kąciki ust lekko wygięła w dół w dobrze znany mu sposób - znak, że mówiła śmiertelnie poważnie i że musiał pilnie słuchać każdego jej słowa. Już na początku ich wspólnego życia nauczył się, po czym poznać, kiedy Cassie ma do przekazania coś ważnego.

- Pięknie wyglądasz - powiedział. - Pamiętasz, jak pojechaliśmy w sierpniu na Cape i jednej nocy kąpaliśmy się nago w oceanie, a potem nie mogliśmy znaleźć ubrań, bo zniósł nas prąd?

Pokręciła głową.

- Pewnie, że pamiętam. To było nasze pierwsze wspólne lato. Pamiętam wszystko. Ale nie dlatego tu jestem. Wiesz, co widziałeś.

Adrian chętnie przesunąłby koniuszkami palców po jej skórze, żeby przypomnieć sobie każdy elektryzujący dotyk z dawnych czasów. Bał się jednak, że jak wyciągnie rękę, żona zniknie. Nie do końca rozumiał swój związek z tą halucynacją, nie wiedział, jakie rządzą tu zasady. Miał jednak głęboką, przeszywającą jak prąd pewność, że nie chce, żeby Cassie odeszła.

- No, niezupełnie - odparł powoli. - Wcale nie jestem tego pewien.

- Oczywiście, to nie twoja specjalność. Nie całkiem. Nigdy nie byłeś takim specem, co lubi rozpracowywać seryjnych zabójców i terrorystów, a potem raczyć studentów makabrycznymi historyjkami. Ty wolałeś obserwować szczury w klatkach i labiryntach, analizować ich reakcje na bodźce. Ale na pewno wiesz dość o psychopatologii, żeby zbadać tę sprawę.

- To mogło być cokolwiek. A kiedy zadzwoniłem na policję, powiedzieli mi...

Cassie mu przerwała. Odchyliła głowę - kolejny znajomy gest, znak, że szuka odpowiedzi na suficie albo w niebie. Robiła tak, kiedy Adrian się przy czymś upierał. Była artystką i postrzegała zdarzenia okiem artystki: Narysuj kreskę, nanieś kolor na płótno - i już. Po szukaniu pomocy w niebiosach zawsze następowała cięta, stanowcza uwaga. Adrian uwielbiał ten jej nawyk, tę jej absolutną pewność.

- Nie obchodzi mnie, co ci powiedzieli. Ona tam stała, na poboczu, a potem zniknęła. To było przestępstwo. Musiało być. Widziałeś to na własne oczy. Przypadkiem. Ty jeden. I teraz masz kilka rozrzuconych kawałków bardzo trudnej układanki. Twój ruch. Złóż je w całość.

Adrian się zawahał.

- Pomożesz mi? Jestem chory. To znaczy, Oposiku, naprawdę chory. Nie mam pojęcia, jak długo jeszcze będę się trzymał. Wszystko wymyka mi się z rąk. Wszystko się rozłazi. Jeśli się tym zajmę... cokolwiek to jest... nie wiem, czy dożyję końca...

- Kilka minut temu zamierzałeś się zabić - ucięła Cassie, jakby to wyjaśniało całą sprawę. Zakręciła dłonią szeroki łuk i wskazała rugera.

- Chciałem być z tobą. I z Tommym, i z innymi. Uznałem, że nie ma sensu dłużej czekać...

- Ale zobaczyłeś tę dziewczynę na ulicy, a ona zniknęła i to się liczy.

- Nawet nie wiem, kim jest.

- To nieistotne. Zasługuje na szansę, żeby żyć. I ty jeden możesz jej ją dać.

- Ale... od czego zacząć...?

- Kawałki układanki. Uratuj ją, Adrianie.

- Nie jestem detektywem.
- Ale potrafisz myśleć jak detektyw, tylko lepiej.
- Jestem stary, chory, nie umiem już jasno myśleć.
- Umiesz na tyle, na ile to konieczne. Jeszcze ten jeden, ostatni raz. Potem będzie po wszystkim.

- Sam nie dam rady.
- Nie będziesz sam.
- Nigdy nikogo nie potrafiłem uratować. Ani ciebie, ani Tommy'ego, ani swojego brata, ani w ogóle żadnej osoby, którą kochałem. Jak mogę uratować kogoś, kogo nawet nie znam?

- Czy nie my wszyscy szukamy na to pytanie odpowiedzi?

Uśmiechała się. Wygrała ten spór i doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Zawsze wygrywała, bo Adrian już w pierwszych minutach ich wspólnych lat odkrył, że dużo przyjemniej jest się z Cassie zgadzać niż kłócić.

- Byłaś taka piękna... - powiedział. - Nigdy nie rozumiałem, jak to możliwe, że ktoś tak piękny jak ty chce być ze mną.

Zaśmiała się.

- Kobiety wiedzą - odparła. - Dla mężczyzn to zagadka, ale dla kobiet nie. My wiemy.

Adrian się zawahał. Przez chwilę myślał, że łzy wzbierają mu w oczach. Ale właściwie nad czym miałby płakać? Może nad wszystkim.

- Tak mi przykro, Cassie. Nie chciałem się zestarzeć.

To zabrzmiało niedorzecznie. A jednak dziwnie miało sens.

Zaśmiała się. Na moment zamknął oczy, żeby wsłuchać się w ten dźwięk. Jakby orkiestra wznosiła się na wyżyny symfonicznej perfekcji.

- Nie cierpię być sam - wyznał. - To boli, że nie żyjesz.

- Ta sprawa zbliży nas do siebie.

Skinął głową.

- Tak. Chyba masz rację. - Spojrzał na komodę. Recepty od neurologa leżały ułożone w stos. Jeszcze niedawno zamierzał je wyrzucić. Teraz je podniósł. - Może... - zaczął wolno - coś z tego pozwoli mi zyskać trochę...

Odwrócił się, ale Cassie już nie było. Westchnął. Do roboty, powiedział sobie. Zostało tak mało czasu.

ROZDZIAŁ 7

Zamknęła za sobą drzwi i znieruchomiła. Wzbierało w niej podniecenie i chciała chwilę się nim delektować.

Linda zwykle miała wszystko starannie uporządkowane; nawet swoje namiętności. Jak na kobietę o niekonwencjonalnych pragnieniach i egzotycznych gustach, przywiązywała wielką wagę do rutyny i dyscypliny. Lubiła planować swoje przyjemności, tak by na każdym kroku wiedzieć, czego się spodziewać i jak to będzie smakowało. To wcale nie tłumiliło doznań, wprost przeciwnie, potęgowało je. Jakby te dwie części jej osobowości nieustannie toczyły ze sobą bój i każda ciągnęła ją w przeciwną stronę. Uwielbiała jednak napięcie, jakie to w niej wytwarzało; dzięki temu czuła się wyjątkowa i sądziła, że to właśnie czyni ją prawdziwie genialnym przestępcą, bo za takiego uważała siebie - i Michaela.

Wyobrażała sobie, że są z Michaeliem jak Bonnie i Clyde w wersji Faye Dunaway i Warrena Beatty'ego. Samą siebie postrzegała jako osobę zmysłową, liryczną i uwodzicielską. Była to nie tyle arogancja, ile uczciwa ocena tego, jak wygląda i jakie wrażenie robi na mężczyznach.

Oczywiście, ci, którzy się na nią gapili, w ogóle jej nie obchodzili. Liczył się tylko Michael.

Powoli omiotła wzrokiem piwniczny pokój. Nagie białe ściany. Stare brązowe metalowe łóżko z białym prześcieradłem na spleśniałym szarym materacu. Przenośny sedes turystyczny w kącie. Niemiłosiernie jasne światło mocnych lamp pod sufitem. Smród środka odkażającego i świeżej farby w nieruchomym, gorącym powietrzu. Michael jak zwykle dobrze się spisał, przygotowując wszystko do rozpoczęcia *Serii numer 4*. Zawsze trochę ją to dziwiło, że zrobiła się z niego taka złota rączka - jego główną specjalnością były przecież komputery i operacje sieciowe, o nich uczył się na studiach. Świetnie też jednak posługiwał się wiertarką i młotkiem. Prawdziwie wszechstronny talent. Może dlatego tak mocno go kochała.

Linda uważała, że łączy ich więź, do której pasuje tylko określenie „wyjątkowa”.

Popatrzyła wkoło okiem detektywa: czy jest w tym pokoju coś, co pozwoliłoby ich zidentyfikować? Czy w tle nadawanego przez Internet obrazu mogło znaleźć się coś, co wskazywało, gdzie się znajdują i kim są?

Miała dość oleju w głowie, by wiedzieć, że taki drobiazg jak kształtka od rury, piecyk gazowy albo oprawa lampy może naprowadzić spostrzegawczego policjanta na ich trop - o ile ktokolwiek w ogóle będzie ich szukał. Kształtka z wymiarami podanymi w calach, nie centymetrach, podpowiedziałyby temu hipotetycznemu sprytnemu detektywowi - Linda często próbowała go sobie wyobrazić - że pomieszczenie znajduje się na terenie Stanów Zjednoczonych. Piecyk mógł zostać wyprodukowany dla sieci Sears i być modelem rozprowadzanym tylko we wschodniej części USA. Oprawa lampy mogła pochodzić z partii dostarczonej do miejscowego hipermarketu Home Depot.

Te szczegóły ściągnęłyby detektywa bliżej ich kryjówek. Tego fikcyjnego. Byłby po trosze panną Marple, a po trosze Sherlockiem Holmesem z domieszką sztucznego, powierzchownego telewizyjnego realizmu. Na przykład nosiłby się niechlujnie jak Columbo i dysponował najnowocześniejszym sprzętem. Krótko ostrzyżony twardziel jak Jack Bauer.

Oczywiście, przypomniała sobie, taki detektyw nie istnieje.

Jest tylko klientela. Ustawiali się w kolejce. Czekali w gotowości na autoryzację transakcji kartą kredytową, spragnieni *Co będzie potem?*

Linda pokręciła głową i wzięła głęboki wdech. Oglądanie świata przez wąski pryzmat paranoi działało podniecająco; fascynacja *Serią numer 4* w dużej części brała się z całkowitej anonimowości miejsca akcji. Mieli idealnie czyste płótno, na które mogli nanieść swój program. Żaden z widzów nie zdołałby przewidzieć z jakąkolwiek dozą pewności, co się stanie - a to wciągało najbardziej. Linda wiedziała, że pornografia internetowa przeważnie opiera się na pełnym realizmie - prezentowane obrazy nie pozostawiały cienia wątpliwości, co się dzieje. Im

chodziło o coś dokładnie odwrotnego. Najważniejsze to nagłe zwroty. Zaskakiwanie widza. Liczyła się kreatywność. Pomyślność.

Głównym motywem mógł być seks.

Władza.

Kontrola.

Przemoc.

Życie, to na pewno.

I, być może, śmierć.

Temu właśnie zawdzięczali swój sukces.

Poprawiła materiał na twarzy; przy tej pierwszej okazji zdecydowała się na zwykłą czarną kominiarkę. Czapka zakrywała jej zmierzwione blond włosy i miała tylko wąską szczelinę na oczy. Takiego nakrycia głowy używali antyterrorysty i Linda zamierzała nosić je regularnie w trakcie *Serii numer 4*, nawet jeśli było jej w nim duszno. Biały skafander ochronny z przetworzonego papieru marszczył się i szeleścił przy każdym kroku. Ale najważniejszej ze skrywał jej sylwetkę; nikt nie potrafiłby stwierdzić, czy jest tęga, czy drobna, młoda czy stara. Linda wiedziała, że pod kombinezonem wygląda całkiem ponętnie; nosząc go, miała wrażenie, że drażni się sama ze sobą. Materiał szczypał nagą skórę jak kochanek przeplatający rozkoszne pieszczoty małymi dawkami bólu.

Wciągnęła rękawiczki chirurgiczne. Na nogach miała niebieskie sterylne nakładki - *de rigueur* w sali operacyjnej. Uśmiechnęła się pod maską: bo to jest sala operacyjna.

Zrobiła kilka kroków naprzód. Jestem piękna w zupełnie nowy sposób, pomyślała.

Odwróciła się w stronę postaci na łóżku. Jennifer, przypomniała sobie. Nie, już nie. Od tej pory to Numer 4. Wiek: szesnaście lat. Dziewczyna z przedmieścia, żyjąca w hermetycznej akademickiej społeczności, wybrana właściwie przypadkiem. Linda znała jej adres, numer telefonu domowego, imiona nielicznych koleżanek. Zdobyła te dane po starannym przejrzeniu zawartości plecaka, portfela i pamięci komórki.

Przeszła na środek pokoju, wciąż oddalona o kilka metrów od starego żelaznego łóżka. Michael osadził w ścianie obręcz do

mocowania kajdanek. Jak reżyser sitcomu, nakreślił kredą na podłodze kilka ledwo widocznych linii - sygnalizowały, która kamera uchwyci jej obraz. Nakleił też ikсы z kawałków taśmy klejącej w miejscach, gdzie najlepiej stanąć do poszczególnych ujęć. Profil. En face. Widok z góry. Doświadczenie nauczyło ich, że zawsze trzeba pamiętać, jakie ujęcia są wykonalne w danej sytuacji i co na nich będzie widać. Odbiorcy oczekiwali zmian perspektywy i profesjonalnego kadrowania.

Jako podglądacze oczekiwali tylko tego, co najlepsze. Nieustającej intymności.

W pokoju umieścili pięć kamer, choć od razu rzuciła się w oczy jedynie główna - nieruchoma Sony HD na statywie, z obiektywem wymierzonym w łóżko. Pozostałe, miniaturowe, ukryli w suficie i dwóch kątach sztucznych ścian. Tylko jedna rejestrowała obraz przy drzwiach - zachowywali ją do budowania dramaturgii, na te chwile, kiedy będą wchodzić do pokoju. To zelektryzuje widzów, powie im, że lada chwila coś się wydarzy. Teraz ta kamera była wyłączona. To dopiero wstępna wizyta, zaledwie pierwszy krok w procesie orientacji.

Linda wyjęła z kieszeni mały elektroniczny pilot. Nasunęła palec na przycisk zatrzymywania transmitowanego obrazu. Zaczekała, aż Numer 4 w kapturze lekko odwróci się w jej stronę. Wtedy wcisnęła guzik.

Zorientują się, że dziewczyna coś usłyszała...

...Ale nie będą wiedzieli co.

Ona i Michael dawno się nauczyli, że suspens doskonale się sprzedaje.

Powoli ruszyła naprzód.

Dziewczyna śledziła jej ruchy przez maskę zakrywającą głowę. Jak dotąd nie powiedziała ani słowa. W obliczu strachu niektórzy bełkotali bez ładu i składu, błagali, cofali się do dzieciństwa; inni zdobywali się na posępne, zrezygnowane milczenie. Nie wiedziała, jak będzie z Numerem 4. Tak młodego obiektu jeszcze nie wykorzystali, więc dla niej i Michaela to też przygoda.

Linda stanęła w nogach łóżka. Mówiła matowym, monotonnym głosem, który skrywał jej podniecenie, nie za głośno, nie

kładąc nacisku na żadne słowo. Pozostawała zimna jak lód. Miała wprawę w sztuce wygłaszania gróźb i jeszcze większą w ich spełnianiu.

- Nic nie mów. Nie ruszaj się. Nie krzycz, nie stawiaj oporu. Uważnie słuchaj, a nic ci się nie stanie. Jeśli chcesz przeżyć, wykonuj wszystkie polecenia, bez względu na to, czego dotyczą i co o nich sądzisz.

Dziewczyna na łóżku zeszywniała i zadrżała, ale nie pisnęła ani słowa.

- To najważniejsze zasady. Później poznasz następne. - Zawiesiła głos. Po trosze spodziewała się, że Jennifer zacznie błagać o darowanie życia, ta jednak milczała. - Od tej pory nazywasz się Numer 4. - Linda odniosła wrażenie, że usłyszała cichy jęk stłumiony przez czarny kaptur. To dopuszczalne, nawet rozumiałe. - Jeśli zostaniesz o coś zapytana, masz odpowiedzieć. Rozumiesz?

Jennifer skinęła głową.

- Odpowiedz!

- Tak - wydyszała pośpiesznie przez maskę.

Linda się zawahała. Próbowała sobie wyobrazić jej spanikowaną twarz. Nie jest tak jak w szkole, co, mała?

- Pozwól, że coś ci wyjaśnię, Numerze 4 - mówiła dalej beznamiętnym tonem. - Twoje dotychczasowe życie się skończyło. To, kim byłeś, kim chciałeś być, twoja rodzina, twoi przyjaciele... wszystko, co znajome... już nie istnieje. Jest tylko ten pokój i to, co tu się wydarzy. - I znów Linda uważnie obserwowała mowę ciała Jennifer, jakby w oczekiwaniu na znak, że została zrozumiana. - Od tej chwili należysz do nas.

Dziewczyna zeszywniała i zamarła. Ale nie krzyknęła jak inne. Zwłaszcza Numer 3 walczyła z nimi prawie na każdym kroku: szamotała się, gryzła, wrzeszczała, co oczywiście wcale nie było takie złe - choć już ustalili z Michaeliem wszystkie konieczne reguły - bo tworzyło odmienny typ dramaturgii. Po prostu część przygody i jedna z głównych atrakcji. Każdy obiekt wymagał innych zasad. Każdy był od samego początku wyjątkowy. Czują, jak podniecające ciepło rozchodzi się po całym jej ciele,

ale stłumiła to doznanie. Spojrzała na Numer 4 na łóżku. Słucha uważnie, pomyślała.

Mądra dziewczyna.

Nieźle. Całkiem nieźle. Będzie niepowtarzalna.

Jennifer krzyczała w duchu, jakby nagle mogła uwolnić w sobie coś, co wyrażało jej przerażenie i sięgało poza maskę, poza łańcuchy, poza wszelkie ściany i sufity, dokądś, gdzie ktoś ją usłyszy. Myślała, że gdyby tylko zdołała wydobyć z siebie jakiś dźwięk, to pomogłoby jej przypomnieć sobie, kim jest i że nadal żyje. Ale nie zrobiła tego. Na zewnątrz tylko stłumiła szloch i mocno przygryzła wargę. Wszystko było pytaniem, nic odpowiedzią.

Czuła, że głos się zbliża. Kobieta? Tak. Kobieta z furgonetki? Tak, na pewno.

Usiłowała sobie przypomnieć, co wtedy widziała. Pamiętała, że mignął jej ktoś starszy od niej, ale nie stary jak jej matka. Czarna dziana czapka naciągnięta na włosy. Blond włosy. Chyba zauważyła też skórzaną kurtkę, ale nic więcej. Potem był cios w twarz, wstrząsnął nią i wszystko przyćmił.

- Masz... - usłyszała. Najwyraźniej coś jej podawano, ale nie miała pojęcia co. Dobięło ją metaliczne ciachnięcie i uchyliła się odruchowo.

- Nie. Nie ruszaj się.

Zamarła.

Chwila przerwy - i coś pociągnęło za fałdy jej maski. Wciąż nie wiedziała, co się dzieje, ale słyszała odgłos nożyczek.

Kawałek maski oderwał się od jej twarzy, odsłonił usta. Mały otwór.

- Woda.

Słomka wsunęła się do szczeliny i uderzyła ją w wargi. Jennifer nagle poczuła, że strasznie jej się chce pić - miała tak sucho w gardle, że potrzeba zaspokojenia pragnienia chwilowo stała się ważniejsza niż cokolwiek innego. Uchwyciła słomkę językiem i ustami i mocno pociągnęła. Woda była słonawa, o posmaku, którego Jennifer nie rozpoznawała.

- Lepiej?

Skinęła głową.

- Teraz zaśnieś. Później dokładnie się dowiesz, czego od ciebie oczekujemy.

Jennifer poczuła kredowy smak na języku. Zakręciło jej się w głowie. Oczy uciekły gdzieś w głąb i kiedy znów zapadała się w wewnętrzną ciemność, pomyślała, że może została otruta, ale to wydawało jej się bez sensu. Nic nie miało sensu oprócz straszniego przeczucia, że kobieta i mężczyzna, od którego oberwała, realizują jakiś plan. Chciała coś krzyknąć, żeby zaprotestować albo choć usłyszeć swój głos. Zanim jednak zdążyła uformować słowa i przepchnąć je przez popękane, spierzchnięte wargi, poczuła się, jakby balansowała na krawędzi wąskiej półki skalnej. A kiedy niestaránie rozpuszczone w wodzie narkotyki naprawdę zaczęły działać, runęła w dół.

ROZDZIAŁ 8

Musiła jednocześnie spieszyć się i zachowywać cierpliwość.

Terri Collins wiedziała, że szanse na odnalezienie Jennifer błyskawicznie maleją, musiała więc szybko podjąć te nieliczne działania, które mogły coś dać. Przepęłniały ją jednak wątpliwości - nie tylko co do szybkiego sukcesu, ale i prawdziwych powodów, dla których Jennifer trzeci raz uciekła z domu. Zbyt wiele pytań, za mało odpowiedzi.

Kiedy wróciła do biura, dawno minęła północ, zbliżał się świt. Oprócz dyspozytora i dwóch policjantów na nocnej zmianie, w budynku nie było żywej duszy. Gliniarze pilnujący pobliskich uczelni i ulic na przedmieściach albo odbywali patrole, albo krzepili się kawą i słodyczami w Dunkin' Donuts.

Pospiesznie podeszła do swojego biurka. Natychmiast wybrała numery posterunków policji na dworcu autobusowym w Springfield i stacji kolejowej w mieście. Zadzwoiła też do koszar policji stanowej przy autostradzie i do Bostońskiej Policji Transportowej. Rozmowy były zwięzłe - rysopis Jennifer, krótka

prośba o to, żeby jej wypatrywać, obietnica przefaksowania zdjęcia i komunikatu o zaginięciu. Oficjalnie policja potrzebowała kopii niezbędnych dokumentów, żeby zacząć działać; nieoficjalnie kilka telefonów i garść informacji przekazanych nocnym patrolom na dworcach autobusowych i autostradach mogły załatwić sprawę. Jeśli dopisze im szczęście - oby - patrol drogowki na Mass Pike zobaczy, jak zrezygnowana Jennifer łapie okazję przy zjeździe z autostrady, albo policjant przechodzący przez Dworzec Północny zauważy ją w kolejce do kasy. I wszystko mniej więcej dobrze się skończy: surową burą, przejażdżką radiowozem, spotkaniem wśród łez (ze strony matki) i dąsów (ze strony Jennifer), po czym życie wróci na utarte tory do czasu, aż Jennifer znów postanowi uciec.

Terri szybko pracowała nad tym, by spełnił się ten niemal różowy scenariusz. Rzuciła torebkę, odznakę, pistolet i notes na biurko w małym labiryncie boksów, zwanym przez policję uniwersyteckiego miasteczka Biurem Detektywów lub, sarkastycznie, Klubem Złotej Odznaki. Błyskawicznie wybierała numery i rzeczowo rozmawiała z dyspozytorami i oficerami dyżurnymi, używając swojego najlepszego ponagląjącego tonu.

Potem zadzwoniła do Verizon Wireless. Wyjaśniła osobie z call center w Omaha, kim jest i dlaczego to pilna sprawa. Zażądała, żeby niezwłocznie informowano ją o każdym przypadku skorzystania z komórki Jennifer i o tym, która wieża sieci komórkowej przeprowadziła połączenie. Jennifer pewnie nie wiedziała, że jej telefon jest jak nadajnik radiolokacyjny. To bystra dziewczyna, pomyślała Terri, ale nie aż tak.

Poprosiła też nocną zmianę ochrony Bank of America, by dali znać, jeśli Jennifer spróbuje skorzystać ze swojej karty bankomatowej. Kredytowej nie miała - Mary Riggins i Scott West stanowczo stwierdzili, że to fanaberia dla bogatych, nie dla Jennifer. Terri nie bardzo w to wierzyła.

Próbowała wymyślić coś jeszcze, co zmniejszyłoby niewidzialność Jennifer. Wyszła już poza standardowe wytyczne - oficjalnie musiały minąć dwadzieścia cztery godziny, żeby osobę uznano za zaginioną, a ucieczki z domu nie traktowano jak

przestępstwa. Jeszcze nie. Dopóki coś się nie stanie. I właśnie chodziło o to, by znaleźć Jennifer, zanim do tego dojdzie. Bo jeśli coś się stanie, to - Terri dobrze to wiedziała - prawie na pewno będzie to coś strasznego.

Ani przez moment nie ludziła się nadzieją, że dopisze im szczęście.

Kiedy już odbyła wszystkie rozmowy, podeszła do dużej czarnej stalowej szafki na dokumenty w kącie biura. W aktach rodziny Rigginsów była dokumentacja dwu poprzednich prób ucieczki. Po ostatniej Terri zostawiła teczkę w szufladzie ze sprawami w toku; tam papiery przeleżały ponad rok. Powinny trafić do archiwum, ale Terri już wtedy podejrzewała, że wcześniej czy później dojdzie do tego, co zdarzyło się tej nocy, nawet jeśli nie potrafiła konkretnie wyjaśnić dlaczego.

Wyjęła teczkę z szafki i wróciła za biurko. Większość istotnych informacji miała w pamięci - taką nastolatkę jak Jennifer nieprędko się zapomina - ważne jednak, by przejrzeć wszystkie szczegóły, bo któraś z poprzednich prób ucieczki może podsunąć wskazówkę co do tego, dokąd Jennifer wybiera się teraz. Dobra praca śledcza jest mozolna, konsekwentna i, w dużym stopniu, do bólu drobiazgową. Terri chciała mieć pewność, że w raportach, które prześle na wyższe szczeble drabiny biurokratycznej, nie pominie niczego, co mogłoby zapewnić sukces.

A na sukcesie jej zależało, nawet jeśli rokowania są mizerne. Westchnęła głęboko. Niełatwo będzie znaleźć Jennifer. Bogiem a prawdą cała nadzieja w tym, że nastolatce skończą się pieniądze, zanim zostanie przymuszona do prostytucji, wciągnięta w narkotyki, zgwałcona albo zamordowana, i że zadzwoni do domu. No i z grubsza po wszystkim. Problem polegał na tym, że Jennifer tę ucieczkę zaplanowała. Była zdeterminowana. Uparta i inteligentna. Nie poddawała się przy pierwszej oznace kłopotów - na pewno miała to zapisane w DNA. Sęk w tym, że pierwsza oznaka kłopotów mogła zarazem być ostatnią.

Terri rozłożyła akta na biurku obok laptopa z pokoju Jennifer. Pokrywę zdobiły dwie jaskrawoczerwone nalepki z kwiatami i podłużna naklejka z hasłem „Ratujmy wieloryby”. W zwykłych

okolicznościach musiałaby poczekać do rana, a potem poprosić prokuraturę stanową, żeby przysłali biegłego, który obejrzałby komputer. Biurokracja do kwadratu. Ale Terri chodziła jako wolny słuchacz na kurs dotyczący cyberprzestępczości zorganizowany przez lokalny uniwersytet i potrafiła dostać się na twarde dyski, skopiować jego zawartość i przenieść dane na pamięć USB. Otworzyła komputer.

Zerknęła w stronę okna. Brzask przesączał się już przez gałęzie dostojnego dębu rosnącego na skraju parkingu przed komisariatem. Długo patrzyła na drzewo. Zdawało się, że światło wyszukuje i przenika pęczki liści i szorstką korę, ochoczo odgarniając cienie. Po ciężko przepracowanej nocy powinna być padnięta, ale adrenalina dawała jej dość energii, żeby jeszcze trochę pociągnąć. Kawa by pomogła, pomyślała. Przypomniała sobie, że musi niedługo zadzwonić do domu, upewnić się, że Laurie zrobiła dzieciom pobudkę, przygotowała im drugie śniadanie do szkoły i wygoniła je za drzwi w porę, by zdążyły na autobus. Przykro, że nie będzie jej w domu, gdy się obudzą - choć pewnie ucieszą się na widok Laurie. Zawsze się ekscytowały, kiedy ich matkę wzywano w środku nocy do jakiegoś przestępstwa. Terri na sekundę zamknęła oczy. Przez chwilę ogarnął ją niepokój: Czy Laurie odprowadzi dzieciaki na autobus? Chyba nie zostawi ich samych na poboczu...

Pokręciła głową. Wiedziała, że może polegać na przyjaciółce.

Strach, pomyślała, zawsze czai się tuż pod skórą i tylko czeka, żeby wyrwać się na wierzch.

Dotknęła włącznika komputera i maszyna ożyła. Jesteś tu, Jennifer? Co mi powiesz?

Zastanawiała się, czy każda kolejna minuta jest cenniejsza od poprzedniej. Tak, powinna zaczekać na oficjalną zgodę na oględziny komputera. Ale nie zaczęła.

Michael był niezmiernie zadowolony z siebie.

Po spaleniu skradzionej furgonetki zatrzymał się na parkingu przy autostradzie i podrzucił kartę biblioteczną Jennifer Riggins do damskiej ubikacji. Zanim to zrobił, sączył czarną kawę w

bufecie między McDonaldem a zamkniętą budką z lodami i obserwował podróżnych przewalających się przez parking, aż nabrał pewności, że ubikacja jest pusta. Szybki rzut oka powiedział mu, że na krótkim korytarzu do dwojga drzwi z tabliczkami „Panie” i „Panowie” nie ma kamer. Mimo to na wszelki wypadek włożył ciemnoniebieską bejsbolówkę. Nisko opuścił daszek, żeby przestonić twarz. Zmiał w dłoni tekturowy kubek, wyrzucił go do kosza i podszedł do drzwi oznaczonych „Panowie”. W ostatniej chwili skręcił do damskiej ubikacji. Spędził tam zaledwie kilka sekund - tyle wystarczyło, żeby upuścić kartę awersem do góry obok sedesu, gdzie zapewne znajdzie ją następna ekipa sprzątająca.

Bardzo możliwe, że po prostu wyrzucą ją do śmieci. Ale kto wie, może tego nie zrobią - a to by mu pasowało.

Z powrotem w pikapie usiadł za kierownicą i wyciągnął mały laptop. Na parkingu dało się bezprzewodowo połączyć z Internetem. Doskonale.

Tak jak furgonetka, z której skorzystali, komputer był kradziony. Trzy dni wcześniej Michael zwinął go ze stolika w stołówce uniwersyteckiej. Łatwizna. Wystarczyło zaczekać, aż jeden ze studentów zostawi laptop i pójdzie po cheeseburgera. Z frytkami, domyślał się Michael. Ważne było, żeby po kradzieży nie rzucić się od razu do ucieczki. To zwróciłoby uwagę. Wsunął więc komputer w czarny neoprenowy pokrowiec i przesiadł się do stolika na drugim końcu sali. Tam czekał, aż student wróci, zauważy, że laptop zniknął, i narobi rabanu. Wtedy wepchnął komputer w pokrowcu do plecaka i podszedł do grupki otaczającej wzburzonego studenta. „Stary, musisz wezwać ochronę, i to szybko”, poradził głosem starszego, doświadczonego kolegi. „Nie ma co czekać, trzeba to załatwić od razu”. Zawtórowały mu pomruki poparcia. I w następnych chwilach, kiedy z licznych kieszeni wyłoniły się komórki i zapanowało ogólne zamieszanie, Michael jakby nigdy nic wymknął się ze skradzionym laptopem nonszalancko schowanym w plecaku. Rażnym krokiem przemaszerował między studentami na parking, gdzie czekała Linda.

Niektóre kradzieże, pomyślał, są wyjątkowo proste.

Kilka stuknięć w klawisze i otworzył stronę rezerwacji biletów autobusowych. Wprowadził numer visy zabranej z portfela dziewczyny. Domyślał się, że „Mary” to jej matka.

Kupił bilet w jedną stronę na autobus do Nowego Jorku o drugiej w nocy. Chodziło o to, żeby zostawić mylny trop - na wypadek gdyby ktoś szukał Jennifer. Trop donikąd.

Wrzucił bieg i wyjechał z parkingu. Wiedział, że za dużym biurowcem na obrzeżach Bostonu jest kontener na śmieci opróżniany z samego rana. Zagrzebał komputer pod stertą odpadów. Każdy, kto będzie dość sprytny, by pójść śladem rezerwacji, znajdzie bardzo ciekawy adres IR

Następny przystanek - dworzec autobusowy w Bostonie. Był to stateczny, kwadratowy gmach spowity mgiełką spalin z silników Diesla, wypełniony gęstym, oleistym zapachem, rozświetlony bezlitosnymi neonami. Przeptywał przez niego nieprzerwany strumień pasażerów. Autobusy wyjeżdżały na ulice, miały największe atrakcje miasta i ruszały drogą 93 na północ lub południe bądź 90 na zachód. To wszystko kojarzyło się Michaelowi z upuszczonym na twardą podłogę termometrem, z którego wyciekają srebrzyste kropelki rtęci.

Na dworcu był system elektronicznego zakupu biletów, ale Michael czekał, aż wokół przypominającego bankomat automatu zbierze się kilka osób. Dołączył do nich, przeciągnął kradzioną kartę przez czytnik i pobrał bilet. Z wydrukowanym: „M. Riggins”. Miał pochyloną głowę. Wiedział, że prawie cały dworzec jest w polu widzenia kamer; jakiś policjant mógłby potem porównać czas wydania biletu z nagraniem pokazującym automat biletowy i zobaczyć, że nie Jennifer korzystała z maszyny. Ostrożnie, napomniął siebie w duchu.

Jak tylko odebrał bilet, poszedł do męskiej ubikacji. Szybko upewnił się, że jest sam, i zamknął się w kabinie. Otworzył plecak, wyjął inną kurtkę, kapelusz wędkarski z opadającym rondem, sztuczną brodę i wąsy. W kilka sekund zmienił swój wygląd, wyszedł z budynku i zaczął się w ciemnym kącie.

Dworca pilnowali znużeni policjanci. Byli głównie od tego,

żeby wyłapywać bezdomnych - ci szukali ciepłego i bezpiecznego miejsca na nocleg, ale gardzili licznymi schroniskami.

Gliniarze mieli też z pewnością zapobiegać napadom na podróżnych, które potem niefortunnie trafiałyby na pierwsze strony gazet. Na dworcu panowała napięta atmosfera; Michael wyczuwał, że znajduje się na pograniczu normalności, przyzwoitości i występku, w jednym z tych miejsc, gdzie różne światy nieprzyjemnie ocierają się o siebie.

Sądził, że wygląda, jakby należał do kategorii ludzi porządnym - kamuflaż sprytnie ukrywał prawdę.

Czekał na niewygodnym czerwonym plastikowym krześle, przytupywał nerwowo i starał się nie rzucać w oczy, aż wreszcie zobaczył to, czego potrzebował: trzy dziewczyny w wieku studenckim z jednym rozkojarzonym chłopakiem. Cała czwórka niosła plecaki i najwyraźniej w ogóle nie przejmowała się, że już późno. Ale wyglądali też na porządników, takich, co to będą chcieli zachować się przyzwoicie, kiedy znajdą coś, co do nich nie należy. Do kogoś zadzwonią. Właśnie o to chodzi. Spiętrzenie tajemnic.

Powoli wsunął się do kolejki za nimi, z postawionym kołnierzem, w nisko opuszczonym kapeluszu. Teraz wiedział na pewno, że kamery wszystko nagrywają. Cholerny akt patriotyczny, zażartował w duchu. Tyle że nietrudno znaleźć w Internecie posty o tym, gdzie te kamery są umieszczone i jak prowadzą obserwację. Zaczekał, aż grupka młodych ludzi stłoczy się przy okienku i zacznie przekonywać umęczonego nocnego kasjera, żeby obsłużył ich wszystkich naraz. Ukradkiem wyciągnął rękę do przodu i wsunął visę do odpiętej kieszonki jednego z plecaków.

Magiczna sztuczka, godna Houdiniego, pomyślał.

Uśmiechnął się. To, czego dokonali z Lindą, rzeczywiście było w pewnym sensie magiczne: oto sprawili, że Jennifer zniknęła.

Jej miejsce zajął nieruchomy obraz skutej kajdankami i zakapturzonej postaci. Numer 4.

ROZDZIAŁ 9

Adrian stał po drugiej stronie lady i patrzył, jak aptekarka wprawnie wsypuje rozmaite pigułki do pojemników. Co jakiś czas spoglądała na niego i uśmiechała się słabo. Widział, że kobieta ma na końcu języka jakąś błahą uwagę, ale powstrzymuje się, ilekroć słowa już-już cisnęły jej się na usta. Znał tę minę z sali wykładowej - zwykle pojawiała się na twarzy studenta zabierającego się do wygłoszenia monologu, który mógł być na temat, ale i mógł dotyczyć jakiejś zupełnie niepowiązanej kwestii. Przez chwilę znów czuł się jak profesor. Chciał nacylić się i szepnąć coś w stylu „Wiem, na co te tabletki, i wiem, że ty też to wiesz, ale nie boję się śmierci. Ani trochę. Martwi mnie jedynie powolne dogorywanie i te prochy powinny ten proces spowolnić, choć na pewno nie spowolnią”.

Chętnie by to powiedział, ale milczał.

A może powiedział, tylko nie usłyszała. Nie był pewien.

Aptekarka musiała zauważyć jego wahanie i źle to zrozumiała. Podeszła do niego.

- To bardzo drogie leki. Nawet z pełnym ubezpieczeniem z uczelni. Strasznie mi przykro. - Przepraszała go za skandaliczne ceny leków, ale tak naprawdę wyrażała współczucie z powodu jego choroby.

- To nic - odparł. Zastanawiał się, czy czegoś nie dodać, na przykład: „Nie będą długo potrzebne”, ale znów tego nie zrobił.

Chwilę grzebał w portfelu, po czym podał kartę kredytową i patrzył, jak aptekarka obciąża jego konto kwotą kilkuset dolarów. Naszła go średnio dowcipna myśl: A gdyby tak tego nie spłacić? Niech pijawki spróbują potem wyciągnąć forszę od zaśli-nionego durnia, który nie pamięta, jaki jest dzień, a co dopiero, że kiedyś za coś płacił.

Adrian wyniósł papierową torbę z lekarstwami na słoneczny poranek. Rozerwał pojemnik i wytrząsnął na dłoń jedną tabletkę,

potem dwie inne - miały zmniejszać uczucie dezorientacji; na razie wydawały się niepotrzebne, ale może to przekonanie było objawem tego, co zwalczały. Tylko zerknął na długą listę pasywnych skutków ubocznych każdego z lekarstw. Cóż, i tak na pewno nie mogły być gorsze od tego, co go czeka. W torbie miał też neuroleptyk - tej fiołki jednak nie otworzył i kusiło go, żeby ją wyrzucić. Wziął proszki do ust i przełknął.

To na początek, powiedział sobie w duchu.

- No dobrze, teraz, kiedy już to załatwiłeś, przejdźmy do rzeczy - odezwał się z werwą jego brat. - Pora ustalić, kim jest Jennifer.

Adrian powoli odwrócił się w stronę głosu brata.

- Cześć, Brian. - Nie mógł powstrzymać uśmiechu. - Miałem nadzieję, że wcześniej czy później się zjawisz.

Brian siedział z podciągniętymi kolanami na masce starego volvo Adriana i palił papierosa. Dym leniwie wzbijał się w błękitne niebo. Brian miał na sobie brudny, obszarpany, zbryzgany krwią mundur polowy i rozerwaną kamizelkę kuloodporną. U jego stóp leżał hełm z namalowaną pacyfą, a pod nią widniały nagryzmolone napisy „Diler śmierci” i „Złodziej serc”. Między nogami trzymał swój M16, kolbę oparł sobie na butach wojskowych. Twarz ociekała mu potem, był błydy i chudy jak szkielet. Miał zaledwie dwadzieścia trzy lata. Siedział w podobnej pozycji jak na zdjęciu zrobionym przed laty - przez Larry'ego Burrowsa, fotoreportera magazynu „Life”, na krótko przed jego śmiercią. Dał je do oprawy i postawił na biurku, „na pamiątkę”, jak kiedyś powiedział Adrianowi, choć nie sprecyzował, na pamiątkę czego. Teraz fotografia leżała w zakurzonej pudle w piwnicy Adriana, z wieloma innymi rzeczami brata, włącznie ze Srebrną Gwiazdą - nikomu nie powiedział, że ją dostał.

Brian zszedł z maski, powoli, z wysiłkiem, jakby wyczerpany, ale też z tym nonszalanckim rozleniwieniem, które Adrian pamiętał z ich dzieciństwa. Brian nigdy się nie spieszył, nawet kiedy wokół wszystko się waliło. To jedna z jego największych zalet - zachowywał jasność umysłu, gdy inni panikowali, i Adrian zawsze kochał brata za ten jego spokój. Porwany przez

niebezpieczny nurt Brian potrafił płynąć, kiedy inni miotali się i szli na dno. Przez całe dzieciństwo - były między nimi tylko dwa lata różnicy - ilekroć coś się działo, Adrian zawsze szukał u brata wskazówki, jak się zachować.

Dlatego jego śmierć była tym bardziej niezrozumiała.

Brian otrząsnął się jak pies, który niechętnie budzi się z głębokiego snu, i wskazał na prawy rękaw munduru, podwinięty po naszywkę z ukośną belką i końskim łbem z profilu - żółto-czarnym symbolem Pierwszej Kawalerii Powietrznej.

Rozprostował chude, umięśnione ręce i zarzucił broń na ramię. Na chwilę osłonił oczy i spojrział prosto w ostry blask słońca.

- Miasto uniwersyteckie, braciszku. Nuda. Nie to, co Wietnam. - Prychnął na poły żartobliwie.

Adrian pokręcił głową.

- I nie to, co Harvard, i Wydział Prawa Uniwersytetu Columbia. I ta wielka firma z Wall Street, w której pracowałeś. I ten duży apartament na Upper East Side, gdzie... - urwał. - Przepraszam - dodał pospiesznie.

Brian się zaśmiał.

- Nie to, co wiele rzeczy. I nie przejmuj się. Jak chcesz pogadać o tym, dlaczego się zabiłem, cóż, jest na to jeszcze mnóstwo czasu. Na razie zdaje się, że mamy robotę. Początek śledztwa to największa harówka. Trzeba robić postępy, dopóki wszystko względnie świeże. Ruszyć z miejsca, zanim trop się zatrze. Sądzę, że już za długo zwlekasz. Nie słyszałeś, co powiedziała Cassie? Kazała ci ruszyć tyłek. No to do roboty. Dość ociągania się.

- Właściwie nie wiem, od czego zacząć. To wciąż bardzo...

- Przerazające? Niezrozumiałe? - Brat przerwał mu ze śmiechem. Często śmiał się, mówiąc o sprawach śmiertelnie poważnych, jakby w ten sposób rozładowywał towarzyszące im obawy. - Cóż, pigułki powinny pomóc. Może trochę spowolnią to, co się dzieje, a my przyjrzymy się temu, co wiemy...

- Kiedy ja tak naprawdę nic nie wiem.

Brian znów się uśmiechnął.

- Pewnie, że wiesz. To tylko kwestia pragmatyki. Trzeba pracować systematycznie, postrzegać każde pytanie jako lukę do wypełnienia.

- Zawsze byłeś świetnym organizatorem.
- W wojsku dobrze mnie wyszkolili. A na prawie jeszcze lepiej. Nigdy nie miałem z tym kłopotu.
- Pomożesz mi?
- Po to tu jestem. Jak Cassandra.

Adrian się zawahał. Niezżyjąca żona. Niezżyjący brat. Każde z nich będzie widzieć sprawy pod nieco innym kątem. Nie przejmował się, że ktoś w tej chwili go zobaczy, jak zawzięcie dyskutuje z nikim. On wiedział, z kim rozmawia.

Brian wyjął magazynek z M16 i postukał nim w maskę volvo, żeby upewnić się, że jest pełny. Adrian miał ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć znoszonego ubrania brata. Czuł fetor wyschniętego potu, wrzodów tropikalnych i słaby zapach kordytu. Wszystko to wydawało się rzeczywiste i choć wiedział, że takie nie było, wcale mu to nie przeszkadzało.

- Zawsze sądziłem, że powinienem tam pojechać jak ty.

Brian prychnął.

- Do Wietnamu? Zła wojna w złym momencie. Nie bądź stary i głupi. Wylądowałem tam z niewłaściwych powodów. Romantyzm, emocje, źle ulokowane poczucie obowiązku... może akurat ten powód nie był niewłaściwy... ale lojalność, honor i wszystkie te piękne słowa przypisywane ludziom, co idą na wojnę... Drogo za to zapłaciłem. Wiesz o tym.

Adrian poczuł się, jakby dostał burę. Zawsze zapominał języka w gębie i jękał się, kiedy próbował rozmawiać ze starszym bratem o uczuciach. Brian pod każdym względem wydawał się tak doskonały, tak godny podziwu. Wojownik. Filantrop. Człowiek prawa i rozsądku. Nawet kiedy obaj wydorośleli i Adrian zdobył na studiach gruntowną wiedzę o zespole stresu pourazowego i atakach mrocznej depresji, które nieustannie nękały Briana, trudno mu było przełożyć teorię z sali wykładowej na praktyczne rady dla kogoś, kogo kocha. Tak wiele chciał powiedzieć, ale słowa zawsze zamierały mu na ustach i spadały w otchłanie zapomnienia.

Brian nasadził hełm na głowę i zsunął go trochę do tyłu, żeby omieść spojrzeniem niebieskich oczu parking przed apteką.

- Dobre miejsce na zasadzkę - stwierdził w roztrągnięciu. - No, nic się na to nie poradzi. Pierwsze pytanie: Kim jest Jennifer? Trzeba się tego dowiedzieć. Potem zajmiemy się pytaniem: Dlaczego?

Adrian skinął głową. Zerknął w stronę różowej czapki Red Sox na siedzeniu samochodu. Brian podążył za jego wzrokiem.

- No właśnie - podchwycił od razu. - Ktoś ją rozpozna. Mówisz, że szła pieszo?

- Tak. Spieszyła się na przystanek.

- Czyli wyruszyła z twojej dzielnicy?

- To byłoby logiczne.

- Cóż... Od tego zacznij. Wytycz sobie jakiś teren. Powiedzmy, sześć przecznic, parę kilometrów, a potem działaj systematycznie. Zapisuj adresy odwiedzonych domów i komentarze ludzi. Ktoś zobaczy tę czapkę, usłyszysz imię i wskaże ci właściwy kierunek.

- Przecież to z pięćdziesiąt, siedemdziesiąt pięć domów... Dużo dzwonek do wciśnięcia.

- I wciśniesz wszystkie po kolei.

Adrian pokiwał głową.

- Słuchaj, Audie. - Brian użył zdrobnienia z dziecięcych lat.

- Praca śledcza to głównie zdzieranie butów. To nie Hollywood, nic pasjonującego. Zwykła harówka. Wysilek fizyczny. Przekształcasz przypuszczenia w szczegóły i fakty, a potem zbierasz je do kupy. Większość śledztw to puzzle. Według autorów kryminałów i producentów telewizyjnych przypominają te składane z tysiąca elementów reprodukcje *Mony Lisy* albo mapy świata. Częściej jednak są jak drewniane układanki z klocków, które daje się przedszkolakom. Dopasuj klocki do wyciętej sylwetki krowy albo kaczki. Tak czy inaczej, kiedy kończysz, widzisz całość. I dlatego sprawia to taką satysfakcję. - Zrobił krótką przerwę. - Pamiętasz, jak ci opowiadałem o dochodzeniu, które tam prowadziłem? To było pierwszego lata po moim powrocie, na Cape. Rozpaliliśmy ognisko na plaży, wypiliśmy kilka piw za

dużo i rozmowa zeszyła na ten temat... Chodzi o tę historię, kiedy cztery razy przesłuchałem całe dwa plutony, zanim prawda zaczęła wychodzić na jaw...

Adrian to pamiętał. Brian rzadko mówił o swoim pobycie w Wietnamie i walkach, które widział jako żołnierz żandarmerii. Rok 1969. Sprawa o gwałt. Bulwersująca i moralnie niejednoznaczna - ofiara należała do Wietkongu, Brian nie miał co do tego wątpliwości, oskarżeni również. Innymi słowy, była wrogiem - choć brakowało niezbitych dowodów. I dlatego, cokolwiek ją spotkało, cóż... zapewne na to zasłużyła. A przynajmniej tak to sobie usprawiedliwiali pięciu żołnierzy, którzy w wiejskiej chacie brali ją jeden po drugim dotąd, aż prawie wyzionęła ducha, więc zostało im tylko jedno realne wyjście. W takich sprawach próżno szukać moralnej słuszności, a ustalenie prawdy o czymś, co wydarzyło się na marginesie wojny, nikomu nie przynosi korzyści. Zgwałcono kobietę. Dowódca kazał przeprowadzić śledztwo. Brian znalazł winnych. I nic. Sporządził raport. Wojna trwała dalej. Ludzie ginęli.

Brat zarzucił karabin na ramię.

- Tam. - Wskazał w głąb drogi. - To może męczące, ale konieczne. Będziesz pamiętał, o co pytać? Lepiej, żebyś nie zapomniał...

- Musisz mi podpowiadać - odparł Adrian. - Rzeczy wylatują mi z głowy, kiedy nie uważam.

- Będę przy tobie - zapewnił go Brian.

Adrian chciał wyrazić żal, że przed laty nie mógł obiecać bratu tego samego. Nie było go u boku Briana, kiedy ten potrzebował jego wsparcia. Ot, i wszystko. Na tę myśl zachciało mu się płakać i zrozumiał, że to znak, że nie w pełni kontroluje swoje rozchwiane emocje. Przecież nie mógł zalać się łzami w słoneczny, bezchmurny, łagodny poranek, stojąc na parkingu apteki w małym, tętniącym życiem pasażu handlowym na skraju swojego miasta. Wzbudziłby niepożądane zainteresowanie. To nie byłoby wskazane.

Nie dla detektywa, którym musiał się stać.

Wsunął się za kierownicę i ruszył do swojej dzielnicy. Nawet w jasnym wiosennym słońcu nagle wydała mu się dużo bardziej mroczna i tajemnicza niż kiedykolwiek przypuszczał, że to możliwe.

Zapukał do dwudziestu drzwi. Prawie połowa się nie otworzyła, a za pozostałymi nie czekało nic ciekawego. Ludzie odnosili się do niego uprzejmie - sądzili, że ma coś na sprzedaż albo zbiera datki na jakiś szlachetny cel, jak czysta woda czy ratowanie wielorybów. Kiedy pokazywał im czapkę i mówił imię dziewczyny, robili wielkie oczy.

Był sam, przed nim kroczył Brian. Jego brat założył przeciwsłoneczne okulary i szedł z wigorem młodzieńca, więc zwykle wyprzedzał go o kilka kroków.

Adrian czuł się strasznie staro - choć nie był zmęczony i skrycie cieszył się z tego, jak twarde mięśnie jego nóg naprężyły się bez skargi, kiedy dotrzymywał kroku duchowi swojego brata.

Zatrzymał się, pozwolił, by poranne promienie załały mu twarz. Spojrzał w górę, na snopy światła tańczące z cieniami. Odwieczna walka - między sprowadzaniem światła a odnajdowaniem ciemności. Przypomniało mu to pewien wiersz; jego ulubieni pisarze zawsze sięgali po symbolikę z pogranicza dobra i zła.

- Yeats - powiedział na głos. - Brian, czytałeś *Walkę Cuchulaina z morzem*?

Brat zdjął karabin z ramienia i zatrzymał się półtora metra przed Adrianem. Kucnął, przykląkł na jedno kolano wpatrzony prosto przed siebie, jakby obserwował ścieżkę w dżungli, nie dzielnicę na przedmieściu.

- Mhm. Jasne. Zajęcia z poetyckich tradycji w poezji współczesnej na drugim roku. Z tego, co kojarzę, też się na nie zapisałeś i zaliczyłeś na lepszą ocenę.

Adrian przytaknął.

- Najbardziej podobał mi się ten moment, kiedy bohater uprzytamnia sobie, że zabił jedyne go syna... ratunkiem było tylko szaleństwo. Dlatego został zaczarowany, i uzbrojony w miecz

i tarczę stanął do walki z morskimi falami...

- ...”Fala niezwykczona...” - Brian zacytował słowa poety. Uniósł pięść, jakby zatrzymywał gestem cały pluton idący za nim gęsiego, nie swojego brata. Utkwił wzrok w ścieżce wyłożonej czerwonymi ceglami. - Idź przodem, Audie - szepnął. - Zajrzyj do tego domu. - Mówił cicho, ale stanowczo jak dowódca.

Adrian podniósł głowę. Jeszcze jeden zadbany drewniany domek na przedmieściach, praktycznie taki sam jak wszystkie pozostałe. Z jego własnym włącznie.

Westchnął i podszedł do drzwi. Brata zostawił na chodniku. Dwa razy nacisnął dzwonek i kiedy już miał odwrócić się i odejść, wewnątrz usłyszał szybkie kroki. Drzwi uchyliły się i stanął twarzą w twarz z kobietą w średnim wieku. W dłoni trzymała ścierkę do naczyń, miała przekrwione oczy i potargane blond włosy. Pachniała dymem i lękiem. Wyglądała, jakby nie spała od miesiąca.

- Przepraszam, że przeszkadzam - wyjąkał.

Kobieta zajrzała mu za plecy. Głos jej drżał, ale próbowała być uprzejma.

- Proszę pana, nie interesują mnie Świadkowie Jehowy, mormoni ani scjentologia. Dziękuję, ale nie, dziękuję...

Zaczęła zamykać drzwi.

- Nie, nie - powiedział Adrian.

Z tyłu usłyszał stanowczą komendę brata: Pokaż jej czapkę!

Wyciągnął różową bejsbolówkę przed siebie. Kobieta znieruchomiała.

- Znalazłem to na ulicy. Szukam...

- Jennifer - wymamrotała kobieta.

Natychmiast wybuchnęła płaczem.

ROZDZIAŁ 10

Kiedy Terri Collins wreszcie dostała się na twardy dysk komputera i ostrożnie skopiowała wszystko, żeby niczego przy tym nie zniszczyć, był już późny poranek i choć zdrzemnęła się na kanapie przed pokojem przesłuchań, to i tak padała z nóg. Wokół niej biuro obudziło się do życia. Pozostali trzej detektywi z małej jednostki siedzieli za biurkami, rozmawiali przez telefony, przeglądali akta prowadzonych śledztw. Do Terri przyszło też wezwanie od komendanta. Żądał meldunku o aktualnym stanie dochodzenia. Usiłowała więc naprędce sklecić jakąś analizę zniknięcia Jennifer. Żeby dalej prowadzić tę sprawę, musiała przynajmniej stworzyć wrażenie, że doszło do przestępstwa - w przeciwnym razie szef każe jej zrobić to, co już zrobiła, czyli rozesłać zdjęcie, rysopis i stosowne ogólnoinstanowe i ogólnokrajowe komunikaty, a potem wrócić do śledztw, które w odróżnieniu od tego mogły się zakończyć aresztowaniem i wyrokiem skazującym.

Z poczuciem winy spojrzała na stertę akt w rogu biurka. Trzy napaści na tle seksualnym. Jedna napaść zwykła - bójka w barze podczas meczu Jankeśów z Red Soksami, napad z użyciem broni (po co studentowi z Concord, ekskluzywnej podmiejskiej dzielnicy Bostonu, nóż sprężynowy?). Kilka spraw związanych z narkotykami, poczynając od małej torebki marihuany, a kończąc na kilogramie kokainy, którą student próbował sprzedać tajemnikowi. Wszystkim tym dochodzeniom należało poświęcić uwagę, a już napaściom na tle seksualnym szczególnie. Z grubsza były takie same - dziewczyny za dużo wypity w domu studenckim albo na imprezie w akademiku i zostały wykorzystane. Ofiary bez wyjątku wahały się, sądziły, że w pewnym sensie same zawiniły. Może, pomyślała Terri. Piwo łało się strumieniami, hamulce puściły, dziewczyny zaczęły prowokacyjnie tańczyć i

pewnie posłuchały nawoływań „pokaż cycki!”, częstych na takich imprezach w kampusie. Ale sprawy nie powinny zajść aż tak daleko. Terri czekała na wyniki toksykologii i podejrzewała, że w próbkach zostanie wykryte ecstasy. Wszystkie te zdarzenia zaczynały się podobnie: „Hej, mała, postawię ci drinka...” Zatłoczona sala, łomot muzyki, ciasno ściśnięte ciała. Dziewczyna nawet nie zauważa, że sączony z plastikowego kubka drink jakoś dziwnie smakuje. Skład: jedna część wódki, dwie części toniku, tabletką gwałtu.

Nie cierpiała patrzeć, jak seksualni drapieżcy wymykają się sprawiedliwości, kiedy speszone i otrzeźwiałe dziewczyny i ich zawstydzeni rodzice wycofują zarzuty kryminalne, które starannie udokumentowała. A potem zamieszani w to chłopcy, kiedy już zostaną maklerami na Wall Street, lekarzami czy innymi szanowanymi profesjonalistami, na pewno będą chełpić się dokonywanymi za młodu podbojami. Uważała, że jako policjantka ma obowiązek dopilnować, żeby droga na szczyt kosztowała ich trochę potu i blizn.

Poszła nalać sobie czwartą kawę tej długiej nocy, przechodzącej w długi dzień.

Inne sprawy powinny mieć pierwszeństwo, pomyślała.

Wyciągnięcie Jennifer Riggins z bagna emocjonalnego, które zrodziło potrzebę ucieczki, zdecydowanie wykraczało poza zakres kompetencji detektywa.

Nie mogła jednak zdobyć się na to, by ot tak pozwolić dziewczynie uciec. Terri za dobrze znała statystyki.

I znała pragnienie ucieczki tak dogłębnie, że nigdy tego nie zapomni.

Raz sama musiałaś uciekać. Dlaczego uważasz, że w tym przypadku jest inaczej?

Odpowiedziała sama sobie: Nie miałam szesnastu lat. Byłam dorosła, z dwójką małych dzieci.

Albo: prawie dorosła.

A mimo to musiałaś uciec, prawda?

Z tym pytaniem huczącym w głowie zwała się na fotel za biurkiem. Bujała się, próbując sobie wyobrazić, dokąd uciekła Jennifer. Wychyliła się do przodu i pociągnęła duży łyk kawy.

Na kubku było duże czerwone serce i napis „Najlepsza mama na świecie” - przewidywalny prezent na Dzień Matki od dzieci. Wątpiła, czy te słowa są zgodne z prawdą, ale robiła, co w jej mocy, by takie się stały.

Po sekundzie westchnęła, wzięła pendrive'a ze skopiowaną zawartością twardego dysku laptopa Jennifer i podłączyła go do swojego komputera. Potem odchyliła się na oparcie i zaczęła badać życie szesnastolatki w nadziei, że na ekranie przed nią zacznie się rysować swoista mapa drogowa.

Konto Jennifer na Facebooku wyglądało zaskakująco. Pod Znajomi figurowała grupka jej kolegów i koleżanek ze szkoły. Poza tym kilka gwiazd rocka i popu, od - co mogło dziwić - Lou Reeda, starszego od jej matki, do Feist i Shanii Twain. Terri spodziewała się raczej Jonas Brothers i Miley Cyrus, ale gusty Jennifer leżały zdecydowanie poza głównym nurtem. W rubryce Lubię wpisała „wolność”, w Nie lubię - „pozerzy”. W świecie panny Riggins to słowo pewnie odnosiło się do wielu ludzi.

W części Profil Jennifer zacytowała kogoś o pseudonimie Fajnalaska99, kto napisał na swoim koncie facebookowym: „...wszyscy w szkole nienawidzą jednej takiej dziewczyny...”

I odpowiedziała: „To zaszczyt być nienawidzonym przez takich jak ona. Nigdy nie chcę być typem człowieka, którego mogłaby polubić”.

Terri się uśmiechnęła. Buntowniczką z mnóstwem powodów, żeby zwać. Poczowała trochę niegliniarskiego szacunku dla tej zaginionej i z tym większym smutkiem myślała o tym, co najprawdopodobniej spotka Jennifer na ulicach. Wtedy ucieczka przestanie się wydawać świetnym pomysłem. Może dziewczyna się opamięta i zadzwoni do domu - bez względu na to, jak straszna to będzie perspektywa.

Dalej przeglądała zawartość twardego dysku. Jennifer zagrała na próbę w kilka gier i sprawdziła w Wikipedii i na Google pewne informacje, prawdopodobnie potrzebne do szkoły. Skorzystała nawet z opcji tłumaczenia tekstu - pewnie robiła pracę domową z hiszpańskiego. Wyglądało na to, że nie była jakoś szczególnie

uzależniona od komputera. Miała konto Skype, ale lista kontaktów świeciła pustką.

Terri szybko przejrzała referat z historii Stanów Zjednoczonych na temat kolei podziemnej i wypracowanie z angielskiego o *Wielkich nadziejach* Dickensa - dokumenty odnalezione w katalogu Worda. Spodziewała się, że to teksty skopiowane z Internetu, ale - ku jej miłemu zaskoczeniu - myliła się. Jennifer zazwyczaj pracowała samodzielnie. W tych czasach to raczej wyjątek niż reguła.

Najwyraźniej lubiła też rymowanki. Ściągnęła sobie wierszyki Shela Silversteina i Ogdena Nasha - dziwny wybór jak dla współczesnej nastolatki. Terri znalazła plik o nazwie *Sześć wierszy dla Pana Futrzaka*, z rymowanymi dwuwierszami i haiku. Jennifer napisała to dla swojego misia. Niektóre - było ich dużo więcej niż sześć - całkiem zabawne. Terri się uśmiechnęła. Bystra dziewczyna, pomyślała znowu.

Grzebała dalej. Jennifer regularnie odwiedzała strony wegańskie i newage'owe - najprawdopodobniej po to, by spróbować zrozumieć swoją matkę i przyszywanego ojczyrna, kochanka matki.

Sprawdziła historię komputera. Liczyła, że znajdzie szczerą pamiętnik pełen tęsknot zagubionej nastolatki, ale nic z tego. Szukała dokumentu, który wskazywałby na plan Jennifer, jeśli to nie za duże słowo. Na darmo. Znalazła zdjęcia, ale większość przedstawiała dziewczynę i kilka jej przyjaciółek - roześmiane tuliły się do siebie i wygłupiały na imprezach, choć na każdym Jennifer trzymała się trochę na uboczu. Terri przeglądała kolejne obrazy i w końcu natrafiła na kilka nagich fotek. Jennifer pstryknęła je samej sobie. Nie więcej niż rok temu. Zapewne postawiła aparat cyfrowy na stosie książek, a potem przed nim pozowała. Fotografie nie były zbyt seksowne - wydawało się raczej, że nastolatka robi je po to, by dokumentować przemiany zachodzące w jej ciele. Smukła, z ledwo widocznymi wżórkami piersi. Długie nogi - na zdjęciach nieśmiało je krzyżowała, tak że rysował się tylko dyskretny cień włosów łonowych. Jakby wstydziła się

tego, co robi, choć była sama w swoim pokoju. Na dwóch fotografiach przybrała nastoletnią wersję seksownej, kuszącej miny - z którą wydawała się jeszcze młodsza i bardziej dziecinna. Terri uważnie obejrzała wszystkie JPG-i. Otwierała jeden po drugim na ekranie, spodziewając się, że gdzieś pojawi się nagi chłopak. Chciała wierzyć, że dzieci w tym wieku nie są aktywne seksualnie. Myślała tak jako matka. Jako detektyw z wieloletnim stażem wiedziała jednak, że rodzice nawet sobie nie wyobrażają, jak wielkie doświadczenie ich pociechy mają w tych sprawach. Seks oralny. Seks analny. Seks grupowy. Seks tradycyjny. Dzieciaki znały to wszystko, często z autopsji. Terri skrycie cieszyła się, że jedyne prowokacyjne zdjęcia na komputerze przedstawiały tylko Jennifer.

Na chwilę przerwała i pomyślała, że w tych obrazach jest jakiś smutek. Jennifer fascynowało to, w kogo się przeobraża - ale jej nagość była przede wszystkim nagością samotności.

Już kończyła przeglądać zawartość komputera, kiedy rzuciły jej się w oczy dwa tematy w historii wyszukiwań w Google. Pierwszy to *Lolita* Nabokowa - książka spoza szkolnej listy lektur. Drugi to „mężczyźni, którzy się obnażają”.

I tu mnóstwo wyników. Ponad osiem milionów pozycji. Jennifer jednak sprawdziła tylko dwie: Yahoo Answers i psychologiczne forum dyskusyjne z linkiem do serii publikacji Wydziału Psychiatrii uniwersytetu Emory na temat podglądaczy i ekshibicjonistów. Napisane żargonem medycznym, za trudne dla szesnastolatki, choć Jennifer to najwyraźniej nie odstraszyło.

Terri odchyliła się na oparcie. Nie potrzebowała wiedzieć nic więcej. Miała przed sobą przestępstwo. Nie dałaby rady go udowodnić - słowo Jennifer przeciwko słowu Scotta. Nawet matka - to co, że niesłusznie - prawdopodobnie uwierzyłaby jemu, nie córce. Ale ono w pełni wyjaśniało pragnienie, by spakować rzeczy i uciec w siną dal.

Terri wróciła do wierszy dla Pana Futrzaka. Jeden z nich zaczynał się: „Widzisz to, co widzę ja...”

Może tak było. Ale miś za cholerę nie zezna tego w sądzie.

Zadzwonił telefon na biurku. Komendant domagał się meldunku. Terri wiedziała, że musi bardzo ostrożnie dobierać słowa. Scott był znany w mieście i miał wielu wpływowych przyjaciół w lokalnych władzach. Pewnie w różnych okresach leczył połowę rady miejskiej, o ile to można nazwać leczeniem.

- Zaraz przyjdę - powiedziała.

Zabrała część notatek i ruszyła do wyjścia. W połowie drogi do drzwi znów usłyszała dzwonek telefonu. Stłumiła przekleństwo i pobiegła z powrotem do biurka. Podniosła słuchawkę przy piątym sygnale, tuż zanim włączyła się poczta głosowa.

- Detektyw Collins - rzuciła.

- Tu Mary Riggins. - Szloch. Dyszenie.

Z trudem kontrolowany głos, w którym brzmiało gwałtowne wzburzenie.

- Tak, pani Riggins. Właśnie wybieram się do komendanta...

- Ona nie uciekła. Jennifer porwali, pani detektyw - na poły wyszłochała, na poły wykrzyzczała matka na drugim końcu linii.

Terri nie spytała od razu o szczegóły ani o to, skąd Mary to wie. Słuchała sączących się ze słuchawki dźwięków matczynej udręki. Miała wrażenie, że to jakiś koszmar. Nie orientowała się tylko jaki.

ROZDZIAŁ 11

Jennifer obudziła się z wrażeniem, że coś się zmieniło, i dopiero po chwili załapała, że ma wolne ręce, a nogi nie są już przykute do łóżka. Wynurzając się z narkotycznej mgły, czuła się jak ktoś, kto wdrapuje się na strome wzgórze - chwyta się ziemi i gałęzi, podczas gdy grawitacja ściąga go w dół.

Sięgnęła do twarzy. Nadal miała kaptur. Dotknęła jedwabistego materiału. Chciała go chwycić, zerwać z głowy, zobaczyć, gdzie jest - ale rozsądek jej podpowiadał, żeby tego nie robić. Odetchnęła głęboko. Coś ją dusiło. Powoli opuściła dłonie. Obroza. Z taniej skóry, nabita kolcami i ciasno zaciśnięta na szyi.

Wymacała koniec łańcucha z nierdzewnej stali, który ją przytrzymał w miejscu, ale pozostawiał pewną swobodę ruchów. Sięgnęła do kostek; kajdanki zniknęły.

Przejechała palcami po skórze. Szukała ran i obrażeń, ale żadnych nie znalazła, choć to nie znaczyło, że ich nie ma. Ubrana była tylko w skąpą bieliznę. Powoli położyła się z powrotem na łóżku, wpatrzona wewnątrz kaptura w punkt, gdzie według jej wycucia powinien być sufit, nad sufitem dach, a nad dachem niebo.

Rozeznała się w sytuacji. Lepiej niż przedtem - nie leży już z rozkrzyżowanymi ramionami i nogami, ręce są wolne. Wciąż jednak była do czegoś przykuta. Nagle uprzytomniła sobie, że musi natychmiast skorzystać z toalety; i że nadal strasznie jej się chce pić. Wiedziała, że powinna być głodna, ale strach wypełniał jej żołądek. Czowała ból w miejscu, gdzie dostała cios; chyba zrobił się siniec. Jednak żyje. Tak jakby. Wciąż nie miała pojęcia, co się z nią stało. Pamiętała jedynie jak przez mgłę krótką rozmowę - z jakiegoś powodu istotną. Zasady. Kobieta mówiła o zasadach. Jennifer odnosiła wrażenie, że ta rozmowa odbyła się innego dnia, innego roku, może nawet we śnie. Jej wyobraźnię załaty rozmaite wyjaśnienia, co jedno to straszniejsze. Usilnie starała się wymazać je z głowy. Powiedziała sobie, że choć pod kapturem wszystko się wydaje puste i beznadziejne, to wciąż oddycha, a to już coś. Ostrożnie przesunęła palcami po łańcuchu połączonym z obrozą na szyi. Zdała sobie sprawę, że może się ruszać, ale tylko na tyle, na ile pozwoli łańcuch. Na razie nie próbowała skorzystać z tej nowo odkrytej wolności.

Naszła ją wielka pokusa, by pociągnąć za łańcuch, zobaczyć, czy da się go od czegoś tam oderwać. Zwalczyła ją jednak. To byłoby wbrew zasadom.

- Obudziła się!

Mężczyzna zgarbiony nad monitorem komputera w Londynie zeszywniał. Siedział sam w małym gabinecie w głębi swojego apartamentu, za biurkiem zawalonym propozycjami, figurkami i schematycznymi rysunkami. Był rysownikiem i nieopodal stał

wysoki stół, na którym od czasu do czasu wykonywał ilustracje piórkami i tuszem - choć ostatnio przeważnie pracował na komputerze wyposażonym w nowoczesne oprogramowanie. Samotnik, wolny strzelec. Pracował we własnym mieszkaniu i cieszył się dużym wzięciem. Gdyby chciał, zafundowałby sobie jaguara. Żałował, że nie ma u boku kogoś, z kim mógłby podzielić się swoim zadziwieniem; ale to miałyby się z celem, pomyślał. *Serię numer 4* należy podziwiać, kontemplować i przetrawiać w samotności, z dala od ludzi.

Uważnie patrzył na postać na ekranie. Numer 4 wydawała się rozkosznie młoda, jeszcze dziecko. On sam miał dzieci z nieudanego małżeństwa, ale rzadko je widywał i w tym momencie myślami był daleko od nich. Podziwiał smukłą sylwetkę Numeru 4, poczuł gwałtowny przyptyk podniecenia. Wyobrażał sobie jej perłową gładką skórę i jego lewa dłoń drgnęła, próbując pieścić Numer 4 przez monitor. Jak na zawołanie, kamera zrobiła zbliżenie. Numer 4 wyciągała ręce jak ślepiec poszukujący czegoś namacalnego, co mógłby odczytać opuszkami palców. Ilekroć dotykała nicości - powietrza przed sobą - albo czegoś konkretnego, choćby ściany, do której była przykuta łańcuchem, rysownika przeszywał przyjemny dreszcz.

- Próbuje wybadać, gdzie jest... - powiedział na głos, znów do nikogo. - Ale nie ma szans...

Numer 4 trzymała się blisko łóżka. Wyglądała, jakby bawiła się w ciuciubabkę. Gdy tylko się poruszyła, choćby lekko, mężczyzna w Londynie nachylał się bliżej ekranu. W pewnym sensie był równie samotny jak ona, choć wiedział, że wielu innych ludzi na całym świecie ogląda Numer 4 w takim samym skupieniu jak on.

Była więźniem ich fantazji.

Jennifer instynktownie rozumiała, że panika nic nie da, ale odparcie fal strachu wymagało wielkiego wyężenia woli. Oddychała ciężko, serce biło coraz mocniej. Czowała pot, łyzy i wszystko, co związane z lękiem. Musiała się wysilić, żeby powstrzymać drżenie dłoni. Jej ciałem wstrząsały mimowolne ruchy, spazmy, drgania, dreszcze. Nie mogła nad nimi zapanować. Wydawało

jej się, jakby w tej chwili były dwie Jennifer; ta, która usiłowała pojąć coś z tego, co się dzieje, i druga, która chciała ulec czarnej rozpaczce.

Aby przeżyć, wiedziała, że ta pierwsza musi zwyciężyć.

Kontekst. Dostosuj się do tego, co możesz zrozumieć.

Nigdy nie widziała Patricka McGoohana w serialu *Więzień*. Nigdy nie poszła do biblioteki, żeby przeczytać *Kolekcjonera* Johna Fowlesa. Nie miała zielonego pojęcia o Barbarze Jane Mackle i poświęconych jej artykułach, książce i filmie telewizyjnym. Nie oglądała nawet horrorów z serii *Piła*, popularnych wśród nastoletnich chłopców, dla których połączenie makabry, sadyzmu i golizny było najlepszą rozrywką. Nie widziała też łagodniejszej odmiany tego samego, przedstawionej w *Truman Show*. Sir Alec Guinness prążący się w blaszanej skrzyni za to, że odmówił wydania swoim oficerom rozkazu, by budowali most na rzece Kwai razem z szeregowymi, dla niej nie istniał. Nic nie wiedziała o tego typu sztuce, literaturze i kryminalnym podłożu zniewolenia. W dzieciństwie nie miała żadnego zwierzaka, nawet złotej rybki w akwarium, która stale wpada na szklane ścianki w próbach poznania granic swojego świata.

Trudno więc było jej do czegoś porównać swoją sytuację.

Instynkt podpowiadał jednak pewne rzeczy - i choć niewyartykułowane, dodawały jej sił. Przypomniała sobie, że trzy razy odważyła się uciec. Teraz jest następna okazja, jeśli tylko zwalczy pokusę, by ulec przerażeniu. Powoli wciągnęła i wypuściła powietrze, uspokajając się.

Opuściła dłonie i dotknęła boków łóżka. W ciemności pod kapturem wyobraziła sobie metalową ramę i materac. Pod sobą miała szorstkie bawełniane prześcieradło. Pewnie surowo białe, pomyślała.

No dobrze. Zobaczmy, co się da wymacać.

Ostrożnie zsunęła nogi z łóżka i potarła podłogę palcami nóg. Cementowa, zimna w dotyku.

Jak podłoga piwnicy, stwierdziła w duchu. Odnosiła niejasne wrażenie, że powiedziała to głośno. Ciekawe, czy te słowa rzeczywiście wyleciały przez mały, wycięty w kapturze otwór, przez który podano jej zaprawioną narkotykami wodę. Zdezorientowana

nie mogła się rozeznąć, czy myśli formują się w artykułowane dźwięki i wychodzą jej z ust. Może tak. Może nie.

Poruszyła nogami na boki, żeby sprawdzić, czy są jakieś przeszkody. Nie było.

Nakazała sobie wstać. Powtórzyła polecenie. Chciała usłyszeć własny głos. Powiedziała więc cicho:

- No, wstawaj. Dasz radę.

Kiedy wychyciła różnicę między słowami wypowiedzianymi a pomyślanymi, dodało jej to trochę pewności siebie. Dźwignęła się na nogi.

Niemal od razu ją zemdlilo.

Kręciło jej się w głowie, jakby czerń przed oczami nagle stała się płynna. Zachwiała się lekko i omal nie gruchnęła z powrotem na materac albo na cementową podłogę. W końcu jednak złapała równowagę, zawroty głowy powoli ustały i poczuła, że odzyskuje władzę w osłabionych mięśniach. Żałowała, że nie jest silniejsza, jak choćby niektórzy napakowani sportowcy z jej szkoły.

Oddychając ciężko, ostrożnie zrobiła krok naprzód. Trzymała ręce wyciągnięte przed siebie. Nie dosięgały niczego.

Machnęła nimi w prawo, w lewo i uderzyła dłońią w ścianę. Odwróciła się lekko i ruszyła wzdłuż niej po omacku. Pod palcami czuła płaską płytę gipsową. Słyszała brzęk - to pewnie rozciągał się łańcuch opasujący szyję. Ocierał się o stół przy łóżku.

Uderzyła w coś kolanem i stanęła. Przez jedwabny kaptur przebił się silny zapach środka odkażającego. Bardzo ostrożnie schyliła się i jak ślepiec obmacała przeszkodę.

Sedes turystyczny. Siedzenie, trójnożna podstawa. Po kilku sekundach w jej myślach uformował się obraz napotkanego przedmiotu. Poznała, co to jest, dzięki łutowi szczęścia - kiedy była mała, ojciec zabrał ją pod namiot i strasznie wtedy narzekała, że każe się jej korzystać z czegoś tak prymitywnego, i to na powietrzu.

Teraz nie posiadała się z radości. Bolał ją pęcherz; a kiedy rozpoznała, co stoi u jej stóp, zaczął natarczywie domagać się ulgi.

Znieruchomiła. Czy ktoś ją obserwuje? Przypuszczała, że zasady pozwalają skorzystać z toalety. Nie wiedziała, czy może liczyć na prywatność. Ogarnęło ją poczucie urażonej godności nastolatki. Kultura osobista walczyła ze wstydem. Jennifer źle się czuła na myśl, że ktoś może ją widzieć.

Pęcherz jej pękał. Zdała sobie sprawę, że nie ma wyboru.

Stała nad sedesem, jednym szybkim ruchem ściągnęła majtki i usiadła.

Każda sekunda ulgi przejmowała ją wstrętem.

Przy monitorach w pokoju bezpośrednio nad więzieniem Jennifer, Michael i Linda oglądali każdy jej ruch. Nieporadne, niepewne, wykonywane po omacku czynności były cudownie niespieszne. Wyczuwali, jak dreszcze napięcia i fale fascynacji rozchodzą się w mrocznym świecie ich programu. Oboje doskonale zdawali sobie sprawę, że dla setek ludzi oglądanie Jennifer stanie się narkotykiem.

I, jak każdy dobry diler, wiedzieli, jak utrzymać podaż na odpowiednim poziomie, by zrównoważyć popyt.

ROZDZIAŁ 12

Terri Collins zerknęła na starca siedzącego w kącie salonu. Niemożliwe, że jestem tu z jego powodu, pomyślała.

Adrian Thomas poruszył się niespokojnie pod jej wzrokiem. Nieustępliwe spojrzenie pani detektyw wyrażało coś więcej niż tylko sceptycyzm. Różne myśli ciągnęły go w różne strony; oby tylko nie pogubił się jak wtedy, kiedy zadzwonił na policję. Odtworzył w pamięci swoje nieliczne spostrzeżenia i przechowywane w głowie szczegóły jak aktor przed wyjściem na scenę. Próbował złożyć wszystkie wrażenia w spójną ocenę tego, co zobaczył, żeby pani detektyw nie wzięła go za pomyłonego starszaka, nawet jeśli nim był. Kiedy odwróciła się do Mary Riggs i Scotta Westa, ukradkiem zerknął za siebie w nadziei, że

Brian przyczał się gdzieś w kącie i poradzi mu, jak zachowywać się wobec policjantki. On wiedziałby, co powiedzieć. W tej chwili jednak Adrian był sam - a przynajmniej bez pomocy.

- Pani Riggins - odezwała się powoli Terri. - Porwania to skomplikowane przestępstwa. Porywaczom zwykle chodzi o okup albo o to, żeby odzyskać utracone po rozwodzie dziecko.

Mary zaprzeczyła ruchem głowy, choć nikt jej o nic nie pytał.

- Jest jeszcze trzeci typ porwania - wtrącił Scott i spojrzął na policjantkę gniewnie. - Na tle seksualnym.

Terri przytaknęła.

- Rzadki. Jak porażenie piorunem.

- Myślę, że na tym powinniście się skupić - nie ustępował Scott.

- Tak, ale najpierw chciałabym wykluczyć inne...

- I tracić czas? – warknął.

Widziała, że zależy mu na tym, żeby zbadała ten wątek. Irytowało ją tylko, że wymusza to na niej człowieka, który sam prawdopodobnie robił rzeczy na pograniczu przestępstwa seksualnego. Postanowiła przejść do kontrataku.

- A może jest w tej sprawie coś, o czym mi państwo nie powiedzieli... - Zawiesiła głos i skierowała wzrok na Scotta. - Może w pańskiej praktyce... - zaczęła pomału, ale stopniowo się rozpuściła, w miarę jak z jej ust wychodziły kolejne słowa - ...był jakiś pacjent, zły, niezadowolony albo nawet psychopata... który chciałby pana skrzywdzić i wybrał Jennifer na narzędzie zemsty...

Scott natychmiast uniósł dłoń.

- To wysoce nieprawdopodobne. Doskonale znam swoich pacjentów i żaden z nich nie dopuściłby się czegoś takiego.

- Cóż... - ciągnęła Terri. - Na pewno miał pan... przypadki, które zakończyły się nie w pełni zadowolająco?

- Oczywiście - prychnął. - Każdy rozsądny terapeuta zdaje sobie sprawę, że nie wszystkim pacjentom pomoże. Niepowodzenia są nieuniknione...

- Czyli nie należy wykluczać, że jedno z tych „niepowodzeń”

może żywić do pana urazę? - spytała i bacznie obserwowała reakcję Scotta.

- To niedorzeczne, pani detektyw. - Mówił bardzo oficjalnym tonem. - Sama myśl, że któryś z moich podopiecznych uknuł tak przemyślną zemstę... nie. Niemożliwe. Gdyby ktoś żywił do mnie aż taką urazę, wiedziałbym o tym.

Jasne, prychnęła w duchu Terri. Musiała przypomnieć samej sobie, że cokolwiek sądzi o Scotcie, nie może to rzutować na ocenę sytuacji. Nie wolno jej też zadawać pytań na podstawie informacji uzyskanych z komputera Jennifer. Ale one kiedyś padną. Już nie mogła się doczekać.

- Tak czy owak, niewykluczone, że w którymś momencie poproszę pana o listę nazwisk.

Scott zbył to lekkim machnięciem ręki. Może to był znak zgody, może nie. Albo ani jedno, ani drugie. Terri tak czy tak nie liczyła, że facet spełni jej prośbę.

Znów odwróciła się do Mary Riggins.

- A co może mi pani powiedzieć o krewnych nieżyjącego męża?

Mary zrobiła zmieszaną minę.

- Cóż, nasze stosunki nie są idealne, ale...

- Ze względu na Jennifer?

- Tak. Jej dziadkowie narzekają, że za rzadko ją do nich przywożę. Mówią, że jest wszystkim, co im zostało z ich syna. Poza tym nigdy nie żyłam dobrze z jej ciotkami. Nie mam pojęcia dlaczego, ale chyba obwiniają mnie o jego śmierć. Ale nie aż tak, żeby...

Terri zauważyła, że Mary Riggins nie używa imienia swojego zmarłego męża. David. Niby drobiazg, ale to wydało jej się dziwne. Odetchnęła głęboko i mówiła dalej.

- Ich nazwiska i adresy też mogą być potrzebne. - Zawahała się. Szukała podłoża przestępstwa i jak dotąd usłyszała kilka rzeczy, które ewentualnie świadczyłyby o tym, że w tym domu kryje się coś, co przyczyniło się do zniknięcia Jennifer.

To jednak nie wystarczało. - A co z okupem? - spytała. - Zakładam, że nikt nie zażądał od państwa pieniędzy?

Mary Riggins gwałtownie pokręciła głową.

- Nie jesteśmy jakimiś bogaczami... to znaczy, zwykle uprowadza się dzieci biznesmenów albo polityków. Albo kogoś, kto ma dostęp do dużych pieniędzy, prawda?

- Może. - Terri słyszała znużenie w swoim głosie. Uznała, że to nieprofesjonalne.

- Przestępcy seksualni - powtórzył Scott ze złością. - Ilu ich mieszka w okolicy?

- Kilku. Zdobędę listę. Zdajecie sobie państwo sprawę, że prawdopodobieństwo, że Jennifer uprowadził z ulicy anonimowy przestępca, seryjny zabójca albo gwałcieł, jest znikome? Takie przypadkowe porwania zdarzają się w zasadzie tylko w filmach i...

- Ale się zdarzają - wtrącił Scott.

- Tak.

- Nawet w tej okolicy... - ciągnął.

- Tak. Nawet w tej okolicy - odparła Terri.

Scott triumfował. Terri widziała wiele powodów, żeby go nie lubić. Aż dziw, że ludzie wierzyli, że ten człowiek jest im w stanie pomóc.

- Na pewno znikają studenci z college'u i uniwersytetu... - upierał się.

- Owszem. Młodzi ludzie, którzy mają kłopoty z alkoholem, narkotykami, narzeczonymi i własną psychiką. W każdym przypadku...

- A co z tą dziewczyną z sąsiedniego miasta... tą, której ciało znaleziono w lesie sześć lat po tym, jak zniknęła...

- Znam sprawę. Dwa stany dalej aresztowano notowanego przestępcę seksualnego. Przyznał się do zabójstwa. I o ile wiem, nie było podobnej zbrodni na naszym terenie...

- O ile pani wie... - znów przerwał jej Scott.

- Tak. O ile wiem.

- Ale, pani detektyw... proszę wysłuchać profesora Thomasa. .. - wtrąciła Mary.

Terri znów odwróciła się w stronę starca. Patrzył przed siebie pustym wzrokiem, jakby myślał błędnie zupełnie gdzie indziej.

Jego oczy wydawały się zasnuwane szarą mgłą, oparami czegoś, czego nie potrafiła rozpoznać. To ją niepokoiło.

- Proszę jeszcze raz opowiedzieć, co pan widział - zażądała.
- Ze wszystkimi szczegółami.

Adrian powiedział jej o zdeterminowanej minie Jennifer i o furgonetce - że pojawiła się znikąd, zwolniła i powoli ruszyła śladem dziewczyny. Najlepiej jak umiał, opisał kobietę za kierownicą i mężczyznę, który zniknął z pola widzenia. Wspomniał, że wóz zatrzymał się na chwilę i odjechał z piskiem opon. I wreszcie opowiedział o różowej czapce na poboczu. To ona doprowadziła go na ulicę Jennifer, do jej domu i w końcu do tego salonu. Starał się mówić zwięźle i precyzyjnie; chciał, żeby jego relacja była wierna i rzeczowa. Nie przedstawił żadnego z wniosków, które wyciągnął, zmuszony przez duchy żony i brata; niech pani detektyw sama do nich dojdzie.

Widział, że im dłużej mówi, tym większa jest rozpacz matki dziewczyny i wściekłość jej faceta.

Tymczasem policjantka z każdym kolejnym szczegółem wydawała się coraz spokojniejsza. Jak zawodowy pokerzysta chytrze ukrywała to, co naprawdę myśli.

Kiedy przerwał, opuściła głowę i przejrzała notatki. W tej chwili usłyszał szept.

- Chyba jej nie przekonałeś - powiedział Brian.

Adrian nie odwrócił się w stronę dźwięku. Nie odrywał oczu od pani detektyw.

- Myśli o tym, to dobrze. Ale po prostu w to nie wierzy. Na razie - ciągnął Brian stanowczym, pewnym głosem.

Adrian ukradkiem zerknął w bok.

Brat siedział obok niego na kanapie. Brian - teraz już nie żołnierz z Wietnamu, ale dojrzały, nowojorski radca prawny. Jego piaskowe włosy trochę się przeredziły, dystygowana siwizna oprószyła kosmyki spływające na uszy i kołnierz koszuli. Zaw sze nosił długie włosy - niezwiązane w koński ogon starego hipisa, tylko w antyestablishmentowym nieładzie. Miał na sobie drogi niebieski garnitur w prążki i szytą na miarę koszulę, za to

krawat poluzowany. Odchylił się do tyłu i założył nogę na nogę.

- Nie, nic z tego. Ileż ja razy widziałem takie unikanie wzroku. Zwykle to znak, że klient chce cię okłamać, ale na początku ma z tego powodu wyrzuty sumienia. Ona w tej chwili myśli, że sprawa, którą uważała za prostą, ot, ucieczka nastolatki z domu, może rzeczywiście okazać się czymś dużo większym. Nie jest jednak pewna, a chce zrobić wszystko, jak trzeba, bo w razie błędu pożegna się z premią. - Brian mówił melodyjnym głosem, prawie jakby jego ocena detektyw Collins była jednym z wierszy, które Adrian tak lubił. - Wiesz, Audie. Nie będzie lekko.

- No to co dalej? - Adrian zabronił sobie spoglądać w bok, ale zrobił to, bo chciał zobaczyć twarz brata.

- Słucham? - spytała Terri i popatrzyła na niego, zanim zdążył odwrócić się z powrotem.

- Nie, nic. Tak tylko głośno myślę.

Detektyw dalej gapiła się na niego, tak długo, że poczuł się niezręcznie. Ani matka dziewczyny, ani jej kochanek terapeuta nie zwrócili uwagi na tę krótką wymianę zdań. Byli zbyt pochłonięci własnym koszmarem, by zajmować się cudzym.

- Bystra - zauważył Brian z nutą uznania. - Zna się na rzeczy, nie wie tylko, co właściwie musi zrobić. Na razie. Wytlumacz jej to, Audie. Matka i jej obleśny kochanek... oni nic nie znaczą. Zupełnie nic. Ale ta detektyw owszem. Pamiętaj o tym.

Adrian skinął głową, ale nie miał pojęcia, co powiedzieć. Mógł jedynie opisać, co dokładnie zobaczył, i niech sama wyciągnie wnioski.

- Teraz zada ci parę szczegółowych pytań - szepnął mu na ucho Brian. - Potrzebuje więcej informacji, żeby mieć z czym pójść do szefa. I próbuje cię wy badać. Chce się zorientować, na ile jesteś wiarygodnym świadkiem.

- Profesorze Thomas - zagaiła nagle Terri. - Chociaż może woli pan, żebym mówiła „doktorze”...

- Wszystko jedno.

- Ma pan doktorat z psychologii, prawda?
- Tak, ale nie prowadzę terapii jak doktor West. Ja byłem raczej od myszy w labiryntach i tym podobnych. Ot, szcurz laboratoryjny...

Uśmiechnęła się, jakby to określenie rozładowało część napięcia w pokoju, choć wcale tak się nie stało.

- Oczywiście. Chciałabym tylko, żeby wyjaśnił mi pan parę rzeczy. Tak naprawdę nie widział pan, że Jennifer siłą wciągnięto do furgonetki...

- Nie.

- Nie widział pan, żeby ktokolwiek ją złapał, uderzył czy w ogóle użył wobec niej przemocy.

- Nie. Była i zniknęła. Z miejsca, gdzie siedziałem, nie zdołałem dojrzeć, co się z nią dokładnie stało.

- Słyszał pan krzyk? Odgłosy szamotaniny?

- Przykro mi, ale nie.

- Czyli mogła wsiąść do tej furgonetki dobrowolnie?

- Odniosłem inne wrażenie, pani detektyw.

- I nie sądzi pan, by mógł rozpoznać kierowcę albo pasażera?

- Nie wiem. Widziałem ich tylko z profilu, a i to przez kilka sekund. W półmroku. Robiło się ciemno.

- Nie, Audie, to nieprawda. Widziałeś dość. Raczej rozpoznałbyś tych ludzi, gdybyś ich znowu zobaczył.

Adrian zaczął się odwracać do brata, żeby zaprotestować, ale w porę się powstrzymał. Miał nadzieję, że policjantka nie zważyła jego nerwowych ruchów.

Terri Collins skinęła głową.

- Dziękuję. Bardzo pan pomógł. Odezwę się do pana, jak sprawdzę jeszcze parę rzeczy.

- Dobra jest - rzucił Brian. Wychylony do przodu prawie dotykał ramienia Adriana. Był wyraźnie ożywiony. - Naprawdę dobra. Ale niestety cię splanawia, Audie.

Zanim Adrian mógł cokolwiek dodać, odezwał się Scott.

- Jaki będzie pani następny krok, pani detektyw? - spytał tak rzeczowym tonem, jakby oznajmiał: „oczekujemy wyników”.

Adrian domyślał się, że inni musieli płacić za przywilej słuchania tego faceta.

- Spróbuję się czegoś dowiedzieć o opisanym przez profesora Thomasa podejrzanym pojeździe. To coś konkretnego, czym będę się mogła zająć. Poszukam też podobnych porwań w stanowych i federalnych bazach danych. Gdyby ktoś się z państwem skontaktował, proszę zachować ostrożność.

- Nie wezwie pani na pomoc FBI? Może przydałoby się założyć podsłuch na nasze telefony?

- Na to jeszcze trochę za wcześnie. Ale pojedę na komendę i omówię to ze swoim szefem.

- Myślę, że Mary i ja powinniśmy przy tym być - obruszył się Scott.

- Jak pan chce.

- Pracowała już pani kiedyś nad porwaniem, pani detektyw?

Terri się zawahała. Nie zamierzała powiedzieć prawdy, która brzmiała „nie”. To tylko pogorszyłoby sytuację i według policyjnego regulaminu popełniłaby duży błąd.

- Pojadę z panią i zobaczę, jak komendant zareaguje... - Odwrócił się do Mary. - Ty zostań tutaj. Siedź przy telefonie. Zwracaj uwagę na wszystko, co wyda ci się podejrzane.

W odpowiedzi Mary tylko zaszlochała, ale ten odgłos wyrażał zgodę.

Adrian zdał sobie sprawę, że jak dla nich - Scotta i pani detektyw - jego rola się zakończyła. Usłyszał, jak Brian zmienia pozycję na kanapie obok niego.

- A nie mówiłem? - wycedził cicho. - Ten palant myśli, że jesteś tylko starym pierdołą, który przypadkiem zobaczył coś ważnego. A policjantka uważa, że usłyszała już wszystko, co miałeś do powiedzenia. Typowe.

- Co mam zrobić? - spytał Adrian. Nagle stwierdził, że tak jak przedtem nie jest pewien, czy powiedział to na głos, czy tylko pomyślał.

- Nic. I wszystko - odparł nieżyjący brat. - W sumie to nie tylko od ciebie zależy, Audie. Choć w dużej mierze tak. Ale bez obaw. Mam pewne pomysły.

Adrian pokiwał głową. Rozejrzył się za marynarką. Na pewno zdjął ją, kiedy wszedł, i zostawił na kanapie. A może zawiesił na oparciu krzesła? Rozejrzył się i zorientował, że przez cały czas miał ją na sobie. Uśmiechnął się, ale ktoś w pokoju zauważył jego krępujące roztargnienie.

ROZDZIAŁ 13

Większość swojej kariery naukowej Adrian poświęcił badaniom strachu. Był to dużo bardziej złożony przedmiot, niż przypuszczał, przystępując do swoich studiów. Zainteresował się tym zagadnieniem prawie pięćdziesiąt lat wcześniej, w trakcie prawdziwie koszmarnej podróży do domu po pierwszym semestrze na uczelni. Zamiast paść w przerażenie, zafascynowany patrzył na reakcje innych pasażerów, gdy samolotem trzęsło i rzucało po czarnym, zaciągniętym chmurami burzowymi niebie. Pochłonięty obserwacją zapomniał o strachu. Modlitwy. Wrzaski. Zbielałe kłykcie. Szlochy. W pewnym momencie samolot runął w dół z takim pędem, że aż bebechy się przewracały. Wycie silnika prawie zagłuszyło wszystkie krzyki. Adrian spojrział dokoła i poczuł się jak jedyny przytomnie myślący szczur w przerażającym labiryncie.

Już jako profesor przeprowadził niezliczone doświadczenia w laboratorium, by zidentyfikować czynniki postrzegania, które pobudzają przewidywalne reakcje mózgu. Badania wizualne. Słuchowe. Dotykowe. Część funduszy pochodziła z grantów rządowych - a ściśle od wojska, i zresztą nikt tego specjalnie nie krył, siły zbrojne zawsze szukają sposobów, żeby oduczyć żołnierzy strachu. Dlatego lata spędzone przez Adriana na uczelni upływały między salami zajęciovymi, wykładami i laboratorium, gdzie pracował do późnej nocy otoczony przez asystentów. Wszystko to było satysfakcjonujące, często intrygujące i dawało nadzwyczajne poczucie spełnienia. Tyle tylko, że kiedy przeszedł na emeryturę, zrozumiał, że wie o przedmiocie swoich

badania dużo i bardzo mało zarazem. Wiedział, jak i dlaczego, dajmy na to, widok węża wywołuje u części badanych osobników przyspieszony oddech i tętno, pocenie się, zawężenie pola widzenia i niemal paniczny strach. Przeprowadził systematyczne studia nad odwrażliwianiem. Najpierw pokazywał badanym - zawsze byli to studenci psychologii - zdjęcia węży z „National Geographic” i pluszowych węży, by ostatecznie przejść do węży prawdziwych, i mierzył, na ile oswojenie się z widokiem zagrożenia zmniejsza strach. Robił też tak zwane badania ekspozycyjne: zniemacka stawiał ochotników przed dużą liczbą obiektów ich lęku. Przypominało to trochę scenę z *Poszukiwaczy zaginionej arki*, w której Indiana Jones znalazł się w jamie pełnej węży. Adrian nie lubił tego typu eksperymentów. Za dużo potu i krzyku. Wolał wolniejsze tempo badań laboratoryjnych.

Brian, zanim się zabił, często żartobliwie drwił z pracy Adriana. „Na wojnie nauczyłem się, że strach to nasz największy sprzymierzeniec, powiedział mu kiedyś. „Chroni nas, kiedy tego potrzebujemy, uczy nas widzieć świat może trochę w sposób wypaczony przez nadmiar ostrożności, ale ona, bracie, zazwyczaj wyciąga twój tyłek z kłopotów i pozwala dożyć jutra”.

Brian lubił mieszać palcem kostki lodu w szklance whisky. Ich grzechotem podkreślał swoje słowa. „Kiedy uważasz, że powinieneś się czegoś bać, to, do licha, powinieneś się bać, bo tylko wtedy będziesz mógł działać z sensem”.

Adrian przypomniał to sobie, kiedy szedł przez swój stary kampus. Uśmiechnął się i pomyślał o tym, jak bardzo tęskni za charakterystycznym stylem mówienia brata. W jednej chwili Brian perorował jak ubrany w tweed filozof z Oksfordu, by zaraz potem przybrać ton szorstkiego, klnącego jak szewc chłopaka z ulicy. Prawo było w sam raz dla niego. Mógł zostać aktorem, tyle tylko że nie cierpiał wykonywać poleceń i gdyby jakiś pretensjonalny reżyser próbował nim dyrygować, zaraz zszedłby ze sceny. Świetnie jednak potrafił wcielać się w role niezbędne do spraw, jakie prowadził. Dzielił czas między reprezentowanie hojnie płacących firm i pracę *pro bono* dla Amerykańskiej Unii Praw Obywatelskich i Centrum Obrony Praw Obywatelskich na Południu.

Organizacje te zlecały mu obronę skazanych na śmierć - wielu niesłusznie - którzy bez Briana nie mieliby większych szans, żeby uniknąć krzesła elektrycznego.

Potrafił sprawić, by każdy zobaczył w nim człowieka podobnego sobie.

Adrian pokręcił głową. Może ta zdolność mimikry nie była aż tak doskonała, bo pewnego ranka jego brat, którego uważał za najsilniejszego gościa na świecie, przystawił do skroni lufę pistoletu kaliber 9 milimetrów i pociągnął za spust.

Nie zostawił listu. To nie w porządku, sądził Adrian. Powinien się wytłumaczyć.

Jako psycholog własne życie poświęcił rozwiązywaniu zagadek. Dlaczego się boimy? Dlaczego zachowujemy się tak, a nie inaczej? Co sprawia, że czujemy to, co czujemy? Skąd bierze się strach?

A mimo to teraz, kiedy jego świadome życie dobiegało końca, wciąż nie znał odpowiedzi na najważniejsze nurtujące go pytania i choroba coraz bardziej utrudniała ich poszukiwanie.

Szedł przed siebie. Na chodnikach kampusu panował ruch. Adrian zawsze potrafił czytać ten rytm jak słowa na kartach książki. Jednym się spieszyło - ci byli spóźnieni na zajęcia; inni snuli się powoli, pokazywali, że zadane prace oddali i mają święty spokój.

Tego dnia Adrian kroczył pomału, statecznie - po części dlatego, że wiek dyktował mu takie tempo, ale i przez to, że przeglądał wspomnienia i usiłował zaplanować swoje następne posunięcie.

- Brian? - wykrztusił na głos. - Chyba potrzebuję twojej pomocy.

Dwie studentki uśmiechnęły się do niego i znów skupiły uwagę na telefonach komórkowych. Szły razem, ramię w ramię, dwie towarzyszki, ale rozmawiały z niewidocznymi znajomymi.

Niewiele się różnią ode mnie, stwierdził. Tyle że mój rozmówca nie żyje.

Czasem, po kilku drinkach, przy przygaszonych światłach brat opowiadał pewną historię. Słuchało tylko kilka osób, bo była

przeznaczona wyłącznie dla tych, którzy go kochali. Rozgrywała się podczas patrolu w dolinie A Shau.

„Byliśmy zaledwie dwa kilometry od bazy. Ostatni odcinek drogi po długim, nudnym dniu. Upał jak cholera, gorąco, chciało nam się pić, padaliśmy z nóg”.

Adrian się rozejrzył. Spodziewał się zobaczyć przy sobie Briana, bo głos w jego uszach, powtarzający wiele razy opowiedaną historię, brzmiał tak, jakby rozlegał się tuż obok. Ale Briana nigdzie nie było.

„Innymi słowy, Audie, najlepszy moment i idealna sytuacja, by stracić czujność”.

„Patrol składał się z dwudziestu żołnierzy; w poprzednim tygodniu trzy razy bez przeszkód pokonali tę samą trasę. Brian opisał scenerię: siedemdziesiąt pięć metrów z przodu gęsta kępa ciemnych drzew na prawo od rozległego pola ryżowego, po lewej kilka chat i ścieżka do pobliskiej wioski. Paru chłopów pracowało późnym popołudniem na polu. Same znajome, niegroźne obrazy. Nic niezwykłego”.

Brian zawsze powtarzał te ostatnie słowa co najmniej trzy razy. „Nic niezwykłego. Nic niezwykłego. Nic niezwykłego”.

Zupełnie jakby to była kłątwa.

Nieludzko zmęczeni chcieli jak najszybciej wrócić do bazy ogniowej, zjeść coś, odpocząć, może trochę się obmyć. Nie istniał żaden powód, by się zatrzymać, tłumaczył bratu.

Jednak tego dnia - Brian zawsze pamiętał, że to był wtorek - zarządził postój. Żołnierze, których prowadził, zwalili się na ziemię. Plecaki po dwadzieścia pięć kilo i upał czterdzieści stopni osłabiają proces decyzyjny, mówił. „Może powinienesz to zbać”, dodawał. Ludzie trochę narzekali - postój często dużo bardziej męczy niż dalszy marsz. Żołnierze ponuro sączyli wodę z prawie pustych manierek i palili papierosy, a Brian obserwował przez lornetkę linię drzew. Mocno skoncentrowany, pomału przesuwiał wzrokiem po każdym kształcie i cieniu. Nie dostrzegł nic. Zupełnie nic. Wtedy poczuł się jeszcze gorzej.

„Audie, to się czasem po prostu wie. Widzisz, że wszystko jest tak, jak być powinno, ale coś ci mówi, że to nieprawda. I takie właśnie poczucie ogarnęło mnie tego dnia. Wszystko było w zbyt idealnym porządku. Zdecydowanie”.

I dlatego wyznaczył na mapie współrzędne kępy drzew, a potem przekazał je bazie ogniowej - okłamując oficera artylerii, że zauważył ruch w zaroślach.

Pierwszy pocisk wylądował za blisko, zabił dwóch chłopów i wyrzucił w powietrze krwawe szczątki bawołu. Brian nie przejął się tym morderstwem, spokojnie skorygował przez radio współrzędne celu i po kilku sekundach dżunglą wstrząsnęły eksplozje. Ziemia drżała. Powietrze wypełnił świst spadających pocisków. Wybuchy rozerwały drzewa na strzępy. W niebo wzbil się śmiercionośny deszcz kawałków drewna i metalu.

Po paru chwilach ostrzał ustał.

Żołnierze z jego plutonu nie palili się, żeby oglądać zniszczenia, ale kazal im to zrobić. Przeszli w milczeniu obok ciał chłopów. Połyskujące wnętrzości i części ciał leżały rozrzucone wśród zielonych pędów kwitnącego ryżu. Krew jak ropa naftowa unosiła się na powierzchni wody zalewającej pole. Z wioski zaczęli wyłaniać się ludzie i pierwsze odległe jęki rozpaczły wypełniły żar popołudnia.

I wtedy ich oczom ukazał się koszmar.

Jak się okazało, pośród drzew, dokładnie tam, gdzie Brian skierował ogień artylerii, czyhała na nich co najmniej kompania żołnierzy armii Wietnamu Północnego. Gdziekolwiek spojrzeć, widzieli fragmenty ciał. Rozerwane na strzępy, zaplątane w kikutach drzew. Głowy. Ręce. Nogi. Rozszarpane torsy. Ledwo rozpoznawalne, a przy tym jakże charakterystyczne skutki bezpośredniego trafienia pociskiem z haubicą kaliber 75. Wszędzie pełno krwi i zniszczonego sprzętu. Kilku rannych postękiwało. Inni może wycofali się w głąb dżungli, żeby się przegrupować albo umrzeć. Nieważne. Briana nic to nie obchodziło.

Jego ludzie milczeli. Słyszał było tylko pojedyncze gwizdnięcia i przyspieszone oddechy, kiedy brnęli w kałużach krwi.

Szli za dowódcą od jednego ukrytego stanowiska do drugiego i dobijali rannych wrogów. Twierdził, że nie pamięta, by wydał taki rozkaz, ale musiał to zrobić. Po wszystkim policzył zabitych. Przeszło siedemdziesięciu ośmiu; ważne zwycięstwo w bitwie, która bitwą nie była. Zwyczajna rzeź. Każdy żołnierz z plutonu wiedział, że gdyby weszli na to pole ryżowe tak jak zwykle, zginęliby w zasadzce. Od tego czasu nikt nie kwestionował instynktu Briana. Tak powiedział bratu.

Dowództwo dało mu order.

Tylko że, pomyślał Adrian, zawsze mówił o tym nie z dumą, lecz ze smutkiem.

Jego brat, stwierdził, był więźniem własnej przeszłości.

Zastanawiał się, czy to samo mógłby powiedzieć o sobie.

- Myślę, że tak, Audie.

Odwrócił się, ale tylko słyszał brata, nie widział go.

Grupki studentów przechodziły z sali do sali, odległy zegar wybił trzecią. Adrian pamiętał, że o tej samej porze jego brat wydał rozkaz ostrzału, który ocalił życie plutonu.

Przyspieszył kroku. W uniwersyteckim architektonicznym miszmaszu nowoczesność sąsiadowała z tradycją. Z budynków o mocno zaokrąglonych kształtach rozciągał się widok na bujne trawniki i stare drewniane domy przerobione na akademiki.

Adrian cieszył się, że niewiele się zmieniło od czasu, kiedy przeszedł na emeryturę.

Wydział Psychologii mieścił się w jednym z bardziej nowoczesnych gmachów. Zbudowany z cegły na planie kwadratu miał szerokie drzwi i nieciekawą, choć obrośniętą bluszczem fasadę. Adrianowi zawsze podobało się to, że budynek jest niepozorny, nie bije po oczach jak siedziby wydziałów ekonomicznego i chemicznego. Uważał, że taki nijaki gmach zapewnia większą swobodę rozważań. Te ściany ukrywały całą ich inteligencję, zamiast krzyczeć o niej światu.

Wszedł po schodach na drugie piętro.

Przypomniał sobie, że ma pójść do pokoju 302, i bezgłośnie powtórzył nazwisko człowieka, z którym zamierzał się spotkać.

Choć był to stary znajomy i przyjaciel, Adrian nie chciał okazywać żadnych śladów choroby w murach swojego dawnego wydziału. Niczego nie pomył, napomniął się w duchu. Żadnego szczegółu.

Zapukał, pchnął drzwi.

- Roger? - Wszedł do pomieszczenia.

Schludny, łysy, tyczkowaty mężczyzna o wzroście koszykarza pochylał się nad monitorem komputera. Obok siedziała atrakcyjna dziewczyna, lekko zdenerwowana. Gabinet był pełen książek poupychanych na czarnych stalowych regałach. Jedną ze ścian zajmowała kolekcja listów gończych wydanych przez FBI. Naprzeciwko nich wisiał oprawiony plakat *Milczenia owiec*, podpisany czarnym atramentem przez reżysera i scenarzystę.

- Adrian! Słynny profesor Thomas! Wejdz! Wejdz! - Profesor Roger Parsons wstał i uściśnął mu dłoń na powitanie.

- Nie chciałem przeszkodzić w konsultacjach...

- Nie, skąd, nie przeszkadzasz. Właśnie omawialiśmy z panną Lewis jej pracę, nawiasem mówiąc bardzo przyzwoitą...

Adrian podał rękę studentce.

- Tak sobie pomyślałem, Roger, że chętnie zasięgnąłbym twojej fachowej rady...

- Oczywiście! Dobry Boże, tak dawno cię tu nie widzieliśmy... i nagle ta niespodziewana przyjemność. Co u ciebie? I jak mogę ci pomóc?

- Mam wyjść, panie profesorze? - wtrąciła dziewczyna.

Parsons spojrzął na gościa. Adrian odetchnął z ulgą, że omi nie go pierwsze z pytań starego przyjaciela.

- Czy panna Lewis wie coś o nietypowych kryminalnych wzorcach zachowań?

- O tak, zdecydowanie - zagrzmiał Roger Parsons.

- Wobec tego niech zostanie.

Panna Lewis poruszyła się lekko, trochę zbita z tropu, ale wyraźnie zadowolona, że może uczestniczyć w rozmowie. Adrian zastanawiał się, czy dziewczyna go zna, ale nawet jeśli nie znała, jego dawny współpracownik natychmiast ją doinformował.

- Adrian to jeden z naszych najwybitniejszych profesorów, mentor nas wszystkich. Jego imieniem zostanie nazwany pokój wykładowców - oznajmił. - I jesteśmy wielce zaszczytni, że do nas wpadł, nawet z pytaniem czy dwoma.

- Chciałbym wiedzieć więcej o psychopatologii.

- Hm, profesor sam siebie nie docenia. Ale służę wsparciem. Co cię interesuje?

- Przesłany działający w parach - odparł Adrian cicho. - Duety męczyzna i kobieta...

Roger skinął głową.

- Ach... fascynujące. Jest kilka stosownych profilów. O jakie przestępstwo chodzi?

- Przypadkowe uprowadzenie. Porwanie nieznanego osoby z ulicy.

Brwi Rogera Parsonsa wygięły się ku górze.

- Nietypowe. Niezwykle rzadkie.

- Tak też sądziłem.

- A cel porwania?

- Na razie niejasny.

- Pieniądze? Seks? Zboczenie?

- Nie wiem. Jeszcze nie.

- Pewnie wszystkie trzy. I nie tylko - rozmyślał na głos Parsons. - Na pewno nic dobrego, prawdopodobnie coś bardzo złego.

Adrian skinął głową i jego kolega po fachu natychmiast przybrał suchy ton wykładowcy akademickiego.

- To mocno utrudnia sprawę. Wszystko, co wiemy o tego typu przestępcach, przeważnie ustalamy już po ich schwytaniu. Można powiedzieć, że dopasowujemy elementy psychologicznej układanki po fakcie. Dopiero wtedy sytuacja staje się jasna i oczywista.

- Teraz nie ma takiej możliwości. Trzeba działać na podstawie strzępków informacji.

Roger Parsons wyciągnął długie nogi i się zamyślił.

- Chodzi o kogoś, kogo znasz... nie pytasz czysto teoretycznie, prawda?

- I tak, i nie. Ofiarą jest młoda osoba, którą przelotnie spotkałem. Pomagam sąsiadom. - Po chwili wahania Adrian dodał: - Ważne, żebyś zachował dyskrecję. Pani też - zwrócił się do dziewczyny; wyglądała na lekko przerażoną obrotem, jaki przybierała ta rozmowa. - Chodzi o przestępstwo, które... - zawiesił głos - ...się rozwija. Nie potrafię określić jak.

- Ofiara... co o niej wiesz?

- Młoda. Nastolatka. Bardzo trudna. Bardzo inteligentna. Bardzo atrakcyjna.

- A policja...

- Bada sprawę. Są uporczywie konkretni, a to raczej nie pomoże.

Roger przytaknął.

- Masz rację. Fakty mogą wyjaśnić przestępstwo, kiedy jest ciało. Ale to nie ten przypadek?

- Na razie tak.

- Dobrze. I jesteś absolutnie pewien, że wprowadzili ją obcy ludzie, nie ktoś znajomy?

- Mhm. Jestem pewien. Przynajmniej na tyle, na ile to możliwe.

Młodszy profesor znów się zamyślił.

- Chcesz usłyszeć, co sędzę? Oczywiście, to czyste spekulacje...

Adrian nie odpowiedział. Wiedział, że nie musi.

- Cóż, najprawdopodobniej chodzi o seks, rzecz jasna. Ale też o poczucie władzy. Ta para pewnie czerpie z niewolnienia innych erotyczną przyjemność. Przeżywana we dwoje, podsyca ich podniecenie. W grę może wchodzić wiele czynników. Potrzeba dużo więcej informacji, żeby sporządzić precyzyjny portret psychologiczny...

- W zasadzie nic więcej nie potrafię powiedzieć. Jeszcze nie.

Roger wciąż był głęboko zamyślony.

- Jedna sprawa, Adrianie... i jakby co, nie powołuj się na mnie... ale na twoim miejscu skupiłbym się na celu i spróbował zrozumieć to, co opisujesz.

- Na celu?
- Cóż, w jaki sposób ofiara daje porywaczom poczucie wielkości, ważności i władzy? Poza seksualnymi gierkami, co właściwie chcą na tym zyskać... bo coś takiego na pewno jest. Utajone lub nie. Moc. Władza. W tego rodzaju przestępstwach w grę wchodzi mnóstwo czynników psychologicznych. Niestety, same nieprzyjemne.

- Co może zrobić policja, żeby rozwiązać...

Roger pokręcił głową.

- Małe szanse. Przynajmniej dopóki nie znajdą ciała. Albo dopóki dziecko nie ucieknie porywaczom, tak jak w przypadku tej sekty mormonów bigamistów. Tyle że na ogół tak się nie dzieje. Ucieczka w tej sytuacji to niezwykle trudna rzecz. Siedzimy w wygodnych domach i myślimy sobie: czemu ofiara po prostu nie uciekła i nie wezwała policji?, ale taki krok wymaga przełamania psychologicznych barier, które bardzo ciężko pokonać. Nie, to wcale nie jest łatwe...

- Czyli policja...

Parsons machnął ręką, jakby odbijał piłkę tenisową.

- Kiedy znajdą dziewczynę, żywą albo martwą, dojdą po nitce do kłębka. Albo i nie. Tak czy owak, nie liczyłbym na szczęśliwe zakończenie.

Adrian skinął głową. Jest coś jeszcze. W uchu dźwięczał mu głos brata.

- Jest coś jeszcze - dodał Roger Parsons cicho, jakby jemu też podpowiadali umarli.

Adrian czekał na ciąg dalszy.

- Sprawy tego typu to wyścig z czasem.

- Wyścig z czasem?

- Tak. Dopóty, dopóki ofiara zapewnia podniecenie, rozkosz, namiętność i co tam jeszcze, jest dla porywaczy wyjątkowo cenna. Jednak... kiedy to przeminie... albo kiedy im się znudzi lub przestanie zaspokajać ich potrzeby... stanie się bezwartościowa. A wtedy jej się pozbędą.

- Uwolnią ją?

- Nie. Niekoniecznie.

Na chwilę zapadła cisza i dwaj profesorowie pogrążyli się w zadumie. Nagle usłyszeli, jak młoda studentka gwałtownie wciąga powietrze, jakby w gabinecie zrobił się przeciąg. Odwrócili się w stronę panny Lewis.

Miała spuszczoną głowę, jak gdyby krępowała się coś powiedzieć. I poczerwieniały jej policzki - wstydziła się własnych myśli?

- Ian Brady i Myra Hindley - zaczęła cicho i niepewnie. - Rok 1966. Anglia. Morderstwa na wrzosowiskach.

Roger Parsons z entuzjazmem klasnął w dłonie.

- Tak - jego głos nagle zagrzmiał w małym gabinecie. - Otóż to, panno Lewis. Brawo. Celne spostrzeżenie. Adrianie, od tego zacznij.

Studentka zdobyła się na uśmiech, słysząc pochwałę profesora, choć Adrian pomyślał, że to w pewnym sensie musi być trudne, w tak młodym wieku znać nazwiska i potworne zbrodnie seryjnych zabójców.

ROZDZIAŁ 14

Nawet w ciemności ogarniającej jej świat, Jennifer tworzyła w myślach obraz otoczenia. Towarzyszyły temu pierwsze przebleiski zrozumienia, co się z nią dzieje. Wiedziała, że jest w piwnicy i że z jakiegoś powodu zachowano ją przy życiu. Wiedziała też, że nic w ciągu szesnastu lat jej życia nie przygotowało jej na to, co ją spotkało.

Potem miała nadzieję, że się jednak myli, choć nie była pewna, co do czego chce się mylić.

Splotła palce na brzuchu jak do modlitwy. Później wolno rozłączyła dłonie i zacisnęła je w pięści.

Kiedy skupiała się na tym, co rzeczywiste - łóżko, łańcuch, obroża na szyi, sedes turystyczny - potrafiła nakreślić w myślach zniekształcony obraz swojego otoczenia. Gdy tylko jednak popuszczała wodze wyobraźni i zastanawiała się, co z nią będzie, ogarniał ją strach. Czuła, że jeszcze moment, a zaleje się łzami, a

nawet zemdleje z przerażenia. Miotła się między racjonalnością i cierpieniem.

Żyję. Wciąż żyję, powtarzała sobie w duchu.

W chwilach opanowania usiłowała wyostrzyć słuch i węch. Zdawała sobie sprawę, że możliwości dotyku są ograniczone, ale i on w końcu może coś jej powie.

Siedziała na brzegu łóżka. Pod palcami nóg czuła zimny cement podłogi. Z głodu burczało jej w brzuchu, ale nie wiedziała, czy dałaby radę cokolwiek zjeść. Znów strasznie chciało jej się pić, ale czy ośmieliłaby się wziąć kolejny łyk wody - nawet gdyby ją poczęstowano?

Ciszę w pokoju mącił tylko jej oddech.

Tak naprawdę są dwa pokoje, pomyślała. Ten czarny pod maską i ten, w którym ją trzymają. Musi się jak najwięcej dowiedzieć o jednym i drugim. Jeśli tego nie zrobi - jeśli będzie tylko biernie czekała, nie pozostanie jej nic oprócz rozpacz.

...I oczekiwania na koniec? jakkolwiek będzie.

W każdej sekundzie walczyła z panicznym strachem.

Powiedziała sobie, że nie ma sensu wracać do tego, co się stało, a jeśli nawet, to tylko po to, by spróbować sporządzić w myślach portret dwojga ludzi, którzy ją zabrali. Kiedy jednak przywołała obraz samej siebie, jak idzie we wczesnym wiosennym zmroku chodnikiem przez swoją dzielnicę, zapadła się w ciemność głębszą od tej wewnątrz kaptura. Oderwano ją od wszystkiego, co знаła, i nawet krótkie wspomnienie rodzinnych stron omal nie zatrzymało bicia jej serca. Kręciło jej się w głowie, ale powtarzała sobie z naciskiem, że musi się skupić. Nauczyciele ze szkoły, której tak bardzo nienawidziła, zawsze mówili z pretensją: „Jennifer, musisz się skoncentrować na temacie lekcji. Byłaś dobrą uczennicą, gdybyś tylko...”

No dobrze, pomyślała, jakby w odpowiedzi na ich wyrzuty. Teraz się skoncentruję.

Usiadła więc nieruchomo i spróbowała. Oczy mężczyzny. Nisko opuszczona czapka kobiety. Wysocy czy niscy? Jak ubrani? Odetchnęła głęboko i oto znów czuła zapach tego faceta i leżała przygnieciona do podłogi furgonetki. Nie mogła oddychać, miażdżona siłą porywacza. Nie zdołała się powstrzymać; zaczęła

gwałtownie przeciągać rękami po całym ciele, jakby usiłowała zetrzeć z siebie wrażenie, że mężczyzna ją w jakiś sposób naznaaczył. Drapała się po ramionach, jak gdyby spowijał je trujący bluszcz. Kiedy jednak poczuła pod palcami obrzęk i po skórze pociekła krew, zmusiła się, żeby przestać. To wymagało więcej siły, niż sądziła, że ma.

No dobrze. Kobieta... Jej matowy głos przerażał. Weszła do piwnicznego pokoju i mówiła o zasadach, ale nie o tym, jak ich przestrzegać. Jennifer usiłowała przywołać w pamięci każde jej słowo, wszystkie jednak ginęły we mgle narkotyku, którym ją uspio.

Tak, to wydarzyło się naprawdę. Kobieta stała nad nią, dała jej pić, kazała przestrzegać zasad. To była rzeczywistość, nie sen, nie koszmar. Jennifer nie obudzi się nagle w swoim łóżku w środku nocy, nie usłyszy przez cienkie ściany, jak matka i Scott ukradkiem uprawiają seks. Pamiętała, jak strasznie to ją wkurzało - a jednocześnie tęskniła za tym. Czuła się jak uwięziona w półśnie, spierała się sama ze sobą i po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że może już nie żyje.

Lekko wychyliła się do przodu. Ja nie żyję, powiedziała sobie. Tak to właśnie musi wyglądać. Nie ma nieba. Nie ma aniołów, trąb ani bram rajy wznoszących się nad kłębami obłoków.

Jest tylko to.

Gwałtownie wstrzymała oddech. Nie. Nie. Czuła ból tam, gdzie się podrapała. A więc żyje. Ale w jakim stopniu, tego nie potrafiła określić, a na pytanie, jak długo jeszcze, odpowiedź była niemożliwa.

Zmieniła pozycję i próbowała sobie przypomnieć, co mówiła kobieta. Liczyła, że to da jej jakąś wskazówkę. Jednak każda fraza, każdy ton, każda komenda wydawały się odległe i słabe, i Jennifer mimo woli wyciągnęła ręce, jakby zamierzała wychwytać te słowa z powietrza.

„Jeśli chcesz przeżyć, wykonuj polecenia”.

Tak właśnie powiedziała kobieta. Godząc się na wszystko, co ją spotka, Jennifer mogła przeżyć.

Ale jakie polecenia?

Nie pamiętała, co właściwie ma robić. Wstrzymała oddech i nagle wezbrał w niej szloch - wyrwał się z ust i rozbił w pył całe jej opanowanie.

Przeszedł ją mocny dreszcz przerażenia.

Walczyła z samą sobą; jakiś fragment jej duszy chciał zapaść się w otchłań rozpacz i zwyczajnie skapitulować przed zgrozą sytuacji, ona jednak usilnie odpierała to pragnienie. Nie wiedziała, jaki jest cel tego boju, ale tłumaczyła sobie, że dopóki walczy, dopóty żyje, a to zapewne dobrze.

Ale z czym właściwie ma walczyć i jak, to było dla niej zagadką.

Jestem Numerem 4. Robią to nie pierwszy raz.

Żałowała, że nie wie więcej o więzieniach i o tym, jak ludzie w nich funkcjonują. Słyszała i czytała, że niektórzy przeżyli w niewoli wiele miesięcy, nawet lat, zanim uciekli. Ludzie gubili się w dżunglach, na szczytach górskich, na morzu. Człowiek może przetrwać, przekonywała samą siebie. To prawda. To możliwe. Ta myśl pozwoliła jej poskromić niemal nieodpartą pokusę, by zwinąć się w kłębek na łóżku i czekać, aż znowu spotka ją coś straszego.

Potem powiedziała sobie: byłaś w więzieniu i dlatego uciekałaś. Wtedy ci się udało. Czyli... wiesz więcej, niż ci się wydaje.

Zmieniła pozycję na brzegu łóżka.

Sedes. Gdyby chcieli mnie zabić od razu, nie wstawiliby sedesu.

Uśmiechnęła się. Cenne spostrzeżenie.

Nakazała sobie wszystko zmierzyć - wtedy każda rzecz, której dotknie, każdy dźwięk i zapach staną się bardziej rzeczywiste. Sedes - on był rzeczywisty. Stał sześć kroków od łóżka. Kiedy na nim siadała, łańcuch zaciskał się wokół jej szyi - czyli to jedna granica. Na razie nie sprawdzała, co jest w przeciwnym kierunku, ale musi to zrobić. Domyślała się, że łóżko stoi pośrodku pokoju. Jak kątomierz kreślarski, mogła się poruszać tylko w obrębie półkola.

Nasłuchiwała jakiegokolwiek dźwięku. Uniosła głowę jak zwierzę w lesie, które wychwyciło zapach albo hałas nakazujący

głębokim instynktom być w pogotowiu. Wstrzymała oddech, by słyszeć wyraźnie.

Nic.

- Halo? - zawołała. Jej głos, choć stłumiony przez kaptur, niósł się dość daleko, żeby ktokolwiek, kto tu wejdzie, go usłyszał. - Jest tu ktoś?

Nic.

Wypuściła płytki oddech i wstała.

Jak przedtem, trzymała ręce wyciągnięte przed siebie. Tym razem jednak pamiętała, by liczyć kroki i pilnować, żeby były równe. Czterdzieści centymetrów, przypomniała sobie, by precyzyjniej wymierzyć odległość.

Przycisnęła dłonie do ściany i ruszyła w stronę sedesu. Jeden. Dwa. Trzy... sześć kroków, zanim dotknęła go kolanem. Schyliła się i przesunęła palcami po jego powierzchni. Zgodnie z jej oczekiwaniami, łańcuch zaczął się zaciskać. No dobrze, a teraz w bok.

Natychmiast chwyciło ją przerażenie. Dotyk ściany pod dłońmi dawał pewne poczucie bezpieczeństwa, pomagał zachować równowagę. Bez tego Jennifer czuła się jak w otchłani, ślepa, trzymająca się tylko na opasującym gardło łańcuchu. Zaczepnęła tchu i zmusiła się, by odejść od swojej podpory i teraz już dobrze poznanego sedesu.

Nie próbowała przypisać żadnej wartości temu, co robi. Wiedziała tylko, że to z jakiegoś powodu ważne. Że to coś, co powinno się zrobić. A to, że skupiała się na odległościach, zapewniało jej poczucie, iż stara się sobie pomóc. Potem pewnie musi zrobić więcej. To jednak przynajmniej jakiś początek.

Piętro wyżej Michael i Linda leżeli nago na łóżku, wciąż spoceni po seksie, z ciałami rozpalonymi podnieceniem. Na narzucie przed nimi stał laptop i oboje z przejściem wpatrywali się w ekran.

W ich pokoju było jedno podwójne łóżko zaścielone poplamioną i wymiętą w miłosnym szale pościelą. Na podłodze walały się dwie solidne walizki i płócienne worki marynarskie z ubraniami. Pokój oświetlała nieosłonięta żarówka. Ogólnie pusto jak w

klasztornej celi, pomijając jeden drewniany stół w kącie. Na blacie kolekcja broni - dwa magnum 357 i trzy pistolety półautomatyczne kaliber 9. Obok nich strzelba kaliber 12 i znajomy kształt AK-47. Wokół rozrzucone pudełka nabojów i zapasowe magazynki. Dość broni dla sześciu osób.

Komputer, najnowszy model Apple, był bezprzewodowo połączony z głównym studiem w przyległym pomieszczeniu.

- Puść sygnał ostrzegawczy - nakazała Linda. Nachyliła się bliżej ekranu, wbiła wzrok w obraz. Obserwowała, jak Jennifer niepewnie odsuwa się od ściany obok sedesu. - To naprawdę super - dodała z podziwem.

Teraz Michael nie patrzył na Jennifer. Podziwiał wypięte w łuk plecy Lindy. Przesunął palcem w górę jej kręgosłupa i wzdłuż ramion, odgarnął włosy, pocałował ją w kark.

- Nie zapomnij o klientach - mruknęła prawie jak kot.

- Kilka sekund mogą poczekać - odparł i powiódł językiem w stronę jej ucha.

Zachichotała i się uchyliła. Usiadła po turecku na łóżku. Wzięła komputer i teatralnie postawiła go sobie między nogami, zasłaniając łono. Lekko schyliła się nad laptopem, jej nagie piersi zwisły nad ekranem.

- No dobrze... - powiedziała z szerokim uśmiechem. - Może jeśli tak zrobisz... bardziej się skupisz na pracy...

Michael skinął głową i się zaśmiał.

- A żebyś wiedziała...

Wcisnął sekwencję klawiszy - wysłał elektroniczny sygnał do wszystkich abonentów cobezpieotem.com. Ten sygnał - to mogła być dowolna piosenka albo dźwięk z udostępnionej listy - informował, że Numer 4 się obudziła. Wielu korzystało z dodatkowej usługi: powiadomienia przesłanego pod numer prywatnej komórki.

- Proszę. Już każdy wie. To co, zasłużyłem na nagrodę?

- Zaraz - odparła Linda. - Najpierw musimy zobaczyć, co zrobi.

Michael wykrzywił twarz, jakby miał się rozpłakać, i Linda znów się roześmiała.

- To nie potrwa długo - zapewniła.

Odwrócił się w stronę ekranu i przez chwilę obserwował Jennifer.

- Myślisz, że to znajdzie? - Nie wyjaśnił, o co chodziło, tylko wskazał na ekran laptopa.

- Położyłam to w takim miejscu, że może dosięgnąć, jeśli dojdzie do samego końca.

- To trochę zależy od tego, jak dobry z niej poszukiwacz - stwierdził Michael.

Linda skinęła głową.

- Nie znoszę, kiedy siedzą i nic nie robią - powiedziała. - Numer 3 ciągle mnie wkurzała...

Michael milczał. Dobrze pamiętał, jak bardzo Lindę drażniły niektóre zachowania Numeru 3, co doprowadziło do zaskakujących zmian formuły programu.

- Powinienem zrobić odjazd kamerą, żeby wszyscy mogli zobaczyć, że to tam jest.

Linda przytaknęła.

- Tylko powoli... bo nie rozumieją. Położyłam to tak, że trzeba się dobrze przyjrzeć, żeby załapać, co to. Ale kiedy się zorientują, o co chodzi... - Nie musiała kończyć.

Michael przeciągnął się i westchnął.

- Lepiej pójdę do drugiego pokoju. Pokombinuję z kątami kamery.

Linda odłożyła laptop. Teraz to ona wyciągnęła rękę i przejechała paznokciami po piersi Michaela. Wychyliła się do przodu i pocałowała go w udo.

- Najpierw praca, potem zabawa.

- Jesteś nienasycona - odparł. - To mi się podoba.

Podniosła ręce nad głowę i prowokacyjnie wygięła się do tyłu. Nachylił się i ją pocałował.

- Kuszące - mruknął.

- Ale najpierw praca - przypomniała. Powoli złączyła nogi i się zaśmiała.

Zwlekli się z łóżka i poczłapali boso schodami na dół, jak dzieci w bożonarodzeniowy poranek. Salon, w którym Michael urządził główne studio - jak pozostałe pokoje w wynajętym domu

- był skąpo umeblowany. Najwięcej miejsca zajmował długi stół z trzema dużymi monitorami komputerowymi. Kable rozpełzały się na wszystkie strony, wiły się po drewnianej podłodze i znikwały w wywierconych otworach. Michael ustawił tu też głośniki i kilka dżojstików, klawiatury i ograniczniki przepięć. Stół montażowy i stół mikserski. Krótko mówiąc, zgromadził cały nowoczesny sprzęt niezbędny do nadawania przez Internet. Zaraz za oknem tkwiła czasza przenośnej anteny. Ogólnie atmosfera jak w centrum dowodzenia albo na planie filmowym; dużo drogiego specjalistycznego sprzętu, wszystko sterowane z dwóch czarnych foteli Aeron przed głównym komputerem.

W pomieszczeniu było chłodno, więc Linda poszła do sieni po podbite sztucznym futrem parki, żeby mieli czym okryć nagocść. Jedną włożyła na siebie, drugą zarzuciła pochyłonemu nad monitorem Michaelowi na ramiona. Wyjrzała w ciemność za oknem. Nie widziała nic prócz czarnej pustki; między innymi dlatego wynajęli ten dom.

- Myślisz, że Numer 4 w ogóle wie, która godzina? - zagadnęła.

- Gdzie tam. - Po chwili namysłu dodał: - Pamiętaj, żeby jej nie pomagać. No wiesz, nie podawać rano śniadania, a wieczorem czegoś, co skojarzy z kolacją. Mieszaj kolejność posiłków... na przykład daj jej trzy razy z rzędu płatki, a potem hamburgery. Tak będzie zdezorientowana.

- Wiem, głuptasie.

Michael się uśmiechnął. Lubił rozmawiać z nią o sposobach manipulowania Numerem 4. To sprawiało mu największą frajdę. Linda też się tym podniecała i dzięki temu ich seks stawał się bardziej nieokiełznany, namiętny. Kiedy ten żar przygasał, to był znak, że pora kończyć.

Wziął dżojstik oznakowany kawałkiem białej taśmy z napisem „Kamera 3” i lekko nim poruszył. Ujęcie na jednym z monitorów zmieniło się - ukazywało przedmiot leżący obok łóżka, po drugiej stronie od sedesu. Michael pchnął dżojstik do przodu, żeby zrobić zbliżenie.

Linda siedziała obok, jej paznokcie szybko stuknęły w klawiaturę.

Na głównym monitorze - na nim widzieli to, co abonenci - pojawił się tekst pisany przez Lindę. Czerwone litery nałożyły się na obraz Jennifer, która chodziła po omacku, z wyciągniętymi rękami.

„Jest coś, co Numer 4 ma znaleźć...”

„Co to takiego?”

Kamera 3 na chwilę skierowała się na mały, bezkształtny przedmiot na cementowej podłodze. Leżał na skraju zasięgu łańcucha. Jennifer dzieliło od niego jeszcze półtora metra; żeby na to natrafić, musiała szukać na granicy dostępnego dla niej obszaru. Linda pisała dalej.

„Czy Numer 4 to znajdzie?”

Michael się zaśmiał.

- Nie przerywaj - szepnął.

„Czy to pomoże Numerowi 4?”

Linda zapamiętała uderzała w klawisze.

„A może zaszkodzi?”

- Teraz daj im wybór - podsunął Michael.

Kliknęła parę razy i na ekranie pojawiło się okienko.

„Znajdzie”. A obok kwadracik, aby zaznaczyć tę odpowiedź.

„Nie znajdzie”. I następny kwadracik. Potem jeszcze dwie opcje: „Pomoże” „Zaszkodzi”

Linda zerknęła w bok. Elektroniczny licznik na drugim monitorze pokazywał wyniki sondy.

- Wygląda na to, że co do pierwszego nie mają wątpliwości - oznajmiła, kiedy liczby w poszczególnych rubrykach rosty. - Ale są podzieleni, czy to jej pomoże, czy zaszkodzi. - Znów się uśmiechnęła. - Wiedziałam, że to dobry pomysł - stwierdziła. - Wszyscy się logują i fascynuje ich to jak diabli.

Michael koncentrował się na kamerach.

Patrzyli na centralny monitor. Jennifer powoli szła w stronę kamery. Ręce miała wyciągnięte do przodu, wyprostowane palce nie dotykały niczego oprócz powietrza. Jej postać powiększała

się na ekranie. Dłonie dziewczyny wydawały się oddalone o centymetry, kiedy wreszcie się zatrzymała. Łańcuch nie dał jej pójść dalej. Czubki palców prawie sięgały głównej kamery.

- Padną z zachwytu... - szepnęła Linda.

Kamera studiowała ciało Jennifer; na chwilę zatrzymała się na jej małych piersiach i zjechała niżej, na krocze. Bielizna wyglądała, jakby była głównie po to, by kusić. Linda wyobrażała sobie, że widzowie z całego świata wyciągają ręce do Numeru 4, jak gdyby dało się jej dotknąć przez monitory. Michael intuicyjnie wiedział, że tak właśnie się dzieje, i wprawnie manewrował obiektami, tworząc taniec obrazów. Taniec dostojny jak walc.

Jennifer cofnęła się i przesunęła trochę w lewo.

- Ach, ma szansę... - Linda zerknęła na liczniki, które błyskawicznie szły w górę. - Chyba to znajdzie.

Michael pokręcił głową.

- Nie. To leży na podłodze. Jeśli nie trąci tego palcem u nogi... Nie myśli w trzech wymiarach. Musi sprawdzać, co jest na górze i na dole, jeśli chce naprawdę poznać otoczenie.

- Podchodzisz do tego zbyt naukowo - obruszyła się Linda. - Znajdzie, zobaczysz.

- Zakład? Zaśmiała się.

- O co?

Michael na chwilę odwrócił się od monitora. Uśmiechnął się jak każdy kochanek.

- Ty zdecyduj - powiedział.

- Jak wygram, coś wymyślę. - Linda dotknęła jego dłoni na dżojstiku, pogładziła palce. To była swoista obietnica i Michael zadrżał z rozkoszy.

Potem znów przenieśli wzrok na ekran, żeby zobaczyć, czy Numerowi 4 się uda. Czy nie.

Jennifer liczyła w duchu każdy krok. Stąpała ostrożnie. Łóżko było za jej plecami, ale chciała dotrzeć do ściany, żeby przynajmniej poznać granice swojej przestrzeni. Każdy mały krok stawał się kolejną liczbą w jej głowie.

Trzymała ręce wysunięte przed siebie i lekko poruszała nimi na boki, ale dotykała tylko pustki.

Stale czuła ucisk na gardle i wyobrażała sobie, że jest trochę jak pies na uwięzi; nie zamierzała jednak zerwać się z łańcucha.

Doliczyła w myślach do osiemnastu, kiedy trąciła coś palcem u lewej nogi.

Nagle i niespodziewanie. Omal się nie przewróciła.

Przedmiot wydawał się miękki, pokryty futrem i żywy. Zatoczyła się do tyłu. Głowę wypełniły jej obrazy. Szczur!

Pragnęła uciec, ale nie mogła. Chciała wskoczyć z powrotem na łóżko, przekonana, że to zapewniłoby jej bezpieczeństwo. Ogarnął ją paniczny strach. Wyrzuciła ręce w bok, natrafiła na pustkę. Uprzytomniła sobie, że krzyknęła raz, może dwa razy, i że jej usta pod kapturem są szeroko otwarte.

Zapomniała o odliczaniu. Liczby wyleciały jej z głowy. Zrobiła krok i zupełnie straciła orientację. Nie wiedziała już, gdzie ściana, a gdzie łóżko. Ciemność pod kapturem wydawała się mroczniejsza, bardziej przytłaczająca, i Jennifer krzyknęła: „Idź sobie!”, najgłośniejszym głosem, jak mogła.

Zdawało się, że jej głos rozbrzmiewa echem w pokoju, zaraz jednak zastąpił go łomot adrenaliny w uszach, donośny jak ryk wezbranej rzeki. Serce tłukło się w jej piersi, czuła, że cała drży. Dotknęła łańcucha - pomyślała, że powinna użyć go jak liny ratowniczej i wzdłuż niego, ręka za ręką, wrócić na łóżko, a tam jak najszybciej podnieść nogi z podłogi, żeby to coś, co tu z nią było, nie mogło się do niej dostać.

Zaczęła to robić, ale znieruchomiła. Wytężyła słuch.

Nie wychwytywała odgłosu uciekających małych nóg.

Zaczerpnęła tchu. Kiedyś w ścianach jej domu żyła cała rodzina myszy. Matka i Scott sumiennie porozkładali wszędzie pułapki i trutkę, żeby się ich pozbyć. W tej chwili jednak Jennifer pamiętała przede wszystkim charakterystyczne skrobanie małych pazurów, które w środku nocy rozlegało się w murach.

Tu podobnego dźwięku nie było.

Druga myśl: to coś nie żyje, jest martwe.
Zamarła w bezruchu, znów nastawiła uszu.
Słyszała jednak tylko własny ciężki oddech.
Co to było?

Już nie myślała, że szczur, choć przecież siedziała uwięziona w piwnicy.

Przypomniała sobie uczucie, kiedy trąciła przedmiot palcem u nogi, i starała się coś na tej podstawie wywnioskować. Zobaczyć w wyobraźni kształt. Na próżno.

Następny głęboki wdech.

Wycofasz się, powiedziała sobie, to będziesz tkwiła na łóżku przerażona, bo się nie dowiesz, co się tam czai.

I tak źle, i tak niedobrze. Miała wybór: albo trwać w niepewności, albo dotknąć tego martwego czegoś i spróbować ustalić co to.

Drgnęła. Trzęsły jej się ręce. Po plecach przebiegały ciarki, było jej gorąco i zimno zarazem, pociła się, a mimo to marzyła. Wróć tam. Przekonaj się.

W ustach jej zaschło jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle możliwe. Od wyboru, wobec którego ją postawiono, kręciło jej się w głowie.

Nie jestem odważna. Jestem tylko dzieckiem, mówiła sobie.

Pomyślała jednak, że pod kapturem nie może już być dzieckiem.

- Dawaj, Jennifer - szepnęła do siebie. Totalny koszmar. Ale jeśli się nie przekona, co potrąciła, koszmar stanie się jeszcze gorszy.

Zrobiła jeden krok. Drugi. Nie wiedziała, jak daleko przedtem odskoczyła do tyłu. Teraz, zamiast mierzyć odległość, wystawiała lewą nogę naprzód i poruszała nią na boki jak baletnica albo pływaczka, która sprawdza temperaturę wody.

Bała się, co znajdzie, bała się, że to zniknęło. Zdecydowanie wolała, żeby to było coś martwego, a nie żywe stworzenie.

Nie potrafiła określić, po jakim czasie wreszcie wymacała tę rzecz. Może minęło kilka sekund. Może cała godzina. Nie wiedziała, jak szybko szła.

Kiedy jej palec u nogi dotknął przedmiotu, zwalczyła pokusę, żeby to odkopnąć.

Zebrała siły i zmusiła się, by klęknąć. Cement drapał jej kolana.

Wyciągnęła dłonie w stronę przedmiotu.

Pokryty futrem. Solidny. Nieożywiony.

Cofnęła dłonie. Cokolwiek to było, nie stanowiło bezpośredniego zagrożenia. Kusiło ją, żeby po prostu zostawić to na miejscu. Wtedy jednak odezwało się w niej coś innego, coś zaskakującego, i tym razem pozwoliła, żeby jej palce dłużej zatrzymały się na tym znalezisku.

To coś znajomego.

Objęła kształt dłońmi i przyciągnęła do siebie. Poruszył się w jej rękach. Jakby czytała alfabet Braille'a, przesunęła po miękkiej powierzchni palcami. Lekkie rozdarcie. Postrzępiony brzeg.

Już wiem.

Natychmiast rozpoznała co to.

Przycisnęła przedmiot do piersi.

- Pan Futrzak... - jęknęła cicho.

Jej miś.

Nie mogła się powstrzymać. Szlochała spazmatycznie i głośkała wytartą zabawkę - jedyną pamiątkę z dzieciństwa, którą zdecydowała się zabrać ze sobą, kiedy uciekła z domu.

ROZDZIAŁ 15

Terri Collins powiedziała sobie, że musi zachować profesjonalizm. Przypomniała sobie, żeby trzymać się faktów, nie spekulacji.

Ale nie miała nic oprócz wątpliwości.

Po powrocie na komendę zaczęła od opisanej przez Adriana furgonetki. Postąpiła wbrew logice małomiasteczkowego policjanta, którą wykształciła w sobie przez lata, i Scott, typ człowieka, co w najbliższych zdarzeniach upatruje wielkich rządowych

spisków bądź demonicznych intryg, uznał, że to po prostu zbyt wygodne. Była zaskoczona, kiedy mejlem dostała odpowiedź od policji stanowej z Massachusetts, że tablice rejestracyjne zaczynające się od QE skradziono przed blisko trzema tygodniami z sedana na długoterminowym parkingu międzynarodowego lotniska imienia Logana.

Dlatego kiedy komputer zasygnalizował, że przyszła odpowiedź, i zobaczyła pojedynczą linijkę tekstu, wychyliła się do przodu, jakby tylko z bliska mogła rzetelnie ocenić wartość widniejącej przed nią informacji.

Kradzież zgłoszono z opóźnieniem, bo złodziej, nie bacząc na ryzyko, poświęcił czas, by przymocować do samochodu biznesmena inne tablice. Te z kolei zwędzono miesiąc wcześniej z oddalonego o sto pięćdziesiąt kilometrów centrum handlowego w zachodnim Massachusetts. Biznesmen pewnie nawet by nie zauważył, że podmieniono mu tablice rejestracyjne - jak często ogląda się rejestracje własnego samochodu? - gdyby policja nie zatrzymała go za jazdę pod wpływem alkoholu. Podwójna robota papierkowa - tablice skradzione w innej części stanu, odnalezione na pojeździe prowadzonym przez awanturującego się, aroganckiego pijaka, który nie dość, że nawymyślał policjantowi drogowki, to jeszcze nie potrafił wytłumaczyć, co się stało z jego własnymi tablicami rejestracyjnymi - stworzyła w wydziale komunikacji biurokratyczny węzeł gordyjski.

Gwizdnięto dwa komplety tablic rejestracyjnych. Ciekawe. Ktoś podejmował szczególne środki ostrożności.

- Cóż, to już coś - powiedziała.

Profesor źle zapamiętał liczbę i trzecią literę, pomyślała. „Quod Erat” się zgadzało, ale „Demonstrandum” już nie, choć stwierdziła, że to typowe dla naukowca z doktoratem z Ligi Bluszczowej i tak nieskazitelną reputacją, by po „QE” automatycznie oczekiwać „D”. Skutek uboczny wykształcenia.

Mimo to, zgodność dwóch liter i zgłoszona kradzież skłoniły ją, by poszerzyć zakres poszukiwań. Weszła do baz danych stanów Massachusetts, New Hampshire, Rhode Island i Vermontu, żeby sprawdzić, czy gdzieś ostatnio zginęła biała furgonetka. Jeśli ktoś zamieszany w to przypadkowe porwanie zadał sobie

trud, by zdobyć dwa komplety tablic rejestracyjnych, to najprawdopodobniej poruszał się wyłącznie kradzionymi autami.

Zaginęły trzy auta: nowy van z parkingu salonu samochodowego w Bostonie, dwunastoletni rzeź z kempingu w New Hampshire i trzyletnia furgonetka, która odpowiadała opisowi Adriana, z wypożyczalni samochodów w centrum Providence.

Ten ostatni przypadek był ciekawy. Duży park samochodowy - dwadzieścia, może trzydzieści pojazdów, wszystkie o podobnym wyglądzie, zaparkowane w rzędach, w głębi parkingu w jakiejś podupadłej dzielnicy. Jeśli złodziej nie zostawił wyraźnych śladów - rozerwana siatka, łańcuch przecięty nożycami do metalu - mogły minąć dwadzieścia cztery godziny, zanim wypożyczalnia przeprowadziła inwentaryzację i zauważyła brak jednego wozu. A jeśli pracownicy byli mało kompetentni, mogło to potrwać nawet dłużej.

Żadnego z trzech pojazdów nie odnaleziono - nic zaskakującego. Wiele przestępstw wymagało jednorazowego skorzystania z kradzionej furgonetki: szybkie włamanie do sklepu elektronicznego, przewiezienie ładunku marihuany do Bostonu. Po zakończeniu roboty wóz zwykle porzucano.

Znów poszerzyła zakres poszukiwań.

Jedna informacja zwróciła jej uwagę. Straż pożarna z Devens w Massachusetts została wezwana do pożaru samochodu tej samej marki i modelu, co furgonetka skradziona w Providence, podpalonego za opuszczoną fabryką. Czekano na potwierdzenie, czy to poszukiwany wóz, bo podejrzany pojazd doszczętnie spłonął. Takich spraw policja zazwyczaj nie traktowała priorytetowo, minie więc sporo czasu, zanim rzeczoznawca firmy ubezpieczeniowej pojedzie na skład wraków nieopodal Devens. Tam odszuka wśród brudnych, zwęglonych szczątków jeden z wybitych numerów seryjnych, które przetrwały pożar, a potem porówna go z numerem zaginionego auta, żeby wypożyczalnia mogła dostać odszkodowanie.

Wszystko to dałoby się załatwić dużo szybciej - oczywiście - gdyby Terri skontaktowała się z policją stanową i poinformowała,

że furgonetka została użyta do uprowadzenia nieletniej... O ile do uprowadzenia doszło.

Pewności jeszcze nie miała, ale już prawie skłonna była uwierzyć, że rzeczywiście dzieje się coś niezwykłego.

Wstała od biurka i podeszła do mapy ściennej. Przesunęła po niej palcem. Z Providence na ulicę, gdzie zniknęła Jennifer, a stamtąd do opuszczonej, zapomnianej części Devens. Trójkąt obejmował wiele kilometrów, liczne drogi przecinające tereny wiejskie. Gdyby ktoś chciał podróżować niezauważony, nie znalazłby bardziej odludnych tras.

Wróciła do komputera i wcisnęła kilka klawiszy. Chciała sprawdzić jeszcze jeden szczegół: datę wezwania straży do pożaru.

Wbiła wzrok w ekran. Czowała pustkę w żołądku, jakby dawno nic nie jadła, nie spała i przebiegła długą drogę.

Straż pożarna odebrała anonimowe zgłoszenie zaraz po północy - czyli już następnego dnia po zniknięciu Jennifer. Kiedy jednak dotarli na miejsce, z samochodu został tylko zwęglony wrak. Ktokolwiek podpalił auto, zrobił to dużo wcześniej.

Zaczęła liczyć w pamięci: przychodzi zgłoszenie. Dyspozytor uruchamia alarm w sypialniach członków ochotniczej straży pożarnej. Ci przyjeżdżają do remizy, wkładają kombinezony i ruszają do pożaru. Jak długo to wszystko trwało?

Terri zadała sobie w duchu serię szybkich pytań. Tak właśnie pracowała: obejrzeć każdy dowód z dwu perspektyw - swojej, jako detektywa, i anonimowego przestępcy. Ważne, by wczuć się w sposób myślenia przeciwnika, bo wtedy odpowiedzi przychodzą same. Spytała więc siebie: Czy ktoś wiedział, że straż przyjedzie z opóźnieniem? Czy dlatego spalił furgonetkę w tym konkretnym miejscu?

Możliwe. Gdybym chciała się pozbyć raz tylko użytego samochodu, nie wybrałabym miejsca, w które strażacy mogliby dotrzeć, zanim płomień zrobią swoje...

Terri wyczytała w protokole zdarzenia, że zdaniem kapitana straży użyto „niezidentyfikowanych substancji przyspieszających spalanie”.

W furgonetce nie zachowały się żadne włosy, odciski palców, włókna ani ślady DNA, pomyślała.

Wstała od komputera i przeszła przez ciasne biuro do wysłuzzonego, poplamionego ekspresu, nieodzownego każdemu detektywowi policyjnemu. Nalała sobie czarnej kawy i przełknęła gorzki łyk. Zwykle dodawała dwie kostki cukru i okazałą porcję śmietanki, ale dziś nie miała ochoty na słodycz.

Wróciła za biurko. Jej torba wisiała na oparciu krzesła. Sięgnęła do niej i wyjęła mały skórzany futerał. W środku, w plastikowych kieszonkach, trzymała kilka zdjęć dwójki dzieci. Obejrzała wszystkie po kolei, wspominając okoliczności, w jakich zostały zrobione. To było na urodzinach. To, kiedy pojechaliśmy pod namiot do Acadii. To dwa lata temu, kiedy spadł pierwszy śnieg.

Czasem pomagało, kiedy przypominała sobie, dlaczego pracuje w policji.

Wzięła zdjęcie z policyjnej ulotki informującej o zaginięciu Jennifer. Wiedziała, że błędem jest tworzenie emocjonalnych powiązań. Każdy, kto chce zajść wysoko w policji, szybko się uczy, że dom to dom, a praca to praca, i że kiedy te dwie strefy kolidują ze sobą, nie przynosi to niczego dobrego, bo nie można podejmować decyzji na chłodno, ze spokojem.

Spojrzała na fotografię Jennifer. Pamiętała rozmowę z nastolatką po jej drugiej próbie ucieczki z domu. Na nic się zdała, bo dziewczyna, przy wszystkich swoich problemach, była bystra, zdeterminowana i przede wszystkim twarda. Zahartowało ją dorastanie w mieście ludzi pretensjonalnych, ekscentrycznych i afektowanych.

I nie chodziło tu o sztuczną, śmiechu wartą hardość rozkapryszonej nastolatki, w stylu „zrobię sobie tatuaż i jestem super, bo nawrzucałam facetce od anglika i palę fajki za plecami rodziców”. Teraz pomyślała, że sama też taka była w tym wieku. I że postępowaniem Jennifer przynajmniej w części powodowały te same emocje, które jej samej ocaliły życie, kiedy uciekła od znęcającego się nad nią mężczyzny. Jakby widziała w tej młodej dziewczynie siebie.

Westchnęła głęboko. Powinnaś natychmiast zostawić tę sprawę, powiedziała sobie. Oddaj ją innemu glinie i trzymaj się z dala. Nie patrzysz obiektywnie.

To było jednocześnie słuszne i nie. Nie wiedzieć czemu, nabrała przekonania, że jest odpowiedzialna za Jennifer.

Po prostu tak czuła i za nic w świecie nie mogła oddać tej sprawy komuś innemu i o niej zapomnieć.

Pełna sprzecznych myśli na temat tego, jak postąpić, szybko napisała do szefa mejl. Kopię zamierzała przesłać kierownikowi zmiany. „Trwa badanie dowodów wskazujących, że nie mamy do czynienia z typową ucieczką z domu. Konieczne jest dalsze dochodzenie. Możliwe, że dziewczyna została uprowadzona. Prześlę szczegóły, jak zbiorę więcej informacji. Ocena sytuacji później”.

Podpisała się i już miała wysłać wiadomość, ale się rozmyśliła. Nie chciała niepokoić komendanta, przynajmniej na razie. Bała się też, że sprawa wycieknie do lokalnych mediów; wtedy ani by się obejrzała, a już przed komendą stawiałaby się telewizja, prasa i fanatycy blogów poświęconych przestępczości. Wszyscy będą domagać się wywiadów, aktualnych informacji i praktycznie uniemożliwiać policji robienie czegokolwiek użytecznego - z uratowaniem Jennifer włącznie.

O ile w ogóle istnieje na to szansa.

Zamarła. Pomyślała o kartonach mleka ze zdjęciami zaginionych, stronach internetowych typu *Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie*, materiałach telewizyjnych, nagłówkach w prasie i stwierdziła: to nic nie pomaga.

Odetchnęła głęboko. Zwykle nie pomaga. Ale czasem... Ucięła te rozważania. Nie ma co gdybać, dopóki nie wiadomo na pewno, z czym mamy do czynienia.

Skasowała w mejlu zdanie: „Możliwe, że dziewczyna została uprowadzona”.

Musiała znaleźć coś konkretnego, bo szef od razu zapytał: „Na jakiej podstawie tak sądzisz?”

Zostało jeszcze dużo roboty komputerowej. Należy sprawdzić te nieliczne znane szczegóły pod kątem podobieństw z innymi

przestępstwami. Przyjrzeć się wszystkim notowanym przestępcom seksualnym w obrębie wyznaczonego trójkąta i poszukać meldunków o zbrodniach grasujących w okolicy. Czy zdarzyły się jakieś fałszywe alarmy? Czy jacyś rodzice złożyli doniesienie o takim czy innym podejrzanym typie krążącym po okolicy? Terri zdawała sobie sprawę, że czeka ją nawał pracy, którą trzeba wykonać szybko i sprawnie.

Bo jeśli Jennifer porwano, czas uciekał. O ile w ogóle jest jeszcze czas. Może po prostu doszło do gwałtu, a potem do morderstwa. Zwykle tak to się odbywa. Porwana, wykorzystana i w końcu martwa.

Próbowała odepchnąć tę wizję.

Zawahała się. Przecież w furgonetce było dwoje ludzi. Tak twierdził ten starzec.

Nie widziała w tym sensu. Drapieżcy działają sami, usiłują osnuć swoje żądze ciemnością i mgłą.

Poruszyła się niespokojnie na krześle. Może w Europie Wschodniej albo Ameryce Łacińskiej zdarzają się porwania na zlecenie handlarzy ludźmi, ale nie w Stanach Zjednoczonych, a już na pewno nie w miasteczkach uniwersyteckich w Nowej Anglii.

Czyli co zostaje?

Nie wiedziała.

Pomyślała o Mary Riggins i Scotcie Weście - uznała, że jej nie pomogą. Scott tylko skomplikowałby sytuację swoimi żądaniami i opiniami bardziej, niż już to zrobił. Mary wpadłaby w jeszcze większą panikę na dźwięk słów „przestępca seksualny”.

Pozostawała więc tylko jedna osoba.

Nie wiedziała, co z Adrianem Thomasem jest nie tak. Trochę przypominał pełgający płomyk. Wydał jej się rozkojarzony, dziwnie zagubiony, jakby nie bardzo wiedział, gdzie jest i co właściwie jej opowiada - jakby przebywał gdzie indziej, w równoległym wszechświecie. Coś z nim jest nie w porządku, na pewno. Może to ze starości. Może taki sam los czeka nas wszystkich.

Szlachetna myśl, w którą tak naprawdę sama nie wierzyła. Cóż, kiedy logicznie rzecz biorąc, w tej chwili tak naprawdę tylko do niego mogła się zwrócić.

ROZDZIAŁ 16

Naprawdę straszni ludzie, pomyślał.

Oczywiście słowo „straszni” w najmniejszym stopniu nie oddaje tego, co zrobili. Jest zbyt sterylne.

Adrian wpatrywał się w zdjęcia Myry Hindley i Iana Brady'ego na obwolucie *Encyklopedii współczesnych morderców*, pożyczonej od znajomego profesora psychopatologii. Był zafascynowany i przerażony jednocześnie. Książka zawierała tyle makabrycznych szczegółów, podanych w tak stężonej, przytłaczającej dawce, że stawały się błahe, niemal zwyczajne. „Tę osobę zamordowano siekierą. Krzyki tej ofiary nagrano. Robili pornograficzne zdjęcia. To dziecko wrzucono do płytkiego grobu na wrzosowisku”. Czytanie dziennikarskich opisów przypominało przechadzkę po polu bitwy. Widzisz jednego trupa - to okropne i poruszające, ciężko oderwać wzrok. Widzisz sto - przestaje to cokolwiek znaczyć.

Strony zaszeleściły jak suche liście niesione jesiennym wiatrem, kiedy Adrian otworzył encyklopedię na hasło *Morderstwa na wrzosowiskach*.

Jak każdy dobry naukowiec, zanurzył się w interesującym go temacie. Starał się dowiedzieć jak najwięcej w jak najkrótszym czasie. Nauczyciele z biegiem lat uczą się przyswajając kontrowersyjny, nawet odrażający materiał w taki sposób, by potem móc go w stosownie przetworzonej formie przedstawić uczniom. Cieszył się, że umiejętność szybkiego zdobywania wiedzy jeszcze go nie opuściła, w odróżnieniu od tak wielu innych intelektualnych sprawności.

Adrian większą część nocy i poranka spędził w otoczeniu książek i w Internecie. Teraz już mógłby inteligentnie mówić o

osobliwych więziach między przestępcami działającymi w parach. Do czego może zmusić człowieka miłość? - pytał sam siebie. Do rzeczy szlachetnych? Czy potwornych?

Jednocześnie miał nadzieję, że nikt nie przyjdzie i nie spyta go, ile to jest sześć plus dziewięć albo jaki dziś dzień tygodnia, tydzień miesiąca, miesiąc, a nawet rok - bo nie sądził, że zdołałby na to poprawnie odpowiedzieć, nawet przy niewidzialnym i subtelnym wsparciu bliskich zmarłych. Duchy są pomocne - ale w ograniczonym stopniu, stwierdził. Wciąż nie miał pewności, na ile użyteczne są ich podszepty.

Rozsądek mówił mu, że każda halucynacja bierze się ze wspomnień, z doświadczenia, z przypuszczeń, co Cassie, Brian czy ktokolwiek inny mógł kiedyś powiedzieć albo co mógłby powiedzieć teraz, gdyby żył. Rozumiał, że wszystkie te wizje, z pozoru rzeczywiste, to skutek zderzeń, krótkich spięć i pozrywanych połączeń między związkami chemicznymi w jego rozregulowanych płatach czołowych - ale mimo to pomagały, a o nic więcej nie prosił.

Głos wyrwał go z zadumy.

- I co tam pisać?

Adrian spojrział na drugi koniec gabinetu - w drzwiach stała Cassie. Błada, stara, zrezygnowana. W oczach miała smutek, który pamiętał z przepełnionych rozpaczą dni poprzedzających wypadek. Seksowna, smukła i uwodzicielska Cassie z ich pierwszych wspólnych lat zniknęła bez śladu. Jej miejsce zajęła zmęczona, chora kobieta, która rozpaczliwie pragnęła śmierci. Widząc ją w takim stanie, Adrian wstrzymał oddech i wyciągnął do niej ręce; chciał ją pocieszyć, choć przecież w tych ostatnich wspólnych miesiącach nigdy mu się to nie udało.

Czuł w oczach łzy, pominął więc jej pytanie i usiłował powiedzieć coś, co - jak sądził - powinien jej powiedzieć przed śmiercią. A może powiedział to setki razy, tylko nie dość dobitnie.

- Cassie - zaczął powoli. - Tak mi przykro. Ani ty, ani ja, ani w ogóle nikt nie zdołałby temu zapobiec. Robił dokładnie to, co chciał...

Zbyła tę wymówkę machnięciem ręki.

- Nie chcę tego słuchać - odparowała ostro. - Tego kłamstwa, że nie mogliśmy nic poradzić. Można było porozmawiać albo coś zrobić. Tommy zawsze cię słuchał.

Adrian zamknął oczy. Wiedział, że jeśli je otworzy, automatycznie zwróci się w kąt biurka, gdzie stoi zdjęcie: jego syn Tommy w birecie i todze w słoneczny dzień zakończenia studiów; w tle ściany oplecione bluszczem. Obraz pełen nadziei i optymizmu.

Głos Cassie przeciął początek bolesnych wspomnień. Powoli odemknął powieki i spojrzał na nią. Uparta i stanowcza - jak zawsze, kiedy czuła, że ma rację. Rzadko brał jej to za złe. Uważał to za przywilej artystki. Jeśli wiesz, gdzie umieścić tę pierwszą, decydującą smugę koloru na czystym białym płótnie - coś, na co sam raczej nigdy by się nie odważył - to wolno ci wyrażać opinie, jakkolwiek drastycznie sformułowane.

- Wszystkie te książki, strony internetowe... czego się z nich dowiedziałeś? - spytała znowu.

Poprawił okulary do czytania opuszczone na koniec nosa. Aktorski gest profesora uniwersyteckiego.

- Że razem zabili pięciu ludzi. - Zawahał się. - Pięciu ludzi, których lokalna policja zdołała zidentyfikować. Ofiar mogło być więcej. Niektórzy kryminolodzy sądzą, że nawet osiem. Brytyjskie gazety... to było w latach 1963-64... nazwały to „końcem niewinności”.

- Ludzi?

Adrian pokiwał głową.

- Tak, racja. Trzeba być precyzyjnym. Dzieci. W wieku od dwunastu do szesnastu-siedemnastu lat.

- Czyli rówieśnicy Jennifer.

- Mhm. Ale sądzę, że to zbieg okoliczności.

- O ile pamiętam, jako nauczyciel nie znosiłeś zbiegów okoliczności i twierdziłeś, że tak naprawdę nie istnieją. Psychologowie lubią wyjaśnienia, nie przypadki.

- Może freudyści...

- Adrian, proszę cię.

- Przepraszam, Cassie. To miał być żart.

Uśmiechnął się blado do nieżyjącej żony. Stała w drzwiach jak zwykle, kiedy nie chciała mu przerywać pracy, ale koniecznie musiała o coś spytać. Tkwiła niepewnie między jednym pomieszczeniem a drugim, jakby pytanie mniej mu przeszkodziło, jeśli zada je z pewnego oddalenia.

- Nie wejdiesz? - Wskazał ręką na krzesło.

Cassie zaprzeczyła ruchem głowy.

- Czekaj mnie za dużo roboty.

Pewnie zrobił lekko zasmuconą minę, bo jej ton złagodniał.

- Audie, wiesz, że czasu jest mało. I dla ciebie, i dla Jennifer.

- Tak - zgodził się. - Wiem. Tylko że...

- Tylko że co?

- Chodzi o to, jak przekuć wiedzę w działanie. Ci dwoje, mordercy z wrzosowisk, Brady i Hindley, wpadli, kiedy postanowili wciągnąć do swojej chorej spółki trzecią osobę i facet, którego zwerbowali, zadzwonił na policję. Tak długo, jak byli we dwojkę, dawali oparcie sobie nawzajem, nic im nie groziło. Dopiero kiedy zachciało im się zaimponować komuś innemu, kto okazał się trochę mniej skory do zabijania od nich... zostali złapani.

- Mów dalej... - Cassie uśmiechnęła się delikatnie, jej kąciki ust niemal niezauważalnie poszły w górę.

Tak zawsze było w ich związku. Artystka w niej nie pozwalała mu bujać w obłokach akademickich rozważań; znajdowała praktyczne zastosowanie dla wszystkich jego prac laboratoryjnych. Wezbrała w nim namiętność. Dlaczego nie miałby kochać kobiety, która nadawała jego wyobrażeniom wagę? Zalały go uczucia i jak podczas wielu rozmów przy kolacji, w ogródku, zimą przy kominku, zaczął się rozkręcać.

- Psychodynamika par morderców jest zagadką. Niewątpliwie ogromną rolę gra seks. Jednak więź wydaje się dużo głębsza. To właśnie próbuję zrozumieć. Każdy związek to taki polityczny mechanizm kontroli i równowagi; wszystko jest jawne, omawiane, analizowane i tak dalej. Przynajmniej z pozoru. Oprócz tego jednak, Cassie, istnieje swoisty mechanizm motywacyjny.

Polega to na tym, że mężczyzna nie robiłby tego, co robi, gdyby nie było przy nim kobiety, która nadaje jego działaniom dodatkowy, przerażający wymiar. To coś więcej niż przyzwolenie; to zejście w głąb mroku.

Cassie prychnęła, ale wciąż się uśmiechała. Nie ruszając się z progu, wskazała na książki.

- Nie teoretyzuj, Adrian - powiedziała. Znów nie mógł powstrzymać uśmiechu. Jej ton głosu niósł się echem przez wszystkie lata, które spędzili razem. - To nie badania naukowe. Nie piszesz pracy, nie szykujesz się do wykładu. Gra idzie o życie dziewczynki.

- Kiedy muszę zrozumieć...

- Tak. Ale tylko po to, żeby móc działać - przerwała mu Cassie.

Przytaknął i zaprosił ją gestem.

- Wejdz - szepnął. - Dotrzymaj mi towarzystwa. Te rzeczy... - machnął ręką nad encyklopedią - ...przerażają mnie.

- I słusznie. - Została w drzwiach.

- Ta sprawa... to wydarzyło się w latach sześćdziesiątych...

- No i? Co się zmieniło?

Nie odpowiedział. Pomyślał tylko: Nie jesteśmy tak naiwni jak wtedy.

Cassie musiała to usłyszeć albo wyczuć, bo szybko wtrąciła:

- Nie. Ludzie się nie zmienili. Tylko metody.

Adrian czuł się wykończony, jakby im więcej dowiadywał się o tej serii zabójstw, tym bardziej tracił siły.

- Jak zmienić wiedzę jednego rodzaju, tę książkową, w wiedzę, która pozwoli odnaleźć Jennifer? - spytał.

Cassie się uśmiechnęła. Jej twarz złagodniała.

- Wiesz, kogo powinieneś o to spytać - odparła.

Adrian zakotłosał się lekko na krześle. Tak, chodziło jej o Briana. Pytanie tylko, jak przywoływać jedną z tych halucynacji, kiedy potrzebuje kogoś, kto wskazałby mu właściwą drogę.

Zerknął na materiały dotyczące morderstw i nagle odsunął je na bok, niedaleko, tylko o kilkanaście centymetrów, jak gdyby

nie chciał się czymś od nich zarazić. Odwrócił się w stronę szafy z książkami i sięgnął za teksty i podręczniki, na jeden z regałów z poezją. W każdej z licznych pękających w szwach biblioteczek w małym domu była co najmniej jedna półka poświęcona tomom wierszy, bo nie mógł przewidzieć, kiedy przyda mu się zastrzyk erudycji.

Przebiegł palcami po grzbietach książek. Nie wiedział, czego szuka, ale czuł ogromną potrzebę, by znaleźć odpowiedni wiersz. Coś, co pasuje do jego nastroju i sytuacji.

Jego dłoń zatrzymała się na antologii wierszy poetów wojennych. Skazanych na zgubę młodych ludzi walczących w okopach I wojny światowej. Wyjął ją i otworzył na chybił trafił. Zobaczył *Dulce et Decorum Est* Wilfreda Owena. Przeczytał: „...szli skrwawieni...”

Tak, to o mnie, pomyślał

Przeczytał strofy trzy razy, zamknął oczy i wziął głęboki wdech.

Najpierw poczuł zapach.

Gęsty, ciemny olej, smak rdzy na języku, dym i niewiarygodny żar, jakby cały świat gotował się na silnym ogniu i zbliżał do wrzenia. Zakasłał gwałtownie. Pod powiekami czuł smród - duszący, ohydny. Mało się nim nie udławił. Nakazał sobie się ocknąć, jakby to wszystko było snem, ale wtedy szarpnęło nim najpierw do przodu, potem do tyłu, i nagle rozległ się zgrzytliwy dźwięk - przebijał się przez ni to rżenie, ni to ryk pracującego silnika. Adrianem miotano jak rozbitkiem na wzburzonym morzu. Wyciągnął rękę do góry, żeby się czegoś przytrzymać, kiedy nad uchem usłyszał głos, tak znajomy, że byłby mu wręcz muzyką, gdyby nie smród, potężny hałas i gwałtowne wstrząsy.

- Trzymaj się, tato, będzie dużo gorzej.

Adrian poderwał powieki.

Nie siedział już za biurkiem, otoczony książkami i publikacjami, poezją i zdjęciami, z głową pełną wspomnień.

Telepał się na ciasnym tylnym siedzeniu humvee.

Coś huknęło i silnik przyspieszył. Adrian odwrócił się do człowieka, który siedział ściśnięty obok niego.

- Tommy! - Musiał krzyknąć ze zdziwienia, bo syn zaśmiał się głośno i w tej samej chwili jedną dłonią chwycił poręcz w suficie, a drugą próbował przytrzymać kamerę.

Czarny hełm z kevlaru zsunął się chłopakowi prawie na oczy. Granatową kamizelkę kuloodporną miał podciągniętą po szyję. Wygląda młodo, pomyślał Adrian. Wygląda pięknie.

- Musimy się streszczać, tato, zbliżamy się do miejsca, w którym umrę.

Kierowca - młody marine w mundurze polowym i ciemnych okularach przeciwsłonecznych - rzucił przez ramię kilka gorzkich słów.

- Pieprzona mina pułapka zagrzebana w piachu. Takiej nie da się zauważyć. Zero szans. Przesrane jak w Falludży.

To chyba był żart, bo niektórzy zaśmiali się nerwowo.

Adrian spojrział na pozostałych marines słoczonych na tylnym siedzeniu pojazdu. Patrzyli przez okna na surową piaszczystą okolicę, z bronią w pogotowiu, ale wszyscy pokiwali głowami na znak zgody.

- Od razu widać, że miejsce w sam raz na zasadzkę... - stwierdził jeden.

Adrian nie mógł dostrzec jego twarzy, ale w ostrym głosie brzmiało poczucie rezygnacji, jakby żołnierz wiedział, że nikt nie może zapobiec temu, co się stanie. Strzelec obsługujący ciężki karabin na dachu schylił się i ze śmiechem zajrzał do kabiny. Gogle pokryte piachem, zęby brudne od kurzu. Miał nie więcej niż dwadzieścia jeden lat.

- W ogóle nie powinniśmy jechać na tę akcję! - krzyknął przez ryk silnika i wiatru wpadającego przez otwarte okna. - Od początku było jasne, że to się źle skończy.

Siedzący obok kierowcy czarny porucznik o twardych oczach odłożył radiotelefon i odwrócił się do słoczonego za nim oddziału.

- Gęby na kłódkę! - zakomenderował ostro. - Wiecie, nie wszyscy zginiemy. Ty, Masters i ty, Mitchell, wyjdziecie z tego z paroma zadrapaniami i rozbitym nosem. Co do ciebie, Simms, pewnie, szkoda twoich nóg, ale przynajmniej przeżyjesz i samolot zabierze cię do domu. A nasi rozwalą całą kupę brudasów,

kiedy wezwę wsparcie lotnicze, zanim mnie załatwią, więc dość narzekania.

Porucznik nagle się rozchmurzył i z szerokim uśmiechem wskazał na Tommy'ego.

- A dzięki temu reporterzynie będziecie sławni. No nie tak, Tommy?

Chłopak się uśmiechnął.

- To się rozumie.

Jeden z marines przechylił się w bok i klepnął Tommy'ego w udo.

- Zrobi z nas zsrane gwiazdy Internetu! - Zaśmiał się i spojrzął w celownik swojej broni.

Adrianem rzuciło w bok, kiedy pojazd przyspieszył i podskoczył na kawałkach gruzu. Mignęły mu domy z gliny i cegły, osmalone ściany podziurawione pociskami z broni ciężkiej. Pobocze zasłane było poszatkowanymi palmami. Przy drodze stały spalone samochody. Powykrzywiany, dymiący wrak, w którym trudno było rozpoznać czołg, tkwił do połowy w rowie. Z wjazdu zwisały częściowo wysunięte, zwęglone zwłoki. Adrian usłyszał, jak ktoś mruknął: „Nie zadzieraj z lotnikami...”, kiedy przejeżdżali obok.

Tommy wychylił się do przodu. Dużą kamerę Sony wznosił jak broń i usiłował filmować nad ramieniem kierowcy, gdy wóz pędził w stronę skupiska nędznych, niskich budynków. Wszędzie pełno kurzu i dymu, smród utrzymywał się w nozdrzach Adriana.

- No, strasznie cuchnie! - zawołał Tommy, wciąż filmując. - Ale człowiek się przyzwyczaja. Poza tym to tylko kordyt z wybuchów, może trochę płonącej ropy. Poczekaj, aż poczujesz smród trupów, które przeleżały kilka dni w upale. - Opuścił kamerę. - Wiesz, zdobyłem nagrodę. Nagram wszystko, wybuch i potem całą walkę. Nawet kiedy dostałem, trzymałem palec na wyzwalaczu, żeby kamera kręciła dalej. Zanim wrzucili ten materiał do Internetu... słyszałeś, że miał prawie trzy miliony odsłon?... prezenter wieczornych wiadomości wezwał wszystkich do siebie i palnął podniosłą mowę. Taką o roli korespondenta wojennego, o Franku Caprze i Erniem Pyle'u, o potrzebie

docierania do prawdy. Opowiadał o reporterach w Wietnamie... wujek Brian pewnie część z nich znał... szli na pole bitwy tylko z nikonem na szyi albo notesem w dłoni, nawet bez kamizelki kuloodpornej. Mówił o tradycji i poświęceniu, w jego ustach brzmiało to wręcz tak, jakby zawód reportera był wyższym powołaniem jak posługa kapłańska. Jednak ty i ja, tato, wiemy, że tak naprawdę przyjechałem tutaj, bo kochałem robić zdjęcia i kochałem emocje, a nic tak nie pozwala łączyć jednego z drugim jak towarzyszenie oddziałowi twardzieli z marines, nawet jeśli przypłacasz to życiem.

- Zgadza się. Nieźle z nas twardziele! - potwierdził strzelec, przekrzykując huk wiatru.

- Tommy... - Głos uwiązał Adrianowi w gardle.

- Nie, tato, musisz mnie wysłuchać, bo teraz wszystko potoczy się szybko. Spróbuję jeszcze pogadać z tobą później, kiedy nie będzie takiego zamieszania. Ale muszę ci coś powiedzieć...

- Tommy, proszę...

- Nie, tato, słuchaj...

Humvee przyspieszył. Marine za kierownicą wydał cichy okrzyk bojowy.

- Zaraz się zacznie - rzucił. - Trzymać się kutasów, podciągnąć gacie i szykować się.

Adrian nie rozumiał, jak można przed faktem mówić o własnej śmierci, choć wiedział, że przecież ci ludzie tak naprawdę zginęli sześć lat wcześniej. Mocno przylgnął do ściany humvee, który wjechał w chmurę piaskowego kurzu. Obok słyszał spokojny, pewny głos Tommy'ego.

- Wróć do tego, co zobaczyłeś, kiedy czytałeś encyklopedię. Jest tam wszystko, czego potrzebujesz. Musisz tylko pomyśleć bardziej nowocześnie.

- Ale, Tommy... - zaczął Adrian, syn jednak gwałtownie odwrócił się do niego. Na jego twarzy był niepokój.

- Tato! Pomyśl o tym, dlaczego tu przyjechałem...

- Byłeś reżyserem filmów dokumentalnych. Dostałeś zgodę na to, żeby towarzyszyć marines. Pamiętam, jak się cieszyłeś...

- Nie rób z tego takiej wielkiej sprawy.
- Tommy, brak mi ciebie. A twoja matka już nigdy potem nie doszła do siebie... To ją zabiło.

- Wiem, tato, wiem. Utrata dziecka wszystko zmienia. Dlatego Jennifer jest tak cholernie ważna.

- Ale ja umieram, Tommy. I...

Jeden z marines, czuwający przy karabinie maszynowym wystawionym przez okno, odwrócił się.

- Hej, dziadek! Każdy umiera od urodzenia. Weź się w garść! Słuchaj Tommy'ego. Dobrze gada.

Pozostali mruknęli z aprobatą. Siedzieli zgarbieni nad bronią.

- Jennifer, tato. Skup się na Jennifer. Ja odszedłem. Mama odeszła. Wujek Brian odszedł. Inni też. Przyjaciele. Krewni. Psy... - Zaśmiał się, choć Adrian nie widział w tym nic śmiesznego. - Wszyscy odeszliśmy. Ale Jennifer nie. Jeszcze nie. Wiesz to. Czujesz to. W całej tej wiedzy, w tych wykładach, jest coś, co ci mówi, że ona nie odeszła. Jeszcze nie.

- Kurde, zaczyna się... - ryknął nagle kierowca.

Tommy złapał ojca za kolano. Adrian czuł nacisk jego dłoni. Rozpaczliwie pragnął objąć syna, znaleźć sposób, żeby osłonić go przed tym, co się zaraz stanie. Wyciągnął do niego dłoń, ale z jakiegoś powodu - nie potrafił zrozumieć dlaczego - nie mógł go dosięgnąć. Jego ręce bezradnie machały w powietrzu.

- Najważniejsze jest to, co widzisz, tato. I możliwość pokazania tego, co robisz. To właśnie sprawia największą frajdę. A kiedy dzielisz się tym z całym światem, daje ci to moc, siłę. Sprawia, że stajesz się twardy. Z tego rodzi się pasja. Przypomnij sobie, co czytałeś o tej angielskiej parze sprzed pięćdziesięciu lat. Zdjęcia. Taśmy. Pomyśl, po co to robili? No, tato, to twoja działka. Powinieneś to wiedzieć...

- Ale, Tommy...

- Nie, tato, nie ma czasu. Zaraz się zacznie. Nie pamiętasz, jak raz ci mówiłem, dlaczego chcę filmować świat? Bo to najczystsza prawda. Kiedy kręciłem ujęcia, nikt nie mógł mi zarzucić,

że są nieprawdziwe czy niezgodne z rzeczywistością. Dlatego wszyscy to robiliśmy. Dzięki temu czuliśmy się ważniejsi. Obiektyw nie kłamie, tato. Przemyśl to. Jezu! Zaczyna się!

Adrian chciał odpowiedzieć, ale eksplozja rozdarła powietrze. Humvee uniósł się, jakby nic już nie łączyło go z ziemią ani światem. Wnętrze wozu natychmiast wypełniło się dymem i płomieniami, siła wybuchu odrzuciła Adriana do tyłu. Myślał, że stracił przytomność, bo spowiła go ciemność. Zapachy, smaki wydawały się silniejsze, w uszach rozbrzmiewało przenikliwe dzwonienie. Kręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, że ugrzązł w piachu i pyle. Próbował rozejrzeć się za Tommym, ale wypatrzył tylko dziwne powykrzywiane kształty - przed kilkoma sekundami marines, teraz poskręcane ciała, rozerwane na strzępy i zmiażdżone wskutek wybuchu bomby ukrytej na drodze.

I wtedy, jakby ktoś jakimś cudem przewinął film do przodu, znalazł się na zewnątrz. Białoniebieskie niebo w górze, nieznośny upał, hałas i coś, co w pierwszej chwili wziął za rój owadów, a co tak naprawdę, zorientował się, było ogniem z broni lekkiej. U jego stóp marine z urwaną nogą krzyczał i czołgał się w stronę niskiego wału ziemnego. Adrian obrócił się szybko, wciąż wypatrując syna, i zobaczył, jak porucznik marines rozmawia przez radiotelefon. Facet głośno krzyczał, ale Adrian nie mógł dosłyszeć jego słów. Hałas narastał, zagrzmiały ciężkie karabiny z pozostałych humvee w kolumnie. Adrian zatkał uszy i zawołał: „Tommy! Tommy!”

Odwracając się, zauważył syna. Krew lała się obficie z uszu Tommy'ego. Ciągnął za sobą bezwładną nogę. I nadal filmował - tak jak mówili. Trzymał kamerę na ramieniu i nagrywał przebieg potyczki. Adrian zorientował się, że ma otwarte usta i próbuje krzyknąć imię syna, jednak z gardła nie wychodził żaden dźwięk. Widział, jak Tommy kieruje obiektyw w stronę porucznika marines, ten leżał w kałuży krwi zmieszanej z kurzem. Wtedy Adrian usłyszał wycie nadciągających myśliwców. Podniósł oczy i zobaczył charakterystyczne sylwetki dwóch warthogów. Nadlatywały

na niskim pułapie od strony słońca. Wyglądały jak czarne plamy nad horyzontem. Wokół świszczały kule i wybuchały pociski, ale wszystko działo się jakoś wolno, niemal flegmatycznie. Znowu spojrzął w miejsce, gdzie przedtem widział Tommy'ego, i próbował krzyknąć: „Kryj się!” Ale Tommy był na otwartym terenie. Adrian usiłował pobiec do niego; przeszło mu przez myśl, żeby nakryć syna własnym ciałem, osłonić go przed tym, co się dzieje, ale jego nogi nie chciały się ruszyć.

- Tommy - wyszeptał. Widział małe kwiaty kurzu pędzące w kierunku syna. Wiedział, że to kule z karabinu maszynowego. Ktoś strzelał z oddalonej o pięćdziesiąt metrów chaty stojącej pod torem lotu warthogów. Gdyby tylko bombowce przyleciały trochę szybciej, pomyślał Adrian. Gdyby otworzyły ogień sekundę-dwie wcześniej. Gdyby...

Linia kul nieubłaganie posuwała się w stronę jego syna. Adrian patrzył, jak Tommy filmuje własną śmierć. Nastąpiła chwila przed tym, jak chata zniknęła w kuli ognia.

Czas jest zbyt okrutny, pomyślał Adrian

Ukrył twarz w dłoniach. Nie chciał dopuścić do oczu i wyobraźni pędzących ku niemu obrazów. I w tej nagłej ciemności cały hałas i przerażenie pry snęły, zanikły jak końcówka piosenki w radiu. Kiedy cofnął dłonie i otworzył oczy, był sam, z powrotem w cichym gabinecie, otoczony książkami o morderstwie.

Adrian czuł, jakby coś w nim umarło.

Chciał coś powiedzieć synowi. Rozejrzał się za Cassie, ale jej nie było. Przez chwilę miał wrażenie, że siła eksplozji uszkodziła mu słuch; jego uszy wypełniało brzęczenie. Nie ustępowało, coraz głośniejsze, tak dotkliwe, że chciało mu się krzyczeć z bólu, i nagle uświadomił sobie, że to dźwięk dzwonka u drzwi.

ROZDZIAŁ 17

Zasnęła - nie wiedziała, na jak długo: minuty, godziny, dni? - ale obudził ją płacz dziecka.

Nie wiedziała, co robić. To był słaby odgłos, bardzo daleki, i nie od razu poznała co to. Przycisnęła Pana Futrzaka mocniej do piersi. Wykręciła szyję w jedną, potem w drugą stronę, próbując ustalić, skąd dobiega płacz. Miała wrażenie, że trwało długo - choć tak naprawdę mogła to być sekunda-dwie. Wreszcie ucichł. Ciekawe, co to znaczy. Jennifer miała małe doświadczenie w opiece nad dziećmi. Nie miała rodzeństwa, więc jej wiedza o niemowlętach ograniczała się do tych podstawowych instynktów, które istnieją w każdym. Weź dziecko na rękę. Ukołysz dziecko. Nakarm dziecko. Uśmiechnij się do dziecka. Połóż dziecko spać.

Ostrożnie zmieniła pozycję, żeby nie zrobić żadnego hałasu, który mógłby zagłuszyć ten dźwięk. Głos dziecka - nawet niezadowolonego, domagającego się zainteresowania - budził w niej mieszane uczucia. Coś znaczył i usiłowała dojść co właściwie. Zmusiła się, żeby być wnikliwa, zorganizowana, racjonalna i uważna.

Starła się rozgonić opary snu.

Przez chwilę myślała, że może ten płacz jej się przyśnił. Po kilku sekundach stwierdziła: nie, jest prawdziwy.

Jednak coś innego było nie tak. Pokręciła głową i niepokój przedarł się przez rzednące koszmary. O co chodzi? O co chodzi? Chciała krzyknąć na cały głos.

Coś się zmieniło.

Czuła to. Włosy zjeżyły jej się na karku. Oddech stał się chrapliwy, spanikowany. Gwałtownie wciągnęła powietrze i nagle wrzasnęła jak rażona prądem.

Jej głos rozbrzmiał echem w pokoju. To przeraziło ją jeszcze bardziej.

Drgnęła. Drgotały jej ręce, plecy zeszywniały. Zagryzła spierzchnięte, spękane wargi.

Kaptur zniknął.

Wciąż jednak panowała ciemność.

Z początku miała wrażenie, że widzi - że to pokój jest czarny. Potem zrozumiała, że nie. Coś nadal zasłania jej oczy.

Zdziwiła się. Dlaczego tak długo jej zajęło, by zauważyć, że kaptur zastąpiło coś innego? W każdym razie tak było. Ta zmiana musiała czemuś służyć, ale Jennifer pojęcia nie miała czemu. Wiedziała, że to oznacza coś ważnego - ale co? Odpowiedź pozostawała dla niej nieuchwytna.

Ostrożnie odchyliła się do tyłu i podniosła dłonie do twarzy. Przesunęła palcami po policzkach, sięgnęła do oczu. Kaptur zastąpiła jedwabna maska zawiązana z tyłu głowy. Obmacała węzeł. Zaplątały się w niego kosmyki włosów. Dotknęła łańcucha na szyi. To się nie zmieniło. Zorientowała się, że bez większego trudu może zdjąć maskę. Pewnie wyrwałaby sobie przy tym garść włosów, ale mogłaby zobaczyć, gdzie jest. Delikatnie położyła Pana Futrzaka na łóżku obok siebie i wsunęła palce pod miękki materiał. Nagle zamarła.

Gdzieś w oddali znów płakało dziecko.

To nie miało sensu. Jak małe dziecko może być powiązane z tym, co się z nią dzieje?

Próbowała uporządkować myśli. Płacz dziecka oznaczał, że była... gdzie? W mieszkaniu? W domu na ciasno zabudowanej ulicy? Czyżby mężczyzna i kobieta, którzy ją porwali, mieli dziecko? Dziecko kojarzyło się z rodzicielstwem, odpowiedzialnością, czymś normalnym - a w tym, co ją spotkało, nie było nic normalnego. Dziecko to minivany, łóżeczka, wózki i spacer w parku, ale to wszystko zdawało się częścią innego świata. Kaptur zniknął. Teraz jestem w masce. Mogę ją zdjąć. Może tego właśnie chcę. Może nie. Nie wiem. Chcę robić, co każą, ale nie wiem, czego oczekują.

I nagle zatkało ją, jakby dostała pięścią w brzuch.

Byli tu. W tym pokoju. Kiedy spałam. Zdjęli kaptur, włożyli mi tę maskę i nawet mnie nie obudzili. O mój Boże...

Chyba już setny raz nie mogła powstrzymać łez. Gwałtownie łąpała powietrze. Szlochała. Łzy wsiąkały w materiał na jej twarzy. Wyciągnęła rękę po Pana Futrzaka i szepnęła do niego:

„Dzięki Bogu, że cię tu mam, ty jeden dajesz mi poczucie, że nie jestem sama”.

Kołysała się w przód i w tył, zrozpaczona i samotna, aż w końcu opanowała spazmatyczne falowanie piersi. Jej oddech stał się wolniejszy. Rozpaczliwe, gwałtowne, wstrząsające ciałem wdechy ustały.

I kiedy szloch przycichł, rozległ się przeciągły, rozdzierający serce lament dziecka. Niósł się echem przez ciemność jej świata. Odległy. Nieuchwytny.

Przechyliła głowę, żeby lepiej wychwycić ten dźwięk, ale nadal nie rozpoznawała w nim nic znajomego. To było tak, jakby przez sekundę-dwie płacz dziecka przypomniał jej o świecie, który istniał poza przesłaniającą oczy ciemnością. Potem - tak szybko, jak szybko wdarł się do jej świadomości - ucichł, pozostawiając ją w tej samej mrocznej otchłani niepewności.

Raz jeszcze stawiała opór emocjom. Dość łez. Dość płaczu. Nie jesteś małym dzieckiem.

Nie pozwoliła sobie pomyśleć: a może jednak jestem.

Przez jedną przerażającą chwilę miała wrażenie, że to ona płacze, że to jej własne krzyki i lamenty, że słyszy samą siebie, że cofnęła się do wieku niemowlęcego.

Wzięła głęboki wdech. Nie, powiedziała sobie. To nie ja. Ja jestem tutaj. A dziecko tam.

Przejmij kontrolę, nakazała sobie.

Inna rzecz, że mówiła to już nieraz, i dotąd nie wiedziała, nad czym ma przejąć kontrolę.

Była też dość bystra, by zauważyć, że ilekroć zmuszała się do tego, by zapanować nad emocjami, zdarzało się coś, co jej w tym przeszkadzało i wtrącało ją z powrotem w pustą rozpacz skrytą wewnątrz ciemności.

Robią to specjalnie, stwierdziła.

Znów wyteżyła słuch. Nie potrafiła określić, czy dźwięki wydawane przez dziecko dodają jej otuchy, czy ją przerażają. Niewątpliwie znaczyły coś ważnego, a mimo to nie mogła ich zinterpretować. Aż płakać jej się chciało z frustracji. W porę jednak

przypomniła sobie, że po wszystkim, co ją dotąd spotkało, zalewała się łzami - i nic a nic to nie pomogło.

Osunęła się na łóżko. Spragniona, głodna, przerażona i obolała - choć nie mogła ustalić, co konkretnie ją boli. Czowała się, jakby przebito jej serce. Ale jeszcze gorsza od tego - prawie - była suchość w gardle; nie piła nic od czasu, kiedy dostała wodę z narkotykami (kiedy? rok temu?). Ostatni posiłek jadła w południe w dniu swojej ucieczki z domu. Kiedykolwiek to było.

Rozumiała, że jest więźniem - ale jakim, gdzie? Pomyślała, że nawet najgorsi mordercy zamknięci na zawsze w celi wiedzą, dlaczego tam są. Przed oczami stanął jej obraz wyrwany z jakiegoś filmu. Nie miał tytułu, gwiazd ani fabuły. Pamiętała tylko, jak więzień pieczołowicie wydrapywał w ścianie kreskę - znak, że upłynął kolejny dzień. Ona nie mogła zrobić nawet tego. Wiedza to luksus, dotarło do niej.

Wciąż jednak nie mogła nic z tego zrozumieć.

Słyszała, że ma wykonywać polecenia.

Ale nikt nie kazał jej nic robić.

Im więcej o tym wszystkim myślała, tym bardziej nerwowo wbijała palce w wytarte futro Pana Futrzaka. Dotyk misia w jakiś sposób do niej przemawiał. W pewnym sensie, powiedziała sobie, to jedyna pamiątka życia, jakie prowadziła do czasu, kiedy drzwi furgonetki otworzyły się i ten mężczyzna ją zdzielił. Była prawie naga, w pokoju, którego nie widziała. Były drzwi. To wiedziała. Był sedes. To wiedziała. Gdzieś było dziecko. To wiedziała. Podłoga była cementowa. Łóżko skrzypiało. Łańcuch zaciskał się na jej szyi, kiedy robiła sześć kroków w prawo lub w lewo. Było gorąco.

Żyła i miała swojego misia.

Głęboko odetchnęła w ciemności. No dobrze, Panie Futrzaku, od tego zaczniemy. Ty i ja. Tak jak zawsze, odkąd tata umarł i zostawił nas samych z mamą.

Nie wiedziała, jak długo jeszcze pożyje.

Nie wiedziała, co ją czeka.

Nie wiedziała, do czego jest im potrzebna - ale była potrzebna.

Wtedy po raz pierwszy zastanowiła się, czy ktokolwiek jej szuka.

I ledwie ta myśl przysła jej do głowy, znów usłyszała płacz dziecka. Pojedynczy, piskliwy, rozpaczliwy krzyk. Jak poprzednio, ucichł i zostawił ją samą z Panem Futrzakiem. Nie zdawała sobie z tego sprawy, ale ten dźwięk jej pomógł, bo oderwał ją od najbardziej przygnębiającego pytania: Skąd ktokolwiek miałby wiedzieć, gdzie jej szukać?

- Puść to jeszcze raz - polecił Michael. Majstrował przy głównej kamerze i myślał, że trzeba naprawić kilka drobiazgów w elektronicznym systemie dostrajania. - Nie chcę przedobrzyć. Krótki urywek...

Linda wcisnęła kilka klawiszy. Dziecko znów zapłakało.

- Jesteś pewien, że słyszy?

- Mhm. Na sto procent. Zobacz, jak odwraca głowę.

Linda nachyliła się w stronę obrazu z głównej kamery.

- Fakt - stwierdziła. - Klienci też słyszą?

- Tak. Ale jak ona będą się musieli postarać, żeby zrozumieć, o co chodzi.

Linda się uśmiechnęła.

- Nie lubisz ułatwiać im zadania, co?

- To nie w moim stylu - odparł Michael ze śmiechem.

Położył dłonie na karku, splótł palce i przeciągnął się jak zwykły mól biurowy, który za długo siedział przed komputerem.

- Spodoba im się, że Numer 4 tak krzyczy. Wtedy staje się to dla nich bardziej rzeczywiste.

Co ciekawe, Michael gardził licznymi abonentami *Co będzie potem?* Uważał ich fascynację za swoisty nałóg, słabość, choć bez skrupułów przyjmował od nich pieniądze i dostarczał im to, czego chcieli. Sądził, że sposób, w jaki spełniali swoje fantazje, tylko podkreślał ich niedostatki. Ogromną większość z tysięcy ludzi płacących za transmisję stanowili, jak przypuszczał, samotni, wypaczeni faceci, którzy nie mieli własnego życia i dlatego wciągali się w tworzoną przez niego historię.

Za to Linda prawie w ogóle nie myślała o klienteli - a przynajmniej nie tak, jak Michael. Nie widziała w nich ludzi o mrocznych żądzach, które przyciągały ich na stronę internetową cobedziepotem.com; dla niej byli tylko kwotami wpływającymi z różnych krajów. Piętnastocyfrowymi numerami kart kredytowych. Linda kalkulowała jak typowy człowiek interesu - tytu i tytu abonentów to tyle i tyle dolarów przelanych na założone przez nią anonimowe konta w rajach podatkowych. Rzadko się zastanawiała, kto tam jest i ogląda - a jeśli już, to tylko po to, by analizować statystyki i upewniać się, że pomysły Michaela są dość mocne, by nadać *Serii numer 4* dramaturgię.

Michael odpowiadał za scenariusz. Ona zajmowała się finansami. Oba aspekty miały zasadnicze znaczenie dla sukcesu. Ich związek w jej mniemaniu pokazywał, jak powinna wyglądać prawdziwa miłość. W wolnych chwilach i między kolejnymi seriami lubiła czytać fanzyny i pisma plotkarskie o gwiazdach filmowych; szczególną uwagę zwracała na to, kto jest z kim, kto rozstaje się z partnerem. I tak tydzień po tygodniu. Pasjonowała się życiem Brada, Angeliny, Jen czy Paris. Namiętnie próbowała zgadnąć, co zrobią tym razem i w jakiej kompromitującej sytuacji dadzą się przyłapać. To właśnie uznawała za swoją największą wadę: że poważnie traktowała romanse i rozstania celebrytów. Sądziła jednak, że to niegroźna wada.

Często marzyła o tym, żeby zostać gwiazdą. Wyobrażała sobie, że gdyby tylko ludzie uświadomili sobie sukces *Co będzie potem*, o niej i Michaelu pisano by w „Us” albo „People”.

Żałowała, że kryminalny charakter ich przedsięwzięcia uniemożliwia im zdobycie sławy. Uważała, że to, co robią, jest na tyle ważniejsze od tego, komu to robią, że powinno się uczynić dla nich wyjątek. Sprzedawali fantazje. To powinno być warte czegoś więcej niż pieniędzy. Jak dla niej, byli gwiazdami. Po prostu świat o tym nie wiedział.

Michael zdawał sobie sprawę, że Linda pragnie rozgłosu. Sam wolał, żeby pozostali anonimowi - choć chciał też zadowolić ją na wszystkie możliwe sposoby.

- Pora nakarmić dziewczynę - powiedział.

- Ty czy ja? - spytała Linda.

Michael sięgnął za rząd komputerów i przewertował plik notatek - bardzo luźny scenariusz. Zawsze musiał mieć wszystko przygotowane: dlatego zadał sobie trud, żeby spisać wiele elementów *Serii numer 4* na długo przed jej rozpoczęciem. Na tych kartkach - nazywał je *Instrukcją oddziaływania na widza* - znajdowały się listy kontrolne i wykazy rzeczy do zrobienia. Chciał wierzyć, że jest skrupulatny, ale przy tym posiada nieodzowną każdemu twórcy giętkość umysłu. Kiedyś, jeszcze na studiach, chodził na zajęcia z wiedzy o filmie i napisał pracę o tym momencie w *Na nabrzeżach*, gdy Marlon Brando podniósł upuszczoną przez Eve Marie Saint białą rękawiczkę, a reżyser, Elia Kazan, miał dość wyczucia, by nie przerywać filmowania sceny, której nie zapisał w scenariuszu, a która przeszła do klasyki kina. Zrobiłbym tak samo, często mówił sobie Michael. To nie w jego stylu, krzyknąć: „Cięcie!” i poprzestać na czymś przewidywalnym. Był elastyczny. I kiedy na ekranie przed sobą widział, jak Numer 4 szlocha z misiem w objęciach, myślał sobie, że on w niczym nie ustępuje najwybitniejszym reżyserom - tworzy coś unikalnego, prawdziwego i dużo bardziej dramatycznego i nieprzewidywalnego, niż to się wydawało możliwe.

- Ty idź - zdecydował po chwili. - Ciągłe jest przerażona. Kiedy ja tam wejdę, szok musi być maksymalny.

- Ty tu rządzisz - powiedziała Linda.

- Gdzie tam - odparł ze śmiechem.

Odsunął się od komputerów i podszedł do stołu, gdzie leżała broń. Chwilę szukał, po czym wziął magnum 357. Podał go Lindzie i wrócił do papierów. Szybko je przekartkował

- Masz - powiedział. - Przeczytaj to...

Linda przebiegła oczami po tekście.

- Nie ma sprawy. - Uśmiechnęła się szeroko i spojrzała na zegar. Właśnie minęła północ. - Chyba czas na śniadanie - stwierdziła.

Linda powoli otworzyła drzwi i weszła do piwnicy. Była ubrana jak poprzednio, w szeleszczący skafander ochronny i

czarną kominiarkę, która zasłaniała wszystko oprócz oczu. Niosła tacę, taką jakie są w każdej stołówce. Na tacy plastikowa butelka wody z oderwaną etykietką i półmisek owsianki, przygotowanej według znanego na całym świecie amerykańskiego przepisu. Obok pomarańcza. Żadnych sztuczków.

Zauważyła, że Numer 4 odwraca się w jej stronę i sztywnieje na dźwięk otwieranych drzwi.

Stała na jednym z iksów narysowanych kredą na podłodze. Usłyszała cichy szum - to Michael zmieniał kąt ustawienia kamery.

- Siedź spokojnie. Nie ruszaj się - poleciła.

Potem powtórzyła to samo po niemiecku, francusku, rosyjsku i turecku.

Słabo znała języki. Nauczyła się na pamięć pewnych zwrotów i przekleństw, bo od czasu do czasu się przydawały. Wiedziała, że ma kiepski akcent - ale co z tego. Kiedy mówiła po angielsku, czasem używała brytyjskiego, nie amerykańskiego słownictwa - na przykład „lift” zamiast „elevator” czy „bonnet” zamiast „hood”. Nie wierzyła, żeby te drobne zmiany mogły zwieść wytrawnego śledczego, który korzysta z systemów rozpoznawania głosu. Michael zapewnił ją jednak, że raczej nie ma zagrożenia, że zainteresuje się nimi jakakolwiek wyspecjalizowana komórka policji. Jak na wiecznego studenta przystało, dokładnie przeanalizował wszystkie dylematy kompetencyjne wynikające z ich serialu internetowego. Był przekonany, że żaden wydział policji tak naprawdę nie ma dość cierpliwości, by przyjrzeć się temu, co robią.

Działali, pomyślała, w najbardziej szarej z szarych stref.

- Twarzą do przodu. Ręce do boków.

I znów wydała te polecenia w kilku językach, w innej kolejności niż poprzednio. Na pewno zrobiła kilka błędów. To nic.

- Połóż ci na kolanach tacę. Kiedy pozwolę, będziesz mogła jeść.

Zobaczyła, że Numer 4 kiwa głową.

Podeszła do łóżka i powoli opuściła tacę. Stała nieruchomo, czekała. Numer 4 zaczęła drżeć, jej mięśnie naprężyły się spazmatycznie. To musi boleć, pomyślała. Numer 4 jednak trzymała usta zaciśnięte - pomijając mimowolne ruchy wywołane strachem - wypełniała każde polecenie.

- W porządku - powiedziała Linda. - Możesz jeść.

Upewniła się, że nie zaślania żadnej z kamer. Niby nie robiła nic nadzwyczajnego, po prostu karmiła dziewczynę, ale wiedziała, że widownia ogląda to z zapartym tchem. Właśnie dlatego ich transmisje internetowe cieszyły się taką popularnością. Doprowadzali do tego, że najprostsze, najbardziej rutynowe czynności stawały się czymś szczególnym. Jeśli każdy posiłek mógł być ostatnim w życiu Numeru 4, nadawało mu to zupełnie nowe znaczenie. Widzowie to rozumieli - i ta świadomość nieodparcie przyciągała ich do ekranów. Przez to, że los Numeru 4 był wielką niewiadomą, najzwyklejsze rzeczy stawały się pasjonujące.

Na tym polegał geniusz ich dzieła.

Linda patrzyła, jak Numer 4 wyciąga dłonie do tacy i odnajduje półmisek, pomarańczę i butelkę wody. Najpierw dziewczyna sięgnęła po wodę i piła chciwie, w zapamiętaniu. Zaszkozi jej, pomyślała Linda. Ale nic nie powiedziała. Zresztą, Numer 4 sama z siebie zaczęła pić nieco wolniej, jakby zorientowała się, że musi zostawić sobie trochę wody na koniec posiłku. Obmacała półmisek z owsianką. Zawahała się i jej palce poszukały na tacy sztućca. Kiedy żadnego nie znalazła, otworzyła usta. Pewnie chciała zadać pytanie - ale się rozmyśliła.

Uczy się, rozumiała Linda od razu. Nieźle.

Jennifer podniosła półmisek i zaczęła zgarniać owsiankę dłonią do ust. Najpierw ostrożnie - ale kiedy już poczuła smak, szybko spałaszowała resztę i wylizwała naczynie do czysta.

Miły akcent, stwierdziła Linda. Widzom się spodoba.

Nie odchodziła od łóżka. Kiedy Numer 4 zaczęła obierać pomarańczę, Linda powoli wyjęła magnum spod skafandra. Próbowała zgrać swoje ruchy z ruchami Numeru 4 tak, by pistolet wyłonił się w tej samej chwili, kiedy dziewczyna wgryzie się w owoc.

Podniosła broń, kiedy Jennifer wzięła pomarańczę do ust. Patrzyła, jak sok ścieka z warg dziewczyny.

Odciągnęła kurek, odbezpieczając broń.

Na ten dźwięk Numer 4 znieruchomiała w połowie kęsa.

Nie wie co to, pomyślała Linda, ale rozumie, że coś śmiertelnie niebezpiecznego.

Numer 4 zastygła z pomarańczą oddaloną o centymetry od twarzy. Cała drżała.

Linda zrobiła krok do przodu i zbliżyła lufę pistoletu na milimetry od punktu między oczami Numeru 4; prawie dotknęła opaski. Chwilę zaczekała, po czym przycisnęła pistolet do czoła dziewczyny.

Zapach oleju ochronnego, nacisk lufy - Numer 4 na pewno pozna co to, uznała Linda.

Trwała w tej pozycji. Słyszała, jak w młodej piersi wzbiera cichy jęk. Nastolatka nic jednak nie powiedziała i nie ruszała się, choć każdy jej mięsień napręzał się do granic wytrzymałości.

- Bum! - szepnęła Linda. Dość głośno, by wychwyciły to mikrofony, choć ledwo ledwo.

Powoli opuściła kurek. Przerysowanymi ruchami odsunęła pistolet od twarzy Numeru 4 i schowała go pod skafander.

- Koniec posiłku - oznajmiła głośno.

Wyjęła resztki pomarańczy z dłoni Numeru 4 i podniosła tacę z jej kolan. Dreszcz przeszedł dziewczynę od stóp do głów. Miała nadzieję, że kamery to złapały. Strach dobrze się sprzedaje.

Niespiesznie, z cichym, wytłumionym odgłosem kroków na twardym cemencie, wyszła z pokoju. Numer 4 została sama na łóżku.

W reżyserce piętro wyżej Michael uśmiechał się szeroko. Na liście dyskusyjnej wrzało. Dużo opinii, dużo reakcji. Później musi wszystkie przejrzeć. Zawsze przywiązywał szczególną wagę do lektury rozmów między klientami w chatroomie specjalnie przygotowanym na okazję *Serii numer 4*.

Linda odetchnęła głęboko, zamknęła oczy i ściągnęła kominiarkę. Jestem aktorką, pomyślała.

Ani Linda, stojąca za drzwiami piwnicy, ani Michael, który czuwał przy monitorach, nie zauważyli tego, co stało się potem. Część klientów widziała to na swoich komputerach. Gdy tylko odgłos zamykanych drzwi powiedział jej, że znów jest sama, Numer 4 położyła się z powrotem. Sięgnęła po misia i przytuliła go; trzymała sfatygowanego pluszaka między swoimi małymi piersiami, głaskała go po głowie jak małe dziecko i szeptała do niego prawie bezgłośnie. Żaden z oglądających nie za bardzo rozumiał, co dziewczyna mówi, choć niektórzy trafnie odgadli, że raz po raz powtarza jedną frazę. Nie mogli jednak wiedzieć, że były to słowa: „Na imię mam Jennifer na imię mam Jennifer na imię mam Jennifer na imię mam Jennifer”.

ROZDZIAŁ 18

Terri Collins chodziła w tę i z powrotem po podjeździe, a Adrian pokazywał jej, skąd widział furgonetkę. Byli przed jego domem. Zaszurała nogami i kopnęła poniewierający się po ziemi kamyk, kiedy profesor wsunął się za kierownicę swojego samochodu, żeby zademonstrować, gdzie wtedy zaparkował.

- I tu właśnie był pan tego wieczoru, kiedy zniknęła Jennifer?

Adrian skinął głową. Poznał, że pani detektyw odmierza w pamięci kąty widzenia i odległości, wyobraża sobie cienie, które wtedy padały na ulicę.

- Nie widzi tego - powiedział Brian.

Siedział w fotelu pasażera. On też patrzył w miejsce, gdzie furgonetka zwolniła, zatrzymała się, a potem przyspieszyła.

- W jakim sensie? - szepnął Adrian.

- W takim - zagrzmiał Brian stanowczo - że nie pozwala sobie zobaczyć tego przestępstwa. Jeszcze nie. Gapi się w to miejsce, ale nadal szuka powodów, dla których to się nie wydarzyło, nie odwrotnie. To zadanie dla ciebie, mój bracie. Przekonaj ją.

Spraw, żeby zrobiła następny krok. Musisz myśleć logicznie. Musisz być stanowczy. No, Audie.

- Ale...

- Niech zobaczy to, co ty tamtego wieczoru. Tak jak robi każdy śledczy, choć niechętnie się do tego przyznają, bo to w najgorszym razie wydaje się szalone, a w najlepszym dziwaczne. Wyobrażają sobie wszystko, co się stało, tak jakby przy tym byli... i to im mówi, gdzie dalej szukać.

Brian znów był w wyblakłym mundurze polowym. Oparł znoszone buty wojskowe na desce rozdzielczej. Rozsiadł się wygodnie i palił papierosa. Młody Brian. Starszy Brian. Martwy Brian. Adrian stwierdził, że jego brat to halucynacja kameleon. Z Wietnamu na Wall Street. Tak samo było z Cassie i Tommym i tak będzie z każdym gościem z jego przeszłości, który odwiedzi go w krótkim czasie, jaki mu pozostał. Adrian zaczerpnął tchu i poczuł gryzący swąd dymu. Zapach mieszał się z lepką tropikalną wilgocią; wydawało się, że Brian przyniósł dżunglę ze sobą. Rześkie wczesnowiosenne powietrze Nowej Anglii zniknęło bez śladu.

- Dlaczego nikt inny nic nie widział? - zagadnęła Terri Collins.

Adrian nie był pewien, czy ma odpowiedzieć na to pytanie, zadane cichym głosem, skierowane bardziej do padających z nieba promieni niż do niego.

- Nie wiem - odparł. - Ludzie wracają do domu. Chcą zjeść kolację. Zobaczyć się z rodziną. Zamykają drzwi i odcinają się od świata. Kto wygląda na ulicę o tej porze? Kto wypatruje czegoś niezwykłego? Niewielu, pani detektyw. Ludzie potrzebują rutyny. Potrzebują normalności. Tego oczekują. Jednorożec mógłby przebiec ulicą i pewnie by nie zauważyli. - Zamknął na chwilę oczy. Miał nadzieję, że jego słowa nie wyczarują kłusującego ulicą białego mitycznego stworzenia z rogiem, które on jeden będzie widział.

- Ktoś musiał coś zauważyć - ciągnęła Terri, jakby w ogóle go nie usłyszała.

Adrian zaczął się zastanawiać, czy odpowiedział jej na głos, czy tylko w myśli.

- Ale nikt tego nie widział. Tylko ja.

Detektyw odwróciła się do niego. Akurat to usłyszała, stwierdził.

- Czyli na czym stoimy? - spytała.

Tak naprawdę nie liczyła, że jej odpowie. Patrzyła, jak profesor wierci się na fotelu i wysiada z samochodu. Kiedyś przesłuchiwała schizofrenika w trakcie ataku psychotycznego. Bez przerwy rozglądał się na boki, bo słyszał dźwięki niesłyszalne dla innych. Mimo to w końcu cierpliwie wyciągnęła z niego wiarygodny rysopis złodzieja. Wiele razy penetrowała pamięć studentów, którzy wiedzieli, że stało się coś złego - najczęściej gwałt - ale nie byli pewni, co właściwie widzieli i słyszeli. Za dużo narkotyków. Za dużo gorzały. Najprzeróżniejsze rzeczy zaśmiewały uwagę. Kiedy jednak rozmawiała z Adrianem, przechodziły ją lekkie, nieprzyjemne ciarki. Był drobny, smukły, kruchy - jakby coś go trawiło od środka. Miała dziwne wrażenie, że z sekundy na sekundę profesor gaśnie. Na coś cierpiał, ale nie wiedziała na co.

Adrian odetchnął głęboko.

- To ważne - szepnął Brian. - Nie strać jej zainteresowania, Audie. Nie daj jej odejść. Będziesz jej potrzebował, żeby znaleźć Jennifer. Wiesz to. Nie odstrasż jej.

- Myślę, pani detektyw, że to piekielnie duży problem - powiedział Adrian na tyle chłodno i stanowczo, na ile potrafił. - Jeśli rzeczywiście byłem świadkiem porwania... a tak sądzę... to, cóż... takie porwania w tych okolicach raczej się nie zdarzają.

- O to chodzi - pochwalił go Brian.

- Słucham - odparła Terri.

- Porwanie przypadkowe. Psychologowie nie cierpią tego słowa. Tak naprawdę jest tylko wymówką dla braku reakcji. Widzi pani, moje zadanie... i każdego nauczyciela... polega na tym, aby pokazać, że nic nie dzieje się przypadkiem. Jeśli rozebrać wszelkie szczegóły na czynniki pierwsze, w końcu dociera się do prawdy, która pokazuje nieuchronność czynu. W ostatecznym rozrachunku wszystko ma swój sens. Ktoś planuje podróż samolotem. Ten zostaje uprowadzony i uderza w południową wieżę

World Trade Center. Może i jest w tym trochę pecha, że podróżny wybrał właśnie ten lot, tego dnia. Ale to ma swój sens. Ktoś musiał gdzieś być o określonej porze i wybór tego samolotu uznać za logiczny. Prawdopodobieństwo, że osoba stojąca za nim w kolejce okaże się nihilistycznym terrorystą samobójcą, było znikome, ale policzalne. Decydujące czynniki... wszystko, co uczyniło jednego człowieka terrorystą, a drugiego ofiarą... z punktu widzenia psychologii układają się w klarowny schemat. I taka jest prawda. Terri cofnęła się o krok.

- Mówi pan, jakby wygłaszał wykład.

- Teraz! - naciskał Brian głośnym scenicznym szeptem. - Masz ją w garści!

- Tak. To jest wykład. Ale jeśli chcemy mieć choć cień szansy, żeby uratować Jennifer, musi pani wejść na moje terytorium.

- Dobrze - ocenił Brian. - Jest zaintrygowana.

Detektyw Collins rozważała coś przez chwilę. Brian mówił ożywionym tonem - pewnie jak wtedy, kiedy dowodził żołnierzami na wojnie albo wyciągał w sądzie prawdę z opornego świadka.

- Teraz - nalegał brat. - Pomyśl o tym, co powiedział ci Tommy.

Adrian się zawahał. Miał ochotę odwrócić się do Briana i spytać: „Co? Co powiedział mi Tommy, zanim rozerwało go na strzępy?” A potem szybko przypomniał sobie słowa syna: „Najważniejsze jest to, co widzisz”.

- Pani detektyw. Jeśli Jennifer porwano na tej ulicy, w tej dzielnicy, tylko po to, żeby została zabawką jakiegoś wynaturzonego mordercy w ciemnym, ukrytym, odległym miejscu... cóż, to równie dobrze może pani wrócić do domu i czekać, aż ktoś znajdzie ciało tej dziewczyny za tydzień, miesiąc, rok, dziesięć lat. I wiemy już, że nie uprowadzono jej dla okupu, bo matka nie dostała wiadomości od porywaczy. Nie stoi za tym też nikt z rodziny Jennifer, bo ich relacje nie były aż tak napięte. Pytała pani jej ojczyma o jego praktykę... nawiasem mówiąc, bardzo zręcznie... ale gdyby tu krył się motyw porwania, dziś już byśmy o tym

wiedzieli. To znaczy, gdyby ktoś chciał nękać albo ukarać Scotta Westa, musiałyby dać znać, że o to mu chodzi, inaczej jego cel pozostawałby niejasny. Zostaje więc tylko jedna, bardzo niska nadzieja: że Jennifer porwano z innego powodu. Jakiego? To musimy ustalić, bo tylko tak ją znajdziemy. Żywą. - Adrian wydawał się zdeterminowany i roztargniony jednocześnie. - Jennifer, pani detektyw... była komuś do czegoś potrzebna. Wszelkie inne wyjaśnienia są bezużyteczne, bo prowadzą do tego samego wniosku: nie żyje. Czyli, logicznie rzecz biorąc, nie ma sensu się nimi zajmować. Jedyne wyjście to przyjąć założenie, że dziewczyna żyje, i to z jakiegoś konkretnego, jasno sprecyzowanego powodu. W przeciwnym wypadku oboje tylko tracilibyśmy czas.

- Brawo! - wypalił Brian.

Adrian drgnął lekko, bo zabrzmiało to jak krzyk tuż nad jego uchem.

Terri myślała, że to kompletne wariactwo i że stary profesor - którego lekko wybałuszone oczy mrugały pospiesznie, a dłonie drżały od jakiejś niewidzialnej elektrycznej siły - najwyraźniej stracił rozum, nawet jeśli nie potrafiła tego fachowo zdiagnozować. Rozejrzała się po okolicy, jakby się spodziewała, że w tej chwili podjedzie biała furgonetka, zwolni, drzwi się otworzą i wypadnie Jennifer, trochę poturbowana, może napastowana seksualnie, ale w takim stanie, że wystarczy trochę miłości, terapii i środków przeciwbólowych, by doszła do siebie.

Wokół niej zapadała ciemna noc. Stary profesor był jak ptak, który przycupnął na cienkiej gałązce pomysłu. Jakie mam inne wyjście? - pomyślała.

- W porządku - powiedziała. - Wysłucham pana.

Krótką pauza i Adrian pokiwał głową. Był trochę zaskoczony, że pani detektyw jest skłonna go wysłuchać, i trochę niepewny, bo nie wiedział, co powie.

- Czujesz? - syknął Brian bez złośliwości. - Ten powiew. To jak nadzieja dla Jennifer.

Adrian przytrzymał Terri Collins drzwi i wprowadził ją do

środką z gęstniejącej ciemności. Zawahał się, jakby w oczekiwaniu, aż wejdzie też Brian, ale nieżyjący brat został na schodach, półtora metra od niego.

- Nie mogę wejść - powiedział krótko, jakby to było oczywiste.

Adrian musiał mieć zaskoczoną minę, bo Brian szybko dodał:

- Nawet halucynacje rządzą się swoimi prawami, Audie. Te zmieniają się nieco, zależnie od okoliczności i, że tak powiem, danych na wejściu. Zresztą, pewnie już to wiedziałeś. Mimo to trzeba ich przestrzegać.

Adrian skinął głową. Uznał, że to ma sens, choć nie potrafił stwierdzić dlaczego.

- Słuchaj, teraz już sobie poradzisz. Na pewno. Znasz się na ludzkim zachowaniu, znasz się na przestępcach, a twój kumpel z uniwerku wskazał ci jedyny trop, który daje ci szansę na sukces, więc musisz to wykorzystać, żeby przekonać tę policjantkę. Poradzisz sobie.

- Nie wiem...

Usłyszał w uchu szept żony.

- Dasz radę, skarbie... - W głosie Cassie brzmiała niezmacona pewność i kiedy Adrian spojrzał na Briana, zobaczył, że duch zacisnął pięść w geście zachęty; widać i on ten szept wyłapał.

- Tutaj? - spytała Terri Collins.

Adrian otrząsnął się ze wspomnień.

- Tak. Na prawo. Usiądźmy w salonie. Napije się pani kawy?

Zaproponował to bez zastanowienia. Nagle zorientował się, że chyba nie ma kawy, a nawet gdyby miał, nie bardzo pamiętał, jak się ją parzy. Przez chwilę był zagubiony, w ogóle nie orientował się, gdzie jest kuchnia. Odetchnął głęboko, przypomniał sobie, że mieszka w tym domu od lat i że kuchnia znajduje się zaraz za jadalnią, przed małą łazienką na parterze. Schody prowadzą na górę, do jego sypialni i gabinetu. Wszystko jest tam, gdzie być powinno.

Detektyw Collins pokręciła głową.

- Nie. Przejdźmy od razu do rzeczy. - Weszła do salonu zawałonego książkami, kubkami z niedopitą kawą, półmiskami z owsianką w zsiadłym mleku, talerzami z resztkami jedzenia. Tu i ówdzie poniewierały się sztucce, piętrzyły stosy papierów. Telewizor - ustawiony na kanał sportowy - grał ze ściszym dźwiękiem. Nieruchome powietrze wypełniała stęchlizna zamkniętego pomieszczenia. Prawie bałagan, pomyślała. Ale nie całkiem. Te wszystkie przedmioty nie tworzyły jeszcze nieładu, którego nie dałoby się uprzątnąć w jedno popołudnie. Pokój i, jak się domyślała, cały dom, odzwierciedlał cechę wspólną dzieciom, które nie zważają na porzucane zabawki i ubrania, i starym ludziom otaczającym się wzruszającymi pamiątkami i bibelotami. Ani jedni, ani drudzy nie dbają o porządek.

- Ostatnio mieszkam sam - wyjaśnił Adrian. - Przepraszam za bałagan.

- Mam małe dzieci. Przywykłam. - Zsunęła papiery z krzesła. Siadając, zauważyła, że na egzemplarzach „Boston Globe” sprzed trzech tygodni leżą częściowo wypełnione formularze od lekarza. Próbowwała je przeczytać, nie dała rady. - No dobrze - zaczęła. - Niech pan powie, co pańskim zdaniem możemy zrobić.

Adrian też poprzekładał jakieś książki i gruchnął na fotel. Miał nagły, chwilowy odpływ myśli i słyszał, jak pewność siebie ulatnia się z jego głosu. Był zadowolony z tego, jak dynamicznie przedstawił problem wtedy, na zewnątrz. Sądził, że mówił z mocą, stanowczo. Teraz jednak słyszał, że do jego słów wkrada się niezdecydowanie.

- Widzi pani... - Zawahał się. - Ja naprawdę chcę, żeby ona przeżyła. Jennifer...

Detektyw Collins uniosła dłoń, żeby go uciszyć.

- Chcieć... i mieć na to wpływ to dwie zupełnie różne rzeczy.

Adrian przytaknął.

- To ważne. Ważne dla mnie. Muszę ją znaleźć. Ja już długo nie pociągnę, ale ona jest młoda. Przed nią całe życie. Nawet

jeśli do tej pory było ciężkie, nie znaczy, że powinno się przedwcześnie skończyć...

- Tak - odparła Terri. - Ale to truizmy. Nie pomagają w śledztwie.

Adrian czuł się niezręcznie. Tak naprawdę nigdy nie miał do czynienia z policjantem. Kiedy Brian się zabił, nowojorski wydział zabójstw załatwił wszystko szybko, sprawnie i nienachalnie, bo sprawa była oczywista. Gdy Cassie miała wypadek, skontaktował się z nim policjant drogowki - taktowny, bezpośredni i rzeczowy. Później, przez te długie tygodnie, które minęły, zanim w końcu umarła, policja nie interesowała się nimi. A co do Tommy'ego... cóż, dostali tylko zdawkowy telefon. Rzecznik wojskowy przedstawił okoliczności śmierci syna i datę przybycia samolotu z jego trumną. Adrian na chwilę zamknął oczy i pośród ciemności usłyszał kakofonię ech, jakby mówiło do niego wiele głosów naraz; trudno mu było połączyć się w płataninie słów, tonów i nalegań.

- Dobrze się pan czuje, profesorze?

Otworzył oczy.

- Tak. Przepraszam, pani detektyw...

- Na chwilę jakby się pan wyłączył.

- Tak?

- Tak.

Adrian spojrzał na nią pytająco.

- Jak długo byłem...

- Ponad minutę. Może dwie.

Adrian pomyślał, że to niemożliwe. Zamknął oczy tylko na sekundę. Nie dłużej.

- Dobrze się pan czuje, profesorze? - powtórzyła Terri. Starała się usunąć ze swojego głosu wszelkie ślady ostrego tonu policjantki i mówić bardziej jak matka pochyłona nad gorączkującym dzieckiem.

- W porządku. Nic mi nie będzie.

- Mam inne wrażenie. Nie moja sprawa, ale...

- Dostałem nowe leki. Dopiero się do nich przyzwyczajam.

Nie sądził, że detektyw Collins uwierzy.

- Może powinien pan porozmawiać ze swoim lekarzem. Gdyby prowadził pan samochód i nagle...

Adrian wszedł jej w słowo.

- Przepraszam. Proszę dać mi zebrać myśli. Na czym stanęliśmy?

Terri chciała dokończyć swój wykład o niebezpieczeństwach prowadzenia samochodu w jego stanie. Ale ugryzła się w język i wróciła do głównego wątku.

- Jennifer... i dlaczego mielibyśmy...

- Oczywiście. Jennifer. Oto, do czego zmierzam: prawie każdy znany nam obojgu scenariusz kończy się prostym rozwiązaniem złożonego równania. Śmiercią. Dlatego, z punktu widzenia naukowca, nie ma większego sensu rozpatrywać tych wariantów, nawet jeśli to one są najbardziej prawdopodobne, bo dają straszny wynik końcowy. Trzeba więc spojrzeć na to z drugiej strony. Czy jest jakieś równanie, którego rozwiązaniem byłoby życie?

- Nadal słucham.

- Tak, oczywiście. A zatem, co wiemy... - Adrian urwał i zastanowił się, co właściwie wie. Spojrzał na Terri Collins i zauważył, że lekko wysunęła się do przodu na krześle. W tej samej chwili poczuł, że coś napiera na niego z boku. Pragnął tam spojrzeć. Okazało się jednak, że nie musi, bo żona objęła go ramieniem i szepnęła z naciskiem: „Tu nie chodzi o Jennifer... chodzi o to: czym jest, nie: kim jest. Powiedz jej...” -Tak też zrobił. - Pani detektyw, może to rodzaj przestępstwa, w którym nie chodzi o konkretną osobę, tylko o określony typ osoby.

Terri powoli wyjęła notes. Miała wrażenie, że profesor poruszył się niespokojnie w fotelu. Teraz siedział zgarbiony, jakby wytrącony z równowagi; mówił jednak z sensem.

- Co wiemy: szesnastolatka zostaje uprowadzona z ulicy. Wszystkie informacje, jakie zebrała pani o Jennifer i jej rodzinie, tak naprawdę nie grają roli, prawda? Musimy ustalić dwie rzeczy: dlaczego ktoś szukał osoby takiego typu i czemu właśnie w tej dzielnicy. Potem trzeba się zastanowić, dlaczego wybór padł

na Jennifer. Wiemy, że w samochodzie siedzieli mężczyzna i kobieta. W grę wchodzi więc bardzo wąski zakres przestępstw, z których większość kończy się morderstwem. - Mówił znów stanowczym, akademickim, pewnym głosem. Pamiętał ten ton z setek tysięcy godzin w salach zajęć. Znał go tak dobrze jak swoje ulubione poezje, sonety Szekspira czy wiersze Frosta. Czuł się dużo lepiej, wiedząc, że to, co w nim zanikało, teraz powraca.

- Ale jeśli kończy się morderstwem...
- Powiedziałem tylko, że tak się kończy.
- Ale...
- Musimy w tym przeszkodzić.
- Jak?

- Jest tylko jeden sposób. Przyjając, że celem uprowadzenia jest coś innego niż morderstwo. Że obecność Jennifer ma znaczenie niepowiązane z tym, jaki koniec ją czeka. Nam pozostaje ten cel zidentyfikować i pójść jego tropem. W przeciwnym razie równie dobrze możemy czekać, aż znajda ciało. - Po chwili wahania poprawił się. - Nie ciało. Jennifer.

- W porządku. Jaki może być ten cel?

Adrian poczuł, że żona szturchnęła go łokciem i ścisnęła za ramię. Spojrzał w bok i miał wrażenie, że pożyczona od znajomego *Encyklopedia morderstwa* na jego oczach wzniosła się w powietrze i nagły gwałtowny podmuch zaczął przewracać stronicę.

Makbet, pomyślał. Ta scena, kiedy lady Makbet przywidziało się narzędzie zbrodni. „Czy widzę sztylet przed sobą?” Tylko że tutaj, przed nim, wisiało hasło w książce dokumentującej nieprzerwane pasmo zbrodni i tragedii.

- Mam pewien pomysł - powiedział Adrian. - Może jedyny.

ROZDZIAŁ 19

Tego wieczoru Terri Collins wróciła do domu przekonana, że Adrian zupełnie zwariował i że szaleństwo to w tej sytuacji prawdopodobnie jedyne realistyczne wyjście.

Ledwie pchnęła drzwi, dwójka jej dzieci wyskoczyła jak z procy sprzed telewizora. Natychmiast zasypał ją grad dziecięcych potrzeb i żądań - większość wiązała się z koniecznością wysłuchania relacji o tym, co działo się w szkole, na placu zabaw albo na lekcji czytania. To było trochę tak, jakby ktoś wszedł do kina w trakcie filmu i w skupieniu starał się wychwycić dość szczegółów, by odtworzyć przegapione wydarzenia niezbędne do tego, aby zrozumieć fabułę. Laurie - jej przyjaciółka i opiekunka do dzieci - krzątała się w kuchni przy zlewie pełnym naczyń i wykrzyknęła coś - po części powitanie, a po części pytanie, czy Terri jest głodna. Terri podziękowała za jedzenie.

- Aresztowałaś jakichś bandytów? - spytał starszy z dwójki dzieci, ośmiolatek rozpierany chłopięcą energią.

Jego siostra, dwa lata młodsza i tak cicha, jak on był głośny, jedną ręką uczepiła się nogi mamy, a drugą wymachiwała kolorowym rysunkiem.

- Nie, dzisiaj nie - odpowiedziała Terri. - Może jutro się uda. Albo pojutrze.

- Prawdziwych bandytów?

- Jak zawsze. Tylko tych najgorszych.

- To dobrze. - Ośmiolatek oderwał się od niej i wrócił na swoje miejsce przed telewizorem.

Terri patrzyła, jak synek idzie przez pokój. W każdym geście chłopca, w tonie, jakim wypowiadał każde słowo, w każdej minie szukała śladów jego ojca. Czuła się trochę tak, jakby miała w domu odbezpieczony granat. Nie wiedziała, jakie cechy syn odziedziczył po jej byłym mężu, ale to ją przerażało. Genetyka potrafi być okrutna. Mały już miał swobodny uśmiech ojca i jego niewymuszony urok - wszyscy go lubili, w szkole i na osiedlu.

Bała się, że to tylko pozory, że wyrosnie na czarującego potwora jak jego ojciec. Ten przy ludziach zawsze chodził uśmiechnięty, wyluzowany, dowcipkował, ale gdy tylko zostawali sami, stawał się ponury, zamknięty w sobie i zaczynał ją tłuc. Tej części jej życia nie poznał nikt. To była tajemnica i kiedy Terri uciekła, zostawiła za sobą wiele osób, rodzinę, przyjaciół, znajomych z pracy, którzy na pewno dociekali: „Jak to możliwe?” i „Przecież to bez sensu”.

Sęk w tym, że to miało sens. Tylko o tym nie wiedzieli.

Patrzyła na swojego syna, gdy klapnął na fotel i sięgnął po książkę z obrazkami. Zastanawiała się: Czy uciekłam wystarczająco wcześnie? Myśl, że jej były mąż mógł zaszcześcić dziecku jakąś infekcją, która jak dżuma czekała w uśpieniu na właściwy moment, by z furią zaatakować, nie dawała jej spać po nocach. Dzień w dzień czekała na telefon ze szkoły, na głos w słuchawce: „Zdaje się, że mamy problem”. I co wieczór, gdy takiego telefonu nie było, czuła ulgę i od nowa zaczynała się bać, że zadzwoni jutro.

Udało jej się uciec; spakowała się i wyszła, kiedy był przez kilka godzin zajęty. Zachowała ostrożność. W poprzedzających ucieczkę tygodniach nie dawała po sobie poznać, co planuje, ostentacyjnie trzymała się nudnej rutyny, tak by niczego się nie spodziewał. Zostawiła wszystko oprócz garści pieniędzy i dzieci. Resztę mógł sobie zabrać. Nie zależało jej.

Bez końca powtarzała w duchu swoją mantrę: „Zacznij od nowa. Zacznij od nowa”.

Później wywalczyła nakaz sądowy zakazujący mu zbliżyć się do niej i ugodę rozwodową, która ograniczyła jego kontakty z dziećmi. Potem przedłożyła wszystkie niezbędne papiery jego dowódcy w bazie w Karolinie Północnej, gdzie stacjonowała Pierwsza Dywizja Powietrznodesantowa. Wytrzymała kilka sesji z wojskowymi psychologami - którzy mniej lub bardziej subtelnie próbowali ją przekonać, żeby wróciła do męża. Odmawiała bez względu na to, jak często nazywali go „amerykańskim bohaterem”.

Za dużo już mamy bohaterów, myślała.

Ucieczka nigdy jednak nie mogła być pełna i ostateczna - taka

wymagałaby ukrywania się, zmiany tożsamości i ciągłych przeprowadzek, koniecznych, aby zachować anonimowość w świecie lubującym się w upublicznianiu wszystkiego o wszystkich. Jej eksmąż nigdy całkowicie nie zniknie z ich życia. To po części dlatego podjęła przerwana naukę i tak ciężko pracowała, by zostać policjantką. Pistolet półautomatyczny w torbie i odznaka były niewypowiedzianym ostrzeżeniem, które - miała nadzieję - służyło za barierę między nim a wszelką trucizną, jaką chciał im podać.

Uściskała oboje dzieci i zmówiła krótką modlitwę dziękczynną za kolejny bezpieczny dzień. Miała ochotę zapalić świeczkę w kościele i poprosić Boga, by jej były mąż został alkoholikiem, narkomanem albo wrócił do Iraku czy Afganistanu, gdzieś, gdzie są kule, bomby i wszechobecna śmierć.

Okrutne, bezduszne, niegodne myśli. Miała to gdzieś.

Terri zagoniła dzieci do ich zajęć: rysowania, czytania, oglądania telewizji - a sama poszła do kuchni. Laurie, na której mogła niezawodnie polegać od chwili, kiedy odebrała zgłoszenie o zaginięciu Jennifer, nakładała jedzenie na talerz.

- Pewnie nie mówiłaś prawdy - stwierdziła.

Terri spojrzała na podgrzany klops i sałatkę. Wzięła talerz, chwyciła nóż i widelec i na stojąco, oparta plecami o szafki, zaczęła jeść.

- To ty powinnaś być detektywem - powiedziała między kęsami.

Laurie skinęła głową. Dla kogoś, kto spędzał z Raymondem Chandlerem, Arthurem Conan Doyle'em i Jamesem Ellroyem tyle czasu co ona, to był nie lada komplement.

W sąsiednim pokoju dzieci zajęły się czymś w ciszy - swoisty sukces. Terri zaczęła nalewać sobie mleko, ale zmieniła zdanie i znalazła opróżnioną do połowy butelkę białego wina. Wzięła z półki dwa kieliszki.

- Zostaniesz chwilę?

Laurie skinęła głową.

- Jasne. Białe wino i układanie dzieci do snu. Nie mogłabym sobie wymarzyć lepszego wieczoru. Bylebym tylko wróciła przed telewizor, zanim zaczniesz się *CSI*.

- Te seriale... wiesz, że nijak się mają do rzeczywistości.
- Mhm. Ale są trochę jak krótkie moralitety. W średniowieczu lud zbierał się przed kościołem, a aktorzy odgrywali sceny z Biblii, żeby krzewić nauki typu „Nie będziesz zabijał”. Dziś włączamy telewizor i oglądamy Horatia Jakmutam w *Miami* albo Gusa w *Las Vegas*. I te filmy mówią mniej więcej to samo, tylko w bardziej nowoczesny sposób.

Zaśmiały się.

- Dziesięć minut! - zawołała Terri do dzieci w sąsiednim pokoju. Tak jak się spodziewała, odpowiedziały jej jęki protestu. Wiedziała, że Laurie ma ochotę spytać o prowadzone teraz śledztwo, ale przez grzeczność nie chce pierwsza poruszyć tego tematu. Wzięła kęs klopsa. - Uciekiniarka z domu - odparła na niezadane pytanie. - Ale nie możemy być pewni. Może to porwanie. Może ktoś pomógł jej uciec. Na razie to niejasne.

- A co ty sądzisz? - spytała Laurie.

Terri się zawahała.

- Większość dzieci, które znikają, jest uprowadzana z jakiegoś powodu. I zazwyczaj się odnajdują. Tak przynajmniej mówią statystyki.

- Ale...

Terri zajrzała do pokoju, żeby się upewnić, że syn i córka nie słyszą.

- Nie jestem optymistką - powiedziała cicho. Nadziała na widelec trochę sałatki i pociągnęła duży łyk wina. - Jestem realistką. Licz na najlepsze, oczekuj najgorszego.

Laurie pokiwała głową.

- Szczęśliwe zakończenia...

- Chcesz happy endu, oglądaj telewizję - ucięła Terri. Zabrzmiało to ostrzej, niż powinno, ale po rozmowie z profesorem widziała wszystko w szarych i czarnych barwach. - Tam prędzej go znajdziesz.

To niezwykła metoda prowadzenia śledztwa, stwierdziła.

Zrobiło się późno, Laurie wyszła ze swoim zwykłym apelem „dzwoń o każdej porze dnia i nocy...”, dzieci spały, a Terri sączyła już trzecią lampkę białego wina, otoczona książkami i artykułami,

z laptopem przy łokciu. Trwała w dziwnym stanie między wyczerpaniem a fascynacją.

„Widzi pani, przestępstwo, które się wydarzyło na moich oczach... to był tylko początek. Scena pierwsza. Akt pierwszy. Wchodzą antagoniści. I te nieliczne informacje, które mamy, prawdopodobnie prowadzą donikąd. Zwłaszcza jeśli sprawcy są doświadczeni w tym, co robią”.

Głos starego profesora rozbrzmiewał echem w zaciszu jej małego, zadbanego, zagraconego zabawkami domu, „...doświadczeni...” Nie powiedziała mu o kradzionej furgonetce ani o podpaleniu - ogień najpewniej strawił wszelkie pozostawione przez nieuwagę ślady. Takie środki ostrożności podejmuje ktoś, kto wie, co robi.

„Musimy rozważyć przestępstwo, które jest w toku teraz, kiedy rozmawiamy”.

Profesor bez opamiętania snuł szalone domysły i stawiał nieдорeczne hipotezy. Jednak w tym wszystkim tkwiły załączki sensu. Słuchała go uważnie, szukała wskazówek, które naprowadziłyby ją na rozwiązanie dwóch zagadek. Pierwsza wydawała się oczywista: Co z nim jest nie tak? Druga dużo bardziej skomplikowana: Jak odnaleźć taką Jennifer, dziewczynę wyrwaną ze świata?

Postanowiła po prostu cierpliwie wysłuchać profesora. Był inteligentny, spostrzegawczy i znakomicie wykształcony. Fakt że co rusz się dekoncentrował, jakby nagle przenosił się do innego świata, i odpowiadał na niewypowiedziane pytania i uwagi - był względnie niegroźny. Coś w jego niezbornych wywodach mogło naprowadzić ją na właściwy trop.

Na kolanach trzymała otwartą *Encyklopedię morderstwa*. Dwa razy przeczytała artykuł o morderstwach na wrzosowiskach i wyszukała na Internecie szczegółowe informacje o tej zbrodni. Zawsze zadziwiała ją to, jakie rzeczy można wyszperać w zakamarkach cyberswiata. Natrafiła na zdjęcia z sekcji zwłok, plany miejsc zbrodni i oryginały policyjnych dokumentów, wszystko to zamieszczone na różnych stronach internetowych poświęconych seryjnym morderstwom i dewiacjom seksualnym. Kusilo ją, by zamówić którąś z kilku książek o Myrze Hindley i Ianie Bradym

- ale nie chciała, żeby takie opracowania zajmowały miejsce na półce obok *Kota w kapeluszu*, *O czym szumią wierzby* i *Kubusia Puchatka*.

Pamiętała, by wykasować z komputera wszystkie linki do stron o morderstwach, które odwiedziła. Po co je zostawiać? A nuż jej najstarsza pociecha wie, jak się takie rzeczy otwiera. Dzieci to naturalni podglądacze, ale wszelka ciekawość musi mieć granice. Tak samo podeszłaby do tego każda rozsądna matka.

Jednak nawet kiedy kliknięciami myszy odesłała wszystko do komputerowego czyścica, to, co przeczytała, nie dawało jej spokoju.

Parę zabójców zgubiła potrzeba podzielenia się swoim bestialstwem z innymi.

„To właśnie jest klucz”, powiedział Adrian. „Chcieli wyjść poza swój związek. Gdyby dzielili się zamiłowaniem do tortur tylko ze sobą nawzajem, mogliby zabijać w zasadzie bez końca”.

Terri słuchała wykładu profesora i robiła notatki.

„Bez jakiegoś błędu w planowaniu czy przypadkowego świadka... działaliby całymi latami”.

Nie знаła się na tego typu zbrodniach, choć na studiach omawiali słynne morderstwa i seryjne zabójstwa. Po kilku latach zajmowania się banalną przestępczością miasteczka uniwersyteckiego większość z tego zapomniała.

„Jeśli wezmę dwa identyczne białe szczury i postawię je w identycznej sytuacji psychologicznej, wówczas można zbadać różnice ich reakcji na identyczne bodźce. Wystąpią jednak pewne podobieństwa, punkty odniesienia, na podstawie których można dokonać pomiarów”.

Był ożywiony. Przypuszczała, że mówiąc, widział samego siebie, jak otoczony studentami stłoczonymi w ciemnym laboratorium obserwuje zachowanie zwierząt i pieczołowicie analizuje ich reakcje.

„...Wtedy, kiedy podobne szczury w identycznej sytuacji zaczynają od tych norm odbiegać, robi się ciekawie”.

Tyle że zniknięcie Jennifer to nie eksperyment laboratoryjny.

Przynajmniej tak mi się wydaje, pomyślała i odchyliła się na oparcie krzesła. Odetchnęła głęboko i zaczęła się zastanawiać, czy może się mylić.

Była w trudnym położeniu. Przypomniała sobie, że musi być ostrożna. Kochała swoją pracę, ale wiedziała, że każde śledztwo jest decydujące dla kariery. Schrzanisz sprawę gwałtu w kampusie, wracasz do radiowozu. Spaprzesz śledztwo dotyczące narkotyków czy włamania, to w tak małej jednostce prędko tej plamy nie zmażesz. Zamiast machać złotą odznaką drobnym opryszkom i studentom, którzy narozrabiali po pijaku, odbierałaby telefony.

W głębi ducha była wściekła na Jennifer. Do cholery! Czemu po prostu nie paliłaś trawy i nie szwendałaś się po nocy jak inne zbuntowane nastolatki? Dlaczego nie mogłaś pić, uprawiać seksu bez zabezpieczeń i tak przebrnąć przez wiek nastoletni? Dlaczego musiałaś uciec?

Padała z nóg. Zasnęłaby już, gdyby nie nakładające się na siebie obrazy dwojga morderców sprzed pół wieku i Jennifer. Chciała obiecać: „Znajdę cię”, ale wiedziała, że to wciąż mało prawdopodobne.

Szef jej wydziału siedział za biurkiem. Na ścianie za nim wisiało zdjęcie: on w stroju bejsbolisty otoczony wianuszkami dzieci. Rozgrywki Ligi Dziecięcej. Nieopodal stał tani, ale lśniący puchar, a oprawiona tabliczka ogłaszała komendanta: „Najlepszym Trenerem Świata” - na niej widniało wiele niewprawnych podpisów. Resztę ściany zajmowały świadectwa ukończenia licznych szkół i kursów: programu rozwoju zawodowego FBI, Fitchburg State College i dyplom John Jay College - dość prestiżowej uczelni. Komendant lubił nosić w pracy mundur, ale tego dnia był w garniturze, zdecydowanie za ciasnym na jego pokaźny brzuch i ramiona ciężarowca. Miała wrażenie, że lada moment facet pęknie jak postać z kreskówki, która nadyma się jak balon.

Sączył kawę i bębnił ołówkiem w jej skromny raport.

- Terri - zaczął powoli. - Więcej tu pytań niż odpowiedzi.

- Tak jest.
- Sugerujesz, że powinniśmy wezwać stanowych albo federalnych?

Spodziewała się tego pytania.

- Myślę, że powinniśmy poinformować ich o sytuacji. Ale bez mocnych dowodów będą tak bezradni jak ja.

Nosił okulary. Ciągłe zakładał je i zdejmował - zdejmował, kiedy mówił, zakładał, kiedy czytał - i tak był w ciągłym ruchu.

- Czyli rozumiem, że...

- Nastolatka ucieka z domu. Po raz trzeci. Mało wiarygodny świadek twierdzi, że widział, jak uprowadzono ją z ulicy. Furgonetką. Dalsze dochodzenie wykazuje, że skradziony pojazd podobny do tego samochodu mógł zostać spalony kilka godzin po zniknięciu dziewczyny.

- No i?

- No i tyle. Żadnego żądania okupu. Żadnej wiadomości od zaginionej ani nikogo innego. Innymi słowy, jeśli doszło do przestępstwa, tu trop się urywa.

- Jezu. Co sądzisz?

- Sądzę... - Zawahała się. Już miała odpowiedź na końcu języka, kiedy dotarło do niej, że to, co teraz powie, jest niebezpieczne. Musiała dobrze chronić swoją pozycję. - Sądzę, że powinniśmy postępować ostrożnie.

- Czyli jak?

- Świadek... profesor Thomas, emerytowany wykładowca uniwersytecki... dołączyłam do raportu potwierdzające to dokumenty... uważa, że powinniśmy zbadać przypadki uprowadzeń na tle seksualnym. Sprawdzić wszystkich potencjalnych przestępców seksualnych. Może tam znajdzie się jakiś punkt zaczepienia. Jednocześnie dobrze byłoby rozesłać więcej komunikatów o zaginięciu dziewczyny. Nie zaszkodziłoby też, gdybyś poinformował o sprawie swojego łącznika z biura FBI w Springfield. Niewykluczone, że chcieliby w tym uczestniczyć...

- Wątpię. Przynajmniej nie bez czegoś bardziej konkretnego.

Terri milczała. Wiedziała, że szef jeszcze nie skończył.

- No dobra, pracuj dalej nad tą sprawą. To twój priorytet. Większość tych uciekinierów w końcu się odnajduje. Miejmy nadzieję, że ludzie, których zauważył profesor, to jacyś koledzy, tylko matka dziewczyny nic o nich nie wie. Zbierajmy dalej informacje i czekajmy na telefon w stylu „jestem splukana i chcę do domu”.

Przytaknęła. Szef dostrzegał te same problemy co ona. Chciał się upewnić, że nigdy nie będzie musiał stanąć przed kamerami i dziennikarzami i wyznać: „Nie zrobiliśmy wszystkiego, co należało...” Widziała, jak policjanci z innych dystryktów w podobnych okolicznościach żegnają się z karierą. Jej szef - nawet z mocnym poparciem burmistrza i rady miejskiej - z pewnością nie zamierzał jako następny stanąć pod prężierzem krytyki ze strony mediów.

Ani też wystąpić przed radą miejską, nawet na zamkniętej sesji, i zameldować: „Panowie, możliwe, że w naszym ładnym, cichym miasteczku mamy seryjnego zabójcę...”, bo to byłoby pod każdym względem równie groźne.

A zatem, jak podejrzewała, tak naprawdę chciał jej powiedzieć: „Rób, co w twojej mocy. Sprawdź wszystkie ewentualności. Trzymaj się regulaminu. Ale nie ryzykuj. Nie szalej. Zachowaj spokój, nie spraw mi zawodu...”

„...Bo jeśli coś pójdzie nie tak, wszystko zwałę na ciebie”.

- Dam znać, jeśli dowiem się czegoś istotnego.
- Koniecznie - odparł. Połuźnił krawat.

Przemówienie, domyśliła się Terri. Może u masonów albo w lokalnym Lions Club. To takie organizacje zwykle lubią wysłuchiwać policyjnych statystyk i zapewnień, że policja fachowo i profesjonalnie podchodzi do każdej sprawy. A nikt nie mówi o tym tak przekonująco jak szef.

Postanowiła zrobić dwie rzeczy. Sprawdzić niewyjaśnione sprawy. Może była jakaś druga Jennifer. A potem namierzyć wszystkich zarejestrowanych przestępców seksualnych w swoim zasięgu. Dużo wizyt, pomyślała. Ale bez tego się nie obejdzie.

Wstała i wyszła z gabinetu szefa. Nie wspomniała ani słowem o teoriach profesora Thomasa. Większość przestępstw wpisuje

się w schematy, normy statystyczne, ramy, potem przyszli policjanci się ich uczyć w sali zajęć, by następnie tę wiedzę zastosować w praktyce. On chce wyjść poza te ograniczenia, pomyślała.

Nie ma sensu tego robić, stwierdziła. Z drugiej strony, nie ma sensu tego nie robić.

ROZDZIAŁ 20

Michael był zadowolony.

Skrzynka odbiorcza z reakcjami na *Serię numer 4* była zapełniona pomysłami, propozycjami i żądaniami. Przeróżnymi: od subtelnego „Muszę zobaczyć jej oczy...” po znacznie bardziej przewidywalne „Ruchaćruchaćruchaćją” i złożone „Zabić ją. Zabić ją już!”

Michael długo pracował nad każdą odpowiedzią. Wiedział, że to ważne. Jak każdy dobry przedsiębiorca obsługujący niejednorodną klientelę, pilnował, by ci, co tylko dawali sugestie, dostawali tak samo starannie sformułowane, przekorne odpowiedzi, jak widzowie, którzy na dobre wciągnęli się w *Serię numer 4*.

Michael zawsze był wyczulony na potrzeby abonentów tkwiących w sieci obsesyjnych i kompulsywnych pragnień generowanych przez *Co będzie potem?* Lubił wyobrażać sobie siebie jako pisarza nowej epoki, poetę przyszłości. Uważał, że tradycyjni autorzy, którzy poświęcają miesiące i lata na tworzenie historii na papierze, są dinozaurami i nieuchronnie zacierają się do zagładzie. Sam z dumą używał innego języka - ten nie był zawężony do angielskiego, rosyjskiego czy japońskiego. Nie ograniczały go ramy płótna, jego pociągnięcia pędzlem stale się zmieniały, przeobrażały. W odróżnieniu od reżysera filmowego, nie musiał zmieścić się w żadnym budżecie i tworzył obrazy pełne niepewności i zaskoczenia. Nie był przywiązany do żadnego dialektu ani środka wyrazu. On - artysta nowoczesny - łączył film, wideo, Internet, słowa i performance w jedno mieszane

medium, a jego przekaz zwracał się ku przyszłości, nie czasom minionym. Myślał o sobie jako po części dokumentaliście, po części producencie i w stu procentach nowatorze. Jego projekt był spontaniczny.

W najmniejszym stopniu nie przejmował się tym, że dzieło opiera się na przestępstwie. Postęp w sztuce zawsze wymaga ryzyka, myślał.

Linda spała zagrzebana w wymiętej pościeli. Cicho, miarowo, spokojnie oddychała. Jej długie nogi były odkryte, skóra połyskiwała. Leżała na boku, z poduszką przyciśniętą do brzucha, a pod prześcieradłem, którym owinęła plecy i ramiona, rysowała się krągłość piersi. Wyobrażał sobie, że Linda ma szczęśliwe sny, pełne prostych magicznych obrazów.

Czasem, kiedy spała, łapał się na tym, że na nią patrzy. Wtedy odnosił wrażenie, że widzi, jak Linda się starzeje, jak jej idealnie gładka skóra blednie i pokrywa się zmarszczkami, a jędrne ciało wiotczeje. Wyobrażał sobie, jak razem dożywają starości, a potem stwierdzał, że to niemożliwe; zawsze pozostaną młodzi.

Od czasu do czasu zerkał na monitory, by sprawdzić, co u Numeru 4. Wyglądało na to, że też śpi - a przynajmniej od godziny prawie się nie ruszała. Podejrzewał, że jej sny są niespokojne. Numer 1 i Numer 2 często krzyczały przez sen. Numer 3 jęczała, szarpała więzy - przedsmak oporu, jaki stawiała im na jawie. Przez to *Seria numer 3* skończyła się wcześniej, niż tego sobie życzył - bo Numer 3 po prostu kosztowała ich za dużo sił i zdrowia. Jednak nawet w tym krótkim czasie wiele się od Numeru 3 nauczył - i zdobyte doświadczenie wykorzystywał w podejściu do Numeru 4.

Wcisnął kilka klawiszy i zrobił zbliżenie. Numer 4 miała lekko rozchylone usta, jej szczeka była jak zabetonowana. Zaraz zacznie krzyczeć, uznał.

Są krzyki spowodowane tym, co się człowiekowi śni. Są krzyki wywołane tym, co go spotyka na jawie. Nie był pewien, które gorsze. Numer 4 wie, pomyślał.

Westchnął i przecesał palcami swoje długie włosy. Poprawił okulary na nosie. Zastanowił się, czy ma dość czasu na szybki

prysznic. Zauważył, że Numer 4 drgnęła i jej ręka mimowolnie powędrowała do łańcucha na szyi. Śni, że tonie, domyślił się. Albo że się dusi. A może że pogrzebano ją żywcem.

Patrzył dalej, przekonany, że Numer 4 za kilka minut się obudzi. Sny były tak wyraziste, tak przerażające, że często powodowały raptowne przebudzenie. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Jednym z problemów związanych z podtrzymywaniem dezorientacji - Michael wiedział, że to zasadniczy element całego programu - było to, że dziewczyna budziła się o przedziwnych porach, wytrącona ze zwykłego rytmu: wstajesz rano, w dzień czuwasz, nocą śpisz. Miało to swoje plusy - *Serię numer 4* oglądano w wielu strefach czasowych, w wielu częściach świata, a mimo to wszyscy widzowie, gdziekolwiek kto przebywał, wcześniej czy później oglądali sobie na żywo coś frapującego. To jednak utrudniało życie jemu i Lindzie - musieli zmieniać się na warcie, żeby jedno z nich mogło się przespać. Ich pasja do projektu brała się między innymi z tego, że dzielili się spostrzeżeniami i podnieceniem, które towarzyszyło tworzeniu wspólnego dzieła. Najlepsze chwile jednak często przychodziły wtedy, gdy czuwało tylko jedno z nich, a to było frustrujące.

W ich pierwszych dwóch podejściach do cobeziepotem.com ta ciągłość akcji okazała się ogromnym mankamentem. Czuli się wyczerpani - i ostatecznie ledwo starczyło im sił, żeby zakończyć program.

Po długich dyskusjach Michael i Linda rozwiązali tę kwestię za pomocą elektroniki. Nagrywali wydarzenia, nagrywali chwile snu, tworzyli programy w programie - tak że główny wątek *Serii numer 4* był stale odnawiany, cofany, odtwarzany. Michael stał się specjalistą od Final Cut i innych programów do montażu. Nauczył się też sklejać różne sekwencje, więc kiedy w transmisji robiły się dłuższy, wysyłał widzom coś ciekawszego.

Michael wpadł na ten pomysł, kiedy analizował współczesne porno. Odkrył, że ludzie mogą na okrągło oglądać jeden i ten sam film pokazujący spółkujących aktorów, jakby każdy jęk i każda pieszczota za każdym razem zaczynały się od nowa.

Miał jednak dość rozsądku, by zrozumieć, że nawet najbardziej śmiała pornografia w końcu powszednieje. Co tu dużo mówić: była przewidywalna. Doszedł do tego, że potrafił wskazać schemat całej kolekcji wideo dostępnej w Internecie - tyle i tyle minut jeden element aktu seksualnego, potem drugi i trzeci - następowały w wojskowym porządku - aż do nieuchronnej, kończącej się w szeroko otwartych ustach kulminacji.

Michael za wszelką cenę chciał wyłamać się z tej konwencji.

Piękno *Serii numer 4* leżało w jej nieprzewidywalności.

Nikt nigdy nie odgadnie, co wydarzy się przed kamerą. Nikt nie przewidzi dalszego ciągu. Nie będą mogli odgadnąć czasu trwania serii, nie znajdą jej głównego motywu.

Prawie naga nastolatka przykuta łańcuchem do ściany w nijakim pomieszczeniu... to jak płótno, na którym można narysować wszystko.

Był z tego niezwykle dumny. Z Lindy też. To ona nalegała, żeby do *Serii numer 4* wzięli „...kogoś młodego, świeżego...” Przekonywała, że związane z tym zwiększone ryzyko to nic w porównaniu z rozgłosem, jaki zyskają w Internecie - co poszerzy bazę ich klientów. Nieustępliwa i zdeterminowana wykorzystała całą wiedzę zdobytą na studiach biznesowych i w praktyce zawodowej, by wzmocnić swoje argumenty.

W tej kwestii - jak w wielu innych - Michael musiał przyznać jej rację.

Numer 4 będzie najciekawszym dramatem ze wszystkich, które stworzyli.

Linda poruszyła się za jego plecami. Uśmiechała się przez sen. Uśmiechnął się do niej; miał ochotę pogłaskać ją po nodze, ale kiedy już wyciągał rękę, rozmyślił się. Potrzebuje odpoczynku, stwierdził. Nie powinien jej przeszkadzać.

Znów odwrócił się do komputera. Przyszedł mejl od kogoś, kto podpisał się nickiem Magicman88, z propozycją: „Numer 4 powinna się gimnastykować, żebyśmy mogli w pełni podziwiać jej figurę”.

Michael odpisał: „Tak. Wszystko w swoim czasie”.

Lubił dawać abonentom poczucie, że pomagają kontrolować sytuację, i zapisał w scenariuszu, by kazać Numerowi 4 zrobić kilka pompek, przysiadów i pobiegać w miejscu.

Rozsiadł się wygodnie w fotelu i zaczął się zastanawiać: Jeśli każę jej się gimnastykować, co o tym pomyśli?

Ciekawe: Czy owca, gdy dają jej więcej jedzenia, wie, że tuczą ją na rzeź?

- Nie - szepnął na głos. - Będzie przekonana, że to służy czemuś innemu. Nie dostrzeże w tym teatru.

Linda przewróciła się na drugi bok. Miło mu się zrobiło, że jest wyczulona nawet na jego szept.

Na monitorze zobaczył, że Numer 4 podnosi dłoń do twarzy. Jej palce dotknęły przepaski na oczach. Wydawało się jednak, że to tylko bezwiedny ruch, i Michael uznał, że dziewczyna nadal śpi.

Uważał, że między innymi z tego bierze się jego geniusz. Potrafił sobie wyobrazić psychologiczne skutki każdej czynności rozgrywanej się na ekranie. Brał pod uwagę nie tylko to, jak wpłynie na Numer 4, ale i jak odbiorą ją widzowie. Chciał, żeby utożsamiali się z Numerem 4 i jednocześnie pragnęli nią manipulować.

Kontrola była wszystkim.

Znów zerknął na monitor, po czym zatrzymał wzrok na Lindzie. Kiedy zaczęli pracować nad pomysłami, które doprowadziły do powstania *Serii numer 1*, dogłębnie poznał realia niewoli. Przeczytał wszystkie prace o syndromie sztokholmskim. Chłonał pamiętniki jeńców wojennych, zdobył odtajnione analizy armii amerykańskiej na temat warunków życia w Hanoi Hilton. Udało mu się nawet dostać instrukcje CIA dotyczące przesłuchiwania najważniejszych jeńców i oceny związanego z tym ryzyka. Czytał spisane ustne relacje naczelników więzień i biografie ludzi, których więzili. Poznał prawdę o Ptaszniku z Alcatraz i dziś mógłby precyzyjnie wytłumaczyć każdemu profesorowi historii filmu, w czym pamiętna kreacja Burta Lancastera odbiegała od rzeczywistości.

Sądził, że wie o zniewoleniu tyle co najwięksi eksperci. Ta pewność swojej wiedzy zawsze wywoływała u niego uśmiech.

Różnica między nim a profesjonalistami polegała na tym, że oni szukali informacji, chcieli zadać ból albo po prostu musieli czymś zająć czas.

On i Linda tworzyli sztukę. Byli wyjątkowi.

Znów się poruszyła; Michael po cichu wstał i poszedł do łazienki. Pysznic mnie odświeży, powiedział sobie. Musiał być w pełni przytomny podczas następnej dramatycznej chwili, która czekała Numer 4.

Przejrzał się w małym lustrze nad umywalką. Napiął żylaste mięśnie i stwierdził, że jest ascetycznie chudy jak mnich, a może zapalony długodystansowiec. Odgarnął kosmyki włosów z twarzy i pogładził postrzępioną brodę. Miał długie palce; dawniej myślał, że wprost stworzone do tego, by tańczyły po klawiszach fortepianu. Dziś wygrywały muzykę na klawiaturze komputera. Ochlapał twarz wodą. Chyba był trochę za blady. Musimy z Lindą częściej wychodzić na powietrze, pomyślał, nie być takimi odludkami. Może jak już skończą *Serię numer 4*, odpoczną na południu. W gorących, wilgotnych tropikach Kostaryki albo w innym egzotycznym miejscu, choćby na Tahiti. Pieniądzy starczy na wszelkie luksusy. *Seria numer 4* jak dotąd biła rekordy popularności. Stale przybywało abonentów. Ludzie logowali się za pomocą numerów kart kredytowych, stan konta rósł. Michael przypomniał sobie, że musi przygotować skrót najważniejszych do tej pory wydarzeń, by nowi widzowie byli na bieżąco. Postanowił się ogolić; puścił gorącą wodę pełnym strumieniem. Lustro niemal od razu zaparowało. Nałożył na twarz piankę do golenia, naszykował brzytwę i zacytował jeszcze jeden klasyczny film.

- „Pora zacząć show!” - szepnął śmiało.

Tak jak przedtem, Jennifer nie była pewna, czy wciąż śni, czy się obudziła. Czuła, że za czarną kurtyną, która zasłania jej oczy, wszystko zaczyna się rozmywać, jakby nie było już na tym świecie niczego stałego, żadnej siły łączącej rzeczy ze sobą, jakby nawet grawitacja osłabła. Nie wiedziała, czy to dzień, czy noc, poranek czy wieczór. Nie pamiętała, ile dni jest uwięziona. Czas, miejsce, to, kim jest, wszystko zanikało z minuty na minutę. Sen

nie oznaczał odpoczynku. Jedzenie nie zaspokajało głodu. Picie nie gasiło pragnienia. Pozostawała pogrzebana pod przepaską na oczach, skuta łańcuchem.

Jej palce milionowy już raz objęły Pana Futrzaka. On jeden przypominał o tym, co było rzeczywiste w jej życiu do czasu, kiedy została porwana.

Czulkami palców łaskotała sfatygowanego syntetycznego misia. Zastanawiała się, dlaczego pozwolili go zatrzymać. Na pewno nie po to, żeby jej pomóc. To musiało być im do czegoś potrzebne i przemknęło jej przez myśl, żeby wyrzucić znajomą maskotkę w pustkę, gdzie nigdy jej nie znajdzie. Taki gest oporu. Pokazałaby temu facetowi i tej kobiecie, że nie zamierza poddać się bez walki i pozwolić, by robili z nią, co chcą.

Mocno ścisnęła tułów pluszaka i napięła mięśnie jak miotacz szykujący się do rzutu piłką.

Wstrzymała oddech.

Nie! - krzyknęła nagle w duchu.

A może zrobiła to na głos. Nie wiedziała.

Nasłuchiwała echa, na próżno.

Przytuliła misia do piersi i wodziła palcami po jego plecach.

- Przepraszam - szepnęła na głos. - Nie chciałam. Nie wiem, dlaczego pozwolili mi cię znaleźć, ale jesteś i tkwimy w tym razem. Jak zawsze.

Jennifer obróciła głowę, jakby spodziewała się usłyszeć odgłos otwieranych drzwi albo płacz dziecka, ale nie rozległ się żaden dźwięk. Słyszała tylko bicie własnego serca i wyobrażała sobie, że jej pluszak też to słyszy.

Poczuła się trochę lepiej na dźwięk swojego głosu, nawet jeśli szybko ucichł. To jej przypomniało, że nadal potrafi mówić - a więc wciąż jest sobą, może w małej, ale za to ważnej części.

Prawie się roześmiała. Wiele było wieczorów, kiedy leżała w łóżku przy zgaszonym świetle, otoczona nocą, i przytulona do Pana Futrzaka wylewała z siebie wszystkie żale i krzywdy, jakby on jeden na całym świecie rozumiał to, przez co ona przechodzi. Wiele rozmów przez wiele lat, o wielu problemach. Zawsze

trwał przy niej, od chwili, kiedy rozerwała kolorowy papier z napisem „Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin”. Ojciec - już wtedy ciężko chory - dość nieudolnie zapakował i wręczył jej zabawkę. To był ostatni prezent, jaki od niego dostała, zanim zabrali go do szpitala. Ot, i cała historia: podarował jej misia i umarł, a ona znenawidziła matkę, że nic nie poradziła na raka, który go zamordował.

Jennifer wzięła wdech i pogłaskała misia. Może i są mordercami, pomyślała ostro, jakby telepatycznie przekazując te słowa pluszakowi. Ale nie są rakiem.

Powiedziała sobie, że tak naprawdę tylko tego się boi. Raka.

Kolejne głębokie westchnienie i zmieniła pozycję na łóżku.

- Musimy widzieć - szepnęła do poszarpanego ucha misia. - Musimy zobaczyć, gdzie jesteśmy. Jeśli nie będziemy widzieć, możemy umrzeć.

Zawahała się. Te słowa ją zaniepokoiły, pewnie dlatego, że były prawdziwe.

- Rozejrzyj się uważnie - ciągnęła cicho. - Zapamiętaj wszystko. A potem powiedz mi, co zobaczyłeś.

Wiedziała, że to bez sensu, ale pokręciła głową misia na boki tak, by szklane paciorki jego oczu obejrzały więzienie. Niby to głupie i dziecinne, ale poczuła się dużo lepiej i wróciło jej sił na tyle, że kiedy usłyszała odgłos otwieranych drzwi, nie zesztwniała tak szybko jak poprzednio, a oddech nie stał się chrapliwy. Odwróciła się w stronę dźwięku z nadzieją, że to rutynowe odwieziny z posiłkiem czy piciem, ale i z obawą, że może to być zapowiedź czegoś nowego.

I wtedy zrozumiała, że cokolwiek ją czeka, nie nastąpi szybko i nagle. Na tę myśl ręka drgnęła jej ze strachu. Była jednak dość bystra, żeby się domyślić, że każda mijająca sekunda, każdy nowy element wprowadzany do jej ciemnego świata może jej i pomóc, i zaszkodzić.

ROZDZIAŁ 21

Adrian leżał skulony na łóżku, z głową na łonie nagiej żony. Była w szóstym miesiącu ciąży. Głęboko wciągał powietrze, rozróżniając poszczególne zapachy, jakby każdy mówił coś innego o osobowości Cassie. Jego żona nuciła jakąś odkurzoną piosenkę Joni Mitchell z lat sześćdziesiątych, relikwinię niemal już zapomnianej epoki. Powoli głaskała jego splątane siwe włosy w rytmie melodii, odgarniała je z czoła i delikatnie wodziła palcami wokół jego uszu. To było dużo więcej niż zmysłowe.

Trwał w bezruchu i wspominał te dawno minione chwile, kiedy leżeli razem po uprawianiu miłości. Wyczerpanie, które narastało.

Miał ochotę zamknąć oczy, runąć w bezdenne otchłanie swojej duszy i umrzeć, tu i teraz. Gdyby dało radę siłą woli zmusić serce, by przestało bić, zrobiłby to bez wahania.

Cassie nachyliła ku niemu głowę.

- Pamiętasz, ile godzin mogłeś tak leżeć i czekać, aż poczujesz, jak Tommy kopie?

Pamiętał. Ani jednej zmarnowanej sekundy. Najszczęśliwsze momenty jego życia. Możliwości wydawały się nieograniczone. Obronił doktorat, zaczął pracę na uniwersytecie. Cassie miała za sobą swoją pierwszą wystawę, w prestiżowej nowojorskiej galerii przy Piątej Alei, i recenzje - w „Art World” i „New York Timesie” - były pełne uznania, żeby nie powiedzieć entuzjastyczne. Jego poetycki nałóg - często myślał o tym jak o narkotyku - zaczął rozwijać się w najlepsze. Odkrywał Yeatsa i Longfellowa, Martina Espadę i Mary Jo Salter. Wkrótce miał im się urodzić syn. Cieszył się każdym dniem, witał pierwsze promienie porannego słońca z niewyczerpaną energią. Zaczął biegać po wschodzie, dziesięć kilometrów w szybkim tempie, po to tylko, by wysiłkiem fizycznym rozładować radosne oszołomienie. Nawet członkowie uniwersyteckiej drużyny w biegach przełajowych - a ci uważali bieganie za najbardziej pożyteczną obsesję na świecie

- sądzili, że nowy profesor psychologii, który co rano zostawia ich daleko w tyle, ma nierówno pod sufitem.

- Tyle wtedy było do kochania - powiedziała Cassie lirycznym tonem.

- Ale to wszystko przepadło.

Otworzył oczy i zobaczył, że jest sam i że głowę trzyma na zmiętej poduszce, nie na łonie żony. Wyciągnął rękę, jakby mógł chwycić Cassie i zatrzymać ją taką, jaką ją zachował we wspomnieniach.

Czuł jej dłoń w swojej dłoni, ale jej nie widział.

- Masz pracę do wykonania - oznajmiła z werwą. Zdawało się, że jej głos rozbrzmiewa za nim, nad nim, pod nim i w nim jednocześnie. - No, Audie, liczy się każda sekunda.

Cassie była. Cassie nie było. Adrian usiadł prosto.

- Jennifer - powiedział.

- Zgadza się. Jennifer.

- Ledwo pamiętam jej imię - odparł.

- Nie, Audie, pamiętasz. Widzisz ją w myślach. I widzisz, kim była. Pamiętasz jej pokój? Jej rzeczy? Różową czapkę? Pamiętasz to wszystko. A ja jestem tu, żeby ci przypomnieć. Znajdź ją.

Słowa poniosły się echem, jakby wypowiedziane na skraju ogromnego kanionu. Słyszał je nie po raz pierwszy, i tak jak przedtem już otwierał usta, by zaprotestować, że jest zbyt stary, chory i zagubiony, ale zrozumiał, że Cassie nie chce słuchać jego wymówek. Jak zawsze.

Wyrzął na zewnątrz. Świat wciąż tkwił w okowach nocy. Na pewno jest zimno, pomyślał. Ale to już nie bezlitosny ziąb zimy. Na zewnątrz poczułbym wiosnę. Ukrytą w ciemności, ale obecną.

Wstał, żeby wyjść z domu, ale tego nie zrobił. Spojrzał w lustro na starej komodzie Cassie. Schudł - to przez chorobę. Staraf się pamiętać, że musi się zdrowo odżywiać. Ciekawe, czy przespał kilka godzin, czy kilka minut. Weź leki, nakazał sobie. Przystaniesz mieć zwydy. Zdawał sobie sprawę, że małe są szanse, by tak się stało, bez względu na to, ile pigułek weźmie. Poza tym

lubił wizyty duchów. Na pewno sprawiały mu więcej frajdy niż umieranie. Czuł się jak uparty starzec - ale w sumie, do cholery, to chyba nie takie złe. Mimo to podszedł do komody, odszukał tabletki, które podobno pomagały w walce z otępieniem, odpędził myśl, że nie pamięta, kiedy je ostatnio brał, i łyknął całą garść. Wymaszerował z sypialni, poszedł do gabinetu, odsunął na bok papiery i książki i zasiadł przed komputerem. Obok siebie rozłożył tylko mapę obszaru obejmującego sześć stanów. Massachusetts. Connecticut. Vermont. Rhode Island. New Hampshire. Maine. Odwrócił się do komputera i zajrzał do spisu zarejestrowanych przestępców seksualnych w każdym z nich.

Nawet się nie domyślał, że detektyw Collins w tym samym czasie robiła prawie to samo.

Wcisnął kilka klawiszy i kliknął na nazwisko.

Na ekranie przed nim pokazało się zdjęcie policyjne. Mężczyzna o nieufnym, świdrującym spojrzeniu. Rzedniejące włosy, ziemista cera. Tak właśnie Adrian wyobrażał sobie takich ludzi. Niżej zobaczył listę aresztowań, wyroków i rozpraw sądowych. Był też adres zamieszkania i krótki opis preferencji. Dalej ocena zagrożenia, jakie mężczyzna stanowił dla społeczeństwa, i analiza jego sposobu działania. Wszystko napisane zwięźle i precyzyjnie, w policyjnym stylu, bez upiększania i głębszych refleksji o rzeczywistych skutkach czynów tego człowieka. Obnażył się przed centrum handlowym - to zwróciło uwagę Adriana. Żadnej wzmianki o tym, jaki to miało wpływ na sprawcę i na ofiary.

Adrian odchylił się na oparcie i westchnął głęboko. Może te wszystkie fakty powiedziałyby coś psychologom policyjnym, pomyślał. On jednak całe życie badał zachowania. Czy chodziło o szczura laboratoryjnego, czy o człowieka, jego zadanie polegało na tym, aby przypisać każdej czynności określone znaczenie. Czynności jako takie może rozpoznać każdy - żadna sztuka, nie trzeba do tego wiedzy. On musiał je zinterpretować, wskazać, jak wiążą się z innymi i wyciągnąć z nich wnioski na przyszłość.

Kliknął na inne zdjęcie. Następny mężczyzna: masywny, brodaty, burza kędzierzawych włosów, ciało pokryte tatuażami. Wiele z nich pokazano na zbliżeniach - smoki ziejące ogniem,

zbrojne w miecze walkirie, emblematy motocyklowe. Dokumentację znów zamykały informacje o przestępstwie.

Tak jak w przypadku człowieka o ziemistej twarzy, Adrian wbił wzrok w zdjęcie i uznał, że z samego wizerunku niczego się nie dowie.

Żaden obraz na monitorze nic mu nie powie o ludziach, którzy porwali Jennifer.

- Skoro tak... - Cassie nachyliła się nad jego ramieniem, żeby czytać informacje na ekranie razem z nim - pozostaje ci chyba tylko jedno rozwiązanie. - Na policzku czuł jej gorący oddech.

Skinął głową.

- Ale...

- Czy nie mówiłeś zawsze, że masz mieszane uczucia co do czytania wyników cudzych doświadczeń? Tak naprawdę ufałeś tylko własnym eksperymentom. Kiedy badałeś strach i jego emocjonalne następstwa, czy nie powtarzałeś, że musisz wszystko sam zobaczyć?

Cassie zadawała pytania, na które już знаła odpowiedzi. Jej stara metoda. Ciągłe ją stosowała - i to skutecznie.

Adrian zawahał się. Męczące pytania nękały jego wyobraźnię. Zanim mógł się powstrzymać, spytał o coś, co nosił w sobie od lat.

- To nie był wypadek, prawda? Wtedy, kiedy jechałeś samochodem, miesiąc po śmierci Tommy'ego. To wcale nie był wypadek, mam rację? Chciałeś tylko, żeby tak to wyglądało. Straciłeś panowanie nad samochodem i wpadłeś na drzewo w deszczową noc. Tylko że wcale nie straciłeś nad nim panowania. To miało być samobójstwo, którego żaden glina ani agent ubezpieczeniowy nie nazwie samobójstwem. Ale się nie udało, co? Przyznaj, nie spodziewałaś się, że ockniesz się w szpitalu jako kaleka.

Adrian wstrzymał oddech. Wyrzucił z siebie potok słów jak zbyt podekscytowany uczeń i było mu wstyd. Chciał jednak usłyszeć odpowiedzi Cassie.

- Oczywiście, że nie - prychnęła. - A skoro zawsze znałeś prawdę, czemu takie to dla ciebie ważne, żeby ją usłyszeć?

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy - stwierdził. - Zawsze chciałem, ale nie wiedziałem, jak cię o to spytać, kiedy żyłaś...

- Ledwo ledwo...

- Tak. Jako kaleka...

- Bardziej z powodu śmierci Tommy'ego niż przez to, żejechałam setką i rąbnęłam w jakiś cholerny dąb. Tak to już jest, Audie. Wiesz o tym.

- Zostawiłaś mnie zupełnie samego.

- Nie. Nigdy. Tylko umarłam, to wszystko. Musiałam. Przyszedł na mnie czas. Nie mogłam się pogodzić ze śmiercią Tommy'ego. A ty nie wierzyłeś, że dam radę. Ale się mylił...

- Jak to?

- Nigdy nie byłeś sam.

- Czuję się tak teraz, kiedy też umieram.

- Naprawdę?

Dłonie Cassie pomasaowały jego ramiona; łagodnie ugniatały ciało i mięśnie. Wydawała się starsza, rozbita psychicznie jak wtedy, kiedy dostali wiadomość o śmierci ich jedyne go dziecka. Całymi dniami wpatrywała się w zdjęcie Tommy'ego, potem obsesyjnie szukała w komputerze informacji o innych reporterach, kamerzystach i dziennikarzach w Iraku. Chciała, żeby oni wszyscy też zginęli, bo wtedy śmierć jej dziecka nie byłaby taka wyjątkowa i przez to stałaby się mniej straszna. Miał wrażenie, że sam teraz zachowuje się podobnie, tyle że w innym celu: żeby znaleźć coś, co powiedziałoby mu, gdzie szukać Jennifer. Nachylił się do komputera i wprowadził nowe kryterium wyszukiwania.

- Kto by przypuszczał... - wymamrotał cicho, zaskoczony. Wpisał do rejestru nazwę swojego małego miasteczka uniwersyteckiego i wyskoczyła lista siedemnastu notowanych przestępców seksualnych. Mieszkali w promieniu kilku kilometrów od uczelni i wszystkich szkół podstawowych. - Kiedy wpuszczałem szczura do labiryntu i robiłem mu zastrzyk... - zaczął. Cassie była blisko, czuł ją przy sobie i widział jej odbicie w monitorze, ale za bardzo się bał, żeby się odwrócić, bo myślał, że wtedy

spłoszyłby jej ducha, a lubił mieć ją u boku.

Zawahał się i parsknął śmiechem. Znajome słowa: - ...zawsze chciałem go spytać...

- ...Co czułeś? Co myślałeś? Dlaczego zrobiłeś to, co zrobiłeś? - Cassie dokończyła za niego z lekkim melodyjnym śmiechem, który rozpoznał z lepszych czasów.

Głośno klepnęła go w plecy, jakby na znak końca masażu.

- A zatem... - usłyszał jej mocny głos. - Idź, spytaj szczura.

ROZDZIAŁ 22

Adrian musiał czekać tylko pół godziny, zanim człowiek, którego wybrał z listy siedemnastu zarejestrowanych przestępców seksualnych, pojawił się w drzwiach swojego domu i szybko poszedł do samochodu. Pora była wczesna, mężczyzna miał na sobie tani czerwony krawat i niebieski rozpinany sweter. Niósł wytartą czarną teczkę ze skóry i dla Adriana niczym się nie różnił od innych mieszkańców terenów tuż poza granicą miasteczka uniwersyteckiego, którzy wyruszają jak co rano do nudnej, ale za to stałej pracy zapewniającej małą, ale niezbędną pensję.

W wyglądzie mężczyzny - i ulicy, przy której mieszkał - nie było niczego szczególnego. Już niemłody, ale jeszcze nie w średnim wieku, drobny, niewysoki, piaskowe włosy, okulary w czarnych oprawkach. Pod pachą niósł prostą szarą kurtkę, jakby nie wierzył, że robi się cieplej. Miał nijaki wygląd urzędnika, nadawałby się w sam raz na sprzedawcę używanych samochodów albo sortowacza poczty.

Adrian patrzył z auta zaparkowanego po drugiej stronie ulicy, jak facet wsiada do małego beżowego japońskiego wozu. Parterowy wiejski dom, w którym mieszkał z matką - tak wynikało z wydruku Adriana - był schludny, odsunięty od ulicy i świeżo pomalowany. W rzędach ceglanych donic przy drzwiach rosły wczesne niebieskie i żółte kwiaty.

Krótko mówiąc, z pozoru przeciętny człowiek z typowego

domu na nijakim osiedlu. Okolice bliższe wiejskiego świata farm i zaoranych pól przygotowywanych do siewu kukurydzy niż gęsto upakowanej energii miasteczka uniwersyteckiego, w którym on i Cassie wychowywali Tommy'ego i uczyli nieprzebraną rzeszę studentów. Ten mężczyzna żył obok głównego nurtu, nawet jeśli główny nurt, jaki znał Adrian - zatłoczone kawiarnie, pizzerie z samymi miejscami stojącymi, księgarnie i sklepy z rękodziełem - był dość banalny. Nie taki jak w Nowym Jorku, Bostonie czy nawet Hartfordzie. Bez codziennych godzin szczytu, bez szaleńczego pracoholizmu, bez niepohamowanego parcia na sukces. Świat akademicki, który dominował w mieście Adriana, był ambitny - ale za szczyt ambicji uważał stały etat profesorski.

Jednak obserwowany człowiek nie należał do żadnego znanego Adrianowi świata.

Był jakby odrębny.

To, że wydaje się przeciętnikiem, nie znaczy, że nim jest, przypomniał sobie Adrian. Zawahał się, co robić.

- Ruszaj szybko! Jedź za sukinsynem - naciskał Brian. - Musisz zobaczyć, gdzie pracuje. Musisz go rozgryźć!

Adrian zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył odbicie swojego nieżyjącego brata. To był Brian - adwokat w średnim wieku. Wychylony do przodu machał rękami, jakby pchał Adriana do czynu, popędzał go. Długie włosy miał zmierzwione, potargane, jak gdyby przesiedział całą noc za biurkiem. Jedwabny prążkowany krawat od Brooks Brothers wisiał mu luźno na szyi. Głos był nagły i mocno zniecierpliwiony.

Adrian natychmiast wrzucił bieg i ruszył za przestępcą seksualnym. Brat osunął się na oparcie wyczerpany, ale pełen ulgi.

- Dobrze. Do licha, Audie, nie możesz być tak... niezdecydowany. W tej sprawie z Jennifer trzeba działać dynamicznie. Dlatego od tej pory, ile razy będziesz chciał przyjrzeć się komuś, czemuś, jakiemuś dowodowi albo informacji powoli, spokojnie i ostrożnie jak typowy profesor i uczoney, cóż... każ sobie do cholery trochę się pospieszyć.

Głos Briana słabł, stawał się niemal piskliwy, jakby każde słowo wymagało wyjątkowego wysiłku. Z początku Adrian pomyślał, że może brat jest chory... ale przypomniał sobie, że Brian nie żyje.

Zjechał starym volvo na ulicę.

- Nigdy jeszcze nikogo nie śledziłem - stwierdził głośno Adrian i dodał gazu. Silnik volvo zaprotestował wyciem.

- To nic trudnego. - Brian westchnął i się odprężył. Samo to, że ruszyli naprzód, wyraźnie rozładowało w nim napięcie. - Gdybyśmy naprawdę zamierzały trzymać się w ukryciu, no wiesz, przeprowadzić akcję profesjonalnie, mielibyśmy trzy samochody. Jechałyby za nim na zmianę, przejmowały go jeden po drugim. Ta sama metoda sprawdza się, kiedy chcesz śledzić kogoś pieszo, na ulicy. Ale my nie będziemy aż tak kombinować. Po prostu jedź za nim tam, dokąd się wybiera.

- I co potem?

- To się okaże.

- A jak się domyśli, że go śledzę?

- Wtedy zobaczymy. To nic nie zmieni. Tak czy owak, porozmawiamy sobie z gościem.

Adrian dostrzegł, że brat wpatruje się w wydruk z komputera i czyta wszystkie szczegóły po kolei.

- Rozumiem, czemu wybrałeś tego typu. - Brian zaśmiał się lekko.

Adrian nie przypominał sobie, żeby na którejkolwiek ze stron rejestru było coś zabawnego.

- Chodzi o podobieństwo wieku - powiedział na głos, kiedy skręcił za róg i znów przyspieszył, żeby nie stracić celu. - Został skazany za trzy różne przestępstwa. Ofiarami były dziewczyny w wieku od trzynastu do piętnastu lat...

- Prawdziwy aniołek - stwierdził Brian z nutą sarkazmu, tonem prawnika, który ma fakty i dowody po swojej stronie.

Dokładnie to samo powiedział sobie Adrian, kiedy przejrzał listę siedemnastu mężczyzn. Sztuka polegała na tym, żeby spojrzeć na nich okiem naukowca i skupić się nie na szczegółach czynów, tylko na leżących u podłoża zaburzeniach. Większość stanowili gwałciciele. Niektórzy mieli problemy rodzinne. Ten

był inny. Miał na koncie zarzut posiadania pornografii dziecięcej. Ekszona wycofała oskarżenie przeciwko niemu - chodziło o coś w związku z jego pasierbicą. Do tego kilka razy trafił do aresztu za obnażanie się.

Same szczury. Ale jeden szczur inny niż pozostałe.

- Obnażał się przed nimi.

- Flecista. Tak gliny nazywają takich gości - powiedział Brian z nutą przechwałki. - Przynajmniej w mieście. Chociaż tu, na zadupiu, pewnie też.

- Być może. Ale spójrz na ostatni wyrok, Brian, a zobaczysz... - Adrian zamilkł. Zerkał to na jasnobrązowy samochód przed nim, to na brata czytającego na tylnym siedzeniu.

- Ach, zamknęli go za... No, no, Audie, jestem pod wrażeniem. Szybko się uczysz.

- Bezprawne pozbawienie wolności.

- Mhm - mruknął na potwierdzenie Brian. - To mniej poważny zarzut niż porwanie... ale coś z tej samej parafii, nie?

- Tak sądzę.

- Nastolatki - prychnął. - I zachciało mu się jedną porwać, co? Ciekawe, co zamierzał potem zrobić? Cóż, to wiele mówi. - Zaśmiał się. - Ale jest jeden problem...

- Wiem. Brak współnika. To właśnie muszę zrozumieć...

- Nie trać go z oczu, Audie. Jedzie do miasta.

Ruch się nasilał. Kilka sedanów i pikap przyblokowały mężczyznę w jasnobrązowym samochodzie. Z autobusem szkolnym na ogonie, Adrian manewrował autem, starając się dotrzymać tempa śledzonemu.

- Pamiętam, Brian, jak miałeś ten drogi wóz sportowy...

- Jaguara. No, fajna bryka.

- Gdybyśmy go teraz mieli, łatwiej byłoby nadążyć...

- Sprzedałem go.

- Tak. Nigdy nie mogłem zrozumieć dlaczego. Wydawało mi się, że jesteś w nim szczęśliwy.

- Za szybko jeździłem. Zawsze. Zbyt brawurowo. Jak tylko siadałem za kierownicą, zapominałem nie tylko o ograniczeniach prędkości, ale i o zdrowym rozsądku. Przy setce szalałem, przy stu pięćdziesięciu traciłem rozum, przy dwustu wyłączył ze mnie

prawdziwy psychopata. Uwielbiałem ten pęd. Czuję się wtedy wolny. Ale było oczywiste, że w końcu się zabiję. Tyle razy mało nie straciłem panowania nad kierownicą. Wiedziałem, że za bardzo się narażam, że to zbyt niebezpieczne, więc go sprzedałem. Największy błąd w moim życiu. Piękny samochód... dużo lepiej byłoby użyć go do... - urwał i ukrył twarz w dłoniach. - Wybacz, Audie. Zapomniałem. Tak zrobiła Cassie. - Jego głos wydawał się odległy, cichy. - Ona i ja byliśmy zupełnie do siebie niepodobni. Wiem, myślałeś, że się nie lubimy, ale to nieprawda. Po prostu widzieliśmy w sobie nawzajem coś, co nas przerażało. Kto by pomyślał, że oboje opuścimy ten padół w podobny sposób?

Adrian chciał coś powiedzieć, ale nie mógł znaleźć słów. Łzy wzbierały mu w oczach. Słyszał tylko ból w głosie brata, taki sam jak ból w głosie żony, który pamiętał do dziś.

- Dlaczego tego nie zauważyłem? Przecież jestem psychologiem. Mam kwalifikacje...

Brian się zaśmiał.

- Czy Cassie cię z tego nie rozgrzeszyła? Powinna. Hej, uważaj! Gość skręca. A niech mnie. Robota w sam raz dla takiego dziwoląga, nie sądzisz?

Adrian nie odpowiedział. Zobaczył, że beżowy samochód skręca przed hipermarket budowlany - duży magazyn zajmował prawie całą przecnicę na peryferiach miasta. Patrzył, jak mężczyzna wjeżdża na tyły, za tabliczkę z napisem „Parking dla pracowników”.

Adrian zatrzymał się przed sklepem. Zaczekał kwadrans w ciszy. Brian chyba spał na tylnym siedzeniu. Przynajmniej halucynacja milczała. Adrian myślał, co by tu kupić, żeby móc udawać, że cała ta wyprawa ma jakiś inny cel. Tak naprawdę chodziło tylko o to, żeby się upewnić, czy mężczyzna jest w pracy.

- Chodźmy - zwrócił się do Briana. - Trzeba sprawdzić, czy tu zostanie.

Wysiadł i przeszedł przez gigantyczny parking, szurając nogami po makadamie. Przyjeżdżały pikapy i minivany. Do środka wchodził pracownicy budowlani, hydraulicy, stolarze i zagonieni

mężczyźni w typie tatusiów z przedmieścia. Ruszył za nieprzerwanym strumieniem ludzi. Nie oglądał się, czy Brian idzie za nim, choć czuł się samotny, nawet wśród tłumu.

W ogromnym wnętrzu miał chwilę zwątpienia. Sklep był olbrzymi, podzielony na dziesiątki działów - ogrodniczy, pokrycia dachowe, sprzęt kuchenny, narzędzia elektryczne... Niezmierzona ilość towarów i urządzeń zalegała regał za regałem. To tu, to tam przemykali mężczyźni i kobiety w czerwonych kamizelkach z identyfikatorami; wskazywali klientom drogę, udzielali rad. Kasy pikały przy nabijaniu zakupów. Adrian zaczął chodzić w tę i we w tę wzdłuż szeregów płytek i boazerii, zlewów z nierdzewnej stali i kranów, szpachlówek, młotków i wiertarek. Już miał dać za wygraną, kiedy zobaczył swój cel. Mężczyzna, którego szukał, pracował w dziale z elektroniką użytkową i akurat prowadził żywą rozmowę z parą w typie majsterkowiczów, w wieku około trzydziestu lat. Klient kręcił nosem, ale jego partnerka wydawała się mocno przejęta, jakby szczerze wierzyła, że z odpowiednimi narzędziami i instrukcjami sami dadzą radę wymienić instalację elektryczną w domu. Facet miał minę, jaką czasem widzi się u młodych mężów, których obarcza się brzemieniem ponad ich siły, ale nijak nie mogą temu zapobiec. Adrian uśmiechnąłby się, nawet zaśmiał z tego obrazu - nie raz był w takiej samej sytuacji z Cassie - ale gdyby tych dwoje wiedziało, z kim rozmawiają, odskoczyliby z przerażeniem.

Patrzył jeszcze kilka sekund, aż w końcu odwrócił się i wyszedł. Postanowił wrócić za osiem godzin, kiedy przestępca seksualny skończy pracę. Czuł się, jakby coś osiągnął, ale nie był pewien co. Może to po prostu wrażenie zbliżenia się do kogoś, kto mu podpowie, czego powinien szukać.

Jednak niełatwo będzie to z niego wyciągnąć i Adrian nie miał pojęcia, jak tego dokona.

Przez resztę dnia czekał niecierpliwie. Następne materiały wprowadziły go głębiej w świat perwersji. Dalsze badania motywów i elementów tworzyły profil osobowości dewiacyjnej. A w tym wszystkim nie znalazł nic, co wskazałoby mu, gdzie

szukać Jennifer. Nie musiał słyszeć nacisków Cassie i Briana, żeby się pospieszył, że czas ucieka, że każda sekunda przybliża dziewczynę do śmierci - o ile jeszcze żyje. Wciąż go pospieszali. I słusznie. Albo nie. Trudno stwierdzić. Po prostu przyjął, że wciąż jest szansa, żeby ją ocalić. Alternatywa była zbyt straszna.

Ocal ją, pomyślał w duchu. Jeszcze nigdy nie ocaliłeś nikogo oprócz siebie.

I naraz zdjął go strach, że jeśli przestanie szukać, Cassie, Brian, a nawet Tommy znikną i zostawią go samego z nieskładnymi, skotłowanymi wspomnieniami i chorobą, która do oporu wykręcała je na wszystkie strony jak gumkę recepturkę.

Dlatego teraz już sam - ciekaw, gdzie Brian, dlaczego Cassie nie wychodzi z domu i dlaczego Tommy odwiedził go tylko raz, i pełen nadziei, że syn jeszcze wróci do świata jego urojeń - znów znalazł się przed hipermarketem budowlanym. Wokół dogasał dzień i Adrian obawiał się, że może nie zauważyć, kiedy mężczyzna wyjdzie ze sklepu.

Mniej więcej wtedy, gdy według jego wyliczeń skończył się osmiogodzinny dzień pracy, beżowy samochód wyłonił się zza budynku. Adrian trzymał się za nim najbliżej, jak mógł, i obserwował mężczyznę przez przednią szybę, choć w miarę jak zapadał zmrok, przychodziło mu to coraz trudniej.

Spodziewał się, że przestępca wróci do zadbanego domu. Może po drodze zrobi zakupy, ale poza tym dotrze do celu bez żadnych przystanków.

Mylił się.

Mężczyzna skręcił w boczną ulicę i pojechał do miasta. Adrian, zaskoczony, nieostrożnie odbił jego śladem na prawy pas. Ktoś - pewnie student - zatrąbił na niego ostro.

Stare volvo z trudem nadążało.

Beżowy samochód był jakieś trzydzieści metrów z przodu, na ulicy zaraz za główną arterią miasta. Wzdłuż niej biura, bloki mieszkalne i jedna lub dwie pracownie artystyczne tuż za kościołem kongregacyjnym i serwisem komputerów. Śledzony wóz wjechał na mały parking i wsunął się między kilkoma samochodami na jedyne wolne miejsce.

- Co on robi? - spytał Adrian na głos. Liczył, że Brian mu odpowie, ale brata nie było. - Brian, do cholery! - krzyknął. - Potrzebuję twojej pomocy, już, teraz! Co dalej robić?

Na tylnym siedzeniu panowała cisza.

Adrian zaklął i dodał gazu. Stracił kilka minut, zanim znalazł miejscówkę na płatnym parkingu przecznicy dalej. W mieście wprowadzono rozmaite ograniczenia parkowania, żeby studenci nie zastawiali chodników. Latem wiało tu pustką. W ciągu roku akademickiego nie było gdzie wcisnąć szpilki.

Adrian wygramolił się z samochodu i trzasnął drzwiami. Najszybciej, jak mógł, wrócił w miejsce, gdzie ostatnio widział swój cel.

Z ulicy dostrzegł beżowy samochód. Przeszpeca zniknął jednak bez śladu. W pobliżu stał tylko jeden stary budynek - dostojny, drewniany biały piętrowy dom podzielony na biura. Adrian wypatrzył szerokie wejście w miejscu dawnych drzwi i poszedł tam. Przecież mężczyzna musiał być gdzieś w środku. Tylko gdzie?

W budynku na ścianie wisiała tablica z sześcioma nazwiskami. Nagłówek głosił: „Poradnia zdrowia psychicznego”.

Trzej psychologowie, trzej terapeuci.

W holu cicho. Tylko generator szumu białego szemrał w kącie. Naprzeciwko kilku krzeseł stała kanapa - i tak cały hol zmienił się w poczekalnię. Trzy gabinety na parterze, trzy pozostałe piętro wyżej. Nie było recepcjonistki. To u terapeutów typowe. Ludzie wiedzieli, na kiedy są umówieni, i rzadko przychodzili z więcej niż pięciominutowym wyprzedzeniem. Inaczej niż u innych lekarzy, tu nie kazano im długo czekać.

Czyli jeden z sześciu, pomyślał Adrian.

Nie miał jak ustalić, do którego gabinetu poszedł mężczyzna. Spojrzał na tablicę z nazwiskami terapeutów. O większości z nich słyszał.

Ale jednego nawet spotkał: Scotta Westa.

- A zatem... - szepnął mu na ucho Brian wyraźnie zadowolony z siebie, jakby od początku wiedział, co Adrian znajdzie w tym budynku - facet matki Jennifer leczy znanego przestępcę

seksualnego. Interesujące. Ciekawe, czy raczył wspomnieć o tym detektyw Collins, kiedy go przesłuchiwała?

Adrian nie odwrócił się do brata. Czuł go za plecami. Nie spytał też „gdzie byłeś, kiedy cię wzywałem?” Skinął głową, ale odpowiedział z wahaniem.

- Może być w jednym z pozostałych gabinetów.

- Jasne - przyznał Brian. - Może. Ale ja tak nie sądzę. I ty też nie.

ROZDZIAŁ 23

Kiedy detektyw Collins podniosła wzrok, ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła Adriana Thomasa. Stał w drzwiach dochodzeniówki. Towarzyszył mu mundurowy. Funkcjonariusz wzruszył ramionami, posyłał jej spojrzenie „nie miałem wyboru”, po czym wskazał ją profesorowi.

Terri właśnie odłożyła słuchawkę po rozmowie z Mary Riggins, która - jak zwykle zapłakana, zrozpaczona i niepewna - poinformowała, że właśnie dostała wiadomość z wydziału bezpieczeństwa Visy, że ktoś oddał jej zaginioną kartę kredytową do banku w Maine. „Zapłacono nią za bilet na autobus do Nowego Jorku”, dodała Mary Riggins ponuro.

Terri skrupulatnie zanotowała wszystkie szczegóły i numer telefonu do wydziału bezpieczeństwa firmy wydającej karty kredytowe. Nie bardzo rozumiała, jak to się stało, że karta udała się w jedną stronę, a bilet w drugą. To nielogiczne. Dało jej to jednak nowy punkt zaczepienia - i właśnie szukała numeru telefonu posterunku policji na dworcu autobusowym w Bostonie, kiedy zobaczyła Adriana.

Jej biurko było zasłane dokumentami i świstkami z notatkami ze śledztwa w sprawie Jennifer. Szybko zgarnęła papiery w stos i odwróciła wierzchem na dół. Domyśliła się, że profesor to zauważył i wiedział, dlaczego to zrobiła, przygotowała więc od razu odpowiedź, którą mogłaby grzecznie zbyć wszelkie jego

dociekania. Nie zamierzała mu wspomnieć o karcie Visa. Adrian jednak bez przywitania spytał:

- Dostała już pani aktualną listę pacjentów Scotta Westa? Pamiętam, że pani o nią prosiła.

Lekko zbił ją z tropu. Nie zdawała sobie sprawy, że profesor tak uważnie jej słuchał, kiedy spotkali się ze Scottem i Mary w ich domu.

Adrian przerwał chwilę ciszy drugim pytaniem:

- Mówił, że da ją pani i wyśmiał sugestię, że któryś z jego pacjentów mógł mieć związek ze zniknięciem Jennifer, prawda?

Skinęła głową. Czekwała na następne pytanie Thomasa, on jednak tylko się pochylił i przeszył ją wzrokiem. Jak sądziła, kiedyś takie spojrzenie rezerwował dla opornych nieprzygotowanych studentów. Mówiło: „Źle. Spróbuj jeszcze raz”.

Wzruszyła ramionami. Nadal unikała jednoznacznej odpowiedzi.

- Ma tę listę przynieść jutro. Ale nie będzie mi wolno ujawnić panu żadnych danych...

- A co z rejestrem przestępców seksualnych? Chyba jasno powiedziałem, że to powinien być następny krok.

Profesor jeszcze nigdy nie zachowywał się wobec niej tak stanowczo. Nie wiedziała, jak zareagować. Do tej pory sądziła, że Thomas chce się poruszać w strefach spekulacji, teorii i domysłów. Oto uczony w tweedowej marynarce z łatami na łokciach, który najlepiej czuje się w gabinecie, otoczony książkami i pracami naukowymi, pyka fajkę i tylko od czasu do czasu podsuwa jakieś spostrzeżenia albo opinie - tak jak wtedy, kiedy wygłosił wykład o Myrze Hindley, Ianie Bradym i „morderstwach na wrzosowiskach”. Tego się spodziewała. Nie sądziła, że kiedykolwiek odwiedzi ją w pracy. Wydawał się jakiś inny - jak koszula, która skurczyła się w praniu. Ten sam, ale zmieniony nie do poznania.

- Przeglądam rejestry, profesorze. I dużo czytałam o tej brytyjskiej sprawie z lat sześćdziesiątych. Jednak konkretny związek między nią a zniknięciem Jennifer jest może oczywisty dla profesora uniwersytetu, ale policjant...

Wyćwiczona gadka gliny: odpowiadać tak, by nie powiedzieć nic.

- Mark Wolfe. Mówi to coś pani? - przerwał jej szybko profesor.

Zawahała się. To nazwisko miało w sobie coś elektrycznego, jakby mały ładunek prądu. Coś, co brzęczało w głębi jej pamięci. Nie od razu jednak skojarzyła, o kogo chodzi.

Adrian nie czekał na odpowiedź.

- Notowany przestępca seksualny. Seryjny ekshibicjonista. Szczególnie upodobał sobie nastolatki. Mieszka pod miastem. Pomogło?

Brzęczenie narastało. Wiedziała, że to nazwisko jest na jednej z kartek, które ukryła przed Adrianem. Skinęła głową i jednocześnie próbowała naszkicować w pamięci portret tego człowieka. Okulary. Grube okulary w czarnych oprawkach. Pamiętała je ze zdjęcia policyjnego.

Odchyliła się na fotelu i wskazała Adrianowi wolne miejsce. Nie usiadł. Odnosiła wrażenie, że profesor jest jakiś sztywny. Zastanawiała się, gdzie się podziało jego rozkojarzone, rozbiegane, nieobecne spojrzenie. I kiedy powróci.

- Widziałem go dzisiaj...

- Widział go pan?

- Tak. I...

- Skąd pan wiedział, kto to jest?

Adrian wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza plik zmiętych kartek. Podał je Terri. Wydrukowane dane okolicznych przestępców seksualnych, dostępne dla każdego, kto umie przeprowadzić proste wyszukiwanie w Internecie.

- Wolfe... dlaczego wybrał pan właśnie jego?

- Uznałem, że to najbardziej logiczny kandydat. Z punktu widzenia psychologa.

- A cóż to za punkt widzenia, profesorze?

- Ekshibicjoniści żyją w dziwnym świecie fantazji. Podniecają się i zaspokajają seksualnie, gdy obnażą się przed kobietami... w przypadku tego człowieka bardzo młodym. Wyobrażają sobie, że te, gdy zobaczą ich nagość, automatycznie poczują do nich pociąg, nie odrazę, jak to oczywiście dzieje się w rzeczywistości.

Akt obnażania się pobudza wyobraźnię.

Terri słyszała w każdym jego słowie wyważony ton wykładowcy.

- No dobrze, wszystko to pięknie, ale co on ma wspólnego...
- Dziś po pracy poszedł na terapię do Scotta Westa.

Terri nie zareagowała od razu. Zasada numer jeden w pracy liniarza: utrzymuj minę pokerzysty. Tak naprawdę aż się w niej zagotowało. Słowa profesora zasługiwały na uwagę z kilku powodów. Skąd wiedział, że to było po pracy? Dlaczego go śledził? Odeła usta i postanowiła zachować zimną krew.

- No i? - spytała.
- Nie wydaje się to pani dziwne? Może nawet istotne dla śledztwa?

- Owszem, profesorze.

Odrobina niechętniej szczerości.

- Z tego, co pamiętam, upierał się, że żaden z jego obecnych i byłych pacjentów nie może mieć nic wspólnego z...

- Tak. Też to słyszałam, profesorze Thomas. Ale stawia pan hipotezy, których ja na razie wolałabym... - urwała. Nie chciała wyjść na idiotkę.

Adrian zmrużył oczy, skupił na niej wzrok.

- Nie sądzi pani, że wypadałoby to sprawdzić? - Ostatnie słowo powiedział z naciskiem.

- Tak. Tak sądzę.

Na chwilę zapadła cisza.

- Pani detektyw, jeśli nie będzie pani jej szukać, ja się tym zajmę.

- Szukam, profesorze. Ale to nie tak, że zajrzę pod kamień, do szuflady czy za drzwi i tam będzie. Zniknęła i są pewne sprzeczne elementy... - Znow przerwała w pół zdania. Sięgnęła pod papiery zgromadzone na biurku i wzięła przygotowaną przez siebie ulotkę. U góry, pod słowem „Zaginęła”, zdjęcie Jennifer. Dalej: jej najważniejsze dane, numery kontaktowe. Takie ogłoszenia ogląda się na co dzień w komisariatach policji. Są tylko trochę obszerniejsze od własnej roboty ogłoszeń o zaginionym psie lub kocie, rozwieszanych na drzewach i słupach telefonicznych na

przedmieściach. - Szukam - powtórzyła. - Rozesłałam to do wszystkich jednostek policji w Nowej Anglii.

- Jak starannie będą prowadzić poszukiwania?

- Chyba nie liczy pan, że na to odpowiem?

- Pani detektyw, jest różnica między szukaniem kogoś a czekaniem, aż ktoś zgłosi, że tego kogoś zauważył.

Zmrużyła oczy. Nie podobało jej się, że jakiś facet poucza ją, na czym polega jej praca.

- Znam tę różnicę, profesorze - odparła zimno.

Adrian wbił wzrok w zdjęcie Jennifer. Uśmiechała się, na pozór wolna od wszelkich trosk.

I on, i detektyw Collins wiedzieli, że ten obraz kłamie.

Adrian zawahał się. Zobaczył, że jego dłoń zaciska się i zaczyna mieć ulotkę, jakby się bał, że jeśli jej mocno nie chwyci, wysunie mu się z ręki.

Cofnął się o krok. W głowie huczały mu dziwne dźwięki - nie znajome głosy, tylko odgłosy rwanego papieru albo wyginającego się metalu. Czuł w sobie pustkę, dotkliwy głód, choć tak naprawdę nie miał ochoty nic jeść. Mięśnie jego ramion naprężyły się, plecy zeszywniały, jak gdyby za długo stał zgarbiony. To było coś jak przemęczenie biegacza, skutek nadmiernego wysiłku w upalny dzień. Walczył z pragnieniem, żeby odpocząć. Przekonywał samego siebie, że nie może teraz przestać, zrobić sobie przerwy, zamknąć oczu nawet na chwilę, bo wtedy straci Jennifer na zawsze.

Jennifer jest taka sama jak wszystkie moje halucynacje, pomyślał. Kiedyś istniała, dziś musiał mocno się wysilać, by nie dać jej zniknąć. Wciąż była rzeczywista, ale ledwo ledwo, i wszystko, co mogło nadać jej realność, przybliżało go do celu - do odnalezienia dziewczyny.

Różowa bejsbolówka. Teraz żałował, że oddał ją matce Jennifer. To coś rzeczywistego, namacalnego. Ciekawe, czy zdołałby jak pies gończy wywęszyć na czapce zapach nastolatki i podążyć jego tropem.

Oddychał szybko.

Znany przestępca seksualny powiązany z rodziną Jennifer. To musi coś znaczyć. Nie wiedział co.

- Profesorze?

Pójdzie sam.

- Profesorze?

Stanie twarzą w twarz z tym człowiekiem. Zmusi go, by wyznał mu coś, co pomoże odszukać Jennifer.

- Profesorze!

Spojrzał w dół - ścisnął krawędź biurka detektyw Collins tak mocno, że aż zbiały mu kłykcie.

- Tak?

- Dobrze się pan czuje?

Terri patrzyła, jak czerwona twarz Adriana powoli odzyskuje normalny kolor. Odetchnął głęboko.

- Słucham? Czy coś...

- Sprawiał pan wrażenie, jakby był myślami gdzie indziej. A potem próbował pan podnieść moje biurko. Nic panu nie jest? Na pewno?

- Tak. Przepraszam. To starość. I te nowe leki, o których pani mówiłem. Czasem bywam rozkojarzony.

Spojrzała na niego. Nie jest aż tak stary, pomyślała. I kłamie. Powoli wypuścił powietrze.

- Przepraszam, pani detektyw. Bardzo się wciągnąłem w tę sprawę. Ona mnie, hm, fascynuje. Mam nieodparte wrażenie, że moja wiedza i doświadczenie w psychologii mogą się przydać. Nie wątpię, że macie swoje procedury i musicie przestrzegać reguł. W moim fachu to też ważne. Wiedza bez ustanowionego schematu postępowania często jest bezużyteczna, bez względu na to, jak cenna się wydaje.

Terri odebrała to jako kolejny wykład, ale tym razem jej to tak nie drażniło. Ten stary człowiek chce dobrze, stwierdziła w duchu. Nawet jeśli co rusz odpływa myślami, jakoś się dogadujemy. I to nie leki tak na niego działają. Patrzyła na Adriana w skupieniu, usiłowała wyczuć, dlaczego jest tak roztargniony. On jednak inaczej zinterpretował jej spojrzenie. Wzruszył ramionami.

- Jeśli pani chce, po prostu zajmę się tym sam...

Tego nie chciała.

- Od takich spraw jest policja.

Uśmiechnął się.

- Oczywiście. Ale z mojego punktu widzenia, policyjne metody w tym przypadku na niewiele się zdadzą.

- Proszę?

- Pani detektyw, pani wciąż usiłuje ustalić, do jakiego przestępstwa doszło, żeby przypisać je do określonej kategorii i zająć się nim zgodnie z przyjętą procedurą. Ja nie mam takich ograniczeń. Wiem, co widziałem. Znam się na zachowaniu człowieka, przez całe życie badałem reakcje zwierząt i ludzi na określone bodźce. Dlatego pani postępowanie w tej sytuacji niezbyt mnie zaskakuje.

Terri zatkało.

- Cóż, widać byłem naiwny, sądząc, że policja cokolwiek zrobi - ciągnął Adrian.

Terri uważnie mu się przyglądała. Nie rozumiała, jak to możliwe, że profesor w jednej chwili jest skoncentrowany, stanowczy i konkretny, a zaraz potem sprawia wrażenie, jakby wiatr, którego nie widziała, nie czuła ani nie słyszała, wywiał go w zupełnie inne miejsce.

- Chyba już pójdę...

- Moment. Dokąd chce pan iść?

- Cóż, nieczęsto miałem okazję rozmawiać z przestępcami seksualnymi. Przynajmniej świadomie, bo tak naprawdę nigdy nie wiemy wszystkiego o ludziach, z którymi stykamy się na co dzień. Ale ten mężczyzna to dla mnie dobry punkt wyjścia.

- Nie - sprzeciwiła się ostro Terri. - To będzie utrudnianie śledztwa.

Adrian pokręcił głową i uśmiechnął się cierpko.

- Doprawdy? Nie sądzę. Mam wrażenie, że nie życzy sobie pani mojej pomocy, więc pozostaje mi pójść swoją drogą.

Terri gwałtownie złapała Adriana za rękę. To nie był brutalny chwyt twardego gliniarza, który zamierza zastraszyć podejrzanego; po prostu nie chciała, żeby wyszedł.

- Proszę poczekać. Chyba nie dość dobrze się zrozumieliśmy. Wie pan, że mam pracę do wykonania i...

- Ta sprawa mnie interesuje. Uczestniczę w niej bez względu na to, co pani o tym sądzi. Nie byłbym taki pewien, czy pani pracę można stawiać wyżej od mojej fascynacji.

Terri westchnęła. Dobry policjant potrafi wyczuć, na ile dany człowiek będzie uciążliwy, a na ile pomocny. Wszystko wskazywało, że Adrian będzie po trosze taki i taki.

Typowe. Przecież mieszka i pracuje w społeczności akademickiej, a tu chyba każdy uważa, że wszystko wie najlepiej.

- Profesorze, spróbujmy załatwić to jak należy... - Zdawała sobie sprawę, że uchyla drzwi, które pewnie powinny pozostać zatrzaśnięte, ale w tej chwili nie widziała innego wyjścia. Naprawdę nie chciała, by ten półobłąkany profesor pchał się z butami w te poszukiwania warte zachodu czy niewarte.

Lepiej dać mu posmakować rzeczywistości i mieć to już z głowy, pomyślała.

Z doświadczenia wiedziała, że przez kulturę popularną ludzie - niestety - mają wyidealizowany obraz pracy śledczej. Kiedy się przekonują, że w rzeczywistości to żmudna papierkowa robota i solidne, chłodne analizowanie szczegółów i faktów, zwykle rezygnują z uczestnictwa w dochodzeniu i ochno wracają do swojego stałego zajęcia.

Przelotnie zerknęła na zbiór dokumentów na biurku. Właśnie zamierzała zadzwonić na posterunek policji na dworcu autobusowym w Bostonie i poprosić o nagrania z monitoringu z nocy zniknięcia Jennifer i momentu kupna biletu. Westchnęła w duchu. Cóż, teraz to musi kilka godzin poczekać.

- W porządku, profesorze - powiedziała. - Pojadę zadać kilka pytań, może pan się ze mną zabrać. Na przyszłość jednak, kiedy będzie pan miał jakieś pomysły, proszę najpierw do mnie zadzwonić, zanim pan się tu zjawi. I koniec z tym prywatnym śledztwem. Nie chcę, żeby pan śledził ludzi. Nie chcę, żeby pan kogokolwiek przesłuchiwał. Nie chcę, żeby pan w ogóle się tym zajmował. Musi mi pan to obiecać.

Adrian się uśmiechnął.

Żałował, że Cassie i Brian nie słyszą, jak pani detektyw robi to skromne ustępstwo. Nie było ich. Trudno. Może nie muszą wszystkiego słyszeć, żeby rozumieć sytuację.

- Myślę, że ma to sens - powiedział spokojnie.

Niczego nie obiecał, ale to stwierdzenie wyraźnie zadowolilo panią detektyw. Z przyjemnością użył słowa „sens”. Wkrótce zapewne przestanie dostrzegać sens w czymkolwiek, ale do tego czasu ani myślał tracić go z oczu.

- Ostrzegam - powiedziała Terri. - Proszę odzywać się tylko, jeśli pana o coś spytam. Jest pan tu po to, żeby obserwować. Mówić będę ja.

Spojrzała na siedzącego obok starca. Przytakiwał na zgodę, ale tak naprawdę nie oczekiwała, że będzie przestrzegał jej reguł. Popatrzyła na dom, przed którym parkował mały beżowy samochód. W wieczornym zmroku wszystkie cienie wydawały się szersze. Kilka zapalonych wewnątrz świateł walczyło z zapadającą nocą. Z jednego pokoju sączyła się metaliczna szara poświata telewizora. Za cienką zasłoną w oknie salonu poruszała się jakaś postać.

- No dobrze, profesorze. To praca śledcza w najprostszym wydaniu. Żadnego przystojnego aktora jasnowidza prowadzącego dochodzenie. Ja zadaję pytania. On odpowiada. Czasem mówi prawdę, czasem pewnie kłamie. Tak dozuje jedno i drugie, żeby nie narobić sobie kłopotów. Proszę uważnie słuchać i tyle.

- Tak po prostu zapukamy do drzwi? - spytał Adrian.

- Tak.

- Wolno nam?

- Tak. To notowany przestępca. Jego kurator dał nam zielone światło. Wolfe nie może nic na to poradzić. Gdyby zaczął podsłuchiwać, tylko przysporzyłby sobie kłopotów. A niech mi pan wierzy, profesorze, nie chce kłopotów, jakich mogłabym mu narobić.

Adrian skinął głową. Rozejrzał się przekonany, że Brian jest w pobliżu. Ilekroć zdarzało się coś, co miało choćby luźny związek

z prawem, brat albo się zjawiał, albo w uchu Adriana rozbrzmiewał jego głos, udzielający prawniczych porad. Ciekawe, czy Brian stanąłby po stronie pani detektyw - czy też jego skrajnie liberalne poglądy kazałyby mu bronić przestępcy seksualnego.

- Chodźmy - zdecydowała wreszcie Terri. - Element zaskoczenia... Proszę trzymać się tuż za mną.

Pchnęła drzwi samochodu i szybko ruszyła przez ciemność. Słyszała, że Adrian usiłuje za nią nadążyć. Zatrzymała się przy drzwiach domu i załomotała w nie pięścią.

- Policja! Otwierać!

Szuranie wewnątrz domu. Po kilku sekundach drzwi otworzyły się i kilkanaście lat starsza od Adriana kobieta spojrzała przez ciemność na panią detektyw i jej towarzysza. Była otyła, włosy miała nieuczesane, siwe; w jednych miejscach wydawały się sztywne, twarde, a w innych cienkie, miękkie. Nosiła grube okulary, jak jej syn.

- O co chodzi? - spytała i nie czekając na odpowiedź, dodała: - Oglądam swoje seriale. Dlaczego nie zostawicie nas w spokoju?

Detektyw Collins precyzyjnie się koło niej do sieni.

- Gdzie Mark? - rzuciła.

- W domu.

- Muszę z nim porozmawiać.

Terri dała Adrianowi znak, żeby do niej dołączył, i weszła zdecydowanym krokiem do małego salonu.

W powietrzu wisiał lekki zapach stęchlizny, jakby rzadko otwierano tu okna, ale sam pokój był czysty i schludny. Ręcznie szydełkowane narzuty leżały na podniszczonych, wytartych meblach. Kontrastował z nimi wielki nowoczesny telewizor o wysokiej rozdzielczości; zajmował prawie pół pomieszczenia, na stojaku szwedzkiej produkcji. Przed ekranem ustawiono dwa wysłużone fotele z regulowanym oparciem. Właśnie - przy ściszonej dźwięku - leciał odcinek *Seinfelda*. Przy jednym z foteli Adrian dostrzegł dużą miękką torbę wypchaną włóczką i druty do robótek. Na ścianie wisiały zdjęcia w ramkach; dawało się na

nich prześledzić upływ czasu - ukazywały rodziców z dzieckiem, od jego wczesnych lat do współczesności. Matka-ojciec-dziecko, matka-ojciec-dziecko, matka-ojciec-dziecko i tak do momentu, kiedy dziecko miało jakieś dziewięć lat; wtedy ojciec zniknął z fotografii. Ciekawe, czy odszedł na skutek śmierci, czy rozwodu. Poza tym wszystko wydawało się najzupełniej normalne i przeciętne - niegodne uwagi pod każdym względem prócz jednego. Z jakiegoś powodu, całkowicie ukrytego w zwyczajności tego domu, to dziecko wyrosło na przestępcę seksualnego.

Adrian stwierdził, że ten pokój ma w sobie dużo więcej zagadek niż odpowiedzi. Zastanawiał się, czy detektyw Collins też to spostrzegła. Wydawała się zdecydowana, wymagająca, a jej sztywne żądania, jak sądził, były obliczone jedynie na to, żeby zrobić wrażenie.

Za ich plecami kobieta poczłapała na poszukiwania syna. Na ekranie Kramer i Elaine gorąco namawiali Jerry'ego do czegoś, na co nie miał ochoty. Druty leżały na fotelu, tam gdzie kobieta je zostawiła. Adrian czuł, że coś się gotuje.

- Bądź czujny - szepnęła Terri.

Odwróciła się i zobaczyła Marka Wolfe'a w korytarzu prowadzącym do małego aneksu jadalnego i kuchni.

- Nie zrobiłem nic złego - tak brzmiały jego pierwsze słowa. A potem: - Kto to? - Wskazał na Adriana.

ROZDZIAŁ 24

Pprzed posiłkiem musiała ćwiczyć. Kobieta weszła do pokoju i kazała jej wstać z łóżka. Jennifer najpierw robiła pajacyki, potem brzuszki, a na koniec biegała w miejscu - trochę jak na wulwie w podstawówce, tylko bez liczenia na głos.

Po wszystkim pot jej ściekał z czoła i ciężko dyszała; nie rozumiała, dlaczego kazali ćwiczyć, ale to na pewno dobrze na nią podziało. Pojęcia nie miała, czemu chcą, żeby w ogóle robiła cokolwiek, co mogło poprawić jej kondycję - ale jeśli na tym

korzysta, nieważne, czy to ma jakiś cel. Mało tego, kiedy kobiet stwierdziła: „Na razie wystarczy”, Jennifer wykonała jeszcze pięć szybkich głębokich skłonów. Chciała się rozciągnąć. Liczyła, że to się przyda. Kobieta wtedy rzuciła ostro: „Powiedziałam, dość!” Jennifer bez słowa wdrapała się z powrotem na łóżko, z cichym brzękiem łańcucha na szyi, i w nagrodę dostała kolację.

W tej chwili kończyła posiłek - zimne spaghetti z tłustymi klopsikami z puszki - i piła wodę z butelki, przez cały czas świadoma, że kobieta jest z nią w pokoju, obserwuje i czeka. Kiedy jadła, nie było żadnych rozmów ani gróźb. Z tego, co Jennifer mogła stwierdzić, jej sytuacja się nie zmieniła. Nadal miała na sobie tylko skąpą bieliznę, nie licząc przepaski na oczy i obroży z łańcuchem na szyi. Znała już na pamięć drogę do oddalonego o półtora metra sedesu turystycznego. Ktoś musiał go opróżnić, kiedy spała. I Bogu dzięki. Silna woń środka odkażającego tłumiła zapach jedzenia, o ile w ogóle czymkolwiek pachniało.

W każdych innych okolicznościach zmarszczyłyby nos, zaprotestowała i nie wzięła tego paskudztwa do ust. Tak jednak postąpiłaby w swoim poprzednim życiu, które wydawało się bezpowrotnie utracone. To Jennifer z jej rojeń albo wspomnień miała ojca, którego zabił rak, marudną matkę i zбочzonego przyszłego ojczyma, nijaki dom na przedmieściach i mały pokój, gdzie ukrywała się ze swoimi książkami, komputerem i pluszakami i marzyła o innym, ciekawszym życiu. Tamta Jennifer chodziła do nudnej szkoły i nie miała żadnych przyjaciół. Tamta Jennifer głęboko nienawidziła swojej codziennej egzystencji. Tamta Jennifer jednak zniknęła. Może kiedyś żyła, dziś już nie. Nowa Jennifer, uwięziona Jennifer zdawała sobie sprawę, że musi kurczowo trzymać się życia. Jeśli tamci każą jej ćwiczyć, będzie ćwiczyć. Cokolwiek dadzą do jedzenia, zje, bez względu na smak.

Wylizała półmisek do czysta, żeby nie zostawić okruszka; potrzebowała wszystkiego, co dodałoby jej sił.

Znieruchomiła, kiedy usłyszała odgłos otwieranych drzwi.

Kobieta schyliła się z cichym szelestem, zabrała tacę i ruszyła do wyjścia. Jennifer obróciła głowę w stronę dźwięku i czekała, aż nastąpi jakaś wymiana słów.

Usłyszała szepty. Nie mogła wychwycić o czym.

Doleciało jakieś chłupotanie. Próbowwała sobie wyobrazić, co to może być. Brzmiało jak nadciągająca fala.

Wyczuła, że ktoś idzie przez pokój. Nie ruszała się, ale zdała sobie sprawę z czyjejs bliskości. Pociągnęła nosem. Zapach mydła.

- No dobrze, Numerze 4, musisz się obmyć.

Wydała zduszony okrzyk.

To był głos mężczyzny, nie kobiety. Zimny, monotony.

- Pół metra od brzegu łóżka stoi wiadro z wodą. Tu masz ręcznik i myjkę. A tu mydło. Stań obok wiadra. Umyj się. Nie próbuj odsłonić oczu. Stoję obok.

Jennifer skinęła głową. Gdyby była starsza - gdyby zaliczyła pracę w Korpusie Pokoju, szkolenie wojskowe, kurs survivalu czy choćby harcerstwo - potrafiłaby się umyć tylko kostką mydła i małą ilością wody. Ale kiedy jeździła pod namiot z ojcem, zanim umarł, zawsze mieli w pobliżu łaźienki i prysznicze albo przynajmniej rzekę czy staw, żeby się wykapać. Tym razem jest inaczej. Zrozumiała, że najważniejsza będzie precyzja.

Ostrożnie zwiesiła nogi z łóżka. Palcem u nogi wymacała wiadro. Schyliła się i dotknęła wody. Letnia. Zadygotała.

- Rozbierz się.

Zamarła.

Przeszyła ją fala gorąca. Nie chodziło o wstyd. Raczej o upokorzenie.

- Nie, ja... - zaczęła.

- Nie pozwoliłem ci mówić, Numerze 4 - warknął mężczyzna.

Podszedł bliżej. Wyobraziła sobie, że zacisnął pięść i że lada moment ją pobije. Albo zrobi coś gorszego.

Sparaliżowało ją elektryczne wręcz zmieszanie. Kotłowały się w niej zahamowania, których mieć już nie powinna, pragnienie,

by zachować resztki poczucia własnego ja, wątpliwości co do tego, gdzie jest i czego się od niej oczekuje, i nieustające pytanie „jak przeżyć?”

- Woda stygnie - ponaglił głos.

Nigdy się nie rozbierała przed chłopakiem ani dorosłym mężczyzną.

Czuła, że oblewa się rumieńcem, że jej skóra czerwienieje z zażenowania.

Nie chciała być naga - nawet jeśli już teraz niedużo jej do tego brakowało i pewnie obserwowali ją, kiedy korzystała z sedesu. Jednak myśl, że miałaby zdjąć te dwie ostatnie skąpe części ubrania, budziła w niej przerażenie silniejsze od wstydu. Bała się, że potem ich nie znajdzie albo że mężczyzna je zabierze i wtedy ona tak zostanie całkiem goła.

Jak małe dziecko, pomyślała.

I w tej samej chwili zrozumiała, że nie ma wyboru. Mężczyzna wyraził się jasno.

Jakby na podkreślenie tego rzucił:

- Czekamy, Numerze 4.

Powoli rozpięła stanik i położyła go na brzegu łóżka. Potem zdjęła majtki. To prawie bolało. Jedną dłoń natychmiast opuściła, usiłując zasłonić łono. Drugą zakryła małe piersi. Czuła na sobie oczy mężczyzny, ich spojrzenie paliło, przesuwano się po jej skórze, oglądało ją jak kawałek mięsa.

- Do roboty - zażądał.

Schyliła się wstydliwie. Zamoczyła i namydliła myjkę w wodzie. Potem wstała i powoli, systematycznie, zaczęła się myć. Stopy. Nogi. Brzuch. Piersi. Pachy. Szyję. Twarz - tak, by nie zsunąć opaski, z całą skromnością, na jaką było ją stać.

Ku jej zdumieniu, dotyk piany z mydła wydał się wręcz erotyczny. Mycie się sprawiało jej przyjemność, jakiej w życiu nie zaznała. Pokój, łańcuch na szyi, łóżko - wszystko zniknęło. Tak jakby zmywała z siebie strach. Jej zahamowania szybko się ulotniły. Przejechała myjką po piersiach, potem po kroczu i udach. Czuła się, jak gdyby ktoś ją pieścił. Kąpiel nago w słonych fałach na Cape, zabawa w wartkim nurcie rzeki w gorące

sierpniowe popołudnie - to uczucia, które mogła porównać z tym, czego doznawała w tej chwili. Mocno szorowała skórę, pragnęła zetrzeć wierzchnią warstwę, zrzucić ją jak wąż naskórek; chciała lśnić. Była świadoma, że mężczyzna patrzy, ale ilekroć poczucie wstydu usiłowało zmącić rozkosz mycia się, powtarzała sobie w duchu: „Pieprz się pieprz się pieprz się pieprz się, bydlaku”, jak jakąś mantrę. Wtedy czuła się jeszcze lepiej.

Sięgnęła do ramienia i nagle usłyszała:

- Nie. Tam nie.

Znieruchomiła.

Mężczyzna mówił dalej - cicho, ale stanowczo.

- Na podbrzuszu, przy biodrze, blisko krocza wyczujesz coś w rodzaju plastra. Nie ruszaj tego.

Jennifer wymacała to, co opisał głos. Skinęła głową.

- Moje włosy - powiedziała. Rozpaczliwie pragnęła umyć włosy.

- Kiedy indziej - stwierdził.

Myła się dalej, na przemian myjką i mydłem. Jeszcze raz ochlapała twarz. Krawędzią myjki - nie bacząc na ohydny smak - przetarła zęby i dziąsła. Opłukała każdą część ciała, do której mogła sięgnąć, raz, potem drugi.

- Wystarczy - zdecydował mężczyzna. - Włóż myjkę do wiadra. Wytrzyj się ręcznikiem. Ubierz się. Wróć do łóżka.

Wykonała polecenie. Przetarła ciało szorstkim bawełnianym ręcznikiem. Potem, jak niewidomy, po omacku odszukała obok łóżka bieliznę i włożyła ją, żeby choć odrobinę zakryć swoją nagość.

Odgłos podnoszonego wiadra, potem stłumione kroki w stronę drzwi.

Nie wiedziała, co ją w tym momencie opętało. Może sprawił to przyływ energii, którą gimnastyka dostarczyła sercu i mięśniom, może siła po jedzeniu, a może fakt, że po „kąpieli” czuła się jak nowo narodzona; w każdym razie odchyliła głowę, sięgnęła dłonią do twarzy i pod wpływem impulsu uniosła krawędź przepaski, tylko na ułamek sekundy.

Michael odstawił wiadro, zdjął czarne obcisłe kalesony i kominarkę. Włożył znoszone dżinsy i wszedł na górę, do reżyserki. Linda pisała coś w zapamiętaniu, wciąż w swoim szeleszczącym skafandrze ochronnym. Nie podniosła głowy.

- Zobacz, jaki ruch w interesie! - powiedziała skupiona na klawiaturze.

Forum cobedziepotem.com wypełniały wiadomości z całego świata. Pasja, podniecenie, fascynacja do kwadratu. Widzowie zachwycali się nagością Numeru 4, jej gimnastyką, tym, jak dzioko rzuciła się na jedzenie. To były wyznania miłości.

Całkiem sporo osób chciało dowiedzieć się czegoś więcej o dziewczynie. „Kim ona jest?” „Skąd pochodzi?”

Michaela i Lindę niepokoiły te prośby. Wiedzieli, że jest cienka granica między anonimowością a zdemaskowaniem. Że muszą być ostrożni wobec żądań, które płyną z ukrytych miejsc.

„Czuję, jakby była moją własnością” - wyznał mężczyzna z Francji. Linda puściła wiadomość przez tłumacza Google. „Jak mój samochód, mój dom czy moja praca - muszę poznać Numer 4 jeszcze bliżej. Ona należy do mnie”.

Inny widz, ze Sri Lanki, napisał: „Więcej zbliżeń. Maksymalnych zbliżeń. Przez cały czas musimy mieć ją jeszcze bliżej siebie”.

Michael zrozumiał, że to prośba techniczna - łatwo ją spełnić przy użyciu dowolnej kamery w pokoju. Był też jednak dość bystry, by wiedzieć, że „zbliżenie” oznacza też coś innego niż tylko kąt kamery.

Odwrócił się do Lindy.

- Chyba trzeba pomyśleć, w jakim kierunku to poprowadzić - stwierdził. - Wychodzi na to, że nie obejdziesz się bez zmian w scenariuszu. - Spojrzał na kolejne wpisy. - Ważne, żebyśmy zawsze mieli wszystko pod kontrolą. Trzeba trzymać się scenariusza. Planu. Tam musi to wyglądać spontanicznie... - Wskazał ekran. - ...Ale my zawsze musimy wiedzieć, do czego zmierzamy.

Linda była niepewna i podniecona jednocześnie. W miarę jak mówiła, jej głos nabierał mocy.

- Numer 4 może być naszą jak dotąd najpopularniejszą postacią. Zarobimy na niej. Dużo. Ale to jest też niebezpieczne.

Michael skinął głową. Dotknął grzbietu jej dłoni.

- Musimy być ostrożni. Ludzie chcą więcej wiedzieć, więcej wiedzieć, ale my musimy być ostrożni. - Zaśmiał się, choć nie mówił żartem. - Kto by pomyślał, że porwanie nastolatki wywoła taką... - zawahał się. - Nie wiem. Fascynację? To właściwe słowo? Czy wszyscy na świecie pragną uwodzić szesnastolatki?

Linda parsknęła śmiechem.

- Może i tak - odparła. - Chociaż „uwodzić” to złe określenie. - Spojrzała na Michaela. Zawsze urzekało ją to, jak wykrzywił górną wargę, kiedy coś go rozbawiło. Sądziła, że na całej ziemi tylko im dwojgu udało się zachować czystość.

Wszyscy inni byli spaczeni, perfidni. Ona i Michael mieli siebie. Ramiona jej drgnęły, dreszcz przebiegł po plecach. Wierzyła, że każda minuta *Serii numer 4* przybliży ich do siebie.

Miała wrażenie, jakby przebywali we dwoje w zupełnie innym wymiarze egzystencji. Czysty erotyzm. Czysta fantazja. Niebezpieczeństwo ją podniecało.

Znów odwróciła się do ekranu i dokończyła pisać odpowiedź. Poprzestała na: „Dziś Numer 4 żyje - ale co będzie jutro?”

Kliknęła na „wyślij” i odpowiedź pomknęła przez Internet do tysięcy abonentów.

Zanim wstała od komputerów, jeszcze raz rzuciła okiem na ekran. Numer 4 była z powrotem na łóżku, ścisnęła pluszowego misia. Linda zauważyła, że usta dziewczyny się poruszają, jakby ta rozmawiała ze swoją maskotką. Podgłośniła dźwięk z umieszczonych w pokoju mikrofonów, ale niczego nie usłyszała. Pewnie Jennifer nie mówiła na głos.

- Widziałeś? - Linda wskazała na monitor z obrazem transmitowanym na żywo.

Michael skinął głową.

- Naprawdę jest zupełnie inna niż poprzednie - przyznał.

- Mhm. Nie płacze, nie marudzi, nie krzyczy i... - Linda urwała, spojrzała na Numer 4. - Przynajmniej już nie.

Michael zamyślił się głęboko.

- Trzeba przygotować dla niej więcej materiału, bo jest taka... - zamilkł.

Oboje byli świadomi, że Numer 4 jest dużo bardziej jakaś, nie wiedzieli jednak jaka.

Linda odwróciła się i nagle zaczęła chodzić w tę i z powrotem po pokoju.

- Musimy być ostrożni - powtórzyła, zaciskając pięść. - Trzeba dać im więcej do oglądania. Ale nie za dużo, bo kiedy przyjdzie koniec...

Nie musiała dopowiadać reszty. Michael doskonale zdawał sobie sprawę z tego dylematu. Nie można sprawiać, żeby ludzie coś pokochali, a potem kazać im patrzeć, jak to umiera, pomyślał.

- Jest taka młoda - powiedział. -I taka... - zawahał się, po czym dodał: - ...świeża.

Tak, pierwsze trzy były inne, przyznała w duchu Linda. Numer 4 przykuwała uwagę widzów z powodów, które dopiero zaczynała rozumieć. Chciała kogoś „bez ostrych kantów”. Pochwycenie takiej zdobyczy było bardziej ryzykowne, ale i bardziej satysfakcjonujące. Zrobiła krok naprzód i objęła kochanka. Serce zabiło jej mocniej. To nie było to samo uczucie, co wtedy gdy Michael późną nocą wsuwał się do łóżka zmęczony, ale pełen zapału. Nie przypominało to też zadowolenia, które przychodziło, kiedy podliczała ich zyski. To wydawało się czymś niezwykłym. Spodziewała się, że Numer 4 będzie - w rozsądnych granicach - jak inne, teraz jednak po raz pierwszy stwierdziła, że Jennifer jest dużo lepsza, dużo dojrzalsza i zdecydowanie bardziej intrygująca. To dopiero paradoks, pomyślała. Numer 4 była sporo młodsza od Numerów 1 do 3. Uprawdzili ją w innych okolicznościach, z innym zamiarem.

Sądziła, że dzięki Numerowi 4 znaleźli się u progu czegoś wyjątkowego, czego sobie nawet nie wyobrażała, a już na pewno nie przewidywała.

Zadrzała z podniecenia.

Ryzyko jest jak miłość.

Michael czuł chyba to samo co ona. Nagle schylił się i musnął ustami jej usta - delikatnie, sugestywnie. Natychmiast pociągnęła go w stronę łóżka. Jak para nastolatków śmiali się, chichotali, ogarniało ich poczucie, że są artystami, którzy tworzą coś, co dalece przerasta prawdę.

Namiętność błyskawicznie przyćmiła ich uwagę; gdyby nie to, zobaczyliby wiadomość ze Szwecji. Klient o nicku Blond9Inch napisał jedną linijkę tekstu w nieznanym im ojczystym języku: „Uniosła opaskę. Chyba wyjrzała...”

Dalej następowały dziesiątki innych, dużo bardziej przewidywalnych wpisów, w rozmaitych językach, wszystkie z komentarzami na temat różnych części ciała Numeru 4 i pełne sugestii, co Linda i Michael powinni zrobić w najbliższej przyszłości. Dlatego spostrzeżenie Blond9Incha pozostało niezauważone.

ROZDZIAŁ 25

Fakt, że Mark Wolfe, przestępca seksualny po trzech wyrokach, seryjny ekshibicjonista, sprawiał wrażenie człowieka tak normalnego, zaskoczył Adriana, ale nie stojącą obok panią detektyw.

- Nic nie zrobiłem - powtórzył Wolfe. - A ten to kto?

Nadal wskazywał Adriana, a pytania kierował do Terri Collins. Z drugiego końca pokoju dobiegł głos matki.

- O co chodzi? Zaraz zaczyna się nasz serial. Markey, wyproś tych ludzi. Czy już czas na kolację?

Mark Wolfe odwrócił się niecierpliwie. Wziął ze stolika pilot i wyłączył telewizor. Jerry, Elaine i Kramer zniknęli wraz ze swoimi rozterkami.

- Już jedliśmy - powiedział. - Do serialu jest jeszcze trochę czasu. Państwo za minutę-dwie wyjdą. - Wpił się wzrokiem w detektyw Collins. - No i? O co chodzi?

- To ja porobię na drutach - oznajmiła matka. Zrobiła krok w stronę fotela. Obok leżała zauważona wcześniej przez Adriana

torba wypchana włóczką i skrawkami materiału.

- Nie - uciął Mark Wolfe. - Nie teraz.

Adrian zerknął na starszą kobietę. Na twarzy miała krzywy półuśmiech. W jej głosie brzmiała obawa, nawet wzburzenie, ale usta się uśmiechały. Wczesny początek alzheimera, pomyślał nagle. Ta błyskawiczna diagnoza go poruszyła; alzheimer atakował tę samą część mózgu i niszczył wiele tych samych procesów myślowych co jego choroba. Był po prostu bardziej podstępny, cierpliwy, a przez to trudniejszy do opanowania. Jego zabójca atakował bezlitośnie i szybko; tę kobietę, niepewną: śmiać się czy płakać, trawiło coś tak upartego jak poranny przypływ, który stopniowo zalewa piaszczystą plażę. Kiedy patrzył na matkę Wolfe'a, czuł się trochę, jakby przeglądał się w krzywym zwierciadle. Widział samego siebie, ale niewyraźnie. Obawiał się, że jeszcze trochę, a wpadnie w panikę. Nie mógł oderwać oczu od rozczochranej kobiety, aż do chwili, gdy usłyszał głos detektywu Collins.

- To profesor Thomas - poinformowała. - Pomaga mi w śledztwie. Mamy do pana kilka pytań.

I znów Mark Wolfe odpowiedział jak zdarta płyta.

- Nic nie zrobiłem... - tyle że tym razem dodał: - ...nic złego.

Stanowczy głos pani detektyw jakby ściągnął Adriana znad krawędzi przepaści. Profesor skupił wzrok na przestępcy. Złapał się na tym, że zмага się z własną pamięcią, przekonuje samego siebie, że dawniej godzinami obserwował zachowanie zwierząt laboratoryjnych, a potem prowadził niezliczone doświadczenia na ochotnikach. Analizował różne typy i poziomy strachu, interpretował szeroki zakres zachowań. Teraz muszę zrobić to samo, wmawiał sobie. Przyglądał się mężczyźnie: wypatrywał charakterystycznych objawów wewnętrznej paniki, szukał oznak kłamstwa, nasłuchiwał niuansów wskazujących, że facet oszukuje. Drgnienie powieki. Ruch głowy. Zmiana tonu głosu. Drżenie ręki. Pot na czole.

- Zgodnie z warunkami pańskiego zwolnienia musi pan mieć stałe zatrudnienie...

- Mam pracę. Wiecie o tym. Sprzedaję elektronikę i AGD.

- I nie wolno panu przebywać na placach zabaw i w pobliżu szkół...

- Widzieliście, żebym złamał jakąś zasadę?

Adrian zauważył, że Wolfe nie odpowiedział: „Nie, nie byłem na żadnym placu zabaw ani w pobliżu żadnej szkoły”. Liczył, że nie umknęło to Terri Collins.

- I ma pan obowiązek raz w miesiącu zgłaszać się do kuratora...

- Tak robię.

Oczywiście, ten jeden telefon zapewnia ci wolność, skomentował w duchu Adrian.

- Powinien pan też poddawać się terapii...

- Mhm. Wielkie rzeczy.

Terri się zawahała.

- I co, pomaga?

- Nie wasz interes - wypalił.

Adrian przypuszczał, że Terri Collins wybuchnie gniewem, ale ona zachowała matowy, spokojny, urzędniczy ton. Był pod wrażeniem.

- Ma pan obowiązek odpowiedzieć na moje pytania, czy to się panu podoba, czy nie, w przeciwnym razie złamię pan warunki zwolnienia. Jak pan chce, mogę zaraz zadzwonić do pańskiego kuratora i spytać, co sądzi o pańskiej odmowie rozmowy ze mną. Tak się składa, że wpisałam do notesu jego numer.

Adrian domyślał się, że to blef, ale nieustępliwy ton w głosie pani detektyw wskazywał, że sama groźba skontaktowania się z kuratorem wystarczy.

Wolfe się zawahał.

- Pan doktor mówił, że terapia to sprawa poufna. Między nim a mną.

- Tak jest w większości przypadków. Nie w pańskim.

Wolfe zerknął niepewnie na matkę, która zasiadła w fotelu przed szerokoekranowym telewizorem, jakby Adriana, detektyw Collins i jej syna w ogóle nie było w pokoju. Właśnie sięgała po pilot.

- Mamo! - zawołał nagle. - Nie teraz. Idź do kuchni.
- Kiedy już czas - zaprotestowała.
- Niedługo. Ale jeszcze nie.

Kobieta niechętnie wstała i wyszła. Zaczęła krzątać się w kuchni. Po chwili dobiegł stamtąd brzęk szkła tłukącego się w zlewie i jęk frustracji, który przeszedł w potok przekleństw. Syn spojrział w tamtym kierunku z chmurną miną. Jakby przewidując jego reakcję, matka krzyknęła:

- To nic takiego. Zaraz posprzątam.
- Szlag by to trafił - wycedził Wolfe. - Ciągle to samo. - Odwrócił się i przeszył wzrokiem Terri Collins. - Sama pani widzi, jak mi ciężko. Ona jest chora, a ja muszę... - przerwał. Zrozumiał, że panią detektyw ani trochę nie obchodzą trudy życia z osobą tkwiącą w mackach tej choroby.
- Pańska terapia - przypomniała ostro.
- Chodzę co tydzień - odparł ponuro. - Robię postępy. Tak twierdzi doktor.

- Proszę wytłumaczyć, co pan przez to rozumie - zażądała Terri.

Wolfe zrobił lekko zdezorientowaną minę.

- Postępy to postępy i tyle.
- Wyrażaj się bardziej precyzyjnie, Mark.

Adrian zauważył, że zwróciła się do niego po imieniu. Rozbrajające.

- Cóż... - zaczął Wolfe. - Nie jestem pewien, co...

Patrzyła na niego groźnie. Charakterystyczne spojrzenie detektywa: „musisz się lepiej postarać”. Prawie takim samym wzrokiem Adrian mierzył dobrze zapowiadających się studentów, którzy zawodzili jego oczekiwania.

- ...Pomaga mi pohamować moje pragnienia - powiedział Wolfe.

„Pragnienia” to marny substytut „żądź”, pomyślał Adrian.

- Jak?
- Rozmawiamy.
- Mówiłeś, że jak się twój doktor nazywa?
- Nie mówiłem.
- Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

- Chodzę do doktora Westa. Ma gabinet w mieście. Chce pani jego numer i adres?

- Nie. Już mam.

Adrian słuchał uważnie. Terapia kognitywno-behawioralna. Terapia awersyjna. Terapia realistyczna. Terapia akceptacji. Programy dwunastu kroków. Znał całe mnóstwo programów terapeutycznych i ich małą skuteczność w przypadkach takiej parafilii jak ekshibicjonizm. Chciałby usłyszeć, jak newage'owski terapeuta Scott West leczy kogoś dotkniętego prehistoryczną przypadłością.

- Gdzie poznałeś doktora Westa?

- W jego gabinecie.

- Spotykacie się też gdzieś indziej?

Przestępca na chwilę się zawahał. Błąd.

- Nie.

Terri milczała. Srogie spojrzenie.

- Spróbujmy jeszcze raz... Spotykacie się...

- Raz zabrał mnie na przejażdżkę.

- Dokąd?

- Mówił, że to część terapii. Że to bardzo ważne, żebym pokazał samemu sobie, że panuję nad...

- Dokąd cię zabrał? Wolfe odwrócił wzrok.

- Przewiózł mnie koło paru szkół.

- Których?

- Jedna to liceum, druga to podstawówka dwie przecznice dalej. Nazwy nie pamiętam.

- Na pewno?

Kolejne zawahanie.

- Imienia Kennedy'ego.

- Nie Wildwood School ani Fort River?

- Nie - wymamrotał. - Obok tych nie przejeżdżaliśmy.

Collins chwilę milczała.

- Ale ich nazwy znasz i założę się, że adresy też.

Odwrócił głowę, ale nie ruszył się z miejsca. Nie musiał nic mówić, odpowiedź była oczywista. Adrian sądził, że facet mógłby też podać rozkład dnia w każdej ze szkół - o której lekcje się

zaczynają, o której kończą i kiedy dzieci wychodzą na długiej przerwie na plac zabaw. Pani detektyw coś sobie powoli zanotowała i wróciła do tematu.

- Czyli przejechaliście koło szkół. Zatrzymywaliście się?
- Nie.

Adrian wiedział, że to kłamstwo.

- Skazali cię za bezprawne uwięzienie... - zaczęła Terri.

- Tylko podwoziłem tę dziewczynę - przerwał. - To wszystko. Palcem jej nie dotknąłem...

- Podwoziłeś ją z rozpiętym rozporkiem.

Zasepił się i zacisnął usta.

- Byłeś kiedyś u doktora w domu?

Ten zwrot rozmowy wyraźnie go zaskoczył.

- Nie - wykrztusił.

- Wiesz, gdzie mieszka?

- Nie.

- Poznałeś jego rodzinę?

- Nie. To nie jest częścią terapii.

- O czym rozmawiacie?

- Pyta mnie, co myślę i czuję, kiedy widzę... - zaciął się na tym słowie i wziął głęboki wdech. - Chce, żebym opowiadał o wszystkim, co mi przychodzi do głowy. Mówię mu prawdę.

Jest ciężko, ale uczę się panować nad sobą. Nie potrzebuję... - znów zamilkł.

Adrian był wręcz zahipnotyzowany tym, jak Terri ciągnie przestępcę za język, a jednocześnie nie daje po sobie poznać, do czego zmierza. Kiedy jednak usłyszał ostatnie słowa Wolfe'a, coś drgnęło w głębi jego wyobraźni. Nie był pewien, co takiego, miał tylko wrażenie, że to niezmiernie istotne. Próbował sobie przypomnieć własne badania prowadzone w laboratoriach. Bodziec, pomyślał. Reakcje badanego pozostawały w normie, dopóki nie pojawiał się dodatkowy bodziec. Wtedy zdolność do panowania nad emocjami zmieniała się, a czasem zanikała zupełnie. Kiedy w kinie widzimy, jak z ciemności wyskakuje oprych z nożem, krzyczymy. Kiedy tracimy panowanie nad samochodem na oblodzonej jezdni, tętno, aktywność gruczołów, fale mózgowe,

wszystko to się wzmaga, bo walczymy z panicznym strachem. Utrata panowania. Zastanawiał się, czy jego żona była przerażona, kiedy wpadła samochodem na dąb. Nie, pomyślał, odczuła ulgę, bo sądziła, że tego właśnie chciała. Adrian przechylił głowę, nasłuchując głosu żony, ale nie wychwycił żadnego dźwięku. Było za to co innego. Uczucie, jakby ktoś położył dłoń na jego ramieniu i chciał zmusić go do tego, żeby się odwrócił i coś zobaczył. Uścisk niby-dłoni stawał coraz bardziej natarczywy. Adrian jednak dalej patrzył na ekshibicjonistę. Coś tak zwyczajnego jak widok grupki uczniów u tego człowieka wywoływało fantazje. Inni widzieli bawiące się dzieci. Mark Wolfe widział obiekty pożądania. Adrian nagle zapragnął znienawidzić zamiast zrozumieć. Nienawiść jest dużo łatwiejsza.

- Pani detektyw, mam się już lepiej. Doktor West mi pomógł. Może pani nie wierzyć, ale taka jest prawda. Proszę go spytać.

Terri skinęła głową.

- Nie omieszka. Zdajesz sobie sprawę, że nawet przejeżdżając obok tych szkół ze swoim terapeutą, złamałeś warunki zwolnienia?

- On mówił co innego. Że mój kurator się na to zgodził. Poza tym nie zatrzymywaliśmy się.

Terri znów pokiwała głową. Nie wierzy mu, stwierdził Adrian. I ma rację.

- W porządku, sprawdzę. To wszystko. - Zamknęła notes i skinęła ręką na Adriana. Nagle znieruchomiała i spytała: - Kto to jest Jennifer Riggins?

Mark Wolfe był wyraźnie zbity z tropu.

- Kto?

- Jennifer Riggins. Gdzie ona jest?

- Nie znam żadnej...

- Jeśli kłamiesz, wrócisz za kratki.

- Nie znam tego nazwiska. Nigdy go nie słyszałem.

Terri znów wyjęła notes i coś sobie zapisała.

- Okłamywanie funkcjonariusza policji to przestępstwo, rozumiesz?

- Mówię prawdę. Nie wiem, o kim pani mówi.

Adrian widział w jego twarzy wiele rzeczy. To nadzwyczajne, jak facet miesza prawdę z kłamstwami, pomyślał.

- Coś mi się widzi, że jeszcze tu do ciebie wrócę - powiedziała Terri. - Nie planujesz nigdzie wyjechać, co?

To nie było pytanie. To był rozkaz. Odwróciła się do Adriana.

- No dobrze, profesorze, na dzisiaj wystarczy.

Adrian sądził, że miał ze sto pytań, na gorąco jednak żadne nie przychodziło mu do głowy. Zrobił krok naprzód i odniósł wrażenie, że ktoś szepcze mu na ucho. Brian. Na pewno on. Zatrzymał się.

- Ma pan komputer? - wypalił. Wolfe przytaknął.

- Do czego go pan używa?

- Do niczego. Korzystam z poczty elektronicznej, sprawdzam wyniki sportowe.

- Kto do pana pisuje?

- Znam trochę ludzi. Z niektórymi się przyjaźnię.

- Nie wątpię - prychnęła Terri. - Zabiorę go.

- Musi pani mieć nakaz.

- Jesteś pewien?

Wolfe się zawahał.

- Przyniosę go. Jest w moim pokoju.

- Pójdziemy z tobą.

Poszli za Wolfe'em przez kuchnię. Łypnął spode łba na matkę, kiedy spytała:

- Mogę już robić na drutach? Kim są twoi znajomi?

Otworzył drzwi swojej sypialni. Adrian zobaczył porzrzucone ubrania robocze. Kilka wymiętych świerszczyków, parę książek, małe biurko z laptopem. Wolfe poszedł odłączyć komputer od prądu. Podał go Terri.

- Kiedy mogę...

- Jutro albo pojutrze. Hasło?

Wolfe milczał.

- Hasło! - powtórzyła ostrzej.

- Candyman - odparł.

Wzięła komputer.

- No, no. Faktycznie robisz postępy. - Wsunęła laptop pod pachę.

Za łatwo go oddał, pomyślał Adrian. Nie mógł tego zrozumieć. Mimo to szybko odwrócił się i usiłował zobaczyć, co pokój mówi o jego właścicielu. Żałował, że nie może odczytać tytułów książek. Podejrzewał, że jedna z szuflad jest pełna płyt. Sam pokój jednak był surowy, pusty. Łóżko, komoda, biurko i twarde drewniane krzesło. Mało rzeczy, które cokolwiek mówiły.

I może to właśnie wiele mówiło.

Kiedy odwrócił się, żeby wyjść za panią detektyw i ekshibjonistą, usłyszał szept. Substytut.

Ta myśl przemknęła bardzo szybko, przeleciała mu przez głowę prawie jak piasek przez palce.

Obejrzał się. Nikogo. Nie potrafił odgadnąć, co to słowo miało znaczyć. Zaniepokojony wyszedł za detektyw Collins i przestępcą.

Stary profesor i Terri jechali w milczeniu.

Detektyw Collins położyła komputer na tylnym siedzeniu świadoma, że to tak naprawdę żaden dowód i że przeszukanie jego zawartości zapewne okaże się stratą czasu. Dręczył ją związek między przestępcą a Scottem Western - ale na razie widziała w tym wyłącznie czysty zbieg okoliczności. Była pewna, że Mark nie powiedział jej całej prawdy, ale nie wyczuła żadnego kłamstwa, które mogłoby naprowadzić ją na taki czy inny trop. Bębniła palcami w kierownicę, jadąc w ciemności do domu profesora.

Cały czas dziwnie milczał.

- Co pana gryzie? - spytała raptownie.

Wydawało się, że zanim odpowiedział, musiał ujarzmić zaprzatające go myśli albo wspomnienia.

- Jennifer - odparł cicho. - Jakie są szanse na to, że ją znajdziemy, pani detektyw?

- Małe. Wbrew temu, co się ludziom wydaje, w naszym społeczeństwie nie tak trudno zniknąć. Ani sprawić, żeby ktoś zniknął.

Adrian się zamyślił.

- Sądzi pani, że w tym komputerze jest coś...

Nie dała mu dokończyć.

- Nie.

Odwrócił się do niej, jakby oczekiwał bardziej szczegółowej odpowiedzi. Uległa.

- Na pewno będą jakieś bulwersujące rzeczy. Może zwykła pornografia. Nie zdziwiłabym się, gdyby w jakimś pliku ukryto porno z dziećmi. Albo jeszcze coś innego, co wskazuje, że poczciwy doktor West nie jest tak dobrym terapeutą, za jakiego się zapewne ma... ale coś o Jennifer? Nie. Nie sądzę. Sprawdzę. Ale nie jestem optymistką.

Adrian pomału pokiwał głową.

- Całe to spotkanie dało mi do myślenia - powiedział głosem tylko trochę głośniejszym od szeptu. - Nigdy jeszcze nie rozmawiałem z takim człowiekiem. Pouczające doświadczenie.

- Usłyszał pan coś, co by nam pomogło? - Terri zadała to pytanie bardziej przez grzeczność. Nie sądziła, że rzeczywiście mógł zauważyć coś ważnego.

- To tak pracują detektywi? Aż tak szybko przetwarzają informacje...?

Zaśmiała się.

- To nie sala wykładowa, profesorze. Często czasu jest mało i trzeba jak najszybciej zdobyć odpowiedzi. W wydziale zabójstw mówi się o pierwszych czterdziestu ośmiu godzinach. Rany, jest nawet program telewizyjny pod tym tytułem. Zależnie od przestępstwa ten czas może być krótszy albo dłuższy. Ale po jego upływie trzeba mieć jeśli nie odpowiedzi, to chociaż pojęcie o tym, gdzie ich szukać. - Spoważniała i westchnęła. - W przypadku Jennifer ten czas dawno minął.

- Potrzeba jej więcej czasu - powiedział Adrian ni stąd, ni zowąd. - Oby go miała.

Terri uświadomiła sobie, że nie czuje niechęci do tego starego człowieka. Na pewno szczerze chciał pomóc. To było dla niej swoistym objawieniem; cywile przez swoją nieporadność zazwyczaj tylko zawadzają policji. Za dużo oglądają telewizji

i wmawiają sobie, że naprawdę coś wiedzą. Przeszkadzają, nie pomagają. Tak ją uczono i tak wynikało z jej doświadczeń. Z drugiej strony, obok niej siedział stary człowiek, który płynnie przechodził od przenikliwych spostrzeżeń poprzez uporczywe nalegania do odlotu na inną planetę, ale w niczym nie przypominał większości natrętów i świętoszków, z jakimi musiała się użerać.

Zatrzymała wóz przed jego domem.

- Transport pod same drzwi - powiedziała.

- Dziękuję. - Adrian wysiadł. - Gdyby pani się czegoś dowiedziała, proszę zadzwonić...

- Profesorze, pracę śledczą niech pan zostawi mnie. Jeśli będę potrzebowała pańskiej pomocy, dam znać.

Miała wrażenie, że był głęboko zawiedziony.

Jennifer zniknęła, a on wini za to siebie, pomyślała Terri.

Jest różnica między policją, dla której najstraszniejsze tragedie są częścią codziennej rutyny, a ludźmi, którzy przypadkiem stykają się z jakimś przestępstwem i sądzą, że to czyni ich kimś wyjątkowym. Tak dalece wykracza to poza ich codzienność, że nie tylko fascynuje, ale i może stać się obsesją. Jednak dla takiej policjantki jak Terri to, co się stało, było normalne. Tragiczne, ale normalne.

Adrian odsunął się od samochodu i patrzył za nim dotąd, aż zniknął w oddali.

- Dobry z niej glina - stwierdził z uznaniem Brian. - Ale ma ograniczone możliwości. Superbystry, obdarzony wrodzoną intuicją detektyw intelektualista to wymysł autorów kryminałów. Gliny tak naprawdę zajmują się rozwiązywaniem prostych łami-główek. Kółko i krzyżyk, nie szachy.

Adrian powlókł się w stronę drzwi.

- Tam, w tym domu, to byłeś ty? - spytał.

- Oczywiście - przyznał Brian. Mówił z ociąganiem, jakby czekał na następne pytanie. Adrian odwrócił się do swojego niezującego brata. To był Brian adwokat, właśnie poprawiał jedwabny krawat i ostre kanty w spodniach od garnituru za dwa tysiące dolarów. Podniósł wzrok. - Czegoś się dowiedziałeś.

- Ale detektyw mówiła...
- Daj spokój, Audie, przecież tu od początku nie chodziło o to, żeby znaleźć winnego. Przynajmniej na razie. Najważniejsze to dowiedzieć się, gdzie szukać Jennifer. A żeby tego dokonać, trzeba sobie wyobrazić, kto mógł ją porwać. I dlaczego.

Adrian skinął głową.

- Tak.

- A sympatyczna pani detektyw z miasteczka uniwersyteckiego nie myśli tymi kategoriami, nawet jeśli na oko jest całkiem kompetentna.

Adrian musiał przyznać mu rację. Było zimno. Ciekawe, gdzie się ukrywa ciepło wiosny. Powietrze wydawało się zwodnicze, obiecywało jedno, a przynosiło coś innego. Zdradliwa pora roku.

- Audie!

Odwrócił się do Briana.

- Jest coraz trudniej - wyznał. - To tak, jakby mnie ubywało, z godziny na godzinę, z dnia na dzień.

- Dlatego tu jesteśmy.

- Chyba jestem zbyt chory.

- Nie chrzań, Audie - zaśmiał się Brian. - Ja nie żyję i wcale nie zwalniam tempa.

Adrian się uśmiechnął.

- Co widziałeś w domu tego degenerata?

- Starą cierpiącą kobietę... - urwał. Co właściwie widział? - Człowieka, który zachowuje się, jak gdyby nie miał nic do ukrycia, choć tak naprawdę pewnie chce ukryć wszystko.

Brian uśmiechnął się szeroko i klepnął brata w plecy.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że coś przeoczyłem.

Brian przystawił palec do skroni, dokładnie w tym miejscu, gdzie przytknął lufę pistoletu, który teraz leżał na biurku Adriana. Udał, że strzela, ale wyraźnie nie dostrzegł w tym geście ironii.

- Chyba obaj wiemy, co robić - powiedział.

Adrian skulił się na siedzeniu. Miał nadzieję, że jego poprzednia wizyta nie nasunęła Markowi Wolfe'owi myśli, że ktoś może go obserwować. Plamy cienia stały się na ziemi w miejscach, gdzie drzewa, które powoli zieleniały, zasłaniały wschodzące słońce. Świat za oknem samochodu wydawał się może nie nagi, ale i nie ubrany. Czasem Adrian myślał, że w trakcie zmiany pór roku są chwile, kiedy natura jakby czeka na zezwolenie, zgodę na to, by ruszyć pełną parą i zastąpić zimę wiosną.

Nie wiedział, ile pór roku mu zostało. Nie miał też pojęcia, jak długo jeszcze będzie w stanie je rozróżniać.

Poruszył się na siedzeniu, żeby spytać o to Briana, ale brat już zniknął. Zastanawiał się, czemu nie może przywoływać halucynacji, kiedy ich potrzebuje. Byłby spokojniejszy, gdyby miał kogoś, z kim mógłby porozmawiać. Chciał, żeby pewny głos Briana wzmógł jego własną determinację.

Myślał, że to, co zamierza zrobić, balansuje na granicy przestępstwa. Jeśli nie jest zabronione, to powinno być. Jest też niemoralne, a z tym kto jak kto, ale brat, ważny adwokat, zdecydowanie mógł mu pomóc. Prawnicy zawsze lepiej sobie radzą z moralnymi odcieniami szarości.

- Brian?

Cisza. Spodziewał się tego.

Wyjrzał znad dolnej krawędzi szyby. Mark Wolfe zaraz wyjdzie, powiedział sobie i zadrżał.

Pomyślał o bracie. W dzieciństwie zawsze zadziwiała go to, że Brian nie znał strachu. Cokolwiek Adrian robił z kolegami - pływali, grali w piłkę czy rozrabiali - Brian nieodłącznie trzymał się z nimi i pierwszy wrywał się do każdej psoty. Kiedyś rodzice wezwali ich na rozmowę. Briana tylko skarcili i wysłali do pokoju. Adrian wysłuchał dłuższego kazania. „Masz pilnować młodszego brata” i „Adrian, jak mogłeś mu pozwolić...” Nie potrafił wyjaśnić, że mimo dzielącej ich różnicy wieku, to Brian stał na czele bandy. Na opak, pomyślał. Nasze dzieciństwo było na opak. Potem jednak powiedział na głos:

- Ale to nadal nie tłumaczy, dlaczego się zastrzelełeś.

Pomyślał, że wszystko w jego życiu było tajemnicą, oprócz

pracy. Dlaczego Cassie go kochała? Dlaczego Tommy umarł? Dlaczego nie zauważył, że z Brianem dzieje się coś złego, i go nie powstrzymał?

Stwierdził, że jego choroba ma jeden plus. Wszystkie te pytania, cały nękający go smutek, znikną we mgle zapomnienia. Wypuścił powietrze. Ja już nie żyję, uznał.

Trzasnęły drzwi samochodu.

Zerknął w tamtą stronę - Mark Wolfe wyjeżdżał tyłem na ulicę, tak jak poprzedniego dnia. Po chwili zniknął w oddali.

Adrian spojrział na zegarek - prezent od żony z okazji dwudziestej piątej rocznicy ślubu. Wodoodporny, choć Adrian rzadko wchodził do wody. Odporny na wstrząsy, choć nigdy go nie upuścił. Bateria z dożywotnią gwarancją. Cóż, bardzo możliwe, że zegarek nadal będzie mierzył czas, kiedy ja już odejdę, powiedział sobie.

Postanowił odczekać piętnaście minut. Patrzył jak zahipnotyzowany na sekundnik, który niepowstrzymanie wędrował dookoła tarczy.

Kiedy nabrał pewności, że Mark Wolfe pojechał do pracy w hipermarkecie budowlanym, wysiadł z wozu i szybko podszedł do zadbanego domku.

Głośno zapukał, wcisnął dzwonek.

Kiedy zza uchylonych drzwi wyjrzały lekko nieprzytomne oczy matki Wolfe'a, Adrian podszedł bliżej.

- Marka nie ma - powiedziała natychmiast.

- To nic. - Adrian stanowczo napał na drzwi. - Przysłał mnie, żebym trochę z tobą posiedział.

- Naprawdę? - Zmieszanie. Adrian wykorzystał okazję. Miał wrażenie, że zna chorobę kobiety lepiej od swojej własnej.

- Oczywiście. Jesteśmy starymi znajomymi. Chyba mnie pamiętasz, co? - Nie czekał na odpowiedź. Bezceremonialnie wtargnął do domu i od razu poszedł do salonu, gdzie stanął prawie dokładnie w tym samym miejscu co poprzedniego wieczoru.

- Nie pamiętam cię - stwierdziła. - A Mark ma niewielu znajomych.

- Niedawno rozmawialiśmy.

- Kiedy?
- Wczoraj. Pamiętasz.
- Nie...
- I prosiłaś, żebym przyszedł znowu, bo tyle jeszcze miałaś do powiedzenia.
- Prosiłam...
- Tak długo rozmawialiśmy. O różnych rzeczach. Na przykład o twoich robótkach. Miałaś mi pokazać, co teraz robisz.
- Lubię dziergać. Lubię robić rękawiczki. Rozdaję je dzieciom sąsiadów.
- Założę się, że to Mark je roznosi.
- Tak. To prawda. Dobry z niego chłopiec.
- Oczywiście. Najlepszy. Cieszy się, że może sprawiać dzieciom radość.
- I dlatego w zimie rozdaje im rękawiczki. Ale teraz...
- Jest wiosna. Koniec z rękawiczkami. Do jesieni.
- Zapomniałam; jesteś kolegą Marka?
- Chciałbym, żebyś zrobiła mi rękawiczki.
- Tak. Robię rękawiczki dzieciom.
- A Mark je roznosi. Jaki dobry chłopiec.
- Tak. Jest dobry. Zapomniałam, jak ci na imię.
- I ogląda z tobą telewizję.
- Mamy swoje ulubione seriale. Marka ciekawią takie specjalne programy. Oglądamy razem wszystkie śmieszne seriale, które są wcześniej, i śmiejemy się, bo ludzie w nich wplątują się w dziwaczne kłopoty. A potem każe mi iść spać. Jego programy zaczynają się późno.
- Czyli ogląda twoje ulubione seriale z tobą, a potem swoje w dużym telewizorze.
- On go kupił. Jakbyśmy mieli tu gości. Niewielu znajomych nas odwiedza.
- Ale ja jestem twoim znajomym i przyszedłem.
- Tak. Wyglądasz staro, jak ja.
- Bo jestem stary. Ale teraz już się zaprzyjaźniliśmy, prawda?
- Chyba tak.

- Jakie są te jego programy?
 - Nie pozwala mi patrzeć.
 - Ale czasem nie możesz zasnąć, co? I przychodzisz tutaj...
- Uśmiechnęła się.

- Jego programy są... - Zaśmiała się głośno. - Nie powinnam używać takich słów. - Zrobiła zawstydzoną, dziecianną minę. Chwilami wydawała się stara i schorowana, chwilami zachowywała się jak dziecko.

Adrian zrozumiał, że właśnie czegoś się dowiedział i usiłował poukładać to sobie w głowie. Czuł, że jego żona, syn, brat, wszyscy razem otaczają go, obecni i nieobecni jednocześnie, i próbują wyjaśnić mu, w czym rzecz, pobudzić jego spostrzegawczość. Spojrzał na kobietę. Dwoje szaleńców, pomyślał. Ja rozumiem ją, ale ona nie rozumie mnie.

Stwierdził, że to tak, jakby próbować dogadać się w obcym języku. I to przypomniało mu o Tommym, który zginął w odległym kraju, znanym mu tylko z obrazów przemykających po ekranie. Na tę myśl odwrócił się w stronę telewizora. W głowie kołotało mu się coś, co powiedziała kobieta, i coś, co usłyszał z ust syna - a właściwie jego ducha.

Dzierganie. Ona robi na drutach.

- Gdzie twój komputer? - spytał. - Trzymasz go razem z robotką?

Kobieta się uśmiechnęła.

- Oczywiście. - Podeszła do fotela. Torba z włóczką i skrawkami materiału stała dokładnie w tym samym miejscu, w którym Adrian widział ją poprzedniego wieczoru. Pani Wolfe podała mu ją. Pod motkiem różowej i czerwonej włóczki tkwił mały laptop Apple z podłączonymi kablami.

Adrian spojrział na telewizor. Wysłała matkę do łóżka i podłącza komputer do tego wielkiego ekranu, domyślił się.

- Zaniosę go Markowi - powiedział. - Jest mu pilnie potrzebny.

- Zostawia go w domu - odparła. - Zawsze.

- Tak, ale dziś po pracy ma go zawieźć policjantce. Tej co tu wczoraj była. Tak się umówili.

Adrian wiedział, że jego kłamstwa będą skuteczne, mimo oporu staruszki. To perfidne, pomyślał. Przez głowę przebiegło mu powiedzenie pamiętane z dzieciństwa: „Łatwe jak zabrać cukierka dziecku”.

Wziął komputer i ruszył do drzwi.

Będzie zabezpieczony? - zastanawiał się.

Hasło? Mark Wolfe na głupca nie wyglądał. Adrian pamiętał też pogardliwą minę detektyw Collins, kiedy zabrała komputer, który ekshibicjonista oddał bez żadnego oporu. Candyman. Jakie to oczywiste. Hasło obciążone tyloma skojarzeniami, że każdy, kto badał maszynę, musiał uznać, że skrywają się pod nim obciążające dowody, gdy tak naprawdę nie było tam nic prócz niewinnego, mrocznego ślepego zaułka.

Komputer w jego rękach - komputer matki Wolfe'a - był tym właściwym. Adrian spojrzął na siwowłosą kobietę o oszalałych oczach.

- Czy Mark miał w dzieciństwie jakiegoś zwierzaka...

- Psa, wabił się Butchie...

Adrian uśmiechnął się. Butchie. To jedna możliwość.

- Musiał go uśpić - ciągnęła pani Wolfe. - Butchie polował i gryzł ludzi.

Jak twój syn.

Stara kobieta nagle zrobiła minę, jakby zbierało jej się na płacz. Po chwili zastanowienia Adrian ostrożnie zadał następne pytanie.

- A jak miała na imię córka sąsiada? Pamiętasz, ta, co mieszkała w domu obok, a może kawałek dalej, kiedy Mark był nastolatkiem?

Pomarszczona twarz natychmiast się zmieniła. Spochmurniała.

- To jak ćwiczenie pamięci, prawda? Ostatnio dużo rzeczy zapominam...

- Ale tę dziewczynę kojarzysz, prawda?

- Nie lubiłam jej.

- Na imię miała...

- Sandy.

- To od niej zaczęły się kłopoty Marka?

Skinęła głową.

Sandy. Ciekawe, czy Mark Wolfe ma poczucie ironii. Adrian ruszył do drzwi z laptopem pod pachą. Ale zanim sięgnął do klamki, znieruchomiał.

- Jak ci na imię? - spytał. Uśmiechnęła się.

- Rose.

- Od róży?

- Miałam takie rumianiutkie policzki, kiedy byłam młoda i mój mąż... - Zakryła usta dłonią.

- Co się z nim stało?

- Zostawił nas. Nie pamiętam. To bolało. Byliśmy sami. Ciężkie czasy. Ale teraz Mark się mną opiekuje. To dobry chłopiec.

- Tak, to prawda. Kto was zostawił?

- Ralph. On nas zostawił. Zawsze byłam różą Ralpha. Mówił, że nigdy nie przestanę kwitnąć, ale odszedł i wcale już nie kwitnę.

„Różaalpha”, pomyślał Adrian. Może.

- Świetnie się z tobą rozmawiało, Rose. Wróć tu jeszcze, to pogadamy o twoich robótkach. Może zrobisz mi rękawiczki.

- Bardzo chętnie.

ROZDZIAŁ 26

Jennifer śpiewała cicho Panu Futrzakowi, kiedy drzwi się otworzyły. Nie była to konkretna piosenka, a raczej mieszanka kołysanek i dziecięcych przyśpiewek, jakie pamiętała. *Row, Row, Row Your Boat* i *Itsy Bitsy Spider* zlewały się z *The Bear Went Over the Mountain* i *I'm a Little Teapot*. Do tego od czasu do czasu dorzucała kolędy. Cicho nuciała i śpiewała każdy urywek tekstu, każdy wierszyk, każdy fragment melodii, który mogła sobie przypomnieć. Pomijała rap i rock and roli, bo raczej nie sądziła, by podniosły ją na duchu. Wstrzymała oddech, kiedy

przerwał jej dźwięk otwieranych drzwi, ale zaraz znów zaczęła śpiewać. Stopniowo podnosiła głos: „Dzisiaj w Betlejem, dzisiaj w Betlejem wesoła nowina, że Panna czysta, że Panna czysta porodziła syna...”

- Numerze 4, słuchaj uważnie.

- „Niech mu gwiazdka pomyślności nigdy nie zagaśnie, niech mu gwiazdka... „

- Numerze 4, przestań śpiewać, bo zrobię ci coś złego.

Monotonny kobiecy głos. Jennifer wiedziała, że to realna groźba.

Zamilkła.

- Dobrze - powiedziała kobieta.

Jennifer miała ochotę się uśmiechnąć. Drobne gesty buntu, powiedziała sobie. Rób, co każą, ale...

- Słuchaj uważnie - podjęła kobieta.

Wiem, gdzie jesteś, pomyślała Jennifer. Nie wiedziała dlaczego, ale to było dla niej ważne.

Krótki rzut oka spod opaski dodał jej sił. Zorientowała się w otoczeniu. Dowiedziała się o wycelowanej w nią kamerze wideo. Obrzuciła wzrokiem nagie białe ściany, szarą podłogę. Szybko oszacowała wielkość pomieszczenia i, co najważniejsze, zobaczyła swoje ubrania w stosie obok drzwi. Starannie złożone, leżały obok plecaka, jakby czekały na nią po praniu. To nie to samo, co być ubraną, ale sama świadomość, że w każdej chwili może włożyć swoje dzinsy i bluzę, obudziła w niej nadzieję.

Kamera dała jej do myślenia.

Czuła na sobie jej nieruchome oko, obserwowało ją.

Rozumiała, co to znaczy: nie ma prywatności.

Na tę myśl poczerwieniła i poczuła się skalana. Zaraz jednak dotarło do niej, że ten, kto ją obserwuje, tak naprawdę widzi nie ją, Jennifer, tylko więźnia. Ona sama wciąż pozostaje anonimowa. Ukryta. Może jej ciało jest odsłonięte, ale nie ona, Jennifer. Czuła różnicę między tym, kim jest, i tym, co robi. Jedno nie miało nic wspólnego z drugim. To, co widać z zewnątrz, robi sobowtór Jennifer - Numer 4. Prawdziwa Jennifer ścisła misia, śpiewa piosenki i usiłuje dociec, gdzie ją więziono. Wiedziała,

że musi ciężko pracować nad tym, by chronić prawdziwą Jennifer, i jednocześnie sprawić, żeby fałszywa Jennifer wydawała się rzeczywista mężczyźnie i kobiecie. Jej oprawcom.

Kiedy zobaczyła kamerę, zrozumiała jeszcze jedno: jest potrzebna. Jakikolwiek dramat się tu rozgrywa - ona gra w nim główną rolę.

Nie wiedziała, jak długo to utrzyma ją przy życiu. Ale przynajmniej miała trochę czasu i z całą pewnością zamierzała go wykorzystać.

- Numerze 4, w nogach łóżka postawię krzesło. Masz do niego podejść i usiąść.

Zwiesiła nogi z łóżka. Wstała. Przeciągnęła się, uniosła jedną nogę, potem drugą, naprężyła mięśnie. Kilka razy wspięła się na palce. Wykręciła rękę za plecy, żeby rozciągnąć tułów. To samo z drugą ręką. Czuła, jak mięśnie kurczą się i rozluźniają, jak sztywność uchodzi z kości.

- Nie pora na ćwiczenia, Numerze 4. Rób, co mówię, natychmiast.

Zatoczyła głowę - to na rozluźnienie karku - i ostrożnie przeszła na koniec łóżka, trzymając się ramy. Wyciągnęła rękę, wyciągnęła drewniane oparcie i wsunęła się na krzesło. Siedziała skromnie, z dłońmi złożonymi na podolku i ściśniętymi kolanami, trochę jak nieposłuszna uczennica na katechezie, bojąca się zakonnicy.

Czuła, że kobieta zbliża się do niej. Lekko odwróciła się w jej stronę. Czekwała na dalsze instrukcje.

Cios był nieoczekiwany i brutalny.

Wymierzony otwartą dłonią w policzek. Omal nie zrzucił jej na podłogę. Szok wydawał się równie dotkliwy jak uderzenie. Pod opaską widziała gwiazdy, twarz tętniła bólem, jakby prąd poraził zakończenia nerwowe. Była zamroczona, kręciło jej się w głowie. Łapała powietrze, jakby się dusiła. Wydała cichy, zwierzęcy jęk bólu, ale nie miała pojęcia, czy rozbrzmiał echem w pokoju, czy tylko pod jej czaszką. Przytrzymała się siedzenia. Próbowwała odzyskać równowagę, bo wiedziała - choć niby skąd? - że gdyby upadła, zostałaby skopana i pobita.

Chciała coś powiedzieć, ale z ust zamiast słów wydarł się tylko zduszony szloch.

- Rozumiemy się trochę lepiej, Numerze 4? - spytała kobieta.

Przytaknęła.

- Kiedy wydaję polecenie, masz je wykonać. Chyba już ci to tłumaczyliśmy.

- Tak. Ja tylko chciałam... nie myślałam, że...

- Dość.

Zamilkła.

- Dobrze. Mam do ciebie kilka pytań. Odpowiesz na nie precyzyjnie. Nie podawaj informacji, o które nie poproszę. Trzymaj głowę prosto i patrz przed siebie.

Znów przytaknęła. Wyczuła, że kobieta nachyla się ku niej, i usłyszała ni to szept, ni to syk.

- Na pierwsze pytanie odpowiesz „osiemnaście”.

Zamrugała pod opaską, zaskoczona. Zrozumiała: to miałam słyszeć tylko ja.

Kobieta z szelestem odsunęła się kawałek do tyłu. Nastąpiła chwila ciszy. Jennifer sztywnymi ruchami robota wróciła do pozycji uczennicy i spojrzała prosto przed siebie, choć widziała tylko czerń opaski.

- Świetnie. Numerze 4, powiedz, ile masz lat.

Zawahała się.

- Osiemnaście - wykrztusiła. - Kłamstwo, które oszczędziło jej bólu.

Kobieta mówiła dalej.

- Wiesz, gdzie jesteś?

- Nie.

- Wiesz, dlaczego tu jesteś?

- Nie.

- Wiesz, co się z tobą stanie?

- Nie.

- Wiesz, jaki dziś dzień? Możesz podać datę, godzinę albo choć określić, czy to dzień, czy noc?

Pokręciła głową i znieruchomiła.

- Nie - powiedziała. Tym razem jej głos łamał się lekko, jakby słowo „nie” było drogą porcelaną, która przy najmniejszej nieostrożności mogła się potłuc.

- Jak długo tu jesteś, Numerze 4?

- Nie wiem.

- Boisz się?

- Tak.

- Boisz się śmierci?

- Tak.

- Chcesz żyć?

- Tak.

- Co zrobisz, żeby przeżyć?

Chwila namysłu. W grę wchodziła tylko jedna odpowiedź.

- Wszystko.

- Doskonale.

Głos kobiety dochodził z odległości paru metrów. Zapewne stanęła za kamerą tak, by Jennifer mówiła do obiektywu. Poczowała się trochę pewniej. Filmują mnie. To, że przynajmniej w części rozumiała, co się z nią dzieje, pomagało. Naprężyła mięśnie. Nie wiedzą, jak silna potrafię być, powiedziała sobie. Wtedy w jej wyobraźnię wkradły się wątpliwości. Sama nie wiem, jak silna potrafię być. Chciało jej się płakać, kusiło ją, żeby dłużej nie powstrzymywać szlochu i rozpaczy. Pragnęła z tym walczyć... ale jak? Tkwiała uwięziona między dwoma przeciwnymi biegunami. Kobieta bezlitośnie wydawała kolejne pytania.

- Numerze 4, wstań.

Zrobiła, co jej kazano.

- Zdejmij majtki.

Ogarnęła ją niepewność, która opanowała dłonie. Wyczuła jednak, że kobieta zaciska pięść i szykuje się do kolejnego ciosu - wykonała więc polecenie. Powiedziała sobie, że to jak wizyta u lekarza albo przebieganie się w szatni po intensywnych ćwiczeniach. Nie musi się wstydzić nagości. Jednak pod opaską nawet ona wiedziała, że to kłamstwo. Czuła na sobie przenikliwe spojrzenie kamery. Była upokorzona. Łzy wezbrały jej w oczach i wtedy kobieta powiedziała:

- Możesz wrócić na miejsce.

Chwyła cienkie majtki, podciągnęła je i usiadła. Odnosiła wrażenie, jakby coś jej odebrano. Było jeszcze gorzej niż wtedy, kiedy mężczyzna kazał jej się myć nago. Teraz przeprowadzali inspekcję. Badanie mięsa.

- Zanim weszłaś do tego pokoju, czego się najbardziej bałaś?

Musiła pomyśleć. Przepelniał ją wstyd.

- Czego się najbardziej bałaś, Numerze 4? - powtórzyła kobieta natarczywym tonem.

Jennifer rozpaczliwie szukała odpowiedzi.

- Pająki. Nie znoszę pajaków. Kiedy byłam mała, ugryzł mnie pajak i spuchła mi twarz, i od tego czasu...

- To konkretna rzecz, której się boisz, Numerze 4. Ale jaki jest twój najgorszy lęk?

Chwila ciszy.

- Czasem się bałam, że zamkną mnie w pomieszczeniu pełnym pajaków.

- Mogę to zrobić, Numerze 4...

Mimo woli zadrżała. Wiedziała, że kobieta nie kłamie, że potrafi być jeszcze bardziej okrutna niż do tej pory. A mężczyzna najpewniej dużo gorszy.

- Ale jaki jest twój największy lęk, Numerze 4?

To pytanie tłukło się w jej głowie. Nie mogła zrozumieć: Co było nie tak z moją odpowiedzią?

Jedno lub dwa słowa uwięzły jej w gardle i zakaszła. Wpadła na inny pomysł.

- Że nigdy się nie wyrwę z małej mieściny, w której mieszkam, i utknę tam na zawsze.

Kobieta milczała. Jennifer uznała, że może zaskoczyła ją swoją odpowiedzią.

- Czyli w domu było ci źle?

Głowa Jennifer poruszyła się w górę i w dół.

- Tak.

- Co ci się nie podobało?

- Wszystko.

Kobieta znów mówiła ostrożnie. Jej głos bił w Jennifer. Miarowy rytm pytań był jak seria ciosów prosto w serce.

- I dlatego chciałaś uciec?
- Tak.
- Nadal chcesz uciec, Numerze 4?

Szloch ścisnął pierś Jennifer. Nie wiedziała, czy kobieta ma na myśli ucieczkę z domu, czy z tego więzienia. Ta niepewność powodowała cierpienie.

- Chcę po prostu żyć - powiedziała drżącym głosem.
- Kobieta zaczęła trochę, potem znów pytała bezlitośnie.
- Co w swoim życiu kochałaś, Numerze 4?

Napłynęły wspomnienia z dzieciństwa. Widziała nieżyjącego ojca; stał w spowijającej ją ciemności, tyle że teraz żywy, i ze znajomym promiennym uśmiechem kiwał, żeby do niego podeszła. Pamiętała przyjęcia i place zabaw. Wspominała zwyczajne chwile, pikniki, rodzinny wyjazd do Fenway Park na mecz bejsbolowy i hot dogi. Pewnego razu na szkolnej wycieczce na pobliską farmę wczłogała się do zagrody, w której suka karmiła nowo narodzone szczenięta, i podziwiała delikatną energię życia. Widziała siebie z matką, której - jak sądziła - nie miała już powodu kochać. Pływały w rzece w parku stanowym. Mały wodospad lał zimną wodę na ich głowy, ale nie zważały na gęsią skórkę, tak było cudownie. Wszystkie te obrazy wirowały wokół niej, jakby znalazła się w samym środku szybkiego filmu akcji. Wzięła gwałtowny wdech. Te myśli należały do niej i wiedziała, że musi je chronić.

- Nic - powiedziała.

Kobieta się zaśmiała.

- Każdy coś kocha, Numerze 4. Powtarzam: co kochałaś?

Różne obrazy mieszały się ze sobą. Potok wspomnień. Coś kazało Jennifer odpędzić je, zachować w ukryciu.

- Miałam kota... - odparła z ożywieniem. - To znaczy, znalazłam bezpańskiego kociaka. Kotkę. Była taka mokra, chuda, zagubiona. Pozwolili mi ją zatrzymać. Nazwałam ją Socks, bo miała białe skarpetki na łapkach. Karmiłam ją mlekiem, co noc

spała na moim łóżku. Przez wiele lat była moim najlepszym przyjacielem.

- Co się stało z Socks, Numerze 4?

- Kiedy miała siedem lat, zachorowała. Weterynarz nie mógł jej uratować. Umarła i pomogłam ją pochować. Wykopaliśmy w ogródku dół i tam ją włożyliśmy. Płakałam całymi dniami. Rodzice proponowali, że kupią mi nowego kota, ale ja nie chciałam nowego, chciałam tego, który umarł. - Zawahała się, po czym dodała z mocą: - Proszę. Właśnie to kochałam.

- Wzruszające, Numerze 4.

Miała ochotę odpowiedzieć: „pytałaś, to masz”, ale bała się, że znów oberwie. Ukryła drwiący uśmiech, ale w duchu czuła złośliwą satysfakcję. Historię Socks zmyśliła od początku do końca.

Nie było żadnego kota, suko. Żadnego zdechłego kota. Pierdol się.

- I ostatnie pytanie...

Jennifer się nie ruszyła. Czekwała.

- Numerze 4, czy jesteś dziewczicą?

Jej język nagle stał się ciężki i poczuła kwaśny smak na ustach. Kilka razy oblizała wyschnięte wargi. Nie wiedziała, jaka jest właściwa odpowiedź. Prawdziwa brzmiała „tak”, ale czy to dobrze, czy źle? Strach wkradł się do jej serca. Na tę niejasną aluzję do seksu zrobiło jej się duszno. Chęć mnie zgwałcić, pomyślała.

- Czy jesteś dziewczicą, Numerze 4?

Czy jeśli odpowie „nie”, zabrzmie to jak zachęta? Jeśli da im do zrozumienia, że uprawiała już seks, czy uznają to za przyzwolenie? Czy naiwność pomoże jej, czy zaszkodzi?

Nie chciała decydować. Obie odpowiedzi wydawały się złe.

- Tak - wydusiła w końcu, lekko łamiącym się głosem.

Kobieta się zaśmiała.

- Możesz wrócić do łóżka - powiedziała. Z nutą drwiny.

ROZDZIAŁ 27

Traf chciał, że mniej więcej w tym samym czasie w dwu różnych miejscach Adrian i Terri patrzyli na komputery, które należały do tego samego człowieka, ale dochodzili do odmiennych wniosków.

Jedno widziało same ślepe zaułki.

Drugie - nieograniczone możliwości.

Na komputerze, który stał pośrodku biurka, Terri znalazła w zasadzie to, czego się spodziewała. Trochę marnej pornografii - nic, co zaskoczyłoby ją wyjątkową egzotyką czy mroczną prowokacyjnością. I jeszcze lista przeważnie nudnych linków do stron sportowych, chat roomów medycznych dla opiekunów osób chorych na alzheimera, zagranicznego serwisu bukmacherskiego i popularnych gier internetowych, jak *Full Tilt Poker* i *World of Warcraft*. W jej odczuciu nic tutaj nie wskazywało, że Mark Wolfe wrócił do przestępczej działalności. Nic nie sugerowało też jednoznacznie, że mógł się posunąć do czegoś gorszego albo że miał jakikolwiek związek z zaginioną Jennifer. I nawet jeśli wzdrygała się lekko na pornografię, którą znalazła, domyślała się, że podobne rzeczy są w komputerach domowych połowy policjantów z jej wydziału.

Była gotowa uznać, że zmarnowała czas na sprawdzanie Marka Wolfe'a i jego związku z przyszłym ojczymem zaginionej dziewczyny. Co gorsza, elektroniczne poszukiwania Jennifer właściwie utknęły w martwym punkcie, mimo zapału starego profesora. Wiedziała, że musi pójść tropem karty kredytowej, którą zwrócono w Maine. Wątpiła jednak, czy coś z tego wyniknie.

Zamknęła komputer i powoli wypuściła powietrze. Cały problem w tym, że musi oddać to cholerstwo Wolfe'owi. Sięgnęła po telefon i zadzwoniła do hipermarketu.

- Poproszę z Markiem Wolfe'em - powiedziała do recepcjonistki. - Mówi detektyw Collins, dzwonię w sprawie śledztwa o

molestowanie seksualne.

Uprzykrzenie Wolfe'owi życia stało się jednym z jej priorytetów. Nie sądziła, żeby współpracownicy znali jego przeszłość, i zastanawiała się, ile czasu upłynie, zanim recepcjonistka wspomni na przerwie na kawę, że do jednego ze sprzedawców dzwoniła policja. To da początek domysłom, a z nich szybko zrodzą się najprzeróżniejsze paskudne plotki. Ani trochę się nie przejmowała tym, że narobi mu kłopotów. Owszem, to niezbyt szlachetne podejście, ale miała to gdzieś.

- Możesz przyjść do mojego biura po swój komputer - oznajmiła obcesowo, kiedy Wolfe wziął słuchawkę. - Będę tu do szóstej.

W odpowiedzi tylko coś burknął.

Miała trochę czasu do jego wizyty, więc odsunęła komputer ze złością i wzięła wydruk z karty kredytowej. Wybrała numer banku w Waterville w stanie Maine.

Komputer jest jak krzywe zwierciadło, pomyślał Adrian. Pokazuje może zniekształcony i zamazany, ale jednak prawdziwy obraz człowieka.

Sztuka w tym, żeby znaleźć do niego klucze.

Dzięki informacjom od matki Wolfe'a udało mu się uzyskać dostęp do części zabezpieczonych hasłem plików. „Robótkirose” otworzyło wrota, za którymi skrywała się kolekcja zdjęć młodych, mniej i bardziej rozebranych kobiet w wyzywających pozach. Najpierw pomyślał: pornografia dziecięca - ale zorientował się, że to nie do końca to. Zdjęcia były prowokacyjne, rozpały wyobraźnię. Oglądając je, czuł się nieswojo, ale zmusił się, żeby je uważnie przejrzeć do końca. Wtedy się zorientował, że tylko miały nasuwać skojarzenie z dziećmi. Modelki były wygolone i nieśmiałe, wybrane z uwagi na swoje drobne ciała i dziecięce twarze. Jednak tylko wyglądały bardzo młodo. Adrian domyślał się, że fotografowano je kilka dni albo tygodni po ich osiemnastych urodzinach, by uniknąć oskarżenia o pornografię dziecięcą. Kolejne zdjęcia robiły się coraz ostrzejsze. Na niektórych z modelkami spółkowali nastoletni chłopcy, na innych mężczyźni średnim wieku, a nawet dużo starsi. Szczyt perwersji, stwierdził

w duchu.

Pliki pod hasłem „Robótkirose” bulwersowały - ale sądził, że ani nie uruchomiłyby alarmu w komputerach Interpolu, ani nawet nie zwróciłyby uwagi lokalnej policji. Znalazł link do stron *Osiemnastki* i *Już doroste*. Nawet tam nie zajrzał.

Część plików nie chciała się otworzyć. Żałował, że nie zna się na komputerach jak młodszy. Wypróbował różne kombinacje z imieniem „Sandy”. Uznał, że jeśli przebiło się przez mgłę choroby pani Wolfe, musiało być często używane w tym domu. I może połączone z jakimś innym słowem zapewni dostęp do czegoś w tym komputerze. Ale wszystkie warianty zostały odrzucone.

Przeszłość staje się terażniejszością i wpływa na przyszłość. Dla psychologów było *to* coś w rodzaju mantry. Rzeczy, zdarzenia, ludzie zapadają w pamięć i wywierają wpływ na działania podejmowane w terażniejszości i marzenia o przyszłości. Mark Wolfe nie różnił się od innych niczym poza tym, że skaza na jego psychice była bardziej zjadliwa i obudziła uśpiony w nim potencjał. Skąd się wzięła, pozostawało tajemnicą. Jak obecnie dawała o sobie znać - to wynikało z obrazów na ekranie komputera. Dokąd go zaprowadzi - nie wiadomo.

Adrian wpisał hasło „ZabićSandy”. Wskoczyły kolejne zdjęcia.

Wlepił wzrok w fotografię - pochylona młoda dziewczyna brała do ust członek starca. Na ten widok poczuł potrzebę, żeby umyć ręce i przynieść sobie szklankę wody z lodem.

Zaczął odsuwać się od biurka. Pomyślał, żeby poszukać tomiku poezji; poczytać subtelne rymowane wiersze, coś czystego i szlachetnego. Może sonety Szekspira, zasugerował sobie w duchu. Albo Byrona. Wersety, które mówią o miłości jedwabistymi słowami. Pooglądać obrazy, które rozniecają namiętność - nie zdjęcia włochatych facetów wpychających nabrzmiałą męskość już kobietom, choć jeszcze dzieciom.

Poruszył się na miejscu, ale znieruchomiał, kiedy usłyszał szept syna:

- Ale, tato, nie dość dobrze się przyjrzałeś. Jeszcze nie.

Rozejrzał się szybko z rozłożonymi rękami, jakby chciał objąć ducha syna i przycisnąć go do piersi, ale był sam. Choć

zdawało się, że głos Tommy'ego rozlega się tuż obok.

- Co widzisz? - spytał syn. Mówił melodyjnym tonem dziewięciolatka, nie jak dorosły. Adrian pamiętał, że uwielbiał słyszeć, jak mały Tommy go woła. To było jak zaproszenie do podzielenia się tajemnicą, coś cennego jak klejnot.

- Tommy, gdzie jesteś?

- Tutaj. Obok ciebie.

Jego głos jakby przebijał się przez gęstą mgłę. Adrian rozpaczliwie pragnął włożyć rękę w opary i dotknąć syna. Jeszcze tylko ten jeden raz. To wszystko. Jeden raz. Jeden uścisk.

- Tato! Skup się! Co widzisz?

- Ohydną pornografię - odparł lekko skrępowany, że syn ogląda to samo co on.

- Nie, to coś więcej. Dużo więcej.

Musiał mieć zdziwioną minę, bo usłyszał westchnienie syna. Brzmiało jak podmuch wiatru przelatującego przez cichy dom.

- No, tato, powiaż to, kim jesteś, z tym, co widzisz.

Adrian nic z tego nie rozumiał. Był naukowcem. Badaczem. Przeprowadzał doświadczenia. Tego właśnie uczył przez długie dziesięciolecia. A tu, na ekranie, miał powyginane ciała. Nagość. Dosłowność. Miłość odartą z tajemnicy, ograniczoną do twardej rzeczywistości, niepozostawiającą nic wyobraźni.

- Tommy, przykro mi, nie rozumiem. Teraz jest mi dużo trudniej. Nie kojarzę faktów...

- Walcz z tym, tato. Bądź silniejszy. Weź więcej tych pigułek. Może pomogą. Zmusz się, żeby pamiętać.

Głos Tommy'ego raz po raz się zmieniał. Tommy dziecko. Dorosły Tommy. Adrian miotał się między jednym i drugim.

- Staram się.

Chwila zawahania, jakby syn o czymś myślał. Adrian pragnął go zobaczyć i lzy przesłoniły mu oczy. To nie w porządku, pomyślał. Innych widzę, ale teraz jest tu Tommy i nawet się nie pokaże. To trochę przypominało ten wielki dylemat znany wszystkim rodzicom: pewnego dnia patrzą na swoje dziecko i widzą, że jest już dorosłe, żyje własnym życiem we własnym świecie, dziwnym i niezrozumiałym. Ludzie, których najbardziej

kochamy, stają się nam obcy, pomyślał.

- Tato, kiedy czytasz wiersz...Adrian obrócił się na krześle, jakby liczył, że jeśli szybko rzuci okiem na pokój, choć przez moment dostrzeże syna.

- Co próbujesz zobaczyć w słowach?

Westchnął. Głos Tommy'ego był przytłumiony i odległy, słuchanie go sprawiało ból. Ciarki przebiegały Adrianowi po skórze.

- Chciałem być przy tobie. Nie mogę znieść myśli, że umarłem gdzieś na drugim końcu świata i że nie było mnie z tobą. Nie potrafię pogodzić się z tym, że nie mogłem nic na to poradzić. Że nie zdołałem cię ocalić.

- Poezja, tato. Pomyśl o wierszach.

Sapnął ciężko. Spojrzał na zdjęcie Tommy'ego nad biurkiem. Rozdanie świadectw po szkole średniej. Fotka pstryknięta ukradkiem, kiedy syn nie patrzył. Szeroko uśmiechnięty, przed sobą widział tylko nieograniczone możliwości, jakie niósł świat, nie troski i zmartwienia. Adrian miał wręcz wrażenie, że to zdjęcie do niego mówi, teraz, w tej chwili, choć natarczywy głos Tommy'ego dobiegał zza jego głowy.

- Co widzisz w wierszach?

- Słowa. Rymy. Obrazy. Metafory. Sztukę, która przywołuje idee. Uwodzi. Nie wiem, Tommy, co konkretnie...

- Pomyśl, tato. Jak wiersz może ci pomóc znaleźć Jennifer?

- Nie wiem. A w ogóle może?

- Dlaczego nie?

Adrian pomyślał, że wszystko jest na opak. Tommy był ich jedynym dzieckiem i to Adrian go chronił, motywował, wskazywał mu drogę. Teraz jednak role się odwróciły - to on stał się dzieckiem, a Tommy wiedział rzeczy jemu nieznanne. A właściwie to nie tak: Adrian te rzeczy wiedział, tylko nie dawał rady ich osiągnąć, więc Tommy, choć nie żył, przybył pomóc mu je odszukać.

Zastanawiał się przez chwilę: Czy zmarli zawsze są przy nas i nam pomagają?

- Co widzisz?

Odwrócił się z powrotem do komputera.

- Zdjęcia.

- Nie, tato. Tak naprawdę nie chodzi tu o obraz. Jak w wierszu, rzecz w tym, jak ten obraz jest postrzegany.

Adrian wziął głęboki wdech. Pamiętał te słowa. Przez wiele lat prowadził na uczelni popularne zajęcia *Strach i sposoby jego wykorzystania we współczesnym społeczeństwie*. Skupiał się nie tylko na fizjologicznej naturze lęku, ale z czasem objął też filmy i literaturę grozy. Analizował strach jako część popkultury. To było seminarium dla magistrantów, bardzo lubiane. Studenci spędzali zbyt wiele wieczorów zgarbieni nad białymi myszami w laboratoriach i byli zachwyceni, że mogą dla odmiany sobie posiedzieć i posłuchać wywodów Adriana o *Szczękach, Piątku trzynastego* i *Upiornej opowieści* Petera Strauba. Słowami, które przytoczył jego syn, zakończył swój ostatni wykład.

- Tak, Tommy, wiem, ale...

- Jennifer, tato.

- Tak. Jennifer. Ale jak to...

- Tato, pomyśl. Skup się, v

Adrian wziął z rogu biurka żółty notes. Złapał długopis i napisał:

„Jennifer ucieka z domu.

Obcy ludzie uprowadzają ją z ulicy.

Jennifer znika.

Nikt nie żąda okupu.

Jennifer zaginęła”.

To przypominało wiersz. *Zaginiona Jennifer*.

Adrian spojrział na nagie postaci na ekranie. Ci ludzie nie kopulowali ze sobą, bo się kochali, pożądali czy choćby dlatego, że chcieli przyjemności.

Pieniądze. Ekshibicjonizm. Albo jedno i drugie.

- Ale żądania okupu nie było, prawda, tato? - Tommy zniżył głos do szeptu.

- Ale jak można zarobić na... - urwał. Cały świat zarabia na seksie.

- Powiąż fakty, tato. Powiąż fakty. - Tommy wręcz błagał.

Czuł się głupi, niedouczony. Myślenie szło mu jak po grudzie.

- Jak mam... - zaczął, ale syn wszedł mu w słowo.

- Wiesz, kto ci to może powiedzieć. Ale niełatwo będzie to z niego wyciągnąć. Weź coś, co ci pomoże. Co go przekona.

Adrian skinął głową. Zamknął komputer i schował go do torby. Włożył płaszcz. Spojrzał na zegarek. Wpół do siódmej. Nie miał pojęcia: rano czy wieczorem. Liczył, że zorientuje się na zewnątrz. Nie wiedział dlaczego, ale był pewien, że Tommy z nim nie pójdzie. Może Brian. Rozejrzał się za Cassie, bo przydałoby mu się słowo wsparcia i zachęty. Zawsze byli dzielniejsi ode mnie, pomyślał. Moja żona. Mój syn. Jednak głos Tommy'ego ucichł, a ona się nie zjawiła. Dopiero po chwili poczuł jej obecność. Miał wrażenie, że stoi przed nim, gdzieś go ciągnie.

- Idę, idę - mruknął, jakby go ponaglała. Kiedy byli młodzi, zdarzało się, że ślęczał nad jakimś studium psychologicznym, artykułem naukowym lub jednym ze swoich wierszy, a ona nagle wchodziła do pokoju, bez słowa brała go za rękę i, z lekkim skinieniem głowy i cichym śmiechem, prowadziła do łóżka, gdzie kochali się dziko. Tym razem jednak w sypialni na górze czekała inna, pilniejsza potrzeba i czuł, że Cassie stanowczo ciągnie go w tamtą stronę.

Było ciemno. Za drzwiami słyszał podniesione w gniewie głosy. Krzyczał głównie Mark Wolfe, jego matka lamentowała żałośnie w odpowiedzi. Adrian w skupieniu stał na zewnątrz przez kilka minut, pozwalając, by chłód nocy wnikał w jego ciało. Drzwi tłumiły odgłosy kłótni na tyle, że docierała do niego tylko jej gwałtowność, nie temat, choć domyślał się, że miała coś wspólnego z komputerem w jego torbie.

Zastanawiał się, czy poczekać na chwilę ciszy. W końcu zapukał.

Krzyki natychmiast ustały.

Znów zapukał i cofnął się o krok. Podejrzewał, że kiedy drzwi się odemkną, cały skumulowany w środku gniew zwali się na niego jak fala na plażę. Usłyszał zgrzyt zamka i zalało go światło, kiedy drzwi rozwarły się na oścież.

Nastąpiła chwila ciszy.

- A niech mnie - wycodził Wolfe.

Adrian skinął głową.

- Mam coś pańskiego - oznajmił po prostu.

- Nie mów. Dawaj to. - Wolfe wyciągnął ręce, jakby chwytając profesora za piaszcz, mógł odzyskać swój komputer.

Adrian nie wiedział, kto wykrzykuje mu instrukcje do ucha - Brian? Tommy? - ale cofnął się poza zasięg przestępcy i nagle zauważył, że trzyma w dłoni pistolet brata i mierzy prosto w Wolfe'a.

- Mam pytania - wyrzucił z siebie.

Wolfe odskoczył do tyłu. Spojrzał na broń. Jej obecność podziałała jak koc narzucony na jego wściekłość.

- Założę się, że nawet nie umiesz się tym posługiwać - wykrztusił.

- Na pańskim miejscu nie wystawiałbym tej teorii na próbę - odparł Adrian pedantycznie. Zszokowała go lodowata wymowa każdego z tych słów. Powinien być przerażony, nerwowy, może nawet zniedołężniały wskutek swojej choroby, tymczasem jednak, o dziwo, był w pełni skupiony. Całkiem przyjemne uczucie, musiał przyznać.

Wolfe nie odrywał oczu od pistoletu. Wyglądał, jakby wahał się, czy uskoczyć z linii strzału, czy rzucić się do przodu i wyrwać napastnikowi broń. Zamarł jak na stop-klatce.

Adrian lekko uniośł pistolet, wycelował w twarz Wolfe'a.

- Nie jesteś gliną. Jesteś profesorem, na litość boską. Nie możesz mi grozić.

Adrian skinął głową. Czuł się cudownie opanowany.

- Gdybym pana zastrzelił, myśli pan, że ktoś by się przejął? - spytał. - Jestem stary. Trochę stuknięty. To bez znaczenia, co się ze mną stanie. Ale pańska matka... cóż, ona pana potrzebuje, prawda? A pan, panie Wolfe, jest jeszcze młody. Czy rzeczywiście warto teraz umrzeć? Nawet nie wie pan, czego chcę.

Wolfe się zawahał. Adrian zastanawiał się, czy ten przestępca kiedykolwiek widział broń z bliska. Czuł się, jakby wszedł do jakiejś dziwnej, równoległej rzeczywistości, która nie ma nic wspólnego ze znanym mu hermetycznym światem akademickim.

To było coś dużo bardziej prawdziwego. To wrażenie powinno go przejmować wstrętem i przerażać, ale nic takiego w sobie nie rozpoznawał. Wydawało mu się, że czuje bliskość brata.

- Przyszedłeś tu i ukradłeś komputer...

Adrian milczał.

- Co z ciebie za czub. Jest chora. Przecież widzisz. Nie panuje nad swoim... - urwał. Warknął jak ranny pies. - Chcę go odzyskać. Nie masz prawa zabierać komputera mojej matki.

- Czyjego? - Adrian wskazał lufą na torbę. - Może powinienem go zanieść detektyw Collins. Lepiej ode mnie zna się na tych rzeczach. Na pewno szybko ustali, do czego pan go używał. Najbardziej zainteresują ją katalogi *Robótkirose* i *Zabićsandy*, nie sądzi pan? Czyli tak naprawdę wybór należy do pana. Co mam zrobić?

Wolfe stał w drzwiach sprężony do ataku. Adrian widział, jak twarz mężczyzny się wykrzywia. Ludzie, którzy prowadzą sekretne życie, ukryte pod codzienną, trywialną, rutynową egzystencją, zawsze wzbraniają się, żeby otworzyć jakiegokolwiek okno, które mogłoby odstąpić ich prawdziwe oblicze i pragnienia. Wszystkie te perwersyjne myśli kołaczące się w duszy, tajone przed władzami, znajomymi, rodziną. Wyczuwał, że Mark Wolfe teraz jest w takiej sytuacji. Przestępca przełknął ślinę. Twarz wciąż miał zaciętą gniewem, ale głos już opanowany.

- W porządku. Komputer jest mój. Prywatny.

- Może pan go sobie wziąć - powiedział Adrian. - Ale chcę czegoś w zamian.

- Czego? - burknął niechętnie Wolfe.

- Lekcji - odparł Adrian.

ROZDZIAŁ 28

Dziecko znów zaczęło płakać. Żałośnie. Dużo głośniej niż poprzednio.

Dźwięk za ścianą wyrwał Jennifer z półsnu. Nie wiedziała, jak długo drzemała - może dwanaście minut, może dwanaście godzin. Nie odróżniała już dnia od nocy. Przez nieustanną ciemność pod opaską straciła poczucie czasu. Stale była zdezorientowana. Czuła się jak w pierwszych chwilach po przebudzeniu, kiedy w pamięci wciąż pozostaje jakiś wyjątkowo wyrazisty i niepokojący sen. Drgnęła, wsłuchując się w ten dźwięk.

Potem odważyła się na coś, czego dotąd nie robiła. Mocno chwyciła Pana Futrzaka i zwiesiła nogi z łóżka. Wciąż przykuta łańcuchem do ściany, zaczęła chodzić to w jedną, to w drugą stronę. Usiłowała dokładniej określić odległość i kierunek, z którego dobiegał płacz dziecka.

Pomyślała, że w oku kamery musi wyglądać jak zwierzę, które próbuje samym węchem rozpoznać zagrożenie. Była dotkliwie świadoma, że ma do dyspozycji tylko część swoich zmysłów, i powiedziała sobie, że musi ich używać najlepiej, jak się da. Nie od razu zdała sobie sprawę ze znaczenia tego, co robi, ale to dało jej siłę.

Krzyki stawały się coraz głośniejsze. Po chwili - tak nagle jak się zaczęły - ucichły, jakby smutek, który je wywołał, ulotnił się bez śladu. Znieruchomiła między sedesem a pustką, z głową nadal przechyloną w stronę, skąd dobiegał płacz. I nagle doszedł ją nowy, zupełnie inny dźwięk.

Śmiech.

Śmiech dzieci.

Zamarła, próbowała wstrzymać oddech. Odgłosy dziecięcej zabawy to narastały, to cichły, jakby dzieci na przemian zbliżały się i uciekały. Przypomniało jej się, jak w podstawówce za karę zostawiali ją na przerwie w szkole, podczas gdy reszta klasy wychodziła na plac zabaw. Wtedy przez otwarte okno - które było dla niej za wysoko, żeby mogła wyjrzeć - wpadały radosne okrzyki, dość głośne, by sobie wyobrazić, jak koledzy dokazują. Berek. Gra w piłkę. Skakanka. Bujanie się na drabinkach.

Jennifer nie wiedziała, czy te śmiechy są rzeczywiste, czy tylko przywołane z pamięci. Znów poczuła się zdezorientowana;

zdawała sobie sprawę, że jest w jakiejś piwnicy, ale nagle odniosła wrażenie, że jednocześnie tkwi uwięziona w szkole, która istniała tylko w jej przeszłości.

Powiedziała sobie, że to nie może być prawdziwe. Ale te dźwięki wydawały się tak autentyczne...

Odgłosy zabawy były bardzo blisko; niemal miała wrażenie, że może ich dotknąć. Przywoływały ją, zapraszały, żeby się przyłączyła.

Niepewnie wyciągnęła wolną rękę.

Gdyby zdołała wychwycić dźwięk z powietrza, mogłaby położyć go sobie na dłoni, pogłaskać, obmacać, jakoś go zrozumieć, a potem stać się jego częścią.

Błędem było ludzić się, że ten dźwięk przeniesie ją daleko stąd. Wydawało się to jednak kuszące i możliwe. Wysunęła rękę, wyciągnęła palce z nadzieją.

Wiedziała, że nie ma tam nic, tylko stęchłe powietrze piwnicy, ale nie mogła się powstrzymać. To brzmienie było tuż-tuż.

Gdzie nie spodziewała się niczego - coś wyczuła.

Coś gładkiego; w dotyku przypominało papier.

Wydała stłumiony okrzyk i cofnęła rękę. Jakby dotknęła drutu pod napięciem. Ktoś tu jest! - przemknęło jej przez świadomość.

Usłyszała cichy, ostry szept. Dobiegł z ciemności jak błyskawica, co przecina rozprażone letnie niebo. Był jak blizna na tle odległych odgłosów zabaw.

- Nigdy nie jesteś sama.

I w czerni przed jej oczami nastąpiła eksplozja. Czerwony ból i nagły szok wywołane potężnym ciosem pięścią w szczękę. Zatonęła się do tyłu i gruchnęła na łóżko. Zakręciło jej się w głowie i omal nie upuściła Pana Futrzaka. Uderzenie ją ogłuszyło; spadło tak nagle, że zniosła je jeszcze gorzej niż ten cios podczas porwania, bo było niespodziewane w inny sposób. Pełne pogardy. Dotkliwie.

Nie wiedziała, czy płakać, czy nie. Skuliła się w kłębek. Czuła słony smak łez, z wargi ciekła strużka krwi.

Powietrze w pokoju było naelektryzowane, gorące.

- Drugi raz zmusiłaś mnie, żebym cię uderzyła, Numerze 4. Więcej tego nie rób, bo stać mnie na coś dużo gorszego.

Kobieta mówiła matowym, monotonnym głosem. Jak zwykle. Jennifer tego nie rozumiała. Gdyby kobieta była zła, miałaby piskliwy głos. Ton zdradzałby też poirytowanie. Jennifer nie ogarniała tego, jak może mówić z takim spokojem w tak nienormalnej sytuacji.

Wstrzymała oddech. To głos mordercy, pomyślała. Zadrzała na całym ciele.

Zaczekała - trochę spodziewała się następnego ciosu, ten jednak nie nastąpił. Usłyszała za to głuchy huk zamykanych drzwi.

Została na miejscu i nasłuchiwała. Próbowwała rozróżnić dźwięki, choć łomotanie serca i dzwonienie w uszach zagłuszały prawie wszystko. Słyszała swoje żałosne łkanie. Zmusiła się do ogromnego wysiłku - aż napięty jej się mięśnie brzucha i nóg - by dać odpór natarczywej rozpacz. Kobieta, pomyślała, albo zamknęła za sobą drzwi, albo została w środku i teraz stoi przy łóżku z ręką podniesioną do następnego ciosu.

Jennifer krztusiła się w stęchłym powietrzu.

Różne uczucia rywalizowały w niej o pierwszeństwo. Ból. Prerażenie. Rozpacz. I wreszcie determinacja. Ta ostatnia zdołała uciszyć wszystkie pozostałe i Jennifer poczuła, że jej tętno się uspokaja. Wydawało jej się, że ma siniaka na podbródku, ale ból zelżał.

Ubranie kobiety szeleści przy każdym ruchu, przypomniawszy sobie. Jej nogi szurają na cementowej podłodze. Zawsze bierze głęboki wdech, zanim zaczyna mówić, zwłaszcza kiedy szepcze.

Powoli, pewnie, wyeliminowała wszystkie własne dźwięki i zaczęła nasłuchiwać.

Cisza ją przytłaczała. Była sama pomimo tego, co powiedziała kobieta. Pomimo kamery, która ciągle obserwowała.

Radosny śmiech z placu zabaw ustał. Chwila ciszy, po czym raz jeszcze odległy płacz dziecka. Nagle umilkł.

Biznesmen z Tokio pił ciepłą i słabą szkocką, którą rozcieńczono wodą na długo przed tym, jak kostki lodu w szklance się

roztopiły. Zapłacił grube pieniądze za całą butelkę, podejrzewał jednak, że tak naprawdę była to tylko tania, lokalna podróbka. Skrzywił się z obrzydzeniem. W jednej dłoni miał iPhone'a, w drugiej drinka. Siedział na odkrytej werandzie w wiklinowym fotelu, który drapał jego nagą skórę. Tajska prostytutka sumiennie tkwiła między jego nogami i zaspokajała go z przejaskrawionym, sztucznym entuzjazmem, jakby nic na tym świecie nie mogło jej sprawić większej rozkoszy. Brzydził się każdym fałszywym pomrukiem i jękiem, jaki wydawała. Brzydził się potem perlącym się na jego piersi. Nie znał imienia dziewczyny i nie chciał znać. Jej pieszczoty znudziłyby go, gdyby nie obrazy oglądane na ekranie telefonu.

Biznesmen był w średnim wieku. W domu, wraz z jego zaniedbywaną żoną, czekała na niego córka, mniej więcej rówieśniczka Tajki, która teraz dogadzała mu językiem, i Numeru 4. Nie myślał jednak o swoim dziecku, a jeśli nawet, to tylko po to, by przypomnieć sobie, żeby przywieźć jej prezent z podróży. Coś kolorowego i jedwabnego. Odpędził myśli i wbił wzrok w wyświetlacz iPhone'a. Erotyzm *Serii numer 4* pobudzał go bardziej od tajskiej prostytutki. Nagły cios w twarz Numeru 4 rozpałił w nim emocje. To było coś nieoczekiwanego, dramatycznego, zupełnie zaskakującego. Poruszył się na fotelu i spojrzał w dół, na kruczoczarne włosy Tajki. W wyobraźni połączył prostytutkę i Numer 4 w jedno. Jego dłoń zacisnęła się w pięść. Przelotnie przyszło mu do głowy, żeby uderzyć dziewczynę - tak tylko, by zobaczyć, jakie to uczucie. Myśli o bólu i przyjemności zlały się ze sobą; wyciągnął rękę i wplótł dłoń we włosy Tajki. Chciał za nie szarpnąć, żeby krzyknęła. Powstrzymał się jednak. Numer 4, przypomniał sobie, nawet nie pisnęła, kiedy oberwała. Przy innych okazjach płakała, czasem wrzeszczała, raz nawet bardzo głośno, tym razem jednak, kiedy dostała cios, upadła na plecy, ale zachowała stoickie milczenie.

Godna podziwu dyscyplina.

Odchylił się na oparcie i zamknął oczy. Przez chwilę próbował sobie wyobrazić, że Tajka zniknęła i że to Numer 4 pracuje między jego nogami.

Wypuścił powietrze. Całe jego ciało przeszedł dreszcz. Z nowo odkrytym entuzjazmem zatracił się w swoich pomieszanych fantazjach.

Linda była zła. Bolała ją ręka, a Michael nie okazał jej współczucia, jakiego od niego oczekiwała.

- Numer 4 ma szczękę boksera - mruknęła. - Cholera. - Uderzając Jennifer, rozcięła sobie mały palec o jej zęby. Krew lała się pulsującym strumieniem z rany przy paznokciu. Linda ssała ją i narzekała.

Ku jej niezadowoleniu, Michael uśmiechał się szeroko. Szukał w apteczce środka dezynfekującego i plastra.

- Jak masz ją bić pięścią, lepiej wkładaj rękawice ochronne - doradził. - Leżą na stole przy głównym komputerze. - Znalazł to, czego szukał. - Trochę zapieczę. - Nasypał nadtlenku sodu na ranę. - Wiesz, że jama ustna to jedno z największych siedlisk bakterii w ludzkim ciele?

- Oglądasz za dużo Discovery - odparła Linda.

- ...I że ukąszenie smoka z Komodo może cię zabić nie dlatego, że jest jadowite, tylko że wywołuje infekcję, z którą nie radzą sobie współczesne antybiotyki?

- Animal Planet? - spytała. Skrzywiła się, kiedy środek dezynfekujący kapnął na rozciętą skórę. - To co, do następnej serii ukradniemy smoka?

- Przepraszam. - Michael spojrział na oczyszczoną ranę. - Dość głęboka. Chcesz pojechać na pogotowie, żeby założyli ci szwy? Do najbliższego szpitala jest pewnie ze czterdzieści pięć minut drogi, ale szycie może okazać się konieczne.

Pokręciła głową, jednak spytała:

- A ty co sądzisz?

- W zasadzie wszystko jedno. Jeśli ucisnąć ranę, zagoi się, ale dzień-dwa będzie bolało.

Owinęła palec małą myjką i przeszła przez sypialnię do okna.

- A trzeba coś stamtąd przywieźć? - Wskazała ranną ręką w dal.

Michael zerknął wkoło i zrobił w pamięci szybką inwentaryzację.

- Nic pilnego. Jedzenia wystarczy, chociaż wykwinnym bym go nie nazwał. Broń jest. Cała potrzebna elektronika jest. Chyba kilka dni wytrzymamy.

- W takim razie nigdzie nie jedziemy - zdecydowała. - Dopóki rzeczywiście nie będziemy czegoś potrzebowali. Nie ma sensu pokazywać się ludziom.

Jeszcze chwilę została przy oknie. Było późne popołudnie i lekki wiatr szarpał pierwszymi liśćmi w szpalerze drzew wzdłuż zwirowego podjazdu prowadzącego do drogi - tędy w razie pilnej potrzeby mogli pojechać do miasta. Na prawo stała sypiąca się murowana stodoła. W środku zostawili przykrytego plandeką mercedesa. Zdezelowany pikap Michaela czekał na dworze. Takich wozów pełno w tych okolicach - schłostanych przez srogie zimy, używanych na wielu wyboistych drogach, podniszczonych. Myślała, że dzięki temu pikapowi wyglądają swojsko, przeciętnie - podobnie jak i tanim džinsom i bluzie. A tak naprawdę byli jedwabiem i haute couture. Linda kochała świat iluzji, w który weszli z okazji *Serii numer 4*. Sympatyczna młoda para wynajęła odludny wiejski dom w zapomnianej i nieodwiedzanej części Nowej Anglii. Agentowi nieruchomości powiedzieli, że Michael kończy doktorat, a ona rzeźbi - to połączenie intelektualizmu z egzotyką ucięło wszelkie pytania o potrzebę samotności. A właśnie tego głównie wymagali. Fałszywe nazwiska. Fałszywa przeszłość. Praktycznie całą transakcję załatwili przez Internet. Do jedyne go bezpośredniego kontaktu doszło wtedy, kiedy Linda wpadła do biura pośrednika i zapłaciła gotówką za półroczny wynajem. Ktoś podejrzliwy mógłby się zdziwić na widok pliku studolarówek, który wyjęła - ale w tych czasach, gdy gospodarką co rusz wstrząsały kolejne głośnie kryzysy, widok prawdziwych pieniędzy gasił dociekania.

Nikt nie widział, jak rozładowują drogi sprzęt audiowideo. Nikt nie był dość blisko, by słyszeć odgłosy prac budowlanych, gdy Michael przygotowywał studio, gdzie filmowali Numer 4.

W pewnym sensie żyli w takim odosobnieniu jak Numer 4. Dla Lindy to poczucie posiadania własnego świata, w którym mieli władzę, stało się częścią przyjemności. Wszystko działa się

w starym wiejskim domu, wiele kilometrów od najbliższego dużego miasta. Żadnych wścibskich sąsiadów przyłączających z zapiekanką, żeby się zaprzyjaźnić. Nic ich nie łączyło z tym miejscem. Nie mieli przyjaciół. Ani znajomych. Nie należeli do żadnego świata poza *Serią numer 4*. I Linda pilnowała, by świat zewnętrzny trzymał się od nich z dala.

Obejrzała palec w świetle wpadającym przez okno. Oby nie zrobiła się blizna. Zawrzał w niej głęboki gniew, wściekłość na Numer 4 za to, że nieumyślnie zostawiła ślad na jej skórze. Każda skaza na jej ciele przerażała ją. Zawsze pragnęła być doskonała.

- Nic mi nie jest - powiedziała, choć sama nie bardzo w to wierzyła. W tej chwili chciała zrobić Numerowi 4 coś takiego, żeby ją popamiętała.

- Daj, zabandażuję - zaproponował Michael.

Wyciągnęła rękę a on ujął ją jak pan młody przed ołtarzem. Czule. Zmienił swoje podejście. Koniec ze śmiechem. Odwrócił jej palec do światła i wytarł go wacikiem. Potem unióśł jej dłoń i ucałował jak średniowieczny dworzanin.

- Myśle... - odezwała się Linda powoli i na jej usta wreszcie wypłynął uśmiech - że czas, by Numer 4 nauczyła się czegoś innego.

Skinął głową.

- Nowa groźba? - spytał. Uśmiechnęła się.

- Stara w nowej wersji.

ROZDZIAŁ 29

Adrian machnął pistoletem w stronę wnętrza domu - właściwie niepotrzebnie wskazywał przestępcy, gdzie ma iść. Ciężar broni wydawał się zmienny - w jednej chwili była lekka, niemal zwiewna, by zaraz potem stać się ciężka jak żelazne kowadło. Zmusił się, żeby sprawdzić, czy niczego nie przeoczył: Pełny magazynek? Jest. Kula w komorze? Jest. Broń odbezpieczona?

Tak. Palec na spuście? Jest.

Gotowość do tego, żeby strzelić?

Wątpił, czy zdoła to zrobić, wbrew swoim groźbom i nawet biorąc pod uwagę zło, jakie Mark Wolfe wyraźnie skłonny był wyrządzić niewinnym dzieciom. Słyszał szept Briana: „Jeśli go zastrzelisz, aresztują cię. Kto wtedy będzie szukał Jennifer? Pozostanie zaginiona na zawsze”.

Praktyczny prawniczy argument brata. I jego rzeczowy ton. A mimo to Adrian wiedział, że Briana z nim nie ma, nie w tej chwili. Jestem sam, pomyślał. Potem zaprzeczył: Nie, wcale nie. Usiłował opanować mętlik w głowie.

Spojrzał na ekshibicjonistę, który unikając jego wzroku, wsunął się z powrotem do salonu. To było niemal ponad jego siły przebywać w towarzystwie człowieka tak obojętnego na skutki swoich żądz. Zwykli ludzie myślą o konsekwencjach. Markowie Wolfe'owie tego świata nie. Dla nich liczą się tylko własne potrzeby.

Pistolet nagle wydał mu się zimny, a zaraz potem niemal rozgrzany do czerwoności, jakby wyjęty prosto z oczyszczającego ognia. Mocniej ścisnął rękojeść. Ale może ja jestem taki sam. Szedł naprzód i nadal robił sobie wykłady w duchu.

Mężczyzna uśmiechał się szeroko - objaw choroby, której Adrian mógł się tylko domyślać. Jego własna przynajmniej ma swoją nazwę, diagnozę i rozpoznawalny schemat niszczenia ciała i umysłu. Obsesja Marka Wolfe'a wkraczała na inny obszar - taki, w którym medycyna traci grunt pod nogami i zastępuje ją coś mrocznego.

Naszła go dziwna myśl, że obaj są skazani na zgubę - tylko innego formatu.

- No dobrze, staruszkule - odezwał się Wolfe z drwiącą poufałością. - Przestań machać tą armatą i mów, co chcesz wiedzieć.

Wszedł do salonu. Właściwie nic w jego głosie nie wskazywało, żeby czuł się poważnie zagrożony przez Adriana, choć pistolet drżał w powietrzu między nimi.

- Ale najpierw komputer.

Adrian się zawahał.

- Aż taki jest ważny?

Wolfe się uśmiechnął.

- Nie byłoby cię tu z tą spluwą, gdybyś nie znał odpowiedzi na to pytanie.

Za jego plecami Rose weszła do salonu ze ścierką do naczyń w rękę. Uśmiechnęła się na widok Adriana.

- O, Marky, jest twój przyjaciel - zawołała z entuzjazmem.

Wolfe nie odrywał oczu od profesora.

- To prawda, mam - odparł powoli. - Mój dobry znajomy znów przyszedł nas odwiedzić. Przyniósł twój komputer.

Rose albo nie widziała pistoletu, albo nie rozumiała, dlaczego Adrian go trzymał, bo słowem o nim nie wspomniała.

- Poooglądamy razem telewizję? - spytała.

- Tak, mam. Myślę, że po to profesor przyszedł. Chce posiedzieć z nami przed telewizorem. Możesz zacząć robić na drutach.

Kobieta uśmiechnęła się i poszła na swój fotel. Po kilku sekundach usiadła ciężko i w tle rozległ się subtelny stukot dziergających drutów.

- Swoich rzeczy jej nie pokazuję - wyjaśnił Wolfe. - Nawet jeśli nie bardzo kojarzy co to. Wysyłam ją do łóżka, zanim się podłączam.

Wzruszające, pomyślał Adrian. Chowa pornografię przed matką. Dobry synek.

- A więc... - zaczął i równie szybko zamilkł.

- Będziesz musiał poczekać, profesorku. Mój dom, moje zasady.

Adrian skinął głową. Poszedł usiąść na wytartej sofie.

- Poczekamy razem - stwierdził. Nadal mierzył pistoletem w pierś Wolfe'a.

- Wiesz... - powiedział powoli Wolfe i jego twarz zmarszczyła się w lekkim uśmiechu. - Tacy ludzie jak ja tak naprawdę nie są niebezpieczni. Jesteśmy po prostu... ciekawi. Doktor West nie tłumaczył ci tego?

Nie niebezpieczni. Co za kłamstwo, krzyknął Adrian w duchu. Na zewnątrz jednak zachowywał - miał nadzieję - pokerową twarz.

- Nie rozmawiałem o panu z doktorem Western - odparł.

W oczach Wolfe'a mignęło zaskoczenie.

- To ciekawe. - Usiadł ciężko naprzeciwko Adriana i wziął pilot. Wycelowwał nim w dekodery kablowki pod szerokoekranowym telewizorem i kiedy urządzenie budziło się do życia, mruknął: - ...Bo szanowny pan doktor wydaje mi się w gruncie rzeczy taki sam jak ty.

- To znaczy? - spytał Adrian, kiedy na ekranie pojawiła się lista kanałów.

- Chce się uczyć - odparł Wolfe. Z jego ust wyrwał się szybki wybuch śmiechu. - Tyle tylko, że nie musi mnie trzymać na muszce, żeby się dowiedzieć tego, czego chce.

Adrianowi kręciło się w głowie. Chciał pomocy. Potrzebował pomocy. Jednak wszyscy jego nieżyjący goście milczeli. Spodziewał się, że tylko tymczasowo. Ktoś mi pomoże. Na pewno. Nie pozwolą, żebym za długo był sam.

- Co pan sądzi, profesorze? - spytał nagle Wolfe. - *MASH* czy może stary *Mary Tyler Moore Show*? Moja matka raczej nie łapie humoru *Simpsonów*.

Nie czekał na odpowiedź. Wcisnął guzik i ekran wypełniły śmigłowce. Wojskowe maszyny w kolorze khaki krążyły nad zboczem wzgórza w południowej Kalifornii, które udawało Koreę z lat pięćdziesiątych. Z głośników popłynęła znajoma muzyka.

- O, dobrze - zawołała Rose wesole. - To Sokole Oko i major Burns. - Druty zastukotały energiczniej, kiedy wychyliła się w stronę telewizora.

- Pamięta ich - wyjaśnił Wolfe. - Radara. Gorące Wargi. Traper Johna i Klingera. Ale nie imię własnej siostry. Ani żadnego z moich kuzynów. Wszyscy stali się obcy. Fakt faktem, nie pojawiają się tak regularnie jak Alan Alda i Mike Farrell. Ani oni, ani nikt inny. Jesteśmy tylko we dwoje. Sami. Oprócz ludzi na ekranie. To jej jedyni przyjaciele.

Adrian pomyślał: To samo mógłby powiedzieć o sobie i ludziach, których ogląda w telewizji.

Przestępca odwrócił się, żeby śledzić akcję serialu. Zachowywał się prawie tak, jakby ani profesora, ani pistoletu nie było

już w pokoju. Ale Adrian zauważył, że kiedy wsunął sobie między nogi torbę z komputerem Rose, Wolfe zeszytniał. Nie wiedział, jak długo będzie w stanie utrzymać broń w ręku, i zastanawiał się, czy jak balast wciągnie go w jakąś otchłań.

Cały wieczór przesiedzieli przed telewizorem. Oglądali stare sitcomy. Postacie z *Szpitala Wojskowego numer 4077* zastąpił najpierw Archie Bunker, a potem Diane i Sam z serialu *Zdrówko*. Przez dwie godziny na ekranie trwały wygłupy. Rose często się śmiała, czasem nawet z dowcipów, ale wydawało się, że i bez nich bawiłaby się doskonale. Mark Wolfe rozsiadł się wygodnie, nie bacząc na wymierzoną w siebie broń. Adrian wiercił się na kanapie, jednym okiem śledził komedie, drugim obserwował Wolfe'a. Nigdy jeszcze nie trzymał drugiego człowieka na muszce. Miał wrażenie, że nie za dobrze mu to wychodzi, ale uznał, że w sumie to chyba nieistotne.

Cała ta scena wyglądała surrealistycznie.

Czuł się, jakby uczestniczył w jakimś awangardowym przedstawieniu, ale nie miał suflera, który podsuwałby mu właściwe kwestie.

Pokój wypełniła muzyka kończąca *Zdrówko*. Mark Wolfe wzięł pilot i wyłączył telewizor.

- Na dzisiaj wystarczy, mam - powiedział. - Profesor i ja musimy dokończyć pewne sprawy, Ty już idź spać.

Rose posmutniała.

- Na dziś koniec?

- Tak.

Westchnęła i schowała robótkę do koszyka. Podniosła głowę.

- Dzień dobry...? - zagadnęła gościa. - Jest pan kolegą Marka?

Adrian milczał.

- Do łóżka, mam - ponaglił Wolfe. - Jesteś zmęczona. Musisz wziąć leki i położyć się spać.

- Już?

- Tak.

- A kolacja?

- Przecież jadłaś.
- To teraz seriale.
- Nie, mam. Na dziś koniec.

Wolfe wstał. Podeszedł do matki, dźwignął ją z fotela i odwrócił się do Adriana. Profesor wciąż trzymał broń przed sobą, ale cel, w jakim to robił, jakoś mu umknął pośród sztucznych, sitcomowych salw śmiechu i kłopotów Rose z pamięcią.

- Idziesz mnie przypilnować? - rzucił do niego Wolfe. - Czy zaczekasz, aż wrócę?

Adrian wstał. Wiedział, że nie powinien tracić przestępcy z oczu. Choć właściwie dlaczego - to w tym teatrze absurdu pozostawało zagadką. Uśmiechnął się do Rose.

- No to chodźmy. - Wolfe wziął matkę za rękę.

Adrian poczuł się, jakby zapraszano go na jakiś tajemny rytuał - jak antropolog, który wreszcie zdobył zaufanie prastarego plemienia Indian amazońskich. Z odległości półtora metra przyglądał się, jak mężczyzna przygotowuje matkę do snu. Syn pomógł jej się rozebrać na tyle, na ile pozwalała przyzwoitość. Wycisnął pastę do zębów na szczoteczkę. Starannie ułożył tabletki w rządku na komodzie i podał szklankę wody. Dopilnował, żeby kobieta skorzystała z toalety. Cierpliwie czekał za drzwiami łazienki i wykrzykiwał: „Podtarłaś się?” „Spuściłaś wodę?” Potem pomógł jej się położyć do łóżka - wszystko w obecności Adriana, bo ten nadal stał z bronią, półtora metra dalej. Thomas czuł się trochę jak niewidzialny duch.

Niewiele widział w życiu rzeczy, które przeraziły go bardziej od rytuału przygotowywania Rose do snu. Nie dlatego, że była zdzięczniła - choć była. Chodziło o to, że zatraciła świadomość codziennych rutynowych czynności. Jej poczucie rzeczywistości zanikało. W każdej chwili Rose pokazywała Adrianowi, co nieuchronnie czeka jego samego. Ze mną będzie tak samo. Ba, gorzej, myślał.

Trzymał się z boku. Skrępowany. Miał poczucie, że bez opamiętania wtargnął w coś tak intymnego, że nawet nie potrafi tego nazwać.

Przestępca nawet czule pocałował matkę w czoło. Wyłączył światło w sypialni, odwrócił się do Adriana.

- A widzisz? - spytał retorycznie. - Tak to właśnie jest. Co wieczór. - Przecisnął się obok profesora. Poszedł z powrotem do salonu. - Zamknij - mruknął i machnął ręką w stronę drzwi sypialni.

Adrian odwrócił się i jeszcze raz zerknął na majaczącą w ciemności postać leżącej kobiety.

- Może tej nocy umrze we śnie - dodał Wolfe. - Ale pewnie nie.

Adrian zamknął Rose i poszedł za nim.

- Ta policjantka... ta, z którą przyszedłeś poprzednio, jest jak wszystkie gliny. Lubią mnie nękać. Zabierają mi komputer. Oglądają moje pisma. Wypytyują o terapię. Zawracają mi głowę w pracy. Pilnują, żebym nie robił czegoś, co im się nie podoba, nie odwiedzał szkół, placów zabaw i tak dalej. Chcą mnie zmusić, żebym przestał być sobą. - Zaśmiał się. - Niedoczekanie. - Wolfe spojrział na Adriana. - To co, chcesz, żebym cię oprowadził po swoim życiu, hę? - Nie czekał na odpowiedź, tylko wrócił do salonu, podszedł do okna i opuścił żaluzje. - Wiesz, że dzień w dzień wstaję rano i chodzę do pracy jak grzeczny więzień na warunkowym?

Adrian skinął głową. Trzymał pistolet wymierzony przed siebie.

- A teraz widziałeś mnie i moją mamuszkę. Stare sitcomy i zmienianie pampersów. Fajnie, co?

Adrian czuł, że pistolet trzęsie mu się w dłoni. Próbował chwycić go pewniej.

- Nie zastrzelisz mnie - stwierdził Wolfe. - Mało tego, dasz mi to, czego chcę, bo inaczej ci nie pomogę. A potrzebujesz pomocy, prawda, profesorze? - wypowiedział to drwiącym, zaczepnym tonem.

Adrian milczał. Zamierzał jeszcze bardziej wysunąć pistolet do przodu. Nie rozumiał, dlaczego Wolfe nie boi się broni. Próbował rozwiązać to równanie w pamięci. Pistolet to odpowiedni bodziec. Gwałtowna, bolesna śmierć. Reakcja powinna być doskonale czytelna i jednoznaczna. Obezwładniający, nieopanowany strach. Ale taka nie była. Dlaczego?

- Pora więc dobić targu, profesorze.

- Nie targuję się z takimi jak pan - odparł słabo. Żałośnie nieprzekonujące, stwierdził w duchu.

- Pewnie. Zapukałeś do moich drzwi, bo planowałeś coś sprzedać. Albo kupić. Musimy tylko ustalić warunki transakcji, zanim przejdziemy do sedna. - Wolfe wydawał się odprężony jak na człowieka trzymanego na muszce. - Chcę odzyskać komputer matki. Z oczywistych powodów. Twardy dysk jest mój i tylko mój. To rzeczy osobiste. A teraz mów, czego ty oczekujesz, to uzgodnimy cenę.

- Muszę kogoś znaleźć.

- Jasne. Zatrudnij prywatnego detektywa.

- To ja jestem prywatnym detektywem.

Wolfe wybuchnął krótkim ostrym śmiechem.

- Nie wyglądasz. Nie licząc tej ciężkiej artylerii, którą mi tu wymachujesz. Pierwsza sprawa: powinieneś trzymać broń dwiema rękami. Wtedy chwyt jest pewniejszy i łatwiej celować. - Uśmiechnął się. - Proszę bardzo. Pierwsza lekcja gratis.

Adrian bił się z myślami. Mógł opuścić broń, schować ją, zacząć negocjować. Mógł też spróbować zastraszyć faceta tak, jak wyobrażał sobie, że zrobiłaby Terri Collins, ale wątpił, czy ma w sobie surowość policjanta niezbędną, żeby to wypadło wiarygodnie. Tkwił w potrzasku i kiedy rozważał swoje możliwości, nagle usłyszał szept Briana: *Wykorzystaj to, kim byłeś, kim jesteś i kim będziesz... Może poskutkuje.*

Skinął głową i poczuł, że brat pomaga mu trzymać broń. Podniósł pistolet i wymierzył prosto w Wolfe'a. Spojrzał na niego nad lufą i powoli zacisnął palec na cynglu. Starał się mówić lekko drżącym głosem.

- Jestem chory. Bardzo chory. Niedługo umrę.

Przestępca spojrział na niego pytająco.

- Pańska matka... jak bardzo pan jej ufa? Myśli pan, że jest świadoma tego, co robi? Gdyby to ona wymachiwała pistoletem, na ile mógłby pan być pewien, że nie pociągnęłaby niechcący za spust i nie rozwaliła panu głowy, a i tak nie miałyby błędnego pojęcia, dlaczego i jak to się stało? A nawet gdyby drasnęła pana tylko w brzuch, sądzi pan, że wiedziałyby, że powinna zadzwonić

na pogotowie? Czy też raczej zaczęłyby robić na drutach i oglądać telewizję?

Oczy Wolfe'a zwięzły się w szparki, drwiący uśmiech zniknął z twarzy.

- Cóż... - powiedział Adrian powoli. - Ja mam z grubsza to samo co pańska matka. Tylko jeszcze gorsze. Przez to zachowuję się nieprzewidywalnie. Całkiem więc prawdopodobne, że lada moment zapomnę, po co tu przyszedłem, i ta, jak pan to elokwentnie ujął, ciężka artyleria wypali, bo nie będę pamiętał, czego od pana chcę. Przypomnę sobie tylko, że ogólnie niezła z pana gnida i zasługuje pan, żeby trafić prosto do piekła. Taki właśnie jestem. Niestabilny. Jakbym stał na śliskim pokładzie miotanej falami łodzi. I nie mam czasu się targować.

Wolfe lekko się cofnął. Adrian mówił szybko, jego głos podnosił się i opadał jak fale, które przywołał, żeby przemówienie brzmiało bardziej poetycko.

To powinno dać mu do myślenia i rozwalić go psychicznie, prychnął Brian z radością. Dobra robota, Audie. Wytrąciłeś go z równowagi. Teraz dobij drania.

- W porządku, profesorze. - Wolfe kalkulował tak szybko jak Adrian. - Niech pan gada, w czym rzecz.

- Chcę, żeby oprowadził mnie pan po swoim świecie. Świecie mroku.

Mężczyzna skinął głową.

- To duże miejsce. Strasznie duże, profesorze. Muszę wiedzieć dlaczego.

- Różowa czapka - odparł Adrian. Bezsensowna odpowiedź. Ale przez to niepokojąca dla Wolfe'a. Zrobił krok naprzód. Pistolet ścisnął oburącz na wysokości oczu. - O to chodziło? - spytał. - Rozumiem. Rzeczywiście tak lepiej trzymać broń.

Wolfe znów się cofnął. Adrian zauważył, że po twarzy faceta przebiegł cień strachu.

- Nie zabijesz mnie.

- Pewnie nie. Ale chyba nie opłaca się panu ryzykować.

W pokoju na chwilę zapadła cisza. Adrian wiedział, co przestępca teraz powie. Tak naprawdę istniało tylko jedno logiczne

wyjście z sytuacji. A to, o co prosił z pistoletem w ręku, nie było aż tak straszne.

- No dobrze, profesorze. Zróbmy, jak pan chce.

Ustępstwo. Pewnie nieszczerze, ale Adrian stwierdził, że przynajmniej udało mu się wyróżnić układ sił. Wkrótce wkroczą na terytorium Wolfe'a. Jednak tajemnica Adriana - jak bardzo jest nieobliczalny? - złamała zimną, racjonalną osobowość przestępcy. Adrian nigdy nie uważał się za osobę jakoś szczególnie przebiegłą, ale przy tej okazji nie mógł powstrzymać uśmiechu. Szaleństwo umierającego miało odrobinę większą siłę przebiccia od psychopatycznych żądz Wolfe'a. Teraz trzeba tylko połączyć jedno z drugim.

Przesunął torbę z komputerem w stronę mężczyzny.

- Niech pan pokaże - zażądał.

- Co?

- Wszystko.

Wolfe wzruszył ramionami, ale zdradził go zapal, z jakim sięgnął po komputer.

Czas rozplynął się w kaskadzie obrazów. Każdy inny, a jednak wszystkie takie same. Różne rasy, pozycje, perwersje, młode i stare ciała zalały ekran telewizora podłączonego do laptopa Rose. Jak maestro dyrygujący orkiestrą, Wolfe pokazywał Adrianowi, co skrywa się w głębinach Internetu. Oszałamiający, bezkresny ocean otępiającego seksu. Udawana namiętność, w której chodzi tylko i wyłącznie o jawną pornografię, nie o prawdziwą bliskość.

Wolfe okazał się wytrawnym przewodnikiem. Wergiliuszem Adriana we wszystkich jego dociekaniach.

Nie wiedział, jak długo to trwało. Stracił rachubę. A skrępowanie, jakie budził w nim ten pokaz obnażonej intymności, szybko przysło. Powtarzalność studziła emocje.

Wolfe wcisnął parę klawiszy i obrazy na ekranie zmieniły się. Spoglądała na nich kobieta w obcisłej czarnej skórce. Zapraszała miłośników pejcza. Wstęp za jednorazową opłatą. Niecałe czterdzieści dolarów.

- Proszę patrzeć uważnie, profesorze - polecił Wolfe.

Wpisał następne komendy i pojawiła się inna kobieta w skórze. Ta też oferowała sadystyczne doznania, tyle że za sześćdziesiąt euro, i mówiła po francusku. Następna szybka seria uderzeń w klawisze. Trzecia kobieta w skórze podawała swoją cenę w jenach, usługi zachwalała po japońsku.

To była dla Adriana wymowna lekcja pogładowa.

- Czyli musi mi pan powiedzieć, czego szuka. Konkretnie. - Wolfe uśmiechnął się szeroko. Wyraźnie dobrze się bawił.

Otwierał stronę za stroną. Dzieci. Starcy. Grubasy. Tortury. - Co pana intryguje? Co fascynuje? Co kręci? Przyprawia o szybsze bicie serca? Cokolwiek to jest, można to gdzieś znaleźć.

Adrian przytaknął, zaraz jednak zmienił zdanie i pokręcił głową.

- Proszę pokazać, co interesuje pana.

Przestępca poruszył się niespokojnie.

- Nie sądzę, żebyśmy mieli te same pragnienia. A raczej nie chce pan wejść ze mną aż tak głęboko.

Adrian się zawahał. Dzięki pistoletowi zaszedł bardzo daleko; teraz jednak, kiedy patrzył Wolfe'owi w oczy, stwierdził, że ten nie wpuści go do swojego prywatnego świata nawet pod groźbą broni. Musiał go podejść od innej strony.

Czuł za plecami obecność brata, jakby Brian chodził z kąta w kąt, usiłując rozgryźć ten dylemat. Słyszał tupot jego nóg na twardej drewnianej posadzce, mimo że na podłogach w całym domu leżała wykładzina. Adrian wyczuł, że brat się zatrzymuje, nachyla nad nim i szepcze mu na ucho jak doradca królowi. *Przekonaj go, Audie. Skuś go.*

Łatwiej powiedzieć niż zrobić.

- Ale jak?

Musiał powiedzieć to na głos, bo Wolfe zeszytywniał z zaskoczenia.

Kogo obaj znacie?

Adrian skinął głową.

- To ma sens - stwierdził. - On nie wie, dlaczego tak naprawdę tu jestem.

- Z kim pan rozmawia? - spytał Wolfe nerwowo.

Thomas nie odpowiedział.

- Muszę znaleźć Jennifer. Jest młoda. Szesnaście lat. Piękna.
- Nie rozumiem. To do mnie?
- Jennifer zniknęła - ciągnął Adrian. - Ale gdzieś jest. Muszę ją znaleźć.
- Ta Jennifer to pańska wnuczka czy ktoś taki?
- Muszę ją znaleźć. Jestem odpowiedzialny. Mogłem ich powstrzymać, nie pozwolić, żeby ją zabrali, ale nie zareagowałem dość szybko.
- Ktoś porwał tę Jennifer?
- Tak.
- Stąd?
- Mhm. Sprzed mojego domu.
- I myśli pan, że ją znam? Nonsens. Dostałem zakaz zbliżania się do nieletnich.
- Zna ją pan, choć sam pan tego nie wie. Pan w tym tkwi.
- Mówi pan od rzeczy, profesorze.
- Nieprawda. Po prostu pan tego nie rozumie. Jeszcze nie. Mężczyzna skinął głową. To z jakiegoś powodu zabrzmiało logicznie.
- A gliny...
- Szukają. Ale nie wiedzą gdzie.

Wolfe wydawał się zdezorientowany i odrobinę zaniepokojony.

- I myśli pan, że ona jest gdzieś tutaj? - Wskazał na komputer.

Adrian przytaknął.

- To moja jedyna nadzieja. Jeśli ktoś porwał Jennifer, żeby ją wykorzystać i zabić, wszystko stracone. Ale jeśli ktoś zabrał ją, żeby... może zarobić pieniądze... zanim się jej pozbędzie, wtedy, cóż...

- Profesorze, jeśli ta dziewczyna gra w pornosach, kręci sekstaśmy czy w ogóle działa w tej branży, kurde, za cholerę jej nie znajdziemy. To jak szukać igły w stogu siana. Są miliony stron z milionami dziewczyn, które ochoczo specjalizują się we wszystkim, co ludziom strzeli do głowy. Tu można znaleźć wszystko pod słońcem, do wyboru, do koloru. Beznadziejna sprawa.

- Na pewno nie jest ochotniczką. Nie robi tego z własnej woli.

Wolfe zawahał się. Siedział z lekko rozchylonymi ustami, potem skinął głową.

- To zawęża zakres poszukiwań - przyznał.

Adrian rozejrzał się po małym salonie, jakby szukał porady u jednego z głosów. Tak naprawdę jednak zastanawiał się, co powiedzieć, by nie wyjawić za dużo. Kiedy się w końcu odezwał, jego głos był niżony, ostry.

- Teraz rozumiem. - Zmrużył oczy i skupił wzrok na przestępcy. W tle słyszał, jak Brian go podjudza. - Musi pan oglądać zdjęcia. Tylko do tego ma pan dostęp, co, panie Wolfe? Zdjęcia to nie to samo co rzeczywistość... ale to na razie wystarczający substytut, zgadza się? Patrzy pan i puszcza wodze wyobraźni. To pomaga panu panować nad sobą, prawda? Bo musi pan grać na zwłokę. Nie może pan wrócić do więzienia, nie teraz, kiedy jest potrzebny matce. Ale to nadal w panu siedzi, ta wielka żądza. Tego nie da się ukryć. Musi pan więc ją jakoś rozładować, bo takie pragnienia same nie znikają. I to właśnie zapewnia panu komputer. Okazję, by fantazjować, spekulować i ogólnie zachowywać jakąś równowagę do czasu, aż coś się w pańskim życiu zmieni i znów będzie pan mógł robić to, czego pragnie. I nie ma pan z tego powodu wyrzutów sumienia, bo przecież chodzi pan do pracy i spotyka się z terapeutą i uważa, że całkowicie zamyslił mu oczy, czy nie tak? Bo domyślił się pan, że fascynuje go mroczna strona seksu i może pan go tak zamotać, że zgodzi się na wszystko. Chodzi o kontrolę, prawda, panie Wolfe? W tej chwili trzyma pan wszystko w swoim życiu pod kontrolą i czeka pan na właściwy moment, żeby wrócić do tego, o czym marzy pan nade wszystko - zamilkł.

Niech ci pokaże! - Brian pienił się obok niego.

- Proszę otworzyć jeden z tych osobistych plików - polecił Adrian.

Pistolet znów poszedł w górę. Tym razem jednak zdawało się, że świeci w jego dłoni. Adrian postanowił, że jeśli zajdzie potrzeba, to go użyje. Wolfe musiał to wyczuć.

Wykrzywił się gniewnie, ale bardzo mało przekonująco.

Zerknął na komputer, potem na ekran telewizora. Wcisnął kilka klawiszy. Pojawiło się zdjęcie bardzo młodej - może jedenaastoletniej - dziewczyny. Naga patrzyła z ekranu wstydliwie, a przy tym jakby kusząco, wymownie, z miną, którą na twarzy dwa razy starszej kobiety uznano by za profesjonalną.

Wolfe wypuścił powietrze.

- Myśli pan, że mnie zna, co, profesorze?
- Na tyle, na ile potrzebuję. Wie pan o tym.

Mężczyzna milczał.

- Są miejsca... - zaczął powoli - ...gdzie zaspokajają się niezwykłe gusty. Wyjątkowo głęboko ukryte miejsca. Nie chce pan tam wchodzić.

- Chcę - sprzeciwił się Adrian. - Tam jest Jennifer.

Wolfe wzruszył ramionami.

- Oszalał pan.
- To prawda. I może dobrze.
- Jeśli tę dziewczynę porwali, profesorze, i nawet jeśli gdzieś tam jest... - wskazał na komputer - lepiej po prostu przyjąć, że już nie żyje. Bo wcześniej czy później tak skończy.

- Jak my wszyscy - odparł Adrian. - Pan. Ja. Pańska matka. Na każdego kiedyś przychodzi czas. Ale jeszcze nie na Jennifer. Nie teraz.

Powiedział to z przekonaniem opartym tylko na przypuszczeniach.

Wolfe wydawał się zaintrygowany i niechętny jednocześnie - jakby te dwa sprzeczne uczucia toczyły w nim bój.

- I co pańskim zdaniem mogę zrobić? - spytał, choć to pytanie rozbrzmiewało w pokoju przez cały wieczór.

Adrian czuł na ramionach dłoń brata. Brian go ścisnął i jakby popychał do przodu.

- Oto, czego chcę, panie Wolfe. Niech pan użyje swojej wyobraźni. Tak samo jak zawsze, kiedy przechodzi pan obok szkolnego podwórka podczas długiej przerwy...

Wolfe zeszywniał.

- Niech pan postawi się na miejscu kogoś innego. Proszę się zastanowić, kim byłby pan, gdyby miał Jennifer w swoich rękach. Proszę mi powiedzieć, co by pan z nią zrobił, jak i gdzie,

i dlaczego. I niech pan sobie wyobrazi, że u pańskiego boku jest kobieta. Młoda kobieta, która pana kocha i pragnie panu pomóc.

Przestępca słuchał uważnie.

- ...I chcę, panie Wolfe, żeby wyobraził pan sobie, jak mógłby zarobić na Jennifer.

- Czyli że mam...

- Ma pan być tym, kim jest. Tylko jeszcze bardziej.

- I jeśli to zrobię, to co?

Adrian się zamyślił.

Daj mu to, czego chce, podszepnął Brian.

- To znaczy co? - spytał Adrian.

Wolfe znów mu się uważnie przyjrzał.

Tacy jak on chcą tylko jednego, oznajmił Brian pewnym głosem.

Prywatności, pomyślał Adrian.

- Nie zdradzę detektyw Collins, czym się pan zajmuje. Nie powiem jej o komputerze pańskiej matki. Ani jej, ani nikomu innemu. Jak już znajdzie pan Jennifer, będzie pan mógł znowu być sobą i czekać dnia, kiedy wszystkich omami na tyle, by przestali zwracać na pana uwagę.

Wolfe się uśmiechnął. Całkiem życzliwie.

- No to dobiliśmy targu, profesorze.

ROZDZIAŁ 30

Terri Collins cały ranek oglądała ziarniste czarno-białe obrazy z monitoringu dworca autobusowego i słuchała niezbornych kłamstw dwóch studentów. Nieudolnie usiłowali znaleźć niewinne wytłumaczenie faktu, że czujny policjant drogówki znalazł na tylnym siedzeniu ich samochodu kilkanaście komputerów, telewizorów i konsoli PlayStation. Zatrzymał ich za przekroczenie prędkości. Jakim trzeba być idiotą, żeby tak gnać po włamaniu? - zastanawiała się. Wystarczyło rozdzielić dwóch młodzieńców i przesłuchiwać dotąd, aż w ich wersjach pojawią się rozbieżności.

Terri znalazła chwilę, by skontaktować się z szefem ochrony uczelni, uprzedziła też dyspozytorów, żeby spodziewali się telefonów od wzburzonych studentów, którzy po powrocie z weekendu odkryją, że ich wynajęte mieszkania zostały splądrowane.

Co roku prowadziła kilka tego typu spraw - głupota takich włamań piekielnie ją nudziła. Czasem zastanawiała się, jak to jest, że rok w rok w rozmaitych kampusach pojawiają się nowi studenci, którzy szczerze wierzą, że oni pierwsi wpadli na genialny pomysł obrobienia kolegów. Wiedziała, że wcześniej czy później jeden z dwóch mężczyzn - właściwie jeszcze chłopców - wysapie drugiego i opowie o całym idiotycznym planie. Wypisała już formularze aresztowania, ale sądziła, że efekty będą mizerne. Posiedzą dzień-dwa w areszcie, a potem wymiar sprawiedliwości znajdzie sposób, by pod takim czy innym warunkiem ich wypuścić. Obaj będą się musieli gęsto tłumaczyć przed rodziną i przyszłymi pracodawcami. To już wasz problem, kretyni, pomyślała.

Szybko uwinęła się z papierkową robotą. To oderwało ją na jakiś czas od obrazów na ekranie, które fascynowały ją i głęboko niepokoiły jednocześnie, zarówno z uwagi na to, co pokazywały, jak i to, czego nie pokazywały.

Pierwsza sprawa: ani śladu Jennifer.

Musiała odbyć serię rozmów telefonicznych, żeby odszukać osobę, która przyniosła kartę kredytową matki Jennifer do banku w Lewiston w stanie Maine. Traf chciał, że to też była studentka. Przedstawiła całą historię - zupełnie niedorzeczną, a mimo to niewątpliwie prawdziwą. Dziewczyna pojechała do Bostonu ze swoim chłopakiem i dwiema koleżankami, żeby odwiedzić znajomych z liceum. Wracali nocnym autobusem, w mieście pełnym college'ów i uniwersytetów rzecz najzupełniej normalna. I potem stało się coś racjonalnie niewytłumaczalnego: rozpakowując plecak, studentka znalazła kartę kredytową wydaną przez bank, w którym nie miała konta, na nazwisko, którego nie знаła. Skąd ten kawałek plastiku wziął się w zewnętrznej kieszeni plecaka, stanowiło zagadkę.

W innych okolicznościach dziewczyna po prostu by wyrzuciła visę, ale tak się składało, że tego dnia musiała pójść do swojego

banku, więc zostawiła kartę kasjerowi. Ten sumiennie zadzwonił do wydziału bezpieczeństwa banku, który wydał kartę, a oni skontaktowali się z Mary Riggins.

Długi, kręty trop.

Kartą zapłacono za bilet do Nowego Jorku. Mekki uciekinierów.

Detektyw nie mogła tego zrozumieć. Dlaczego porywacze zwyczajnie nie wyrzucili karty?

Pomyłka?

Nie.

Chodziło o zmylenie tropu.

Trzy razy spytała studentkę, czy ona albo jej znajomi widzieli na dworcu nastolatkę, która odpowiadałaby rysopisowi Jennifer. Za każdym razem odpowiedź brzmiała: „Nie”.

Czy widziała kogoś innego? Kogoś, kto rzucał się w oczy? Podejrzanego?

Nie i nie, i nie.

Myśli kłębiły się w głowie Terri. W zimną determinację wdarł się niepokój. W wyobraźni przemykały jej dziwne pomieszane obrazy; wcześniej tego dnia rozmawiała z najgłupszymi możliwymi przestępcami, teraz zastanawiała się, czy jest na tropie przestępcy wyjątkowo przebiegłego. Czuła się jak uwięziona między dwoma biegunami: koszmarem i nudną rutyną. Gdzieś pośrodku znajdowała się Jennifer.

Nagranie z monitoringu było niewyraźne. Filmując z góry, pod kątem, trudno o precyzję.

Zauważyła mężczyznę - skorzystał z automatu do biletów w chwili, kiedy kartą matki Jennifer zapłacono za bilet do Nowego Jorku. Nie dało się go rozpoznać na żadnym z kadrów - choć Terri wiedziała, że wyspecjalizowane komórki policji mają sprzęt do obróbki zdjęć, który pozwoliłby lepiej zobaczyć jego twarz.

Na późniejszym ujęciu ten sam mężczyzna siedział samotnie i czekał na autobus. Zgarbiony. Nisko opuszczona czapka przesłaniała mu twarz.

Krótko mówiąc, wiedział, że jest filmowany, i pilnował, by

żadna z kamer go nie uchwyciła, a zarazem starał się nie budzić podejrzeń.

Zobaczyła trójkę studentów - to pewnie ci, co wracali do Maine. Stali w kolejce do kasy biletowej. Za nimi ustawił się inny mężczyzna - przynajmniej w odróżnieniu od tamtego miał brodę. Przewinęła nagranie do przodu dość daleko, by zobaczyć, że nieznajomy nie doszedł do okienka. Wysunął się z kolejki - nie po to, żeby przejść do mniej obleganej kasy albo skorzystać z automatu. Z tego, co mogła dostrzec, opuścił dworzec głównym wyjściem, zamiast pójść na stanowiska autobusów.

Spojrzała raz jeszcze.

Mężczyzna nie miał bagaży, nie licząc małego plecaka.

Odtwarzała nagranie raz po raz i starała się zapamiętać wszystkie szczegóły Mężczyzny numer 1 i Brodacza numer 2. Ich budowę ciała, chód, zgarbione ramiona i osłonięte czapką twarze.

Próbowała wyobrazić sobie człowieka opisanego przez Adriana. Na razie nie miała podstaw, by sądzić, że mężczyzna na niewyraźnym nagraniu z monitoringu i tamten facet z furgonetki to ta sama osoba.

Jednak to jedyny logiczny wniosek, przekonywała samą siebie.

Odsunęła od siebie raport z włamania i zebrała wszystkie informacje o zaginionej Jennifer. To była bezładna mieszanina oderwanych faktów, nie tyle układanka, co szczątki rozbitego samolotu, powykrzywiane, osmalone kawałki. Teraz inspektorzy muszą ułożyć całość, która powie im coś konkretnego o tym, co się wydarzyło.

„Zbuntowana nastolatka - uciekinierka z domu.

Stary człowiek.

Spalona furgonetka.

Brak żądania okupu.

Żadnych rozmów z telefonu komórkowego.

Bilet autobusowy donikąd.

Przebrany mężczyzna w miejscu, gdzie powinna być Jennifer”.

Terri zabujała się na krześle. Czuła, że opuszcza ją zawodowy sceptycyzm. Jest takie szczególne poczucie rozpacz, kiedy detektywi uświadamiają sobie, że mają do czynienia z najgorszą możliwą zbrodnią - taką, która łączy w sobie anonimowość i zło. Przestępstwa rozwiązuje się, idąc po nitce do kłębka - ktoś coś widzi, ktoś coś wie, ktoś coś mówi, ktoś zostawia ślady na miejscu zbrodni - aż powstaje spójny obraz całości. Zawsze jest jakiś logiczny ciąg i on wytycza drogę detektywa.

Ze zniknięciem Jennifer było zupełnie inaczej.

Jedyny konkretny wniosek, jaki mogła wyciągnąć, to taki, że nie wie, co robić.

Było jednak oczywiste, że musi się postarać bardziej niż dotychczas. Popatrzyła na biurko, jakby w nadziei, że rozwiązanie samo wpadnie jej w oczy. Podniosła głowę i rozejrzała się po swoim boksie ozdobionym zdjęciami rodziny i kolorowymi dziecięcymi akwarelami i rysunkami. Obrazki jaskrawo kontrastowały z zimnymi, szarymi raportami i komunikatami FBI.

Uważała, że wypełniła wszystkie zadania jak należy. Zgodnie z wytycznymi kierownictwa. Tak jak zrobiłby to każdy funkcjonariusz.

Nic z tego nie przybliżyło jej do odnalezienia Jennifer.

Wychyliła się do przodu, jakby chwycił ją skurcz żołądka.

Jennifer zniknęła. Terri przypomniała sobie, jak nastolatka siedziała naprzeciwko niej po jednej z poprzednich prób ucieczki. Ponura, niekomunikatywna dziewczyna czekała ze złością, aż przyjadą matka i jej facet i zabiorą ją z powrotem tam, skąd tak rozpaczliwie pragnęła uciec. Nie zamierzała wysłuchiwać kazań o tym, jaki popełniła błąd. Terri zdała sobie sprawę, że to wtedy trzeba było uratować Jennifer. Wystarczyło, by wychyliła się nad biurkiem i poprosiła: „Powiedz coś, Jennifer”, nawiązała z nią kontakt. A co robi teraz? Włącza do akt kolejne papiery i raporty, przyjmuje bezużyteczne zeznania niezrównoważonego emerytowanego profesora, przesłuchuje przestępcę seksualnego, który nie ma żadnego związku z uciekinierką, rozsyła zapytania do wszystkich służb jak leci, na zasadzie szukania igły w stogu siana. Zrozumiała jednak, że tak naprawdę tylko czeka na dzień,

kiedy myśliwy polujący na jelenie znajdzie szkielet Jennifer w ciemnym lesie albo jakiś rybak, co przeczesuje bosakiem jezioro w poszukiwaniu okoni, wyłowi jej rozkładające się zwłoki.

A i to jeśli dopisze mi szczęście, pomyślała.

Wcisnęła kilka klawiszy i na monitorze pokazał się obraz mężczyzny z dworca autobusowego. Klikała powiększenie dotąd, aż twarz wypełniła ekran.

No dobrze, pora dowiedzieć się, coś ty za jeden.

Łatwiej pomyśleć niż zrobić. Mimo to sięgnęła po telefon, żeby zadzwonić do laboratorium policji stanowej. Mogli puścić to nagranie przez jakiś program do rozpoznawania twarzy. Może jej się poszczęści, choć sama w to nie wierzyła. Zdawała sobie sprawę, że to raczej nie spodoba się jej zwierzchnikom. Z jednej strony, to ją martwiło, z drugiej - wcale.

Mark Wolfe szybko przeszedł przez rozległy, wylany makadamem parking. Profesor czekał przy swoim samochodzie. Czuł, że Brian jest obok; prawie słyszał jego przyspieszony oddech i przez chwilę dziwił się, czym brat się tak denerwuje - zawsze panował nad sobą, nigdy się nie spieszył, nigdy nie niepokoił. I wtedy Adrian zorientował się, że to on sam tak ciężko dyszy.

Przestępca rozglądał się nieufnie. Adriana naszła dziwna myśl, że w swoim domu Mark Wolfe był niezwykle pewny siebie, ale na otwartym terenie jak zwierzę periwowe musiał co kilka sekund zadzierać głowę i wypatrywać drapieżników. Nie, to nie tak, stwierdził. To Wolfe jest drapieżnikiem.

Twarz mężczyzny wykrzywił uśmiech.

- Nie mogę sobie zrobić długiej przerwy - oznajmił. - Nie chciałbym przegapić wielkiej wyprzedaży AGD. Hej, profesorze, może potrzebuje pan wielkoekranowego telewizora i systemu surround? Są w promocji, załatwię dużą zniżkę.

W jego słowach nie było krzty szczerości.

- To nie potrwa długo - odparł Adrian.

Wyjął ulotkę od detektyw Collins i podał ją Wolfe'owi.

- Szukam tej dziewczyny - wyjaśnił.

Wolfe obejrzał zdjęcie.

- Śliczna... - Wymówił to tak, jakby myślał: w sam raz. W jego ustach zabrzmiało to obłeśnie. Adrian ledwo powstrzymał dreszcz obrzydzenia. - Uciekła z domu, tak?

- Nie. Tego nie powiedziałem. Wspominałem, że wcześniej uciekała z domu. Teraz ją porwano.

Wolfe czytał szczegóły na ulotce, powtarzając je pod nosem: „wzrost metr sześćdziesiąt pięć, waga pięćdziesiąt osiem kilo, włosy rudawo-złote, znaków szczególnych brak, ostatnio widziana...” Tu urwał.

- Wie pan, z moją... - zawahał się - ...przeszłością, gdyby jakiś glina znalazł u mnie tę ulotkę, miałbym takie same kłopoty jak... - znów zamilkł.

- Zawarliśmy umowę - przypomniał Adrian. - Chyba nie chce pan, żebym poszedł na policję i zaczął opowiadać o pańskim drugim komputerze i o tym, co na nim jest.

Wolfe skinął głową, ale jego odpowiedź mroziła krew dużo bardziej od treści ich umowy.

- Jasne, rozumiem. Czyli to jest ta mała, którą według pana wykorzystują. Ja mam szukać jej w sieci.

- Widzi pan, alternatywą jest...

- Wiem. Że ją zerznęli i zabili. Albo coś gorszego.

Wolfe drgnął lekko. Adrian nie potrafił określić: mimowolny odruch obrzydzenia czy dreszcz rozkoszy? Może jedno i drugie. Może oba te uczucia rządziły Wolfe'em równocześnie. Chyba właśnie tak.

- Wie pan, całe to pieprzenie o filmach snuff to tylko miejska legenda. Totalna lipa. Wymysł. Nieprawda.

Powtarzał słowa dla podkreślenia ich wagi, ale efekt był odwrotny od zamierzonego. Patrz, co kryje się za słowami. Za pozycją, w jakiej stoi. Tonem, jakiego używa. Tym, jak się wierci. Adrian sądził, że to właśnie powiedziałyby mu Cassie, i miał wręcz wrażenie, że jego myśli mają melodyjny ton jej głosu.

Przyjrzał się przestępcy i podniósł wzrok. Bezchmurne, błękitne niebo zapowiadało ładną pogodę. Równe smugi kondensacyjne przelatującego odrzutowca odcinały się skłębioną bielą na jasnym tle. Ludzie podróżują z dużą prędkością w różne miejsca. Zdał sobie sprawę, że sam nigdy już nie poleci samolotem,

nigdy nie odwiedzi egzotycznego kraju. Był poruszony widokiem prostej drogi, którą maszyna pokonuje z taką łatwością, gdy on sam brnie w bagnie choroby i zwątpienia. Chciał wiedzieć, jakie kroki powinien poczynić, w którym kierunku i ile kilometrów zostało mu do przebycia.

Audie, słuchaj uważnie!

Ostre słowa brata ściągnęły go z powrotem na ziemię.

No, Audie, skup się!

Czuł się, jakby Brian popychał go naprzód.

- Wszystko w porządku, profesorze?

- Tak.

- Cóż, problem polega na tym, żeby rozróżnić, co jest prawdziwe, a co nie. To właśnie cały kłopot z Internetem. To miejsce, gdzie kłamstwo, fantazja i różnego rodzaju banialuki sąsiadują z dobrymi, wiarygodnymi informacjami. Trudno oddzielić jedno od drugich. Nawet w świecie seksu, rozumie pan. Co jest prawdziwe? Co nie?

- Filmy snuff...

- Jak mówiłem, wielka lipa. Ale... - Wolfe ostrożnie dobierał słowa, jakby smakował każde z nich, zanim je wypowie. - ...ale te wszystkie mity... one tylko stwarzają możliwości, jeśli łapie pan, co mam na myśli.

- Proszę jaśniej.

- Filmy snuff nie istnieją. Ale jak tylko FBI czy Interpol ogłaszają: „Filmy snuff to legenda miejska...”, to, zamiast zamknąć dyskusję, jedynie nasuwa ludziom pomysły. Tak to jest z Internetem. Istnieje po to, żeby robić coś z czegoś innego. Ktoś mówi, że coś jest nieprawdą, a ktoś inny, może na drugim końcu świata, stara się wykazać, że wcale nie. Na przykład może pornosy z zabijaniem tak naprawdę nie istnieją, ale... Człowiek otwiera rano gazetę i... co widzi? Jacyś gówniarze w Europie Wschodniej czy gdzieś sfilmowali, jak pobili kogoś na śmierć. Dla zabawy. Albo goście z Kalifornii zabili przed kamerą autostopowiczkę, którą wcześniej zmuszali do różnych rzeczy. Albo... teraz rozumie pan? Terrorysta odcina głowę zakładnikowi. Film o tym trafia do Internetu. CIA i wojsko biorą go pod lupę. Ale kto jeszcze? Każdy może go zobaczyć.

- Co pan chce przez to powiedzieć?
- To, że jeśli mała... - spojrział na ulotkę i jego twarz przeciął lubieżny uśmiech - .. Jennifer jest wykorzystywana, to ma sens. I że to może być transmitowane z domu obok albo z drugiego końca świata.

- Jak pan będzie jej szukał? - spytał Adrian.

- Mam swoje sposoby. Niech pan dalej stuka w klawisze. To może trochę kosztować.

- Kosztować? Jak to?

- Myśli pan, że jedni ludzie wykorzystują drugich za nic? Tylko dlatego, że lubią? Może niektórzy, owszem. Ale inni chcą zarobić. A wstęp na te strony, cóż...

- Zapłacę.

Wolfe znów się uśmiechnął.

- Pewnie drogo wyjdzie...

W uszach Adriana znów rozbrzmiały rozkazy brata. Sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął portfel. Wyjął kartę kredytową i dał ją Wolfe'owi.

- Jakiego hasła używać? - spytał przestępca.

Adrian wzruszył ramionami. Nie było co się kryć.

- „Psychprof” - odparł. - I niech pan zapisuje wszystko, za co będzie płacił. Jedna transakcja za dużo i idę prosto na policję.

Wolfe skinął głową, ale nawet ten gest mógł być nieszczerzy. Adriana to nie obchodziło. I tak nie pożyję dość długo, by przejmować się rachunkami. Usłyszał, że Brian prychnął, jakby to go rozbawiło.

- Musi się pan spieszyć. Nie wiem, ile czasu jej zostało.

Wolfe wzruszył ramionami.

- Jeśli jest czyjąś zabawką i facet chce się nią dzielić...

- Facet i kobieta... - wtrącił Adrian.

- Racja. Dwoje ludzi. To może ułatwić zadanie. W każdym razie, jeśli chcą się nią dzielić z innymi, to dobrze, bo wiadomo, że gdzieś tam musi być, a o to panu przecież chodzi. - Znów się zaśmiał. Miał śmiech, który przenika przez ściany jak wystrzelony z bliska pocisk, a potem przechodzi w cyniczny chichot kogoś, kto zna tajemnicę i nie zamierza jej wyjawiać. - To właśnie

daje panu szansę, profesorze - dodał z szerokim uśmiechem.

- Co?

- To, że dzisiejszy świat jest taki, jaki jest. Nic tak naprawdę nie dzieje się w sekrecie. Wszyscy chcą się pokazać. Każdy ma swoje pięć minut sławy, co? Hm, to prawda.

Warhol, pomyślał Adrian. Przystępca seksualny cytujący Warhola.

- Jest jednak jeden kłopot.

A może Marshall McLuhan. Nagle Adrian nie mógł sobie tego przypomnieć. Woody Allen. Zmusił się, żeby skupić się na Wolfie.

- Jaki?

- Jeśli podejdziesz pan za blisko, spróbuje przełamać tę starą elektroniczną barierę, porywacze mogą się domyślić, że ktoś szuka dziewczyny, a wtedy stanie się towarem uszkodzonym.

Adrian gwałtownie wciągnął powietrze.

- A towary uszkodzone...

Przystępca mówił dalej, ale Adrian zauważył, że głos mężczyzny się zmienił; usta artykułowały słowa, ale głos brzmiał jak Briana. Adrian przestrzegł samego siebie, żeby nie robić zagubionej miny, tylko słuchać.

- No, nie wiem, jak pan... - dodał powoli Wolfe - ale jak mnie coś zepsuje się w lodówce, wyrzucam to.

ROZDZIAŁ 31

Jennifer siedziała na brzegu łóżka z oczami mocno zaciśniętymi pod opaską i próbowała sobie przypomnieć swój pokój. Z precyzją rysownika zaczęła odtwarzać każdy kąt, każdy kształt i każdy kolor. Zabawki. Obrazy. Książki. Poduszki. Plakaty. Biurko ustawione tak, jak jej najlepiej pasowało; narzuta w czerwone, niebieskie, zielone i fioletowe kwadraty. Na komodzie zdjęcie zrobione jej podczas meczu piłki nożnej, kiedy główkowała piłkę. Niespiesznie poskładała wszystkie elementy w jedną całość;

nie chciała przeoczyć nawet najdrobniejszego szczegółu. Delektowała się każdym wspomnieniem - fabuły i bohaterów książki przeczytanej w dzieciństwie; bożonarodzeniowego poranka, kiedy dostała pierwsze kolczyki. Jakby pomału malowała w wyobraźni obraz swojej przeszłości. To pomagało jej przypomnieć sobie, że Numerem 4 jest dopiero kilka dni, za to Jennifer była przez wiele lat.

To była nieustająca walka.

Opaska, nawet kiedy zdołała spod niej wyjrzeć i ukradkiem rzucić okiem po swoim więzieniu, wydawała się granicą jej świata. Czasem, kiedy budziła się po drzemce, musiała podjąć ogromny wysiłek, żeby przypomnieć sobie cokolwiek ze swojej przeszłości. To, czego dotykała, co czuła, co słyszała - wszystko, co zapamiętała ze swojej celi i co było filmowane - uzmysławiało jej, że jest więźniem chwili. Bała się, że nie było Jennifer wczoraj. Że nie będzie Jennifer jutro. Że jest tylko Jennifer tu i teraz. W głębi ducha wiedziała, że toczy zażarty bój o przetrwanie. Nie miała jednak pojęcia, co próbuje pokonać. Łatwiej być zagubionym marynarzem dryfującym po zimowym morzu. On przynajmniej wie, że musi walczyć z nurtem i falami i że jeśli nie utrzyma się na powierzchni, utonie.

W duchu szlochała. Na zewnątrz zachowywała spokój.

Powiedziała sobie: Mam tylko szesnaście lat. Chodzę do liceum. Wiedziała, że nie zna świata. Nie jeździła do egzotycznych krajów, nie widziała niezwykłych miejsc. Nie była żołnierzem, szpiegiem ani nawet przestępcą - nie miała doświadczeń, do których mogłaby się odwołać, żeby zrozumieć swoje uwięzienie. To powinno ją sparaliżować, ale, o dziwo, tak się nie stało. Co nieco umiem, stwierdziła. Potrafię stawiać opór. Nawet jeśli to kłamstwo, trudno. Była zdeterminowana wykorzystać wszystko, co wie - nawet jeśli tego jest mało - żeby sobie pomóc.

Aby to się powiodło, musiała najpierw przypomnieć sobie całe swoje życie do chwili, kiedy podjechała furgonetka, z której wychylił się mężczyzna. Wszystko, co dobre i co złe. Każdy element jest równie cenny, uznała. Gniew na matkę, pogarda dla mężczyzny, który najpewniej zostanie jej ojczymem - te uczucia

tylko zwiększały determinację.

Obok komody stoi czarna metalowa lampa z czerwonym abażurem. Kolorowy kilim przykrywa stary, wytarty, poplamiony dywan. Najgorsza plama jest tam, gdzie wylałam pomidorową - nie powinnam zupy wynosić z kuchni, ale to zrobiłam. Mama nakrzczała na mnie. Powiedziała, że jestem nieodpowiedzialna. Miała rację. Ale i tak się z nią kłóciłam. Ile było kłótni? Jedna na dzień? Nie. Więcej. Kiedy wrócę do domu, wyściska mnie i opowie, jak strasznie płakała, kiedy zniknęłam, a ja wtedy poczuję się lepiej. Tęsknię za nią. Nie sądziłam, że kiedykolwiek się do tego przyznam. Tęsknię za nią. Ma już trochę siwych włosów, tylko kilka kosmyków. Zapomina je ufarbować. Nie wiem, czy jej powie. Mogłaby być piękna. Powinna być piękna. Czy ja będę ładna? Może teraz płacze. Może jest z nią Scott. Jego nadal nienawidzę. Tata już by mnie znalazł, ale nie może. Czy Scott w ogóle mnie szuka? Czy ktokolwiek mnie szuka? Tata, ale on już nie żyje. To okropne. Okradziono mnie. Rak. Chciałabym, żeby ten facet i ta baba dostali raka. Pan Futrzak wie. Kładłam się z nim do łóżka. On pamięta, jak wyglądał pokój. Jak się stąd wydostaniemy?

Wiedziała, że kamera śledzi każdy jej ruch. Że mężczyzna i kobieta - nie była pewna, którego z nich bardziej się boi - mogą ją w tej chwili obserwować. Mimo to po cichu - jakby liczyła, że jeśli zachowa ostrożność, nikt niczego nie zauważy - przesunęła czubkami palców po łańcuchu wokół szyi i po obręczy w ścianie.

Jedno ogniwo. Dwa. Obmacała każde z nich. Śliskie w dotyku. Mogła je sobie wyobrazić. Srebrne, błyszczące, pewnie kupione w sklepie zoologicznym. Ogniwa nie na tyle ciężkie i mocne, żeby utrzymać pitbulla czy dobermana. Na nią jednak wystarczały.

Dotknęła obręczy osadzonej w ścianie. Płyta gipsowa, domyśliła się.

Raz, kiedy pokłóciła się z matką - bo za późno wróciła do domu - rzuciła w ścianę przyciskiem do papieru. Uderzył w nią

z głuchym hukiem i spadł na podłogę. W ścianie została spora dziura. Matka musiała wezwać fachowca, żeby to naprawił. Płyta gipsowa nie jest mocna. Może udałoby się wyrwać pierścień? Czują, jak jej usta poruszały się, gdy zadawała sobie to pytanie, ale w pokoju nie rozległ się żaden dźwięk. Ten facet na pewno o tym pomyślał, stwierdziła. Nie rzuciłam tego przycisku jak dziewczyna, przypomniała sobie. Kiedy byłam mała, tata nauczył mnie rzucać piłkę. Kochał bejsbol. Dał mi czapkę Red Sox. Pokazał mi, jak się rzuca. Ręka daleko do tyłu. Zegnij łokieć. Usztywnij ramię. Dociągnij rzut. To jest fastball. Sto trzydzieści na godzinę.

Uśmiechnęła się, ale tylko lekko; powstrzymała się, bo nie chciała, żeby kamera uchwyciła jej uśmiech.

Może mogłabym być małym pitbullem, pomyślała.

Przesunęła palcami po skórzanej obroży na szyi. Pewnie kupa w tym samym sklepie zoologicznym.

Wyobrażała sobie tę rozmowę. „A jakiego psa chce pani trzymać na łańcuchu?...”

Oczami duszy zobaczyła kobietę przy ladzie. Nie masz pojęcia, jakim mogę być psem, zwróciła się do niej w myślach. I jak potrafię gryźć.

Zaczęła skrobać paznokciem obrożę. Sądząc po dotyku, tania skóra. Wymacała mały zamek, taki jak przy walizce. Na nim trzymała się obroża. Jennifer poskrobała ją trochę mocniej - żeby zostawić ślad. Może dałoby się ją przetrzeć.

Doszła do wniosku, że musi być jakiś sposób, żeby krok po kroku odzyskać wolność. Próbowwała rozplanować wszystkie działania po kolei. Najpierw trzeba się uwolnić z łańcucha. Potem wyjść drzwiami - czy były zamknięte? Musiała wydostać się z piwnicy. Gdzie są schody? Na pewno gdzieś blisko. Znajdzie drzwi wyjściowe. I ucieknie. Nieważne, w którym kierunku. Byleby uciec. To najłatwiejsze. Kiedy już rzucę się do ucieczki, nikt mnie nie dogoni. Jestem szybka. Na każdym boisku, w każdej dyscyplinie sportu byłam najszybsza. Trener biegów przełajowych chciał mnie wziąć do szkolnej drużyny, nie zgodziłam się. Ale prześcignęłabym ich wszystkich, i dziewczyny, i większość chłopaków. Muszę tylko dostać szansę.

Odsunęła ręce od łańcucha i obroży i zaczęła głaskać misia.

- Krok po kroku. Damy radę. Obiecuję - szepnęła do Pana Futrzaka.

Jej głos rozbrzmiał w pokoju. Była zaskoczona, że powiedziała to głośno. Przez chwilę miała wrażenie, że to wykrzyczała. Potem, że mówiła tylko szeptem. Jedno i drugie było możliwe. Słowa niesły się echem wokół niej, napełniały uszy, aż nagle do jej świadomości wdarł się inny dźwięk. Ktoś stał przy drzwiach. Drgnęła i odwróciła głowę w tamtą stronę.

Przygryzła wargę. Nie słyszała klucza w zamku. Nie słyszała odciąganej zasuw. Próbowała sobie przypomnieć, jak było przy innych okazjach, kiedy drzwi się otwierały. Czy słyszała coś innego? Nie, tylko odgłos przekręcanej gałki. Co jej to mówiło?

Nie dostała jednak nawet milisekundy, żeby odpowiedzieć sobie na to pytanie, bo usłyszała głos mężczyzny.

- Wstań. Rozbieraj się.

Michael i Linda zdawali sobie sprawę, że w *Serii numer 4* chodzi nie tylko o seks, ale też o posiadanie i władzę. Element seksu był niezmiernie ważny; uważali, że na nim opiera się sukces całego programu. Michael godzinami studiował kadr po kadrze filmy z serii *Hostel* - które, jego zdaniem, po obiecującym początku przeradzały się w krwawą jatkę, co ograniczało ich widownię do lubujących się w makabrze nastolatków. Kiedy zaczynała tryskać krew, zanikało napięcie. Linda uważała te filmy za obrzydliwe i zamiast tego przeczytała po kilka razy praktycznie każdą książkę o Patty Hearst i Symbionistycznej Armii Wyzwolenia, która wpadła jej w ręce. Najbardziej fascynowała ją psychologiczna przemiana dziedziczki wielkiej fortuny w rewolucjonistkę Tanię. Choć jej i Michaelowi nie chodziło o to, by Numer 4 tępo wzięła broń do ręki i przyłączyła się do niewydarzonej rewolucji pod hasłami okradania bogatych i rozdawania biednym, Lindę intrygowało to, jak porywacze zmusili Hearst, aby wyrzekła się własnej tożsamości. Izolacja. Stałe poczucie zagrożenia. Maltretowanie fizyczne. Presja seksualna. Wszystko to stopniowo wymazało ślady dawnej Patty Hearst.

Stała się najczystsza ze stronic, na której porywacze mogli napisać, co chcieli. Linda uważała, że niektóre fragmenty, odpowiednio zmodyfikowane, nadają się do wykorzystania w ich programie. Zakładała, że widzowie na całym świecie podzielają jej fascynację. W odróżnieniu od Michaela - on traktował program i ludzi płacących za całodobowy dostęp do Numeru 4 z chłodnym dystansem naukowca - czuła, że łączy ją z nimi podobne pasje.

Oczywiście im bardziej się w to wciągała, tym bardziej robiła się okrutna. Chciała jednocześnie posiadać Numer 4 i zrobić jej coś złego. Czasem, kiedy Michael spał, wstawiała z łóżka, owijała kocem nagie ciało i zasiadała przed monitorami. Serce biło jej wtedy mocniej, tak jak anonimowym widzom. To też była swoista intymność. Rozpalała w niej podniecenie, jakiego nie doznawała, kochając się z Michaelem. Oddech miała wtedy płytki, przyspieszony. Ogarniała ją silna pokusa, żeby się dotykać, tym mocniej elektryzująca, że jej się opierała.

Odmawiała sobie tego, żeby potem seks z Michaelem był jeszcze gorętszy. To go zaskakiwało - jej dzikie zapamiętanie - ale trzymał gębę na kłódkę i robił, co do niego należało.

Zegar dziewictwa - to ona wpadła na ten pomysł.

Prosty dodatek. Zegar nałożony na obraz. Widzowie zakładali się o to, kiedy zamaskowani oprawcy pozbawią Numer 4 dziewictwa. Przypominało to trochę zwykłe koleżeńskie zakłady, tyle że ich przedmiotem był nie wynik meczu piłki nożnej czy koszykówki, lecz gwałt.

Nikt nie potrafił stwierdzić, kiedy to nastąpi. Pozwalało to jednak widzom stać się współuczestnikami programu. Kiedy na stronie pojawił się zegar i instrukcja obstawiania zakładów w Internecie, ruch natychmiast się zwiększył.

Ludzie lubią loterie, pomyślała.

Najważniejsze, by stale pobudzać ich wyobraźnię.

Jak w całej *Serii numer 4*, chodziło o to, żeby mieszać sugestię z dosłownością w odpowiednich proporcjach. Linda skrupulatnie pilnowała, żeby widzowie nie zaznali ani nudy, ani pełnego zaspokojenia. Chciała uczynić ich częścią historii Numeru 4 - żeby byli nie tylko podnieceni, ale i zafascynowani zwrotami

akcji, jakby dzieje Numeru 4 tworzyły operę mydlaną, jednocześnie rzeczywistą i nierzeczywistą, rozgrywającą się na ich oczach.

Zegar dziewictwa był tylko drobną zmianą dekoracji. Pojawił się w rogu, po przeciwnej stronie zegara odmierzającego trwanie *Serii numer 4*, którego czerwone cyfry pokazywały, od ilu godzin Jennifer jest w ich rękach.

- Dobrze - odezwał się Michael szorstkim, głębokim głosem. Numer 4 zawstydzona stała sztywno w nogach łóżka, prawie na baczność. Dłońmi zasłaniała się jak przy myciu.

Wiedział, że to bezwiedny odruch. I że jej wstydlivość zelektryzuje większość widzów. Byli tak przyzwyczajeni do nagości, którą epatowała branża porno, że niechęć Numeru 4 do pokazania tego, co chcieli zobaczyć, podziąła na nich podniecająco.

- Ręce do boków, Numerze 4 - polecił zimno.

Zadrzała. Przesunął się trochę w lewo, żeby nie zasłaniać kamery, bliżej dziewczyny. Chciał, żeby poczuła jego obecność, może nawet jego oddech na swoim policzku. Wierzył, że Linda nie zapomni przełączać obrazu między różnymi kamerami. Nie była tak dobrym reżyserem jak on, ale wiedziała, że trzeba zmieniać ujęcia.

Pieść ją kamerą, Michael próbował telepatycznie przekazać to Lindzie i miał wrażenie, że mu się udało. W tych sprawach nadawali na tych samych falach.

- Patrz prosto przed siebie.

Numer 4 wykonała polecenie. Przygryzała wargę. Oby Linda uchwyciła to na zbliżeniu.

- Mamy jeszcze trochę pytań - zaczął.

Dziewczyna nie przytaknęła, ale lekko odwróciła głowę w jego kierunku.

- Powiedz, Numerze 4, jak wyobrażałaś sobie swój pierwszy raz?

Tak jak przewidywał, to pytanie ją zaskoczyło. Delikatnie rozchyliła wargi, jakby słowa wyrwały jej się z gardła, ale nie mogły przejść przez usta. Naciskał dalej.

- Myślałaś, że się zakochasz? Że będzie romantycznie? Na plaży, w księżycową letnią noc? Przy rozpalonym kominku w przytulnym domku, podczas gdy za drzwiami będzie szaleć zima? - Uśmiechną się. To Linda wymyśliła te obrazy. - A może na ciasnym tylnym siedzeniu samochodu? Albo na imprezie wśród innych nastolatków, kiedy ulegniesz pod wpływem narkotyku, alkoholu albo jakiegoś narkotyku?

Numer 4 nie odpowiedziała.

- No dalej, Numerze 4. Chętnie posłuchamy, jak to sobie wyobrażałaś.

- Ja nigdy, ja nie... - wymamrotała z wahaniem.

- Ależ tak, Numerze 4 - warknął. Starał się, by jego głos brzmiał jak najgroźniej. - Wszyscy to robią. Wszyscy marzą. Tylko że rzeczywistość nigdy nie pokrywa się z wyobrażeniami. Ale my chcemy wiedzieć, Numerze 4. O czym marzyłaś?

Zesztywniała.

- Myślałam, że się zakocham - odparła powoli.

Uśmiechnął się pod maską.

- Powiedz nam, Numerze 4. Powiedz, co myślisz o miłości.

Jennifer milczała.

To nie ja stoję naga przed światem, tłumaczyła sobie. To Numer 4. Nie znam jej. To ktoś inny. Obcy. Ja nadal jestem sobą.

Potem nakazała sobie: daj mu, czego chce.

Zaczęła kłamać.

- Był w szkole jeden chłopak, na imię miał...

Michael szybko zrobił krok do przodu i złapał ją za podbródek. Mocno, brutalnie.

Jennifer gwałtownie wciągnęła powietrze. Zamarła. Palce coraz silniej ścisnęły jej szczękę. Była zaskoczona i przerażona, ale nie tyle bólem, co nagłością ruchu mężczyzny. Na początku. Później górę wziął ból. Pod opaską widziała kolory. Ale kalejdoskop czerwieni i bieli zaraz przeszedł we wszechogarniającą bezdenną czerń.

- Nie. Żadnych imion, Numerze 4. Żadnych miejsc. Żadnych szczegółów. Pewnie liczysz, że usłyszysz to ktoś, kto mógłby

zechcieć cię szukać. Więcej tego nie powtórzę. Następnym razem zrobię ci coś naprawdę złego.

Czuła jego siłę. Jakby wisiała nad nią ciemna chmura burzowa.

Skinęła głową. Dłoń powoli rozluźniła uchwyt i Jennifer odzyskała czucie w całym ciele. Pomału znów docierało do niej, że jest naga; musiał minąć ból, żeby sobie o tym przypomniwała.

- Mów dalej, Numerze 4. Tylko uważaj.

Wyczuła, że odsunął się nie dalej niż o pół metra. Wciąż nad nią górował. Nie chciała, żeby znów ją uderzył. Zaczęła więc zmyślać.

- Był wysoki i chudy. I miał głupawy uśmiech, który strasznie mi się podobał. Lubił filmy akcji i był dobry z angielskiego. Zdaje się, że pisał wiersze. A zimną nosił taką zabawną czapkę z klapkami na uszy. Wyglądał w niej trochę jak słoń bez trąby...

Mężczyzna parsknął śmiechem.

- Świetnie. I co sobie wyobrażałaś, Numerze 4?

- Że gdyby zaprosił mnie na randkę, dałabym mu się pocałować.

- Tak. I?

- I że gdyby zaprosił mnie drugi raz, pocałowałabym go i może pozwoliła, żeby pomacał moje piersi.

Usłyszała, że mężczyzna przysuwa się do niej. Mówił cichym szeptem, prawie jakby cały jego gniew się ulotnił i zastąpiło go coś przeznaczonego tylko dla nich dwojga.

- Tak, dalej, Numerze 4. Co stałoby się na trzeciej randce?

Jennifer patrzyła prosto przed siebie. Orientowała się, że tam jest kamera. Podejrzewała, że kiedy mówiła o swoich piersiach, obiektyw skupił się na nich. Tyle że to nie moje piersi, przypomniwała sobie. Tylko Numeru 4.

Zmrużyła oczy pod opaską. Usiłowała wyobrazić sobie nastoletniego chłopaka, który tak naprawdę nie istniał.

Nikt nigdy nie zaprosił jej na randkę. I, nie licząc jednej okazji, kiedy w wieku dwunastu lat grała w butelkę, nikt nigdy nie chciał jej pocałować. Przynajmniej z tego, co wiedziała. Dlatego czasem myślała, że nie jest ładna. Do głowy jej nie przyszło, że

w rzeczywistości może być odwrotnie: że jest zbyt ładna, zbyt inna i zbyt zbuntowana, i że to onieśmiało kolegów i zachęcało ich do szukania łatwiejszych wyzwań.

Zmyślała. Sięgała do wszystkich snuty przed snem fantazji. Filmów. Książek. Wszystkiego, co miało łatwy do zapamiętania wątek romantyczny.

- A gdyby zadzwonił znowu i udałoby się załatwić, co trzeba... spokojne, ciche miejsce... myślałam, że moglibyśmy... - zawahała się - ...pójść na całość.

- No i?

- Chciałam, żeby to było w prawdziwej sypialni. Nie na kanapie, w samochodzie czy w jakiejś piwnicy. I żeby to stało się wolno. Jakbym dawała mu prezent. Coś szczególnego. I żeby nie uciekł potem od razu. Nie chciałam, żeby było strasznie.

Mężczyzna przysunął się bliżej. Zmienił pozycję. Kiedy jego palce dotknęły jej ramienia, prawie krzyknęła. Zesztywniała z przerażenia.

- Ale tak nie będzie, co, Numerze 4? Ten chłopak z twojej szkoły... tutaj go nie ma, zgadza się? Myślisz, że kiedykolwiek się dowie, jaka atrakcja go ominęła?

Nie odpowiedziała. Czubki jego palców prześlizgnęły się po jej skórze. Zakreślały kręgi, jakby zaznaczały kolejne części ciała. Najpierw ramiona. Później w dół pleców, na pośladki, i wokół talii na brzuch, gdzie się na chwilę zatrzymały. I niżej. Przeszył ją dreszcz. Z kimś, kogo by kochała, to byłoby podniecające. Przy tym mężczyźnie czuła tylko ciemność. Drgnęła i musiała zwalczyć pokusę, by uchylić się przed jego dotykiem.

- Chcesz mieć to już z głowy, Numerze 4?

- Nie wiem...

- Chcesz mieć to już z głowy, Numerze 4? - powtórzył słowo w słowo.

Zawahała się. Czy „tak” zachęci go do tego, żeby się na nią rzucił? Cisnął ją na łóżko i wziął przemocą? Czy „nie” odbierze jako zniewagę? Skutek mógłby być ten sam. Nabrała powietrza i wstrzymała oddech, jak gdyby liczyła, że brak tlenu pomoże jej dostrzec właściwą odpowiedź, o ile taka istniała.

Zatrzęsła się. Co potem zostanie?

Czy będzie miała jakąkolwiek wartość?

- Odpowiedz, Numerze 4.

Znów wzięła głęboki wdech.

- Nie - odparła.

Wciąż szeptała.

- Mówiłaś, że chcesz, żeby to było coś szczególnego.

Skinęła głową. W znizonym głosie mężczyzny brzmiała powściągnięta nienawiść, nie miłość.

- I będzie. Tylko nie tak, jak to sobie wyobrażałaś. - Zaśmiał się i cofnął o krok. - Wkrótce - dodał. - Pomyśl o tym. Już niedługo. To może się stać w każdej chwili. I to będzie trudne, Numerze 4. Nawet nie przypuszczasz, jak bardzo.

Przeszedł przez pokój.

Po chwili następny dźwięk. Odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

Jennifer nie ruszyła się z miejsca, wciąż naga. Odczekała chyba kilka minut. Potem, kiedy cisza wokół niej stała się ogłuszająca, powoli wypuściła powietrze i wymacała bieliznę. Ubrała się i wróciła do łóżka. Pot ściekał jej pod pachami. Nie od gorąca. Ze strachu. Odszukała misia.

- To nie spotyka nas, Panie Futrzaku - szepnęła. - To spotyka kogoś innego. Jennifer nadal jest twoją przyjaciółką. Jennifer się nie zmieniła.

Chciała móc w to wierzyć. Zdawała sobie sprawę, że coś waży się na szali. Jej tożsamość.

Czy zdoła ją utrzymać?

Zdawało się, że pokój za opaską wiruje. Kręciło jej się w głowie, paliło ją całe ciało, jakby dotyk mężczyzny pozostawił po sobie oparzenia i szramy.

Przyciągnęła Pana Futrzaka do siebie.

Walcz z tym, z czym możesz, Jennifer. Reszta nic nie znaczy.

Skinęła głową, jakby na znak zgody z samą sobą.

Potem, w najgłębszej głębi ducha, przekonała samą siebie: cokolwiek się wydarzy, nie będzie nic znaczyło, nie będzie nic znaczyło, nie będzie nic znaczyło. Liczy się tylko jedno: przeżyć.

ROZDZIAŁ 32

Adrian spędził większą część weekendu zamknięty w domu, gdzie trzymały go nie rygle czy łańcuchy, lecz choroba. Prawie nie spał, a kiedy już udawało mu się zasnąć, dręczyły go żywe sny. Przeważnie chodził z pokoju do pokoju i przystawał tylko po to, żeby porozmawiać z Cassie, która nie odpowiadała, albo błagać Tommy'ego, żeby się ukazał i pozwolił się raz jeszcze uściskać. Ta myśl uparcie przebiegała mu przez głowę: raz jeszcze, raz jeszcze, raz jeszcze - ale mimo jego usilnych próśb, syn pozostawał milczący i niewidoczny.

Kiedy zobaczył się w lustrze, wydawało mu się, że widzi cień. Miał na sobie porwaną górę od piżamy i wyblakłe dzinsy, jakby w połowie przerwał ubieranie się albo rozbieranie. Włosy zlepione potem. Siwy zarost na podbródku. Czuł się, jakby tkwił w samym środku sporu; jedna natarczywa część jego duszy mówiła mu, żeby o wszystkim zapomniał, podczas gdy druga połowa nalegała, żeby zachował jasność umysłu, panował nad myślami i wspomnieniami. Jedna strona krzyczała i wrzeszczała, druga mówiła cicho, spokojnie. Ta bardziej rozsądna część jego osobowości co jakiś czas przypominała mu, żeby coś zjadł, poszedł do ubikacji, umył zęby, wziął prysznic, ogolił się. Te drobne, rutynowe czynności, dla każdego tak normalne, dla Adriana stawały się coraz trudniejsze i coraz bardziej zniechęcająco skomplikowane.

Chciał przerzucić odpowiedzialność na żonę. Cassie pamiętała wszystko: umówione spotkania, nazwiska ludzi poznanych na koktajlach, daty, adresy, pogodę i - z precyzją stenografa - rozmowy. Zawsze zadziwiała go jej umiejętność błyskawicznego przywoływania szczegółów, dla niego niezwykle trywialnych. Jego wyobraźnię zawałały wyniki pomiarów dokonywanych podczas eksperymentów i słowa, z których mógł spróbować sklecić wiersz. Przez to nie miał miejsca w pamięci na nazwisko żony pracownika uczelni poznanej na grillu z okazji zakończenia roku czy termin wymiany oleju w volvo.

Ciekawe, czy wszyscy artyści tak zwracają uwagę na szczegóły. W sumie to byłoby logiczne. Cassie zawsze wiedziała, gdzie umieścić każdą kreskę, każdy kolor w każdym rysunku i obrazie. A to przecież w gruncie rzeczy to samo.

Tommy odziedziczył po matce umiejętność błyskawicznego przywoływania nazwisk i adresów. To pomagało w pracy z kamerą. Te zdjęcia wykonano z taką prędkością, przy takim ustawieniu przesłony, przy takim oświetleniu. Miał encyklopedyczną wiedzę o swoim fachu.

To oni powinni szukać Jennifer, pomyślał Adrian. Każde z nich potrafiłoby połączyć szczegóły w całość, powiązać spostrzeżenia w fakty. Jak Brian umieliby zebrać detale w jeden spójny obraz.

Był zazdrosny. Oni wszyscy wydawali się lepszymi detektywami od niego.

Raz jeszcze wbił wzrok w fotel w stylu królowej Anny, na którym powinna być Cassie. Czuł się strasznie samotny.

Mgliście docierało do niego, że dom wygląda tak fatalnie jak on sam. Wiedział, że w zlewie rośnie góra brudnych naczyń. Że przy pralce walają się brudne ubrania. Że odkurzacze i mop wzywają, choć nie bardzo wiedział, jakim językiem posługuje się sprzęt gospodarstwa domowego. To pewnie taki metaliczny, bezcielesny głos, jakim podawane są komunikaty na dworcu kolejowym albo autobusowym.

Powiedział sobie, że musi utrzymywać umysł w stanie używalności, dlatego nagle stanął pośrodku salonu, krzyknął: „Cassie, do cholery, musisz mi przypominać te pierdoły!”, znalazł szczotkę i zaczął sprzątać. Szufelka gdzieś się zapodziała, więc część śmieci zamiótł pod dywan. Zaśmiał się, wyczuwając dezaprobatę żony. Widmowe wyrzekanie: „Och, Audie, jak mogłeś”, zdawało się rozbrzmiewać echem wokół niego, ale Cassie się nie pokazała i Adrian poczuł się jak małe dziecko, któremu uszło na sucho jakieś drobne naruszenie zasad obowiązujących w domu. Poczucie winy i satysfakcja zmieszane ze sobą.

Zostawił szczotkę - z łoskotem upadła na wytartą drewnianą posadzkę - i poszedł do kuchni. Włożył część naczyń do zmywarki, uruchomił ją, po czym włączył pralkę i suszarkę. Był

niezwykle dumny z siebie, że udało mu się odmierzyć odpowiednią ilość proszku, wsypać go do właściwej przegródki i wcisnąć te guziki, co trzeba.

Przy tych wybitnie prozaicznych zajęciach czuł się samotny jak nigdy.

To nie w porządku, przekonywał samego siebie. Potrzebował ich, a oni go opuścili.

I wtedy, kiedy pralka zaczęła napełniać się wodą, mydlinami i prac ubrania, uprzytomnił sobie, że oni tu są.

Nigdy nie był sam.

Wszyscy, których kochał, stali u jego boku.

W tym momencie zrozumiał, że jeśli ich słyszy, to dlatego, że tego chce, nie dlatego, że chcą tego oni. Odwrócił się raptownie, jakby zaskoczony nagłym dźwiękiem. Stała za nim Cassie. Uśmiechnął się szeroko; to była młoda Cassie. Miała na sobie luźną letnią sukienkę i poznał, że była w ciąży, mocno zaawansowanej, dni, nie, minuty przed ogłoszeniem przez Tommy'ego przybycia na ich świat. Stała przy ścianie, oparta o drzwi kuchni. Uśmiechnęła się do niego i kiedy energicznie ruszył naprzód i wyciągnął do niej dłoń, pokręciła głową i bez słowa wskazała w bok.

- Cassie, potrzebuję cię - powiedział. - Musisz być tu, ze mną, żeby pomóc mi pamiętać...

Znów się uśmiechnęła. Dalej pokazywała coś obok siebie. Adrian nie bardzo rozumiał co i podszedł do niej z szeroko rozłożonymi rękami.

- Wiem, że nie zawsze układało się idealnie. Wiem, że były kłótnie, smutne chwile, żale i że skarżyłaś się na to, że ugrzęzłaś w mieście uniwersyteckiej, gdzie nigdy nic się nie dzieje. A ty zasługiwałaś na to, żeby być wybitną artystką w dużym mieście. Tylko że ja nie dawałem ci rozwinać skrzydeł. Ja to wszystko wiem. I pamiętam, że bywało ciężko, zwłaszcza kiedy Tommy przechodził okres buntu i kłóciliśmy się o niego i o to, co zrobić. Teraz jednak chcę pamiętać jedynie wspaniałe, cudowne i doskonałe momenty...

Znów wskazała w bok i Adrian widział w jej spojrzeniu zniecierpliwienie, jakby to długie, egocentryczne przemówienie nie

miało dla niej znaczenia. Oczy Cassie błyszczały natarczywie. Te czarne oczy potrafiły miotać błyskawice, kiedy tego chciała.

- O co chodzi? - spytał.

Uśmiechnęła się i znów odrzuciła głowę, potrząsając długimi włosami, jakby miała do czynienia z małym dzieckiem, które nie wie czegoś banalnie prostego, na przykład ile to jest dwa plus dwa albo jaki kształt ma stan Massachusetts.

- Co... - Wyteżył wzrok. I wreszcie zauważył, co mu pokazywała. Telefon na ścianie kuchni.

Słuchał uważnie i powoli, jak gdyby ktoś podgłasniał dźwięk w wieży stereo, doleciało go odległe dzwonienie, z sekundy na sekundę coraz donośniejsze. Chwycił słuchawkę, przycisnął ją do ucha.

- Halo?

- Jak tam, profesorze, czekał pan na telefon ode mnie? Chce się pan spotkać? Zrobiłem pewne postępy.

Przestępca seksualny. Charakterystyczny ton głosu. Jak bulgot gęstej ropy wypływającej spod ziemi.

- Pan Wolfe...

- A kogo pan się spodziewał?

- Znalazł ją pan?

- Nie całkiem. Ale...

- W takim razie o co chodzi? - Adrian słyszał w swoim głosie bezkompromisowy, twardy ton. Ciekawe, skąd się wziął.

- Myślę, profesorze, że przydałaby się pańska pomoc. Znalazłem kilka... - Wolfe zawahał się. - No, znalazłem pewne rzeczy warte obejrzenia - dokończył. - I myślę sobie, że właśnie pan powinien je zobaczyć.

Adrian spojrział na żonę. Głaskała się po dużym, wydętym brzuchu, zataczając kręgi dłonią. Podniosła na niego oczy i energicznie pokiwała głową.

Nie musiała mówić: „Idź, Adrianie”.

- W porządku. Jadę. - Odłożył słuchawkę. Chciał przytulić żonę, ale wskazała w stronę drzwi.

- Pospiesz się - powiedziała wreszcie swoim śpiewnym głosem. Cieszył się, że się odezwała. Cisza go przerażała. - Musisz się spieszyć, Audie. Nie wiesz, ile czasu ci zostało.

Spojrzał na brzuch Cassie. Przypomnił sobie ostatnie dni przed narodzinami ich jedyne go syna. Było jej gorąco, niewygodnie, ale wydawało się, że wszystko to, co powinno ją drażnić i złościć, odłożyła do jakiejś skrytki. Pociła się w letnim upale i czekała. On przynosił jej wodę z lodem i pomagał dźwigać się z krzesła. Nocą leżał przy niej i udawał, że śpi, gdy tak naprawdę słuchał, jak ona przewraca się z boku na bok, szukając wygodnej pozycji. Wtedy nie miał jak wyrazić współczucia, bo w gruncie rzeczy nie było czego współczuć i tylko by ją zdenerwował. I bez tego zadawała sobie masę trudu, by panować nad emocjami.

Zrobił krok do przodu.

- Nie możesz pamiętać tylko tego co dobre - oznajmiła Cassie. - Przeżyliśmy też dużo trudnych chwil. Na przykład kiedy umarł Brian. Wtedy było źle. Przez wiele tygodni piłeś i robiłeś sobie wyrzuty. A potem, kiedy Tommy... - urwała.

- Dlaczego... - Chciał zapytać ją o to, co wisiało nad nimi w ostatnich tygodniach jej życia, ale nie mógł. Zobaczył, że Cassie spuściła oczy na swój brzuch, jakby widziała wszystko, co miało nadejść, i było to dla niej jednocześnie źródłem radości i nieutulonego smutku. A zatem, pomyślał, to właśnie musiał czuć on sam, w każdej sekundzie każdego dnia, w chwilach szaleństwa i kiedy rozum wracał.

Źle zrobił, że żył dalej po śmierci Tommy'ego i Cassie. Wtedy przyszedł czas na niego. Powinien od razu do nich dołączyć, bez wahania. Ale został przy życiu. Co za tchórzostwo.

Kiedy spojrzał na Cassie, kręciła głową.

- Ten wypadek... to było złe - powiedziała powoli. - Ale i słuszne.

To jednocześnie nie miało sensu i było doskonale logiczne. Jako psycholog rozumiał, że rozpacz może wywołać bliskie psychozy stany samobójcze. Istniała obszerna literatura na ten temat. Kiedy jednak spojrzał przez pokój na żonę, która wydawała się tak młoda, tak piękna, i uosabiała całą nadzieję związaną z ich wspólnym życiem, wszystkie badania kliniczne na świecie nie pomagały mu pojąć, dlaczego zrobiła to, co zrobiła; cała wiedza o długotrwałych skutkach szoku pourazowego nie znaczyła nic w porównaniu z tym uczuciem, innym od żalu i poczucia winy z

powodu śmierci brata.

Mocno zacisnął powieki i przypomniał sobie razem spędzone chwile. Chciał ją spytać, dlaczego zostawiła go samego, i chyba powiedział to głośno, bo w jego zadumę wdarł się jej głos.

- Po śmierci Tommy'ego stałam się cieniem - wyjaśniła. - Wiedziałam, że ty jesteś dość silny, by znaleźć coś, dla czego warto żyć. Ja byłam słaba. Gdybym dalej żyła, to by cię zabiło. Nie mogłam być w domu pełnym bólu i wspomnień. Wszystko przypominało mi o nim. Nawet ty, Audie. Zwłaszcza ty. Patrzyłam na ciebie i widziałam jego, a wtedy czułam się, jakby wyrwano mi serce. Dlatego pewnej nocy wcisnęłam gaz do dechy. To wydało mi się słuszne.

- To nigdy nie było słuszne - sprzeciwił się. Powoli otworzył oczy. Sycił się widokiem swojej młodej żony. - To nie mogło być słuszne. Pomógłbym. Znaleźlibyśmy jakieś rozwiązanie.

Cassie dotknęła swojego brzucha. Uśmiechnęła się.

- Teraz to wiem.

- Myliłaś się - powiedział. - Jeśli sprawiałem wrażenie silnego, to dlatego, że byłeś przy mnie. Nie powinnaś mnie zostawić.

Skinęła głową, wciąż uśmiechnięta.

- Co do tego zgoda. Myliłam się.

- Wybaczam ci - wykrztusił głośno. Chciało mu się płakać. - Och, wybaczam ci, Oposiku.

- Trudno żeby nie - odparła rzeczowym tonem. - Ale nie możesz tracić czasu na mnie. Masz ważniejsze zadanie. Zapomniałaś, że gdzieś tam jest inna matka, matka Jennifer, która czuje to samo co ja?

- Ale... - zaczął i zamilkł.

- Doprowadź się do porządku. Nie możesz się tak pokazać ludziom - upomniała go Cassie.

Wzruszył ramionami, poszedł do łazienki, nałożył piankę na twarz i chwycił maszynkę do golenia. Umył zęby i twarz. Potem pospieszył do ich sypialni. Przetrzęsnął szuflady, aż znalazł czyste sztruksy, świeże majtki i pulower, który pomyślnie przeszedł szybkie badanie organoleptyczne. Ubrał się migiem świadom, że Cassie na niego patrzy.

- Spieszę się - rzucił.
- Wyczuł, że się zaśmiała.
- Nigdy nic nie robiłeś w pośpiechu, Adrianie - stwierdziła.
- Ale musisz się sprężyć.
- Dobrze, już dobrze - odparł z lekkim zniecierpliwieniem. - Przy tym człowieku czuję się brudny, Cassie. Do kogoś takiego trudno się spieszyć.
- Tak, ale on daje ci szansę, żeby poznać odpowiedzi. Kto więcej wie o wzniecaniu pożarów, Audie, podpalacz czy strażak? Kto lepiej zabija, detektyw czy zabójca?
- Całkowita racja. - Stęknął, zawiązując sznurowadła.
- Układanki. Labirynty. Gry. Łamigłówki. Zagadki logiczne. Adrianie, patrz na to tak, jak patrzyłeś na wszystko. Jak na fragmenty, które zebrane razem coś ci wskażą. No, Audie, zagoń wyobraźnię do roboty.

Tak, oczywiście miała rację. Westchnął. Pragnął zostać dłużej, uzyskać więcej odpowiedzi na pytania, na które odpowiedzi już znał, zamiast wyruszać w noc w poszukiwaniu odpowiedzi ukrytych. Powłókł się do drzwi, włożył tweedową marynarkę i wyszedł na jasne poranne słońce, przez chwilę zdumiony tym, że ciemność nocy, której się spodziewał, gdzieś się ulotniła.

To było wbrew regulaminowi, ale tę zasadę łamali praktycznie wszyscy i nikt na to nie zważał. Terri Collins zabrała akta sprawy Jennifer Riggins na weekend do domu, w nadziei że analiza oderwanych szczegółów zebranych na rozmaitych kartkach wytyczy jej jakiś konkretny kierunek. Siedziała z całym tym majdanem na kolanach, podczas gdy dzieci bawiły się na dworze z kolegami. Robiły nieznośny hałas; słyszała huki i krzyki, ale jak dotąd, pomyślała z ulgą, żadnych łez złości.

Narastała w niej frustracja. Technicy z policji stanowej zdołali oczyścić nagranie z monitoringu na tyle, by dało się rozpoznać pewne szczegóły twarzy - ale w bardzo ograniczonym stopniu. Gdyby znała nazwisko człowieka, można by zrobić użytek z tego materiału w sądzie. Zadałaby kilka ostrych pytań, gdyby siedział naprzeciwko niej. Ale pojedynczy kadr to za mało, żeby ustalić,

kim jest, co robił na dworcu autobusowym i czy rzeczywiście miało to związek ze zniknięciem Jennifer. Może gdyby miała dostęp do nowoczesnego antyterrorystycznego oprogramowania i potężnych komputerów, coś by to znaczyło. Ale nie miała.

Klasyczny dylemat policjanta: gdyby inny ślad doprowadził do podejrzanego, wskazał jego nazwisko i związek z przestępstwem, zbieranie dowodów przeciwko niemu byłoby trudne, ale wykonalne.

Ale wpatrywanie się w zamazany, nieostry kadr wycięty z nagrania z kamery monitoringowej i próba ustalenia na jego podstawie, czy ten niezidentyfikowany osobnik brał udział w porwaniu w innej części stanu...

Terri odłożyła zdjęcie na bok.

Nic z tego nie będzie, pomyślała.

Z podwórka dochodził brzęk garów. Tę kompozycję dźwiękową potrafi zrozumieć tylko rodzic małego dziecka. Maluchy używają naczyń kuchennych do kopania dołków, muzykowania albo innych wymyślonych zabaw. Zignorowała hałas, ale stwierdziła, że pewnie przyjdzie jej poświęcić trochę czasu na nieplanowane sprzątanie. Ziemia, jak to na wiosnę, była rozmiękła i Terri spodziewała się, że wraz z dziećmi do domu wdrze się burza błotna.

Spojrzała w dół, na akta.

Ślepe zaułki i naciągane powiązania.

Nie dość, że za mało tego, to jeszcze nic nie łączy się w jakąś logiczną całość. Pokręciła głową. Żałowała, że brakuje jej determinacji Thomasa.

Może profesor ma rację, ale to i tak beznadziejna sprawa, pomyślała.

Seryjni mordercy w Wielkiej Brytanii w latach sześćdziesiątych. Para w furgonetce na podmiejskiej ulicy. A potem niewyjaśnione przestępstwo. Przypadkowy koszmar. Zaginione dziecko.

Bała się, że jej kariera wkrótce będzie tak martwa jak Jennifer Riggins. Okropnie snuć takie przewidywania - stawiać pensję na równi z życiem szesnastolatki - ale takie skojarzenie jej się nasuwało.

Może profesor ma rację, powtórzyła w duchu. Ale to nie znaczy,

że mogę cokolwiek z tym zrobić.

Na chwilę wpadła w złość. Szkoda, że w ogóle usłyszała o Jennifer. Że zareagowała na jej pierwsze próby ucieczki z domu, przez co figurowała w oficjalnej dokumentacji jej nieszczęść. Nie powinna w ogóle odebrać wezwania od dyspozytora na miejsce ostatniej ucieczki. Nie chciała mieć nic wspólnego z rodziną, która będzie musiała zmierzyć się ze wszystkimi strasznymi niewiadomymi, jakie przynosi współczesny świat.

„Zamknięcie rozdziału” to nadużywany frazes; jakby to mogło cokolwiek naprawić. Dowiadujemy się, co się stało z naszym dzieckiem, poznajemy chorobę; rozumiemy, dlaczego z Iraku albo Afganistanu wraca trumna okryta flagą. Ktoś mówi, że to „zamyka rozdział” i niby wszystko jest cacy - ale tylko na pozór. Nic nigdy nie jest tak zgrabne i proste.

Na zewnątrz nagle wybuchły podniesione głosy, początek krzyku, potem cisza. Westchnęła. Złapała się na tym, że myśli o byłym mężu. Teraz pewnie ma przerwę w służbie. Spodziewała się, że zadzwoni. Może zechce ich odwiedzić, złożyć wizytę kontrolną u dzieci, które tak usilnie próbowała trzymać od niego z daleka.

Zacisnęła dłoń w pięść. Zorientowała się, że patrzy na ulotkę z zaginioną Jennifer.

Gwałtownie zepchnęła akta na podłogę i prawie je kopnęła. Żadnych śladów, zupełnie. Żadnych wskazówek, że jest tak czy inaczej. Żadnej wyraźnie wytyczonej drogi. Żadnego subtelnego tropu, który można by zbadać.

Wzięła głęboki wdech i wstała. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Bezmyślnie patrzyła na bawiące się dzieci. Ot, zwyczajny weekendowy poranek.

Nie w domu Rigginsów, stwierdziła. Zrozumiała, że wkrótce będzie musiała wziąć Mary Riggins na stronę i przyznać, że dopóki nie pojawi się jakiś konkretny dowód, dopóty śledztwo nie ruszy z miejsca. Nie cieszyła się na tę rozmowę. Policja ma wprawę w przekazywaniu złych wieści. Przedstawianie szczegółów przedawkowania, wypadku albo zabójstwa to swoista sztuka- polega na tym, żeby tak dozować informacje, aby nie przytłoczyć rodziny ofiary poczuciem niestałości życia. Emocjonalną

treść tych rozmów lepiej zostawić duchownym i terapeutom. Teraz jednak to Terri przypadnie w udziale powiedzieć Mary Riggins, że sprawa utknęła w martwym punkcie, co zapewne oznacza, że szanse Jennifer są bliskie zeru.

To nie w porządku.

Tyłu tragedii w życiu można unikać. Cóż, kiedy ludzie są bierni. Nie reagują na drobiazgi, aż te nie urosną do rozmiarów katastrofy. Terri przyglądała się swoim dzieciom. Ja taka nie jestem, uznała. Podjęłam działania, by zapobiec wszystkiemu, co mogło pójść nie tak.

Ta myśl dodała jej otuchy, choć wiedziała, że to tylko w części prawda.

Lubimy okłamywać samych siebie, szepnęła pod nosem.

Zebrała materiały i postanowiła pójść do Mary Riggins i Scotta Westa. Poda im najnowsze wiadomości, czyli nic, i zacznie ich przygotowywać na to, co uważała za nieuniknione: Jennifer nie wróci.

Nie lubiła używać słowa „nigdy”. Jak każdy policjant. Dlatego nie włączyła go do zasobu słownictwa, z którego zamierzała skorzystać podczas rozmowy.

ROZDZIAŁ 33

Jennifer to wspominała dom przed śmiercią ojca, to fantazjowała o jedzeniu i piciu - najbardziej marzyła o zimnej diet coke i kanapce z masłem orzechowym, awokado i kielkami - gdy nagle usłyszała odległy huk zatrzaskiwanych drzwi i podniesione w kłótni głosy. Tak jak wtedy, kiedy wychyciła płacz dziecka, a potem odgłosy dziecięcej zabawy, wykręciła szyję w stronę bezcielesnego hałasu. Usiłowała wyłowić poszczególne słowa, te jednak tonęły w krzyku. Wyczuwała za to wyraźne emocje. Ktoś był strasznie zły.

Dwoje ludzi. Mężczyzna i kobieta. To muszą być oni.

Zesztywniała, obróciła głowę w prawo i w lewo, naprężyła mięśnie. Kołatała się w niej niejasna myśl, że może kłóć się o

nią. Wyteżyła słuch - przenikliwy krzyk złości, chwilami bardziej, chwilami mniej rozumiała. Łowiła każdy dźwięk, usiłując dojść, co się właściwie dzieje.

Doleciały do niej obelgi: „Pieprz się!”, „Sukinsynu!”, „Cipo!” Każde ostre zjadliwe słowo cięło jak nóż. I pojedyncze zdania: „Mówiłam ci! Czemu ktokolwiek miałby cię słuchać! Myślisz, że wszystko wiesz, ale to nieprawda!” Czuła się, jakby wskoczyła w sam środek opowieści, której koniec był niepewny, a początek dawno minął.

Siedziała nieruchomo na łóżku, czujna, z Panem Futrzakiem w objęciach. Intensywność kłótni to narastała, to słabła, głosy podnosiły się i cichły, aż w końcu rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

Oczami wyobraźni zobaczyła, jak szklanka rzucona przez pokój rozbija się o ścianę, kawałki szkła rozlatują się na wszystkie strony.

Potem głuchy huk i urwany krzyk.

Uderzył ją, pomyślała.

Natychmiast w to zwątpiła. Może to ona uderzyła jego.

Rozpaczliwie szukała jakiejś prawdy, która przedarłaby się przez ściany jej więzienia. Nic z tego - wiedziała tylko, że to, co się dzieje na zewnątrz spowijającej ją ciemności, jest gwałtowne i burzliwe. Że gdzieś poza jej zasięgiem rozpętał się kataklizm, że świat trząsł się w posadach. Prawie nieświadomie zwiesiła nogi z łóżka i podeszła do najbliższej ściany. Przyłożyła ucho do płyty gipsowej - wtedy jednak dźwięki jakby się oddaliły. Chodziła w różne strony, starała się ustalić, skąd dochodzą, ale tak jak przy każdej takiej zabawie w ciuciubabkę w jej celi, pozostawały nieuchwytnie.

Próbowała poukładać to sobie w myślach.

Płacz dziecka.

Odgłosy zabawy.

Ostra kłótnia.

To wszystko na pewno jakoś się ze sobą łączy. To muszą być fragmenty portretu, który może jej powiedzieć, gdzie jest i co ją spotka. Wszystko wydawało się częścią odpowiedzi. Zataczała się po pokoju, aż do końca zasięgu łańcucha, usiłując wymacać

w powietrzu coś, czego mogłaby dotknąć i co naprowadziłoby ją na jakiś trop.

Rozpaczliwie pragnęła unieść maskę i się rozejrzeć; gdyby zobaczyła, może by zrozumiała. Powstrzymywał ją strach. Poprzednio tylko szybko i ukradkowo zerknęła na zewnątrz - widziała kamerę nieustannie obserwującą i dokumentującą każde jej tchnienie, swoje ubrania złożone na stole i zarysy celi. Bała się, żeby mężczyzna i kobieta nie dowiedzieli się, co zrobiła, i jej nie ukarali. Tym razem jednak jej pragnienie podsycala gwałtowność sporu, który toczył się gdzieś tuż poza jej zasięgiem. Ta kłótnia miała w sobie coś niepokojącego, głęboko przerażającego - w tej chwili znów rozległ się huk rozbitego przedmiotu... Krzesło? Stół? Czy ktoś tłukł naczynia?

Zachwiała się. Naszły ją wspomnienia wszystkich kłótni z matką. Usiłowała ocenić, co te bitwy oznaczały. Nasuwał jej się tylko jeden wniosek: Po kłótni ludzie są źli. Chcą zrobić krzywdę. Chcą ukarać.

Wzdrygnęła się. Ktokolwiek teraz wejdzie do jej więzienia, nie będzie czuł nic oprócz skumulowanego gniewu, i to na niego wyładuje.

Wycofała się na łóżko, jakby tylko tam mogła być bezpieczna.

Zadygotała ogarnięta strachem i niepewnością. Czuła, że łyzy nabiegają jej do oczu, oddech stał się szybki, urywany, jakby ta kłótnia, czegokolwiek dotyczyła, miała związek z nią. Chciała krzyknąć: „Nie zrobiłam nic złego! To nie moja wina! Wykonywałam każde wasze polecenie!”, nawet jeśli te protesty nie były do końca prawdą.

Pod opaską spowijała ją ciemność, ale nie miała gdzie się schować. Skuliła się i czekała z obawą na następny dźwięk: odgłos otwieranych drzwi, przekleństwo, brzęk tłuczonego szkła?

I wtedy padł strzał.

Dwaj studenci trzeciego roku na Uniwersytecie Georgii leniuchowali w swoim pokoju w domu bractwa Tau Epsilon Phi, kiedy z głośników dobiegł charakterystyczny huk wystrzału. Jeden

ze studentów leżał na metalowym łóżku pod plakatem, który zachęcał do wstąpienia do wojska i przekonywał młodych ludzi, by byli wszystkim, czym mogą być. Wertował pismo „Słodkie i Młode”. Jego współlokator siedział przed laptopem Apple za sfatygowanym brązowym dębowym biurkiem.

- Jezu! - zawołał pierwszy i skoczył na równe nogi. - Ktoś kogoś zastrzelił?

- Tak to zabrzmiało.

- Numerowi 4 nic nie jest? - spytał przejęty kolega.

- No właśnie patrzę. Na oko cała.

Pierwszy student był chudy jak tyczka, długonogi. Miał na sobie uprasowane dżinsy i pamiątkowy T-shirt z wypadu do Cancun. Szybko przeszedł przez pokój.

- Ale się boi?

- Mhm. Jak zwykle. Może nawet bardziej.

Obaj wychylili się do przodu, jakby przysuwając się do ekranu, mogli znaleźć się w małym pokoju, gdzie siedzi Numer 4 przykuta do ściany.

- Co z facetem i tą babką? Pokazali się?

- Jeszcze nie. Myślisz, że jedno z nich zastrzeliło drugie? Pamiętasz, machali Numerowi 4 przed nosem taką wielką giwerą.

Wiedzieli, że na odpowiedź muszą poczekać. Studiowali prawo i zarządzanie, więc byli lekko wyczuleni na kwestie prawne związane z tym, co oglądają, ale nie aż tak zbulwersowani, by zdobyć się na coś więcej niż wykupienie abonamentu - płacili też za dostęp do wielu stron porno - i baczną obserwację wydarzeń. Podobnie jak wielu ich rówieśników, wychowali się na grach wideo i przywykli do tego, że spędzają całe godziny przy komputerze i uczestniczą w interaktywnych dramatach jak *Grand Theft Auto* czy *Doom*.

- Patrz na nią. Zobacz, czy usłyszysz coś jeszcze.

Dwaj współlokatorzy nasłuchiwali tak czujnie jak Numer 4. Nieświadomie naśladowali jej ruchy, wyciągali szyje, przechylali się w stronę dźwięków. W głębi korytarza ktoś puścił ostry rock chrześcijański. Obaj zakleli jednocześnie. Najważniejsze to słyszeć, co się dzieje w małym świecie Numeru 4, pomyśleli.

- Zleje się ze strachu - stwierdził jeden. - Będzie musiała iść do kibla.

- Nie, znów zaczniesz gadać z miśkiem.

Na ekranie pojawiło się zbliżenie twarzy Numeru 4. Choć miała zasłonięte oczy, poznali po jej zaciśniętych szczękach, że jest mocno spięta. Wyobrażali sobie, że ze strachu przechodzą ją ciarki. Każdy z nich pragnął wyciągnąć rękę i pogłaskać włoski na jej rękach. Czuli się, jakby byli przy niej. Wydawało się, że w ich pokoju jest tak gorąco i duszno, jak w celi Numeru 4. Jeden dotknął jej na ekranie.

- Raczej ma przesrane - mruknął.

- Dlaczego?

- Może facet i babka się kłócą, bo nie mogą się dogadać co do dalszego ciągu. Albo chodzi o ten gwałt. Kobieta jest zazdrośna, że jej kochaś chce przelecieć Numer 4...

Zerknęli na zegar w rogu ekranu.

- Obstawieś? - spytał nagle jeden z nich.

- Mhm. Dwa razy. Za pierwszym razem wybrałem za bliski termin. Przegraliśmy. Przez ciebie. Tylko dlatego, że gdyby Numer 4 była tutaj, ty nie traciłbyś czasu... - Zawiesił głos i obaj uśmiechnęli się szeroko na podtekst tych słów. - Przecież było oczywiste, że wszystko przeciągną. Wtedy więcej zarobią. Teraz postawiliśmy na określoną godzinę jutro albo pojutrze, nie pamiętam.

- Pokaż.

Pierwszy student wcisnął parę klawiszy i obraz Numeru 4 natychmiast się zmniejszył. Na pustej części ekranu ukazała się wiadomość napisana czcionką Bodoni Bold Italie: „Witaj, TEP-SARETOPS. Twój obecny zakład to GODZINA 57. Do gry wejdziesz za 25 godzin. Tak samo obstawiło 1099 innych abonentów. Pula wynosi ponad 500 tysięcy euro. Dostępne są inne zakłady. Chcesz zrobić następny?”

A pod spodem dwa okienka. Tak i Nie.

Student wjechał kursorem na Tak i odwrócił się do współlokatora. Ten pokręcił głową.

- Nie. Jeszcze trochę i przekroczę limit na karcie. A nie chcę, żeby starzy zaczęli wnikać. Jak im powiedziałem, że to

tylko poker w sieci, to walnęli mi długie i strasznie nudne kazanie i zabronili hazardu.

- Zaraz pewnie zaczną gadać o programie dwunastu kroków i wypytywać, czy chodzisz co niedziela do kościoła.

Wzruszył ramionami, przesunął kursor na Nie i kliknął. Znow pojawiła się dziewczyna w pełnym wymiarze.

- Wiesz, to wyglądałoby dużo fajniej na wielkim ekranie.

- Nie mów. Zadzwoń do starych.

- W życiu nie dadzą mi kasy. Nie z moimi ocenami na semestr.

- Czyli co się teraz stanie? - Pierwszy student odchylił się na oparcie. Zerknął na zegar ścienny. - Za pół godziny mam to cholerne seminarium o stosowaniu i nadużywaniu *Pierwszej Poprawki do Konstytucji*. Nie chciałbym czegoś przegapić.

I wcale nie chodziło mu o wykład.

- Zawsze możesz sobie odtworzyć wszystko, co cię ominęło.

Student znow wcisnął parę klawiszy - zmniejszył obraz Numeru 4 i przeniósł go w róg ekranu. Jak poprzednio, wyskoczyła wiadomość czcionką Bodoni Bold Italie. U góry widniał nagłówek Menu, niżej były mniejsze obrazki podpisane „Skorzystanie z toalety”, „Numer 4 je” i „Rozmowa 1”.

Zamknął menu, powiększył obraz.

- Jasne, ale ja tak nie lubię. Najlepiej się ogląda na żywo.

Sięgnął do sterty podręczników.

- Cholera. Muszę lecieć. Jeszcze jedna nieobecność i obniżą mi ocenę.

- To idź.

Student wcisnął książki do plecaka i chwycił znoszoną bluzę ze sterty brudów. Zanim wyszedł, wychylił się do przodu i pocałował obraz Numeru 4.

- Do zobaczenia za parę godzin, mała - powiedział ze sztucznym południowym akcentem. W rzeczywistości pochodził z małej miejsciny nieopodal Cleveland w stanie Ohio. - Nic nie rób. A przynajmniej nic, czego ja bym nie zrobił. I nie daj im się. Chociaż przez dwadzieścia pięć godzin.

- Mhm. Zachowaj życie i cnotę, podczas gdy mój dupkowi-ty kumpel będzie się pilnie uczył, żeby go nie wyrzucili i żeby nie musiał zarabiać na życie smażeniem hamburgerów.

Obaj się zaśmiali, choć w zasadzie to nie był żart.

- Daj znać, gdyby coś się działo. Puść mi esemesa.

- Jasne.

Jego współlokator pogłaskał ekran i usiadł na krześle przed komputerem.

- Hej - zawołał. - Ośliniłeś mi monitor, jak cię wzięło na całowanie.

Kumpel pokazał mu środkowy palec i wyszedł. Student, który został, wyobrażał sobie, że w celi wciąż rozbrzmiewa echo wystrzału. Zastanawiał się, co by zrobił, gdyby usłyszał strzał za ścianą. Miałby wiele możliwości, z ucieczką włącznie. To, że Numer 4 takiej szansy nie miała, tylko pogłębiało jego fascynację. Podobała mu się jej - jeśli to właściwe słowo - zaradność; z drugiej strony naprawdę nie chciał przegapić gwałtu, kiedy do niego dojdzie. Mimo woli zaczął snuć fantazje. Ciekawe, czy to się stanie szybko i nagle, czy też po długim teatrze uwodzenia. Podejrzewał, że to drugie. Rozwahał, czy Numer 4 ulegnie bez walki, czy też będzie się szarpać, miotać i krzyczeć. Nie wiedział, co by wołał. Z jednej strony podobała mu się dominacja mężczyzny i kobiety nad Numerem 4. Z drugiej - lubił kibicować słabszemu, a w tym przypadku to na pewno była ona. To właśnie jemu i jego koledze z pokoju najbardziej się podobało w *Serii numer 4*. Wszystko wydawało się przewidywalne, a zarazem zupełnie nieoczekiwane. Czasem zastanawiał się, czy także inni studenci w kampusie też płacili za oglądanie Numeru 4. Może wszyscy ją kochamy, pomyślał. Przypominała mu trochę pewną dziewczynę z liceum. Albo całe grono dziewczyn. Trudno powiedzieć. Wiedział tylko jedno: Numer 4 jest skazana na zgubę.

Ten wystrzał to mógł być początek końca. Z drugiej strony, może nie.

Tak czy inaczej dziewczyna umrze.

Ciekaw był, jak to się stanie. Namiętnie oglądał nagrania dziadystów i filmy z tragicznych wypadków samochodowych.

Uwielbiał takie programy jak *Gliny i Pierwsze 48 godzin*. A najbardziej na świecie marzył o tym, żeby dostać się do *Ryzykantów*. Gdyby go przyjęli, na sto procent zgarnąłby główną nagrodę - milion dolarów.

Numer 4 znów dygotała. Przyzwyczał się do tego, że dziewczyna traci kontrolę nad własnym ciałem. To pokazywało, że jej strach nie jest udawany.

Uwielbiał to.

Tyle z tego, co oglądał, było sztuczne. Gwiazdy porno udawały orgazmy. Gry wideo udawały zabijanie. Seriale telewizyjne udawały dramaturgię.

Nie Co będzie potem. Nie Numer 4.

Czasem miał wrażenie, że była najbardziej rzeczywistą i nierzeczywistą rzeczą, jaką kiedykolwiek widział.

Nagle przerwał swoje rozważania. Coś się poruszyło w pokoju. Zobaczył, że Numer 4 odwraca się lekko. Kamera podążyła za nią. Coś się działo.

Usłyszał to samo co ona. Otwierające się drzwi.

Jennifer drgnęła.

Znajomy szelest powiedział jej, że weszła kobieta w skafandrze. Tym razem jednak nie zbliżała się powoli, jej ruchy wydawały się szybkie. W jednej chwili była przy drzwiach, w następnej już stała nad Jennifer, z twarzą o centymetry od jej twarzy.

- Numerze 4, słuchaj uważnie. Masz zrobić dokładnie to, co powiem.

Jennifer skinęła głową. Słyszała w głosie kobiety nerwowość. Nie mówiła swoim zwykłym zimnym tonem, słowa wychodziły z jej ust przyspieszonym, piskliwym szeptem. Jennifer czuła, że kobieta przybliży wargi do jej czoła, gorący oddech omiatał jej twarz.

- Nie wolno ci wydawać żadnego dźwięku. Nie możesz nawet ciężko oddychać. Masz zostać dokładnie tu, gdzie jesteś. Nie ruszaj się. Nie wierć. I bądź cicho, dopóki nie wrócę.

Rozumiesz?

Jennifer skinęła głową. Chciała spytać o strzał, ale się nie odważyła.

- Chcę usłyszeć twoją odpowiedź, Numerze 4.
- Rozumiem.
- Co rozumiesz?
- Ani słowa. Ani żadnego odgłosu. Ani w ogóle niczego.

Mam tu zostać.

- Dobrze.

Kobieta milczała. Jennifer słuchała jej oddechu. W pokoju rozbrzmiewało echem jakieś łomotanie - nie wiedziała: czy jej własnego serca, czy serca kobiety.

Nagle poczuła, że dłoń chwyta ją za twarz. Wydała zduszony okrzyk. Zamarła, kiedy paznokcie kobiety wbiły się w jej policzki i mocno ścisnęły skórę. Zadrżała, zwalczając pragnienie, by oderwać od siebie silne palce, i przygotowała się na ból.

- Piśnij tylko, a umrzesz - wyszczała kobieta.

Jennifer zadygotała, próbowała coś odpowiedzieć, ale nie mogła. Tylko dreszcz przeszył jej ciało. To najwyraźniej wystarczyło. Dłoń kobiety rozluźniła uścisk. Jennifer nadal siedziała sztywno, bała się ruszyć.

A potem nastąpiło nowe, obce, nieprzyjemne doznanie. Coś ostrego dotknęło jej gardła i zsunęło się w dół, po szyi, piersi, brzuchu, kroczu - równym, płynnym ruchem, podkreślanym lekkimi ukluciami, jakby igła muskała skórę.

Nóż!

- I to będzie straszna śmierć, Numerze 4. Jasne?

Dziewczyna znów skinęła głową i czubek noża trochę mocniej wpił się w jej brzuch.

- Tak. Tak. Rozumiem - wyszeptała.

Czuła, że kobieta się cofa. Szelest, który towarzyszył każdemu jej krokowi, przycichł. Jennifer nasłuchiwała dźwięku zamykanych drzwi, na próżno. Tkwiła nieruchomo na łóżku, z misiem w objęciach, usiłując dojść, co się dzieje.

Wyteżyła słuch i w chwili, kiedy dotarło do niej, że coś jest nie tak, dłoń chwyciła ją za gardło i zaczęła dusić. Potężna siła wykradała całe powietrze z jej piersi. Czuła się jak przygnieciona wielką betonową płytą. Myślała, że zemdleje ze strachu i zaskoczenia. Na jej związane oczy opadła zasłona bólu, czerwona jak krew. Wierzgnęła, ale trafiła tylko powietrze.

Odruchowo podniosła ręce i znieruchomiła na dźwięk głosu mężczyzny.

- Mogę zrobić coś równie złego, Numerze 4. Może nawet gorszego.

Zadrzała na całym ciele. Bała się, że zemdleje w ciemności pod opaską, a po chwili pomyślała, że może już zemdłała. Krztusiła się strzępkami oddechu.

- Nie zapominaj o tym - szepnął mężczyzna. Na tę groźbę przeszedł ją dreszcz.

- Pamiętaj. Nigdy nie jesteś sama.

Silne dłonie nagle się rozluźniły. Zakasłała, rozpaczliwie łapiąc powietrze. Kręciło jej się w głowie. Nie miała pojęcia, że mężczyzna - w obcisłej czarnej kominiarce, kalesonach i baletkach na nogach - po cichu wszedł za kobietą do pokoju. Teraz już wszystko jej się pomieszało. Klótnia, wystrzał - to stworzyło w jej wyobraźni jeden scenariusz. Ale to, że obydwójce byli razem w celi i działali wspólnie, jednomyślnie, w skoordynowany sposób, po prostu usunęło jej grunt spod nóg. Czuła, że świat wiruje wokół niej i usiłowała uchwycić się czegoś, co uratowałoby ją przed upadkiem w ciemną otchłań.

- Masz milczeć, Numerze 4. Bez względu na to, co słyszysz. Co czujesz. Co, jak sądzisz, dzieje się na zewnątrz.

Milczeć. Jeśli choć piśniesz, już nic więcej nie zrobisz na tym świecie. Potem będzie tylko niewyobrazalny ból.

Jennifer mocno zacisnęła powieki. Może skinęła głową. W każdym razie raczej się nie odezwała. Usłyszała jednak dźwięk zamykających się drzwi. Uświadomiła sobie, że mężczyzna bezszelestnie przeszedł przez pokój. To było równie straszne jak wszystkie jawne groźby.

Pozostawała w ciemności, jakby skuta lodem.

Coś w niej chciało, żeby się ruszyła. Żeby wyjrzała spod opaski. Żeby wstała z łóżka. Ta niebezpieczna część jej duszy walczyła ze wszystkimi pozostałymi, które ją przekonywały, żeby posłuszenie wypełniała każdy rozkaz.

Nasłuchiwała mężczyzny albo kobiety. Nic.

Jednak ta duszna cisza - którą mącił jedynie jej własny ciężki oddech - nie trwała długo.

Rozległ się jakiś odgłos. Znajomy - a jednocześnie przerażający. Potrzebowała raptem kilku sekund, żeby poznać co to. Syrena. Policyjna albo strażacka. Była daleko, ale szybko się zbliżała.

ROZDZIAŁ 34

Adrian gwałtownie skręcił, żeby wyminąć nadjeżdżający samochód. Zawyły klaksony, zapiszczały opony. Dźwięk wdarł się do volvo. Towarzyszyły mu gniewne przekleństwa i wykrzykiwane wyzwiska. Adrian poderwał wzrok; zorientował się, że przejechał na czerwonym i cudem, o parę metrów, uniknął zderzenia.

- Przepraszam, przepraszam, moja wina, nie zauważyłem, że się zmieniły... - jakby drugi kierowca, który już odjeżdżał w pośpiechu, mógł go usłyszeć albo zobaczyć jego pełną skruchy minę.

- Zły znak, Audie - powiedział Brian z fotela pasażera. - Gubisz się. Musisz być skoncentrowany.

- Staram się - odparł Adrian z nutą frustracji. - Po prostu bywam rozkojarzony. Każdemu się zdarza. To nic nie znaczy.

- Nieprawda. Ty to wiesz, ja to wiem. I teraz wie to też gość z tamtego samochodu.

Jechał dalej, mocno poirytowany. Wściekłością na brata maskował obawy co do własnej sprawności.

- Nie rozumiem, jak w ogóle możesz udzielać mi rad - odezwał się po dłuższej chwili. - Sam ukrywałeś to, co się z tobą działo, przed nami wszystkimi. A mogliśmy ci pomóc.

Nie miał na myśli pomocy fizycznej. Brian prychnął w odpowiedzi.

- Nie przyszło ci do głowy, drogi bracie, że może nie chciałem dłużej być leczony? Że miałem już dość psychoterapeutów, leków i ciągłego gadania, *ad nauseam*, o wszystkim, co mnie gryzie, gdy przez cały czas wiedziałem, co to jest i że nigdy się od tego nie uwolnię?

- Wiedziałeś? Od kiedy to masz skończone studia psychologiczne? Nie wierzę ci. - Sarkazm tych słów częściowo odparł dręczący go niepokój. Brian miał rację, przynajmniej co do tego, że trzeba być czujnym i skoncentrowanym na drodze.

Czy miał rację, że się zabił; tego Adrian nie był taki pewny.

- Myślę, że postąpiłeś jak tchórz - dodał z nutą złośliwej wyższości. - Zostawiłeś tylko bałagan, który ja musiałem sprzątać. - Tak naprawdę chodziło mu o to, że Brian, jak Cassie i Tommy, odszedł i nie zostawił mu niczego prócz pytań. Każde z nich było oddzielną tajemnicą. Nie mógł jednak tego powiedzieć, bo nie chciał za wiele wymagać od nieżyjącego brata.

Brian milczał. Adrian jechał dalej. Szybę na chwilę załazy promienie słońca. Blask przygasł, kiedy wóz wziął zakręt. Byli kilka przecznic od domu Marka Wolfe'a i Adrian stwierdził, że powinien ułożyć sobie w myśli, co powie przestępcy. Przypominał sobie, że prawdziwy detektyw starałby się przewidzieć, co takiego Wolfe znalazł w Internecie, że postanowił go wezwać.

Jednak zanim mógł się skupić na zniknięciu Jennifer, przeszkodził mu brat - cicho rozpamiętywał własną śmierć, jakby Adrian o to pytał.

- Wiedziałem tylko, Audie, że zostawiłem ważną część samego siebie. Zostawiłem ją gdzieś, skąd nigdy nie mogłem jej wydobyć, bez względu na to, co robiłem. Przez to wszystko w moim życiu wydawało się maskaradą, próbą wypełnienia luki, której wypełnić nie sposób. Czasem to właśnie robi z człowiekiem wojna. Pewnie nie z każdym. Ale ze mną, owszem. - Westchnął i mówił dalej. - Widzisz, bracie, byłem wtedy jeszcze dzieckiem, a wokół tyle zabijania, tyle śmierci... wiedziałem, do cholery, wiedziałem, że to zawsze będzie we mnie siedziało i nigdy za nic mnie nie opuści.

Adrian chciał odpowiedzieć: Przecież to nieprawda. Teraz już dużo lepiej rozumiemy szok pourazowy. Mógłbym pokazać ci wyniki badań, ludzi, którym udało się pomóc. Prowadzi się ważne prace, z dnia na dzień dowiadujemy się coraz więcej. To, że kiedyś przeszedłeś ciężkie chwile, nie znaczy, że jesteś naznaczony na całe życie. Ludzie żyją dalej. Zamykają pewien rozdział. Podnoszą się. Rozwijają...

Nic z tego jednak nie powiedział, bo zrozumiał, że powinien to zrobić za życia Briana. Nie teraz.

Był moment, kiedy sądził, że rozgryzł część tajemnicy brata. Przeniósł się ze świata zabijania do świata prawa. Tkwił uwięziony między tym co racjonalne a tym co nieracjonalne, przez całe życie usiłował się rozeznąć, co jest czym. To tak, jakby coś się w nim zepsuło i próbował to naprawić.

Ale nie potrafił.

Zerknął w bok. Brat miał na sobie zwykły wyrafinowany niebieski prążkowany garnitur prawnika z Wall Street. Wyglądał elegancko. Jak spod igły. W jego głosie jednak brzmiała łagodność, której Adrian u niego nie poznawał. Brian zawsze był dynamiczny, śmiało podejmował trudne decyzje, głośno i zaciekle bronił klientów i słusznych spraw. Słyszeć go tak przygniecionego poczuciem klęski to coś obcego, niewyobrażalnego.

Adrian wydał zduszony okrzyk. Twarz Briana była umazana krwią. Na białej koszuli rozlewała się ciemna szkarłatna plama. Włosy potargane i pozlepiane. Adrian nie widział otworu, który kula zrobiła w skroni, ale ta dziura tam na pewno była, tuż poza zasięgiem wzroku.

- Wiesz, co mnie zaskoczyło, Audie. Zawsze uważałem cię za uczonego, intelektualistę. Poezja, badania naukowe... Ale nie miałem pojęcia, że jesteś tak twardy - ciągnął Brian matowym, reporterskim tonem. - Ja nie zniósłbym śmierci Tommy'ego w Iraku. Nie mógłbym żyć dalej po tym, jak Cassie wjechała w to drzewo. Byłem samolubny. Żyłem sam. Miałem tylko klientów i sprawy, za które walczyłem. Nie dopuszczałem do siebie ludzi. Tak dużo łatwiej, bo skoro nikogo nie kochałem, o nikogo nie musiałem się martwić.

Adrian przeniósł wzrok z powrotem na drogę. Upewnił się, że nie przekracza dozwolonej prędkości.

- Dom Wolfe'a jest tam. - Brian wskazywał przed siebie zakrwawionym palcem.

- Zostaniesz przy mnie? - spytał Adrian. Pytanie zawisło w powietrzu między nimi.

- Jeśli będę ci potrzebny, przyjdę - odparł Brian. Nagle znów stał się pewny siebie, bezpośredni i hardy jak zawsze.

Zaczął otrząpywać koszulę, jakby plamy krwi były okruchami chleba. - Słuchaj, Audie, dasz sobie z gościem radę. Pamiętaj tylko to, co wie każdy detektyw: zawsze istnieje jakiś związek między faktami. Gdzieś tam jest coś, co ci powie, gdzie szukać Jennifer. Musisz tylko być gotowy to zauważyć, kiedy przemknie ci przed oczami. Jak ten samochód na skrzyżowaniu. Musisz być gotowy do działania.

Adrian skinął głową. Zjechał na pobocze i spojrzął na dom Marka Wolfe'a.

- Bądź w pobliżu - powiedział z nadzieją, że jego nieżyjący brat odbierze te słowa jako rozkaz, nie błaganie.

- Zawsze jestem tak blisko, jak tego chcesz.

Wolfe stał w drzwiach i wypatrywał profesora. Pomachał do niego jak każdy dobry sąsiad w weekendowy poranek.

Adriana zaskoczyła radosna atmosfera u Wolfe'a. Czysto, wszędzie panował nienaganny porządek. Słońce wlewało się przez podniesione żaluzje. Wnętrze wypełniał zapach wiosny, prawdopodobnie za sprawą solidnej dawki odświeżacza powietrza. Wolfe wskazał teraz już znajomy salon. Kiedy Adrian ruszył naprzód, z kuchni wyszła matka. Powitała go ciepło pocałunkiem w policzek, choć z pewnością nie pamiętała jego poprzednich wizyt. Potem czmychnęła w głąb domu, żeby „... trochę posprzątać i poskładać pranie...”, tak jakby to wcześniej uzgodnili. Wolfe najwyraźniej dokładnie poinstruował matkę, co powinna mówić i robić, kiedy przyjdzie Adrian.

Patrzyła za nią, kiedy poszła w głąb korytarza i zamknęła za sobą drzwi pokoju.

- Mam mało czasu - powiedział. - Nie może wysiedzieć na miejscu, kiedy za długo zostawiam ją samą.

- A co, kiedy wychodzi pan do pracy?

- Staram się o tym nie myśleć. Co dwa dni proszę jedną z jej przyjaciółek, żeby wpadła. Mam listę kobiet, które znała, zanim to wszystko się zaczęło. Są gotowe pomóc, więc dzwonię do nich, kiedy mogę. Czasem zabierają ją na spacer. Ale z powodu moich... - zawahał się - ...kłopotów z prawem większość nie chce się u mnie pokazywać. Dlatego płacę dzieciakowi sąsiadów, żeby

po szkole zaglądał tu na parę minut. Jego rodzice nie wiedzą o naszej umowie, inaczej pewnie zabroniliby mu tego. Matka w dziewięciu przypadkach na dziesięć nie pamięta jego imienia, ale lubi, kiedy ją odwiedza. Chyba bierze go za mnie, dwadzieścia lat młodszego. W każdym razie kosztuje mnie to dziesięć dolarów dziennie. Zostawiam jej kanapkę na drugie śniadanie... na razie może jeść bez dozoru, ale nie wiem, jak długo jeszcze, bo jeśli się zakrztusi... - urwał. Było oczywiste, że tkwi między młotem i kowadłem.

Adrian nie bardzo rozumiał, co to wszystko ma z nim wspólnego, ale usłyszał szept Briana: *Wiesz, co teraz będzie, prawda?*

Po chwili Wolfe odwrócił się do profesora.

- Rozumiem, że zawarliśmy umowę, ale...

Adrian usłyszał, że brat prychnął śmiechem.

- ...Potrzebuję czegoś więcej. Sama obietnica, że nie pójdzie pan do glin, nie wystarczy. Musi mi pan płacić za to, co robię. To zabiera dużo czasu i energii. Mógłbym zamiast tego wziąć nadgodziny w pracy, zarobić więcej pieniędzy.

Wolfe wsunął się do salonu. Wyjął z torby z robótką laptop matki i zaczął go podłączać do szerokoekranowego telewizora.

- Na jakiej podstawie sądzi pan... - zaczął Adrian.

- Już ja pana znam, profesorze. Wiem wszystko o takich nadzianych uczonych typach. Przez lata dostajecie granty federalne i stanowe. Kumple z wydziału ekonomii pewnie doradzili panu kilka niezłych inwestycji. Och... to stare volvo. Te stare ciuchy. Może i wygląda pan, jakby nie miał złamanego centa, ale na pewno zachomikował pan miliony na jakimś koncie.

Adrian pomyślał, że ludzie, którzy mówią, że wiedzą wszystko o czymś albo o kimś, przeważnie nie wiedzą nic. Zachował tę refleksję dla siebie.

- Czego pan chce?

- Swojej doli. Zapłaty za poświęcony czas.

Brian podpowiadał szeptem. Adrian wyczuwał wesołość w głosie brata. Największa frajda dla prawnika: zastawianie pułapki.

- To brzmi jak wymuszenie.

- Nie. Zapłata za świadczone usługi.

Adrian skinął głową. Robił wszystko, co kazał mu brat, a ten wykrzykiwał do jego ucha instrukcje z szybkością karabinu maszynowego. *Weź od niego telefon!*

Wykonał polecenie.

- Ma pan może komórkę? Ja niestety nie noszę, a chciałbym zadzwonić.

Wolfe się uśmiechnął. Wyjął telefon z kieszeni. Rzucił go Adrianowi. *Zacznij blef.*

- Proszę, niech pan dzwoni.

Profesor w pierwszej chwili nie bardzo zrozumiał, o jaki blef chodziło bratu, ale zobaczył, że jego palce już wciskają klawisze. Odnosił wrażenie, że ręka Briana steruje jego dłonią. Wybrał 911.

Wiesz, kogo poprosić do telefonu, odezwał się Brian z werwą.

- Proszę z detektyw Collins.

Wolfe kiwnął głową.

- Może ją znalazłem - powiedział szybko, prawie w panice.

- Ale jeśli pan się z nią połączy, może nie.

Adrian zawahał się, usłyszał odległe „halo” i natychmiast zamknął klapy telefonu.

Teraz będzie trudniej, podszepnął Brian. *Skup się. Wiem, jak to się załatwia, nieraz to robiłem. Krok pierwszy: niech poda konkrety.*

- To jak, panie Wolfe? Znalazł ją pan czy nie?

Przestępca pokręcił głową.

- To nie takie proste.

- Właśnie że tak.

Brawo, zawołał Brian.

- Znalazł ją pan? - naciskał Adrian.

- Wiem, gdzie szukać.

- To nie to samo.

- Mhm - przyznał Wolfe. - Ale prawie.

No dobra, Audie, jedź dalej. Jesteś panem sytuacji.

- Ma pan jakąś propozycję? - spytał Adrian raptownie.

- Ja tylko chcę być w porządku.

- To stwierdzenie faktu. Nie propozycja.

- Profesorze, obaj wiemy, o co mi chodzi.
- Cóż, może w takim razie wyjaśni mi pan, co rozumie przez „być w porządku”?

Wolfe uśmiechnął się szeroko. Wyglądał jak stara disneyowska wersja Kota z Cheshire, który rozplywa się w nicłość, pozostawiając na ekranie tylko ten niepokojący, wyszczerzony uśmiech. Adrian pamiętał, jak oglądał *Alicję w Krainie Czarów* z Tommym, a potem przez kilka godzin tłumaczył synkowi, że prawdopodobieństwo, iż wpadnie przez króliczą norę do świata, gdzie Czerwona Królowa chce ścinać ludziom głowy przed procesem, jest znikome. Małego Tommy'ego przerażały fantazje, nie rzeczywistość. Mógł zafascynowany oglądać programy o atakach rekinów w Kalifornii albo o głodnych lwach w Serengeti. Ale jak zobaczył gąsienicę palącą nargile, przez pół nocy przewracał się z boku na bok i krzyczał w ciemności, zamiast spać.

Audie, przestań błędzić myślami!

Brian był stanowczy. Czujny.

- Wie pan, profesorze, sam nie jestem pewien. Na ile wyceń pan mój czas...

- Przecież pan podał cenę. Tyle, ile płaciliby panu za nadgodziny w hipermarkecie...

- Ale to praca specjalistyczna. Wysoce specjalistyczna. Zastępuje na pewną... premię.

- Panie Wolfe, jeśli chce pan wyłudzić ode mnie pieniądze, proszę wyrażać się precyzyjnie.

Dobrze, powiedział Brian. To go zdenerwuje. Adrian nie przypuszczał, że jego nieżyjący brat tyle wie o psychologii kryminalnej.

- Cóż... - odezwał się po chwili Wolfe. - Ile to dla pana warte...

- Sukces jest bezcenny. Z drugiej strony, nie zamierzam płacić za niepowodzenie.

- Niech pan poda cenę - poprosił Wolfe. - Chcę wiedzieć, jak ciężko mam pracować.

- Jakąkolwiek kwotę wymienię, pan ją po prostu za jakiś czas zmieni. Jeśli zaproponuję tysiąc, dziesięć tysięcy czy milion, pan

to podwoi albo potroi, kiedy będzie coś dla mnie miał. Zgadza się?

Ekshibicjonista na chwilę uciekł spojrzeniem. Adrian wiedział, że trafił w dziesiątkę.

Nie mógł uwierzyć, że zimno negocjuje w sprawie czegoś tak nieuchwytnego jak zniknięcie Jennifer. Sam się sobie dziwił.

- Zróbmy tak, panie Wolfe. Otrzyma pan nagrodę. Jak na tych starych plakatach „Poszukiwany żywy lub martwy” z westernów. Powiedzmy, dwadzieścia tysięcy dolarów. To pokaźna suma. Jeśli zdobędzie pan informacje, które doprowadzą do odnalezienia dziewczyny i jej powrotu do domu... podkreślam, jeśli... wtedy zapłacę panu dwadzieścia tysięcy dolarów. Pomoże pan uratować Jennifer, zarobi pan kupę forsy. Jeśli będzie pan kombinował, obijał się i niczego nie znajdzie, nie dostanie pan nic. Oto pańska premia motywacyjna. I na pana miejscu darowałbym sobie nieudolne próby wymuszenia czegokolwiek od jej rodziny lub kogokolwiek innego, bo gliny będą mniej wyrozumiałe niż ja i wyląduje pan, w więzieniu. Ja jednak jestem trochę inny, lekko stuknięty... - Adrian uśmiechnął się jak czarny charakter w sztuce teatralnej - ...pozwolę więc panu wyłudzić ode mnie pewną sumę.

- Jak mogę panu ufać?

Adrian wybuchnął ostrym śmiechem.

- To pytanie, panie Wolfe... - mówił swoim najlepszym stentorowym głosem jak nadęty wykładowca za katedrą - ...sam mógłbym panu zadać.

Przestępca miał skonsternowaną minę.

- Nie jest pan w tym najlepszy, co?

- W czym? Jeśli chodzi o komputery i surfowanie po sieci... znam się na tym cholernie dobrze...

- Nie. Miałem na myśli bycie przestępcą.

Wolfe pokręcił głową. Odwrócił się z powrotem do swojego komputera.

- Nie jestem przestępcą. Nigdy nie byłem.

- To temat na inną dyskusję.

- To nie przestępstwo, profesorze. To, co lubię. To po prostu... - Urwał, ale czy dlatego, że zdał sobie sprawę, jak głupio

to zabrzmiało? - W porządku, profesorze. Bylebyśmy się dobrze rozumieli. Dwadzieścia kawałków.

Adrian spodziewał się jakiejś dodatkowej groźby, czegoś w stylu: „jeśli nie zapłacisz, to...”, ale nie bardzo wiedział, co którykolwiek z nich mógłby zrobić drugiemu. Wolfe chciał pieniędzy. Z drugiej strony, zdawał sobie sprawę, że Adrian może odwrócić się i wyjść. Ich siły były idealnie równe. Obaj czegoś potrzebowali.

Przystąpią więc do gry.

Profesor nie orientował się, czy w ogóle ma na koncie dwadzieścia tysięcy dolarów. A czy zapłaci Wolfe'owi cokolwiek? Wątpił w to. Czuł na ramieniu dłoń Briana i słyszał jego głos: *On też to wie, Audie. Nie jest głupi. A zatem to znaczy, że będzie miał w zanadrzu jeszcze jeden ruch. Musisz być na to przygotowany.*

Wolfe nie zauważył, że Adrian powoli skinął głową.

- Nie jestem złym człowiekiem - stwierdził. - Bez względu na to, co mówią gliny.

Adrian nie odpowiedział.

Chciał, żeby Brian podsunął mu błyskotliwą ripostę, ale nic z tego. Zastanawiał się, czy brat jest równie zaskoczony zachowaniem przestępcy jak on.

- Nie ja odgrywam tu rolę czarnego charakteru - Wolfe prawie dokładnie powtórzył swoje poprzednie słowa. Prawie szepotał, jakby zdanie Adriana tak naprawdę go nie obchodziło.

- Nigdy nie twierdziłem, że tak jest - odparł Adrian. Co za kłamstwo. Głupio się czuł, mówiąc je na głos.

Stukot klawiszy komputera zabrzmiał jak cichy dźwięk werbla na rozpoczęcie symfonii.

- To ona? - spytał nagle Wolfe.

Późnym popołudniem Terri Collins siedziała w swoim samochodzie przed domem Rigginsów i zbierała się na odwagę, żeby pójść przekazać złe wieści. Na pobliskim drzewie ktoś - pewnie Scott - powiesił ręcznej roboty ulotkę ze zdjęciem Jennifer i słowem „Zaginęła” wielkimi grubymi literami. Niżej była informacja, gdzie dziewczynę ostatnio widziano, i prośba: „Jeśli ją

zobaczysz, zadzwoń”, z numerami telefonów. Ulotka niczym się nie różniła od rozwieszanych na przedmieściach wiadomości o zaginionych psach i kotach. Większość tych zwierząt kończyła pod kołami samochodów albo nawet w szponach kojotów, które zamieszkiwały pobliskie lasy i lubiły wciągać małe psy w bratobójcze zasadzki.

Trochę się dziwiła, że Scott jeszcze nie zadzwonił do telewizji. Tacy ludzie jak on mieli naturalną skłonność do robienia teatru z osobistej tragedii. Mary stałaby przed kamerami w świetle reflektorów i załamując ręce, błagała, by „ten, kto to zrobił” po prostu „uwolnił jej małą Jennifer”. Terri wiedziała, że to było bezcelowe i żałosne.

Zebrała dokumenty policyjne i kopie rozesłanych komunikatów. Ten zbiór miał sprawić wrażenie, że pilnie pracowała nad sprawą, gdy tak naprawdę przedstawiał tylko kolejne niepowodzenia. W biurze zostawiła wszystko, co wiązało się z nagraniem z dworca autobusowego i teoriami Adriana Thomasa.

Czuła się zaklinowana między dwoma przeciwnymi biegunami: z jednej strony - racjonalna, rzeczowa, bezpośrednia detektyw, która gromadzi fakty; z drugiej - jawnie ekscentryczny, prawdopodobnie obłąkany profesor psychologii, który przykłada stare przestępstwa do współczesnych realiów.

Ani jedno, ani drugie nie miało dla niej sensu.

Powoli wypuściła powietrze i spojrzała na dom Rigginsów. Zastanawiała się, co zrobiłaby, gdyby jej zginęło dziecko. Zapewne chciałaby się oderwać od wspomnień zapisanych w całym domu, ale też musiałaby tam siedzieć i czekać w nadziei, że stanie się cud i pociecha wróci.

To nie do zniesienia. Tyle bólu i niepewności.

Żałowała, że nie jest lepsza w tym, co musi zrobić.

Kiedy wysiadła i poszła chodnikiem, uderzyło ją poczucie odosobnienia. Przed innymi domami ludzie korzystali z ostatnich godzin światła dziennego, by grabić uschłe liście pozostałe po zimie albo sadzić byliny w budzących się na wiosnę ogródkach. Słyszała warkot narzędzi elektrycznych i kosiarek do trawy - ludzie kończyli niezbędne prace, odkładane na teraz w ciągu dopiero co minionych krótkich, ciemnych dni.

Tymczasem w domu Rigginsów nie działo się nic. Żadnego dźwięku. Żadnego ruchu. Wyglądał jak bryła schłostana wichurami i poszarpana szponami zimy.

Zapukała i usłyszała szuranie, zanim drzwi się otworzyły.

Na progu stanęła Mary Riggins. Żadnego powitania. Żadnej wymiany uprzejmości.

- Pani detektyw... Jakież wiadomości? - Patrzyła z przerażeniem i nadzieją.

Terri zajrzała za plecy Mary. Scott West siedział przy komputerze. Odwrócił się od monitora, spojrzął przez ramię.

- Nie - odparła Terri. - Przykro mi. Chciałam tylko dać państwu znać, co dotąd zrobiliśmy. - Po chwili spytała: - Niczego państwo nie słyszeliście? Nikt się nie kontaktował? Każda informacja może być...

Urwała na widok pustki w twarzy pani Riggins.

Wpuścili ją do salonu. Scott West pokazał jej konto na Facebooku i stronę, gdzie spływały informacje o Jennifer. Jak dotąd ani tu, ani tu Terri nie zobaczyła nic ciekawego, ale sumiennie zabrała wydruk wszystkich zgłoszeń, które przyszły na oba adresy. Wiedziała, że Facebook pójdzie na współpracę z policją i nie będzie też kłopotu z namierzeniem źródeł co bardziej obiecujących sygnałów.

Problem polegał na tym, że większość wiadomości była w stylu: „Modlimy się za jej duszę”, „Nie ma dzieci zaginionych, tylko niektóre Jezus wezwał do siebie” i „Chciałbym, żeby znalazła się na mojej twarzy, mniem, mniem”. Te wulgarne teksty były całkowicie przewidywalne, podobnie jak te religijne. Znalazło się też trochę wpisów typu: „Wiem, gdzie ona jest”, z żądaniem pieniędzy za dalsze informacje. Terri zanotowała w pamięci, żeby przekazać FBI wszystko, co trąciło wyłudzeniem.

Wbiła wzrok w materiał zebrany na komputerze i zdała sobie sprawę, że sprawdzenie każdego zgłoszenia zajęłoby całe życie. Cały w tym kłopot - z punktu widzenia detektywa. Jeśli rzeczywiście ktoś naprawdę coś wie, trudno go odróżnić od wariatów i degeneratów, którzy lgną do ludzkiej rozpacz jak muchy do lepu. Świat, pomyślała Terri, lubi pogłębiać tragedię. Jeden cios

nie wystarczy. Upadłego trzeba jeszcze jak najdłużej dręczyć.

Zastanawiała się, czy to wyłączna domena Internetu. Kiedy ujawniasz coś osobistego, wpuszczasz do swojego świata obcych ludzi.

- Myśli pani, że coś z tego wam pomoże? - spytał Scott.
- Nie wiem. Popatrzył na ekran.
- A ja tak - oznajmił ponuro.

Zawahał się i spojrzął na drugi koniec pokoju. Mary Riggins poszła zaparzyć kawę.

- To dla niej. Żeby dać jej poczucie, że coś robi, by znaleźć Jennifer. Ale to trochę tak, jakby jeździć po okolicy i liczyć, że wypatrzymy ją jak zgubione rękawiczki. To nic nie da, prawda, pani detektyw?

- Nie wiem - skłamała Terri. - To czasem pomaga. Zdarzały się takie przypadki. Ale...

Scott wtrącił się i dokończył za nią, jak to miał w zwyczaju.

- ...dużo częściej to próżny trud, racja, pani detektyw?

Terri chwilę się zastanawiała, jakim trzeba być człowiekiem, żeby używać słów „próżny trud” w zwykłej rozmowie. Zachowała spokojną, nieprzeniknioną minę i kiwnęła głową.

Scott wydawał się mocno zakorzeniony w rzeczywistości; inni mogli to odbierać jako zimne, bezosobowe okrucieństwo. Zapewne było to szczególnie widoczne podczas jego sesji z pacjentami.

- Staram się pomóc jej zmierzyć się z prawdą - powiedział. - Mijają kolejne dni. Całymi godzinami siedzimy tutaj, jakbyśmy czekali, że zadzwoni telefon i usłyszymy Jennifer: „Hej, możecie przyjechać po mnie na przystanek?” I nic. Żadnego telefonu.

Żadnych wieści. Jakby się zapadła pod ziemię. - Odchylił się do tyłu i zatoczył łuk ręką. - Tu jest jak w mauzoleum. Mary nie może przez resztę życia tkwić w ciemności i czekać.

To właśnie powinna robić, pomyślała Terri. Ludzie zawsze wzywają do realizmu, dopóki nie idzie o ich własne dziecko. Wtedy nie ma realizmu. Wówczas robi się wszystko, co w ludzkiej mocy.

I tak będzie zawsze.

Nie sądziła, by „mierzenie się z prawdą” miało sens. Zrozumiała jednak, że w tym domu jest po niewłaściwej stronie równania. Wzięła kubek kawy od Mary, która usiadła naprzeciwko niej. Teraz szybko się zestarzeje, pomyślała. Każde słowo, które powiem, odbierze jej rok życia. Kiedy zacznę, będzie miała czterdzieści lat; kiedy skończę - sto.

- Chciałabym mieć dobre wieści... - odezwała się cicho.

ROZDZIAŁ 35

Wycie syreny sięgnęło przerażającego crescendo, jakby było tuż za ścianą celi, i nagle ucichło. Jennifer usłyszała głośne łup! kilku zamykanych drzwi samochodów. Potem, jak seria z karabinu, rozległo się łomotanie do odległych drzwi. Nie słyszała, żeby ktoś krzyknął: „Policja! Otwierać!”, ale jej wyobraźnia wypełniła tę lukę, gdy tylko rozbrzmiał tupot biegnących nóg. Wybijały perkusyjny rytm na podłodze piętro wyżej.

Zamarła w bezruchu - nie tyle dlatego, że tak jej kazano, ale też pojawiły się wizje, myśli i obrazy. Powstawały gdzieś w ciemności przed nią.

Słowo „ratunek” wsączyło się do jej serca.

Z gardła Jennifer nagle wyrwał się stłumiony okrzyk, który przeszedł w szloch. Nadzieja. Szansa. Ulga. Wszystkie te doznania, i wiele innych, zalały ją, uwolniły rwącą rzekę podniecenia.

Wiedziała, że oko kamery patrzy i że każdy jej ruch musi być widoczny na jakimś ekranie. Teraz jednak, po raz pierwszy, mógł ją zobaczyć ktoś z zewnątrz. Ktoś inny niż jej oprawcy. Nie bezosobowy, nie anonimowy. Ktoś, kto może stanie po jej stronie. Nie, ktoś, kto na sto procent stoi po mojej stronie, pomyślała.

Odwróciła się lekko w kierunku drzwi. Wychyliła się do przodu, wyczuła słuch.

Nasłuchiwała głosów, ale była tylko cisza. To dobrze, stwierdziła w duchu.

Oczami wyobraźni widziała, co się dzieje.

Musieli otworzyć drzwi. Nie można nie wpuścić glin, jak zapukają. Nastąpiła wymiana zdań... „Czy państwo...?” i „Mamy podstawy przypuszczać, że przetrzymujecie tu pewną dziewczynę. Jennifer Riggins. Znacie ją?” Mężczyzna i kobieta powiedzą „nie” - ale nie spławią tym glin, bo gliny im nie uwierzą. Policjanci będą twardzi. Nie dadzą się zbyć. Nie będą słuchać kłamstw. Wparują do środka... i teraz wszyscy razem stoją w jakimś pokoju na górze. Policjanci są nieufni, zadają pytania. Uprzejmie, ale stanowczo. Wiedzą, że jestem tutaj albo gdzieś blisko, ale jeszcze nie są pewni gdzie. To tylko kwestia czasu, Panie Futrzaku. Pojawią się tu lada chwila. Mężczyzna próbuje się tłumaczyć. Kobieta przekonuje, że nie robią nic złego, ale gliny wiedzą swoje. Mężczyzna i kobieta zaczynają się bać. To koniec. Gliny wyciągną broń. Oprawcy rzucą się do ucieczki, ale otoczeni nie będą mieli dokąd uciec. Lada moment funkcjonariusze wyjmą kajdanki. Widziałam to w setkach filmów i seriali. Rzucą mężczyznę i kobietę na podłogę i ich skują. Może kobieta się rozplacze, a mężczyzna będzie przeklinał: „pieprzcie się, pieprzcie się...”, ale gliny to zignorują. Całkowicie. Słyszeli podobne rzeczy już z milion razy. Jeden z nich powie: „Macie prawo zachować milczenie...”, a pozostali rozejdą się po domu i zaczną nas szukać, Panie Futrzaku. Słuchaj uważnie, lada chwila ich usłyszymy. Drzwi się otworzą i ktoś zawoła: „Jezu Chryste!” albo coś takiego, a potem nam pomogą. Zerwą mi łańcuch z szyi. „Nic ci nie jest? Jesteś ranna?” Ściągną mi opaskę z oczu. Ktoś krzyknie: „Wezwijcie pogotowie!”, a ktoś inny doda: „Tylko spokojnie... Możesz się ruszać? Co ci zrobili?” A ja im powiem, Panie Futrzaku. Powiem im wszystko. Możesz mi w tym pomóc. A potem ani się obejrzymy, a już mnie ubiorą i wokół zaroi się od ratowników medycznych i gliniarzy. Będę w środku tego wszystkiego. Ktoś wciśnie mi do ręki komórkę i usłyszę głos mamy. Będzie płakała... ze szczęścia i może tym razem nawet się tak bardzo na mnie nie pogniewa, bo naprawdę chcę wrócić

do domu, Panie Futrzaku. Chcę do domu. Potem zaczniemy wszystko od nowa. Bez Scotta. W nowej szkole, z nowymi dziećmi, już nie tak strasznie podłymi, i od tej pory będzie inaczej. Tak jak wtedy, kiedy żył tata. Znow będę czuła jego obecność. Wiem, że to on pomógł im mnie znaleźć, chociaż nie żyje. Wskazał im, gdzie mnie szukać, i przyjechali, proszę bardzo. A potem, Panie Futrzaku, gliny nas wyprowadzą. Ciemno, błyski fleszy, reporterzy, pytania... Ale ja nic nie powiem, będę tylko chciała wrócić do domu. Razem z tobą. Wsadzą nas na tył radiowozu, włączą sygnał i jakiś policjant rzuci: „Miałaś wielkie szczęście, Jennifer. Przyjechaliśmy w samą porę. To co, gotowa wrócić do domu?” A ja na to: „Tak. Proszę”. I za tydzień, dwa, zadzwoni ktoś z programu *Sześćdziesiąt Minut* albo z CNN i zaoferuje milion dolarów, żebym przedstawiła swoją historię. A wtedy, Panie Futrzaku, opowiemy o każdym szczególe. Staniemy się sławni i bogaci i od tej pory wszystko będzie inaczej. Lada moment.

Słuchała uważnie. Czekwała, aż któryś z wyobrażonych dźwięków rozlegnie się w rzeczywistości i potwierdzi to, co wiedziała, że dzieje się tuż poza jej zasięgiem.

Ale panowała cisza.

Docierał do niej tylko szmer własnego oddechu, przyspieszony, chrapliwy.

Pamiętała, że kazali jej być cicho. I wiedziała, że są zdolni praktycznie do wszystkiego. Nie mogła łamać zasad. Musiała być posłuszna.

Ale... to była jej szansa. Tylko jak ją wykorzystać?

Każda sekunda ciszy drażniła. Jennifer poczuła, że drży - jej ciałem wstrząsały znajome bezwiedne skurcze mięśni. Trwanie w bezruchu wydawało się prawie niemożliwe. Jakby każde zakończenie nerwowe, każdy jej narząd, każde uderzenie serca tłoczące krew do żył domagało się czego innego, miało własny, odrębny cel. Odnosiła wrażenie, jak gdyby wpadła w wir; uczucie jak w ruszającej kolejce górskiej, kiedy tory nagle opadają i

wagonik leci na łeb, na szyję, coraz głośniejszy, coraz szybciej.

Czekała. Udręka stawała się nieznośna.

Wierzyła, że zaledwie centymetry dzielą ją od bezpieczeństwa.

Wyciągnęła szyję, żeby wyłović coś, co powiedziałoby jej, co się dzieje. Ale była tylko paraliżująca cisza.

To za długo trwa, Panie Futrzaku. Za długo! - pomyślała.

Zastanawiała się gorączkowo, co zrobić. Mogłaby zacząć krzyczeć: „Tli jestem!” Albo brzęczeć łańcuchami. Przewrócić łóżko albo sedes. Byleby ten ktoś na górze usłyszał, że ona tu jest.

Zrób coś! Cokolwiek! Zanim sobie pójda!

Nie mogła dłużej wytrzymać. Zwiesiła nogi z łóżka, ale były jak z waty, słabe, bezsilne. Zmusiła się, by wstać. Zaraz wszystko się zacznie - wystarczy tylko zawołać o pomoc, narobić hałasu, wrzasnąć, cokolwiek, byle sprowadzić pomoc.

Otworzyła usta, zebrała się w sobie.

I nagle znieruchomiła.

Zrobią mi coś złego.

Nie. Policjanci cię usłyszą. Uratują.

Jeśli gliny nie przyjdą - oni mnie zabiją.

Oddech uwiązał jej w piersi. Czuła się, jakby przygniatał ją wielki ciężar.

Tak czy inaczej mnie zabiją.

Nie.

Jestem cenna. Jestem ważna. Coś znacę. Jestem Numerem 4. Potrzebują Numeru 4.

Niezdecydowanie krępowano jej ruchy. Wszystko ją przerażało.

Jennifer wiedziała, że musi się uratować. Jednak pod opaską widziała dwie drogi, obie biegnące skrajem przepaści, i nie mogła stwierdzić, która jest bezpieczna, która jest właściwa, wiedziała tylko, że którąkolwiek wybierze, nie będzie powrotu, że droga za nią zniknie. Gorące łzy spływały po policzkach. Rozpaczliwie pragnęła usłyszeć coś, co powiedziałoby jej, którądy pójść, ale cisza była torturą tak wielką jak wszystko, co zrobili jej mężczyzna i kobieta.

Umrę. Tak czy tak, umrę, pomyślała.

Nic nie miało sensu. Nic nie było jasne. Nie potrafiła określić: co słuszne, a co nie. Mocno ścisnęła Pana Futrzaka.

I wtedy - jakby cudza ręka prowadziła jej własną - uniosła krawędź opaski.

- Nie rób tego! - zawołał filmowiec.

- Tak! Tak! Zrób to! - krzyknęła jego żona performerka.

Nie odrywali oczu od płaskiego ekranu telewizora zamontowanego na nagiej ceglanej ścianie ich modnego loftu w Soho. Filmowiec - chudy, żylasty mężczyzna pod czterdziestkę - zarabiał na wygodne życie, kręcąc filmy dokumentalne o nędzy Trzeciego Świata, finansowane przez rozmaite organizacje pozarządowe. Jego posągowa żona - ślubu niedawno udzielił im znajomy gej, który w odruchu frustracji porzucił kapłaństwo i prawdopodobnie nie miał prawa udzielać ślubów - też była chuda. Kaskada splełanych, kręconych czarnych włosów upodabniała ją do Meduzy. Kobieta regularnie występowała w nocnych klubach i na małych scenach, o których raczej nie piszą w „New Yorkerze”. To dawało jej pewną popularność w kręgach awangardowych, choć sama skrycie marzyła o tym, żeby załapać się do mainstreamu, gdzie mogłaby liczyć na większe pieniądze i większy rozgłos.

- Musi wydostać się na wolność! - powiedziała podekscytowana.

Mąż pokręcił głową.

- Musi ich przechytrzyć. To tak jakby stać oko w oko z uzbrojonym człowiekiem... - zaczął, ale szybko mu przerwała.

- Przecież to dziecko. Przechytrzyć ich? Zapomnij.

Drugi raz wykupili abonament na cobedziepotem.com. Uważali, że pieniądze, które na to poszły, to wydatek związany z pracą i podlega odliczeniu od podatku. Awangardowy film, aktorstwo nowej fali. Po oglądaniu Numeru 4 często toczyli długie, głębokie dyskusje o tym, co zobaczyli, i znaczeniu tego dla współczesnej sztuki. Oboje postrzegali *Co będzie potem?* jako twórcze rozwinięcie dokonań Warhola i Factory, które, przed

laty wyszydzane, z czasem zyskały uznanie w oczach krytyków i myślicieli. Numer 4 fascynowała ich oboje, ale traktowali to jako zainteresowanie czysto intelektualne - nie chcieli uznać, że to, co robią, może być przestępstwem czy aktem chorej ciekawości. Znajomym nic o tym nie mówili - choć na wielu przyjęciach, kiedy rozmowa schodziła na temat technik kinematograficznych i rosnącej roli Internetu, gdzie film spotyka się ze sztuką, czuli pokusę, by opowiedzieć o swojej fascynacji Numerem 4 i o tym, jak wiele ta dziewczyna dla nich znaczy. Nie robili tego jednak, choć sądzili, że wśród uczestników tych przyjęć zapewne znaleźliby wielu abonentów tego samego serwisu. W końcu to przy jednej z takich okazji dowiedzieli się o jego istnieniu.

Kiedy jednak oglądali Numer 4 przez kolejne dni i noce, każde z nich połączyła z nią innego rodzaju więź. Filmowiec był opiekuńczy, pełen obaw o los dziewczyny, ostrożny. Nie chciał, żeby robiła cokolwiek, co naraziłoby ją na niebezpieczeństwo albo niepotrzebnie skomplikowało sytuację. Jego żona, przeciwnie - pragnęła, by Numer 4 szła na całość, podejmowała każde ryzyko, postawiła się mężczyźnie i kobiecie, walczyła z nimi. Nalegała na bunt, podczas gdy mąż mówił tylko o potrzebie ostrożności i posłuszeństwa.

Wierzyli, że to, co wykrzykiwali w stronę ekranu, było jedyną nadzieją Numeru 4 na przetrwanie.

Często się o to spierali. A te kłótnie wciągały ich głębiej w historię Numeru 4. Każde z nich wykazywało słusność własnego podejścia. Żona piała z zachwytu, kiedy Numer 4 pierwszy raz wyjrzała spod opaski, rozeznała się w otoczeniu i zauważyła główną kamerę. Filmowiec zerwał się na równe nogi i triumfalnie podniósł zaciśniętą pięść, gdy Numer 4 znosiła w bezruchu zawołowane groźby mężczyzny.

Wtedy powiedział: „Tylko tak może panować nad sytuacją. Musi pozostawać nieodgadniona”.

Performerka odparła: „Musi tworzyć własną narrację. Przejmując kontrolę nad wszystkim, nad czym tylko się da. Jedynie wówczas będzie mogła pamiętać, kim jest, i sprawić, że mężczyzna i kobieta będą w niej widzieć osobę, nie rzecz”.

„Tak nigdy się nie stanie”, stwierdził mąż. Wszystkie podobne wymiany zdań brzmiały jak początek kłótni. Zawsze jednak kończyły się identycznie: on zaczynał głaskać ją po nodze, ona przytulała się do niego. Fascynacja jako gra wstępna.

A teraz, w swoim lofcie, po wykwintnej kolacji popijanej drogim białym winem, półnadzy oglądali dramatyczne wydarzenia, które rozpoczęły się chwilę przed tym, jak mieli położyć się spać.

- Teraz ma szansę, do cholery! - prawie krzyczała kobieta. - Wykorzystaj to, Numerze 4! Zawładnij chwilą!

Używała żargonu ich znajomych terapeutów.

- Słuchaj, zupełnie się mylisz. - Filmowiec podniósł głos, ale nie odrywał oczu od ekranu. - Jeśli ich nie posłucha, kto wie, na co się narazi. Może wpadną w panikę. Może... - urwał. Żona wskazywała róg ekranu. Numer 4 podniosła dłonie do obroży. To przyciągnęło ich uwagę. Raptem obraz przełączył się na widok z góry, z kamery tuż za plecami dziewczyny. Filmowiec intuicyjnie zrozumiał, co ta zmiana oznacza, i niecierpliwie wychylił się do przodu. Performerka jednak pokazywała mu coś innego.

Jennifer wsunęła Pana Futrzaka pod pachę i podniosła dłonie do obroży i łańcucha. Zdawała sobie sprawę, że ma trzy możliwości: narobić hałasu, spróbować uciec, nie robić nic i czekać na policję.

Pierwsza byłaby złamaniem wyraźnego zakazu. Nie miała pojęcia, czy policjanci na górze w ogóle by ją usłyszeli. Kto wie, czy cela nie została wyciszona, na wypadek gdyby stało się coś takiego jak teraz. Stwierdziła, że mężczyzna i kobieta wszystko starannie zaplanowali; musiała więc zrobić coś nieoczekiwanego.

Ta myśl ją przeraziła.

Zrozumiała, że jest na skraju przepaści. Usiłowała zachować równowagę - ale szaleńcza energia wzięła górę.

Zaczęła zrywać obrożę z szyi.

Jej paznokcie szarpały i drapały. Zacisnęła zęby.

Paradoksalnie nie zdjęła opaski z oczu. Jakby złamanie dwóch reguł naraz było ponad jej siły.

Czuła, że łamią się jej paznokcie, a skóra szyi zdziera się do krwi. Oddychała jak nurek uwięziony w morskiej toni, który rozpaczliwie szuka powietrza.

W walce z obrozą zużyła cały zapas sił. Pan Futrzak wyśli-
zgnął się z uścisku i wylądował u jej stóp. Pod opaską szlochała z bólu.

Chciało jej się krzyczeć i kiedy już otworzyła szeroko usta, poczuła, że materiał zaczyna się przecierać. Wzięła głęboki wdech i gwałtownie szarpnęła za więzy na szyi.

Rozerwały się.

Załkała i mało nie upadła z powrotem na łóżko.

Łańcuch runął z brzękiem na podłogę.

Otaczała ją cisza, wewnątrz siebie jednak Jennifer słyszała potężną hałaśliwą uwerturę, jakby dźwięk skrobanej tablicy albo przelatującego centymetry nad głową odrzutowca. Zatkąła uszy, żeby to wyciszyć.

Usiłowała się opanować; nagle odzyskana wolność przyprawiła o zawroty głowy. Bez łańcucha czuła się jak marionetka, która urwała się ze sznurków; nogi ugiwały się pod nią, mięśnie drgały jak flaga na wietrze.

Opaska wciąż była na swoim miejscu. Przez głowę Jennifer przebiegały setki myśli, wszystkie jednak zagłuszał przeraźliwy strach. Podniosła rozdygotane ręce i zerwała opaskę.

Kiedy czarny materiał opadł z oczu, wrażenie było takie, jakby nagle spojrzała w słońce. Podniosła dłoń i zamrugnęła. Łzawiły jej oczy. Myślała, że oślepla - zaraz jednak wzrok wrócił i wyostrzył się jak za wyregulowaniem kamery.

Rozejrzała się.

W pierwszej chwili zamarła w bezruchu. Wbiła wzrok w od-
daloną o półtora metra kamerę. Miała ochotę ją rozwalić - ale tego nie zrobiła. Zamiast tego schyliła się spokojnie i podniosła pluszowego misia.

Powoli odwróciła się w stronę stołu. Tam widziała swoje ubrania, kiedy przed kilkoma dniami wyjrzała spod opaski.

Zniknęły.

Zachwiała się lekko, jak gdyby dostała w twarz. Przełknęła

ślinę, żeby powstrzymać wzbierającą falę przerażenia i mdłości. Liczyła, że znajdzie swoje ciuchy - jakby włożenie dżinsów i obszarpanej bluzy miało oznaczać krok w stronę dawnego życia, a stanie półnago w celi było tylko dalszym ciągiem życia, które jej narzucono. Próbowwała zrozumieć ten podział, na próżno. Spojrzała w prawo i w lewo. Miała nadzieję, że tylko gdzieś przełożyli ubranie. Pokój jednak był pusty - nie licząc łóżka, kamery, porzuconego łańcucha i sedesu turystycznego.

Jakaś jej cząstka próbowała przekonać samą siebie: nie przejmuj się, nie przejmuj się - możesz uciec tak, jak stoisz... - ale jeśli ta myśl przedarła się do jej wyobraźni, to pozostawała ukryta. Jennifer zrobiła krok naprzód.

Powtarzała w duchu: uciekaj, uciekaj, uciekaj. Nie wiedziała jednak, co konkretnie powinna zrobić. Miała tylko mglisty plan, by wyrwać się na wolność i zawołać policjantów na górze. Snuta przez nią fantazja zmieniała się z każdym kolejnym krokiem. Teraz to ona musi znaleźć ich, nie odwrotnie.

Odetchnęła głęboko i przemierzyła celę. Jej bose stopy plaskały o cement, kiedy przeszła obok kamery i wyciągnęła rękę do gałki w drzwiach.

Żeby nie było zamknięte, żeby nie było zamknięte...

Jej dłoń objęła gałkę. Przekręciła ją.

O mój Boże, Panie Futrzaku, jesteście wolni.

Nieśmiało, najciszej jak mogła, pchnęła drzwi. Sprężyła się. Bądź gotowa. Teraz uciekniemy. Biegnij szybko. Ile sił. Tak szybko jak jeszcze nigdy.

Miała dość czasu na jeden oddech, jeden rzut oka na otoczenie. Zobaczyła ciemną, pełną cieni, zakurzoną piwnicę, drewniane okno wypełnione czarnym nocnym niebem i drobinami kurzu, po czym w jej oczy uderzyło światło, najjaśniejsze jakie w życiu widziała. Oślepiąca wciągnęła powietrze i podniosła misia, instynktownie osłaniając się od tej eksplozji. Jakby nadlatywała ku niej kula ognia.

I nagle zapadła nieprzenikniona ciemność, gdy na głowę Jennifer opadł kaptur - taki sam jak w pierwszych chwilach niewoli. Zanim zaczęła się krztusić, usłyszała ostry głos kobiety:

„Zły wybór, Numerze 4”. Przez chwilę szamotała się gwałtownie, w końcu jednak została rzucona na ziemię i unieruchomiona żelaznym uściskiem. Całe przerażenie ostatnich dni spadło na nią w jednej strasznej sekundzie i wciągnęło ją w wielką czarną dziurę. Spadała bezradnie.

Performerka pokręciła głową.

- Cholera - powiedziała zasmucona, a mimo to zafascynowana. - Cholera.

Jej mąż filmowiec westchnął.

- A nie mówiłem? - szepnął cicho, kiedy patrzyli na szamoczącą się Numer 4.

- To nie w porządku - burknęła żona. Nie wyłączyła jednak telewizora. Zamiast tego ścisnęła dłoń męża i wzdrygnęła się. Usiedli wygodnie na kanapie i oglądali dalej. Nie mogli oderwać oczu od ekranu.

W tym samym czasie, na Uniwersytecie Georgii, w domu Tau Epsilon Phi, student gorączkowo wysłał esemesa do swojego współlokatora, który wciąż siedział na wieczornych zajęciach. „Bez jaj! Wygraliśmy! Zaczyna się. Omija cię najlepsze”.

W rogu ekranu zegar odmierzający czas do gwałtu stanął, błysnął na czerwono i wyzerował się.

ROZDZIAŁ 36

Nie - powiedział Adrian. - Nie. Nie. Nie. Nie - powtarzał.

Na ekranie wyskakiwały zdjęcia młodych kobiet. Wszystkie uczestniczyły w rozmaitych aktach seksualnych lub pozowały przed kamerami internetowymi: mydliły się pod prysznicem, siedziały nago przed lustrem i wytrwale robiły sobie makijaż bądź lubieżnie zabawiały mężczyznę lub drugą kobietę. Mężczyźni zwykle mieli tatuaże, a kobiety burzę blond włosów. Niektóre były początkującymi gwiazdkami porno. Inne zupełnymi

amatorkami. Studentki i call girls. Wszystkie kokietowały kamerę. Adrian pomyślał, że są dziecinne i piękne, a mimo to tajemnicze. Skarcił się w duchu: tyle lat studiowania psychologii i nie potrafisz wymyślić, dlaczego ktoś tak bez skrępowania obnaża się przed obcymi.

Jedną odpowiedź oczywiście znał. Dla pieniędzy.

To jednak uznał za mało logiczne.

Potem naszła go druga myśl: Kamera nie jest publiczna. To tylko środek dystrybucji samego siebie.

Sam ledwo wyczuwał te psychologiczne niuanse.

Adrian odwrócił się do przestępcy seksualnego, który przywoływał kolejne obrazy. Spodziewał się, że Mark Wolfe będzie poirytowany, że wyrzuci ręce w górę w geście frustracji, bo sam miał ochotę tak zrobić; nic z tych rzeczy. Uderzał tylko w klawisze i otwierał kolejne zdjęcia, penetrując witrynę za witryną. Komputer zalewała kaskada pornografii. Wolfe miał styl maestra, klikał zapamiętane, ledwo zerkał na obrazy i filmy na ekranie, nie zważał na niemilknące jęki i stękania, które wydobywały się z głośników. Adrianowi udzielił się ten rytm - nie zwracał większej uwagi na szczegóły, jakby otepiała powtarzalność uodporniła jego oczy na atakujące je sceny i pozwoliła mu skupić się na wypatrywaniu jakiegoś charakterystycznego znaku, który wskazywałby, że natrafili na Jennifer.

Poruszył się na miejscu.

- Czy aby na pewno dobrze się do tego zabieramy? - spytał powoli.

Wolfe znieruchomiał. Wyłączył dźwięk; został sam obraz dziewczyny - z wyglądu niespełna osiemnastoletniej. Wiła się w całkowicie udawanej rozkoszy. Adrian podniósł kartkę z przygotowaną listą, pełną adresów internetowych i stron o nazwach typu seksnastolatki.com czy oglądajmnie24.com. Adrian pomyślał, że praktycznie każda kombinacja słów z podtekstem seksualnym znalazła swoje miejsce na mapie Internetu.

- Jest jeszcze dużo adresów do sprawdzenia... - zaczął, po czym pokręcił głową. - Czy dobrze się do tego zabieramy? - powtórzył.

- Nie, profesorze. - Wolfe wskazał na kobietę przed nimi. - I... - dodał powoli - ...jak pewnie zdążył pan zauważyć, mało kto tutaj jest zmuszany do czegokolwiek...

Adrian spojrział w ekran. Czuł się jak po wizualnej walce.

- ...Chociaż nie, nie do końca mam rację - ciągnął mężczyzna. - Mógł ich do tego zmusić brak pieniędzy, pracy, a może po prostu niczego innego nie potrafią. Albo siedzi w nich coś, co każe im to robić, może to ich kręci. Niewykluczone.

Ale z małą Jennifer to co innego, prawda? - zakończył swój wywód pytaniem.

Adrian skinął głową.

- No właśnie - mruknął Wolfe. - A nawet amatorki czy gówniary z liceum, które wrzucają swoje zdjęcia na Facebooka, są dużo starsze od tej pana dziewczyny. Poza tym, administratorki tych stron nie chcą trafić za kratki, więc bardzo pilnują, żeby nawet małolaty, które w tajemnicy przed mamusią i tatusiem pstrykają fotki aparatem w komórce, miały co najmniej osiemnaście lat. Nikt nie chce kłopotów, jakie... - urwał.

Adrian wbił w niego wzrok. Zrozumiał, że Wolfe prowadzi go w miejsca zdecydowanie zbyt legalne i uczęszczane. Może w ten sposób poddawał go próbie.

- Panie Wolfe, z nas dwóch to pan jest ekspertem. Proszę udzielić mi fachowej rady.

Mark po chwili namysłu sięgnął po stojącą na podłodze butelkę wody. Pociągnął długi łyk. Wreszcie zmiął kartki z zapisanymi adresami stron.

- Mam pewien pomysł. - Odchylił się na krześle zamyślony. - Zna pan datę zniknięcia małej Jennifer... więc jeśli dziewczyna gdzieś tu jest, to na względnie nowym poście. Większość tamtych stron funkcjonuje od dawna. Twarze się zmieniają. Akcja nie.

Adrian przytaknął.

- Przymus, panie Wolfe. Dziecko przymuszane do...

Wolfe wziął ulotkę i spojrział na zdjęcie Jennifer.

- Dziecko, hę? Ładniutka...

Adrian musiał zrobić dziwnie groźną minę, bo Wolfe uniósł dłoń.

- Rozumiem. Pan widzi dziecko. Dla mnie jest, cóż... - zaważał się. Pewnie zamierzał powiedzieć coś w stylu „w sam raz”. - No dobrze, profesorze. Teraz zrobi się niebezpiecznie. Na pewno chce pan to ciągnąć?

- Tak.

- To będą naprawdę mroczne miejsca. Proszę uważnie patrzeć. Może te rzeczy są mocne. Nawet, według niektórych, odrażające. Albo szokujące, ja tam nie wiem. Ale nie siedziałyby tutaj, gdyby gdzieś tam ktoś nie był skłonny płacić, żeby je oglądać. I tych kłosiów jest tak dużo, że wszystkie te strony tłuką dużą forszę. Teraz trzeba tylko dopasować małą Jennifer do tego schematu i dowiemy się, gdzie szukać.

- Niech pan jej nie nazywa „małą Jennifer”. Wtedy wydaje się to takie...

Mężczyzna zaśmiał się i dokończył za profesora.

- ...błaha?

- Mhm.

- Dobrze, spróbuję. Ale musi pan coś zrozumieć: w sieci wszystko staje się błaha. - Spojrzał na splecione ciała na ekranie. Zaważał się. - Co pan widzi, profesorze?

- Jakaś para uprawia seks...

Wolfe pokręcił głową.

- Sądziłem, że pan tak powie. Tak mówi praktycznie każdy. Proszę przyjrzeć się uważniej.

Adrian znieruchomiał. Myślał, że to mówi Wolfe, potem jednak rozpoznał głos Briana. Ale nie tylko. Miał wrażenie, jakby dwie halucynacje nakładały się na siebie - i wychylił się do przodu, usiłując rozróżnić poszczególne głosy, aż w końcu zorientował się, że słowa Briana powtarza Tommy.

Zajrzyj głębiej, usłyszał.

Przez chwilę był dezorientowany, niepewny, skąd nadeszło to polecenie. Potem uprzytomnił sobie, że to musiał być Tommy, nikt inny. Miał ochotę wybuchnąć radosnym śmiechem. Prawie stracił nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek usłyszy syna.

Zajrzyj głębiej, rozległo się znowu. To tak, jak mówiłem ci poprzednio, tato. Wykorzystaj poezję. Wykorzystaj psychologię. Myśl jak przestępca. Postaw się na miejscu szczura. Dlaczego

wybiera ten, nie inny korytarz labiryntu? Dlaczego? Dlaczego? Co na tym zyskuje i jak? No, tato, dasz radę.

Adrian wyszeptał imię syna. Sam dźwięk imienia „Tommy” napełnił go różnymi uczuciami; kołatały się w nim miłość i poczucie straty. Chciał spytać: „co masz na myśli?”, ale słowa zagubiły się na języku, kiedy przerwały mu nalegania Tommy'ego.

Morderstwa na wrzosowiskach, tato. Dlaczego zabójcom powinęła się noga?

- Wyszli z ukrycia.

Co to znaczy, tato?

- Że byli zbyt pewni siebie i zrezygnowali z anonimowości. Nie pomyśleli o konsekwencjach takiej decyzji.

Czy nie tego właśnie powinieneś szukać?

Głos syna wydawał się pewny, zdeterminowany. Tommy zawsze potrafił zachować zimną krew, nawet kiedy wszystko wokół waliło się w gruzy. Dlatego był tak znakomitym fotografem wojennym.

Adrian spojrzał na ekran.

- Hej, profesorze... - W głosie Wolfe'a brzmiał niepokój.

Adrian przybrał ton studenta wyrwanego do odpowiedzi przez nauczyciela.

- Widzę kogoś, kto z jakiegoś powodu chce być na tym ekranie - powiedział. - Kogoś, kto gra według jakichś reguł, występuje z własnej woli. Widzę kogoś, kto nie został zmuszony do tego, by się okaleczyć psychicznie.

Wolfe się uśmiechnął.

- Bardzo to poetyckie, profesorze. Ja uważam tak samo.

- Widzę żerowanie na ludziach. Widzę biznes.

- Widzi pan zło, profesorze? Wielu ludzi powiedziałoby, że widzi zepsucie, coś wstrętnego i przerażającego jednocześnie. A potem przestaliby patrzeć.

Adrian pokręcił głową.

- W moim fachu nie dokonujemy moralnych ocen. Oceniamy tylko zachowania...

- Jasne. Już w to wierzę... - Wolfe wydawał się rozbawiony, ale nie tak irytująco.

Ten człowiek musiał poświęcić wiele czasu na to, by poznać samego siebie, ustalić, co go pociąga, pomyślał Adrian. Kiedy Wolfe znów odwrócił się do klawiatury komputera, Brian szepnął: *No dobrze, jest zboczeńcem i degeneratem, ale nie socjopata. Kto by przypuszczał?*

Śmiech Briana ucichł, kiedy Wolfe wcisnął kilka klawiszy i ekran wypełnił się czerwienią i czernią. Zbliżenie lochu. Ściany obwieszane biczami i łańcuchami. W czarnej drewnianej konstrukcji tkwił mężczyzna w obcisłej skórzanej masce. Tęga kobieta, także opięta czarną skórą, chłostała go metodycznie. Mężczyzna był nagi, po każdym smgnięciu przechodził go dreszcz. Czy przyjemności, czy bólu, tego Adrian nie potrafił stwierdzić. Może jednego i drugiego.

- O takich mrocznych miejscach mówiłem - wyjaśnił Wolfe.

Adrian patrzył przez krótką chwilę. Mężczyzna w masce zadrażał.

- Tak. Rozumiem. Ale to...

- Tylko przykład, profesorze.

Adrian milczał.

- Musimy zawęzić kryteria poszukiwania - odezwał się wreszcie.

Wolfe znów przytaknął.

- To samo przyszło mi do głowy.

Adrian miał ochotę wykrztusić: „Gdzie mam szukać?” w nadziei, że Tommy albo Brian mu to podpowiedzą, oni jednak jak na złość milczeli.

- Musimy poszukać osób więzionych - stwierdził.

Wolfe jakby się zamyślił, a Adrian mówił dalej.

- Troje ludzi. Dwójka porywaczy i Jennifer. Jak wciągają ludzi w to, co zrobili? Muszą na tym zarabiać. Inaczej te poszukiwania to strata czasu. Proszę pójść tropem pieniędzy, panie Wolfe. Niech pan wymyśli, jak ktoś mógłby wykorzystać dziewczynę uprowadzoną z ulicy.

Adrian naciskał. W jego głosie brzmiała stanowczość - może to skutek trawiącej go choroby. W jakimś głębokim zakamarku umysłu słyszał, jak brat i syn biją mu brawo.

Wolfe odwrócił się do komputera.

- Proszę dobrze usiąść - polecił cicho. - To nie będzie łatwe, zwłaszcza dla kogoś w pańskim wieku.

- A dla pana, Wolfe?

Przestępca seksualny pokręcił głową.

- Znajome terytorium, profesorze. Wszystko to już widziałem. - Dalej stukał w klawisze. - Kiedy jest się takim jak ja, nie od razu rozumie się, co dokładnie... człowieka pociąga. Trzeba samemu do tego dojść. Pojawiają się coraz to nowe pomysły, zainteresowania i cóż, próbuje się je realizować. Najpierw wędruje się myślami, potem na nogach. - Wzruszył ramionami. - I wtedy zwykle się wpada. Kiedy człowiek nie jest pewien, czego właściwie szuka. Ale gdy już to wie, to znaczy, naprawdę wie, wtedy ma z góry, bo może zaplanować wszelkie swoje działania z myślą o konkretnym celu.

Adrian nie sądził, by którykolwiek z wykładowców jego dawnego wydziału mógł zwięźle przedstawić złożone problemy emocjonalne przestępców seksualnych.

Wolfe nagle zamarł z palcem zawieszonym nad ostatnim klawiszem.

- Muszę mieć pewność, że stoi pan po mojej stronie - oznajmił szorstko. - Że mogę na pana liczyć. Że to wszystko zostanie między nami.

Adrian nagle usłyszał głosy Tommy'ego i Briana. Nalegały: *Śmiało. Skłám.*

- Tak. Daję panu słowo.

- Wytrzyma pan widok, jak kogoś gwałcą? Albo zabijają?

- Przecież mówił pan, że filmy snuff nie istnieją.

Wolfe pokręcił głową.

- Mówiłem, że nie istnieją w świecie racjonalnym. Są legendą miejską. W świecie nieracjonalnym, cóż... kto to może wiedzieć. - Odetchnął głęboko. - Widzi pan, gdyby nakryli mnie z takimi rzeczami na moim komputerze albo gdyby jakiś glina od tych spraw namierzył, że coś takiego oglądałem, zostałbym...

Adrian nie musiał dopowiadać brakującego słowa. Było oczywiste.

- Nie. Robi to pan na moje żądanie. Jeśli wynikną jakies kłopoty z policją, całą winę wezmę na siebie.

- Całą.
- Tak. A pan powie prawdę. Że zapłaciłem za to, by był moim przewodnikiem.

- Mhm, tyle że musieliby mi uwierzyć - mruknął przestępca. Adrian miał wrażenie, że facet balansuje na krawędzi.

Z jednej strony wiedział, w jak wielkie tarapaty może się wpakować, nawet jeśli Adrian będzie go krył. Z drugiej chciał w to wejść. Obejrzeć te wszystkie miejsca, które zamierzali odwiedzić. Adrian poznał to po tym, jak Mark ochoczo zgarbił się nad klawiaturą.

- No dobrze, profesorze, teraz wkroczymy w mrok. - Uśmiechnął się.

Adrian zrozumiał, że Wolfe często wędrował przez te światy.

Przestępca wcisnął ostatni klawisz i na ekranie pokazały się dzieci. Bawiły się w parku zalanym słońcem. W tle Adrian dostrzegł zabytkowe budowle i brukowane ulice. Amsterdam, domyślił się. Mark Wolfe drgnął - Adrian wychwycił ten mimowolny ruch tylko kątem oka. Obaj przełknęli ślinę, jakby nagle zaschło im w gardle, choć z diametralnie przeciwnych powodów.

- Z pozoru coś zupełnie niewinnego, prawda, profesorze? Adrian przytaknął.

- To się zaraz zmieni.

Słoneczny dzień i park zniknęły. Zastąpił je pokój z białymi ścianami. Stało w nim łóżko.

- Zaznaczam: oglądanie tego, posiadanie, nawet myślenie o tym jest absolutnie niezgodne z prawem - oznajmił Wolfe, wychylając się do przodu.

- Dalej - polecił Adrian, choć miał nadzieję, że to Brian każe mu kontynuować; tak naprawdę jednak od kilku minut naciski halucynacji ustały. Wydawało się, że nawet obcesowy, nieżyjący prawnik u jego boku był zatrzwożony tym, co pojawiło się na ekranie.

Dwaj mężczyźni przez długie godziny wędrowali po komputerowym świecie, który - zdawało się - istnieje w równoległej rzeczywistości, gdzie obowiązują inne reguły, inna moralność. Ten świat odwoływał się bezpośrednio do stron ludzkiej natury

zimno opisywanych w podręcznikach, z których Adrian uczył studentów przed dziesiątkami lat. Istniał od wieków - nowy był tylko system komunikacji i uczestnicy. Normalnie Adrian byłby wstrząśnięty tym, co widzi, podchodził jednak do tego z dystansem naukowca. Jako badacz miał określony cel, i wszystko, co przebiegało mu przed oczami i nie pasowało do jego teorii, natychmiast odrzucał. Niejeden raz, wierząc się niespokojnie na widok jakiejś okropnej sceny wykorzystywania jednego człowieka przez drugiego, myślał sobie, że ma szczęście, że jest psychologiem i traci rozum i pamięć jednocześnie. Dzięki temu był niejako podwójnie zabezpieczony i mógł oglądać rzeczy, które nadawały nowe znaczenie słowu „potworność”.

Przez cały długi dzień i wieczór matka Wolfe'a co pewien czas stawała w drzwiach salonu i niepewnie domagała się dostępu do „swoich seriali”, dobry syn jednak szybko ją zbywał. W końcu zrobił jej coś do jedzenia i zgodnie z cowieczornym rytuałem ułożył ją do snu, przepraszając za zmonopolizowanie telewizora i obiecując, że jutro będzie mogła oglądać sitcomy dłużej niż zwykle. Wolfe'owi było wyraźnie przykro, że pozbawia matkę tych chwil. Adrian wyczuwał u niego empatię, jednocześnie jednak nie mógł nie zauważyć rozkoszy, z jaką rzucał się w wir obrazów, które znaleźli. Czasem, kiedy Adrian mówił „Przejdźmy dalej...”, Wolfe wyraźnie się ociągał, niechętnie odrywał się od oglądanych scen. Był jednocześnie pobudzony i ostrożny. Adrian przypuszczał, że przestępca nigdy nie zwiedzał światów internetowych w towarzystwie.

To wyczerpujące i otepiające, pomyślał.

Widzieli dzieci. Widzieli zboczenie. Widzieli śmierć.

Wszystko wyglądało prawdziwie, nawet kiedy było sztuczne. Wszystko wyglądało sztucznie, nawet kiedy było prawdziwe.

Granica między iluzją a rzeczywistością zatarła się całkowicie. Adrian nie potrafił już stwierdzić, czy to, co ogląda, dzieje się naprawdę, czy też zostało upozorowane z wprawą hollywoodzkiego specjalisty od efektów specjalnych. Terrorysta mordujący zakładnika - to musiało wydarzyć się naprawdę, ale w jakimś innym, mrocznym świecie.

Wolfe dalej wciskał klawisze, ale coraz wolniej. Pewnie mężczyło go balansowanie na skraju czeluści, w której skrywa się tak wiele jego własnych pragnień.

Było późno.

- Profesorze, musimy zrobić przerwę. Coś zjeść. Wypić kawę. Dajmy sobie na dziś spokój. Niech pan przyjdzie jutro, spróbujemy znowu.

- Jeszcze kilka stron.

- Ma pan pojęcie, ile pan już pieniędzy wydał? Za wstęp na każdą taką witrynę się płaci. Mówimy tu już o tysiącach...

- Proszę kontynuować. - Adrian wskazał na listę, która wyskoczyła na ekranie. Trzy adresy: zrobiewszystko.com, twoimtodziprzyjaciele.com i cobedziepotem.com.

Wolfe kliknął na ten ostatni. Wyprostował się gwałtownie.

- Proszę spojrzeć. Żądają grubej forsy za wstęp. Droga strona. Muszą oferować coś szczególnego. - To ostatnie słowo wypowiedział z ożywieniem i przejęciem.

Czerwony napis na czarnym tle, lista cen, i zegar pokazujący czas działania strony. Żadnej informacji, co się tu sprzedaje; a zatem kupujący wiedzą, czego się spodziewać. To go zaintrygowało. Wolfe wskazał na zegar.

I nagłówek: *Seria numer 4*.

- Czy to nie pokrywa się z czasem zniknięcia tej pańskiej dziewczyny?

Adrian szybko policzył w pamięci. Tak, zgadzało się. Wychylił się do przodu. Nagle wezbrał w nim entuzjazm, ale inny niż ten, który wyczuwał u Wolfe'a.

- Zapłać - rzucił.

Wolfe wpisał numer karty kredytowej Adriana. Zaczekali na zatwierdzenie transakcji. Potem pokój wypełniła *Oda do radości* Beethovena.

- Fajne - stwierdził Wolfe. Wpisał nick „psychprof”, po czym, poproszony o hasło, wprowadził „Jennifer”.

- No dobra, profesorze, zobaczymy, co my tu mamy.

Następne kliknięcie i na ekranie pojawił się obraz z kamery internetowej. Młoda kobieta z twarzą zasłoniętą kapturem siedzi

na łóżku. Sama w surowym piwnicznym pokoju. Dygocze ze strachu. Naga. Na rękach ma kajdanki, luźno przykute do przytwierdzonego do ściany łańcucha.

- O kurde - wymamrotał Wolfe. - Ostra jazda.

Na dole pokazały się słowa: „Przywitaj się z Numerem 4, psychprof...”

Adrian wbił wzrok w ekran. Jego oczy wędrowały po skórze dziewczyny. Wypatrywał jakiegoś znaku szczególnego, który mógłby mu pomóc. Nie zobaczył nic.

- Nie wiem - oznajmił, jakby w odpowiedzi na pytanie, którego nie trzeba było zadawać na głos. Wstał i podszedł do telewizora, jakby liczył, że z bliska więcej zobaczy. Pomieszczenie na ekranie wypełniał odgłos ciężkiego oddechu i tłumionego szlochu.

- Proszę zobaczyć, profesorze. Na ramieniu...

Adrian dostrzegł tam wytatuowany czarny kwiat. Wolfe stanął obok. Pokazał coś, dotykając ekran dłonią, jakby pieścił widoczną na nim osobę.

Adrian zauważył, o co chodziło. Cienka blizna po operacji wyrostka robaczkowego.

- Ale wiek na oko się zgadza, prawda, profesorze?

Adrian wziął ulotkę z informacjami o zaginionej. Nie znalazł wzmianki o tatuażu ani bliźnie pooperacyjnej.

Zawahał się. Wziął ze stołu komórkę Wolfe'a.

- Do kogo pan dzwoni? - rzucił mężczyzna.

- A jak pan myśli? - odparował Adrian. Wybrał numer, ale oczy miał utkwione w nagiej, dygoczącej dziewczynie przed nim.

Terri Collins odebrała po trzecim dzwonku. Wciąż siedziała naprzeciwko Mary Riggins i Scotta Westa i setny raz brnęła przez te same wyjaśnienia. Zdawało się, że Mary Riggins ma niewyczerpany zasób łez. Hojnie przelewała je przez tych kilka godzin, które Terri spędziła u jej boku. Trudno się dziwić. Terri sama by tak reagowała.

Na ekraniku wyświetliło się nazwisko Wolfe'a. To ją zaskoczyło. Raz - była prawie noc, dwa - to nie miało najmniejszego

sensu. Przestępcy seksualni nie dzwonią na policję. Jest dokładnie odwrotnie.

Zdziwiła się jeszcze bardziej, kiedy usłyszała cichy głos Adriana.

- Pani detektyw, przepraszam, że niepokoję o tak późnej porze... - zaczął. Mówił, jakby mu się spieszyło.

Dziwne. Collins pamiętała, że podczas ich spotkań Thomas zazwyczaj wydawał się niepewny, rozchwiany. Pośpiech zupełnie do niego nie pasował.

- O co chodzi, profesorze? - spytała szorstko, skupiona na łzach Mary Riggins.

- Czy Jennifer ma bliznę po operacji wyrostka? Albo różę wytatuowaną na ramieniu?

Terri zaczęła odpowiadać, ale ugryzła się w język.

- Dlaczego pan pyta?

- Chcę tylko coś sprawdzić - odparł.

Co? - pomyślała. To wzbudziło jej podejrzenia, ale nie drążyła tematu. Nie chciała być okrutna dla obłąkanego starca, nie zamierzała też jednak zaprzętać głowy matce i niedoszłemu ojczymowi dziewczyny czymkolwiek, co mogłoby zostać opacznie zrozumiane jako nadzieja.

Odwróciła się do Scotta i Mary.

- Czy Jennifer ma blizny albo tatuaże, o których mi państwo nie wspomnieli? - spytała, zakrywając dłonią mikrofon telefonu.

Scott odpowiedział bez wahania.

- Absolutnie nie, pani detektyw. Przecież to jeszcze dziecko! Tatuaż? Wykluczone. Nigdy byśmy na to nie pozwolili, nieważne jak bardzo by prosiła. I jako nieletnia nie zrobiłaby go sobie bez naszej zgody. A żadnej operacji nie przechodziła, prawda, Mary?

Pani Riggins skinęła głową. Collins odsunęła rękę od mikrofonu.

- Odpowiedź na oba pytania brzmi: nie. Dobranoc, profesorze.

Rozłączyła się, ale wciąż kołatały się w niej pytania. Z odpowiedziami trzeba jednak zaczekać. Najpierw musi wyrwać się

z tego pogrążonego w żałobie pokoju - tylko jak to delikatnie zrobić? Większość glin znakomicie potrafi ulotnić się zaraz po zadaniu ciosu. Ona nie.

Adrian złożył telefon. Nadal wpatrywał się w ekran.

- Niewiele widać... - powiedział.

Wolfe wrócił do klawiatury.

- Proszę zobaczyć - rzucił. - Mają menu. Sprawdźmy przy najmniej, czy...

Kliknął na tytuł *Numer 4 je* - pojawił się nowy obraz. Młoda kobieta wylizuje owsiankę z półmiska. Obaj mężczyźni wychylili się do przodu, bo na tych ujęciach kaptur zastąpiła opaska na oczy. To pozwoliło im zobaczyć część rysów twarzy.

Wolfe podniósł ulotkę i przyłożył ją do telewizora.

- Nie wiem, profesorze. To znaczy, nie ma tatuażu... ale rany, włosy wyglądają podobnie...

Adrian wyteńczył wzrok. Linia włosów. Podbródek. Kształt nosa. Krój ust. Długość szyi. Jego oczy wpijały się w ekran. Zesztywniał, kiedy zobaczył zamaskowaną postać w skafandrze, która zabrała tacę z jedzeniem. Kobieta, poznał po budowie ciała i sylwetce, choć tę skrywały fałdy materiału.

Rozległ się głos Tommy'ego - płynął jakby z wnętrza Adriana.

Tato... gdybyś chciał ukryć kogoś, kogo jednak musisz pokazać światu... czy nie podjąłbyś środków ostrożności?

Oczywiście, że tak, pomyślał Adrian.

- Panie Wolfe, wie pan coś o sztucznych tatuażach? Albo hollywoodzkiej charakteryzacji?

Przestępca uważnie patrzył w telewizor. Dotknął widocznej na ekranie blizny po operacji wyrostka.

- Też mam taką. Wygląda identycznie. Czyli na oko nie wydaje się sztuczna. Z drugiej strony, o to chodzi, nie?

Kliknął na tytuł *Rozmowa 1 z Numerem 4*.

Zobaczyli, jak młoda kobieta przybliżyła się do kamery. Postać w skafandrze zadawała pytania. Obaj usłyszeli, jak dziewczyna mówi do obiektywu: „Osiemnaście...”

Wolfe prychnął.

- Takiego wała. Kazali jej tak powiedzieć i tyle. Jest dwa lata młodsza. Co najmniej.

Adrian pomyślał, że zapewne mało kto potrafiłby określić wiek nastolatki tak precyzyjnie jak Mark.

Wolfe kliknął na tytuł *Numer 4 próbuje uciec*. Młoda kobieta uwalnia się z obroży i łańcucha opasującego szyję. W chwili, kiedy zrywa opaskę z oczu, kamera pokazuje ją od tyłu, żeby nie było widać rysów twarzy.

- Uciec, też *coś* - mruknął Wolfe cynicznie. - Zauważył pan, jak wyłączyli główną kamerę i teraz możemy oglądać dziewczynę tylko od tyłu? Twarzy nie widać, prawda? Ktoś wiedział, co robi.

Adrian milczał. Próbował skupić się na czymś innym. Miał wrażenie, że po jego wyobraźni miota się urywek jakiegoś wspomnienia, nie mógł go jednak uchwycić i obejrzeć.

Przestępca patrzył, jak młoda kobieta podchodzi do drzwi. Kamera śledziła ją od tyłu. Rozbłysło światło i pojawił się zamaskowany mężczyzna. Na tym film się skończył.

- Następnym tytuł *Numer 4 traci dziewictwo*. Domyślam się, że będzie ostry seks. Może gwałt. Chce pan to zobaczyć, profesorze?

Adrian pokręcił głową.

- Proszę wrócić na stronę główną.

Wolfe zrobił to. Zakapturzona dziewczyna tkwiła w całkowitym bezruchu.

Adrian miał tysiąc pytań: „Kto”, „Dlaczego” i „Co w tym pasjonującego”, ale ich nie zadał. Odwrócił się tylko i przyjrzał twarzy Wolfe'a. Przestępca siedział wychylony do przodu. Zaintrygowany. Blask w jego oczach powiedział Adrianowi praktycznie wszystko. Co jak co, ale kompulsję, zwłaszcza tak wyraźną, potrafił rozpoznać.

Miał ochotę się odwrócić, ale nie był w stanie. Nagle usłyszał chór głosów, syna, brata, żony - krzyczeli jedno przez drugie, wszyscy naraz przekonywali: *Patrz uważnie*. Harmider w jego głowie stopniowo narastał. Stawał się coraz donośniejszy, symfoniczny i wszechogarniający. Trochę tak jakby wielu ludzi w

jednej przerażającej chwili zobaczyło to samo niebezpieczeństwo - na przykład pędzący wąską ulicą samochód, nad którym nie panuje kierowca - i wszyscy wykrzykiwali to samo ostrzeżenie, ale używali różnych słów i języków, przez co nie dawało się zrozumieć nic prócz ogólnej trwogi. Głosy krzyczały w jego głowie. Zatkanął sobie uszy. Nie pomogło. Wrzaski wzmożyły się boleśnie. Jedyne, co mógł zrobić, to spojrzeć na ekran i uwięzioną na nim dziewczynę.

Wyciągnęła rękę i zaczęła macać wokół siebie, aż jej chude ramię objęło znajomy kształt, który gwałtownie przytuliła do falującej piersi.

Adrian już raz widział ten kształt.

Tamtego dnia zauważył starego, wytartego, postrzępionego pluszowego misia - dziecięca zabawka dziwnie wyglądała przyczepiona do szkolnego plecaka. Teraz tego samego misia bezradnie ścisnęły drżące ramiona.

ROZDZIAŁ 37

W kapciach i bieliźnie Linda zasiadła przed komputerami i sumiennie załatwiała pilne sprawy związane z *Serią numer 4*. Biały skafander ochronny leżał niedbale rzucony na podłogę obok łóżka. Upięła ciemne włosy - teraz trochę przypominała roznegliżowaną sekretarkę, co czeka, aż szef wróci z zebrania, żeby zrobić mu niespodziankę. Pracowicie przelewała pieniądze na konta abonentów, którzy trafnie przewidzieli moment gwałtu. Jej palce przemykały po klawiszach kalkulatora. Uważała, że to ważne. Klienci oczekiwali szybkiej wypłaty wygranych; nie mogła ich zawieść. Zdawała sobie sprawę, że ona i Michael potrafilyby wymyślić całą masę sposobów na to, jak wymigać się od płacenia, ale to byłoby niesmaczne i niesprawiedliwe. A uczciwość to integralna część ich sukcesu. Stali klienci są niezwykle istotni, podobnie jak marketing szeptany. Wie to każda dobra kobieta interesu.

Michael brał prysznic i nucił przypadkowe urywki piosenek.

Jego repertuar zawsze był całkowicie nieprzewidywalny; fragment utworu country przechodził w arię operową, potem następowało coś z Grateful Dead czy Jefferson Airplane *Don't you want somebody to love... Don't you need somebody to love...* Linda lubiła starego rock-and-rolla z lat sześćdziesiątych. W ich związku to ona odgrywała rolę eksperta od muzyki i zarządzała ich kontem na iTunes.

Podśpiewując razem z Michaeliem, zerknęła na jeden z monitorów. Ponieważ opaskę ponownie zastąpił kaptur, Lindzie trudno było ocenić nastrój Numeru 4. Dziewczyna leżała skulona w pozycji embrionalnej, kto wie, może wreszcie zasnęła. Z tego, co Linda mogła zauważyć, krwawienie ustało. Dziewczyna powinna się umyć. Jednak, co ważniejsze, musiała odpocząć.

Oni też. Ciekawe, czy choć jeden z abonentów *Serii numer 4* w pełni zdaje sobie sprawę, ile nieustającego wysiłku i ciężkiej pracy włożyli, aby doprowadzić ten sieciowy teatr do ostatniego aktu. Musieli walczyć z własnym zmęczeniem, stale uważać na nawet najdrobniejsze szczegóły. Nieustannie szukali nowych pomysłów - i kryminalnych, i fabularnych. Tego wymagała *Seria numer 4.1* nie tylko tego. Abonenci byli tak zróżnicowani pod względem pochodzenia i zainteresowań, że zaspokajanie ich pragnień i fascynacji z list dyskusyjnych było prawdziwą katorgą. Choć podobieństwa istniały - prośba ze Szwecji mogła dotyczyć tego samego co żądanie z Singapuru - Michael i Linda starali się dostosowywać swoje reakcje i zachowanie Numeru 4 do różnic kulturowych. Mieli widzów na całym świecie, musieli być wyczuleni na szczegóły. To ciężka praca. A to, że daje zdumiewającą satysfakcję, nie ma w zasadzie nic do rzeczy, pomyślała Linda. W ostatecznym rozrachunku najbardziej liczyło się ich poświęcenie.

Projektowanie gier wideo, strony porno - to wielkie, konwencjonalne przedsięwzięcia, przy których zatrudniano dziesiątki ludzi, jeśli nie więcej. A żadne z nich nie było w najmniejszym stopniu tak śmiałe jak to, co wymyślili z Michaeliem sami, bez niczyjej pomocy. Rozpierała ją duma.

Nasłuchiwała Michaela. Uśmiechnęła się, słysząc, jak on zarzyna jedną piosenkę za drugą. Nie daliby rady, gdyby się

naprawdę nie kochali.

Pokręciła głową.

Nie mogła się powstrzymać. Wybuchnęła głośnym śmiechem, kiedy wyszedł spod prysznicza.

Tyle lat spędzili razem, że znała na pamięć wszystkie rutynowe czynności Michaela w łazience. Teraz weźmie wyświechtany ręcznik i starannie się wytrze. Usunie wszelkie ślady po robocie z Numerem 4. Wyłoni się z lśniącą skórą, odświeżony, lekko zaróżowiony od pary, nagi. Oczami wyobraźni widziała jego szczupłe ciało. Potem Michael wytrze włosy. Stanie przed lustrem i z wysiłkiem przeciągnie grzebień przez splątane kędziory. Może się ogoli. Wyjdzie z łazienki przylizany, z gładkimi policzkami, i spojrzy na nią z tym swoim ujmującym, krzywym uśmiechem.

Będzie piękny, pomyślała Linda. Ja dla niego też będę piękna. Zawsze.

Znów spojrzała na monitory; nic. Numer 4 od czasu do czasu drgała bezwiednie jak królik. Linda miała ochotę mówić do obrazu na ekranie. Podejrzewała, że właśnie to robią abonenci: „Najtrudniejsze masz za sobą, Numerze 4. Brawo. Przetrwowałaś. I nie mogło być aż tak źle. Wcale tak bardzo nie bolało. Ja też to przechodziłam. Jak każda dziewczyna. Poza tym byłoby dużo gorzej, gdyby stało się to na tylnym siedzeniu samochodu, w tanim, obskurnym motelu czy na kanapie w salonie któregoś popołudnia przed powrotem twoich rodziców z pracy. Ale największe wyzwanie jeszcze przed tobą. Zobaczysz”.

Nasłuchując cichego tupotu bosych nóg Michaela na drewnianej posadzce, Linda rzuciła okiem na chat roomy. Spływały setki komentarzy. Westchnęła. Będą musieli je szybko przejrzeć, bo od reakcji widzów zależą ich następne posunięcia.

Czy ludzie chcą jeszcze oglądać?

Czy wolą, żeby seria już się skończyła?

Czy mają dość Numeru 4?

Czy też nadal są zafascynowani?

Przypuszczała, że Numer 4 jest blisko końca, ale pewności nie miała. Ta dziewczyna była ich jak dotąd najbardziej intrygującą bohaterką; na to przynajmniej wskazywał stan ich konta i liczba

widzów, którzy wciągnęli się w jej historię. Linda poczuła ukłucie żalu.

Nie znosiła, kiedy coś się kończyło. Od dzieciństwa nie cierpiała urodzin, Bożego Narodzenia, letnich wakacji - nie z powodu tego, co robiła czy co dostawała przy tych okazjach, lecz dlatego, że wiedziała, iż wszelka wesołość i emocje, które towarzyszyły tym wydarzeniom, nieuchronnie musiały dobiec kresu. Jako dziecko nieraz siedziała w twardych kościelnych ławach i słuchała bająć o życiu wiecznym, snuty przez kolejnych księży nad kolejnymi trumnami. Najpierw jej matki. Potem dziadków. I wreszcie ojca. Po jego śmierci została sama jak palec. Aż zjawił się Michael. Tego właśnie nienawidziła: zakończeń.

Powrót do normalności zawsze był rozczarowaniem. Nawet gdyby „normalność” miała oznaczać plażę w nadmorskim kurorcie, zimny drink w dłoni i pieniądze w banku - i tak się na to nie cieszyła. W pewnym sensie już nie mogła się doczekać rozpoczęcia przygotowań do *Serii numer 5*.

Odczyła się od biurka. Nadal wodziła oczami po monitorach, ale w rzeczywistości zastanawiała się, kim mogłaby być ich kolejna bohaterka. Numer 5 musiała być inna. Numer 4 wysoko zawiesiła poprzeczkę, stwierdziła Linda. Następny webcast trzeba pomyśleć tak, aby przebił to, czego dokonali w ostatnich tygodniach. Była z tego nadzwyczaj dumna. To ona należała, by tym razem, w odróżnieniu od pierwszych trzech serii, zamiast prostytutki poszukać kogoś całkowicie niewinnego i znacznie młodszego. Niedoświadczonego. Świeżego.

I przypadkowego, przypomniała sobie. Zupełnie przypadkowego. Godzinami krążyli kradzionymi samochodami po przedmieściach, obok szkół i centrów handlowych. Czyhali przy pizzariach, wypatrywali właściwej osoby, którą mogliby schwytać w odpowiednim momencie. Duże ryzyko - ale tym większa satysfakcja.

Trzeba przyznać, że to Michael stwierdził, że *Seria numer 4* powinna być spełnieniem najgorszych koszmarów klasy średniej. Wierzył, że element zaskoczenia podsyci dramaturgię.

Miał rację. Pomysł był jej. On go oszlifował.

Stanowili idealną parę.

Jej serce wezbrało pożądaniem. Podniosła dłoń i zaczęła pozwolić pieścić swoją pierś.

Za plecami usłyszała znajome szuranie od strony łazienki. Szybko odwróciła się od komputerów, rozpuściła włosy i uwodzicielsko machnęła głową. Zrzuciła skąpą bieliznę i kiedy Michael wszedł do pokoju, wskoczyła z chichotem na łóżko. Odwróciła się i kiwnęła na niego palcem.

Uśmiechnął się i ruszył ku niej ochoczo.

Wiedziała, że to, co zrobił z Numerem 4, było integralną częścią pracy. Koniecznie musiała pilnować, by nie widział w tym nic prócz obowiązku, który spełnił dla niej. Bez przyjemności. Bez podniecenia. Bez pasji. To wszystko miał zarezerwowane dla niej. Podczas roboty z Numerem 4 obsługiwała kamerę chłodno, z dystansem. Zmuszała się, by sprawdzać, czy na twarzy Michaela nie znać prawdziwej rozkoszy.

To istotne, pomyślała, kiedy wyciągnęła ręce, żeby go przytulić. Chciała objąć go całą sobą, każdym swoim mięśniem, pojąć go tak głęboko, jak tylko mogła, przykryć go jak wielka, potężna fala zalewająca plażę. Pragnęła mieć pewność, że będzie czuł i słyszał wyłącznie ją, jej pieszczoty i bicie jej serca.

- No, no, no... - powiedział Michael, kiedy pociągnęła go na siebie. Uśmiechnął się szeroko.

Leżała nieruchomo i głaskała go po policzku. Nie musiała prosić o miłość. Widziała ją.

Wcześniej wykonał po prostu dobre biznesowe posunięcie.

Podniosła usta do jego ust. Tylko przez sekundę przemknęła jej myśl o następnym niełatwym „zadaniu”. Wiedziała jednak, że Michael tym też się zajmie. Będzie musiała pomóc. Jak zawsze. Ale wierzyła, że on zrobi to, co najtrudniejsze.

Miłość i śmierć. Są do siebie trochę podobne, pomyślała.

A potem uległa eksplodującym w niej emocjom i mocno zacisnęła powieki w dziecinnym zachwycie.

- Hej, Lin... - zagadnął Michael, stukając w klawisze komputera. - Co powiesz na to, żeby puścić to na cały regulator?

Kiedy skończyli się kochać, wstał z łóżka i podszedł do monitorów, jakby przyciągany magnetyczną siłą.

Głośniki napełniły pokój śpiewem. Loretta Lynn, *High on a Mountain Top*. Piosenka w stylu country o upajającym, przyjaznym, wyluzowanym rytmie tworzyła niepowtarzalny nastrój. Z każdą nutą wciągała słuchacza coraz dalej w głąb gór Ozark czy Blue Ridge.

Linda wzruszyła ramionami.

- Nie chcesz jeszcze raz puścić dzieci albo szkoły?

- Nie. Uznałem, że czas na coś innego. Coś zupełnie niespodziewanego i trochę zwariowanego. Nie sądzę, by Numer 4 kiedykolwiek słuchała starego country. - Zamilkł, wcisnął jeszcze kilka klawiszy.

W pokoju rozległ się mrużący głos Chrisa Isaaka.

- Stary dobry Kubrick - powiedziała Linda. - To ze ścieżki dźwiękowej jego ostatniego filmu.

- Myślisz, że pasuje?

Linda lekko się skrzywiła.

- Dziewczyna jest już zupełnie zdezorientowana i zagubiona. Chyba nie ma pojęcia, gdzie jest ani nawet kim jest. Muzyka... nawet jeśli tylko będzie jej walić w uszy... nie wiem...

- Zostało mało dźwięków do wykorzystania. Jeszcze kilka się znajdzie, ale...

Linda wstała naga z łóżka i podeszła do niego. Pomasowała jego barki.

- Sądzę... - zaczęła.

Podniósł na nią oczy.

- Czytałem czaty - powiedział.

- Ja też.

- Możliwe, że zbliżamy się do końca. - Otworzył kilka komentarzy na ekranie.

„Nie przestawajcie. Niech zapłaci!”

„Zrób to jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze raz...”

- Jest dużo takich - wyjaśnił Michael. - Ale te...

Oboje nachylili się w stronę słów na monitorze.

„Myślałem, że będzie się bardziej opierać...” „Numer 4 jest złamana”.

„Numer 4 jest skończona. Kaput. Finito. Po ptakach”.

„Dla Numeru 4 to koniec. Nie ma do czego wrócić. Nie ma dokąd pójść. Pozostaje jej tylko jedno rozwiązanie. I to właśnie chcę zobaczyć...”

W uwagach wymienianych między klientami znać było poczucie straty, jakby po raz pierwszy dostrzegli niedoskonałości idealnej postaci, za jaką dotąd uważali Numer 4. Na początku wydawała się wykwintną chińską porcelaną; teraz wyszczerbiła się i popękała. Widok dziewczyny skutej łańcuchem w pokoju, świadomość tego, co mogło nastąpić, wyczekiwanie tej chwili - to wszystko pobudzało ich wyobraźnię. Teraz, kiedy stało się to co nieuniknione, była w ich oczach skalana i powoli przygotowywali się na nieuchronny finał.

Linda i Michael zdawali sobie z tego sprawę.

Może nie potrafili tego w pełni wyrazić słowami, ale oboje rozumieli, co z tego wynika. Został już tylko jeden krok.

Linda przestała masować ramię Michaela i ścisnęła je z całej siły.

Pokiwał głową. Kochał Lindę z wielu powodów, ale najbardziej za to, że tyle potrafiła powiedzieć bez słów. Na scenie sprawdziłaby się nadzwyczajnie, stwierdził w duchu.

- Zacznę pisać scenariusz ostatniego aktu - powiedział. - Należy zachować ostrożność.

Wiedzieli, że choć starannie dotąd wszystko planowali, popularność Numer 4 sprawiła, że ostatni akt musi być wyjątkowy.

- To musi być coś, co zapadnie ludziom w pamięć - podsunęła Linda powoli. - Nie możemy załatwić tego na łapu-capu. Trzeba zrobić coś niezapomnianego. Dzięki temu, kiedy zaczniemy *Serię numer 5*...

Michael złapał myśl w pół zdania.

Zaśmiał się. Linda inspirowała go, co uznawał za swoisty akt miłości. Kiedyś czytał długi entuzjastyczny artykuł o artyście Christo i jego żonie, Jeanne-Claude. Wspólnie przygotowali wiele monumentalnych przedsięwzięć - na przykład przykryli szerokie kaniony pomarańczowymi płachtami materiału i otoczyli wyspy różowymi plastikowymi pierścieniami, a kilka tygodni później wszystko to usunęli. W świecie sztuki Jeanne-Claude

miała mniejsze zasługi od męża, za to w sypialni pewnie większe, domyślił się. Tak czy owak, sądził, że tacy artyści jak tych dwoje zrozumieliby, czego dokonał z Lindą.

Wyłączył muzykę.

- W porządku - powiedział drwiącym tonem, jakby mówił żart zrozumiały tylko dla nich dwojga. - Numer 4 nie posłucha Loretty Lynn.

Jennifer nie mogła już stwierdzić, czy jest przytomna, czy nie. Otwierała oczy - koszmar. Zamykała oczy - koszmar. Czula się rozbita, jakby jakaś pijawka powoli, ale nieubłaganie wysysała całą życiodajną krew z jej żył. Tak naprawdę nigdy nie zastanawiała się nad tym, jakie to uczucie umierać, ale była pewna, że to właśnie się z nią dzieje. Kiedy jadła, nie zaspokajała głodu. Kiedy piła, nie gasiła pragnienia. Ścisnęła Pana Futrzaka, ale szeptała do ojca: „Idę do ciebie, tatusiu. Czekaj na mnie. Niedługo się pojawię”.

Tylko raz wpuścili ją do jego szpitalnej sali. Była mała i wystraszona, a on leżał w łóżku otoczony przez popołudniowe cienie. Maszyny przy nim wydawały dziwne dźwięki; rurki wychodziły z jego kościstych ramion. Te ramiona wyglądały obco - Jennifer wiedziała, że tata jest silny, że potrafi wziąć ją na ręce i kręcić nią wkoło. Jednak ramiona, które widziała, nie mogły wykrzesać z siebie dość siły, by pogłaskać ją po włosach. To był jej ojciec i nie jej ojciec zarazem. Przeżona i zdeorientowana chciała go dotknąć, ale bała się, że od najdelikatniejszej pieszczoty tata rozleci się na kawałki. Pragnęła, żeby się uśmiechnął, dodał jej otuchy i powiedział, że wszystko się ułoży. Jednak nie mógł zrobić nawet tego. Jego powieki trzepotały, to zasypiał, to się budził. Mama mówiła, że to od leków przeciwbólowych, ale Jennifer wtedy pomyślała, że to śmierć przymierza go jak ubranie. Wygonili ją z sali, zanim maszyny oznajmiły to co nieuniknione. Myślała wtedy, że tam w łóżku nie leżał ten sam człowiek, którego znała jako swojego ojca. Że tylko się pod niego podszycił.

Teraz jednak to samo spotkało ją: wszystko, co czyniło z niej

Jennifer, zostało wymazane.

Nie było ucieczki. Nie było świata poza ścianami celi, na zewnątrz kaptura na jej głowie była tylko pustka. Nie było matki, nie było Scotta, nie było szkoły, nie było ulicy na jej osiedlu, nie było domu, nie było pokoju, w którym miała swoje rzeczy. Nic z tego nigdy nie istniało. Byli tylko mężczyzna, kobieta i kamery. Jak zawsze. Urodziła się w celi i w celi umrze.

Wyobrażała sobie, że staje się taka jak on wtedy, w szpitalu. Że powoli, nieubłaganie zanika.

Przypomniała sobie, jak na samym początku ojciec przyszedł do niej i powiedział, że jest ciężko chory. „Ale nie martw się, kochanie. Twardy ze mnie gość. Zamierzam walczyć, ile sił. A ty możesz mi pomóc. Pokonam to z twoją pomocą. Razem to pokonamy”.

Ale tak się nie stało.

A ona nie potrafiła pomóc. Ani trochę. To przykre. Przepraszała go setki, tysiące razy w duchu, tam gdzie przechowywała wspomnienia.

Po raz pierwszy w trakcie swojej niewoli stwierdziła, że nie chce jej się płakać. Na policzkach nie miała łez. Z gardła nie wydierał się szloch. Mięśnie rąk i nóg, sztywny kręgosłup - wszystko się rozluźniło.

Choć zaciekle walczył, nie mógł nic zrobić. Choroba okazała się zbyt silna i tyle. I teraz działo się to samo: nie mogła nic zrobić.

Przyszła jej do głowy jeszcze jedna myśl: gdyby dostała okazję, żeby zginąć w walce, byłoby to lepsze niż zwyczajnie dać się zabić. Wówczas, kiedy znów zobaczyłaby ojca, spojrzałaby mu prosto w oczy i powiedziała: „Starałam się tak bardzo jak ty, tato. Byli dla mnie za silni i tyle”.

A wtedy on odpowiedziałby: „Widziałem. Widziałem wszystko. Wiem, że się starałaś, kochanie. Jestem z Ciebie dumny”.

To by jej wystarczyło, przekonywała bezgłośnie swojego miścia.

ROZDZIAŁ 38

Adrian miał wrażenie, że w jego żyłach zamiast krwi płynie prąd elektryczny. Patrzył w ekran telewizora i czuł, jak ubywa mu lat; wiedział, że nie może sobie dłużej pozwolić na to, żeby być stary, chory i zagubiony. Musiał znaleźć tę część samego siebie, która kiedyś w nim była, teraz jednak zaginęła przygnieciona chorobą i upływem czasu.

- Chce pan, żebym zajął na jeszcze jedną stronę? - spytał Wolfe.

Adrian nie potrafił stwierdzić, czy ton przestępcy zdradza zmęczenie późną porą, czy autentyczne pragnienie, by kontynuować. Kiedy spojrzał na Wolfe'a, ten wciąż siedział wychylony w stronę zakapturzonej dziewczyny na ekranie. Zdawał sobie sprawę, że nawet jeśli to nie jej szukali, Wolfe wróci na cobe-dziepotem.com, jak tylko zostanie sam. Facet miał suchy głos spragnionego wędrowca, który dostrzega w oddali upragnioną oazę. Fascynacja wisiała w powietrzu jak mocny zapach.

Zawahał się. Słyszał, jak Brian niemal krzyczy mu w ucho, przestrzega go, domaga się, by uważał na siebie. Nieżyjący prawnik wręcz gorączkowo nalegał, by brat zrobił coś sprzecznego: *Działaj szybko, ale ostrożnie!*

- Wie pan co - powiedział Adrian powoli, jakby rzeczowy ton mógł uwiarygodnić jego kłamstwo. - To chyba nie ona...

- Jasne. - Wolfe sięgnął do klawiatury.

- Ale jesteśmy blisko. To znaczy, właśnie czegoś takiego musimy szukać.

Wolfe znieruchomiał. Nadal nie patrzył na Adriana, tylko chłonął obraz na ekranie. Profesor zrozumiał, że w życiu przestępcy są chwile, kiedy zapomina o zmęczeniu, wyczerpaniu, głodzie, pragnieniu i wszelkich zajęciach - ilekroć budzi się pożądanie, napędzają go niewyczerpane zasoby wewnętrznego przymusu. To Adriana intrygowało - oto mógł na własne oczy

zobaczyć rzeczy, które dotąd tylko badał i odtwarzał w warunkach laboratoryjnych. Już prawie uległ naukowej ciekawości, kiedy do rzeczywistości przywróciły go wrzaski brata.

- Nie możemy być „blisko”, profesorze - oznajmił Wolfe. - Albo to mała Jennifer, albo nie.

Adrian puścił mimo uszu określenie „mała Jennifer”.

- No tak. Kłopot w tym, że widziałem ją tylko przelotnie i nie jestem całkowicie pewien.

Ale był pewien. Nie chciał tylko powiedzieć tego na głos.

- Cóż, ten tatuaż... albo jest prawdziwy, albo sztuczny. To samo blizna. Kiedy mówi do kamery, że ma osiemnaście lat, albo kłamie, albo nie, ale na moje oko łąze jak cholera. To pan jednak musi to stwierdzić, profesorze. W końcu to pańska specjalność. W każdym razie już późno i musimy na dziś skończyć.

Prawda albo kłamstwo. Adrian wciąż potrzebował pomocy przestępcy. Zerknął na zakapturzoną postać na ekranie. Kimkolwiek jest, w tej chwili tkwi uwięziona na drugim brzegu rzeki. Adrian poczuwał się do obowiązku, żeby znaleźć most.

- ...Ale tak tylko, żeby wiedział, z czym mamy do czynienia, gdybym chciał namierzyć tę stronę, jak... - Starał się, by pytanie zabrzmiało niewinnie zwyczajnie, ale bez względu na to, co mówił, czuł, że jego zamiary są całkowicie przejrzyste. Mimo to nie dał za wygraną. Liczył, że zmęczony Wolfe nie zauważy jego zainteresowania. - ...To znaczy, surfujemy to tu, to tam, ale jak już znajdziemy Jennifer w sieci, skąd będziemy wiedzieć, gdzie jej fizycznie szukać?

Przestępca parsknął pełnym niedowierzania, lekceważącym śmiechem. Ani na chwilę nie odrywał oczu od ekranu.

- To nie takie trudne. Tylko że to trochę zależy od administratorów strony.

- Nie rozumiem.

Wolfe tłumaczył jak znużony nauczyciel uczniowi bardziej zainteresowanemu pisaniem liścików niż matematyką.

- Jak bardzo są przestępcami?

Adrian zakołysał się w przód i w tył.

- Czy to nie tak, jakby spytać, jak bardzo ktoś jest w ciąży, panie Wolfe? Albo jest się...

Mężczyzna obrócił się na krześle i przeszył Adriana

surowym, zimnym wzrokiem.

- Nie słuchał mnie pan, profesorze?

Adrian został na miejscu, zupełnie zdezorientowany. Jego ciosa stała się pytaniem, na które Wolfe wyraźnie pragnął odpowiedzieć.

- Jak bardzo zależy im na tym, żeby świat wiedział, że robią coś niezgodnego z prawem?

- Nie bardzo... - zaczął Adrian.

- Myli się pan, profesorze, całkowicie się pan myli. To świat cienia. Tam trzeba mieć wiarygodność. Jeśli ludzie myślą, że jesteś czysty... cóż, co to za frajda? Gdzie w tym emocje? Gdzie napięcie?

Adrian był zaskoczony. Nie spodziewał się po tym człowieku tak dobrej znajomości ludzkiej natury.

- Panie Wolfe... - powiedział ostrożnie. - Jestem pod wrażeniem.

- Powinienem być profesorem jak pan. - Twarz Marka zmarszczyła się w uśmiechu.

Adrian miał szczerą nadzieję, że to nie ten sam uśmiech, który się pojawiał, kiedy mężczyzna zaspokajał swoje zachcianki.

- No dobrze, wie pan o tym, że każda strona ma adres IP? Taki czy inny serwer musi ją wrzucić do sieci. Jest względnie prosty program, który podaje współrzędne GPS każdego serwera. Ten tutaj możemy namierzyć dość szybko, tyle że...

- Tyle że co?

- Źli ludzie... oszuści, terroryści, bankierzy... też o tym doskonale wiedzą. Można kupić programy, które zapewniają użytkownikowi anonimowość podczas przeglądania albo nadawania... ale...

- Ale co?

- Cóż, jak człowiek kupuje coś, co niby powinno go chronić, tak naprawdę tylko naraża się jeszcze bardziej. Nie ma zabezpieczeń nie do złamania. Jak wchodzi się do Internetu... to tylko kwestia wytrwałości tych, którzy gościa szukają. Można wszystko szyfrować... korporacje, wojsko i CIA stosują wyrafinowane sposoby, żeby ukryć swoje działania. Ale jeśli ktoś prowadzi taką stronę jak ta... - wskazał na zakapturzoną dziewczynę - to tak naprawdę nie chce jej ukrywać. Chce, żeby ludzie ją

znaleźli. Byleby tylko nie gliny.

- Jak to zrobić? - spytał Adrian.

Przestępca powoli potarł twarz dłońmi, po czym położył je z powrotem na klawiaturze.

- Proszę myśleć jak przestępca, profesorze. Robi pan swoje. Ludzie płacą, żeby to oglądać. Kurde, nawet my zapłaciliśmy. Pańska opłata za wstęp jest już w ich kieszeni. Trzeba więc zostać przy tym, co przyciąga odbiorców dość długo, by zapełnić swoje konto bankowe. A potem bum! zejść ze sceny, zanim sprawą zainteresują się niewłaściwe osoby, i szukaj wiatru w polu.

Adrian spojrział na ekran. Zegar odmierzał czas trwania *Serii numer 4*.

Odetchnął głęboko. Jako profesor psychologii rozumiał, w czym rzecz. Przypomniawszy sobie „morderstwa na wrzosowiskach” i parę, która popełniła wszystkie te straszliwe zbrodnie - a właściwie miał wrażenie, że ich sobie przypomina, bo nie mógł wykluczyć, że to Tommy mu o nich szepcze. Ryzyko, pomyślał. Ich podniecenie brało się w dużej - jeśli nie przeważającej - mierze z ryzyka. Ono napędzało związek, wpychało ich w coraz głębszą perwersję. Spojrział na telewizor. Wielki ekran wypełniała zakapturzona dziewczyna. Niebezpieczeństwo podsyciła żądę.

Zakręciło mu się w głowie. Czuł się pokonany i zmaltretowany przez to, co wiedział i co widział. Próbował wziąć się w garść, zapanować nad sobą.

Wolfe zaczął uderzać w klawisze. Zakapturzona dziewczyna zniknęła, jej miejsce zajęła wyszukiwarka internetowa. Wpisał coś jeszcze i wbił wzrok w informacje, które ukazały się na ekranie. Zapisał na kartce szereg liczb. Potem włączył inną wyszukiwarkę i wpisał liczby w wyznaczone miejsca. Wyskoczyło żądanie zapłaty.

- Puścić? - spytał.

Adrian spojrział na niego prawie jak turysta na Kamień z Rosetty świadom, że to klucz do jakiegoś świata, ale niezdolny rozgryźć rządzące nim reguły.

- Tak sądzę.

Zaczekali, aż transakcja kartą zostanie autoryzowana tak jak przedtem. Po kilku sekundach trafili na stronę, gdzie żądano

podania nicka i hasła. Wolfe wpisał znajome „psychprof” i „Jennifer”.

- A to ciekawe... - mruknął.

- Co?

- Ktoś tu niezłe się zna na komputerach. Nie zdziwiłbym się, gdyby tę stronę obsługiwał jakiś pierwszorzędny hacker.

- Panie Wolfe, proszę mi wytłumaczyć...

Wolfe westchnął.

- Niech pan spojrzy. Adres IP się zmienia. Ale nie za szybko...

- Słucham?

- Można wstawiać linki, przerzucać adres IP z miejsca na miejsce, zwłaszcza przez serwery na Dalekim Wschodzie czy w Europie Wschodniej, które trudno namierzyć, bo służą niekoniecznie legalnej działalności. Oczywiście, kłopot z tym jest taki, że w ten sposób zwraca się na siebie uwagę. Gdy IP zmienia się co dwie-trzy minuty, wtedy Interpol, a właściwie komputery Interpolu od razu wyczuwają, że ktoś robi coś złego. A to, jak pan się zapewne domyśla, budzi zainteresowanie. I delikwent ani się obejrzy, a już wokół jego stronki z pornolami węszy FBI, CIA, MI-6 czy nawet niemieckie lub francuskie służby specjalne. A tego nikt sobie nie życzy. O nie. W żadnym razie...

- Czyli...

- Ten, kto założył tę stronę, jest cwany. Dlatego korzysta tylko z kilku serwerów. Proszę zobaczyć, przeskakuje między nimi.

- Co to znaczy?

- To, że ciężko go namierzyć. I pewnie gdyby sprawdzić współrzędne GPS, znalazłoby się co najwyżej kupę komputerów w pustym mieszkaniu w Pradze albo Bangkoku. Główna transmisja idzie z innego miejsca. Potrzeba by pomocy glin... albo komandosów Delta, żeby znaleźć to prawdziwe „gdzieś”.

Adrian spojrział na ekran.

Prawdziwe „gdzieś”. Kto by pomyślał, że z tego przestępca taki erudyta.

Zamyślił się i przez głowę przebiegło mu pewne pytanie. Zupełnie oczywiste.

- Czy ta strona ma jakieś adresy IP w Stanach?

Wolfe się uśmiechnął.

- Ach... Profesor wreszcie się uczy. - Wcisnął kilka klawiszy. - Mhm. Dwa. Jeden w... - zawahał się - ...Austin w Teksasie. Znam ten adres. To duży serwer z pornografią. Obsługuje dziesiątki stron typu „podglądaj mnie” i „patrzcie, jak pieprzę się z moją dziewczyną”. Sprawdźmy ten drugi... - Wcisnął klawisz. - A niech mnie.

Adrian wbił wzrok we współrzędne GPS na komputerze.

- To system kablowy z Nowej Anglii - poinformował Wolfe.

Adrian chwilę pomyślał.

- Skąd dokładnie? - spytał bardzo cicho.

W pokoju rozbrzmiał szybki stukot klawiszy.

Obraz się zmienił, na ekranie pojawiły się nowe dane GPS.

- Jeśli chce pan wiedzieć, skąd nadaje cobedziepotem.com, ten program to panu powie. - Wolfe znów wcisnął serię klawiszy. Na komputerze pokazały się kolejne współrzędne GPS.

Adrian zapisał je sobie w pamięci. Tylko się nie pomył. Niczego nie zapomnij. Niczego po sobie nie okazuj, napomniał się w duchu.

- Zasłużyłem na swoje dwadzieścia kawałków? Bo zrobiło się późno, profesorze.

- Nie wiem - skłamał Adrian. - To pasjonujący proces. Jestem pod wrażeniem. Ale zgadzam się z panem. Już późno, a wie pan, nie jestem młody. Przyjdę jutro i poszukamy dalej.

- Pieniądze, profesorze.

- Muszę mieć pewność.

Wolfe uderzył w klawisze i na ekranie pojawiła się zakapturzona dziewczyna.

Patrzyli na nią. Zmieniła pozycję, podkuliła nogi, dygotała z zimna.

Wolfe poruszył się lekko jak ktoś, komu kazano oglądać dwie rzeczy naraz i boi się, że jedna z nich mu umknie. W jego oczach, w tonie głosu była nieufność. Adrian pomyślał, że powinien po prostu dalej kłamać, tyle ile trzeba, ale przy tym mieć

świadomość, że Wolfe prawie, a może zupełnie nic z tego nie kupuje.

- Przyniosę część pieniędzy. Możemy to uznać za honorarium. Choć wątpię, czy znaleźliśmy to, czego szukam.

Wolfe odchylił się do tyłu i przeciągnął jak przebudzony kot. Adrian nie potrafił stwierdzić, czy przestępca w ogóle chce mu uwierzyć. On, a właściwie jego karta kredytowa, dała Wolfe'owi nowe możliwości. Mało prawdopodobne, by obchodziła go „mała Jennifer”, Adrian i w ogóle cokolwiek poza własnym interesem.

- Jasne. - Wolfe nawet nie próbował kryć sceptycyzmu. - Jeśli to nie mała Jennifer, to kimkolwiek ta dziewczyna jest, potrzebuje pomocy, profesorze. Bo domyślam się, że to, co będzie potem, nie sprawi jej przyjemności. - Zaśmiał się. - Załapał pan? Taki późnonocny żart. Nic dziwnego, że strona nazywa się *Co będzie potem*.

Adrian wstał. Zerknął raz jeszcze na dziewczynę w kapturze. Ogarnęło go poczucie, że zostawiając ją samą z przestępcą seksualnym, uwięzioną w komputerze, wydaje ją na pastwę jakiejś złej mocy. Kiedy tak patrzył, odniósł wrażenie, że wyciąga do niego ręce z ekranu. Nie ruszał się z miejsca - a przynajmniej nie sądził, by się ruszył. Nie chciał dać po sobie poznać, jak bardzo jest pobudzony. Tak jakby recytował z pamięci jeden ze swoich wierszy, powtarzał w duchu współrzędne GPS. Jednocześnie w tyle głowy słyszał polecenia Briana: *Zrób to! Zrób tamto! Rusz się! Czas ucieka!* Jednak dopiero kiedy doleciał go szept nieżyjącego syna - *wiesz, co widzisz* - wysiłkiem woli oderwał się od obrazu i powłócząc nogami, wyszedł z domu przestępcy.

ROZDZIAŁ 39

Michael siedział przy odrapanym białym stole kuchennym z laminatu, który chybotął się niepewnie - jedna noga była

milimetry za krótka. Przed nim leżał otwarty laptop. Tu robił notatki do, jak to lubił nazywać, „ostatniego aktu”. Chwianie się stołu działało mu na nerwy, więc wyciągnął zza pasa pistolet, wyjął jedną kulę i wsunął ją pod krótszą nogę. Błat stał stabilnie.

- Złota rączka - zawołała Linda. Akurat przechodziła przez sąsiedni pokój.

Michael uśmiechnął się szeroko i pracował dalej. Za oknem nad zlewem pełnym brudnych talerzy i szklanek widział bezchmurne, błękitne, popołudniowe niebo. Całe szczęście, że ziemia na północy jest jeszcze rozmiękła od wiosennych deszczów i powoli topniejącego śniegu. Tam właśnie się wybierał. Nie był pewien, kiedy dokładnie - może jutro, może pojutrze - w każdym razie już niedługo.

Numer 4 zestarzała się, pomyślał w duchu.

Nie chodziło o jej wiek, tylko o zainteresowanie, jakie budziła. Choć wiedział, że może mieć jeszcze dobre chwile - mogli wymyślić jakiś zwrot akcji, który pozwoliłby przeciągnąć serię - zdawał sobie też sprawę, że publice trzeba dać poczucie spełnienia. Trudna sztuka. Zadowolili klienta, ale i go zaintrygować. Przygotować zakończenie, które jednocześnie stanie się zapowiedzią dalszego ciągu.

Wy tłumaczyła mu to Linda - spec od marketingu. Stali klienci to siła napędowa każdego przedsięwzięcia. Lubiał jej słuchać, kiedy przybierała ton menedżera. Zwykle robiła to, kiedy byli nadzy, i podniecał go ten kontrast między ich nieokiełznanym seksem a jej fachowymi, mechanicznymi, przemysłanymi spostrzeżeniami.

Miał ochotę wstać i pójść ją przytulić. Zwykle miękła, kiedy spontanicznie obsypywał ją czułościami jak z kartki walentynkowej.

Już się podnosił, ale znieruchomiał.

Więcej planowania. Nie rozpraszał się. Wymyślił mocne zakończenie *Serii numer 4*.

Prawie wybuchnął śmiechem. Czasem „sexy” znaczy po prostu: zrób, co do ciebie należy. Odwrócił się od okna i zaprzął swoje talenty organizacyjne do pracy nad finałem tej serii.

Cierpliwie wytyczył na mapie trasę od wynajętego domu do oddalonego o przeszło trzysta kilometrów lasu państwowego Acadia w Maine. W tej spektakularnej głuszy przeprowadzili rozpoznanie dwa lata wcześniej. Udawali parę młodych, zapalonych turystów, którzy pragną żyć się z naturą: jelenie, łosie, orły śmigające po niebie, rwące, spienione potoki pełne łososi i pstrągów, i nigdzie śladu cywilizacji.

Stare, opuszczone trakty przecinały las i wnikały w głąb dzicy. Michael musiał dotrzeć do celu pikapem, nawet gdyby musiał jechać po kamienistych, wyboistych drogach, nieużywanych od lat.

Będzie potrzebował prywatności.

To miejsce w sam raz dla Numeru 4. Mała szansa, że ktoś ją znajdzie - a nawet jeśli jakiś zabłąkany wędrowiec natrafi na zbieleńskie kości wygrzebane przez dziką zwierzynę spod ziemi, cóż, wtedy trwać już będzie *Seria numer 5*, może nawet Numer 6.

Michael skrupulatnie odszukał wszystkie posterunki policji po drodze. Ustalił trasy patroli drogówki i lokalnej policji. Sprawdził nawet godziny otwarcia posterunków straży leśnej. Na stronie internetowej Amerykańskiego Stowarzyszenia Samochodowego wyszukał informacje o kontrolach drogowych wzdłuż zaplanowanej trasy i wyliczył, w jakich porach zagrożenie, że zostanie zatrzymany, będzie najmniejsze. Uwielbiał takie przygotowania, sporządzanie list, szybkie szukanie informacji w Internecie. Czasem myślał sobie, że powinien zostać alpinistą, prowadzić ekspedycje na najwyższe i najbardziej niebezpieczne wierzchołki. Działał skrupulatnie, przepełniony energią liczb. Ona pozwalała mu ująć śmierć w precyzyjne ramy.

Zrobił też spis niezbędnego sprzętu - łopata, piła, młotek, oskard, drut - do ostatnich kilku scen z udziałem Numeru 4. Nie wiedział, czy tego wszystkiego użyje, ale trzeba być przygotowanym na każdą ewentualność. Sprawdził małą ręczną kamerę Sony HD. Zabierze ją na ostatnią podróż Numeru 4. Miał rezerwowe baterie, zapas taśm i nieduży statyw. Zapisał sobie, żeby psiknąć WD-40 na zacisk, by na pewno sprawnie działał.

Kiedy obskoczył wszystkie szczegóły i kilka razy przemyślał każdy element, odsunął się od stołu i poszedł poszukać Lindy.

Siedziała przy monitorach, ziewała, przeciągała się ze zmęczenia i oglądała Numer 4 bez większego zainteresowania. Zatrzymał się. Wyczuł, że więź, która łączy ją z Numerem 4, rozluźniła się.

Miał dwie listy, „Dla mnie” i „Dla ciebie”. Stanął u boku Lindy i położył je przed nią. Szybko przeczytała obie i pokiwała głową, choć niezbyt podobało jej się to, że Michael musi wybrać się do miasta po zakupy.

- Jedziesz teraz? - spytała.

Zerknął na monitor pokazujący skuloną Numer 4.

- To chyba najlepszy moment.

- Wróc jak najszybciej.

- Trzeba popracować nad końcową sceną - odparł.

W dłoni trzymała kartkę - pomysł na wielki finał, spisany przez Michaela poprzedniego dnia. Naniósła kilka własnych propozycji, jak producent przeglądający wstępną wersję scenariusza. Marginesy były wypełnione jej ściśniętym, eleganckim pismem.

- Wiem - powiedziała. - Jeszcze nie wszystko jest tak jak trzeba.

Odprowadziła go do drzwi i oboje się zawahali. Rozstawali się po raz pierwszy od początku *Serii numer 4*. Co więcej, w trakcie nadawania w zasadzie nie wychodzili na zewnątrz, dlatego teraz lekki wiatr i ciepłe, łagodne powietrze uderzyły im do głowy. Sycili się jego klarownością.

Michael obejrzał się na stary dom - podniszczony, brudny, w fatalnym stanie.

- Szczęście, że nie przeziębiliśmy się w tej norze - mruknął.

- Nie będę za nią tęsknił.

Linda ścisnęła jego dłoń.

- Wracaj szybko.

- Jasne. Przywieźć ci coś z miasta?

Rozmawiali jak zwykła zakochana para, która rozstaje się, kiedy jedno z nich musi załatwić jakieś nudne weekendowe sprawy. Nie dostrzegali w tym ironii.

Pokręciła głową.

- Nie. Mam wszystko, co trzeba. - Rozejrzała się.

Z miejsca, gdzie stali, widziała szpaler drzew na skraju odległej łąki, falującą zieloną trawę i chwasty na pagórkowatym terenie. Ciągnął się w dal za niszczejącą wyblakłą czerwoną stodołą, w której zostawili mercedesa. Połamane drewniane płoty i zarzewiały drut kolczasty wytyczały granice dawnych pastwisk krów i owiec. Długi żwirowo-gruntowy podjazd wił się między wyrastającymi tu i ówdzie ocalałymi fragmentami lasu. Drzewa zasłaniały drogę i tworzyły częściowy tunel. Najbliższy dom znajdował się prawie półtora kilometra dalej, ledwo widoczny przez zarośla i gałęzie. Jak wiele podobnych zaniedbanych miejsc w Nowej Anglii, okolica była sielankowa i podupadła jednocześnie. I to właśnie w tym najpiękniejsze, stwierdziła Linda; pośród starości i rozpadu stworzyli supernowoczesny świat. To otoczenie stanowiło idealny kamuflaż dla ich działalności.

- Słuchaj, nie chcę, żeby Numer 4 usłyszała, jak uruchamiasz silnik. Ten gruchot strasznie hałasuje. Terkocze, strzela, rżęzi, charczy. Policz do dziewięćdziesięciu, zanim przekręcisz kluczyk. Wtedy puszcze coś, co odwróci jej uwagę.

Cała Linda, pomyślał Michael. Często dostrzega niby drobne, a jednak istotne problemy.

- Jasne. Nie do wiary, że krytykujesz mój wóz, nigdy nas nie zawiódł... - Oboje zaśmiali się z tego żartu jak para przekonanych się kochanków. - No dobra. Dziewięćdziesiąt sekund...

Oboje zaczęli odliczać; tyle że Michael od dziewięćdziesięciu w dół, a Linda od jednego w górę. Zachichotali jak pierwszoklasiści.

- Od nowa... - powiedział. - Ale od dziewięćdziesięciu... w dół.

Pokręciła głową, rozrzucając włosy na wietrze. Zaczęła głośno liczyć, odwróciła się i weszła do domu. Michael pospieszył po wilgotnej, błotnistej ziemi do starego pikapa, odliczając po cichu przy każdym kroku.

Wrócił im dobry nastrój. Koniec *Serii numer 4* już się zbliżał i to przyniosło ulgę i radość jednocześnie.

Michael usiadł za kierownicą i wyobraził sobie Lindę przy komputerze. Muzyka? - zastanawiał się. A może znowu odgłos zabawy?

Cokolwiek wybierze, zagłuszy warkot ruszającego pikapa.

W rzeczywistości Linda połączyła jedno z drugim. Wciąż odliczając na głos, usiadła przy głównym komputerze i wcisnęła kilka klawiszy. Najpierw puściła odgłos łomotania do drzwi, na który Numer 4 nagle zaczęła się wić na łóżku. Do tego doszedł głośny riff otwierający *Communication Breakdown* Led Zeppelin. Zobaczyła, że Numer 4 zasłania uszy dłońmi, co nie było łatwe - ale wykonalne mimo kajdanek i łańcuchów, które teraz wyznaczały granice jej wolności.

Michael szybko przeszedł przez hipermarket budowlany, popychając przed sobą duży pomarańczowy wózek. Kupił wiele tych samych materiałów, które wykorzystał do spalania skradzionej furgonetki. Czuł się nieswojo, że wyszedł z domu, a zwłaszcza że zostawił Lindę samą z Numerem 4. Nie, żeby się bał, że coś się wydarzy albo wyniknie jakiś problem, z którym Linda sobie nie poradzi - bardziej chodziło o to, że razem stworzyli *Serię numer 4*. Przykro mu było przegapić nawet jeden moment.

Wrzucił zakupy na platformę pikapa jak wielu innych majsterkowiczów i fachowców w sklepie. Zdawał sobie sprawę, że przy drzwiach, między półkami i na parkingu hipermarketu zainstalowane są kamery. Miał nisko opuszczoną czapkę, podbródek trzymał przyciśnięty do piersi. Postawił kołnierz. Nie chciał, żeby ktoś rozpoznał, że dany przedmiot pochodzi z tego sklepu. Nie chciał też, żeby jakiś glina potem przejrzał nagrania z monitoringu i zidentyfikował pikapa.

Musieli wszystko usunąć. Trudno pamiętać o każdym drobiazgu, który mógł potem posłużyć jako dowód. Włosy na grzbiecieniu? Źródło DNA. Odciski palców na śliskiej powierzchni blatu? Mogłyby doprowadzić gliny do protokołu jego zatrzymania z czasów, gdy był nastolatkiem. Paragon z drogiego nowojorskiego sklepu z kamerami? Zawsze płacił gotówką, bez względu na cenę. Twarde dyski komputerów? Ich zniszczenie wymaga

specjalnych zabiegów. To ciężka praca dopilnować, żeby po człowieku nie został żaden ślad, stwierdził.

Zatrzymał się na samoobsługowej stacji benzynowej i zatkanował paliwo do pikapa i sześciu czerwonych plastikowych kanistrów.

Groby do wykopania, nowe szlaki do przetarcia. Bilety do kupienia. Wiedział, że musi wymierzyć czasy i odległości, zgrać je z lotami i trasami przejazdu.

Zdjęcie *Serii numer 4* było tak trudne jak jej przygotowanie. Ciężko zmieścić się w czasie. Musiał rozmontować i zniszczyć wszystko, co zbudował. Dużo pracy i skoordynowanego wysiłku. Dzień jest za krótki, żeby się z tym wyrobić.

Jechał dalej, bezwzględnie trzymając się przepisów.

Dom był kilka kilometrów za małym miastem, przy bocznej drodze, ledwo widoczny z szosy. Michael skręcił na podjazd. Nie mógł sobie wyobrazić, jak to otoczenie wyglądało kiedyś, kiedy jeszcze funkcjonowała tu farma. Teraz dom czekał tylko, aż zjawią się jakiś typ z forszą, który zechce go przebudować, wyposażać w nowoczesny europejski sprzęt kuchenny, importowane posadzki z twardego drewna, żyrandole z kutego żelaza z Vermont Castings i pewnie kino domowe w piwnicy - celi Numeru 4. Idealny dom dla bogatej pary z miasta szukającej wiejskiego ustronia na weekendy. Dla ludzi, którzy chcą zastąpić jeden rodzaj teatru innym. Wyrwać się z codziennej bieganiny i znaleźć miejsce w otoczeniu przyrody - nie dzikiej, lecz ujarzmionej, wśród dawnych pól uprawnych. Mogliby podejmować gości i oglądać filmy na Blu-ray nieświadomi prawdziwego dramatu, jaki rozegrał się w tym sielskim zakątku. Wszystko w przebudowanym domu będzie sztuczne, pretensjonalne. Nie zostanie ślad prawdy, którą oglądały te cztery ściany.

Michael zastanawiał się, czy po ich wyjeździe dom będzie nawiedzony. Parsknął cichym śmiechem: duchy zapewne zniechęciłyby tę jego wymyśloną parę.

Zatrzymał pikapa przed domem i zawrócił, żeby stanąć przodem do drogi. Zostawił kluczyki w stacyjce. Lubił ten wóz i żałował, że w końcu trzeba go porzucić. Nie roztrząsał tego, co

musi zrobić Numerowi 4. Jak pikap, teraz jest już tylko przedmiotem, który zbliża się do kresu używalności. Przez chwilę błądził myślami. Nie mógł sobie przypomnieć prawdziwego imienia Numeru 4.

Janis, Janet, Janna... nie, Jennifer.

Uśmiechnął się. Jennifer. Żegnaj, Jennifer.

Linda bujała się na swoim drogim fotelu biurowym.

Na monitorze Numer 4 leżała skulona na łóżku i nie robiła nic, tylko trzęsa się ze strachu. W sumie zgodnie z przewidywaniami. Nagłe łomotanie do drzwi - nic innego, jak tylko nagrany przed laty odgłos interwencji wzburzonego sąsiada - w połączeniu z ciężkim rockiem jeszcze bardziej pogłębiło dezorientację dziewczyny, o ile to w ogóle możliwe. Jej osobowość, energia, dreszczyk emocji, który wniosła do tej serii, wszystko to stopniowo zanikało. Numer 4 stawała się cieniem. Niewiele już z niej zostało - i Linda przeczuwała, że klientela wkrótce zacznie się wykruszać.

Rozważała, czy dobrze zrobiła, że puściła te dwa dźwięki. Abonenci woleli słyszeć ciężki oddech Numeru 4 - podejrzewała, że uważali to za swoistą muzykę. Z drugiej strony, wszyscy wyraźnie się ożywiali, ilekroć ona lub Michael włączali jeden z dezorientujących efektów dźwiękowych. One pobudzały wyobraźnię widzów i Numeru 4. Linda zanotowała sobie w pamięci, żeby na przyszłość przygotować bardziej różnorodną kolekcję dźwięków. Odgłosy dziecięcych zabaw i płacz dziecka były dobre, syreny policyjne doskonałe - ale trzeba poszerzyć repertuar. Numer 5 musiała być otoczona przez stale zmieniające się fałszywe światy.

Wzięła szkic przygotowanego przez Michaela scenariusza ostatnich godzin *Serii numer 4*. Wierzyła, że z każdą kolejną serią uczą się czegoś nowego.

Stawali się coraz lepsi w tym, co robili - mimo to nie była zadowolona z rozwiązania, które zaproponował. Za mało emocji.

Złe wspomnienia, pomyślała. Numer 4 zasługuje na lepsze pożegnanie.

Numer 1 umarła przypadkiem. Sznur, którym ją skrupowali, zaplątał się i udusił ją, kiedy śniąc koszmar, spadła z łóżka. Nie byli z Michaeliem dość uważni i przez to pierwsza seria zakończyła się przedwcześnie. Śmierć Numeru 1 skłoniła ich do tego, by bardziej się przyłożyć do monitorowania wszystkich czynności. Jednak mimo starannych przygotowań, Numer 2 umarła poza kamerą. Według wstępnego scenariusza mieli połączyć gwałt z morderstwem jak w tradycyjnym filmie snuff - ale zamiast tego wywiązała się zaciekła walka i Linda w końcu musiała przerwać transmisję i z nożem w ręku pomóc Michaelowi. Niechlujny, groteskowy finał niegodny ich profesjonalizmu. Zrobił się straszny bałagan, przypomniała sobie Linda. To pozostawiło w nich niesmak i w ogóle było złym posunięciem biznesowym. Z Numerem 3 zachowali większą ostrożność. Całymi godzinami pracowali nad najdrobniejszymi szczegółami jej śmierci, ale los ich oszukał, gdy nagle ciężko zachorowała. Pewnie dlatego, że ją bili. Położyli zbyt duży nacisk na fizyczne aspekty zniewolenia. Nauczeni na tych błędach, wobec Numeru 4 wzmogli czujność. Bili ją, ale nie do przesady. Torturowali, ale nie do przesady. Maltretowali, ale nie do przesady.

Była dumna z sukcesu, jaki osiągnęli.

Jednak dylemat polegał na tym, że zakończenie nigdy dotąd nie rozegrało się przed kamerą zgodnie z planem, na oczach widzów przykutych do komputerów i telewizorów. Wiedziała, że klientela tego pragnie - nie, domaga się. Chcieli, żeby się działo. Nie życzyli sobie wypadku, nagłego przerwania transmisji, żadnych wymówek, a już na pewno nie tego, by Numer 4 po prostu zeszytywniała, wykrztusiła trochę krwi i umarła jak jej poprzedniczka.

Nie chcieli też jednak, by Michael po prostu zabił ją przed kamerą. Nawet Lindzie wydawało się to niesmaczne. Wtedy okazaliby się niewiele lepsi od terrorystów. Musieli zrobić coś bardziej wyrafinowanego.

Rozejrzała się po pokoju i zobaczyła blat zawalony kolekcją broni. W jej wyobraźni zrodził się załączek pomysłu. Wstała, podeszła do stołu i chwyciła magnum 357. Wprawnym ruchem

otworzyła komorę i sprawdziła, czy broń jest naładowana. Z uśmiechem odłożyła rewolwer i wzięła pierwszą lepszą kartkę. Napisała coś na niej, nagle podekscytowana. Wyzwanie, pomysłała. Unikalne wyzwanie dla widzów. Ale jeszcze większe dla Numeru 4.

Podniosła głowę. Usłyszała dźwięk nadjeżdżającego pikapa. Schyliła się i pisała dalej. Michael będzie zachwycony.

To jak prezent.

ROZDZIAŁ 40

Adrian czuł, że Cassie wierci się tuż za nim. Odchylił się na fotelu i poczuł we włosach jej palce. Objęła go ramionami i przytuliła jak dziecko. Nuciała mu jak małemu Tommy'emu, kiedy miał gorączkę. To pewnie kołysanka, ale melodii nie rozpoznał. Mimo to działała uspokajająco, więc kiedy usłyszał szept: „Już czas, Audie. Już czas...”, był gotowy.

Mark Wolfe już się nie liczył. Dom przestępcy, jego matka, jego komputer - wstrząsające, wulgarne miejsca, które odwiedzili elektronicznie - wszystko to powoli znikało w jakiejś głęboko ukrytej wnęce. Detektyw Collins już się nie liczyła. Krępowaly ją procedury i przywiązywała za dużą wagę do niewłaściwych rzeczy, by pomóc. Mary Riggins i Scott West już się nie liczyli. Ich ręce krępowaly arogancja, niepewność i nieopanowane emocje. Tylko on, Adrian, nadal aktywnie szukał Jennifer, a wiedział, że balansuje na skraju otchłani szaleństwa.

Może szaleństwo byłoby korzystne, pomyślał. Wizje nieżyjącej żony, nieżyjącego dziecka i nieżyjącego brata mieszały się z obrazem zakapturzonej dziewczyny, która wyciąga do niego ręce z ekranu. Odnosił wrażenie, jakby słuchał dwóch instrumentów grających ten sam utwór, ale w różnych tonacjach.

Niechętnie wydostał się z objęć żony. Jej dłonie zsunęły się po jego skórze, rozpalając ją wspomnieniem szczęśliwszych czasów.

- Już wiesz wszystko, co trzeba - powiedziała nagląco.
- Tak sędzę.

Na skrawku papieru miał zapisane współrzędne GPS strony *Co będzie potem*. Podszedł do swojego komputera i się zawahał.

- Wiesz, co musisz zrobić - ostrożnie zachęcała go do działania. - Może nie jak Wolfe czy pani detektyw, ale wiesz wystarczająco dużo. Gdyby mieli te informacje, co ty, Audie, nie spoczęliby, dopóki nie doprowadziliby sprawy do końca.

W głębi ducha myślał: Jedno z nich zrobiłoby coś złego, drugie coś dobrego. Jedno to przestępca. Drugie glina. Ale oboje chcieliby Jennifer, nawet jeśli z różnych powodów.

- Adrian, kochanie... - Cassie delikatnie popychała go naprzód. - Musisz się pospieszyć.

Spojrzał w dół - jego dłonie wysunęły się w stronę klawiatury. Cassie sterowała jego palcami. *Dotknij E. Naciśnij R. Napisz słowo. Kliknij myszą*. Pomyślał, że jest uwięziony między dwoma światami. Z początku choroba tylko osłabiała proste umiejętności, które większość ludzi przyjmuje za coś oczywistego. Teraz kradła je hurtem. Zesztywniał. Powiedział sobie, że musi po prostu być twardy i zdeterminowany.

- Nie zatrzymasz się - mruknął. - Nie zawahasz. Zrobisz to tak, jak kiedyś potrafiłeś. - Dźwięk jego głosu poniósł się echem po pełnym książek gabinecie, prawie jakby wykrzyczał te słowa na skraju głębokiego kanionu.

Odłożył wątpliwości na bok i włączył Google Earth.

Na ekranie pojawił się adres. Sprawdził go na stronie agencji nieruchomości.

Wyskoczyło kilkanaście kolorowych zdjęć starego, podnizzonego piętrowego wiejskiego domu. Do tego nazwisko i numer telefonu agentki nieruchomości. Adrian kliknął na zdjęcie uśmiechniętej kobiety i zobaczył spis oferowanych przez nią domów. Każdy opisany w samych superlatywach. Fotografie pokazywały zadbane, urokliwie staroświeckie budowle, których wartość miała nieuchronnie pójść w górę. Adrian nie wierzył w większość tego, co widział. Agencje nieruchomości potrafią przedstawić nawet najbardziej podupadły i zaniedbany zakątek Nowej Anglii jako „doskonałą inwestycję na przyszłość”.

Cassie zajrzała mu przez ramię. Najwyraźniej też nie dawała wiary temu, co czytała.

- Odludne miejsca - powiedziała. - Ubogie wsie. Chcą, żeby przyjechali bogacze, zapuścili korzenie, zaczęli wydawać pieniądze i uratowali tych, którzy tam ugrzęźli.

Adrian rozumiał. Skinął głową.

- To miejsca, gdzie nikogo nie obchodzi, co robisz - ciągnęła Cassie. - Pod warunkiem że robisz to po cichu i nie zalegasz z opłatami. Żadnych wścibskich sąsiadów ani ciekawskich glin. Tylko mnóstwo cichych, ukrytych zakątków z dala od zgiełku.

Adrian nacisnął „drukuj” i drukarka zaczęła warkotać.

- Przede wszystkim zdjęcia. Będą ci potrzebne - nalegała Cassie, jakby przypominała, żeby koniecznie kupić coś w spożywczym.

- Wiem - odparł. - Mam je.

- Ruszaj. Już - naciskała tonem nieznoszącym sprzeciwu, jakiego zawsze używała wobec Tommy'ego, kiedy wpadał w kłopoty. Takich sytuacji nie było dużo, ale kiedy już się zdarzały, Cassie wychodziła z roli artystki i stawiała się sroga jak odziany w czern pastor metodystów.

Wstał i zdjął płaszcz z oparcia krzesła.

- Będziesz potrzebował czegoś jeszcze - dodała.

Adrian przytaknął, bo doskonale wiedział, co żona ma na myśli. Był zadowolony, że kiedy szedł przez pokój, trzymał się pewnie na nogach. Żadnego pijackiego zataczania się, żadnych lęklwych kroczków. Ani śladu starczej niepewności. Stojąc w drzwiach, rozejrzał się po domu. Wspomnienia otaczały go jak huczająca kaskada dźwięków. Każdy zakamarek, każda półka, każdy pokój i centymetr powierzchni głośno przypominały o minionych dniach. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek wróci do domu. Kiedy przystanął, usłyszał szept Cassie.

- Potrzebny ci wiersz. Coś porywającego. Odważnego.

Szarża lekkiej brygady albo mowa Henryka V do wojska przed bitwą w Dniu Świętego Kryspina...

Te wiersze zagrały mu w duszy i przywołały uśmiech na twarz. Wiersze o wojownikach. Wyszedł na wczesnoporanne

światło i zdał sobie sprawę, że z jakiegoś niepojętego powodu żona wciąż jest u jego boku, nagle uwolniona z ich wspólnego domu. Nie rozumiał, dlaczego nie została uwięziona w środku, ale ta zmiana ucieszyła go i dodała mu skrzydeł. Czuł, że Cassie zajęła miejsce przy nim razem z Brianem, i domyślał się, że Tommy też jest w pobliżu.

Adrian i jego umarła przeszłość przemaszerowali przez podwórko do starego volvo na podjeździe.

Głos Adriana w telefonie komórkowym przestępcy seksualnego Marka Wolfe'a utkwiał w niespokojnej części umysłu Terri Collins. Miała nadzieję, że stary profesor przestanie się mieszać w sprawę zniknięcia Jennifer. A co do Marka Wolfe'a - przesłuchiwała go, oczyściła z podejrzeń, ustaliła, że nie łączy go z tą sytuacją nic oprócz zbiegu okoliczności. Nie widziała powodu, dla którego ci dwaj mieliby wypytywać o tatuaże i blizny.

Jechała do swojego biura. Trwał poranny szczyt i nawet w małym, urokliwym miasteczku uniwersyteckim ulice były zakorkowane. Terri sporządziła w pamięci listę rzeczy do zrobienia. Pierwsza sprawa: dowiedzieć się, co profesor kombinuje. Nie, żeby mógł schrzanić jej śledztwo, które i tak utknęło w martwym punkcie. Rozejrzała się po twarzach kierowców i zwolniła, żeby przepuścić szkolny autobus - przystawał przed szkołą podstawową. To jej przypomniało, że musi przycisnąć Wolfe'a. Tak naprawdę nie miała jak uprzykrzyć mu życia na tyle, by jeszcze dziś spakował graty i wyniósł się gdzieś ze swoimi perwersyjnymi żądzami, gdzie zajmie się nim inna jednostka policji - gliny nazywały taką metodę uwalniania się od odpowiedzialności „spuszczaniem ścieków”. Jednak gdy tylko jego matkę zabiorą do domu starców, tego dnia Terri jasno da mu do zrozumienia, że przeprowadzka to doskonały pomysł.

Mijając szkołę, zerknęła w bok. Żółty autobus właśnie wysadzał małych pasażerów. Dwaj zaferowani nauczyciele zapędzali rozbrykane dzieci do drzwi budynku. Początek typowego dnia. Wszystko na swoim miejscu. Terri wiedziała, że jej dzieci już są w środku, ale mimo to liczyła, że je zobaczy. Wyobrażała sobie,

jak wśród ogólnego gwaru wsuwają się do ławek w klasie. Będą miały plastykę, matematykę, długą przerwę, zupełnie nieświadome, że wokół czyhają wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa.

Terri wiedziała, że nie można ustrzec każdego dziecka przed każdym zagrożeniem. To jednak nie zwalniało jej z obowiązku, żeby do tego dążyć.

Komenda znajdowała się tylko kilka przecznic od szkoły i Terri skręciła na parking na tyłach. Chwyciła torbę, odznakę i pistolet. Uznała, że trzeba wygłosić profesorowi kolejny pół wykład, pół ostrzeżenie pod tytułem *Ręce z dala od spraw policji*. Na dworze było dość ciepło. Włamania, pomyślała. Im cieplejsze wieczory, tym więcej nocnych włamań. Frustrujące przestępstwa. Choć straty zazwyczaj nie były duże, firmy ubezpieczeniowe żądały tomów papierków, a ofiary na dłuższy czas traciły spokój ducha. Całe kryminalne przedsięwzięcie przeradzało się w jeden wielki ból głowy.

Terri przewidywała, że tego dnia czeka ją wertowanie raportów i może wizyta w jakimś domu czy biurze, żeby obejrzeć wybitą szybę albo wyłamane drzwi kuchenne. Weszła do komendy. Zaraz za progiem jej spojrzenie padło na dyżurnego - siedział za kuloodporną szybą w holu. Sierżant, choć brzuchaty i siwy, dobrze sobie radził z obywatelami, którzy wpadali do budynku z taką czy inną głośną skargą. Zwykle chodziło o to, że ktoś nie trzymał psa na smyczy, że hałaśliwi studenci sikają w miejscach publicznych albo że samochody są zaparkowane w niedozwolonych miejscach. Gdy tylko ich oczy się spotkały, sierżant wskazał w bok, na rząd twardych, plastikowych krzeseł. Prowizoryczna poczekalnia.

- Ten facet do ciebie - powiedział przez szybę.

Terri zawahała się, kiedy Mark Wolfe wstał.

Wydawał się zdenerwowany, niewyspany i ogólnie jakiś niewyraźny. Nie przywitała się z nim i nie dała mu dojść do słowa.

- Dlaczego profesor Thomas dzwonił do mnie z twojego telefonu?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Pomagam mu w badaniach i poprosił...

- Jakich badaniach?

Poruszył się niespokojnie. Zniżył głos.

- Dlatego tu jestem. To znaczy, powinienem dać sobie z tym spokój, ale staruszek...

- Panie Wolfe, jakich badaniach?

- Pomagałem mu szukać tej dziewczyny. Małej Jennifer. Tej, co zaginęła.

- Jak to „pomagałeś”? I co to znaczy „szukać”?

- On uważa, że mała musi być na jakiejś stronie porno. Ma różne odjechane teorie na temat tego, dlaczego ją porwali i... - urwał.

Terri Collins niewiele z tego rozumiała, a już określenia „odjechane teorie” w ogóle.

- To co tu robisz? Mogłeś po prostu zadzwonić.

Wzruszył ramionami.

- Staruszek się nie pokazał. Obiecał, że rano przyjdzie do mnie, żebyśmy jeszcze popracowali. Nawet wziąłem sobie wolne. Do cholery, mieliśmy... - Nie wspomniał o obiecanych mu pieniądzach.

- Co mieliście? - spytała ostro Terri.

- Pokazywałem mu to i owo w Internecie. - Mówił powoli, ostrożnie. - Chciał zobaczyć, rozumie pani, różne dziwne rzeczy. To znaczy, jest psychologiem, na litość boską, ja mu tylko pomagałem. Nie miał pojęcia, jak i gdzie surfować, i...

- A ty miałeś - wciąła mu się Terri.

Posłał jej spojrzenie: „co na to poradzę?”

- Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nawet polubiłem tego staro-pierdziela. - W głosie Wolfe'a brzmiała dziwna czułość. - Jasne, to wariat. Ale zdeterminowany, no wie pani... - Zawahał się i popatrzył badawczo na kamienną, pokerową twarz detektyw Collins. Nagle jakby zmienił taktykę i przybrał stanowczy ton. - Muszę z panią porozmawiać. Ale na osobności.

- Na osobności?

- Mhm. Nie chcę narobić sobie kłopotów. Pani detektyw, ja tu próbuję spełnić dobry uczynek. Z profesorem nie jest

najlepiej. Kurde, pani też na pewno to zauważyła... - Spojrzał na nią w oczekiwaniu na znak zgody. - No... martwię się o niego, nie? To grzech? Nie może mi pani trochę odpuścić?

Milczała. Nie bardzo chciało jej się wierzyć, że przestępca nagle stał się porządnym, troskliwym, purytańskim uczciwym obywatelem. Coś jednak kazało mu przyjść do komendy i musiał to być silny bodziec, bo ludzie pokroju Marka Wolfe'a unikają policji jak ognia.

- W porządku - powiedziała. - Możemy pomówić na osobności. Ale najpierw wyjaśnij dlaczego.

Wolfe posłał Terri uśmiech, który tylko pogłębił jej podejrzenia.

- Cóż... Przypuszczam, że nasz przyjaciel profesor zamierza kogoś zastrzelić. - Nie wiedział, czy to prawda, czy nie. Ale po tym, jak stary wymachiwał mu przed nosem pistoletem półautomatycznym, nie uważał tej hipotezy za bezzasadną. A jeśli uwzględnić możliwość, że pistolet wystrzeli przypadkiem, prawdopodobieństwo, że ktoś zginie, stawało się całkiem spore.

Pojechali do domu profesora, mimo że Wolfe przekonywał, że tam go nie zastaną. Jego słowa się potwierdziły: samochód zniknął, drzwi wejściowe stały otwarte. Terri bez wahania wtargnęła do środka, Mark trzymał się krok za nią. Ona zdawała sobie sprawę, że łamie regulamin; on był tylko ogromnie ciekawy.

- Jezu - mruknął. - Ale bajzel.

Powitał ich nieład. Terri nie zwracała na to uwagi - choć zauważyła, że dom wygląda gorzej niż podczas jej pierwszej wizyty. Wszelkie ślady prób sprzątnięcia zniknęły. Na każdej powierzchni wały się ubrania, naczynia, śmieci, papiery. Jakby przeszło tornado.

Podniosła głos: „profesorze Thomas?” - choć wiedziała, że go nie zastali. Przeszła przez salon: „Profesorze Thomas, jest pan tu?” Wolfe zniknął w bocznym pokoju.

- Hej, masz być przy mnie! - krzyknęła do przestępcy, ale ją zignorował.

- Musi pani to zobaczyć - zawołał nagle.

Poszła do niego. Usadowił się przy komputerze w gabinecie profesora i zapamiętałe stukał w klawisze.

- Co chcesz mi pokazać?

- Pomyślałem sobie, że powinna pani zerknąć na stronę internetową, na którą się napalił. Najpierw stwierdził, że to nie ta dziewczyna, ale potem zadzwonił do pani i pytał o tę cholerną bliznę i...

- Tak, tatuaż, jedź dalej...

Nachyliła się w stronę monitora, nad ramieniem Wolfe'a.

Na ekranie pojawiła się strona powitalna *Co będzie potem?* Przesłanie wpisał hasło „Jennifer” i wyskoczyły słowa „Witaj, psychprof”, a zaraz po nich pojawił się obraz młodej kobiety - ziarnisty, rozedrgany, nieostry. Ale serce Terri biło coraz mocniej, więc jeśli źle widziała, to raczej dlatego, że jej samej trudno było patrzeć, niż przez złą jakość transmisji w wysokiej rozdzielczości.

Zobaczyła nagą dziewczynę, przykutą łańcuchem do ściany, z rękami w kajdankach. Nastolatka skulona w pozycji embrionalnej ścisnęła pluszową zabawkę. Leżała częściowo odwrócona plecami do kamery, przez co szczegóły pozostawały nieuchwytnie, a twarz zasłaniał ciemny kaptur. Terri zauważyła wytatuowany czarny kwiat na potwornie wychudłym ramieniu, ale nie bliznę, o którą pytał profesor Thomas.

- Jezu, co to, u licha?

- Transmisja na żywo - wyjaśnił Wolfe. Brzmiał trochę tak jak profesor. - Świat chce mieć wszystko od razu, bezpośrednio. Bez żadnych opóźnień. Natychmiastowe zaspokojenie potrzeb.

Collins dalej patrzyła w ekran i usiłowała zestawić postać tej młodej osoby z zachowanym w pamięci obrazem Jennifer; nie wiedziała, że robi dokładnie to samo, co Adrian jakiś czas wcześniej.

- To musi być aktorka - stwierdziła z niedowierzaniem.

- Tak pani myśli? - prychnął przestępca. - Pani detektyw, nie pani nie wie o takich rzeczach...

Wcisnął klawisze, żeby przywołać menu. Wybrał pierwszy lepszy tytuł i oboje nagle zobaczyli, jak dziewczyna z zawiązanymi

oczami myje się, zastaniając nagość przed wścibskimi spojrzeniami. Przed kamerą przewijała się postać mężczyzny. Tym razem Terri zobaczyła nie tylko tatuaż, ale i bliznę.

- Przecież one nie pasują do... - odezwała się głośno, choć z wyczuwalnym wahaniem.

- Mhm. - Wolfe mówił szybko, z ożywieniem. - To samo powiedziała pani profesorowi wczoraj wieczorem, tyle że na moje oko było oczywiste jak cholera, że pani nie uwierzył. Albo pomyślał, że to coś w rodzaju hollywoodzkiej charakteryzacji.

- Muszę zobaczyć jej twarz. - Terri zniżyła głos prawie do szeptu.

- Da się załatwić. Prawie. Cały czas jest w masce. - Wolfe otworzył film z przesłuchaniem Numeru 4. Kiedy odpowiadała na pytania, głos miała lekko zniekształcony. - Pewnie majstrowali przy dźwięku, żeby nikt nie rozpoznał jej głosu - wyjaśnił przestępca jak ekspert.

Terri wbiła wzrok w dziewczynę z zawiązanymi oczami i uważnie wsłuchiwała się w każde jej słowo. Przypomniała sobie wszystkie okazje, kiedy siedziała naprzeciwko Jennifer. Próbowała wychwycić coś w tym głosie, co potwierdziłoby, że nastolatka, którą pamięta, i ta, którą widzi w tej chwili, to jedna i ta sama osoba.

To musi być ona, pomyślała ze zdumieniem, mimo że z ust dziewczyny padła odpowiedź „Osiemnaście...”

- Gdzie... - zaczęła.

- To właśnie jest ciekawe - przerwał jej Wolfe. - Nie w Los Angeles, Miami czy Teksasie. Ta cholerna strona internetowa nadaje z miejsca o jakieś dwie godziny drogi stąd.

Terri widziała w myślach mapę. Czy dwie godziny wystarczą, by zabrać kogoś do czyścica?

- Mam GPS - ciągnął Wolfe. - Profesor też. Pewnie właśnie tam pojechał. Tak obstawiam. Ma nad nami lekką przewagę. Ale założę się, że staruszek nie jeździ tak szybko jak my.

Tu się mylisz, pomyślała Terri. Nie powiedziała tego na głos. Wyjęła telefon komórkowy. Wolfe pokręcił głową.

- Profesor nie jest aż tak nowoczesny - stwierdził, jakby w odpowiedzi na oczywiste pytanie. Sięgnął do kieszeni po swoją komórkę, tę, z której korzystał Adrian.

- Dobrze więc. Ruszajmy - ponagliła Terri.

Wolfe kliknął myszą i strona internetowa zamknęła się z westchnieniem „Do zobaczenia, psychprof”.

Detektyw i przestępca pospiesznie wyszli z domu Adriana i pobiegli przez podjazd do samochodu Terri, prawie krok w krok tą samą trasą co Adrian niedługo wcześniej. Gdyby nie zareagowali tak szybko i zostali jeszcze kilka sekund przy komputerze, zobaczyliby, jak zakapturzona dziewczyna nagle sztywnieje ze strachu. Drzwi jej celi się otworzyły.

ROZDZIAŁ 41

Jennifer cofnęła się, choć oparta plecami o ścianę i przykuta do łóżka, nie miała dokąd uciec. Wsłuchiwała się w teraz już znajomy odgłos kroków kobiety. Czowała się pokonana, zmaltrretowana i wygłodzona. Krwawienie między nogami ustało, ale szczypanie i ból nie ustępowały. Zdawała sobie sprawę, że jest tylko szkieletem, który ledwo trzyma się przy udawanym życiu, i ilekroć się ruszała, spodziewała się usłyszeć grzechot swoich kości. Domyślała się, że mężczyzna jest z kobietą, choć go nie słyszała. Zawsze chodził bezszelestnie, co przerażałoby ją jeszcze bardziej, gdyby nie to, że przekroczyła już granicę dzielącą rozsądek od strachu. Nie mogła bać się intensywniej i dlatego, o dziwo, nie bała się prawie wcale. Była za młoda, żeby przyznać przed sobą, że pogodziła się z losem, ale ogarniało ją czarne przygnębienie.

Pomyślała: Kiedy wiesz, że umierasz, tak naprawdę nie ma się czego bać. Tata się nie bał. Ja się nie boję. Już nie. Cokolwiek chcecie mi zrobić, proszę bardzo. Nie obchodzi mnie to. Już nie.

Czuła, że kobieta się zbliża. Że staje nad nią.

- Chce ci się pić, Numerze 4?

Jennifer nagle odniosła wrażenie, jakby miała piasek w gardle.

Skinęła głową.

- To pij.

Kobieta wcisnęła jej do ręki butelkę wody. W kapturze na wysokości ust wciąż był mały otwór wycięty wtedy, kiedy ją uspili, jej pierwszego dnia w roli Numeru 4. Usiłowała podnieść butelkę do spierzchniętych warg; nawet gdy jej się udało, część wody ściekła po kapturze na pierś i Jennifer nie tyle poczuła się odświeżona, co wydawało jej się, że tonie. Złapała oddech i duszkiem wypijała całą wodę, choć pewnie - jak podejrzewała - zaprawioną narkotykami; może tak byłoby nawet lepiej, stwierdziła. Chętnie przyjęłaby wszystko co ją znieczuli.

- Lepiej, Numerze 4?

Skinęła głową, niezgodnie z prawdą. Wcale nie było lepiej. Nagle ogarnęła ją niemal nieodparta pokusa, żeby krzyknąć: „Na imię mam Jennifer”, ale nie mogła już nawet uformować tych słów i wypchnąć ich przez obolałe gardło. Wciąż milczała.

Nastąpiła chwila przerwy i Jennifer usłyszała szuranie drewna po twardej betonowej podłodze. Wiedziała co to. Cichy mężczyzna przesunął krzesło na zwykłe miejsce. Po kilku sekundach kobieta potwierdziła prawdziwość obrazu, który Jennifer zobaczyła oczami wyobraźni.

- Chcę, żebyś przeszła na koniec łóżka. Jest tam krzesło, na którym siedziałas wcześniej. Znajdź je i usiądź. Odpręż się. Patrz przed siebie.

Jasne rozkazy wypowiedane niemal łagodnym tonem. Ku swojemu zaskoczeniu Jennifer słyszała, że głos kobiety stał się modulowany. Męczący monotony tembr, tak ciężki do zniesienia w ciągu długich dni niewoli, stracił swoją ostrość. Brzmiał prawie jak ton przyjaznej recepcjonistki, jakby kobieta nie prosiła Jennifer o nic więcej jak tylko o to, żeby zechciała usiąść i poczekać, aż zacznie się dawno zaplanowane spotkanie.

W najmniejszym stopniu nie ufała temu nowemu dźwiękowi. Wiedziała, że kobieta wciąż jej nienawidzi.

Miała nadzieję, że zdoła odwzajemnić tę nienawiść.

- Pora na kilka dodatkowych pytań, Numerze 4. Niedużo. To nie potrwa długo.

Jennifer zerwała się, zgramoliła z łóżka i ze szczękiem łańcuchów podeszła do krzesła. Pociągnęła za sobą Pana Futrzaka jak żołnierz, który zabiera rannego towarzysza z linii ognia. Nie zwracała uwagi na swoją nagość ani na kamerę studiującą jej ciało z natarczywą ciekawością. Macała w powietrzu, aż natrafiła na krzesło i osunęła się na nie. Patrzyła prosto przed siebie, w miejsce, gdzie - jak wiedziała - był skupiony na niej obiektyw.

Nastąpiła krótka pauza.

- Powiedz, Numerze 4... czy marzysz o wolności? - odezwała się wreszcie kobieta.

Zaskakujące pytanie. Jak zawsze, kiedy kobieta badała jej uczucia, Jennifer nie miała pojęcia, jaka jest właściwa odpowiedź.

- Nie - powiedziała powoli. - Marzę o tym, żeby wszystko znów było tak jak kiedyś, zanim tu trafiłam.

- Przecież mówiłaś, że nie znosiłaś tamtego życia. Że chciałaś od niego uciec. Kłamałaś?

- Nie - pospiesznie zaprzeczyła Jennifer.

- Myślę, że tak, Numerze 4.

- Nie, nie, nie - zapewniła Jennifer błagalnym tonem, choć o co błagała, nie miała pojęcia.

Kobieta się zawahała.

- Numerze 4... Jak sądzisz, co się teraz z tobą stanie?

Jennifer miała wrażenie, że podzieliła się na dwie różne osoby, które zajmują tę samą przestrzeń. Jedna jej połowa czuła zawroty głowy, zbita z tropu drobną zmianą tonu kobiety, druga pozostawała zimna, niemal zeszytywniała od zamarzniętych uczuć, świadoma, że bez względu na to, co powie i zrobi, jest bliska końca, choć wolała sobie nie wyobrazić, jaki ten koniec będzie.

- Nie wiem - odparła.

Kobieta powtórzyła:

- Numerze 4, jak sądzisz, co się teraz z tobą stanie?

To pytanie wydawało się tak okrutne jak wszystko, co ją spotkało. Odpowiadanie było gorsze od pobicia, skucia łańcuchami,

poniżenia, gwałtu i filmowania każdej jej czynności. Zmuszało do tego, żeby wybiegła w przyszłość, a to bolało jak cięcie brzytwą. Zrozumiała, że kiedy żyła chwilą obecną, było strasznie. Jednak jeszcze gorzej snuć domysły.

- Nie wiem, nie wiem, nie wiem. - Słowa szybko wybiegały z jej ust, wrywały się z piersi, kaptur nie tłumił piskliwego głosu.

- Numerze 4... Zadam pytanie jeszcze jeden, ostatni raz... jak sądzisz, co...

Jennifer jej przerwała.

- Sądzę - wypaliła pospiesznie - że nigdy... - mówiła coraz wolniej - ...stąd nie wyjdę. Że zostanę tu do końca życia. Myślę, że teraz to jest mój dom i że nie ma jutra ani pojutrze. Nie było wczoraj ani przedwczoraj. Nie ma nawet następnej minuty. Jest tylko to. Tutaj. Teraz. To wszystko.

Kobieta przez kilka sekund milczała. Pewnie spodobało jej się to, co usłyszała. Albo wprost przeciwnie. Jennifer miała to gdzieś. Ważne, że udało jej się uniknąć jedynej prawdziwej odpowiedzi: „Umrę”.

Kobieta wybuchnęła śmiechem.

Ten dźwięk przeszył Jennifer na wylot. Był prawie bolesny.

- Chcesz się uratować, Numerze 4?

Kretyńskie pytanie, pomyślała dziewczyna. Nie mogę się uratować. Nigdy nie miałam jak.

Jednak kiedy te słowa dudniły w wyobraźni, jej głowa poszła w górę i w dół.

- Dobrze - powiedziała kobieta. Znów krótka chwila wahania. - Mam prośbę, Numerze 4.

Prośbę? Chce, żebym oddała jej przysługę? Niemożliwe. Jennifer lekko wychyliła się do przodu. Jej zakończenia nerwowe napięły się do granic możliwości. Każde słowo kobiety czegoś ją podstępnie pozbawiało.

- Zrobisz, o co poproszę?

Znów skinęła głową.

- Tak. Zrobię, co tylko zechcesz.

Nie sądziła, żeby miała wybór.

- Wszystko?

- Tak.

Milczenie. Jennifer spodziewała się nowej porcji bólu. Uderzy mnie. A może ten facet znowu mnie zgwałci.

- Daj mi swojego misia, Numerze 4.

Nie rozumiała.

- Co?

- Chcę misia, Numerze 4. W tej chwili. Oddaj go.

Mało nie wpadła w panikę. Chciała krzyczeć, uciec, schować się. To tak, jakby zażądano od niej, żeby oddała swoje serce albo swój oddech. Pan Futrzak był jedyną rzeczą, która przypominała jej, kim jest. Szorstkie syntetyczne futro zabawki przylegało do jej nagiej skóry. W tej chwili ten dotyk wydawał się silniejszy, jak gdyby pluszak uczepił się jej, stopił z nią w jedno. Oddać Pana Futrzaka? Jej gardło zacisnęło się. Krztusiła się, łąpała powietrze i kołysała na krześle, jakby dostała potężny cios w pierś.

- Nie mogę, nie mogę - jęczała.

- Miś, Numerze 4. Żebym miała coś, co będzie mi ciebie przypominało.

Oczy nabiegły jej łzami, mdłości wezbrały w żołądku. Myślała, że zaraz zwymiotuje. Czuła małe zabawkowe łapki pluszowego misia. Trzymały ją jak rączki małego dziecka. Chciała zapaść się pod ziemię.

- Miś, Numerze 4. To moja ostatnia prośba.

Nie widziała innego wyjścia. Powoli odsunęła Pana Futrzaka od piersi i wyciągnęła go przed siebie. Jej ramiona trzęsły się od niepowstrzymanego szlochu. Dłoń kobiety musnęła jej palce i zabrała Pana Futrzaka. Kiedy Jennifer wypuściła misia z uścisku, rozpaczliwie próbowała jeszcze pogłaskać jego futerko. Jej samotność była całkowita. Nie miała w głowie nic oprócz myśli: przepraszam, przepraszam, żegnaj, żegnaj, żegnaj. Ledwo dosłyszała następne słowa.

- Dziękuję, Numerze 4. A teraz, pora kończyć. Odpowiada ci to?

Znów zaniemówiła. Czuła się naga jak nigdy dotąd.

- Odpowiada ci to, Numerze 4?

Panie Futrzaku, wybacz. Zawiodłam cię. To wszystko moja wina. Tak mi przykro. Pragnęłam cię ocalić.

- Pora kończyć?

Wiedziała, że to pytanie wymaga odpowiedzi. Nie miała pojęcia jakiej. Powiesz tak, umrzesz. Powiesz nie, umrzesz.

- Chciałabyś wrócić już do domu?

Resztki tchu gwałtownie uwięzły jej w gardle. Miała wrażenie, że jest gorąco, parno, a jednocześnie zimno jak podczas śnieżycy.

- Chciałabyś już skończyć? - naciskała kobieta.

- Tak... - wydusiła ze szlochem.

- Czyli to koniec?

- Tak, proszę...

- W porządku.

Jennifer nic nie rozumiała, nie wierzyła w to, co się dzieje. Wizje wolności zawładnęły jej wyobraźnią. Drgnęła i nagle poczuła dłonie kobiety na swoich. Jakby dotknęła drutu pod napięciem. Dreszcz przeszył ją od stóp do głów. Kobieta powoli rozkuła kajdanki i upuściła je z brzękiem na podłogę. Szczękniętym zdejmowanym łańcuchem. Jennifer kręciło się w głowie jak przy chorobie morskiej, kołysała się w przód i w tył, jak gdyby bez łańcucha i kajdanek już nic nie utrzymywało jej w pionie.

- Kaptur zostaje, Numerze 4. Sama się zorientujesz, kiedy będziesz go mogła zdjąć.

Jennifer odruchowo podniosła ręce do czarnej płachty na głowie. Natychmiast posłusznie opuściła dłonie na podolek, ale była potwornie skołowana. Ja się zorientuję?

- Kładę ci pod nogami klucz. Dzięki niemu będziesz mogła wyjść - oznajmiła kobieta powoli. - On otworzy jedyne drzwi, które dzielą cię od wolności. Proszę, żebyś siedziała nieruchomo przez kilka minut. Masz liczyć na głos. Kiedy uznasz, że minęło dość czasu, możesz odszukać klucz i zdecydować, czy chcesz już wrócić do domu. Na podjęcie tej decyzji masz tyle czasu, ile potrzebujesz.

Jennifer kręciło się w głowie. Zrozumiała polecenia „siedzieć nieruchomo” i „liczyć na głos”. Cała reszta jednak nie miała krzty sensu.

Trwała w bezruchu. Usłyszała szuranie nóg, potem odgłos otwieranych drzwi. I trzask zamykanych drzwi, i zgrzyt zaciąganej zasuwki.

Jej rozgorączkowaną wyobraźnię wypełniały obrazy. Klucz leżał tuż przed nią. Pomyślała: Odchodzą. Uciekają i chcą tylko, żebym zaczekała, aż znikną. Tak robią przestępcy. Muszą uciec. W porządku. Pójdę na to. Zrobię, o co proszą. Byleby zniknęli. Zostawili mnie samą. Nic mi nie będzie. Dam radę wrócić do domu.

- Tysiąc. Dwa tysiące. Trzy tysiące... - szeptała.

Nie mogła się powstrzymać. Wezbrała w niej nadzieja, a z nią poczucie winy. Przepraszam, Panie Futrzaku, powinieneś teraz być ze mną. Powinnaś zabrać cię ze sobą do domu. Przepraszam.

Wzdrygnęła się. Od stóp do głów. Wyobraziła sobie, że posadzą Pana Futrzaka przed kamerą i będą go torturować zamiast niej. Nigdy nie daruje sobie tego, że go oddała. Nie sądziła, by mogła wrócić do dawnego świata bez niego. Bez Pana Futrzaka nie zdoła spojrzeć ojcu w twarz, nawet jeśli nie żyje, choć ta niemożliwość nie wydawała się przeszkodą nie do pokonania. Wszystko w niej ścisnęło się jak za dokręceniem śruby.

- ...Dwadzieścia jeden tysięcy. Dwadzieścia dwa tysiące...

Niech minie dość czasu. Niech uciekną. Niech sobie pójdą. Nigdy więcej ich nie zobaczysz.

Tak, logiczne. Nie jestem im już potrzebna. To koniec. Zaniośła się niepohamowanym szlochom. Nie pozwoliła sobie pomyśleć: przeżyję, ale to uczucie narastało w niej z każdą odliczoną sekundą.

Powoli, starannie policzyła do dwustu czterdziestu tysięcy, i dłużej nie wytrzymała. Klucz. Znajdź klucz. Wróć do domu, nakazała sobie.

Schyliła się i wyciągnęła rękę jak pobożny pokutnik, który zapala świeczkę na ołtarzu. Pomacała dokoła; jej palce natrafiły na coś twardego, metalowego.

Zawahała się. Takiego klucza jeszcze nigdy nie miała w ręku. Sięgnęła dalej i jej dłoń objęła jakiś drewniany przedmiot.

Omiotła czubkami palców kształt klucza. Okrągły. Długi. Straszny. Odskoczyła do tyłu i wstrzymała oddech, jakby oparzyła sobie palce.

Płacz dziecka. To kłamstwo.
Zabawa dzieci. To kłamstwo.
Policja na górze. To kłamstwo.
Klucz, dzięki któremu odzyskasz wolność.
Najgorsze ze wszystkich kłamstw.
Nie klucz leżał u jej stóp.
Pistolet.

ROZDZIAŁ 42

Adrian co najmniej trzy razy skręcił nie tam gdzie trzeba i zupełnie pobłądził na wyboistych drogach wijących się przez małe miasteczka, które byłyby urocze jak na obrazach Normana Rockwella, gdyby nie szpeciły ich wszechobecne ślady ciężkich czasów i nędzy. Zbyt dużo starych, zardzewiałych samochodów na pustakach obok domów, zbyt dużo porzuconych maszyn rolniczych opartych o krzywe płoty. Mijał wyblakłe czerwone stodoły, niemalowane od dziesiątków lat, o dachach ugiętych pod ciężarem wielu srogich zim. Stały obok szerokich przyczep mieszkalnych ozdobionych antenami satelitarnymi. Co kilka kilometrów wyrastały ręcznie malowane tablice reklamujące „autentyczny” syrop klonowy albo „autentyczne” indiańskie wyroby.

Te drogi nie prowadziły w popularne miejsca. Wąskie, kręte jednopasmowe szosy ciągnęły się z dala od części Nowej Anglii pokazywanych w broszurach turystycznych. Wzdłuż poboczy wyrastały gęstsze splątanych drzew - liście już okrywały się żywą zielenią. Pomiędzy liniami drzew przemykały falujące łąki, na nich kiedyś pasły się krowy i owce. To były niedostrzegane części Ameryki, przez które ludzie pędzą w pośpiechu, jadąc gdzie indziej, do drogiego domku letniego nad jeziorem czy luksusowego apartamentu w górach. Adrian kilka razy musiał zjechać na bok, żeby dokładnie przestudiować wyciągniętą ze schowka sfatygowaną mapę, a potem zawrócić.

Tak naprawdę nie miał żadnego planu.

Jego chaotyczna podróż, pełna pomyłek godnych dwadzieścia lat starszego człowieka, trwała o wiele za długo. Wiedział, że musi dotrzeć na miejsce najszybciej, jak się da. Kierował i wciśkał pedał gazu, jakby wioził chorego do szpitala. W jednej chwili wyrывał naprzód, by zaraz potem ostro zahamować w obawie, że straci panowanie nad wozem na jakimś ostrym zakręcie. Co rusz przypominał sobie, żeby więcej nie pomylić drogi. Jeden zły zakręt i może być po wszystkim. Mówił do siebie i pomrukiwał pod nosem:

- Szybciej, szybciej...

Próbował myśleć o Jennifer, ale nawet ona wymykała mu się z pamięci. W głowie miał skotłowane obrazy: Zdeterminowana Jennifer w różowej czapce Red Sox, kiedy widział ją po raz pierwszy; Jennifer sztucznie uśmiechnięta na zdjęciu z policyjnej ulotki, leżącej na siedzeniu obok niego; Jennifer z zawiązanymi oczami, prawie naga, patrzy w kamerę, przesłuchiwana przez zamaskowanego oprawcę.

Wiedział, którą Jennifer znajdzie, kiedy odszuka ten wiejski dom.

Wszystko, co w nim zostało z powszechnie szanowanego, rozważnego profesora psychologii, dawnego kierownika katedry, mówiło mu, że powinien zadzwonić do detektyw Collins i dać znać, gdzie jest i co robi. Tak nakazywał rozsądek. Mógłby nawet skontaktować się z przestępcą seksualnym i uprzedzić go o swoich zamiarach. I Wolfe, i Terri Collins na pewno lepiej poradziłoby sobie w tej sytuacji.

Jednak w chwili, kiedy tego ranka wsiadł do samochodu, postanowił porzucić rozsądek. Nie wiedział, czy jego postępowanie można tłumaczyć chorobą. Może i tak. Może to napad szaleństwa, może już nie panuje nad sobą. Może gdybym wziął garść tych nieskutecznych pigułek, teraz robiłbym coś innego.

A może nie.

Przyhamował gwałtownie i powoli jechał wąską boczną drogą. Rozglądał się na boki za czymś, co powiedziałoby mu, że jest blisko. Po trosze spodziewał się, że lada moment zza zakrętu wyskoczy rozpędzony pikap i zatrąbi na niego, żeby go pogonić.

Podejrzewał, że cel jest niedaleko. Tknęło go, że powinien zadzwonić do agencji nieruchomości, uzyskać dokładne instrukcje, nawet poprosić agentkę, żeby się z nim spotkała i pokazała mu drogę. Jednak uparty głos w jego głowie mówił mu, że to, co zamierza, lepiej załatwić samemu. Za tą radą stoi Brian, domyślił się. Zawsze był typem samotnika. Ufał przede wszystkim sobie, innym niekoniecznie. Może Cassie też: jak każda artystka, często czuła potrzebę samotności. No i Tommy, zawsze imponująco samodzielny, na pewno dołożył swoje trzy grosze.

Skręcił do zatoczki autobusowej i zatrzymał się z chrzęstem kół na syrkim żwirze. Według jego rozdartej mapy, zdobycznych współrzędnych GPS i wydrukowanych z komputera danych z agencji nieruchomości, podjazd prowadzący na farmę był kilkaset metrów dalej. Spojrzał w tamtym kierunku. Jedna poobijana niebieska skrzynka na listy, przechylona jak pijany marynarz po nocnym wypadzie na miasto, wskazywała początek podjazdu.

W pierwszym odruchu chciał po prostu zjechać przed dom, wysiąść i zapukać do drzwi. Już zaczął wrzucać bieg, kiedy dłoń dotknęła jego ramienia i usłyszał szept Tommy'ego.

- Tak tego nie załatwisz, tato.

Zawahał się.

- Co sądzisz, Brian? - spytał tym samym tonem, jakiego używał, przewodnicząc długim zebraniom kadry, kiedy zachęcał do przedstawiania skarg lub opinii, zazwyczaj dość licznych. - Tommy mówi, żebym nie zajeżdżał przed dom.

- Słuchaj chłopaka, Audie. Atak frontalny zwykle łatwo odeprzeć, nawet jeśli ma się po swojej stronie element zaskoczenia. A poza tym tak naprawdę nie wiesz, czego się spodziewać...

- W takim razie co...

- Ukradkiem, tato - włączył się Tommy; wciąż mówił bardzo cicho. - Musisz ich podejść.

- Tak, ostrożnie, Audie - dodał Brian pospiesznie. - Żadnej brawury. Żadnych żądań. Żadnej akcji w stylu „no to jestem, gdzie Jennifer?” Najpierw musimy rozeznac się w terenie.

- Cassie? - spytał Adrian głośno.

- Posłuchaj ich, Audie. Mieli dużo większe doświadczenie w takich operacjach niż ty.

Nie był pewien, czy to rzeczywiście prawda. Jasne, Brian przewodził kompanii żołnierzy w dżungli podczas wojny, a Tommy sfilmował wiele operacji wojskowych, zanim wyruszył z ostatnią misją. Adrian jednak myślał o Jennifer raczej jak o jednym ze swoich szczurów laboratoryjnych. Tkwiła w labiryncie, a on obserwował trwający eksperyment. Ta myśl przemówiła do niego. Tak się przyzwyczaił do cierplivej obserwacji wydarzeń, że znalezienie miejsca, z którego raz jeszcze będzie mógł patrzeć z dystansu, co się dzieje, wydawało się czymś naturalnym.

Znów obejrzał zdjęcia z internetowej agencji nieruchomości. Złożył je i schował do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Już wysiadał z samochodu, kiedy usłyszał szept Cassie:

- Nie zapomnij tego...

Pokręcił głową.

- Skup się! - mruknął do siebie. Miał wrażenie, że jego umysł pracuje na połowę niższych obrotach niż zwykle. Co najmniej. Gdyby nie ostrzeżenie od Cassie, byłby bezradny. - Przepraszam, Oposiku. Masz rację. Będzie mi potrzebny. - Sięgnął do samochodu i wziął z fotela pasażera rugera swojego nieżyjącego brata.

Ciężar pistoletu wydawał się znajomy. Adrian pomyślał, że broń przydała mu się dużo bardziej niż Brianowi. Jego brat użył jej tylko raz - żeby się zabić. Adrian też o mało się z niej nie zastrzelił, a potem parę razy groził nią Markowi Wolfe'owi, który pomógł mu dotrzeć tutaj, w miejsce, gdzie być może znów okazać się użyteczna. Próbował wcisnąć pistolet do kieszeni - trochę wystawał. Usiłował wsunąć go za pasek, ale to, co gwiazdom filmowym i telewizyjnym przychodziło tak łatwo, jemu utrudniało utrzymanie równowagi. Pomyślał, że w końcu broń mu wypadnie i ją zgubi. Dlatego niósł ją w mocno zaciśniętej dłoni.

Zadał głowę. Wietrzyk szumiał w gałęziach drzew. Snopy światła słonecznego i ciemne cienie kołysały się w tę i z powrotem, zmieniając pozycje przy każdym podmuchu. Spłoszone stado czarnych wron zerwało się z krzykiem od krwawej uczty

na środku drogi. Przebiegł przez szosę i ruszył w stronę podjazdu. Był zadowolony, że na nikogo się nie natknął, bo uważał, że po trosze wygląda jak skończony idiota, a po trosze jak śmiertelnie groźny szalenciec.

Terri Collins jechała ostro. W ogóle nie zwracała uwagi na ograniczenia prędkości. Mark Wolfe kurczowo trzymał się uchwyty nad fotelem pasażera, z dzikim uśmiechem na twarzy i oczami szeroko otwartymi z emocji jak na kolejce górskiej. Kilometry uciekały pod kołami. Większość drogi pokonali w ciszy, przerywanej tylko uwodzicielskim, metalicznym głosem GPS-u w jej telefonie komórkowym.

Nie wiedziała, ile czasu odrobili do profesora. Trochę. Wystarczająco dużo? Była pewna, że sprawa jest pilna, ale nie potrafiłaby wytłumaczyć dlaczego. Bo nie może pozwolić nauczycielowi psychologii zabić niewinnego człowieka? Możliwe. Bo ma szansę znaleźć nastoletnią uciekinierkę wykorzystywaną na pornograficznej stronie internetowej? Możliwe. Bo jeśli nic nie zrobi, wyjdzie na idiotkę? Prawdopodobne.

W pewnym momencie Wolfe wybuchnął śmiechem. Jechała prawie sto pięćdziesiąt na godzinę i to przestępcę niezmiernie bawiło.

- Mnie już zatrzymałaby drogówka - powiedział. - Dopiero mieliby niespodziankę, gdyby sprawdzili mi dokumenty. Człowiek z moją przeszłością nigdy się nie wymiga od mandatu. Za to pani ma szczęście.

Terri uważała inaczej. Prawdę mówiąc, ulżyłoby jej, gdyby zobaczyła w lusterku wstecznym pędzący radiowóz. Zyskałaby pretekst, żeby poprosić o wsparcie.

Nie wiedziała, czy potrzebuje pomocy. Z drugiej strony, nie była pewna, czy poradzi sobie sama. Odnosiła wrażenie, że uwikłała się w jakąś dziwną przygodę w towarzystwie najbardziej odrażającego Sancho Pansy, jakiego można sobie wyobrazić. Wdała się w pościg za Don Kichotem jeszcze bardziej oderwanym od rzeczywistości od jego literackiego pierwowzoru.

Głos z GPS-u kazał im skręcić z autostrady na boczne drogi. Jechała tak szybko, jak się dało na wąskich szosach. Opony się

buntowały. Wolfe chwiał się na fotelu pasażera, pęd rzucał nim w prawo i w lewo.

Za przednią szybą przemykał zmienny pejzaż idyllicznego pustkowia. Lasy i łąki powinny być spokojne i piękne, ale zamiast tego sprawiały wrażenie, jak gdyby się ukrywały. Terri przez chwilę czuła się, jakby wyszła poza ramy rozumu, nieświadoma, że ta sama myśl wcześniej przemknęła przez głowę Adriana. W mieście, gdzie pracowała i mieszkała z dziećmi, życie miało dla niej swój sens. Może nie wszystko zawsze było idealne - ale rozumiała mroczne nurty i cienie, z którymi stykała się na co dzień, więc nie wydawały jej się niezwykle ani straszne.

Ta podróż to coś zupełnie innego. Wejście w mrok wykraczający daleko poza każdy czarny horyzont, który poznała, pracując w policji. Pomijając te lata, kiedy sama była ofiarą. Pokręciła głową w odpowiedzi na niezadane pytanie.

Mark Wolfe patrzył na instrukcje.

- Siedemnaście kilometrów tą drogą - poinformował. - A dokładnie, siedemnaście przecinek trzydzieści osiem, według tego. Potem jeszcze jeden zakręt, siedem kilometrów prosto i powinniśmy być na miejscu. O ile można na tym polegać. Bo różnie bywa. - Zaśmiał się. - Nigdy nie sądziłem, że będę pilotem policjantki.

Puściła tę uwagę mimo uszu, ale jechała zgodnie z jego wskazówkami. Czekala, aż głos z GPS-u potwierdzi podawane przez niego informacje.

Adrian znalazł ścieżkę, która - zdawało się - biegnie równoległe do podjazdu przez drzewa na jego skraju. Ruszył nią przed siebie. Omijał przewrócone pnie; stąpał po miękkiej, wilgotnej ziemi. Krzaki szarpały go za ubranie. Po paru minutach ścieżka stała się węższa i bardziej zarośnięta; musiał przedzierać się przez wiosenny gąszcz.

Szedł slalomem, ciernie czepiały się jego spodni i dłoni. Odgarniał gałęzie, skręcał to w prawo, to w lewo, usiłując trzymać się wąskiego szlaku - w jednej chwili wydawał się otwarty i wygodny, a zaraz potem stawał się nieprzebyty. Wszystkie stawiane

przez naturę przeszkody coraz bardziej utrudniały marsz i choć Adrian nie chciał przed sobą przyznać, że znów zabłądził, wiedział, że nieuchronnie oddala się od celu. Liczył, że ścieżka będzie prosta, a tymczasem co rusz musiał zmieniać kierunek. Przebijał się naprzód. Starał się nie tracić orientacji. Podejrzewał, że Brian znowu powie mu coś o tym, jak to dżungle wietnamskie były dużo gorsze. Obok siebie słyszał jednak tylko ciężki, przyspieszony, zmęczony oddech brata, tyle że, kiedy na chwilę przystanął, żeby odpocząć, zorientował się, że to on sam tak dyszy.

Czuł się jak w pułapce. Miał ochotę zacząć strzelać z pistoletu, utorować sobie drogę kulami. Choć nie było za ciepło, pot ściekał mu z czoła. Jakby toczył walkę, zamachnął się i odrzącił pięścią gałąź, po czym kopnął ciernisty krzak, który uczepił się jego spodni.

Przystanął na sekundę i spojrzął w górę. Błękitne niebo oświetlało mu drogę. Zmusił się, by ruszyć naprzód - choć zdawał sobie sprawę, że „naprzód” w tej sytuacji może oznaczać w bok albo nawet do tyłu. Był zupełnie zagubiony, zwyciężony przez leśną gęstwinę. Przez chwilę ogarnął go strach. Odnosił wrażenie, że wdarł się na ziemię niczyją, z której nigdy się nie wydostanie, i że pisane mu jest spędzić resztę życia w tej płataninie drzew i zarośli. Jeden zły wybór skazał go na zgubę.

Zaczął wpadać w panikę. Miał ochotę zawołać o pomoc. Chwytał się gałęzi i przedzierał naprzód, któredy się tylko dało. Odrzącał suche drewno, potykał się. Walka była krwawa; czuł zadrapania na dłoniach i twarzy.

Przeklinał swój wiek, swoją chorobę i swoją obsesję.

I wtedy - tak szybko jak go oplótł - las przerzedził się, uwolnił z uścisku.

Nagle zrobiło się więcej miejsca. Ziemia pod nogami stała się twardsza. Ciernie puściły. Podniósł głowę i zobaczył wyjście. Przebił się naprzód jak tonący, który łapie powietrze, gdy tylko wynurzy się na powierzchnię.

Drzewa ustąpiły miejsca błotnistej łące.

Adrian padł na kolana jak do modlitwy, przepęnlony

wdzięcznością. Oddychał szybko, usiłując się uspokoić i zorientować, gdzie jest.

Na wprost wznosił się mały łagodny pagórek. Adrian wdrapał się na szczyt. Słońce ogrzewało mu plecy. W powietrzu wisiał słaby zapach wilgotnej ziemi. Na górze przystanął, żeby się rozeznać w terenie. Ku swojemu zdumieniu, w dole zobaczył stodołę i wiejski dom. Wyciągnął z kieszeni broszury z agencji nieruchomości i gorączkowo porównał zdjęcia z tym, co widział na własne oczy.

Jestem na miejscu, pomyślał nagle.

W swojej mozolnej wędrówce przez las minął dom schowany w małym zagłębieniu terenu. Teraz był na wysokości bocznej ściany, prawie na tyłach, bliżej stodoły. Co najmniej pięćdziesiąt metrów dzieliło go od dwóch budynków.

Pięćdziesiąt metrów otwartej przestrzeni. Błotnistej terenu, na którym kiedyś pały się zwierzęta gospodarskie.

Nie prosił brata o radę.

Ukląkł, przywarł do miękkiej ziemi i poczołgał się w stronę miejsca, gdzie wiedział z absolutną pewnością, że znajdzie zaginioną Jennifer.

ROZDZIAŁ 43

Dwie nastolatki siedziały obok siebie na brzegu pojedynczego łóżka w sypialni. Najbardziej rzucały się tu w oczy kolekcje różowych pluszaków w falbankach i maleńkich serwisów do herbaty. Dziewczyny w skupieniu patrzyły w ekran. Między nimi a Numerem 4 było nie więcej niż rok, może nawet kilka miesięcy różnicy.

Na biurku leżał niklowany rewolwer z krótką lufą, kaliber 32 - nabity i odbezpieczony. W lśniącym metalu odbijały się obrazy z monitora. Pod bronią leżała sterta papierów. Głównie wydruki i skany mejli, esemesów i stron MySpace. Pośród nich znalazło

się też parę odręcznych listów na kartkach w linie, które ktoś kiedyś złożył w małą kosteczkę, a potem rozłożył, żeby odczytać napisane na nich wiadomości.

Jedna z dziewczyn miała lekką nadwagę. Druga nosiła okulary z grubymi szklami. Żadna z tych cech nie powinna nic znaczyć, dla nich jednak znaczyły wszystko.

Kartki pod rewolwerem stanowiły szczegółową dokumentację sześciu miesięcy intensywnego cybernękania. „Szmata” i „dziwka” to najłagodniejsze z wyzwisk, jakimi obrzucano dziewczyny. Zbiór zawierał też bolesne, wstydlive fotografie obrobione w Photoshopie. Pokazywały, jak każda z nastolatek uprawia seks z kilkoma niezidentyfikowanymi chłopcami. Fakt, że obrazy przedstawiały fikcyjne wydarzenia, nie miał znaczenia. Ktokolwiek zmontował te fotografie, zrobił to wprawnie, posługując się nową wersją Final Cuta albo Photoshopa; trzeba było dobrze się przyjrzeć, żeby stwierdzić, że są fałszywe. A żaden z ich szkolnych kolegów, którzy dostali te zdjęcia pocztą elektroniczną albo lia komórkę, nie studiował ich aż tak uważnie, bo wszyscy i tak wiedzieli, że to fotomontaż i mieli to gdzieś.

Koleżanki milczały. Patrzyły w ekran.

Rewolwer wzięły z torebki matki dziewczyny z nadwagą. Rozwiedziona sekretarka często pracowała do późna i po zmroku musiała przejść przez duży parking do swojego samochodu - dlatego uznała, że potrzebuje broni. Na początku zapisała się na kurs samoobrony i próbowała namówić córkę, żeby z nią chodziła, w końcu jednak sama z niego zrezygnowała. Łatwiej zapewnić sobie spokój ducha, kupując rewolwer u handlarza na wielkich targach broni. W tej chwili matka siedziała za biurkiem, odbierała telefony i przygotowywała plan następnej podróży handlowej szefów. Mylnie sądziła, że broń leży na dnie jej torebki - podróbki Fendi, a jej córka właśnie ma lekcję algebry.

Dziewczyna w okularach niechętnie odwróciła wzrok od ekranu. Zerknęła w dół, na ściśniętą w dłoni bladożółtą kartkę z misterną, kwiecistą obwódką. To ich wspólny list samobójczy. Długo nad nim pracowały. Chciały, żeby wszyscy się dowiedzieli,

kto się z nich bez przerwy naśmiewał, dlatego podały tyle nazwisk, ile mogły. Pragnęły odpłacić swoim prześladowcom takim samym okrucieństwem, jakiego od nich doznały. Snuły fantazje, że po ich śmierci ludzie, którzy pchnęli je do samobójstwa, na zawsze wylądują w więzieniu. Nie zdawały sobie sprawy, jak mało to prawdopodobne, ale te rojenia utwierdziły je w decyzji, żeby ze sobą skończyć.

W liście nie wspomniały o swojej fascynacji stroną cobedziepotem.com.

Nie opowiedziały, że godzinami oglądały Numer 4. Nie napisały o tym, jak ją błagały, przekonywały, a potem płakały razem z nią, kiedy działy się straszne rzeczy.

Numer 4 stała się nimi, a one nią. Dlatego kiedy zaczęły formułować swoje plany w trakcie nocnych, pełnych łez rozmów telefonicznych, uzgodniły jeden ważny szczegół: Jeśli Numer 4 umrze, one też.

Tak, mają dużo więcej szczęścia niż Numer 4. Mogą liczyć na siebie nawzajem. Ona ma tylko swojego misia, a teraz straciła nawet jego. Co prawda dziewczyny widziały, że kobieta zostawiła go na podłodze, ale Numer 4, wciąż schowana pod kapturem, zobaczyć tego nie mogła.

Na ich oczach Numer 4 podniosła pistolet z podłogi celi. Naśladując jej ruchy, otyła nastolatka wyciągnęła rękę i chwyciła rękojeść rewolweru. Nie wiedziały, czy chcą, żeby Numer 4 naprawdę się zastrzeliła, czy nie. Wiedziały tylko, że pójdą w jej ślady. Zrobią to co ona. Okularnica przechyliła się w bok, wzięła przyjaciółkę za rękę i ścisnęła, by dodać jej otuchy. Wszelkie myśli o tym, czy to, co robią, jest dobre czy złe, mądre czy głupie, pierzchły, gdy już zdecydowały, żeby los Numeru 4 określił ich przyszłość. Panna w okularach przez chwilę się zastanawiała, dlaczego przyjaźń nie dała im dość siły, by przetrwać liceum, nawet pośród ciągłych drwin i jawnego okrucieństwa. Nie potrafiła odpowiedzieć na to konkretne pytanie. Ale za kilka minut pozna wystarczająco dużo innych odpowiedzi.

Jennifer podniosła rewolwer zaskoczona jego ciężarem. Nigdy dotąd nie miała broni w ręku i błędnie wyobrażała sobie, że

coś, czego używa się do zabijania, powinno być lekkie jak piórko. Nie wiedziała, jak się tym posługiwać, jak otworzyć bębenek, załadować, odciągnąć kurek. Nie mogła stwierdzić, czy rewolwer jest odbezpieczony, czy naboje są we wszystkich sześciu komorach, czy tylko w jednej. Z telewizji orientowała się tylko, że musi przystawić lufę do głowy i nacisnąć spust.

Coś w niej krzyczało: Zrób to! Miej to już za sobą! Zakończ to!

Aż wstrzymała oddech, tak gwałtowne ogarniały ją uczucia. Ręka zadrżała jej lekko i Jennifer stwierdziła, że musi działać szybko, bo nie wiadomo, co mężczyzna i kobieta jej zrobią, jeśli się zawaha. Rozumowanie „zabij się, żeby cię nie skrzywdzili” wydawało się dziwnie logiczne.

Jednak wbrew temu, zupełnie się nie spieszyła, jakby uznała, że te ostatnie minuty powinny się rozegrać w zwolnionym tempie. Jakby musiała starannie rozpatrzeć każdy element każdego ruchu: Wyciągnij rękę. Weź rewolwer. Podnieś go ostrożnie. Stop.

Czuła się zupełnie osamotniona, choć wiedziała, że sama nie jest. Oni byli blisko.

Chwyciły ją mdłości, zakręciło jej się w głowie. Złapała się na tym, że odtwarza w myślach wszystko, co ją spotkało od chwili, kiedy została porwana z ulicy. To było tak, jak gdyby znów była bita, gwałcona, wyszydzana. Jednocześnie powracały chaotyczne obrazy z przeszłości.

W jej wyobraźni rozgorzał bój. Kłopot polegał na tym, że wspomnienia - dobre i złe, radosne i trudne - uciekały w głąb jakiegoś tunelu i coraz trudniej było je zobaczyć.

Wydawało się, że Jennifer wreszcie opuszcza pokój i Numer 4.

A Numerowi 4 została już tylko jedna możliwość.

Klucz, dzięki któremu wrócisz do domu. Tak nazwała to kobieta.

Samobójstwo wydawało się najbardziej oczywistym rozwiązaniem.

Nie dostrzegająca, nie wyobrażająca sobie żadnej alternatywy.

Mimo to się wahała. Nie rozumiała, skąd bierze się to połączenie zawziętości i oporu, ale wciąż w niej tkwiło, krzyczało,

wywoływało strach, przekonywało, zwalczało pokusę, by skończyć z Numerem 4 tu i teraz. Nie potrafiła już stwierdzić, czy samobójstwo to w tej sytuacji akt odwagi, czy wprost przeciwnie. Nic nie było dla niej jasne.

I wtedy zrobiła coś zaskakującego, czego nie umiałyby wyjaśnić, ale według krzyczących w niej instynktów to było konieczne, ważne i pilne.

Ostrożnie położyła rewolwer na kolanach, podniosła dłonie i zaczęła rozwiązywać kaptur okrywający głowę. Taki gest przeżyty hollywoodzkim romantyzmem, coś à la scena, w której dzielny szpieg stoi przed plutonem egzekucyjnym i nie chce, żeby zawiązano mu oczy, bo pragnie spojrzeć śmierci w twarz. Kaptur był ciasno zawiązany i z wysiłkiem rozplątywała węzły. Miotła się w niej jakaś zablakana myśl, żeby nie przejść bezpośrednio z jednej ciemności w drugą. Robota szła opornie, bo ręce drżały jej jak szalone.

To Linda pierwsza zauważyła, co robi Numer 4. Oboje, jak praktycznie wszyscy ich abonenci, siedzieli przykuci do monitorów i śledzili rozkosznie wolno nadciągający koniec Numeru 4. Koniec nieunikniony. Koniec fascynujący. W chatroomach i na listach dyskusyjnych dotyczących ostatniego aktu wrzało od komentarzy. Panował gorączkowy, elektroniczny gwar. Pełno było wykrzykników i emotikonów. Słowa napływały jak woda, która przerwała tamę.

- Jezu! - mruknęła Linda. - Jeśli ona to ściągnie...

Numer 4 mimowolnie wprowadziła do ich świata fantazji element rzeczywistości. Musieli coś z tym zrobić. Linda tego nie przewidziała i nagle runęła w morze strachu i fale niepokoju.

- Niepotrzebnie rozkuwałam jej ręce - wycedziła ze złością.
- Powinnam jaśniej się wyrazić.

Michael odwrócił się do klawiatury i złapał za dżojstik. Już miał wyłączyć główną kamerę, skierowaną na twarz dziewczyny, ale znieruchomiał.

- Nie możemy oszukiwać klientów - powiedział nagle. - Będą chcieli zobaczyć jej twarz.

Mógł sobie wyobrazić oburzenie widowni, jeśli Numer 4 zrobi to, czego od niej oczekują, a ten ostatni akt zostanie ukryty za pomocą sprytniej pracy kamery i ujęć ukośnych.

- Niedobrze - cmoknął Michael. - Będą chcieli, żeby było wyraźnie widać.

- Czy mamy... - zaczęła Linda, ale zamilkła. - Mignęła im, kiedy myśleli, że ucieknie. Mogli ją widzieć przez sekundę-dwie, zanim przełączyliśmy obraz na widok od tyłu...

- Mhm. I zareagowali jednoznacznie. Nie podobało im się, że zasłoniliśmy jej oczy. Chcieli zobaczyć - odparł Michael.

- Ale... - Linda znowu urwała. Dostrzegą wszystkie konsekwencje tego, o czym mówił Michael. - To cholernie duże ryzyko - szepnęła. - Jeśli gliny to namierzą, a wiesz, Michael, że wcześniej czy później tak się stanie, zrobią sobie stopklatkę. Wyostrzą obraz. Zorientują się, kogo widzą. A to może jakoś im podpowiedzieć, kogo szukać.

Michael całkowicie zdawał sobie sprawę, na co się narażają, pozwalając klientom dokładnie zobaczyć Numer 4 w momencie jej śmierci. Jednak alternatywa wydawała się gorsza. Poprzednie numery umarły mniej lub bardziej anonimowo, ich prawdziwa tożsamość pozostała ukryta do samego końca. Jednak i Michael, i Linda orientowali się, jak wielką namiętnością ich klienci darzą Numer 4, jak bardzo się do niej przywiązali. Była im dużo bliższa. Dlatego gra toczyła się o sporą stawkę.

Tymczasem Numer 4 nadal szarpała się z węzłami kaptura.

- Nie pomyślała - powiedziała Linda powoli - że mogłaby to po prostu zerwać. Poszłoby szybciej. I to mogłoby być dobre. Wizualnie, o to mi chodzi.

- Czekaj. Patrz dalej. Może do tego dojdzie. Bądź gotowa. Niewykluczone, że trzeba będzie natychmiast wyłączyć obraz z głównej kamery. Nie chcę tego, ale możemy nie mieć innego wyjścia.

Michael trzymał palce na odpowiednich klawiszach. Linda była u jego boku. Przyszło mu do głowy, żeby nagrać tutaj tę ostatnią scenę i odtworzyć ją później, kiedy już pozbędą się Numeru 4 i zatrą po sobie ślady. Ale to rozwścieczyłoby abonentów. Bezpieczni w swoich domach, przed monitorami

komputerów, rozpaczliwie pragnęli wiedzieć. A zatem musieli zobaczyć. Michaelowi mięśnie naprężyły się z napięcia. Żadnych opóźnień, pomyślał. Trzeba po prostu reagować na bieżąco. Ta niepewność niepokoiła, ale i pobudzała. Zerknął na Lindę; domyślał się, że bombardowały ją podobne myśli. Znow odwrócił się do Numeru 4 i oboje z Lindą skupili się na tym, co widzą na ekranie i wysyłają do cyberswiata.

Odetchnął głęboko.

Po raz pierwszy i jedyny w trakcie *Serii numer 4* wahali się. Wydawało się, że niepewność, której więźniem w ciągu całego show była Jennifer, wreszcie także ich dopadła. Niezdecydowani jak nigdy, nachylili się w stronę ekranu. Tak naprawdę nie mieli pojęcia, co będzie potem.

Błoto oblepiało skorupą jego ubranie, pokrywało dłonie. Rękojeść pistoletu wyslizgiwała się z ręki. Mocny zapach ziemi wypełniał nozdrza. Adrian czołgał się naprzód, centymetr po centymetrze i cierpliwie zbliżał się do domu. Słońce prażyło nad nim. Pomyślał, że jeśli ktoś wyjrzy przez okno, to tak czy inaczej go zauważy i całe jego podchody pójdą na marne. Jednak niepostrzymanie petłł naprzód. Pokonywał otwartą przestrzeń najsprawniej, jak potrafił, z oczami utkwionymi w celu.

Wstał dopiero, kiedy wczołgał się za róg stodoły, który zapewniał osłonę. Oddychał ciężko, nie z wysiłku, lecz z poczucia, że pakuje się bez zastanowienia w jakąś ostateczną walkę, co łączy jego chorobę ze wszystkimi porażkami, jakie poniósł jako mąż, ojciec i brat. Chciał odwrócić się do swoich duchów i je przeprosić, ale resztki rozsądku powiedziały mu, że musi iść dalej. Duchy będą z nim bez względu na wszelkie jego idiotyczne przeprosiny.

Wszystko w nim mówiło mu, że zaginiona Jennifer jest o metry od niego. Ciekawe, czy racjonalnie myślący człowiek doszedłby do tego samego wniosku. Powoli przeszedł na skraj stodoły i ostrożnie wyjrzał.

Widział tył domu. I pojedyncze drzwi; kuchenne, domyślił się. Od frontu, przynajmniej sądząc ze zdjęć, znajdował się stary

ganek, kiedyś pewnie stała tam huśtawka albo wisiał hamak; dziś został tylko przeciekający dach.

Żadnego dźwięku. Żadnego ruchu.

Nic, co wskazywałoby, że ktoś jest w środku.

Gdyby nie stary pikap zaparkowany od przodu, pomyślałby, że dom stoi opuszczony.

Wiedział, że drzwi są zaryglowane. Zastanawiał się, czy nie wyłamać ich ręką rąk rugera. Jednak hałas działał na jego niekorzyść, a atak frontalny - cóż, brat już mu wytłumaczył, że to byłby błąd. Myśl, że dotarł tak blisko i poniesie klęskę, przerażała go. Przechodził to już ze wszystkimi, których kochał, postanowił więc nie powtórzyć starych błędów.

Dalej obserwował dom i wreszcie wypatrzył możliwe wejście. Przy kuchni zobaczył zdezelowane drewniane schody z połamaną poręczą. A obok nich, tuż nad ziemią, było małe brudne okienko.

Takie same miał we własnym domu; wąska szyba wpuszczała trochę światła do piwnicy.

Adrian kalkulował: Jeśli porywacze Jennifer są tacy jak większość ludzi, na pewno pamiętali, żeby zaryglować drzwi frontowe i tylne i pozamykać okna w salonie, jadalni i kuchni. Ale o oknie w piwnicy zapomnieli. Ja zawsze zapomniałem. Cassie też. Tamtędy się włamię.

Musiał przebiec sprintem przez podwórko. Najszybciej, jak potrafi.

System alarmowy? Nie w tak starym domu, okłamał sam siebie z nadzieją.

Biegnij ile sił, przestrzegł się w duchu. Potem pozostanie tylko paść na ziemię przy fundamentach budynku i wyłamać piwniczne okienko.

Marny plan. Jeśli się nie powiedzie, nie wiedział, co mu pozostanie. Trochę pocieszył się myślą, że jako naukowiec nigdy nie zakładał z góry wyników doświadczeń. Niestrudzenie przekonywał kolejne pokolenia studentów: „Nie próbujcie przewidzieć wyniku, bo wtedy umknie wam prawdziwe znaczenie tego, czego jesteście świadkami, i nie poznacie radości z rzeczy nieoczekiwanych”.

Kiedyś był wykładowcą i badaczem psychologii. I za młodu biegał. Zacisnął zęby, zaczerpnął powietrza i rzucił się naprzód. Biegł, mocno pracując rękami, w stronę domu i małego okienka w piwnicy.

ROZDZIAŁ 44

Wciąż pędzili wąską jednopasmówką, kiedy Mark zauważył samochód Adriana porzucony w zatoczce autobusowej. Na jego okrzyk: „Hej! Tam!”, Terri Collins zahamowała ostro; mimo to minęła stare volvo i musiała zawrócić z piskiem opon. Podjechała do pustego auta.

Nogi jej drżały, kiedy wyskoczyła zza kierownicy. Za duży stres, za duży pośpiech; czuła się trochę tak jak ktoś, kto cudem uniknął wypadku i szybko schodzi z niego adrenalina.

Wolfe wygramolił się z fotela pasażera i stanął obok niej.

Ani śladu Adriana. Collins ostrożnie podeszła do volvo; ogłądała ziemię wokół wozu tak, jakby badała miejsce zbrodni. Zajrzała przez szybę. Wnętrze zavalone typowymi śmieciami. Stary styropianowy kubek po kawie. Opróżniona do połowy butelka wody źródlanej. „New York Times” sprzed wielu miesięcy, „Psychology Today” sprzed przeszło roku. Zobaczyła nawet dwa zapomniane mandaty za złe parkowanie. Samochód był otwarty, więc pociągnęła drzwi do siebie i przeszukała wnętrze, jakby liczyła, że jakiś pozostawiony tam przedmiot powie jej coś, czego jeszcze nie wie.

- Wygląda na to, że gdzieś sobie poszedł - oznajmił Wolfe powoli. Przeciągał każde słowo jak Południowiec, żeby rozładować napięcie. Wybuchnął ostrym śmiechem.

Terri cofnęła się o krok. Odwróciła się i spojrzała w głąb drogi. W oczach miała pytanie „dokąd?”

Jakby w odpowiedzi, przestępca po truchtał z powrotem do samochodu pani detektyw, chwycił mapy i telefon komórkowy. Przebiegł spojrzeniem po mapach, wcisnął kilka guzików i

wskazał na wysadzaną drzewami szosę. Jak gdyby pokazywał drogę od cienia do cienia.

- To tam - oświadczył. - Tam się wybierał. Przynajmniej tak wynika z tego, co tu mam. Ale nie zawsze można na tym polegać. Na pewno nie wygląda to jak miejsce, z którego nadają wysokiej jakości webcast.

- A jak takie miejsca powinny wyglądać? - spytała Terri lekko napiętym głosem.

- Nie wiem. Jak kalifornijski pasaż handlowy? Atelier fotograficzne w dużym mieście? - Pokręcił głową, jakby sam wykluczał jakiś argument. - Oczywiście, może nie w przypadku tego typu transmisji. - Podążył oczami za spojrzeniem Terri. - Staruszek pewnie poszedł pieszo.

Collins sama się tego domyśliła. Wytężyła wzrok i, tak jak wcześniej Adrian, zobaczyła poobijaną skrzynkę na listy wskazującą początek podjazdu.

- Postanowił się podkraść? - rozważał głośno Wolfe. - Może, o dziwo, wie, co robi, i tylko nie dawał tego po sobie poznać. Tak czy siak, nie wie, jakie powitanie go tam czeka; w każdym razie na pewno nie przyjazne.

Terri nie odpowiedziała. Ilekroć Wolfe dochodził do jakiegoś wniosku, który pokrywał się z jej tokiem myślenia albo był w jakimś stopniu trafny, ogarniały ją wstręt i złość. Rozwścieczyło ją to, że znajdowali się na granicy terytorium, które mógł znać lepiej od niej. Gwałtownie odwróciła się od przestępcy i zamyśliła się. Stała w obliczu mniej więcej takiego samego dylematu jak wcześniej Adrian.

Zawahała się. Wzięła komórkę od Wolfe'a. W podobnych sytuacjach obowiązywały ustalone procedury. Po jej wydziale nieustannie krążyły obszernie notatki z instrukcjami, jak regulaminowo reagować na przestępstwo w toku. Należało zbadać sytuację, zebrać dowody, złożyć raport. Powinna powiadomić szefa, co się dzieje. Uzyskać nakaz aresztowania. Wypadałoby się nawet skontaktować z antyterrorystami - o ile takich tu mieli. Wątpiła w to. Ściągnięcie w to miejsce dobrze wyszkolonego oddziału wymagałoby licznych rozmów telefonicznych i długich

wyjaśnień. W dodatku antyterrorysty musieliby przyjechać z najbliższych koszar policji stanowej, oddalonych o jakieś pół godziny drogi, jeśli nie więcej. Wśród lasów i pól Nowej Anglii wyspecjalizowana broń i taktyka rzadko bywają potrzebne. A kiedy by już tu dotarli, trzeba by ich wprowadzić w sytuację. Gdzieś tu jest emerytowany i być może szurnięty profesor z naładowaną bronią. Wątpiła, czy uznaliby to za wystarczający powód, by sięgnąć po ryszczunek bojowy, broń o dużym zasięgu i taktykę wojskową.

Czyli antyterrorysty odpadają. I ciekawe, czy lokalna policja ma więcej niż jednego funkcjonariusza na służbie; jeśli nawet, mogli być wiele kilometrów stąd. Wiedziała, że jest daleko poza swoim rewirem i że powinna zwrócić się o pomoc do miejscowych glin. Mało tego - zgodnie z prawem to był jej obowiązek.

Nic z tego, co robiła, nie mieściło się w żadnej z procedur. Jeśli Jennifer tam siedziała uwięziona... jeśli Adrian szturmował wiejski dom, gdzie ukrywali się przestępcy... musiała starannie zaplanować swoje dalsze działania. Gdyby ot, tak podeszła do drzwi i zapukała, mogłoby to być równie niebezpieczne, jak to, co wyczyniał Adrian. Terri tkwiła w sidłach niezdecydowania. Błędy były nieuniknione, spodziewała się krytyki po fakcie, ale rozumiała, że musi działać, do tego się zobowiązała. Potrzebowała tylko chwili, żeby wszystko przemyśleć, cóż, kiedy każda chwila mogła być ostatnią szansą.

Zakląła głośno.

- Szlag by to trafił!

Zaprzątnięta podejmowaniem decyzji, oceną sytuacji i szukaniem mniejszego zła, ledwo usłyszała odległy trzask. Do Wolfe'a ten odgłos dotarł wyraźnie.

- Jezu! - wybuchnął. - Co to, u licha?

Ale odpowiedź już znał.

Adrian przesuwiał się w bok krokiem kraba, skulony, przywierając plecami do każdej kolejnej deski w ścianie domu. Pot zbierał się na jego czole i ściekał pod pachami. Czuł się jak w świetle reflektora; żar i blask wydawały się nie do zniesienia. W prawej

dłoni ścisnął pistolet i skradał się do piwnicznego okienka. Wyczulił się na wszystkie dźwięki, węszył w powietrzu jak pies. Miał wrażenie, że tak pełen życia nie był od wielu tygodni, może nawet dłużej.

Ukląkł na miękkiej ziemi i odłożył pistolet. W głębi ducha modlił się do Boga, który strzeże starców i nastolatków, jeśli taki istniał. Proszę, niech będzie otwarte. Proszę, niech to będzie właściwy dom.

Wsadził palce pod krawędź ramy okna i pociągnął. Poruszyła się może pół centymetra.

Adrian przesunął się w bok, twarzą do szyby, i próbował pewniej chwycić ramę. Szarpnął znowu i usłyszał ni to skrzypienie, ni to trzask, kiedy sfatygowane, przegniłe stare drewno ustąpiło. Następny centymetr.

Zdarł sobie paznokcie, jego dłonie przeszły ostry ból. Drewniane krawędzie kaleczyły czubki palców. Kiedy spojrzął w dół, zobaczył, jak krew leje się z rozcięć i zadrapań. Na chwilę zamknął oczy i nakazał bojowi minąć, bo teraz miał ważniejsze rzeczy na głowie. Jakby karciał własne ciało. Postanowił, że cokolwiek się stanie, od tej chwili nie będzie zwracał uwagi na jakikolwiek dyskomfort.

Trzeci raz złapał ramę okna i odchylił się, wyteżając siły. Usłyszał trzask pękającego drewna. Zatoczył się do tyłu i upadł. Dźwignął się, uniósł okno.

Było wąskie i małe - nie więcej niż trzydzieści centymetrów wysokości i pół metra szerokości.

Ale otwarte.

Ponownie się schylił. Do głowy mu nie przyszło, że mógłby się nie zmieścić w ciasnym otworze, i przez chwilę przymierzał do niego swoje ramiona. Powiedział sobie, że jakoś się precyzyjnie, żeby nie wiadomo co. Nawet jeśli to będzie tak, jakby wypychać okrągły klocek do kwadratowej dziury. Zajrzał do piwnicy. Jego oczy powoli oswoiły się z różnobarwnym światłem wpadającym nad jego ramionami. Piwnica - ciemna i opuszczona - śmierdziała starością. Kiedy jednak zajrzał w kąty, dostrzegł nowoczesne kable pod sufitem. Żaden nie był zakurzony jak wszystko wokół.

Wyteżył wzrok i zobaczył, że jeden kąt jest zabudowany ścianami. W przedniej były tanie, drewniane, zaryglowane drzwi. Wyglądało to jak nieudolna, odwalona na chybcika robota budowlana, którą przerwano na długo przed malowaniem i pracami dekoratorskimi.

Cela. Jak większy odpowiednik jednej z klatek, gdzie trzymał szczury laboratoryjne.

Wymacał obok swój pistolet. Musiał się wcisnąć do środka. Najpierw ostrożnie wsunął nogi do małego otworu. Nie miał czym podeprzeć okna, więc kiedy próbował opuścić się na dół, rama objęła się najpierw o jego plecy, potem ramiona i wreszcie o głowę. Zwinny gimnastyk czy artysta cyrkowy pewnie bez trudu wślizgnąłby się do piwnicy. Ale on? Nie był ani jednym, ani drugim. Usiłował utrzymać równowagę, opuszczając się jak alpinista, któremu zabrakło liny.

Wiedział, że musi być cicho. Jego palce nóg wyciągnęły się w pustkę. Przechylił się kilka centymetrów w prawo, potem w lewo. Szukał czegoś, na co mógłby zeskoczyć, ale nogi bezradnie mlóciły powietrze. Ręce zsuwały się z framugi okna. Jak daleko jeszcze jest podłoga? Może metr. Ale odnosił wrażenie, że wisi nad głęboką czeluścią. Grawitacja ściągała go w dół; wreszcie wziął głęboki wdech i się puścił.

Ciężko runął na cementową posadzkę, kostka ugięła się pod nim, ból przeszył nogę.

Jednak łoskot upadku i zduszony okrzyk bólu zostały zagłuszone przez nagły, przenikliwy, zwierzęcy wrzask - dobiegł zza zaryglowanych drzwi celi.

Ostatni supeł ustąpił i Jennifer zorientowała się, że kaptur nie trzyma się już na niczym. Musiała go tylko unieść i zdjąć.

Zawahała się. Teraz nie obchodziło jej to, czy złamie zasady. Nie bała się, co oni jej zrobią. Została tylko jedna możliwość. W jej głowie kłębiły się jednak myśli o tym, że jakoś nie chce zobaczyć swojego świata w ostatnich sekundach życia. To byłoby tak, jakby stała na skraju własnego grobu i zaglądała w głąb wykopanego dołu. Tu Numer 4 umiera. Zgodnie z oczekiwaniami.

I wtedy te uczucia wyparł narastający potężny gniew. Niepomowienie wyrwał się z niej jak woda z pękniętej rury. Brał się nie z tego, że chciała jeszcze walczyć - ta możliwość przepadła wiele minut, godzin, dni temu. Chodziło raczej o to, że wydając swoje ostatnie tchnienia, nie mogła znieść tego, że nie jest tym, kim była naprawdę.

I dlatego...

Wrzasnęła.

Nie były to słowa. Nie zdanie. Tylko wielki krzyk rozczarowania i wściekłości. Wszystko, czego nie będzie jej dane przeżyć w nadchodzących latach, skumulowało się w jeden długi, przeciągły skowyt rozpaczy.

Choć stłumiony przez kaptur, wypełnił pokój i przedarł się przez ściany i sufit.

Jennifer tylko mgliście uświadamiała sobie, że to jej krzyk. Nie miała pojęcia, skąd się wziął. Kiedy jednak ucichł na jej ustach, podniosła ręce i zerwała kaptur.

Tak jak poprzednio - pod koniec tej krótkiej cudownej chwili, kiedy myślała, że ucieknie - oślepiło ją światło. Z początku myślała, że to mężczyzna albo kobieta świecą jej w oczy reflektorem. Jednak prawie od razu zrozumiała, że to tylko zwykła lampa. Blask cały czas zalewał jej celę, kiedy tkwiła w ciemności pod kapturem. Gwałtownie zamrugała. Ośloniła oczy wolną dłonią i potarła się po twarzy. Cisza w pokoju nagle zaczęła się wydawać inna niż dotąd. Jennifer musiała wyteńczyć słuch, by słyszeć swój szybki jak seria z karabinu, urywany oddech.

Minęło kilka sekund, zanim oswoiła oczy i uszy z otoczeniem, ale kiedy to zrobiła, zobaczyła pistolet. Wydawał się dużo brzydszy niż wtedy, kiedy odnalazła go po omacku i poznała samym dotykiem. Czarny, złowrogi połyskiwał w ostrym świetle. Odwróciła głowę i nagle zobaczyła Pana Futrzaka. Leżał ciśnięty nonszalancko pod ścianę - porzucony brązowy, poskręcany tłumok. Nie wiedzieć czemu, nie usłyszała, jak kobieta upuszcza pluszaka; bez namysłu zerwała się, przypadła do niego, chwyciła go i przytuliła do piersi. Wstała i kołysała się na boki z radości, że nie jest już sama. Potem niechętnie wróciła na krzesło, usiadła i podniosła broń.

Jennifer i Pan Futrzak spojrzeli w obiektyw kamery.

Chciała przewrócić ją kopnięciem, ale tego nie zrobiła.

Rozejrzała się raz jeszcze. Solidne ściany. Zamknięte drzwi. Żadnego wyjścia. Ani teraz, ani nigdy. Była głupia, że wyobrażała sobie, że można się stąd wydostać inną drogą niż ta, którą miała zaraz pójść.

- Przepraszam - szepnęła do siebie i swojego towarzysza.

Miała nadzieję, że nikt inny jej nie usłyszał.

Podniosła pistolet i zaczęła drżeć. Ręce jej się trzęsły. Przytuliła misia jeszcze mocniej, jakby Pan Futrzak mógł pomóc uspokoić drgające mięśnie i rozdygotane dłonie.

Przystawiła pistolet do głowy. Wbiła wzrok w obiektyw kamery.

- Nagrywacie to? - spytała słabo.

Chciała okazać sprzeciw, ale nie potrafiła się na to zdobyć. Potężna fala smutku i przygnębienia zatopiła wszelkie myśli o dawnej Jennifer.

To koniec, przekonywała samą siebie.

- Nazywam się Numer 4 - powiedziała do kamery.

Była zbyt przerażona, żeby strzelić, i zbyt przerażona, żeby nie strzelić, i w tej chwili zawahania usłyszała coś, co jeszcze bardziej zbiło ją z tropu. Jedno słowo. Zdawało się, że dobiega jednocześnie z bardzo bliska i bardzo daleka. Że to jakieś dawno zapomniane wspomnienie woła ją i rozbrzmiewa echem w pokoju.

- Jennifer?

Michael nagle nachylił się do monitora.

- Co to, do cholery, było? - rzucił. Linda doskoczyła do niego.

- Puściłeś jakieś efekty?

- Nie! Patrzyłam jak ty. Chryste! Jak wszyscy!

- W takim razie co...

- Spójrz na Numer 4! - zawołała Linda.

Jennifer drżała gwałtownie jak lik niestrymowanego żagla na silnym wietrze. Dygotała na całym ciele. Pistolet wymierzony w

czoło jakby lekko opadł, głowa odwróciła się w stronę dźwięku jej imienia.

- Jennifer?

Chciała krzyknąć: „Jestem tutaj!”, ale nie wierzyła, że usłyszała to naprawdę, że to nie złudzenie.

Powiedziała sobie tylko: To oni. Znowu kłamią. To tylko jeszcze jedno oszustwo.

Mimo to powoli przekręciła się w bok i wbiła wzrok w drzwi. Usłyszała odgłos odciąganej zasuwki i drzwi zaczęły się otwierać.

Przypomniała sobie, że tym razem ma broń. Przyszli mnie zabić, domyśliła się. Odsunęła pistolet od czoła i wycelowwała w wejście.

Dopadnę jedno z nich, Panie Futrzaku. Przynajmniej jedno z nich zabiorę ze sobą.

Patrzyła wzdłuż lufy.

Zabij ich! Zabij ich!

Drzwi otworzyły się powoli.

Adrian zajrzał do środka.

Najdziwniejsze, że nie wiedział, czego się spodziewać.

Powtarzał sobie, że widział dziewczynę na ulicy, a potem na zdjęciach w jej domu. I na komputerze, z Markiem Wolfe'em u boku. Widział pokój, łóżko, łańcuchy i maskę, powinien więc wyobrazić sobie, co zobaczy za drzwiami, ale wszystko to wyleciało mu z głowy i czuł się, jakby wkraczał na niezbadany obszar. Jedyne, co sobie przypomniał, to że musi mieć broń w pogotowiu.

Najpierw zobaczył pistolet, wycelowany prosto w niego.

W pierwszym odruchu chciał odskoczyć do tyłu i jego mięśnie sprężyły się jak u mangusty, która widzi, że kobra szykuje się do ataku. Wtedy jednak usłyszał spokojny głos syna - dochodził z jakiegoś kanionu w jego wnętrzu. *To ona.*

- Tommy - szepnęła na głos, po czym szybko dodał: - Jennifer?

Pytanie zawisło w stęchłym piwnicznym powietrzu. Siedziała bez ruchu. Naga, jedną ręką obejmowała misia, a drugą, drżącą, mierzyła z pistoletu w Adriana. Ostrożnie zrobił krok naprzód.

Ból promieniował z jego zwichniętej, pewnie nawet złamanej kostki, ale zgodnie z daną sobie obietnicą, nie zwracał na to uwagi.

Jennifer wiedziała, że powinna o coś zapytać, coś powiedzieć, ale nie mogła przywołać właściwych słów. Coś się zmieniło, ale nie potrafiła stwierdzić, co. To, co się działo, wydawało się zupełnie inne, niesynchronizowane ze wszystkim, co ją dotąd spotkało. Usilnie starała się objąć to umysłem. Miała wrażenie, że to sen, nierzeczywista wizja, i nagle, tak jak to było z odgłosami zabawy albo płaczu dzieci, powiedziała sobie, żeby nie ufać temu, co widzi. To na pewno ułuda. Wszystko jest nieprawdziwe.

Zobaczyła siwe włosy. To się nie zgadzało. Stara, pomarszczona twarz. To nie ten mężczyzna. To nie ta kobieta.

Fakt, że człowiek, który wsuwał się do pokoju na jej oczach, był kimś nowym, kimś innym, tylko podsycał paniczny strach. Walczyła z setkami przepętniających ją uczuć; wszystkie jakoś wiązały się z przerażeniem.

- Jennifer - powiedział powoli człowiek przed nią. Tym razem jednak to nie było pytanie, lecz stwierdzenie.

W gardle jej zaschło. Zdawało się, że pistolet w jej dłoni waży ze sto kilo. Coś w niej krzyczało: On jest z nimi! Zabij go! Zabij, zanim on zabije ciebie!

Lufa chwiała się, gdy Jennifer toczyła bój z samą sobą. Myśl, że ktoś przybył jej z pomocą, wydawała się nieprawdopodobna i zbyt niebezpieczna, by ją w ogóle do siebie dopuścić. Dużo bezpieczniej strzelić.

Adrian zauważył, że oczy nastolatki otwierają się szeroko. Zrozumiał, że dziewczyna jest w szoku, jak każda ofiara. Pomyślał o wszystkich latach, które spędził na badaniu strachu w hermetycznych warunkach na uczelni. Żaden z eksperymentów nie był tak elektryzujący jak ta chwila w tej małej celi, kiedy stał na wprost nagiej dziewczyny o oszalałym spojrzeniu - spodziewał się, że będzie miała zawiązane oczy, one jednak patrzyły na niego nad lufą dużego rewolweru. Wszystkie kliniczne dane zebrane przez lata nie znaczyły zupełnie nic. Liczyła się tylko rzeczywistość,

którą miał przed sobą. Zdał sobie sprawę, że musi przerażać ją tak jak wszystko, co ją spotkało.

Wiedział, że Jennifer pociągnie za spust jak szczur w klatce nauczony wciskać dzwonek w razie zagrożenia.

Rozsądek podpowiadał mu, żeby dał nura w bok i się schował.

- Nie, tato, idź dalej. Tak jak ja kiedyś - szepnął Tommy. - To jedyna droga naprzód.

Z myślą, że naraża się na śmierć przed kamerą, Adrian wszedł w głąb pokoju. Całe jego wykształcenie, całe doświadczenie krzyczały, by znalazł właściwe słowa, które dałyby im obojgu szansę uratować życie. Czuł się tak obnażony jak ona.

- Cześć, Jennifer - odezwał się bardzo cicho i wolno, zaledwie szeptem. - Czy to Pan Futrzak?

Palec Jennifer zacisnął się na spuście. Wzięła głęboki wdech.

A potem spojrzała w dół, na misia.

Lzy nabiegły jej do oczu i ściekły palącymi strumieniami po policzkach.

- Tak - odparła łamiącym się głosem. - Przyszedłeś zabrać go do domu?

ROZDZIAŁ 45

W wielkim nowoczesnym apartamencie z widokiem na Park Gorkiego w Moskwie smukła młoda kobieta i jej towarzysz z potężnym tarsem leżeli sami na dużym łożu. Na zewnątrz zapadła noc i błyski światła z mrugających latarni ulicznych prześzywały mroczne cienie. Na jednej z ulic grała wesoła muzyka, ale w apartamencie jedynym źródłem światła był płaskoekranowy telewizor zamontowany na ścianie. Mężczyzna i kobieta, oboje nadzy, śledzili zaskakujące wydarzenia w prowizorycznej celi; do nastolatki, którą oglądali od początku *Serii numer 4*, nagle dołączył nieznajomy starzec. Po bokach telewizora wisały dwa wielkie płótna znanych współczesnych artystów, o wartości

liczonej w milionach, ale szarawe obrazy na ekranie przerastały sztukę.

Jedwabna pościel na łożu była zmięta, ale nie dlatego, że uprawiano w niej miłość; młoda kobieta raz po raz ścisnęła ją kurczowo, zapatrzona w scenę rozgrywającą się na ekranie. Mężczyzna wydawał się równie zahipnotyzowany. Przez ostatnią godzinę prawie się nie odzywali, choć czuli, że wiele się w tym czasie między nimi wydarzyło. Mężczyzna - po części przestępca, po części biznesmen - mamrotał marki i kaliber pistoletów, które widział na ekranie, włącznie z magnum 357 w dłoni Numeru 4 i glockiem kaliber 9, który mignął mu w rękę starego człowieka. Ani on, ani jego piękna, młoda towarzyszką nie rozpoznały nowej postaci. Kamera wychwyciła tylko jego profil, kiedy zbliżał się do Numeru 4. W oczach rosyjskiej pary był fascynujący, wyglądał jak anioł. Z mocno bijącymi sercami usiłowali zrozumieć, co to znaczy dla dalszego ciągu programu. Mężczyzna zastanawiał się, czy nie złapać klawiatury komputera i nie wysłać pytania „kto to jest?”, ale nie mógł oderwać wzroku od tego, co się działo. A wszelkie myśli o interaktywnych dociekaniach pierzchyły, kiedy kochanka chwyciła jego dłoń i przycisnęła ją do piersi jak Numer 4 swojego misia.

Jeszcze kilka minut wcześniej sądzili, że zostaną świadkami śmierci dziewczyny. Od początku uważali, że taki los jest jej pisany. Tymczasem na ekranie rozgrywało się coś, co wykraczało poza ramy wszelkich scenariuszy, jakie sobie wyobrażali. Mężczyzna poczuł przyływ energii. Dotąd myślał, że Numer 4 należy do niego jak bezcenne obrazy, złoty rolex, wielki mercedes i prywatny samolot Gulfstream. Teraz jednak wymykała mu się z rąk i ku swojemu ogromnemu zaskoczeniu, nie był z tego powodu zły ani rozczarowany. Złapał się nawet na tym, że zagrzewa ją do czynu, choć nie miał pojęcia jakiego. Jego kochanka czuła właściwie to samo co on, ale szybciej zdała sobie sprawę z zachodzącej na jej oczach przemiany i szeptała do ekranu jak do mężczyzny w swoich ramionach. Jednak zamiast czułych, namiętnych słów, wróciła do wiejskiej rosyjskiej gwary ze swojego

dzieciństwa i błagała: „Uciekaj, Numerze 4! Uciekaj! Proszę...”

Michael nic z tego nie rozumiał. Wszystko było opisane w scenariuszu, a to nie. Wszystko było zaplanowane, to nie. Zawsze wiedział mniej lub bardziej precyzyjnie, co się wydarzy po wprowadzeniu każdego nowego elementu, a teraz nie. Patrzył w monitory przed sobą, jakby oglądał coś, co rozgrywa się gdzie indziej, na drugim końcu świata, nie o metry od niego, w pokoju pod jego nogami.

Linda zareagowała tylko trochę szybciej.

W pierwszym odruchu uznała, że nieoczekiwanie zjawił się detektyw z jej koszmarów - ten po trosze Sherlock Holmes, po trosze panna Marple, a po trosze Jack Bauer. Jednak prawie od razu odrzuciła tę myśl, bo ujęcie z kamery B jasno pokazało, że człowiek, który wtargnął do celi Numeru 4, nie jest gliną, nawet jeśli trzyma w ręku pistolet.

Na zewnątrz nie tłoczyły się radiowozy z włączonymi syrenami. Nikt nie krzyczał przez megafon, żeby się poddali. Helikoptery nie krążyły po niebie.

Przyskoczyła do okna i szybko obejrzała świat za ścianami domu.

Nikogo.

Znów odwróciła się do monitorów.

- Michael, ktokolwiek to jest, do cholery, przyszedł sam! - Rzuciła się przez pokój do stołu z kolekcją broni.

Michael zerwał się z eleganckiego krzesła biurowego. Szybko rzucił okiem po ich arsenale, po czym wcisnął Lindzie w dłoń AK-47. Wiedział, że magazynek na trzydzieści pocisków jest pełny, drugi schował do kieszeni spodni. Pospiesznie sprawdził bębenek rewolweru: naładowany. Wsunął go Lindzie za pasek spodni, żeby miała zapasową broń. Sam chwycił strzelbę i zaczął wciskać do niej naboje. Już nabitą odbezpieczył jednym energicznym ruchem ręki, a potem zamiast wziąć ze stołu jeden z półautomatycznych pistoletów, sięgnął po małą kamerę Sony HD.

- Trzeba wszystko nagrać - rzucił. Złapał laptop i błyskawicznie połączył go kablem z kamerą. Wiedział, że trudno będzie radzić sobie ze strzelbą, kamerą i komputerem jednocześnie, ale transmisja to rzecz najważniejsza.

W jego odczuciu „zabójstwo” i „filmowanie” połączyły się w jedną, niezmiernie istotną całość.

Linda natychmiast zrozumiała, co Michael sugerował. Nie będzie *Serii numer 5*, jeśli nie zrobią zakończenia *Serii numer 4*. Ich klienci potrzebują wielkiego finału. Muszą zobaczyć - nawet gdyby obraz miał być niedoskonałej jakości. Oczekują zakończenia, nawet gdyby odbiegało od pierwotnego scenariusza.

Nie mówili tego na głos, ale oboje czuli niepokój, zaskoczenie - a także coś w rodzaju artystycznego uniesienia. Kiedy Linda odbezpieczyła kałasznikowa, pomyślała, że oto tworzą prawdziwą sztukę.

Wyobraziała sobie spektakl, którego nie zapomni żaden widz.

Uzbrojeni w śmiertcioną broń i zapał twórczy pobiegli do schodów prowadzących do piwnicy. Ich kroki dudniły na wytartych deskach podłogowych.

Chór duchów nappełnił jego uszy cichymi poleceniami - wszystkie pilne, wszystkie szeptane. *Bądź delikatny. Bądź ostrożny. Podaj jej rękę...* Nie wiedział, czy mówi to Cassie, Brian, czy nawet Tommy. Może wszyscy naraz, jak przy wspólnym śpiewaniu kolęd.

- Tak - powiedział pomału. - Myślę, że Pan Futrzak powinien wrócić do domu. I Jennifer razem z nim. Zabiorę was ze sobą.

Pistolet w dłoni nastolatki nagle opadł do jej boku. Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Kim jesteś? - spytała. - Nie znam cię.

Uśmiechnął się.

- Jestem profesor Thomas - odparł. Stwierdził, że zabrzmiało to zbyt oficjalnie jak na okoliczności, w których się poznali. - Ale mów mi Adrian. Może mnie nie znasz, Jennifer, ale ja znam ciebie. Mieszkam kilka przecznic od twojego domu. Teraz cię tam zabiorę.

- To fajnie. - Wyciągnęła pistolet. - Chcesz?
- Po prostu go odłóż.

Posłusznie upuściła pistolet na łóżko.

Nagle zrobiło jej się ciepło, jakby cofnęła się w czasie do chwili, kiedy jako małe dziecko bawiła się na dworze w upalny letni dzień. Stała się uległa. Choć wciąż naga, miała swojego misia i nieznanego, który nie jest tamtym mężczyzną ani tamtą kobietą, więc cokolwiek ją teraz spotka, pogodzi się z tym. Przemknęło jej przez myśl, że może już nie żyje. Może jednak pociągnęła za spust i ten starzec to tylko anioł stróż i zabierze ją do ojca, który niecierpliwie czeka na nią w jakimś lepszym świecie. Taki przewodnik, co przeprowadzi ją z życia w śmierć.

- Chyba pora stąd wyjść - zasugerował Adrian.

Delikatnie wziął ją za rękę. Nie miał pojęcia, co na jego miejscu zrobiłby policjant. Czy powinien zachowywać się jak telewizyjny glina co to wykrzykuje, wymachuje bronią i ratuje sytuację z hollywoodzką brawurą? Jednak stary psycholog w nim powiedział mu, że owszem, trzeba się spieszyć, ale przede wszystkim należy zachować ostrożność. Jennifer to niezwykle krucha istota. Zabrać ją z celi i tego domu to jak przetransportować niestabilny, ale wyjątkowo cenny ładunek.

Wyprowadził ją do ciemnej, zawilgoconej piwnicy. Nie miał żadnego planu. Był tak skoncentrowany na tym, żeby odszukać Jennifer, że nie pomyślał, co robi, jak już ją znajdzie. Liczył na to, że duchy mu coś podpowiedzą. Może już to robią, stwierdził, na poły prowadząc, na poły niosąc nastolatkę.

Opierała się na nim jak ktoś ranny. Kuśtykał na kontuzjowanej kostce. Czuł, jak kości ocierają się o siebie, i wiedział, że to złamanie. Zacisnął zęby.

Kiedy wychodzili z celi, usłyszeli w górze przerażający tupot nóg.

Jennifer natychmiast zamarła i zgięła się wpół jak od ciosu w brzuch. Z głębi jej piersi wydostał się dźwięk - nie krzyk, tylko zduszony bulgot, gardłowy, pierwotny, pełen przerażenia i rozpacz.

Adrian odwrócił się w stronę, skąd dobiegło dudnienie stóp.

W kącie piwnicy były zdezelowane drewniane schody. Jeszcze przed chwilą miał niejasny pomysł, że zaprowadzi Jennifer na górę, a potem przejdą przez kuchnię do tylnych drzwi domu, jakby nagle stali się niewidzialni i nie było tam nikogo, kto chciałby im przeszkodzić w ucieczce. Tylko półtora metra dzieliło ich od wypaczonych stopni.

I kiedy tak patrzył, smuga światła przecięła cień na ścianie. Usłyszał skrzypienie - to otwierają się drzwi na górze.

Ledwie podniósł głowę i skupił wzrok na blasku, poczuł, że coś ciągnie go do tyłu.

To Jennifer. Złapała go za ramię i odciągała w głąb piwnicy. Choć nie do końca świadoma, co robi, instynktownie zdawała sobie sprawę, że kimkolwiek jest ten stary człowiek, musi być lepszy od tamtego mężczyzny i tamtej kobiety, a oni czipają po drugiej stronie ciemności, w poświęcie u szczytu schodów. Instynkt samozachowawczy wziął górę.

Adrian dał się odciągnąć do tyłu. Nic innego mu nie pozostało. I kiedy tak się wahał i w duchu przekonywał samego siebie, że musi obmyślić jakiś plan, świat wokół nich eksplodował.

Kaskada pocisków runęła z rykiem w dół schodów. Piwnicę wypełniły hałas i dym. Kule kaliber 7,62 odbijały się rykoszetem od cementowych ścian i świszczwały w zakurzonej powietrzu. Kawałki gruzu sypały się deszczem wokół nich; wydawało się, że coś z dziką furią rozrywa małe ciasne pomieszczenie na strzępy.

Adrian i Jennifer rzucili się w bok i przywarli do ściany najbardziej oddalonej od strażaków. Oboje krzyczeli, jakby dosięgły ich kule - ale tak się nie stało. Wydawałoby się, że to niewiarygodne szczęście, ale Adrian widział, że ostrzał ma ograniczone pole rażenia. Pociski wciąż eksplodowały na ścianach i podłodze, przeszywały cienie i ciemność.

Od razu zrozumiał rzecz oczywistą: tamtędy nie uciekną.

Zostało tylko jedno wyjście: ta sama droga, którą wszedł. Za piwnicznym okienkiem jaśniało światło dzienne. Dojście do niego było ryzykowne - gdyby strzelec zszedł jeden-dwa stopnie, miałby pod ostrzałem całą piwnicę. Wtedy jedyną kryjówką pozostałaby cela Jennifer - ale tam nastolatka na pewno się nie

wycofa, nie śmiałyby jej nawet o to poprosić. Wyciągnął ją stamtąd. Nie mógł jej kazać tam wrócić. Nawet gdyby tylko cela była bezpiecznym schronieniem - a to wątpliwe - Jennifer za nic na nią nie spojrzy. Kuliła się przy nim, ściskając misia w dłoni. Pojękiwała cicho.

Na schodach gruchnęła druga seria, wizg pocisków rozdarł gęstniejące powietrze. Otaczały ich kłęby dymu, gorzkie zapachy i kurz. Zaczęli kaszleć. Z trudem oddychali.

Jedno wyjście. Tylko jedno wyjście. Adrian delikatnie odgiął palce Jennifer wczepione w jego ramię. Wydawała się spanikowana, nie chciała puścić, ale kiedy wskazał pistoletem na okno, jakby zrozumiała.

- Musimy się tam dostać - szepnął głosem ochryplym od prób przekrzywienia hałasu broni automatycznej.

Z początku oczy dziewczyny zamglily się strachem. Kiedy jednak zerknęła w stronę okienka - na wysokości około trzech metrów - jej wzrok się przejaśnił. Nagle zhardziła, prawie jak gdyby w tej właśnie sekundzie przybyło jej lat, jakby pod kaskadą kul przeszła z niewinnego dzieciństwa w wiek niemal dorosły.

- Dam radę - powiedziała cicho i skinęła głową. Nie musiała przekrzykiwać huku wystrzałów; niebezpieczeństwo sprawiało, że Adrian słyszał ją głośno i wyraźnie.

Oderwał się od ściany, pod którą siedzieli skuleni i zaczął łąpać stare, porzucone meble, zepsute, zniekształcone przedmioty - elementy dawnego codziennego życia w tym domu: zniszczony zlew, dwa drewniane krzesła. Gorączkowo przeciągał je przez piwnicę pod otwarte okno. Musiał znaleźć ich dość, żeby zdołali się po nich wspiąć do okna jak po drabinie. Złamana kostka krzyczała na niego. Przez chwilę zastanawiał się, czy jest ranny. Potem uprzytomnił sobie, że to bez znaczenia.

U szczytu schodów Michael filmował nad ramieniem Lindy, kiedy puszczała kolejne serie z kałasznikowa. Pilnował, żeby kamera nie uchwyciła jej twarzy - ktoś mógłby ją rozpoznać. Grzmot wystrzałów ogłuszył ich i kiedy Linda wstrzymała ogień, oboje wychylili się do przodu. Nie sądził, żeby zabili Numer 4

i starego człowieka. Może ich zranili. Na pewno przestraszyli. Pamiętał o pistolecie w ręku starca. Myślał, że Numer 4 też może być uzbrojona. W końcu miała magnum - dostała je po to, żeby się zabić przed kamerą.

Próbował myśleć logicznie i starannie wszystko zaplanować, mimo że wrzała w nim adrenalina. Prawego oka nie odrywał od wizjera kamery.

- Pistolet, który dałaś Numerowi 4... - zwrócił się do Lindy zniżonym głosem w nadziei, że mikrofon kamery tego nie wychwyci, choć wiedział na pewno, że część słów się nagra i popłynie w Internet. - Ile kul było w...

- Tylko jedna. Tyle potrzebowała - odparła Linda.

Opuściła kałasznikowa do biodra i zacisnęła palec na spuście. Tak jak to zauważył Adrian, gdyby zeszła pół metra niżej, miała by pod ostrzałem większą część piwnicy. Jednak Michael nie dałby rady filmować pod takim kątem.

Jak operator filmowy, który przygotowuje ujęcia do skomplikowanej sceny akcji - z pościgiem samochodowym, eksplozjami i aktorami rozbiegającymi się bezładnie na wszystkie strony - przeprowadziła szybkie obliczenia w pamięci.

- Jeśli rzucimy się na nich... - zaczęła.

Nie dał jej dokończyć.

- Posłuchaj! Co to za dźwięk?

Wytężyli słuch. Usiłowali rozpoznać, co przebija przez dzwonienie w ich uszach wywołane łomotem wystrzałów w ciemnej przestrzeni. To tak, jakby czytać tekst małą czcionką w ciemnym pokoju.

Minęło kilka sekund, zanim uświadomili sobie, że to chrobot gratów wleczonych po cementowej podłodze i rzucanych pod ścianę. Michael z początku pomyślał, że starzec i Numer 4 stawiają barykadę, że chcą się za nią schronić i stawić opór.

Oczami wyobraźni odtworzył rozkład piwnicy. Szukał najkorzystniejszego miejsca na prowizoryczną kryjówkę dla pary osaczonych szczurów. I w tej chwili przypomniał sobie o małym, obrośniętym pajęczynami okienku. To jedyne wyjście, jakie pozostało; albo, jeśli dotrą tam z Lindą pierwsi, doskonale stanowisko dla karabinu i kamery.

Trącił kochankę w ramię i położył palec na wargach - uniwersalny znak nakazujący ostrożność i milczenie. Machnął, żeby poszła za nim - ale żeby najpierw puściła jeszcze jedną serię. Omiotła kałasznikowem wąskie schody. Zasypywała piwnicę gradem kul, aż opróżniła cały magazynek.

Wyjęła nowy z kieszeni Michaela i wprawnie wcisnęła ładunek na miejsce. Odbezpieczyła broń i pobiegła za swoim ukochanym.

Dopiero po chwili Terri Collins zrozumiała, co się dzieje. Z miejsca, gdzie stali z Markiem Wolfe'em obok samochodu Adriana, odgłosy strzałów wydawały się z niczym niepowiązane jak dźwięk grającego telewizora w drugim pomieszczeniu. Na podstawie tego, co słyszała, musiała stworzyć obraz, który podpowiedziałyby jej właściwą reakcję. Terkotu broni automatycznej, nawet stłumionego ścianami domu, nie pomyliłaby z niczym innym. Przed laty zbyt wiele razy musiała czekać z małymi marnymi dziećmi w swoim starym samochodzie, aż mąż skończy ćwiczenia na wojskowej strzelnicy, gdzie regularnie wywalano magazynki na sto pocisków w nieruchome, udające terrorystów cele.

Odwróciła się do Wolfe'a. Zrozumienie przeszło ją jak prąd elektryczny.

- Dzwon po pomoc! - krzyknęła.

Zaczął nerwowo wybierać numer, a Terri przebiegła na tył samochodu. Otworzyła bagażnik i wyjęła czarną kamizelkę kuloodporną, którą zawsze wozila ze sobą. Dostała ją w prezencie od sąsiadki Laurie dawno temu, kiedy jeszcze chodziła na patrol. I nie włożyła jej ani razu, od czasu gdy rozpakowała ją w pewien bożonarodzeniowy poranek.

- Podaj im adres - zawołała przez ramię. - Przekaż, żeby przystali wszystkich ludzi, jakich mają. Powiedz, że słysząc strzały z broni automatycznej. A, i niech wezwą karetkę! W razie czego mów, że postrzelono policjanta, wtedy się pospieszą. - Zapięła rzepy, ostoniła pierś kamizelką, która wydawała się strasznie mała i licha. Wprowadziła nabój do komory pistoletu. Usłyszała drugą odległą serię z automatu. Nie myślała o tym, co

robi, wiedziała tylko, że musi się dostać w miejsce, gdzie padały strzały. Zerwała się do biegu. Rzuciła przez ramię jeszcze jedno polecenie. - Czekać tu. Wy tłumacz im, dokąd poszłam! - Najszybciej jak mogła, z pistoletem ściśniętym w dłoni, popędziła w stronę podjazdu prowadzącego do starego wiejskiego domu.

Wolfe, zajęty wzywaniem posiłków, patrzył za nią, aż zniknęła za zakrętem. Kiedy uzyskał połączenie z dyspozytorką miejscowej policji, mówił zwięźle i konkretnie.

- Przyślijcie wsparcie. I to duże. Detektyw policji uczestniczy w strzelaninie.

Podał adres i usłyszał zszokowany, zdyszany kobiecy głos:

- Trochę potrwa, zanim przyjadą. Co najmniej piętnaście minut.

- Nie mamy piętnastu minut - uciął i rozłączył się. Jeszcze nigdy nie przyjęła takiego zgłoszenia, pomyślał.

Podniósł głowę i spojrzął na ścieżkę, którą pobiegła Terri Collins. Stracił ją z oczu, gdy minęła poobijaną skrzynkę na listy. Las obok podjazdu był za gęsty, żeby mógł dostrzec panią detektyw; wydawało się, że gąszcz wchłonął ją całkowicie. Wolfe czuł się rozdarty. Kazano mu czekać i siedzący w nim tchórz nie miał nic przeciwko temu, żeby stać w bezpiecznym, ocienionym miejscu - niech się dzieje, co chce, nie jego sprawa. Jednak ten naturalny instynkt samozachowawczy walczył z drugą połową jego osobowości, ta chciała widzieć i gotowa była podjąć wszelkie ryzyko, by zaspokoić szczególnie natarczywą ciekawość i nieślabnącą żądzę.

Najważniejsze to być w zasięgu. Zawsze tak uważał.

Odetchnął głęboko i pobiegł za policjantką, choć powtarzał sobie w duchu, w rytmie kroków, by trzymać się na dystans, w ukryciu, i poprzestać na roli obserwatora. Podejść blisko, przekonywał sam siebie, gdy jego nogi przeszły w sprint - ale nie za blisko.

Adrian balansował na beładnej stercie gratów i pomagał Jennifer wspiąć się na górę. Wszystko chybotano się pod ich ciężarem. Cała zbudowana w panice konstrukcja mogła się lada chwila

rozlecieć. Wcisnął pistolet do kieszeni z nadzieją, że broń nie wypadnie, po czym ułożył dłonie w koszyczek. Naga nastolatka postawiła nogę na splecionych rękach i jedną dłoń oparła na jego ramieniu, ale w drugiej wciąż ścisnęła misia. Adrian wyteżył siły, stęknął i dźwignął ją do okna. Jennifer sięgnęła do framugi. Adrian zobaczył, że wysunęła rękę z misiem na zewnątrz, wyrzuciła zabawkę i chwyciła potrzaskane drewno. Zachwiała się, zaraz jednak, wierzgając i szamocząc się jak ryba na pokładzie łodzi, wygramoliła się przez okno.

Wciągnął powietrze z ulgą. Nie wierzył w to, czego dokonał.

Nie wiedział, jak sam dostanie się do okna. Z miejsca, gdzie przysiadł - jak ptak na rozkołysanej gałęzi - rozejrzył się za czymś, co mógłby dorzucić do stosu, by zyskać tych kilkadziesiąt brakujących centymetrów.

Nie zobaczył nic.

Rezygnacja ścisnęła mu żołądek.

Ona może uciec. Ja tu utknąłem. Chciałbym wyjść, ale nie mogę...

I kiedy te przygnębiające myśli wkradły się do jego duszy, usłyszał w górze głos.

- Profesorze, szybko!

Jennifer z powrotem wsunęła się po pas do środka i wyciągnęła do niego chude ramię.

Nie liczył na to, że będzie miała dość siły, żeby mu pomóc.

Spróbuj, do cholery, Audie! Spróbuj!

To Brian krzyczał mu nad uchem.

Adrian podniósł głowę. Tym razem to nie nastolatka podawała mu rękę przez okno, tylko Cassie.

Dawaj, Audie, błagała.

Nie wahał się. Usiłował złapać ją za rękę, drapał palcami po ścianie, odbijał się ile sił obiema nogami, tą złamaną i tą zdrową. Czuł, że sterta gratów wali się pod nim i przez chwilę miał wrażenie, że zawisł w powietrzu. Zaraz jednak uderzył całym ciałem w cement i już myślał, że spada, ale zorientował się, że nie. Złapał się ramy okna, jego krwawiące paznokcie wczepiły się w drewno. Wierzgnął gwałtownie. Nie wierzył, że da radę się

podciągnąć, ale wtedy poczuł, że coś dźwiga go do góry - po trosze dziewczyna trzymająca go za kołnierz marynarki, po trosze resztki jego sił, po trosze wszystkie wspomnienia.

Skrzydła, wyobraził sobie.

I nagle zobaczył nad sobą słońce.

Przeczłogał się przez okno z pomocą Jennifer.

Stary człowiek i naga nastolatka osunęli się wyczerpani na ścianę domu. Ona chłoneła świeże powietrze jak najlepszy szampan, słońce zalewało jej twarz. Jeszcze jeden oddech, bo tak cudownie smakuje, a potem mogę umrzeć powiedziała sobie.

Adrian usiłował zebrać myśli. Widział stodołę na drugim końcu podwórza. Stamtąd przybiegł. Zza niej było najbliżej do linii drzew. Tam mogliby się ukryć. Ledwie jednak złapał Jennifer za ramię i zaczął gorączkowo pokazywać „pójdziemy tamtędy”, seria kul z kałasznikowa wbiła się w ścianę nad ich głowami i ziemię u ich stóp. Grudki błota uderzyły ich w twarze, odłamki drewna i izolacji spadły deszczem na głowy. Jakby nad nimi ktoś wściekle walił w kocioł. Odskoczyli do tyłu, wtuleni w siebie. Jennifer znów zaczęła krzyczeć, choć jej głos okazał się nie dość silny, by przebić się przez uporczywy hałas karabinu. Wydawało się, że natarczywy, śmiercionośny łoskot kałasznikowa dochodzi z jej otwartych ust.

Linda i Michael rozdzielili się. Ona obeszała dom od tyłu i wystawiła lufę karabinu zza węgła tak, żeby mieć w polu rażenia starca i dziewczynę. Trudno strzelać, nie wychylając się z ukrycia, ale liczyła, że samo natężenie ognia załatwi sprawę.

Michael pobiegł za starego pikapa - to wystarczająca osłona, żeby mógł dalej filmować. Opuścił strzelbę, uniósł kamerę, postawił laptop na dachu szoferki.

Myślał tylko: co za widowisko.

Jennifer krzyczała i wśród gradu kul zakrywała uszy dłońmi. Przywarła do Adriana.

On zasłaniał twarz przedramieniem, jakby w ten sposób zdołał odeprzeć deszcz ognia z broni automatycznej. Miał zamknięte oczy i spodziewał się, że lada chwila umrze.

- Audie, posłuchaj mnie! To nie koniec!

Odwrócił się w bok i zobaczył brata. Brian z Wietnamu, młody oficer dowodzący żołnierzami niewiele starszymi od Jennifer. Miał na sobie zabłocony mundur polowy i nisko opuszczony hełm. Zalany potem, brudny leżał na brzuchu i przeladowywał M-16. Twarz zacięta w wyrazie determinacji. Nie znać było po nim strachu.

- No, Audie! Odpowiedz ogniem, do licha! Odpowiedz ogniem!

Brian puścił wściekłą serię z broni ustawionej na ogień automatyczny. Adrian zobaczył, że róg domu, zza którego ostrzeliwała ich Linda, eksplodował deszczem drzazg. Kawałki szyby z rozbitego okna wleciały w słońce. Adrian spojrzął w dół. Zobaczył, że nie wiedzieć kiedy ukląkł na ziemi i że trzyma w dłoni pistolet brata. To on wystrzelił te kule.

Linda zatoczyła się do tyłu ze zduszonym okrzykiem. Jeden z pocisków drasnął framugę okna tuż nad jej głową i drzazga rozcięła gładki policzek. Przyłgnęła do ściany, żeby zejść z linii ostrzału, i dotknęła skaleczenia. Na czubkach palców zauważyła krew. Wpadła w furię.

- Znakomicie! - krzyknął Brian. - Nie pozwól, żeby cię oskrzydłili, Audie. Prowadź ogień osłonowy!

Adrian raz po raz pociągał za spust. Łuski opadały wokół niego. Słyszał wrzask Tommy'ego:

- Teraz, tato! Teraz będzie miała szansę!

- Teraz! - krzyknął do Jennifer, nie przestając strzelać. - Teraz! Uciekaj! Szybko!

Dziewczyna nie w pełni zrozumiała, co mówił, ale ogólne znaczenie było oczywiste: Biegnij za stodołę. Przyczaj się. Po tem leć do lasu. Uciekaj. Schowaj się.

Wygraj wyścig ze śmiercią.

Zerwała się na nogi i bez wahania pobiegła sprintem. Pędziła ile sił, najszybciej jak mogła, tak jak to sobie wyobrażała, kiedy siedziała uwięziona w celi. Czuła na plecach pieszczotę wiatru; jakby tchnienie huraganu pchało ją naprzód, ku bezpiecznemu schronieniu.

Adrian z trudem podźwignął się na nogi. Ruszył za nią, ale chwiał się i kuśtykał jak starzec. Złamana kostka wyginała się

na każdym kroku. Uciekając, strzelał w róg domu w nadziei, że jakiś szczęśliwy, niewymierzony strzał trafi w cel.

Pokonał połowę drogi, kiedy nagły, potężny cios jak uderzenie pioruna chwycił go, wznosił w powietrze i bez żadnego wysiłku rzucił na ziemię. Twarz Adriana wbiła się w wilgotny grunt. Czuł smak ziemi, dzwoniło mu w uszach, ból promieniował z nóg do brzucha i serca, które, jak sądził, lada moment przestanie bić. Nie potrafił sformułować myśli: oberwałem, choć to właśnie się stało.

Wszystko wokół wydawało się niewyraźne, ocienione, jakby nagle noc opadła na jego twarz. Ciekawe, czy Jennifer dotarła za stodołę, czy zrobiła ten pierwszy krok na drodze do bezpieczeństwa. Liczył na to, że Cassie, Brian i Tommy poprowadzą ją dalej, bo on już tego nie zrobi.

Zamknął oczy i usłyszał złowrogie kliknięcie. Trzask. Nie wiedział, że to dźwięk, jaki towarzyszy wyrzuceniu ze strzelby zużytego pocisku i wprowadzeniu do komory nowego. Rozumiał jednak, że to odgłos śmierci.

Kiedy zerwał się do biegu przez otwartą przestrzeń, Michael przestawił kamerę na maskę pikapa. Wcisnął przycisk „auto”, żeby filmowała dalej, a sam wyszedł z ukrycia. Wciąż pozostawał anonimowy. Klienci zobaczą tylko jego plecy.

Wypalił ze strzelby.

Stalowy śrut trafił Adriana w uda i biodra - podniósł go i rzucił na ziemię jak staranowanego rugbistę czy brutalnie sfaulowanego piłkarza.

Michael spokojnie wyrzucił zużytą łuskę i przystawił broń do ramienia. Tym razem precyzyjnie celował w postać skuloną na ziemi.

Pora zakończyć show, pomyślał.

Nie usłyszał, że ktoś jest za nim, dopóki przenikliwy rozkaz nie przeciął powietrza.

- Policja! Stać! Rzuć broń!

Był zdumiony. Zawahał się.

- Rzuć broń, powiedziałam! Tego zupełnie nie przewidział.

Bombardowały go myśli. Gdzie Linda? Kto to? Przecież Numer 4 jest już skończona. Co się dzieje? Jednak pytania odbijały się rykoszetem od pustych zakamarków umysłu. Dlatego, zamiast wykonać polecenie, Michael odwrócił się na pięcie i skierował lufę w stronę, skąd dobiegły te dziwne rozkazy. Padały nie z jego ust, lecz z cudzych. Zamierzał szybko zastrzelić tego, kto tam jest, i wrócić do dużo pilniejszego i ważniejszego zadania - zakończenia *Serii numer 4*.

Nie dostał takiej okazji.

Terri Collins kucała w pozycji strzeleckiej za platformą pika-pa. Trzymała pistolet obiema rękami, starannie wycelowany. Miała wrażenie, że Michael porusza się w zwolnionym tempie, że się obraca i odślania pierś.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie rzucił strzelby. Nie miał żadnych szans.

Strzeliła pięć razy, tak jak ją nauczono. Nie popełnij żadnego błędu. Zlikwiduj przeciwnika.

Pistolet ryknął. Przez wszystkie lata przepracowane w policji małego miasteczka uniwersyteckiego detektyw Collins ani razu nie wyjęła go z kabury, nie licząc ćwiczeń na strzelnicy. Teraz, kiedy sięgnęła po broń w czasie akcji, usiłowała przypomnieć sobie, co i jak robić. Na szkoleniu mówiono jej, że druga szansa zazwyczaj się nie zdarza. Broń jednak, na szczęście, jakby żyła własnym życiem. Celowała i strzelała sama z siebie; Terri ledwo czuła, że pociąga za spust.

Pociski z płaszczem stalowym wbiły się w Michaela. Siła uderzenia wystrzelonych z bliska kul poderwała go z ziemi i odrzuciła do tyłu. Umarł, zanim jego oczy po raz ostatni zobaczyły niebo.

Terri wypuściła powietrze wyczerpana.

Zrobiła krok naprzód. Kręciło jej się w głowie, ale nerwy miała wyostrzone jak brzytwa.

Utkwiła wzrok w postaci, która przed nią leżała. Zamiast piersi mężczyzna miał jedną wielką kałużę krwi.

Widok zabitego przez nią człowieka hipnotyzował. Dalej stałaby nieruchomo jak w transie, gdyby nie nagły krzyk.

Linda widziała śmierć kochanka ze swojej pozycji na drugim końcu domu. Jeden przerażający obraz.

Zobaczyła policjantkę nad Michaeliem. Zobaczyła krew.

Poczuła się, jakby z serca brutalnie wyrwano najważniejszą część jej samej.

Z oczami pełnymi łez i strachu pobiegła naprzód i krzycząc: „Michael! Michael! Nie!”, wystrzelała resztę kul z magazynku kałasznikowa.

Pociski wbiły się w detektyw Collins. Łomocząc w kamizelkę kuloodporną, kręciły nią jak dziecięcym bakiem. Jedna z kul przeszła nadgarstek. Terri poczuła, jak broń wylatuje jej z ręki. Zachwiała się, wtedy następny pocisk trafił ją tuż nad kamizelką i rozciął gardło jak nóż.

Upadła na plecy, z oczami utkwionymi w niebie. Gorąca krew bulgotała w jej piersi, zalewała gardło, dusiła. Z każdą sekundą Terri z coraz większym trudem łapała powietrze. Wiedziała, że powinna myśleć o dzieciach, domu i wszystkim, co straci, ale wtedy spadła na nią zasłona bólu, czarna i ostateczna. Nie zdążyła powiedzieć sobie „nie chcę umrzeć”, zanim ostatni oddech wydarł się z jej ust.

Linda wciąż biegła. Odrzuciła karabin i wyszarpnęła zza paska dzinsów pistolet, który wsadził tam Michael. Chciała strzelać dalej, jakby raz po raz zabijając policjantkę, mogła jakoś odwrócić bieg czasu i odzyskać ukochanego.

Przypadła do jego boku.

Rzuciła się na Michaela, objęła go, podniosła i tuliła jak Maryja z rzeźby Michała Anioła zdjętego z krzyża Jezusa. Przesunęła palcami po twarzy swojego partnera. Próbowwała zetrzeć krew z jego ust, jakby to mogło przywrócić mu życie. Skowyczała z bólu.

I nagle ślepa furia wyparła ból. Jej oczy zwęziły się z niepomowanej nienawiści. Zerwała się na równe nogi i ścisnęła pistolet. Widziała starego mężczyznę - leżał na ziemi. Nie wiedziała, kim ten facet jest, jak tu trafił, ale na pewno to on był wszystkim winien. Nie miała pojęcia, czy ten człowiek żyje, ale na życie nie zasługiwał. Numer 4 też musiała być gdzieś

blisko. Zabij ich. Zabij oboje. A potem możesz zabić siebie, żeby być z Michaelem już na zawsze.

Podniosła pistolet i starannie wycelowała w ciało starca.

Adrian widział jak przez mgłę, co robiła. Gdyby zdołał się poruszyć, przeczłgać w bezpieczne miejsce czy sięgnąć po własną broń i wymierzyć, zrobiłby to - ale mógł jedynie czekać. Dobrze, może zginąć tu i teraz, tylko żeby Jennifer udało się uciec. W sumie od początku zamierzał tak skończyć. W samobójstwie przeszkodziło mu jednak to, że uprowadzono tę dziewczynę prawie sprzed jego domu, a to było złe, nie w porządku, dlatego zrobił wszystko, czego chciała jego nieżyjąca rodzina: żona, brat i syn. To stanowiło część jego umierania i pogodził się z tym. Zrobił, co w jego mocy, i może Jennifer teraz ucieknie, dorośnie i będzie żyć. Warto było.

Zamknął oczy.

Usłyszał huk wystrzału.

Ale śmierć nie przyszła milisekundy później.

Pod policzkiem wciąż miał wilgotną ziemię. Czuł, jak bije mu serce, jak krew sączy się z ran. Czuł nawet swoją chorobę, jakby podstępnie wykorzystywała to, co się stało, i przejmowała nad nim władzę. Nie pojmował dlaczego, ale czuł, jak wymykają mu się wspomnienia i opuszcza go rozum. Chciał jeszcze raz usłyszeć głos żony, syna, brata. Chciał przeczytać wiersz, który złagodziłby przejście w szaleństwo, niepamięć i śmierć. Słyszał jednak w sobie tylko łomoczącą kaskadę otępienia - wymazywała te jego nieliczne części, które trzymały się życia.

Zamrugnął i otworzył oczy.

To, co zobaczył, wydawało się jeszcze większym przywidzeniem niż duchy jego bliskich.

Linda leżała twarzą w dół na ziemi. Wokół tego, co zostało z jej głowy, rozkwitał kwiat krwi.

A za nią: Mark Wolfe.

W dłoni trzymał pistolet detektyw Collins.

Adrian chętnie by się roześmiał, bo pomyślał, że śmierć z uśmiechem na twarzy ma sens.

Zacisnął powieki i czekał.

Przestępca obejrzał scenę krwawej jatki przed domem. Raz po raz powtarzał pod nosem: „Jezu Chryste, Jezu Chryste, Jezu Chryste”, choć te słowa nie miały nic wspólnego z wiarą czy religią, wyrażały tylko szok. Jeszcze raz uniósł pistolet pani detektyw. Nie celował w nic konkretnego. Zaraz jednak opuścił broń, bo stało się oczywiste, że na nic mu się już nie przyda. Zobaczył laptop na dachu pikapa i kamerę - która wiernie rejestrowała wszystko.

Cisza wydawała się całkowita. W oddali milkły ostatnie echa wystrzałów.

- Jezu Chryste - wymamrotał raz jeszcze.

Spojrzał w dół na detektyw Collins i pokręcił głową.

Powoli podszedł do ciała Adriana. Ku jego zaskoczeniu, powieki starca drgnęły i uniosły się. Wolfe poznał, że profesor jest ciężko ranny, i wątpił, czy przeżyje. Mimo to, kiedy nachylił się nad nim, przybrał krzepiący ton.

- Twarda z ciebie sztuka, profesorku. Trzymaj się. - Usłyszał wycie szybko nadciągających syren. - Jedzie pomoc - powiedział. - Nie poddawaj się. Zaraz będą. - Miał dodać „wisisz mi dużo więcej niż dwadzieścia patoli”, ale tego nie zrobił.

Co innego zaprzętało go w tej chwili - wybuch dumy i prawdziwie cudowna myśl: Jestem bohaterem. Kurde, bohaterem. Zabiłem mordercę policjanta. Nigdy więcej nie będą się mnie czepiać, z żadnego powodu, cokolwiek w cholerę zrobię. Jestem wolny.

Syreny wyły coraz bliżej. Wolfe odwrócił wzrok od rannego profesora i zobaczył coś takiego, że nawet jemu opadła szczeka.

Zza niszczonej stodoły wyłoniła się zupełnie naga nastolatka. Nie próbowała się zasłaniać, jeśli nie liczyć tego, że do serca tuliła misia.

Wstał i odsunął się na bok, kiedy Jennifer przeszła przez podwórze. Uklękła przy Adrianie i w tej samej chwili pierwszy radiowóz skręcił na podjazd przed domem.

Wolfe zawahał się, ale w końcu zdjął z siebie lekką kurtkę. Narzucił ją na ramiona dziewczyny, częściowo po to, żeby okryć jej nagość, ale bardziej dlatego, że chciał dotknąć porcelanowej

skóry. Musnął palcem jej ramię. Westchnął, kiedy na wskroś przeszło go znajome, nieokiełznane, elektryzujące uczucie.

Za nimi radiowozy hamowały z piskiem opon, funkcjonariusze wymachujący bronią wyskakiwali z aut, wykrzykiwali rozkazy, zajmowali pozycje za otwartymi drzwiami samochodów. Wolfe miał dość zdrowego rozsądku, żeby odrzucić pistolet pani detektyw i podnieść ręce w zupełnie niepotrzebnym geście kapitulacji.

Zdawało się, że Jennifer nie słyszy nic oprócz chrapliwego oddechu swojego wybawcy. Wzięła starego człowieka za rękę i mocno uściśnęła, jakby mogła przekazać mu przez skórę trochę swojej młodości, dać mu nieco więcej sił.

Adrian patrzył na nią wzrokiem kogoś, kto budzi się z długiej drzemki niepewny, czy to jeszcze sen, czy już jawa. Uśmiechnął się.

- Cześć - szepnął. - Kim jesteś?

EPILOG: OSTATNI DZIEŃ POEZJI

Profesor Roger Parsons przeczytał całą pracę semestralną raz, potem drugi, i wreszcie, z czerwonym długopisem w ręku, otworzył ją na ostatniej stronie i u dołu napisał: „Znakomicie, panno Riggins”. Pomyślał chwilę, co dodać, i podniósł oczy na oprawiony, podpisany plakat *Milczenia owiec* na ścianie gabinetu. Już prawie dwadzieścia dwa lata prowadził zajęcia ze wstępu do psychopatologii dla studentów pierwszego roku, którzy chcieli specjalizować się w psychologii, i nie przypominał sobie lepszej pracy końcowej. Temat: „Autodestrukcyjne postawy młodzieży w okresie dojrzewania”. Pani Riggins rozłożyła na czynniki pierwsze kilka typów społecznych zachowań nastolatków i dopasowała je do wzorców psychologicznych dużo bardziej wyrafinowanych, niż mógł się tego spodziewać po studentce pierwszego roku. To oczywiste, stwierdził profesor Parsons, że młoda kobieta, co zawsze siedziała w pierwszym rzędzie i na końcu zajęć pierwsza zasypywała go szybkimi, celnymi pytaniami, przeczyta wszystkie artykuły dla tych, którym zależy na wyższej ocenie, i dużo więcej książek niż zawiera lista lektur.

Dlatego napisał:

„Przy najbliższej okazji zapraszam na rozmowę o programie studiów psychologicznych dla wyróżniających się studentów. Może zainteresowałby też Panią staż kliniczny w okresie wakacji. Tę możliwość zwykle rezerwujemy dla studentów lat wyższych, ale tym razem możemy zrobić wyjątek”.

Potem postawił ocenę: Pięć.

Na uczelni słynął z wyjątkowej surowości i przez wszystkie lata pracy dydaktycznej dał tylko kilka tak wysokich ocen - nigdy komuś z pierwszego roku. Takiej rozprawy, jaką napisała młoda panna Riggins, nie powstydziliby się żaden student trzeciego i czwartego roku z jego specjalistycznych seminariów.

Profesor Parsons odłożył ją na stertę. Zamierzał oddać prace po następnym wykładzie, ostatnim przed wakacjami. Nie chciało mu się sięgać po wypociny następnego osiemnastolatka i sprawdzać od nowa. Kiedy to w końcu zrobił, skrzywił się mocno i głośno jęknął - praca miała literówkę już w drugim zdaniu pierwszego akapitu.

- Nie słyszeli o automatycznym sprawdzaniu pisowni - mruknął. - Czy oni w ogóle czytają to, co piszą? - Zamaszyście zakreślił błąd krzykliwą czerwienią.

Jennifer pospiesznie wyszła z zajęć z trendów społecznych w poezji współczesnej i szybko przemierzyła kampus. Każdy czwartek spędzała zgodnie z ustalonym planem i zamierzała trzymać się go na tyle, na ile to możliwe, choć wiedziała, że tym ostatnim już razem musi wprowadzić pewne zmiany.

Pierwszy przystanek - kwaciarnia w centrum. Tam kupiła niedrogi mieszany bukiet. Zawsze wybierała najjaśniejsze, najbardziej żywe kolory, nawet w środku zimy. Czy było strasznie zimno, czy ciepło, słonecznie jak tego czerwcowego dnia, chciała, żeby wiązanka rzucała się w oczy.

Wzięła bukiet od miłej sprzedawczynie, która знаła ją z jej licznych wizyt, ale nigdy nie dociekała, dlaczego potrzebuje kwiatów z tak imponującą regularnością. Jennifer po prostu uznała, że kwaciarka przypadkiem podpatrzyła, na co jest ten bukiet, i dlatego nie narzucała się z pytaniami. Wydawało jej się to ciekawe, bo inni klienci zazwyczaj głośno oznajmiali, dlaczego kupują kwiaty. Na rocznicę ślubu, o której zawsze przypomnieli sobie w ostatniej chwili. Na urodziny. Dzień Matki.

Jennifer potrzebowała ich z innego powodu. Bez słowa wzięła bukiet, wybiegła z powrotem na wczesnopopołudniowe słońce i rzuciła go na siedzenie samochodu. Pojechała przez miasto do komendy policji. Zwykle w pobliżu trafiały się wolne miejsca parkingowe, a przy tych kilku okazjach, kiedy cała ulica była zastawiona, policjanci wpuszczali ją na parking służbowy za budynkiem.

Tego ostatniego dnia miała szczęście i łatwo znalazła wolne miejsce przed nowoczesnym wejściem z cegły i szkła. Nie zwracała sobie głowy parkomatem; po prostu wyskoczyła z kwiatami w rękę.

Przeszła przez szeroki chodnik do drzwi wejściowych. Na ścianie obok nich wisiała wyeksponowana duża brązowa tablica. U góry połyskiwała złota gwiazda. Promienie słońca, które się w niej odbijały podświetlały wypukły napis:

„Dla uczczenia pamięci detektyw Terri Collins.

Zginęła na służbie.

Honor. Poświęcenie. Oddanie”.

Jennifer złożyła kwiaty pod tablicą i chwilę milczała. Czasem wspominała to, jak detektyw Collins siedziała naprzeciwko niej po jednej z jej nieudanych prób ucieczki z domu i tłumaczyła, dlaczego ucieczka to zły pomysł, choć sama wyraźnie w to nie wierzyła. Mówiła Jennifer, że są inne rozwiązania. Trzeba ich tylko uważnie szukać. Teraz, trzy lata po tym, jak detektyw zginęła, próbując ją ratować, Jennifer wiedziała już, że to prawda. Dlatego często szeptała do tablicy: „Robię dokładnie to, co pani kazała. Powinam pani posłuchać. Od początku miała pani rację”.

Niejedyn policjant słyszał, jak dziewczyna mówi te albo podobne słowa, ale żaden jej nie przerywał. W odróżnieniu od kwiaciarki, która spodziewała się jej wizyt w każdy czwartek, wszyscy w komendzie wiedzieli, dlaczego Jennifer tu przychodzi.

- Dziś czwartek, no to pewnie dzień poezji - powiedziała pielęgniarzka przyjaznym, melodyjnym głosem. Podniosła oczy znad papierów i monitora. Biurko stało zaraz za szerokimi drzwiami przysadzistego, nijakiego budynku z pustaków przy jednej z głównych dróg do małego miasteczka uniwersyteckiego. Drzwi były specjalnie przystosowane do wózków inwalidzkich i noszy na kółkach; wyposażone w elektryczny mechanizm, otwierały się z szumem za wciśnięciem właściwego guzika.

- Zdecydowanie tak. - Jennifer odwzajemniła uśmiech.

Pielęgniarka przytaknęła, ale zaraz pokręciła głową, jakby przybycie Jennifer miało w sobie coś radosnego i smutnego razem.

- Wiesz, moja droga, on może już niewiele rozumie, ale naprawdę się cieszy na twoje wizyty. Poznają to po nim. W każdy czwartek, kiedy czeka na ciebie, trochę lepiej kontaktuje.

Jennifer milczała. Odwróciła się na sekundę i wyjrzała na zewnątrz. Promienie słońca nurkowały między gałęziami drzew kołysanymi lekkim wietrzykiem. Pełne zielone liście opierały się delikatnym podmuchom. Z miejsca, w którym stała, widziała tablicę przed budynkiem: „Ośrodek Opieki Długoterminowej i Rehabilitacji Valley”.

Spojrzała na pielęgniarkę. Wiedziała, że kobieta nie mówi prawdy. Nie kontaktował lepiej. Z każdym tygodniem było z nim coraz gorzej. Nie, z każdą godziną coraz bardziej go ubywa, pomyślała.

- Też tak sądzę - dołączyła się do tego kłamstwa.

- Kogo dziś wzięłaś ze sobą? - spytała pielęgniarka.

- W.H. Audena i Jamesa Merrilla. I Billy'ego Collinsa, bo jest taki zabawny. I paru innych, jeśli starczy czasu.

Pielęgniarka pewnie nie знаła żadnego z tych poetów, ale zrobiła minę, jakby uznała, że to trafny wybór.

- Jest na tarasie, moja droga.

Jennifer знаła drogę. Kiwnęła głową kilku mijanym pracownikom ośrodka. Wszyscy znali ją jako czwartkową dziewczynę od poezji i przyzwyczajeni do jej regularnych wizyt zostawiali ją w spokoju.

Adrian siedział na wózku inwalidzkim w ocienionym kącie tarasu.

Był lekko zgięty w pasie, jakby oglądał coś przed sobą. Choć to, pod jakim kątem przechylił głowę, powiedziało Jennifer, że profesor nie widzi nawet pięknego popołudniowego słońca. Dłonie mu się trzęsły, warga drgała jak w chorobie Parkinsona. Jego włosy całkowicie posiwiały. Sprawność fizyczna, na której kiedyś tak polegał, zanikła. Ręce miał jak patyki, chude nogi

podrygiwały nerwowo. Był straszliwie wynędzniały i nieogolony; siwy zarost pokrywał jego podbródek i zapadłe policzki. Oczy zasnuwała mgła.

Nawet jeśli poznał Jennifer, nie widziała tego po nim.

Znalazła krzesło i przysunęła je do starego mężczyzny.

- Dostałam same piątki ze swojej... nie, naszej specjalizacji, profesorze - zagadnęła najpierw. - I na następnym roku planuję to powtórzyć. Nie będę szczędzić wysiłków, nieważne, jak długo to miałoby trwać, i dokończę to, co pan zaczął.

Obiecuję.

Przygotowywała to przemówienie w myślach od kilku dni. Dotąd nie powiedziała mu tego. Zwykle mówiła o błaższych sprawach, takich jak to, że skończyła szkołę średnią i dostała się na studia. A potem o zajęciach, na jakie chodzi, i o tym, co sądzi o swoich nauczycielach, jego dawnych współpracownikach. Czasem opowiadała o swoim nowym chłopaku albo o czymś tak trywialnym jak to, że jej matka zaczęła nową pracę i że chyba już doszła do siebie po rozstaniu ze Scottem Western.

Głównie jednak czytała mu wiersze. Nabrała sporej wprawy w modulowaniu głosu, oddawaniu rytmu i melodii języka, wychwytywaniu niuansów i ich podkreślanie - choć zdawała sobie sprawę, że starzec ani jej już nie słyszy, ani nie rozumie. Wiedziała, że liczy się samo to, że do niego mówi.

Wzięła go za rękę. Jego dłoń wydawała się cienka jak papier.

Zdobyła niezbędną wiedzę i potwierdziła ją w rozmowach z personelem ośrodka rehabilitacji. Profesor Thomas nieuchronnie zmierzał ku śmierci. Nikt nie mógł nic poradzić na tę torturę; pozostawała tylko nadzieja, że na skutek powolnego zaniku funkcji mózgu nie czuje potwornego bólu.

Ona wiedziała jednak, że to nieprawda.

Uśmiechnęła się do człowieka, który ocalił jej życie.

- Tak sobie pomyślałam, że Lewis Carroll byłby dziś w sam raz. Co pan na to, profesorze?

W kąciku jego ust pojawiła się strużka śliny. Jennifer starannie wytarła ją chusteczką. Od dawna stał na progu śmierci;

choroba i rany odniesione w strzelaninie powinny go zabić, ale nie, tylko uczyniły kaleką. To niesprawiedliwe.

Sięgnęła do plecaka i wyjęła tom wierszy. Rozejrzała się pośpiesznie. Kilku pacjentów wieszonych na wózkach podziwiała grządki kwiatów w pobliskim ogrodzie, ale tu, na tarasie, byli tylko we dwoje. Stwierdziła, że lepszy moment, by poczytać profesorowi, się nie trafi.

Otworzyła książkę, ale pierwsze wersety przytoczyła z pamięci:

- „Było smaszno, a jasmije smukwijnie świdrokrętnie na zegwniku wężały...”*

* Fragmenty *Dzabbersmoka* w przekładzie Macieja Słomczyńskiego, (przyp. tłum.).

Tom poezji był gruby - obejmował twórczość wielu pokoleń poetów angielskich i amerykańskich - i między jego stronami schowała małą strzykawkę. Ukradła ją pół roku wcześniej podczas wizyty w przychodni studenckiej z udawanym zapaleniem oskrzeli. Symulowany atak kaszlu, szybki ruch ręki i załatwienie.

Strzykawka wypełniona była mieszanką silnego środka przeciwbólowego i kokainy. Kokainę zdobyła bez trudu od jednego z wielu studentów „zarabiających” na utrzymanie podczas studiów. Z lekiem przeciwbólowym - stosowanym w chorobach nowotworowych do łagodzenia ostrych efektów ubocznych chemioterapii - było trudniej. Zajęło jej kilka miesięcy, by zaprzyjaźnić się z mieszkającą na jej piętrze dziewczyną, której matka chorowała na raka piersi. Przy okazji weekendowej wizyty w domu nowej znajomej w Bostonie ukradła sześć tabletek z szafki z lekarstwami. To było więcej, niż wynosiła śmiertelna dawka. Miała wyrzuty sumienia z powodu tej kradzieży i nadużycia zaufania koleżanki. Cóż, nie widziała innego wyjścia.

Recytowała dalej i podwijając rękaw koszuli profesora.

- „Ach, Dzabbersmoka strzeż się, strzeż! Szponów jak kły i tnących szczęk!” - Ostatni raz rzuciła okiem wkoło, czy nikt nie patrzy. - „Raz-dwa! Raz-dwa! I ciach! I ciach! Miecz migbły-stalny świstotnie!”

Nie potrafiła robić zastrzyków, ale nie sądziła, żeby to miało znaczenie. Profesor nawet nie drgnął, kiedy igła wbiła się w skórę i trafiła w żyłę. Jennifer wstrzyknęła miksturę.

W wyobraźni Adriana nie zostało nic oprócz matowej szarości. Widział rozproszone światło, słyszał jakieś dźwięki, rozumiał, że słowa odbijają się echem w części jego umysłu ukrytej przez chorobę. Jednak wszystkie snopy, które powiązane ze sobą czyniły go tym, kim był, teraz zostały rozrzucone i porozwalane. A mimo to wypełniające go mętne wody nagle jakby zebrały się w jedną falę i zdołał unieść głowę, tylko trochę, i w oddali zobaczył machające do niego postacie. Brzemień wieku i choroby spadło mu z ramion. Pobiegł naprzód. Śmiał się.

- „Cudobry mój, uściśnij mnie, gdy Dżabbersmoka ściął twój cios! O wielny dniu! Kalej! Kalu!”

Jennifer patrzyła uważnie. Czuła pod palcami słabnące tętno starego człowieka. Kiedy już miała absolutną pewność, że uwolniła go tak jak on kiedyś ją, zamknęła tom wierszy. Pochyliła się, pocałowała profesora w czoło i cicho powtórzyła: - „O wielny dniu! Kalej! Kalu!”

Schowała strzykawkę i zbiór wierszy z powrotem do plecaka, zawiozła starca w słoneczne miejsce na tarasie i tam go zostawiła. Sądziła, że pan Adrian wygląda spokojnie.

- Profesor Thomas zasnął na słońcu - powiedziała dyżurnej pielęgniарce, kiedy wychodziła. - Nie chciałam mu przeszkadzać. Choć tyle mogłam dla niego zrobić, pomyślała.